

LEE CHILD

Jack Reacher #3 Wrog beztwarzy

Jack Reacher: CV

Imiona i nazwisko: Jack Reacher (drugiego imienia nie ma) Narodowość:

USA

Urodzony: 29 października 1960 roku

Charakterystyczne dane:

195 cm; 99-110 kg;

127 cm w klatce piersiowej

Ubranie: Kurtka 3XLT, długość nogawki mierzona od kroku 95 cm

Wykształcenie:

Szkola na terenie

amerykańskich baz wojskowych w Europie i na Dalekim Wschodzie; Akademia Wojskowa

West Point

Przebieg służby: 13 lat w żandarmerii armii Stanów Zjednoczonych; w 1990 zdegradowany z

majora do kapitana, zwolniony do cywila w randze majora w 1997 roku

Odnaczenia służbowe: Wysokie: Srebrna Gwiazda, Za Wzorową Służbę Service Medal, Legia

Zasługi ze środkowej polki: Soldier's Medal, Brązowa Gwiazda, Purpurowe Serce z dolnej

polki: "Junk awards"

Matka:

Josephine Moutier Reacher, ur. 1930 we Francji, zm. 1990

Ojciec: Żołnierz zawodowy, korpus piechoty morskiej, służył w Korei i Wietnamie

Brat: Joe, ur. 1958, zm. 1997;

5 lat w wywiadzie armii

Stanów Zjednoczonych;

Departament Skarbu

Ostatni adres: Nieznany

Czego nie ma:

Prawa jazdy; prawa do zasiłku federalnego; zwrotu nadpłaconego podatku; dokumentu ze zdjęciem; osob na utrzymaniu

Prolog

Wszystko, co Hak Hobie osiągnął w życiu, zawdzięczał tajemnicy liczącej ponad trzydzieści lat

Dala mu wolność, status, pieniądze, wszystko. I jak każdy ostrożny facet w takiej sytuacji był

gotowy zrobić wszystko, żeby ta tajemnica nie wyszła na jaw. Miał wiele do stracenia. Całe

życie.

Przez niemal trzydzieści lat chronił swój sekret, opierając się na metodzie złożonej z dwóch

kroków. Ucieka się do niej każdy, chroniąc się przed zagrożeniem. W taki sam sposób

państwo broni się przed nieprzyjacielskimi rakietami, mieszkańiec kamienicy zabezpiecza się

przed włamaniem, a bokser unika nokautu. Obserwacja i reakcja. Krok pierwszy, krok drugi.

Najpierw należy dostrzec niebezpieczeństwo, następnie zareagować.

Etap pierwszy opierał się na wyrafinowanym systemie alarmowym. Z biegiem lat system

ewoluował zgodnie ze zmieniającymi się okolicznościami. Teraz był już dobrze wypróbowany i uproszczony. Składał się z dwóch poziomów, niczym dwóch petli indukcyjnych wykrywających obecność przeciwnika. Pierwsza petla znajdowała się w odległości osiemnastu tysięcy kilometrów od jego mieszkania. To był układ wczesnego ostrzegania. Budzik przerywający sen. Dzięki niemu wiedział, że się zbliżają. Druga petla leżała osiem tysięcy kilometrów bliżej, ale i tak dzieliła ją od domu odległość dziesięciu tysięcy kilometrów. Sygnał pochodzący z tej petli powiedziałby mu,

że są już bardzo blisko. Ten sygnał oznaczałby, że skończył się pierwszy etap i zaczyna drugi. Etap drugi to reakcja. Nie miał wątpliwości, jak powinna wyglądać. Myślał o tym przez niemal trzydzieści lat, ale znalazł tylko jedno praktyczne rozwiązanie. Reakcja musiała polegać na ucieczce. Musiał zniknąć. Był realista. Przez całe życie był dumny ze swej odwagi i przebiegłości, twardości i wytrwałości. Zawsze robił to, co było konieczne, długo się nie zastanawiając. Wiedział jednak, że gdy usłyszy sygnał ostrzegawczy z odległych petli, będzie musiał zmiatać. Nikt nie mógłby odeprzeć takiego ataku. Nikt. Nawet ktoś tak bezwzględny jak on.

W ciągu tych wielu lat zagrożenie rosło i malało niczym przyplawy i odpływy morza. Zdarzały się długie okresy, gdy był już pewny, że zostanie załany, ale również takie, w których wabił nadziei, że nigdy go nie dopadną. Niekiedy pod wpływem oziębiającego działania czasu czuł się bezpieczny, ponieważ trzydzieści lat to prawie wieczność. Kiedy indziej wydawało mu się, że to załedwie chwila. Zdarzało się, że nieustannie wyczekiwał na pierwszy sygnał alarmowy. Planował, pocilił się, zawsze jednak zdawał sobie sprawę, że w każdym momencie może zostać zmuszony do ucieczki.

Układał to sobie w głowie miliony razy. Według jego przypuszczeń między pierwszym a drugim sygnałem alarmowym powinien upłynąć miesiąc. To dawało mu czas na to, aby się przygotować. Chciał pozamykać bieżące sprawy, zebrać gotówkę, przenieść aktywa, wyrównać rachunki, a po otrzymaniu drugiego sygnału zamierzał zniknąć. Natychmiast. Bez wahania. Po prostu spieprzać stąd, i to jak najszybciej.

W rzeczywistości jednak oba sygnały dotarły do niego tego samego dnia. Najpierw otrzymał sygnał z drugiej petli. Blizsza petla została przekroczona godzinę przed dalszą. Hak Robie nie uciekł. Porzucił przygotowywany od trzydziestu lat plan ucieczki i podjął walkę.

1

Jack Reacher zobaczył, jak facet wszedł przez drzwi. Właściwie tam nie było drzwi. Facet po prostu wszedł przez ścianę frontową, której w tym miejscu nie było. Z baru wychodziło się prosto na chodnik. Stoliki i krzesła stały pod starą winoroślą, która dawała odrobinę cienia. Reacher przypuszczał, że gdy bar jest zamknięty, wejście uniemożliwia jakaś żelazna krata. Jeśli w ogóle był zamknięty, bo Reacher jeszcze czegoś takiego nie widział, choć nie prowadził regularnego trybu życia. Facet wszedł metr w głąb ciemnego pokoju i zatrzymał się. Mrugając powiekami, czekał, aż oczy dostosują się do półmroku ostro kontrastującego z palącym słońcem nad Key West. Był czerwiec, czwarta po południu. To była najbardziej wysunięta na południe część Stanów Zjednoczonych. Dużo dalej na południe niż wyspy Bahama. Gorące białe słońce i skwar. Reacher siedział przy stoliku w głębi, popijał wodę z plastikowej butelki i czekał. Tamten rozejrzał się dookoła. Niska sala barowa była zbudowana ze starych, ciemnych desek wysuszonych na wiatr. Wyglądały tak, jakby pochodziły z rozebranych zagłowców. Na ścianach wisiały rozmaite żeglarskie rupiecie, fragmenty wyposażenia z mosiadzu, zielone latarnie morskie, kawałki starych sieci i różne przyrządy rybackie – tak przynajmniej przypuszczał Reacher, który nigdy w życiu nie złapał ryby i nie żeglował. Ściany, a nawet sufity były pokryte tysiącami wizytówek, nowych i starych, pozłoklanych i skreślonych, z nazwami firm, które już dawno przestały działać. Facet wszedł głębiej i skierował się do baru. Był stary, miał jakieś szeszedziesiąt lat, średniego

wzrostu, krepy. Lekarz pewnie uznałby go za otyłego, ale zdaniem Reachera był to sprawny mężczyzna, który jednak przekroczył już szczyt góry. Człowiek spokojnie ulegający upływowi czasu i niedenerwujący się zbytnio z tego powodu. Był ubrany jak mieszczuch z Polnocy, któremu powiedziano, że ma nagle wyjechać do miasta, gdzie panuje upał. Jasnoszare spodnie obszerne u góry i ziewającej się na dole, lekka bezowa marynarka, już wymięta, biała koszula z szeroko rozpiętym kołnierzykiem odsłaniającym niebiesko-białą skórę szyi, ciemne skarpety, polbuty. Z Nowego Jorku lub Chicago, pomyślał Reacher. Może z Bostonu. Spędza lato w klimatyzowanych budynkach lub samochodach. Wyciągnął te spodnie i marynarkę z dna szafy, gdzie leżały od czasu, kiedy je kupił dwadzieścia lat temu i tylko kilka razy włożył.

Nieznajomy podszedł do baru, sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął wypchany stary portfel z czarnej skóry. Takie portfele dobrze dopasowują się do wszystkiego, co właściciel wepchał do środka. Reacher przyglądał się, jak tamten z wprawą otwiera portfel, pokazuje coś barmanowi i zadaje pytanie. Barman odwrócił wzrok, tak jakby został obrazony. Gość schował portfel i przyglądał się kosmyki szarych włosów, które przylepiły się do spoconej skóry czaszki. Mruknął coś. Barman wyciągnął piwo ze skrzyni z lodem. Gość najpierw przyłożył zimną butelkę do twarzy, a potem wypił kilka łyków. Dyskretnie beknał, zasłaniając usta, i uśmiechnął się, tak jakby piwo złagodziło niewielkie rozczarowanie. Reacher również wypił kilka łyków wody. Pewien belgijski żołnierz, najbardziej wysportowany gość, jakiego w życiu spotkał, przysięgał, że można robić i jeszcze, co się chce, byle tylko pić pięć litrów wody mineralnej dziennie. Reacher uznał, że skoro ten Belg był od niego dwa razy mniejszy, to on powinien pić dziesięć. Dziesięć litrów butelek. Robił tak od przyjazdu do upalnego Key West i w jego przypadku metoda okazała się skuteczna. Nigdy nie czuł się lepiej. Każdego dnia siadał o czwartej przy swoim ciemnym stole i wypijał trzy butelki wody o temperaturze pokojowej. Teraz pił wodę tak nalogowo jak kiedyś kawę. Nieznajomy stał bokiem do baru. Pił piwo i rozejrzał się dookoła. Oprócz barmana i Reachera w sali nie było nikogo. Stary odepchnął się biodrem od baru i podszedł do jego stolika. Pomachał w powietrzu butelką niejasnym gestem, który miał pewnie wyrazić pytanie, czy może się przysiąść. Reacher wskazał mu broda krzesło i odkorkował trzecią butelkę. Nieznajomy ciężko zwałił się na krzesło, które zatrzeszczało pod jego ciężarem. Należał do mężczyzn, którzy noszą w kieszeniach spodni klucze, pieniądze i chusteczki, co tylko powiększało szerokość bioder.

-Czy pan Jack Reacher? - spytał.

Nie jest ani z Chicago, ani z Bostonu. Na pewno z Nowego Jorku. Mówił dokładnie tak jak dobry znajomy Reachera, który przez pierwsze dwadzieścia lat życia nie oddalał się dalej niż o sto metrów od ulicy Fulton.

-Jack Reacher? - spytał tamten ponownie.

Z bliska widac było, że ma male, sprytne oczy, czesciowo zasloniete obwislymi brwiami. Reacher wypil kilka lyko w wody i spojrzal na niego przez butelke.

-Czy pan Jack Reacher? - spytał nieznajomy po raz trzeci. Reacher postawil butelke na blacie i pokrecil glowa.

-Nie - sklamal.

Stary na chwile zwiesil ramiona, wyraznie rozczarowany. Podciagnal mankiet i spojrzal na zegarek. Przesunal sie do przodu na krzesle, jakby chcial wstac, ale zrezygnowal i znowu sie oparl. Przestalo mu sie spieszyc.

-Piec po czwartej - powiedzial.

Reacher kiwnal glowa. Tamten pomachal pusta butelka. Barman po chwili przyniosl mu nastepna.

-Goraco - rzekl stary. - To mnie wykancza. Reacher jeszcze raz pokiwal glowa i wypil troche wody.

-Zna pan moze tego Jacka Reachera? Reacher wzruszyl ramionami.

-Wie pan, jak on wyglada? - spytał. Nieznajomy wypil kilka lykow piwa. wytarl wargi wierzchem

dloni, wykorzystujac ten gest, zeby znowu beknac.

-Nie za dobrze - odparl - Wiem tylko, że to wysoki facet. Dlatego spytałem pana. Reacher kiwnal glowa,

-Tutaj jest duzo wysokich typow - stwierdzil. - Wsze-dzie ich pelno.

-Nie zna go pan po nazwisku?

-A powinienem? - spytał Reacher. - I kto chce wiedziec? Nieznajomy sie usmiechnal i sklonil glowe, tak jakby chcial przeprosic za zle maniery.

-Costello - przedstawil sie. - Milo mi pana poznac. Reacher tez sie sklonil. Uniosl na chwile butelke.

-Poszukuje pan zaginionych? - spytał.

-Prywatny detektyw - odrzekl Costello.

-I szuka pan tego Reachera? - ciagnal Jack. - Co takiego zrobil?

-O ile wiem, nic - odpowiedzial Costello, wzruszajac ramionami. - Po prostu polecono mi go znalezc.

-Sadzi pan, że jest gdzieś w tej okolicy?

-Byl tu tydzien temu. Ma rachunek w banku w Wirginii! i przesyła tam pieniadze.

-Z Key West? Costello pokiwał głową.

-Co tydzień. Od trzech miesięcy.

-No i co z tego?

-Pewnie tu pracuje - odrzekł Costello. - Od trzech miesięcy. Można przypuszczać, że ktoś go zna.

-Ale nikt o nim nic nie wie, tak?

-Nie - potrząsnął głową detektyw. - Pytałem we wszystkich lokalach na Duval, a tu chyba koncentruje się życie w tym mieście. W pewnym barze ze striptizem dziewczyna powiedziała mi, że dokładnie od trzech miesięcy jakiś wysoki facet przychodzi tu codziennie o czwartej i pije wodę.

Costello zamilkł. Wpatrywał się uparcie w Reachera, tak jakby rzucił mu wyzwanie. Jack wypił łyk i wzruszył ramionami.

-Zbieg okoliczności - powiedział. Costello kiwnął głową.

-Tak przypuszczam - zgodził się z Jackiem. Podniósł butelkę do ust i wypił trochę piwa, nie odrywając swych oczu od twarzy Reachera.

-Duzo ludzi mieszka tu tylko przez pewien czas - oznajmił Reacher. - Ludzie ciągle przyjeżdżają i wyjeżdżają.

-Tak przypuszczam - powtórzył Costello.

-Będzie się rozglądał - obiecał Reacher. Costello pokiwał głową.

-Będzie bardzo wdzięczny - odrzekł dość niejasno.

-A kto go szuka? - spytał Reacher.

-Moja klientka. Niejaka pani Jacob. Reacher wypił łyk wody. Nic mu to nie mówiło. Jacob? Nie znalazł nikogo o takim nazwisku.

-Dobra, jeśli go zobaczę, powiem mu, ale niech pan na i mnie szczególnie nie liczy. Nie widuję zbyt wielu ludzi.

-Pracuje pan? Reacher pokiwał głową.

-Kopie baseny - wyjaśnił.

Costello zastanowił się nad tym, jakby wiedział, co to są baseny, ale nigdy nie myślał, skąd się biorą.

-Jest pan operatorem koparki?

Jack się uśmiechnął i potrząsnął głową.

-Nie tutaj. Musimy kopać ręcznie.

-Ręcznie? - powtórzył Costello. - Jak to, łopatami?

-Działki są zbyt małe, żeby mogła wjechać koparka - wyjaśnił mu Reacher. - Ulice są wąskie, drzewa są niskie. Niech pan zjeżdża z Duval, to sam się pan przekona. Costello pokiwał głową. Nagle wydał się zadowolony.

-No, to pewnie nie spotka pan tego Reachera - powiedział. - Według pani Jacob był oficerem. Sprawdziłem, ma rację. Był majorem. Medale, order i tak dalej. Szycha w policji wojskowej. Trudno takich spotkać, machając cholernym szpadlem i kopiąc basen. Reacher przyłożył butelkę do ust, żeby zamaskować wyraz twarzy. Wypił kilka łyków.

-To co on tu robi?

-Tutaj? Sam nie wiem. Może zajmuje się ochroną hotelu? Prowadzi jakąś firmę? Może ma jacht motorowy i czarteruje go turystom.

-A po co tu w ogóle przyjechał? Costello wzruszył ramionami, tak jakby zgadzał się z tym sceptycznym pytaniem.

-Ma pan rację - westchnął. - To prawdziwe piekło. Jest tu jednak, to pewne. Dwa lata temu odszedł z wojska, wpłacił pieniądze do banku położonego najbliżej Pentagonu i znikł. Z rachunku bankowego wynika, że przysyłał pieniądze z całego cholernego kraju, ale od trzech miesięcy tylko stąd. Chyba przez jakiś czas podróżował, po czym zatrzymał się tutaj i niezłe zarabia. Znajdę go. Reacher przytaknął.

-Chce pan, żebym pytał o niego? Costello pokręcił głową. Już planował następne posunięcie.

-Niech pan sobie nie zawraca głowy - powiedział. Z trudem podniósł się z krzesła i

wyciągnął z kieszeni zwitek banknotów. Cisnął na blat piątką i odszedł.

-Milo mi było pana poznać - rzucił jeszcze, nie odwracając głowy.

Wyszedł przez otwór w ścianie na rozpaloną ulicę. Reacher dopił wodę i odprowadził go

wzrokiem. Było dziesięć po czwartej.

--

Godzinę później Reacher waleś się po Duval, zastanawiając się nad zmianą układu z bankiem, wyborem restauracji i na wczesną kolację i nad tym, dlaczego okłamał Costello. Ostatecznie uznał, że po pierwsze będzie posługiwał się gotówką i chodził ze zwitkiem banknotów w kieszeni; po drugie, zgodnie z radą belgijskiego przyjaciela zje wielki befsztyk, porcję lodów i wypije dwie butelki mineralnej; po trzecie, kłamał, bo nie miał powodu nie kłamać. 16

Nie było żadnego powodu, żeby szukał go prywatny detektyw z Nowego Jorku. Nigdy tam nie mieszkał. Ani tam, ani w żadnym mieście na Polnocy. W istocie nigdy nie żył w jednym miejscu. To była charakterystyczna cecha jego życia. To sprawiło, że był takim właśnie człowiekiem jak teraz. Jego ojciec był oficerem piechoty morskiej w czynnej służbie i ciągnął go za sobą po całym świecie, od kiedy matka wyniosła go z oddziału położniczego berlińskiego szpitala. Dzieciństwo i młodość spędził w kolejnych, podobnych do siebie bazach wojskowych, z reguły położonych w odległych i niegospinnych regionach świata. Później sam zaciągnął się do wojska, został oficerem dochodzeniowym policji wojskowej i znowu wędrował od bazy do bazy, aż wreszcie po zakończeniu zimnej wojny w ramach "dywidendy pokoju" rozwiązano jego jednostkę, a wówczas zwolnił się z wojska. Wędrował po kraju jak biedny turysta, żyjąc z oszczędności, aż wreszcie rzuciło go tu, na południowy kraniec kraju. Konczyły mu się pieniądze, więc postanowił przez parę dni zarabiać kopaniem dołów. Parę dni

zmieniło się w kilka tygodni, tygodnie złożyły się na miesiące, a on wciąż tu siedział. Nie miał żadnych krewnych, którzy mogliby mu zostawić fortunę w spadku. Nie miał długów,

nigdy niczego nie ukradł, nikogo nie oszukał, nie splodził dziecka. Jego nazwisko widniało na tak nielicznych dokumentach, jak tylko to możliwe. Był niemal niewidzialny. No i nigdy nie znalazł żadnej pani Jacob. Tego był pewny. I nie interesowała go ta sprawa, bez względu na to, czego chciał Costello. Z pewnością nie zainteresowała na tyle, żeby miał wyjść z ukrycia i w coś się zaangażować.

Bycie niewidzialnym weszło mu w krew. Coś w płacie czołowym mózgu sygnalizowało mu, że to była skomplikowana reakcja na sytuację, w jakiej się znalazł. Dwa lata temu jego życie stało na głowie. Przedtem był wielką rybą w małym stawie, teraz był nikim. Ze starszego ranga, cenionego członka dobrze zorganizowanej, hierarchicznej struktury zmienił się w jednego z dwustu siedemdziesięciu milionów anonimowych cywilów. Przedtem był niezbędny, teraz stał się zbędny. Przedtem ktoś mówił mu, gdzie się ma znaleźć w danym dniu i danej minucie, teraz miał przed sobą prawie osiem milionów kilometrów kwadratowych, jakieś czterdzieści lat życia, żadnej mapy i żadnego rozkładu zajęć. Czołowy płat mózgowy mówił mu, że jego reakcja była zrozumiała, ale stanowiła zachowanie obronne. Tak reaguje człowiek, który lubi samotność, ale jednocześnie się jej obawia. Czołowy płat mózgowy upominał go, że zachowuje się w sposób ekstremalny i powinien uważać.

Natomiast leżąc za płatem czołowym śródmózgowie zapewniało go, że jest z siebie zadowolony. Lubiał anonimowość. Lubiał tajemniczość. Czuł się wygodnie i bezpiecznie. Strzegł tego. Zachowywał się przyjaźnie i wesoło, ale niewiele mówił

o sobie. Lubiał płacić gotówką i podróżować, korzystając z transportu ładowego. Dzięki temu nie trafiał na listy pasażerów

i nie zostawiał za sobą kopii rachunków opłaconych kartą kredytową. Nikomu nie mówił, jak się nazywa. W Key West zatrzymał się w tanim motelu, posługując się nazwiskiem Harry S. Truman. Przeglądając książkę gości, stwierdził, że nie był

oryginalny. Większość z czterdziestu jeden prezydentów nocowała w tym motelu, nawet ci, o których nikt nie słyszał, na przykład John Tyler i Franklin Pierce. Przekonał się, że w Key West nazwiska nie miały większego znaczenia. Ludzie po- zdrowiali się machaniem rąk, uśmiechali się i mówili: Halo. Wszyscy zakładali, że każdy ma coś, o czym woli nie wspominać. Czuł się tu dobrze. Zbyt dobrze, żeby pośpiesznie wyjeżdżać.

Jack spacerował godzinę po hałaśliwej i gorącej ulicy, po czym skręcił na ukryty dziedziniec, gdzie znajdowała się restauracja. Wiedział, że znają go tam jako stałego klienta, mają jego ulubioną markę wody mineralnej i dadzą mu stek zwisający z dwóch końców talerza. - - -

Kelnerka przyniosła mu stek z jajkiem, frytkami i skomplikowaną mieszaniną lokalnych warzyw. Później podała mu lody oblane sosem czekoladowym i posypane orzechami. Reacher wypił jeszcze litr wody i dwie filiżanki mocnej kawy. Odsunął się od stołu i spokojnie siedział, najedzony i zadowolony.

-Juz lepiej? - spytała kelnerka z uśmiechem.

-Tego mi było trzeba - odpowiedział.

-Dobrze ci to robi.

-I tak też się czuję.

To była prawda. Niedługo miał skończyć trzydzieści dziewięć lat, ale nigdy jeszcze nie czuł się tak dobrze. Zawsze dbał o sprawność fizyczną, jednakże w ciągu ostatnich trzech miesięcy osiągnął szczytową formę. Miał metr dziewięćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, a gdy zegnął się z wojskiem, ważył dziewięćdziesiąt dziewięć kilogramów. Po przyłączeniu się do ekipy kopaczy basenów w miesiąc stracił pięć kilogramów, ale po następnych dwóch ważył już sto dziesięć - i wszystko to były czyste, twarde mięśnie. Ciężko harował. Jack obliczył, że każdego dnia przerzuca czterdzieści tony ziemi i kamieni. Opracował technikę kopania i przerzucania ziemi w taki sposób, żeby brały w tym udział wszystkie mięśnie. Uzyskał

wspaniałe wyniki. Był opalony na ciemny brąz i osiągnął rekordową formę. Jak powiedziała

jakas dziewczyna, przypominał przerwy wypchaną włoskimi orzechami. Musiał jesc

dziesięć

tysięcy kalorii dziennie, żeby nie tracić na wadze. Do tego pił jeszcze osiem litrów wody.

-Pracujesz dziś w nocy? - spytała kelnerka.

Reacher się zasmiał. Zarabiał pieniądze, wykonując ćwiczenia gimnastyczne, za które większość ludzi musiałaby wybulić grubą forse w jakiejś łsniacej sali. Teraz miał robić za pieniądze coś, co wielu mężczyzn chętnie robiłoby darmo. Był wykidajła w barze ze striptizem, o którym wspomniał Costello. Na Duval. Siedział tam całą noc bez koszuli, robił groźne wrażenie, pił darmowe drinki i pilnował, żeby goście nie zaczepiali nagich kobiet. Potem ktoś mu płacił za to pięćdziesiąt dolarów.

-To harówka - powiedział. - No, ale ktoś musi to robić. Kelnerka też się zasmiała.

Reacher zapłacił i wyszedł.

--

Dwa tysiące dwieście kilometrów na północ, niedaleko Wall Street w Nowym Jorku, naczelny dyrektor zjechał windą dwa piętra niżej, do biura dyrektora do spraw finansowych. Usiadł razem przy biurku w jego gabinecie. To był jeden z tych luksusowych i kosztownych gabinetów, za które firma płaci w dobrych czasach, a potem, gdy czasy się zmieniają, stanowią przykre upomnienie. Meble z palisandru, zasłony z kremowego lnu, mosiężne akcenty wyposażenia, wielkie biurko, włoska lampa przy stole, wielki monitor komputera, który kosztował znacznie więcej, niż musiał. Na świecącym się ekranie widać było pytanie o hasło. Naczelny dyrektor wpisał je, nacisnął ENTER i otworzył arkusz kalkulacyjny. To był jedyny arkusz zawierający prawdziwe dane na temat firmy. Dlatego właśnie zabezpieczono go hasłem.

-Przetrywamy? - spytał naczelny dyrektor.

To był ich dzień R. R od "redukcja". Kierownik do spraw zasobów ludzkich w ich fabryce na Long Island pracował bez przerwy od osmej rano. Jego sekretarka ustawiła długi szereg krzeseł na korytarzu. Wszystkie zajęli ludzie czekający w kolejce. Co pięć minut przesuwali się o jedno miejsce, aż wreszcie trafili do gabinetu na rozmowę. Dowiadawali się, że właśnie stracili środki utrzymania, po czym słyszeli dzięki i do widzenia.

-Przetrywamy? - powtórnie spytał naczelny. Dyrektor do spraw finansowych spisywał z arkusza jakieś duże liczby. Odjął je od siebie i spojrzał na kalendarz. Wzruszył ramionami.

-Teoretycznie tak - powiedział. - W praktyce nie.

-Nie? - powtórzył naczelny.

-To sprawa czasu - wyjaśnił dyrektor do spraw finansowych. - Nie ma wątpliwości, że postąpiliśmy słusznie decydując się na redukcję. Zwolniliśmy osiemdziesiąt procent ludzi i zaoszczędziliśmy dziewięćdziesiąt jeden procent funduszu płac, bo zatrzymaliśmy tylko tych tańszych. Jednakże zapłaciliśmy im wszystkim do końca następnego miesiąca. Wobec tego poprawa płynności nie nastąpi wcześniej niż za sześć tygodni. W istocie sytuacja bardzo się pogorszy, ponieważ ci lajdacy pobierają wypłatę za całe sześć tygodni. Dyrektor naczelny ciężko westchnął.

-A zatem ile potrzebujemy? Dyrektor do spraw finansowych otworzył myszą okienko na ekranie.

-Milion sto tysięcy - powiedział. - Na sześć tygodni.

-Bank?

-Wybij to sobie z głowy - odrzekł dyrektor do spraw finansowych. - Chodze tam kazdego dnia i caluje ich w dupe ty lko po to, zeby nie zazadali natychmiastowej splaty kredytu. Jesli poprosze o wiecej, rozesmieja mi sie w twarz.

-Bywaja wieksze tragedie.

-Nie o to chodzi. Istotne jest cos innego. Jesli wywachaja, ze wciaz nie wyszlismy na prosta, to beda domagac sie splaty kredytu. I to natychmiast.

Dyrektor naczelny zabebnil palcami o blat z palisandru i wzruszyl ramionami.

-Sprzedam akcje - zaproponowal.

-Nie mozesz - cierpliwie wyjasnil jego podwladny. - Jesli wystawisz akcje na sprzedaz, kurs spadnie do zera. Nasze kredyty sa zabezpieczone akcjami. Gdy stana sie bezwartosciowe, kredytodawcy jutro zglosza pozew o ogloszenie b ankruktwa.

-Cholera! - zaklal naczelny. - Brakuje nam szesciu tygodni. Nie zamierzam wszystkiego tracic z powodu szesciu pie przonych tygodni i pieprzonego miliona dolarow. To zadne pieniadze.

-Ale ich nie mamy.

-Musi byc jakis sposob, zeby je zdobyc.

Dyrektor do spraw finansowych nic nie odpowiedzial, lecz siedzial tak, jakby mial jeszcze cos w zanadrzu.

-Co takiego? - spytal naczelny.

-Slyszalem pewne rozmowy. Plotki wsrod znajomych. Jest chyba miejsce, gdzie moglibysmy sie zwrocic. Na szesc t ygodni moze warto. Jest pewna instytucja finansowa, o ktorej slyszalem. Cos w rodzaju kredytodawcy ostatniej szan sy.

-Na poziomie?

-Najwyrazniej - zapewnil go dyrektor do spraw finansow. - Robia bardzo dobre wrazenie. Wielkie biuro w World Tr ade Center. Specjalizuja, sie w takich rzeczach. Naczelnny wpatrywal sie w ekran z wsciekloscia.

-Czyli w jakich?

-Takich jak nasze. Gdy firma jest juz bliska wyjscia z kryzysu, ale banki sa zbyt tchorzliwe, zeby to dostrzec.

Dyrektor naczelny pokiwal glowa i rozejrzal sie dookola. To byl piekny gabinet. Sam mial biuro dwa pietra wyze\$ j eszcze ladniej urzadzone.

-Dobra - powiedzial. - Idz do nich.

-Nie moge - odrzekl dyrektor do spraw finansow. - Ten facet nie rozmawia z nikim ponizej dyrektora naczelnego! M usisz to zrobic sam. - - -

Wieczor w barze ze striptizem zapowiadal sie spokojnie. Normalny dzien pracy w czerwcu. Za pozno dla ludzi, ktor zy tu przyjezdza na zime, i dla studentow zabawiajacych sie podczas wiosennej przerwy. Za wczesnie dla letnich g osci

sciagajacych tutaj, zeby spiec sie na plazy. Przez caly wieczor do baru przyszlo co najwyzej czterdziestu gosci. Dw

ie dziewczyny stały za barem, trzy tancyły. Reacher przyglądał się kobiecie zwanej Crystal. Przypuszczał, że nie jest to jej prawdziwe imię, ale nigdy o to nie spytał. Była najlepsza. Zarabiała znacznie więcej, niż on dostawał jako major. Jeździła starym, czarnym porsche. Reacher czasami słyszał wczesnym popołudniem ryk potężnego silnika, gdy przejeżdżała w pobliżu miejsca, gdzie pracował.

Bar znajdował się na piętze. W długiej wąskiej sali ciągnął się wybieg zakończony niewielką okrągłą sceną z pionową, błyszczącą rurką. Wzdłuż wybiegu stały krzesła. Na czarnych ścianach wszędzie wisiały lustra. Całe miejsce pulsowało i dygotało w rytmie muzyki z kilku głośników, na tyle potężnych, żeby zagłuszały szmer klimatyzacji.

Reacher stał przy barze, opierając się plecami o ladę, mniej więcej w jednej trzeciej długości sali. Dostatecznie blisko drzwi,

żeby widzieli go wchodzący, dostatecznie głęboko w sali, żeby goście nie zapominali o jego obecności. Crystal własnie skończyła trzeci numer i holowała jakiegoś spokojnego faceta za scenę na prywatny pokaz za dwadzieścia dolarów, gdy Reacher zobaczył wchodzących po schodach dwóch mężczyzn. Jacyś obcy, z Polnocy. Trzydzięci lat, mocno zbudowani, blade. Groźni. Twardziele z Polnocy w garniturach za tysiąc dolarów i wyglansowanych polbutach.

Przyszli tu w wielkim pośpiechu, nawet nie zdążyli się przebrać. Stali przy kasie i kłócili się o trzy dolary za wejście. Dziewczyna przy kasie spojrzała niespokojnie na Jacka. Zeslizgnął się ze stolka i podszedł.

-Jakieś problemy, panowie? - spytał.

Reacher zbliżył się do nich, jak to określał, studenckim krokiem. Zauważył kiedyś, że studenci dziwnie chodzą. Widac to było szczególnie wyraźnie na plaży, gdy byli w szortach. Jakby z powodu potężnego umieszczenia nie mogli normalnie poruszać kończynami. W wykonaniu studenckiego wazącego szesćdziesiąt kilogramów wyglądało to dość komicznie, natomiast Jack przekonał się, że gdy robi to facet mający ponad metr dziewięćdziesiąt i wazący sto dziesięć kilogramów, można się go przestraszyć. Studencki krok był teraz narzędziem jego nowego zawodu. Przydatnym narzędziem. Z pewnością zrobił stosowne wrażenie na facetach w garniturach po tysiąc dolarów.

-Jakieś problemy? - powtórzył.

Te słowa zwykle starczały, żeby kłopotliwi goście decydowali się na odwrot. Ci dwaj nie zrezygnowali. Z bliska Reacher wyczuł, że bije od nich jakiś mieszanina pewności siebie i agresji. Z dodatkiem arogancji. Najwyraźniej przywykli do tego, że stawiają na swoim, ale tu byli daleko od domu. Dostatecznie daleko od swego terytorium, żeby wykazywać pewną roztargłość.

-Nie ma żadnych problemów, Tarzanie - odpowiedział ten z lewej.

Reacher się uśmiechnął. Różnie go przezywano, lecz tego jeszcze nie słyszał.

-Trzy dolary za wejście - powiedział. - Wyjść możecie za darmo.

-Chcemy tylko z kimś porozmawiać - wtracił ten z prawej.

-To nie jest dobre miejsce na rozmowę - stwierdził Reacher. - Muzyka jest za głośna.

-Jak się nazywasz?

-Tarzan - odpowiedział z uśmiechem Jack.

-Szukamy faceta, który nazywa się Reacher - rzekł jeden z nich. - Jack Reacher. Znasz go? Reacher pokręcił głową.

-Nigdy o nim nie słyszałem.

-Musimy porozmawiac z dziewczynami - ciagnal tamten. - Slyszielismy, ze moga go znac.

-Nie znaja. - Reacher znowu pokrecil glowa.

Facet stojacy po prawej zajrzal w glab sali. Przygladal sie barmankom. Najwyrazniej doszedl do wniosku, ze Jack jest jedynym ochroniarzem.

-Okay, Tarzan, odsun sie - powiedzial. - Wchodzimy.

-Umiecie czytac? - spytal Reacher. - Drukowanymi literami?

Wskazal na tabliczke wywieszona nad drzwiami, ze swiecacymi sie literami na czarnym tle: "Menedzer lokalu zastrzega sobie prawo odmowy zgody na wstep".

-Jestem menedzerem - dodal Jack. - Odmawiam zgody na wstep. Tamten spojrzal na wywieszke i zmierzyl Jacka wzrokiem.

-Czy musze ci to przelozyc? - spytal Reacher. - Na prostszy jezyk? To oznacza, ze jestem szefem, a wy nie mozece wejsc.

-Daruj sobie, Tarzan - rzucil tamten.

Reacher pozwolil mu zrownac sie z nim. Gdy facet go mijal, Jack zlapal go lewa reka za lokiec i wbil palce w miejsce, gdzie przebiegaja nerwy tricepsu. Efekt byl taki, jaki wywoluje staly nacisk na czule miejsce w lokciu. Facet podskakiwal, jakby go prad porazil.

-Na dol - spokojnie polecil Reacher.

Drugi szybko ocenial szanse. Reacher to zauwazyl i uznal, ze pora na jasne ostrzezenie. Podniosl prawa reke, zeby pokazac mu, ze jest wolna i gotowa do uzycia. Mial wielka brazowa dlon z odciskami od szpadla. Przeciwnik odebral sygnal. Wzruszyl ramionami i cofnal sie na schody. Reacher popchnal jego kompana. | - Jeszcze sie spotkamy - zagrozil jeden z nich.

-Przyprowadzcie wszystkich znajomych! - odkrzyknal Jack. - Trzy dolary za wejscie.

Reacher wrocil na sale. Tancerka Crystal podeszla do niego.

-Czego chcieli? - spytala.

-Szukaja kogos - odparl, wzruszajac ramionami.

-Kogos, kto nazywa sie Reacher? Przytaknal.

-To juz drugi raz dzisiaj - powiedziala Crystal. - Wczesniej byl tu jakis starszy gosc. Zaplacil trzy dolce. Chcesz isc za nimi? Sprawdzic, co to za jedni? Reacher sie zawahal. Crystal podala mu koszule, ktora lezala na stolku barowym.

-Idz - poradzila. - Tutaj nic sie nie dzieje. Spokojny wieczor.

Wzial od niej koszule i wywrocil na prawa strone.

-Dzieki, Crystal. Wlozyl koszule i zapial guziki, po czym ruszyl w strone schodow.

-Prosze bardzo, Reacher! - zawolala za nim Crystal. Jack obejrzal sie przez ramie, ale ona juz szla w kierunku

sceny. Zerknal na dziewczynę przy wejściu i zbiegl po schodach na ulicę. - - -

Jedenasta wieczorem w Key West to pora największego ożywienia. Dla niektórych to środek wieczoru, inni dopiero zaczynają zabawę. Główna ulica miasta, ciągnąca się od wschodu na zachód Duval, kipiała od muzyki i światła. Reacher nie obawiał się, że ci dwaj czekają na niego na Duval. Tam było za dużo ludzi. Jeśli chcieli się zrewanżować, z pewnością wybrali spokojniejsze miejsce. Było w czym wybierać. Po przejściu z Duval, zwłaszcza na północ, ruch szybko zamiera. Key West to miniaturowe miasto. Wystarczy krótki spacer, żeby minąć dwadzieścia przecznicy i trafić na przedmieścia, gdzie Reacher kopał baseny na małych podworkach za niewielkimi domkami. W tej okolicy nie ma wiele latami ulicznych, a zamiast zgiełku muzyki i krzyków słychać szum nocnych owadów. Zapach piwa i papierosów ustępuje ciężkiemu odorowi tropikalnych roślin kwitnących i gnijących w ogrodach. Reacher szedł mniej więcej po spirali. Skrecał w przypadkowo wybrane ulice i sprawdzał ciche, ciemne zaułki. Nikogo nie zauważył. Kroczył środkiem jezdni. Gdyby ktoś czaił się na jakimś podjeździe, musiałby pokonać kilka metrów, żeby go zaatakować. Nie obawiał się, że go zastrzeli. Nie mieli przy sobie broni. Świadczyły o tym ich garnitury. Były zbyt dopasowane, żeby ukryć rewolwer. Garnitury dowodziły, że

przybyli na Południe w pośpiechu. Przylecieli. Nie ma żadnego łatwego sposobu, żeby wnieść na pokład samolotu rewolwer ukryty w kieszeni.

Po przejściu jakichś dwóch kilometrów Reacher zrezygnował. Key West to wprawdzie niewielkie miasto, ale jest do statecznie duże, żeby dwóch facetów mogło się gdzieś ukryć. Skreślił w lewo w ulicę biegnącą wzdłuż cmentarza i skierował się w stronę centrum. Na chodniku, blisko plotu, leżał nieruchomo jakiś mężczyzna. W Key West nie jest to o niezwykle widok, ale Reacher zauważył coś niepokojącego i znajomego. Niepokojąca była pozycja tego faceta - leżał, trzymając rękę pod ciałem. Nerwy ramienia powinny podnieść alarm dostatecznie mocny, żeby go ocucić, niezależnie od stopnia upojenia lub odurzenia. Znajomy natomiast był bladym odcieniem bezowej marynarki. Jasna marynarka i ciemne spodnie. Reacher przystanął, żeby się rozejrzeć. Zrobił kilka kroków i ukląkł.

To był Costello. Miał zmasakrowaną, zakrwawioną twarz. Na białej szyi mieszczał widac było strumyki zaschniętej krwi. Reacher dotknął go za uchem, żeby sprawdzić puls. Niczego nie wyczuł. Dotknął skóry wierzchem dłoni. Chłodna. Zwłoki jeszcze nie zesztyniały, ale to była upalna noc. Costello zginął jakiś godzinę wcześniej.

Reacher sięgnął do kieszeni jego marynarki. Wypchany portfel znikł. Chwilę później spojrzał na dłonie zabitego. Miał odcięte czubki palców. Wszystkich dziesięciu. Gładkie, zreczne ciecica pod kątem. Sprawca posługiwał się jakimś ostrym narzędziem. To nie był skalpel. Szersza klinga. Może noż do krojenia linoleum.

2

-To moja wina - stwierdził Reacher. Crystal potrząsnęła głową. -Przecież to nie ty go zabiłeś - powiedziała. Po chwili obrzuciła go ostrym spojrzeniem.

-Zrobiles to?

-Zginął przeze mnie - odrzekł Reacher. - Czy to jakaś różnica?

Bar został zamknięty o pierwszej. Siedzieli na sąsiednich krzesłach obok pustej sceny. Światła były zgaszone, muzyka wyłączona. Rozlegał się tylko szum klimatyzatora nastawionego na jedną czwartą. Wentylator wysysał z sali dym papierosów i zapach potu.

-Powinienem być mu powiedzieć - westchnął Reacher. - Trzeba było powiedzieć, że to ja

jestem Reacher. Wyjaśniłby mi, o co chodzi, i teraz byłby już w domu, a ja i tak mogłbym nie

zawracać sobie tym głowy. Nic by mi to nie zaszkodziło,

a on by zyl.

Crystal miała na sobie biały podkoszulek i nic poza tym. To był długi podkoszulek, ale nie dostatecznie długi. Reacher na nią nie patrzył.

-Co cie to obchodzi? - spytała.

To było pytanie w stylu Keys. Crystal nie była bezduszna, ale po prostu nie mogła zrozumieć, czemu przejmuje się losem jakiegoś obcego człowieka z innego okręgu. Spojrzał na nią.

-Czuje się odpowiedzialny - odparł.

-Nie, czujesz się winny. Kiwnął głową.

-Nie masz powodu - powiedziała Crystal. - Nie ty go zabiłeś.

-Czy to jakas różnica? - spytał znowu.

-Oczywiście. Kto to był? Prywatny detektyw. Szukał mnie.

-Dlaczego?

-Nie mam pojęcia - odpowiedział, kręcąc głową.

-Czy ci dwaj byli razem z nim? Jack znowu pokręcił głową.

-Nie. To ci dwaj pewnie go zabili.

-Oni? - zdziwiła się Crystal.

-Tak przypuszczam. Na pewno nie pracowali razem z nim. Byli od niego młodszy i bogatszy. Tak ubrani? W tych garniturach? Nie wyglądali na jego podwładnych. Zresztą miałem wrażenie, że działa sam. Ci dwaj pewnie pracowali dla kogoś innego. Zapewne mieli go śledzić i sprawdzić, co, do cholery, tu robi.

Tam na Polnocy musiał komus nadepnąć na odcisk, sprawić jakiś kłopot. Przyjechali tu za nim. Dopadli go, wycisnęli z niego, kogo szuka, po czym sami zaczęli szperać.

-Zabili go, żeby dostać twoje nazwisko?

-Na to wygląda - przyznał Reacher.

-Zamierzasz opowiedzieć o tym policji?

Kolejne pytanie typowe dla Keys. Wciąganie policji w jakąkolwiek sprawę było tu uważane za kwestię wymagającą długiej i poważnej dyskusji. Reacher po raz trzeci pokręcił głową.

-Nie.

-Jeśli policja przesłodzi, co robił, też zaczną cie szukać.

-Nie tak zaraz - odpowiedział. - Nie mają ani dokumentów, ani odcisków palców denata. Minie pewnie kilka tygodni, nim ustalą jego tożsamość.

-A zatem co zamierzasz zrobić?

-Chce znalezc pania Jacob - odparl. - Jego klientke. To ona mnie szuka.

-Znasz ja?

-Nie, ale zamierzam poznać.

-Dlaczego? Reacher wzruszył ramionami.

-Musze sie dowiedziec, o co tu chodzi.

-Dlaczego? - ponowila pytanie. Reacher wstal i spojrzal na jej odbicie w lustrze na scianie. Nie mogl spokojnie wysiedziec na

krzesle. Nagle koniecznie chcial wrocic do rzeczywistosci.

-Wiesz dlaczego - powiedzial. - Ten facet zostal zabity z jakiegos powodu majacego

zwiazek ze mna, wobec tego jestem w to wciagniety, nie?

Crystal oparla dlugie, gole nogi na krzesle, ktore zwolnil. Zastanawiala sie nad jego zaangazowaniem sie, zupełnie jakby to bylo jakies rzadko spotykane hobby. Normalne, lecz dziwne, tak jak taniec ludowy.

-No dobra, ale jak chcesz to zrobic?

-Zaczne od jego biura - wyjasnil. - Moze ma sekretarke. Powinny tam przynajmniej byc jakies dokumenty. Numery telefoniczne, adresy, umowa z klientka. Ta pani Jacob to pewnie jego ostatnia sprawa. Dokumenty zapewne leza na wierzchu.

-A gdzie jest jego biuro?

-Nie wiem - przyznal. - Sadzac po akcencie, gdzieś w Nowym Jorku. Znam jego nazwisko i wiem, ze byl policjantem. Costello, dawniej gliniarz, lat szescdziesiat. Znalezienie go nie powinno byc problemem.

-Emerytowany gliniarz? - zdziwila sie Crystal. - Skad wiesz?

-Wiekszość prywatnych detektywów to emerytowani policjanci - odpowiedzial. - Wczesnie przechodza na emeryture, nie maja pieniedzy, wiec zakladaja jednoosobowa firme i zajmuja sie rozwodami oraz poszukiwaniem zaginionych. No i jeszcze ten bank. Znal cala historie mojego rachunku w banku. Nie mogl sie tego dowiedziec inaczej, jak korzystajac z pomocy starego kumpla, ktory w dalszym ciagu sluzyl w policji. Crystal usmiechnela sie do niego. Wydawala sie zainteresowana jego wyjasnieniami. Wstala i podeszla do baru, przy ktorym stal. Przysunela sie tak blisko, ze biodrem dotykala jego uda.

-Skad ty to wszystko wiesz? - spytala. I Jack wsluchiwal sie przez chwile w szum wentylatorów.

-Sam bylem oficerem sledczym - przyznal wreszcie, - W policji wojskowej. Trzynascie lat. Bylem naprawde dobry. Nie jestem tylko przystojniakiem.

-Nie jestes nawet przystojniakiem - - odpalila. - - Nie pochlebiaj sobie. Kiedy zaczynasz? Jack wbil wzrok w ciemnosc.

-Chyba zaraz. Na pewno jest jakis poranny lot z Miami do Nowego Jorku. Crystal znowu sie usmiechnela. Tym razem dosc nieufnie.

-A jak zamierzasz dostac sie do Miami? O tej porze? Reacher usmiechnal sie do niej. Byl pewny siebie.

-Ty mnie zawieziesz - oswiadczył.

-Czy mam przynajmniej kilka minut, zeby sie ubrac?

-Buty ci wystarcza:

Poszli do garazu, gdzie trzymala swoje stare porsche. Reacher podniosl brame. Crystal wsiadla do samochodu i zapalila silnik. Ruszyli do jego motelu, kilometr na polnoc. Crystal jechala powoli, zeby rozgrzac olej. Szerokie opony podeskakiwaly na dziurach w nawierzchni. Zaparkowala przed wejsciem oznaczonym neonem i czekala, nie gaszac silnika. Reacher otworzyl drzwiczki, ale zaraz je i zamknal.

-Mozemy jechac - powiedzial. - Nie ma tam nic, co chcialbym zabrac. Crystal kiwnela glowa. W swietle wskaznikow widzial zarys jej twarzy.

-Dobra. Zapnij pasy - polecila.

Wrzucila pierwszy bieg i ruszyla przez miasto. Wjechali na North Roosevelt Causeway. Crystal sprawdzila wskazania przyrzadow i zjechala na autostrade. Wlaczyla antyradar. Przycislona gaz do deski i samochod gwaltownie przyspieszyl, az przod uniosl sie nieco do gory. Sila bezwladnosci wcislona Reachera w fotel, tak jakby opuszczal Key West na pokladzie myśliwca.

Crystal pedzila, nie schodzac ponizej stu szescdziesieciu kilometrow na godzine. Jazda sprawiala Reacherowi przyjemnosc. Crystal byla swietnym kierowca. Prowadzila plynnyimi, oszczednymi ruchami, gladko zmieniajac biegi i utrzymujac wysokie obroty. Jechala srodkiem pasa, przy okazji scinajac zakrety. W swietle przyrzadow widac bylo jej uśmiechnieta, piekna twarz. Porsche nie jest samochodem, ktorym latwo jest szybko jechac. Ciezki silnik za tylna osia sprawia, ze samochod moze wpasc w grozny poslizg przy nawet najmniejszym bledzie kierowcy. Crystal nie popelniala bledow. Pedzila, pokonujac odleglosc z predkoscia awionetki.

Gdy zobaczyli swiatla odleglego o dwa kilometry Key Largo, wlaczyl sie antyradar. Crystal ostro przyhamowala, przejechala spokojnie przez miasto, po czym znowu wcislona pedal gazu. Jechali na polnoc w kierunku ciemnego horyzontu. Ostry zakret w lewo, przez most na stalym ladzie, prosta droga przez mokradla do Homestead. Ostry skret w prawo, na autostrade i pelnym gazem do Miami. Przyjechali na lotnisko tuz przed piata rano. Crystal zatrzymala sie na pasie dla wysiadajacych z samochodow i czekala, nie wykluczajac silnika.

-Hm, bardzo dziekuje za podwiezienie - powiedzial Reacher.

-Moja przyjemnosc - odparla z usmiechem. - Wierz mi. Otworzyl drzwi, ale nie wysiadal. Patrzyl przed siebie.

-Dobra - odezwal sie wreszcie. - Niedlugo sie zobaczymy. Crystal pokrecila glowa.

-Nie, wcale sie nie zobaczymy. Faceci tacy jak ty nigdy nie wracaja. Wyjezdzasz i juz tu nie wrocisz.

Reacher siedzial w cieplym samochodzie. Silnik lekko prychal, slychac bylo trzask stygnacych tlumikow. Crystal pochylila sie ku niemu. Wcislona sprzeglo i wrzucila jedynke, zeby dzwignia zmiany biegow nie przeszkadzala im zblizyc sie do siebie. Objela go za szyje i mocno pocalowala w usta.

-Zegnaj, Reacher - powiedziala. - Ciesze sie, ze przynajmniej sie dowiedzialam, jak sie nazywasz. Jack oddal jej pocaunek. Calowal ja dlugo i mocno. - A ty jak sie nazywasz? - spytal.

-Crystal - odpowiedziala ze smiechem.

Tez sie zasmial. Wysiadl z samochodu. Crystal pochylila sie w bok i zamknela za nim drzwiczki. Nacislona gaz, pus

cila sprzeglo i gwałtownie odjechała. Reacher został sam. Patrzył, jak odjeżdża. Wyprzedziła hotelowy autobus i znikła. Wraz z nią znikły trzy miesiące jego życia niczym dym z rury wydechowej. - - -

O piątej rano, osiemdziesiąt kilometrów na północ od Nowego Jorku, dyrektor naczelny leżał w łóżku, ale nie spał. Wpatrywał się w niedawno pomalowany sufit. Cały dom został niedawno odnowiony. Zapłacił dekoratorom więcej, niż zarabiała większość jego pracowników przez cały rok. W rzeczywistości to nie on zapłacił. Przepchnął fakturę przez księgowość i wszystko poszło na rachunek firmy. Wydatki były ukryte gdzieś na tajnym arkuszu kalkulacyjnym - zostały wliczone do wszystkich nakładów na utrzymanie budynków, wyrażonych siedmiocyfrową liczbą. Siedmiocyfrowa liczba obciążała rachunki firmy i przyczyniała się do jej upadku, tak jak ciężki ładunek ciągnie na dno przechylony statek. Jak słomka, która złamała grzbiet wielbłąda.

Dyrektor naczelny nazywał się Chester Stone. Tak samo jak jego ojciec i dziadek. To dziadek założył firmę, w czasach gdy jeszcze zamiast arkuszy kalkulacyjnych używano ksiąg rachunkowych i wypełniano je piórem. Wpisy dotyczące dochodów w księgach dziadka wyglądały imponująco. Był z zawodu zegarmistrzem, ale bardzo wczesnie zrozumiał, jaka przyszłość ma przed sobą kinematografia. Korzystając ze swego doświadczenia w budowie złożonych mechanizmów, skonstruował projektor, a następnie wszedł w spółkę z partnerem, który miał kontakty w niemieckim przemysle optycznym i zamówił tam duże soczewki. Wspólnie zdominowali rynek i zbili fortunę. Wspólnik zmarł w młodym wieku, nie

zostawiając żadnych spadkobierców. Kina powstały w całym kraju, od Atlantyku do Pacyfiku.

Setki kin. Setki projektorów. Później tysiące. Dziesiątki tysięcy. Potem dźwięk. Potem

CinemaScope. To wszystko przynosiło ogromne dochody.

Potem telewizja. Kina likwidowano, a te, które przetrwały, korzystały ze starego

wyposażenia, dopóki się nie rozpadło. Firmę przejął Chester Stone II. Przeprowadził

dywersyfikację. Dostrzegł atrakcyjność amatorskiej kinematografii. Osmiomilimetrowe

kamery i projektory. Kolorowa era Kodachromu. Nowa fabryka. Wielkie zyski rejestrowane

na szerokiej taśmie magnetycznej jednego z pierwszych dużych komputerów IBM.

Potem nastąpił renesans kina. Ojciec umiera, u steru staje Chester Stone III. Wszędzie mnożą

się multipleksy. Cztery projektory, sześć, dwanaście, szesnaście, tam gdzie kiedyś wystarczał

jeden. Stereo. Pieć kanałów, Dolby, Dolby Digital. Bogactwo i sukcesy. Malżeństwo.

Rezydencja. Samochody.

Potem wideo. Amatorskie filmy na taśmie osmiomilimetrowej przeszły do lamusa, jakby

pochodziły z epoki kamienia łupanego. Konkurencja. Ostra rywalizacja ze strony nowych firm

niemieckich, japońskich, koreańskich i tajwańskich o kontrakty na nowe multipleksy.

Rozpaczliwe próby wymyslenia czegoś, co można by było produkować z metalu i precyzyjnie

obrabianych trybów. Czegokolwiek. Przerazająca świadomość, że mechanizmy są już

reliktami z poprzedniej epoki. Eksplozja krzemowych kości, modułów RAM, konsoli do gier.

Teraz wielkie zyski można było czerpać z rzeczy, o których produkcji Chester Stone III nie miał zielonego pojęcia. Wielki deficyt na arkuszu kalkulacyjnym zainstalowanym w osobistym komputerze.

Zona Chestera przewróciła się z boku na bok. Otworzyła oczy i zamrugala. Obróciła głowę w prawo i w lewo - najpierw sprawdziła, która godzina, potem spojrzała na meza. Zauważyła, że ma otwarte oczy i wpatruje się w sufit.

-Nie spisz? - mruknęła cicho.

Chester nie odpowiedział. Zona odwróciła wzrok. Miała na mie Marilyn. Marilyn Stone. Byli małżeństwem już bardzo długo. Dostatecznie długo, żeby wiedziała. Wiedziała wszystko. Nie znała szczegółów, nie miała dowodów, nie była w nic wciągnięta, ale i tak wiedziała. Długo czasu minęło, kiedy po raz ostatni widziała produkty wytwarzane przez meza na wystawach sklepowych. Długo czasu minęło, kiedy po raz ostatni właściciel jakiegoś multipleksu zaprosił ich na kolację z okazji wielkiego zamówienia. I długo czasu minęło, kiedy Chester po raz ostatni przespał spokojnie całą noc. Dlatego wiedziała.

Niewiele się tym przejmowała. Raz na wozie, raz pod wozem - tak by na to zareagowała, i to zupełnie szczerze. Dobrze być bogatym, ale bieda to nie tragedia. Przecież nie groziło im prawdziwe ubóstwo. Mogli sprzedać ten cholerny dom, zlikwidować interesy i wciąż mieliby dość, żeby żyć na poziomie, jakiego w młodości nigdy nie oczekiwała. Byli jeszcze młodzi. No, może nie młodzi, ale na pewno daleko im do starości. Byli zdrowi. Mieli różne zainteresowania. Mieli siebie. Chester wciąż był atrakcyjny. Posiwał, ale był szczupły, silny i energiczny. Kochała go. On kochał ją. Wiedziała, że wciąż warto ją mieć. Miała czterdzieści parę lat, ale czuła się tak, jakby nie skończyła trzydziestu. Wciąż była szczupłą blondynką, podniecającą i skłonna do przygod. Wciąż warto było ją mieć, w najstarszym znaczeniu tego wyrażenia.

Wszystko będzie okay. Marilyn Stone wzięła głęboki oddech i przewróciła się na bok. Przytuliła się do materaca i zasnęła. Była pięta trzydziści. Jej mąż leżał obok i wciąż wpatrywał

sie w sufit.

-- -

Reacher stal w glebi sali odlotow, oddychal powietrzem jak z puszki, a w swietle jarzeniowek jego opalenizna przybrala zolty odcien. Ludzie wokol mowili glownie po hiszpansku. Patrzyl na wyswietlony na monitorze rozklad lotow. Zgodnie z jego oczekiwaniami Nowy Jork byl pierwszy na liscie. Dzień rozpoczynal sie od lotu linii Delta na LaGuardie, z miedzy-ladowaniem w Atlancie. Samolot mial wystartowac za pol godziny. Drugi - lot Mexicana na poludnie, trzeci - United, rowniez na LaGuardie, ale bezposrednio. Start za godzine.

Reacher podszedl do kasy United. Spytał o cene biletu w jedna strone, kiwnal glowa i odszedl.

Udal sie do toalety, stanal przed lustrem i wyciagnal z kieszeni pieniadze. Odliczyl podana w kasie kwote, uzywajac banknotow o najmniejszym nominale. Zapial koszule pod szyje i przygladzil reka wlosy, po czym udal sie do kasy linii Delta.

Cena biletu byla dokladnie taka sama jak w United. Jack wiedzial, ze tak bedzie. Jakims cudem zawsze tak jest. Ponownie odliczyl pieniadze - jednodolarowki, piataki i dziesiatki.

Kasjerka wygladzila banknoty i podzielimila je zgodnie z wartoscia.

-Pana nazwisko? - spytala.

-Truman - odpowiedzial. - Jak prezydent. Kasjerka spojrzala na niego, jakby nie wiedziala, o kim mowi. Pewnie urodzila sie gdzieś za granica w ostatnich latach prezydentury Nixona.

Moze podczas pierwszego roku kadencji Cartera. Reachera niewiele to obchodzilo. Sam urodzil sie w Niemczech, gdy prezydentem byl Kennedy. Nie mial zamiaru niczego tlumaczyc.

Dla niego Truman tez nalezal do starozytnosci. Dziewczyna wpisala na konsoli jego nazwisko i wydrukowala bilet. Wlozyla go do folderu z niebiesko-czerwonym globem i podala

Reacherowi.

-Moze pan od razu przejsc odprawie - powiedziala.

Reacher kiwnal glowa. Placenie za bilet lotniczy gotowka, zwlaszcza na lotnisku w Miami, czesto powoduje problemy z uwagi na wojne z narkotykami. Gdyby pojawil sie przy kasie z bunczuczna mina i wyciagnal zwitek studolarowek, kasjerka poczulaby sie zmuszona nacisnac niewielki guzik ukryty w podlodze pod biurkiem. Nastepnie zwleka

laby, stukając w klawiaturę aż do przyjazdu policji. Agenci zobaczyliby wielkiego, opalonego faceta z grubym plikiem banknotów, a wtedy na pewno uznaliby go za kuriera. Policja goni za narkotykami, ale również tropi przepływ pieniędzy. Nie pozwala wpłacić pieniędzy do banku, nie pozwala ich wydać bez

wzbudzania sensacji. Wszyscy zakładają, że normalni obywatele płacą za poważne zakupy kartą kredytową. Zwłaszcza podczas podróży. Zwłaszcza na lotnisku, dwadzieścia minut przed startem samolotu. To założenie spowodowało by zawracanie głowy, opóźnienie i papierkowa robota, czyli trzy rzeczy, których Reacher zdecydowanie unikał. W tym celu wymyślił specjalną procedurę. Staral się sprawić wrażenie biedaka, który nie może otrzymać karty kredytowej, nawet gdyby chciał. Dlatego zaplać koszulę pod szyję i odliczać pieniądze, mnożąc w palcach banknoty o niskim nominale. Wydawał się niesmiały i zakłopotany. Dzięki temu kasjerki i recepcjonistki czuły, że bos je z nim łączy. One również niewiele zarabiałały i często przekraczały limit karty kredytowej. Gdy widziały faceta w jeszcze gorszej sytuacji, instynktownie okazywały mu współczucie. - Bramka B szesc - dodała dziewczyna. - Dalam panu miejsce przy oknie. - Dziękuje.

Reacher poszedł do bramki. Kwadrans później pedził już po pasie startowym, czując się podobnie jak w porcie Crystal,

ale tu miał znacznie mniej miejsca na nogi, a fotel obok był wolny. - - -

O szóstej rano Chester Stone zrezygnował z dalszych prób zasnieć. Budzik miał zadzwonić pół godziny później, lecz Chester go wyłączył. Wstał po cichu, żeby nie zbudzić Marilyn. Włożył szlafrok i poszedł na dół do kuchni. Z uwagi na nadkwasność nie miał ochoty na śniadanie. Zadowolili się kawą, po czym poszedł wziąć prysznic w apartamencie gościnnym. Tam mógł nie zwracać uwagi na hałas. Chciał pozwolić żonie spokojnie spać i wołał, żeby nie wiedziała o jego problemach ze snem. Wprawdzie każdej nocy się budziła i komentowała to, że on nie śpi, ale rano nigdy o tym nie wspominała, dlatego Chester przypuszczał, że Marilyn nie pamięta lub przypisuje to złemu snom. Sądził, że nie wie o jego sytuacji. Tak było lepiej.

Miał dość kłopotów bez martwienia się tym, że żona również się nimi martwi. Chester ogolił się i wziął prysznic. Zastanawiał się, co włożyć i jak się zachowywać podczas dzisiejszej rozmowy. Zdawał sobie sprawę, że praktycznie jest skazany na błaganie. Ostatni możliwy kredytodawca. Jego ostatnia nadzieja, ostatnia szansa. Ktoś, kto miał w ręku całą jego przyszłość. Jak rozmawiać z kimś takim? Na pewno nie na kolanach. W interesach tak się nie postępuje. Jeśli ktoś sprawia wrażenie rozpaczliwie potrzebującego pożyczki, to jej nie dostaje. Trzeba udawać, że to nie ma krytycznego znaczenia. Tak jakby to nie była wielka sprawa. Tak jakbyś jeszcze nie zdecydował, że pozwolisz rozmówcy wejść do zarządu firmy i zebrać część wielkich zysków po pokonaniu trudnego zakretna. Tak jakbyś się zastanawiał, która z ofert kredytowych najlepiej przyjąć.

Biała koszula, to oczywiście. Jakis spokojny krawat. Ale który garnitur? Włoskie były zbyt efektowne. Na pewno nie od Armaniego. Powinien wyglądać jak poważny człowiek, którego stać na kupieniu dziesięciu garniturów Armaniego, ale ma ważniejsze sprawy na głowie niż takie głupstwa. Człowiek zbyt poważny i zajęty, żeby spędzać czas w sklepach na alei Madison. Chester pomyślał, że powinien podkreślić tradycję rodzinną. Stałe sukcesy firmy działającej od trzech pokoleń mogą znaleźć odzwierciedlenie w dynastycznym podejściu do kwestii stroju. Tak jak dziedziczyli firmę, dziedziczyli również krawców. On po ojcu, ojciec po dziadku. Potem Chester pomyślał o garniturze Brooks Brothers. Stary, ale ładny i przewiewny, trochę za ciepły na czerwiec. Czy to będzie dobry błąd? Tak jakby chciał powiedzieć: jestem taki bogaty, że nie ma dla mnie znaczenia, co noszę. Czy też sprawi wrażenie człowieka, który przegrał?

Chester wyjął garnitur z szafy i przyłożył marynarkę do ciała. Klasyczne ubranie, ale niezbyt eleganckie. Wyglądał na bankruta. Odwiesił garnitur. Przymierzył szary marki Savile Row z Londynu. Doskonały. Teraz wyglądał jak za mój dzentelmen. Madry, wyrafinowany, godny zaufania. Wybrał krawat z dyskretnym wzorem i czarne polbuty. Ubrał się i przejrzał w lustrze. Wyglądał doskonale. Tak ubrany skłonny był nawet uwierzyć własnym słowom. Dopil kawę, wytarł serwetką usta i poszedł do garażu. Wsiadł do benzyna i już o szóstej czterdziestu pięć jechał aleją Merriotta. O tej porze jeszcze nie było korków.

Reacher spędził pięćdziesiąt minut na ziemi w Atlancie, po czym samolot wystartował ponownie. Wziął kurs na północny wschód, do Nowego Jorku. Słońce weszło już nad Atlantykiem

i przez okna po prawej stronie wpadały do kabiny ostre promienie wschodu widzianego na dużej wysokości. Reacher pił kawę. Stewardesa zaproponowała mu wodę, ale tym razem zdecydował się na czarną, mocną kawę. Mózg potrzebował paliwa. Reacher starał się odgadnąć, kim, do cholery, jest ta pani Jacob. No i dlaczego zapłaciła Costellowi, żeby jeździł po kraju i go szukał.

Na miejscu musieli poczekać w kolejce na pozwolenie na lądowanie na LaGuardii. Reacherowi bardzo się to podobało. Krazyli na niskiej wysokości nad Manhattanem skapanym w porannym słońcu. Jak na filmie, tylko bez ścieżki dźwiękowej. Samolot przechylał się na skrzydło na zakretach. Reacher

przyglądał się wieżowcom. Twin Towers, Empire State Building. Chrysler, jego faworyt. Citicorp. Po kilku minutach samolot zniżył lot nad Queens i wylądował. Gdy kołowali po płycie, przez okna widac było budynki Midtown na drugim brzegu rzeki.

--

Chester miał wyznaczone spotkanie na dziewiątą. Był zły. Nie z powodu pory. Dziewiąta to dla większości biznesmenów z Manhattanu późny poranek. Nie chodziło mu o godzinę. Denerwował go sam fakt, że musi iść na spotkanie. Minęło już bardzo dużo czasu, kiedy ktoryś Chester Stone musiał iść na rozmowę. W istocie nie przypominał sobie czegoś takiego. Może tak robił dziadek w początkach kariery. Później działali inaczej. Każdy Chester Stone, pierwszy, drugi i trzeci, miał sekretarkę, która prowadziła kalendarz. Wielu ludzi musiało

długo czekać na okienko w jego rozkładzie zajęć, a potem spędzić kilka godzin w poczekalni. Teraz sytuacja się odwróciła i to go irytowało.

Był tak zdenerwowany, że przyszedł za wcześnie. Spędził czterdzieści minut w swoim gabinecie, rozważając różne możliwości. Nie miał żadnych innych. Jakkolwiek liczyć, do sukcesu brakowało mu miliona stu tysięcy dolarów i sześciu tygodni. To również go denerwowało. To nie była żadna efektowna katastrofa, totalna klęska. Podjęte działania a stanowią racjonalną i realistyczną reakcję na zjawiska rynkowe, które jednak nie przyniosły sukcesu. Jak desperackie uderzenie w golfie z dużej odległości, gdy piłka leży kilka centymetrów od dołka. Blisko, bardzo blisko, ale nie w dołku.

O dziewiątej rano samo World Trade Center stanowi szóstą pod względem wielkości miasto w stanie Nowy Jork. Większe niż Albany. Zajmuje tylko szesnaście akrow, ale w ciągu dnia populacja WTC liczy w przybliżeniu sto trzydzieści tysięcy ludzi. Gdy Chester Stone zatrzymał się na placu, miał wrażenie, że ci wszyscy ludzie kreca się wokół niego. Za czasów dziadka płynęła tu rzeka Hudson. Chester sam przyglądał się przez okno swojego gabinetu, jak ziemia stopniowo wypełniała koryto rzeki, a później w tym miejscu wzniesiono dwie wieże. Spojrzał na zegarek i wszedł do środka. Pojechał windą na osiemdziesiąte osmie piętro. Gdy wysiadł, znalazł się w opustoszałym, wąskim i niskim korytarzu. Zamknięte drzwi do biur były wyposażone w prostokątne okienka ze zbrojonego szkła. Znalazł właściwe, zerknął do środka przez okienko i nacisnął dzwonek. Usłyszał trzask zamka, nacisnął klamkę i wszedł do poczekalni. Normalne biuro, zaskakująco zwyczajne. Jedyną próbą zademonstrowania luksusu był wysoki, debowy pulpit z mosiężnymi okuciami, za którym siedział recepcjonista. Chester zatrzymał się na chwilę, wyprostował, po czym podeszedł do niego.

-Chester Stone - przedstawił się zdecydowanym tonem. - Jestem umówiony z panem

Hobiem na dziewiątą.

Recepcjonista był dla niego pierwszą niespodzianką. Spodziewał się kobiety. Drugą niespodzianką stanowiło to, że recepcjonista od razu zaprosił go do gabinetu. Nie kazał mu czekać. Chester oczekiwał, że będzie musiał trochę posiedzieć

Iw poczekalni na niewygodnym krzesle. Na miejscu pana Hobiego tak właśnie przyjałby klienta. Gdyby przyszedł do niego ktoś rozpaczliwie starający się o kredyt, kazałby mu pocieść się dwadzieścia minut w poczekalni. To przecież elementarne psychologiczne posunięcie! Chester wszedł do zaskakująco dużego gabinetu. W środku panował półmrok. Jedną ścianę zajmowało okno, ale było osłonięte roletą. Pionowe paski dzieliły tylko wąskie szparki. W głębi stało wielkie biurko, a przed nim trzy sofy ustawione w kwadrat. Przy końcu każdej stał niewielki stolik z lampką, a pośrodku duży niski stół do kawy ze szkła i mosiądzu. Na podłodze leżał gruby dywan. Całość sprawiała wrażenie wzoru salonu ze sklepu z meblami. Za biurkiem siedział jakiś mężczyzna. Chester rozpoczął długi spacer od drzwi do biurka. Przecisnął się między sofą a stołem do kawy. Zatrzymał się przed brakiem i wyciągnął rękę na powitanie.

-Pan Hobie? - powiedział - Jestem Chester Stoen.

Mężczyzna za biurkiem był poparzony. Blizny pokrywały połowę twarzy. Skóra wydawała się pokryta łuskami jak gadzina. Stoen odwrócił wzrok z przerażeniem, ale wciąż widział to kątem oka. Skóra miała taką fakturę jak ugotowane kurcze łapy, ale była nienaturalnie różowa. Poparzona część czaszki była prawie łysa, pozostały na niej tylko rzadkie kępki włosów. Drugą połowę głowy pokrywały szare włosy. Skóra na nieuszkodzonej części twarzy była miękka i pomarszczona. Mężczyzna miał jakieś pięćdziesiąt, pięćdziesiąt pięć lat. Siedział tuż przy biurku, z dłońmi opuszczonymi na kolana. Stoen stał przed nim z wyciągniętą ręką. Zmusił się, żeby nie odwracać wzroku.

To był niezreczny moment. Trudno o bardziej niezreczną sytuację, niż gdy ktoś stoi, podaje rękę na powitanie, a ten gest jest ignorowany. Głupio tak stać, ale jeszcze gorzej jest cofnąć rękę. Stoen czekał z wyciągniętą dłonią. Mężczyzna w końcu się poruszył. Odepchnął się lewą ręką od biurka i podniósł prawą. To jednak nie była dłoń, tylko łuski, metalowy hak.

Zaczynał się przy mankietach. Nie żadna sztuczna

reka, żadna wymyślna proteza, tylko prosty hak w kształcie litery J zrobiony z wypolerowanej, nierdzewnej stali. Stoen już miał uściskać hak, ale się powstrzymał. Gospodarz uśmiechnął się wyrozumiale połową twarzy. Tak jakby to nie miało dla niego żadnego znaczenia.

-Nazywają mnie Hobie Hak - powiedział.

Siedział za biurkiem z nieruchomą twarzą, trzymając hak nad blatem jak przedmiot do zbadania. Stoen przełknął ślinę. Starał się odzyskać równowagę. Zastanawiał się, czy powinien teraz podać lewą dłoń. Wiedział, że niektórzy ludzie tak robią. Jego wuj po wylewie przez ostatnie dziesięć lat życia witał się lewą ręką.

-Niech pan siada - zaprosił go Hobie.

Stoen kiwnął głową z wdzięcznością i cofnął się. Usiadł na sofie, bokiem do biurka. Z ulgą przyjął wyzwolenie z niezrecznej sytuacji. Hobie przyjrzał się mu i położył rękę na biurku. Metalowy hak stuknął o blat.

-Chcę pan pożyczyć pieniądze - stwierdził. Poparzona część twarzy była zupełnie nieruchoma. Wydawała się gruba i twarda jak skóra krokodyla. Stoen poczuł skurcz w żołądku. Wbił wzrok w stolik do kawy. Kiwnął głową i wytarł dłoń o kolana. Jeszcze raz skłonił głowę i spróbował przypomnieć sobie przygotowany tekst.

-Potrzebny mi krótkoterminowy kredyt. Szesć tygodni, milion sto tysięcy.

-Czemu nie pójdziesz pan do banku? - spytał Hobie. Stoen popatrzył na podłogę. Przez szklany blat stolika widział

wzorzysty dywan. Wzruszył ramionami z mądra miną, tak jakby brał pod uwagę liczne subtelności strategiczne, ale nie chciał obrazić rozmówcy ich wyjaśnianiem.

-Wole tego nie robić - oświadczył. - Mamy oczywiście otwartą linię kredytową, ale wydebilem w banku bardzo korzystne warunki, godząc się na stałą kwotę kredytu, bez płynnej części. Zapewne rozumie pan, że nie chce naruszać tej

umowy z powodu tak niewielkiej sumy. Hobie poruszył reka, ciągnąc hak po blacie.

-Gówno prawda, panie Stone - rzekł spokojnie. Stone nie odpowiedział. Słuchał zgrzytu haka. - Służył pan w wojsku? - spytał Hobie.

-Przepraszam?

-Czy był pan w wojsku? W Wietnamie? Stone przełknął ślinę. Te blizny, ten hak

-Nie - odrzekł. - Zostałem zwolniony na czas studiów, Oczywiście bardzo chciałem walczyć, ale wojna się skończyła, nim dostałem dyplom. Hobie powoli pokiwał głową.

-Ja byłem - oznajmił - W Wietnamie nauczyłem się, jaka wartość mają wywiad i informacje. Stosuję te lekcje w interesach.

W ciemnym gabinecie zapadła cisza. Stone poruszył głową i spojrzał na skraj biurka. Pora zmienić scenariusz.

-Okay - powiedział. - Nie może mi pan mieć za złe, że starałem się zrobić dobre wrażenie. - Tkwi pan dość głęboko w gównie - mówił dalej Hobie. - W rzeczywistości płaci pan w banku najwyższą stawkę procentową, a i tak nie pożyczają panu więcej pieniędzy. Stawkę procentową, a i tak nie pożyczają panu więcej pieniędzy. Jednakże stara się pan wyjść z tego dolka i niezłe panu idzie. Niewiele brakuje, a wyjdzie pan na prostą.

-Niewiele - przyznał Stone. - Szesc tygodni i milion sto tysięcy, to wszystko.

-Mam swoją specjalność jak każdy - ciągnął Hobie. - Specjalizuję się w takich sprawach jak pańska. Przedsiębiorstwa w zasadzie zdrowe i solidne, które popadły w przejściowe kłopoty. Problemy, w których rozwiązaniu nie może pomóc bank, bo specjalnością banku są głupota i brak wyobraźni. - Hobie znowu poruszył reka, skrobiąc hakiem o blat. - Pobieram rozsądne opłaty. Nie jestem lichwiarzem. Nie mówimy tu o stawce sto procent. Może panu

pożyczyć milion sto tysięcy dolarów na szesc tygodni, powiedzmy na szesc procent. Stone ponownie wytarł dłoń o spódnię. Szesc procent za szesc tygodni? To ponad pięćdziesiąt dwa procent rocznie. Miał teraz pożyczyć milion sto tysięcy, a za szesc tygodni zwrócić całą sumę plus szesćdziesiąt szesc tysięcy. Jedenastę tysięcy tygodniowo. Może to nie były lichwiarskie warunki, lecz niewiele lepsze. No, ale przynajmniej facet się zgodził.

-Co z zabezpieczeniem? - spytał.

-Przyjme pakiet akcji - odpowiedział Hobie.

Stone zmusił się do podniesienia głowy. Spojrzał na niego. Przypuszczał, że to jakiś test. Uznał, że skoro sukces jest tak blisko, uczciwość będzie najlepszą polityką.

-Akcje są bezwartościowe - rzucił cicho. Hobie pokiwał swoją straszna głową, tak jakby ta odpowiedź sprawiła mu przyjemność.

-Teraz są bezwartościowe, ale już wkrótce to się zmieni, nieprawdaz?

-Dopiero wtedy, gdy pan już nie będzie wystawiony na ryzyko - odrzekł Stone. - To paragraf dwadzieścia dwa. Kurs pójdzie do góry dopiero po tym, jak zwróci panu dług. Gdy wyjdzie na prostą.

-Wtedy na tym skorzystam. Nie mówię tu o tymczasowym transferze akcji. Zatrzymam ten pakiet.

-Zatrzyma pan akcje? - powtórzył Stone. Nie zdołał ukryć zaskoczenia. Pięćdziesiąt dwa procent i akcje w prezen-

-Zawsze tak robie - stwierdzil Hobie. - Z sentymentalnych powodow. Lubie miec niewielki udzial w firmie, ktorej p
omoglem. Ludzie na ogol sa zadowoleni z tego ukladu.

-Oczywiscie - powiedzial - Moze tak byc.

Hobie siegnal do szuflady po lewej stronie i wyjal wy-drukowana umowe. Rzucil ja na blat biurka.

-Przygotowalem kontrakt

Stone wstal z sofy i wzial do reki dokument. To byla umowa kredytowa na sume miliona sto tysiecy dolarow, na sze
sc tygodni, na szesc procent, oraz protokol przekazania akcji Pakietu, ktory jeszcze niedawno wart byl milion dolaro
w i juz niedlugo mogl odzyskac wartosc. Przez chwile sie wahal.

-Inaczej tego nie zalatwimy - poinformowal Fobie. - Jak juz panu wyjasnilem, to moja

specjalnosc. Znam te czesc

rynku. Nie dostanie pan lepszej oferty. W istocie nie dostanie pan zadnej innej oferty. Hobie siedzial dwa metry od n
iego za wielkim biurkiem, ale Stone mial wrazenie, ze niemal dotyka go swoja koszmarna twarza i jednocześnie wy
pruwa mu flaki lsniacym hakiem. Niemal niedostrzegalnie kiwnal glowa na zgode i siegnal do kieszeni marynarki p
o grube piro wieczne Mont Blanc. Po-chylil sie i podpisal umowe lezaca na zimnym szklanym blacie stolika do ka
wy. Hobie nie spuszczal z niego wzroku.

-Zakladam, ze chce pan, abym przekazal pieniadze na pana rachunek biezacy? - spytal. - Aby inne banki nic o tym n
ie wiedzialy? Stone pokiwal glowa. Byl oszolomiony.

-Tak byloby najlepiej - odparl.

-Przelew zostanie zrealizowany w ciagu godziny - zapewnil go Hobie i cos zanotowal.

-Dziekuje - powiedzial Stone. Wydalo mu sie to wlasciwe.

-A zatem teraz to ja ryzykuje - dodal Hobie. - Szesc tygodni bez prawdziwego zabezpieczenia. Nie jest to mile uczu
cie.

-Nie bedzie zadnych problemow - rzekl Stone.

-Jestem tego pewny - stwierdzil Hobie, kiwajac glowa. Pochylil sie i nacisnal guzik interkomu. Stone uslyszal dzwo
nek w poczekalni. - Poprosze teczke pana Stone'a - zazadal Hobie.

Przez chwile obaj milczeli. Do gabinetu wszedl recepcjonista i podal Hobiemu cienka, zielona teczke, po czym wysz
edl i cicho zamknal za soba drzwi. Hobie popchnal hakiem teczke w kierunku Stone'a.

-Niech pan to przejrzy - powiedzial.

Stone pochylil sie w strone biurka i siegnal po teczke. W srodku znalazl fotografie. Kilka duzych, czarno-bialych lsni
acych odbitek. Na pierwszej zobaczyl swoj dom. Zdjecie niewatpliwie zostalo zrobione z samochodu, ktory zatrzy
mal sie na podjezdzie. Spojrzal na nastepne. Wykonane przez teleobiektyw zdjecie Marian w ogrodzie. Marilyn wyc
hodzaca z salonu kosmetycznego w miescie. Zblizenie tablicy rejestracyjnej jej bmw. Piate zdjecie rowniez przedsta
wialo jego zone. Zostalo zrobione w nocy przez okno sypialni. Marilyn miala na sobie szlafrok, a jej rozpuszczone
wlosy wydawaly sie wilgotne. Fotograf musial stac na trawniku za ich domem. Stone slyszal szum w uszach. Nie m
ogl zogniskowac wzroku. Zlozyl zdjecia i schowal je do teczki. Odlozyl ja na biurko. Hobie pochylil sie i przyciagn
al hakiem teczke. Zgrzytniecie haka o blat wydalo sie wyjatkowo glosne.

-To jest moje zabezpieczenie, panie Stone - oświad- czył. - Jednakże, jak sam pan mnie

zapewnił, nie będzie żadnych problemów.

Chester Stone nie odpowiedział. Wstał i skierował się do drzwi, lawirując między meblami. Wyszedł na korytarz i wsiadł do windy. Zjechał osiemdziesiąt osiem pieter i wyszedł na dwór. Poczul na twarzy promienie porannego słońca

3

To samo słońce grzało kark Reachera, gdy jechał na Man-attan taksówką bez licencji. Jeśli miał wybór, wolął korzystać takich taksówek. Nie miał powodów, aby przypuszczać, że los będzie chciał przesłedzić jego ruchy, wypytywać taksów-przy, ale i tak bezpieczniej było wziąć taksówkę, której kierowca nie mógł się przyznać, iż jest taksiarzem. To również umożliwiało rozpoczęcie negocjacji na temat opłaty za kurs. Trudno targować się z licznikiem. Przejechali przez most Tnborough i znaleźli się na Sto Dwudziestej Piątej Ulicy. Pojechali na zachód na Roosevelt Square. Reacher kazał kierowcy się zatrzymać. Przez chwilę się zastanawiał, co dalej. Chciał znaleźć tani hotel z działającymi telefonami i kompletną książką telefoniczną. Uznał, że w tej dzielnicy nie znajdzie niczego, co spełniałoby te trzy wymagania, ale mimo to wysiadł i zapłacił za kurs. Zamierzał przejść pieszo ostatnią część drogi. Takie zacieranie śladów leżało w jego zwyczajach. - -Dwaj młodzi mężczyźni w pogniecionych garniturach za tysiąc dolarów poczekali, aż Chester Stone się oddali, po czym weszli do gabinetu. Przecisnęli się między meblami i stanęli przed biurkiem. Hobbie spojrzał na nich, otwierając szufladę. Schował podpisaną umowę i zieloną teczkę ze zdjęciami

i wyciągnął blok papieru z kolonotatnika. Położył hak na blacie i obrócił fotel, tak żeby słabe światło wpadające przez okno oświetlało zdrową stronę jego twarzy. - No i co?

-Właśnie wróciliśmy - powiedział jeden z nich.

-Zdobyliscie informacje, o ktore prosilem? Drugi facet kiwnal glowa. Usiadl na sofie.

-Szukal jakiegos goscia, ktory nazywa sie Jack Reacher.

-Kto to jest? - spytal Hobbie, jednoczesnie notujac nazwisko.

Przez chwile obaj milczeli.

-Nie wiemy - odpowiedzial wreszcie ten, ktory odezwal sie pierwszy.

Hobbie powoli pokiwal glowa.

-Kim jest klient Costella? Znowu cisza.

-Tego rowniez nie wiemy.

-To dosc podstawowe pytania - zauwazyl Hobbie.

-Czy nie pomysleliscie o zadaniu takich podstawowych pytan?

-Owszem, pomyslelismy - odpowiedzial drugi mezczyzna. - Zadawalismy je bardzo stanowczo.

-Ale Costello nie chcial odpowiedziec?

-Juz nabieral checi.

-Ale?

-Ale zmarł - wyjaśnił. - Po prostu przewrócił się i zmarł. Był stary, miał nadwagę. Może to był atak serca. Bardzo mi przykro, proszę pana. Obaj bardzo przepraszamy.

-Zagrożenie? - spytał Hobie, powoli kiwając głową.

-Zadane - zapewnił ten pierwszy. - Policja nie zdoła ustalić jego tożsamości. Hobie spojrzał na palce lewej ręki.

-Gdzie jest noż? - spytał.

-W morzu - powiedział drugi facet. Hobie poruszył ręką i zastukał hakiem o blat. Po chwili namysłu kiwnął zdecydowanie głową.

-Okay, to zapewne nie wasza wina. Słabe serce, co można na to poradzić?

Pierwszy facet wyraźnie się rozluźnił i też usiadł na sofie. Udało się im uwolnić z haka, co w tym gabinecie miało szczególne znaczenie.

-Musimy się dowiedzieć, kim był jego klient - powiedział Hobie, przerywając ciszę. Dwaj mężczyźni czekali na dalsze polecenia.

-Costello musiał mieć sekretarkę, prawda? Ona na pewno wie, kim był jego klient. Sprowadźcie ją do mnie. Mężczyźni wciąż siedzieli na sofie.

-Co jeszcze?

-Ten Jack Reacher - powiedział ten, który usiadł pierwszy. - To podobno potężny facet, który przyjechał do Key West trzy miesiące temu. Costello twierdził, że ludzie mówili mu o jakimś wielkim facecie, który nocami pracuje w barze. Poszliśmy go zobaczyć. Wielki, twardy chłop, ale utrzymuje, że nie nazywa się Jack Reacher.

-No i co?

-Lotnisko w Miami - wtracił drugi facet. - Polecieliśmy United, bo był lot bez przesiadki. Wcześniej leciał samolot Delta, z międzylądowaniem w Atlancie. - Tak?

-Ten wielki facet z baru. Widzieliśmy go na lotnisku,

szedł do bramki. Jesteście pewni? Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent - zapewnił go pierwszy. - Był daleko przed nami, ale to naprawdę wielki facet. Trudno go nie zauważyć. Hobie znowu postukał hakiem o blat. Pograżył się w myślach.

-Okay, to na pewno ten Reacher - odezwał się w końcu. - Costello o niego wypytuje, potem tego samego dnia wyprzychodzie i też pyta o niego. Przestraszył się i zwał. Ale dokąd? Tutaj? Drugi mężczyzna pokiwał głową. - Jeśli nie wysiadł w Atlancie, to jest teraz w Nowym Jorku.

-Ale po co? Do diabła, kto to jest? Hobie po chwili odpowiedział na swoje pytanie.

-Sekretarka powie mi, kto jest klientem, tak? - Uśmiechnął się. - A klient wyjaśni, kim jest Reacher.

Dwaj mężczyźni w eleganckich garniturach przytaknęli i wstali. Przecisnęli się między sofami i wyszli z gabinetu. -

--

Reacher szedł na południe przez Central Park. Starał się ocenić powagę podjętego zadania. Nie miał wątpliwości, że przyjechał do właściwego miasta. Akcent tych trzech mężczyzn świadczył o tym zupełnie jednoznacznie. Musiał jednak szukać wśród ogromnej populacji. Siedem i pół miliona ludzi w pięciu głównych dzielnicach. Osiemnaście milionów w całym obszarze miejskim. Osiemnaście milionów ludzi mieszkających dostatecznie blisko, żeby

przyjechać na Manhattan w poszukiwaniu specjalisty, takiego jak szybki i sprawny prywatny

detektyw. Instynkt podpowiadał mu, że Costello miał biuro na Manhattanie, natomiast pani

Jacob mogła

z powodzeniem mieszkać gdzieś na przedmieściu. Jeśli kobieta mieszkająca gdzieś na

przedmieściu potrzebuje prywatnego detektywa, to jak go szuka? Na pewno nie w

sąsiedztwie supermarketu lub wypożyczalni kaset wideo. Nie w centrum handlowym, w

poblizu butików z ubraniami. Taka kobieta wzięłaby książkę telefoniczną najbliższego dużego

miasta i przejrzałaby żółte strony. Zaczęłaby dzwonić i po wstępnej rozmowie albo detektyw

przyjechałby do niej, albo ona wsiadłaby do pociągu i pojechała do jego biura. Z dowolnego

punktu na gęsto zaludnionym terenie o powierzchni kilkuset kilometrów kwadratowych.

Reacher zrezygnował z hoteli. Nie wiedział z góry, czy rzeczywiście będzie potrzebował dużo

czasu. Może wystarczy godzina. Potrzebował również więcej informacji, niż mógł znaleźć w

hotelu. Potrzebował książki telefonicznej pięciu dzielnic i przedmieść. W hotelu nie znalazłby

ich wszystkich. Nie chciał również płacić tyle, ile pobierają hotele za telefony. Nie zbil fortuny

na kopaniu basenów.

Wobec tego postanowił pójść do biblioteki publicznej. Na

rogu Czterdziestej Drugiej Ulicy i Piątej Alei? Czy to największa biblioteka publiczna na

świecie? Reacher nie pamiętał. Może tak, może nie. Z pewnością jest dostatecznie duża, żeby

mieć wszystkie potrzebne mu książki telefoniczne, duże, sześciokątne stoły i wygodne krzesła.

Sześć kilometrów od Roosevelt Square. Godzina szybkiego marszu przerywanego tylko przez

światła uliczne i krótka wizyta w sklepie papierniczym po

notes i ołówek.

--

Następna osoba, która pojawiła się w gabinecie Hobiego, był jego recepcjonista. Wszedł i

zamknął za sobą drzwi na klucz. Usiadł na sofie stojącej najbliżej biurka. Przez dłuższą chwilę

wpatrywał się uporczywie w Hiebiego.

-O co chodzi? - spytał Hobie, choć dobrze wiedział.

-Powinien pan wyjechać - rzekł recepcjonista. - Teraz jest tu niebezpiecznie. Hobie milczał. Trzymał hak lewą ręką i wodził palcami po jego gładkiej powierzchni. - Planował pan - nalegał recepcjonista. - Obiecał pan. Nie ma sensu planować i obiecywać, jeśli potem nie realizuje się planu. Hobie wzruszył ramionami i nie odpowiedział.

-Mielismy sygnał z Hawajów, tak? - przypomniał mu recepcjonista. - Zgodnie z planem miał pan uciekać po odebraniu sygnału z Hawajów.

-Costello nie był na Hawajach - zauważył Hobie. - Sprawdziliśmy to.

-To tylko pogarsza sytuację. Ktoś inny tam pojechał. Nie wiemy kto.

-Rutynowa sprawa - powiedział Hobie. - Zastanów się. Nie ma powodu, żeby ktokolwiek jechał na Hawaje, dopóki nie usłyszymy pierwszego sygnału. To sekwencja, sam wiesz. Dostajemy pierwszy sygnał, potem drugi, z Hawajów. Wtedy będzie pora na wyjazd. Nie wcześniej.

-Obiecał pan - powtórzył recepcjonista.

-Jest zbyt wcześnie. To byłaby nielogiczna decyzja. Pomyśl. Widzisz, jak ktoś kupuje broń, pudełko naboje, a następnie celuje w ciebie. Czy przestraszyłbyś się?

-Z pewnością.

-Ja nie - oznajmił Hobie. - Nie naładował rewolweru. Pierwszy krok to zakup broni i amunicji, drugi krok to naładowanie jej. Dopóki nie usłyszymy pierwszego sygnału, Hawaje są nienaladowanym rewolwerem. Recepcjonista odchylił głowę i popatrzył na sufit.

-Dlaczego pan to robi? - spytał. Hobie otworzył szufladę i wyciągnął teczkę Stone'a. Wyjął z niej umowę i nachylił ją tak, żeby

w kiepskim świetle można było dostrzec dwa podpisy.

-Sześć tygodni - powiedział. - Może mniej. To wszystko, czego potrzebuje. Recepcjonista podniósł głowę i spojrzał na niego.

-Sześć tygodni na co?

-Największy interes w moim życiu - odrzekł Hobie. Położył umowę na biurku i przycisnął ją hakiem. - Stone własnie mi podarował swoją firmę. Trzy pokolenia harówki, a ten głupiec własnie dał mi całą firmę na tacy.

-Nie, on dał panu gowno na tacy. Przekazał mu pan milion sto tysięcy w zamian za bezwartościowe papiery. Hobie się uśmiechnął.

-Uspokój się i pozwól, że to ja będę myślał, dobrze? To ja jestem w tym dobry, okay?

-Dobrze. A na czym polega ten wspaniały interes?

-Czy wiesz, co on posiada? Wielka fabryka na Long Island i rezydencje w Pound Ridge. Piećset domów w otoczeniu fabryki. To jakieś trzy tysiące aków najlepszego terenu na Long Island, blisko wybrzeża. Idealne miejsce na inwestycje.

-Domy nie są jego - stracił recepcjonista. Hobie pokłonył głową.

-Słusznie. Praktycznie należał do niewielkiego banku na Brooklynie, który dawał wszystkim właścicielom kredyt hipoteczny.

-No więc?

-Zastanów się. Przypuśćmy, że wystawie jego akcje na sprzedaż. Co się stanie?

-Gówno pan za nie dostanie. Są bezwartościowe.

-Zgadza się, są nic niewarte. Jednak jego bankierzy jeszcze

o tym nie wiedzą. Stone ich okłamywał. Ukrywał przed nimi swoje problemy. Gdyby było inaczej, nie przyszedłby do mnie. Wobec tego bankierzy nagle się dowiedzą, że ich zabezpieczenie jest całkowicie bezwartościowe. Otrzyma ją wycenę prosto z giełdy. Usłyszą, że te akcje są gówno warte lub jeszcze mniej. Co zrobią?

-Wpadną w panikę.

-Słusznie. Wpadną w panikę. Pożyczili mu dużo pieniędzy

zostali z bezwartościowym zabezpieczeniem. Będą rwali ze strachu, aż wreszcie się pojawi Hobie Hak i zaproponuje wykup długów Stone'a po dwadzieścia centów za dolara.

-Przyjma taką ofertę? Dwadzieścia centów za dolara?

-Na pewno. Rzuca się tak łapczywie, że odgryza mi drugą rękę. A w ramach umowy przekaza mi wszystkie akcje.

-Dobrze. Co dalej? Co z domami?

-To samo - wytłumaczył mu Hobie. - Mam akcje, mam fabrykę. Zamykam ją. Nie ma pracy, pięćset osób nie może się płacić kredytu hipotecznego. Ten bank na Brooklynie mocno się zatrzesie. Wykupię kredyty hipoteczne po dziesięć centów za dolara, przejmę nieruchomości i wszystkich wyrzucę. Wynajmę kilka buldożerów i będę miał trzy tysiące najlepszego terenu na Long Island, tuż obok wybrzeża. Plus wielka rezydencja w Pound Ridge. Wydam jakieś osiem milionów sto tysięcy. Sama rezydencja jest warta dwa. Wobec tego za sześć milionów sto tysięcy dostanę tereny, które sprzedam za sto milionów, jeśli tylko się postaram. Recepcjonista patrzył na niego w milczeniu.

-Właśnie dlatego potrzebuje jeszcze sześciu tygodni - dodał Hobie. Recepcjonista pokłonył głową.

-To się nie uda - powiedział. - To stara, rodzinna firma. Stone w dalszym ciągu jest właścicielem większości akcji. Nie ma ich w obrocie. Bank ma tylko część. Będzie pan mniejszościowym udziałowcem. On nie pozwoli panu na to wszystko. Teraz Hobie pokłonył głową.

-Sprzeda mi akcje. Wszystkie.

-Nie zrobi tego.

-Zrobi, sam zobaczysz.

--

W bibliotece publicznej Reacher znalazł pomysły i niepomysły informacje. W książkach telefonicznych obejmujących Manhattan, Bronx, Brooklyn, Queens, Staten Island, Long Island, Westchester, wybrzeże New Jersey i Connec

ticut było bardzo wielu ludzi o nazwisku Jacob. Reacher szukał w promieniu godzinnej jazdy samochodem od miasta. Gdy do miasta jest godzina drogi, ludzie instynktownie tam szukają potrzebnych rzeczy. Jeśli mieszkają dalej, rzadziej się na to decydują. Reacher wynotował sto dwadzieścia kandydatur na niespokojną panią Jacob.

Natomiast na żółtych stronach nie znalazł żadnego prywatnego detektywa o nazwisku Costello. Na białych stronach było wielu Costellow bez podanych zawodów. Reacher westchnął. Był rozczarowany, ale niezaskoczony. Byłoby zbyt pięknie, gdyby stworzył książkę telefoniczną i przeczytał: "Agencja śledcza Costello - specjalizujemy się w szukaniu byłych policjantów w Keys".

Znalazł wiele agencji o typowych nazwach, często zaczynających się na A - rywalizowały o miejsce na alfabetycznej liście. Ace, Acme, A-One, AA Investigators. Niektóre nazwy były związane z położeniem, na przykład na Manhattanie lub Bronksie. Inne były nakierowane na zamożniejszych klientów, obiecując "usługi prawnicze". Jedna rościła sobie pretensje do tradycji, używając nazwy "Sherlock Holmes". Dwie zatrudniały tylko kobiety i oferowały usługi wyłącznie kobietom.

Reacher wynotował z książki telefonicznej numery piętnastu komisariatów nowojorskiej policji. Przez chwilę się zastanawiał, co dalej. Wyszedł na zewnątrz, minął ogromne kamienne lwy przed wejściem i skierował się do budki telefonicznej. Postawił

na telefonie otwarty notes, ułożył kupkę monet i zaczął dzwonić do komisariatów. Za każdym razem prosił o połączenie z administracją. Miał nadzieję, że znajdzie tam jakiegoś sierżanta tuż przed emeryturą, który wie wszystko, co warto wiedzieć.

Udało mu się za czwartym telefonem. W pierwszych trzech komisariatach nie mogli mu pomóc i nie wydawali się tym zmartwieni. Czwarty telefon rozpoczął się podobnie: dzwonek, szybkie połączenie z numerem wewnętrznym, długie wyczekiwanie, ochryple głos starszego policjanta siedzącego w jakimś archiwum.

-Szukam niejakiego Costella - powiedział Reacher. - Przeszedł na emeryturę i został prywatnym detektywem. Nie wiem, czy założył agencję, czy pracuje u kogoś. Ma jakieś sześćdziesiąt lat.

-Kim pan jest? - odpowiedział pytaniem tamten. Miał taki sam akcent jak Costello. Równie dobrze to mógł mówić sam Costello.

-Nazywam się Carter - przedstawił się Reacher. - Jak

-Dlaczego pan szuka Costella, panie Carter?

-Mam coś dla niego, ale zgubiłem jego wizytówkę - stwierdził Reacher. - W książce telefonicznej nie znalazłem jego numeru.

-Nie ma go w żadnej książce. Pracuje tylko dla prawników. Nie bierze zwykłych klientów.

-Zna go pan?

-Czyja go znam? Oczywiście, że go znam. Pracował tu piętnaście lat. Nic dziwnego, że go znam

-Wie pan, gdzie ma biuro?

-Gdzieś w Village - odpowiedział policjant. Reacher ciężko westchnął, zaslaniając dłońmi mikrofon. To przypominało wyrywanie zębów.

-Wie pan gdzie dokładnie?

-Aleja Greenwich, jeśli dobrze pamiętam.

-Zna pan numer domu?

-Nie.

-A telefon?

-Tez nie.

-Czy zna pan kobiete o nazwisku Jacob?

-Nie. A powinienem?

-Tylko pytalem. To jego klientka.

-Nigdy o niej nie slyszalem.

-Dobra, bardzo dziekuje za pomoc - zakonczyl rozmowe Reacher.

-Prosze bardzo.

Reacher odwiesil sluchawke i wrocil do biblioteki. Sprawdzil w ksiazce telefonicznej Manhattanu, czy jest jakis Costello na alei Greenwich. Nie znalazl nikogo. Odstawil ksiazki na polke i wyszedl na ulice. - - -

Aleja Greenwich to dluga, prosta ulica biegnaca na poludniowy wschod od skrzyzowania Czternastej Ulicy z Osma Aleja do rogu Osmej Ulicy z Szosta Aleja. Po obu stronach stoja niskie budynki w stylu village, z licznymi sklepikami i galeriami w suterrenach. Reacher najpierw przeszedl po polnocnej stronie, ale nic nie znalazl. Przecial ulice, unikajac pedzacych samochodow i ruszyl z powrotem po stronie poludniowej. W polowie dlugosci ulicy zauwazyl przyumocowana do kamiennej ościeżnicy mosięzna tabliczka z nazwiskiem Costello. Czarne drzwi byly otwarte. Reacher wszedl do niewielkiego holu. Na scianie wisiala tablica informacyjna z twardego filcu, z wpinanymi bialymi literami z plastiku. Budynek byl podzielony na dziesiec niewielkich biur. Przy pietce dostrzegl napis Costello, W glebi holu znajdowaly sie szklane zamkniete drzwi z domofonem. Reacher nacisnal numer piec. Nikt nie odpowiedzial. Spróbował popchnac drzwi kostkami dloni, ale nie ustapily. Nacisnal szostke. Po chwili odezwal sie zniekształcony głos.

-Tak?

-UPS - odpowiedzial. Rozlegl sie cichy szmer i drzwi sie otworzily. To byl dwupietrowy budynek, nie liczac sutereny. Biura numer jeden, dwa i trzy znajdowaly sie na parterze. Reacher

wszedl po schodach na pierwsze pietro. Po lewej stronie podestu zobaczyl czworke, po prawej szostke. Wejscie do biura numer piec bylo w glebi, pod kolejnym ciagiem schodow. Reacher przyjrzel sie drzwiom z mahoniem. Byly lekko uchylne. Nie otwarte na oścież, ale widac bylo szpary. Popchnal je noga. Obrocily sie na zawiasach, odsłaniajac widok poczekalni wielkosci pokoju w motelu, utrzymanej w pastelowej tonacji, posredniej miedzy szarym i niebieskim. Gruba wy-ladzi na na podlodze. Biurko sekretarki w ksztalcie litery L, skomplikowanym telefonem i plaskim monitorem komputera. Kartoteka i sofa. Okno z matowymi szybami i drzwi do gabinetu.

W poczekalni nie bylo nikogo. Reacher wszedl do srodka i zamknal za soba drzwi, popychajac je pieta. Zamek byl odciaagniety, tak jakby biuro bylo czynne. Przeszedl przez poczekalnie, owinal reke w pole koszuli i nacisnal klamke drzwi prowadzacych do gabinetu. Drugie pomieszczenie bylo takiej samej wielkosci jak poczekalnia. Pokoj Costello. Na scianach wisialy czarno-biale fotografie mezczyzny, ktorego spotkal w Keys. Na zdjeciach byl wyraznie mlodzy. Stal w towarzystwie oficerow policji i lokalnych politykow, ktorych Reacher nie znal. Wiele lat temu Costello byl szczuply. Na zdjeciach widac bylo, jak z wiekiem tyl - przypominalo to reklame srodkow dietetycznych ogladana w odwrotnej kolejnosci. Fotografie wisialy po prawej stronie biurka. Na blacie lezala staromodna podkladka do pisa

nia, stal kalamarz i telefon. Za biurkiem Reacher zobaczył skorzany fotel, wyraźnie wygnieciony przez ciężkiego mężczyznę. Po lewej stronie było okno z matowymi szybami i zamknięta na klucz metalowa szafa. Przed biurkiem stały dwa krzesła dla klientów ustawione symetrycznie.

Reacher cofnął się do poczekalni. Czuł w powietrzu zapach perfum. Za biurkiem znalazł otwartą damską torebkę. W środku widac było miękki, skorzany portfel i paczkę chusteczek

higienicznych. Reacher wyciągnął swój ołówek i korzystając z końca gumki, odsunął chusteczki na bok. Pod paczką były kosmetyki i pakiet kluczy. Wyczuł zapach kosztownej wody kolonjskiej.

Na monitorze komputera migotał wygaszacz ekranu. Reacher popchnął ołówkiem mysz. Rozległ się cichy trzask i na ekranie pojawił się niedokonczony list. Cursor migotał cierpliwie w połowie słowa. Poniżej nagłówka widac było datę - list pochodził z tego dnia. Reacher przypomniał sobie ciałko Costella na chodniku pod murem cmentarza w Key West. Spojrzał na porządnie ustawioną torebkę nieobecnej kobiety, otwarte drzwi, niedokonczona słowo. Zadrzał.

Używając ołówka, zamknął edytor tekstu. Pojawiło się okienko z pytaniem, czy chce zachować zmiany w dokumencie. Po chwili wahania nacisnął NIE. Otworzył program do manipulowania zbiorami i sprawdził strukturę kont. Szukał faktury. Wygląd biura wyraźnie świadczył, że Costello lubił porządek. Na pewno nie rozpoczął poszukiwań przed otrzymaniem dowodu wpłaty. Kiedy zaczął szukać? Najpierw zlecenie pani Jacob bez żadnych informacji poza nazwiskiem i bardzo przybliżonym opisem jego wyglądu i służby. Costello pewnie zadzwonił do centralnego archiwum wojskowego, starannie strzeżonego kompleksu budynków w St Louis, gdzie są prze-

chowywane wszelkie dokumenty dotyczące wszystkich mężczyzn i kobiet, którzy kiedykolwiek chodzili w mundurze. Budynek jest strzeżony na dwa sposoby - fizycznie, za pomocą drutu kolczastego, oraz biurokratycznie - przez liczne przepisy utrudniające dostęp do dokumentów. Po znużających poszukiwaniach dowiedział się, że Reacher został zwolniony z wojska. Przerwał na zadumę co dalej. Potem nierokująca większych nadziei na sukces próba wykorzystania rachunku bankowego. Telefon do starego kumpla, przypomnienie o dawnych zobowiązaniach. Może niewyraźny faks z Wirginii, może telefon z listą operacji na jego rachunku. Pospieszny lot na Południe, wypytывanie ludzi na Duval, dwaj faceci, piesci i noż do linoleum.

W miarę krótki ciąg zdarzeń, ale załatwienie spraw w St. Louis i Wirginii musiało trochę potrwać. Reacher ocenił, że zwykłemu obywatelowi, takiemu jak Costello, uzyskanie informacji z archiwum wojskowego musiało zająć trzy lub cztery dni. W banku w Wirginii też pewnie nie poszło mu szybciej.

Nie można liczyć na natychmiastowe usługi znajomych. To wymaga odpowiedniej chwili. W sumie jakieś siedem dni na walce z biurokracją, dzień na namysł, dzień na początek i dzień na koniec. Dziesięć dni od chwili gdy pani Jacob uruchomiła całą sprawę. Reacher wybrał podkonto oznaczone FAKTURY. Po prawej pionie ekranu pojawiła się długa lista nazw plików uporządkowana alfabetycznie. Reacher przewalał listę, ale nie znalazł nazwiska Jacob. Większość nazw stanowiły inicjały lub skróty, ryc może oznaczające kancelarie prawnicze. Sprawdził daty. Nie znalazł pliku utworzonego dokładnie dziesięć dni wcześniej, ile zauważył jeden liczący dziewięć dni. Może Costello działał szybciej, niż on przyjął, może jego sekretarka była wolniejsza. Plik był oznaczony SGR T-09. Reacher go otworzył. Dysk założył i na ekranie pojawiła się faktura na tysiąc dolarów za szukanie zaginionej osoby, wystawiona firmie z Wall Street Spencer Gutman Ricker Talbot. Na fakturze był adres, ale brakowało numeru telefonu. Reacher wyszedł z programu do administrowania plikami

otworzył bazę danych. Gdy zaczął szukać skrótu SGR T,

znalazł stronę z tym samym adresem, ale również z numerami telefonu, faksu i adresem elektronicznym. Jednym palcem i kciukiem wyciągnął z torebki sekretarki chusteczki higieniczne. Owinał chusteczką słuchawkę telefonu, a drugą rozłożył na przyciskach. Wybrał numer, naciskając przez chusteczkę. Usłyszał dzwonek i po chwili ktoś odebrał telefon.

-Spencer Gutman-poinformował mężczyznę pogodnym tonem. - W czym możemy pomóc?

-Z pania Jacob poprosze - powiedzial Reacher.

-Chwileczke.

Reacher przez kilka sekund slyszal muzyke, po czym odezwal sie inny mezczyzna. Mowil szybko, ale z pewnym uszanowaniem w glosie. Moze asystent.

-Z pania Jacob poprosze - powtorzyl Reacher.

-Juz wyjechala do Garrison - odpowiedzial asystent. Brzmial tak, jakby byl zajety i wszyscy mu dokuczali. - Przykr o mi, ale naprawde, nie wiem, kiedy znowu bedzie w biurze.

-Czy zna pan jej adres w Garrison?

-Jej? - zdziwil sie tamten. - Czy jego? Reacher przez chwile zastanawial sie, co powiedziec. Postanowil zaryzykować.

-Chcialem powiedziec jego. Gdzies zgubilem adres.

-I bardzo dobrze - odpowiedzial asystent - Niestety, byl zle wydrukowany. Od rana skierowalem na wlasciwy adres juz chyba z piecdziesiat osob.

Wyrecytowal adres z pamieci. Garrison w stanie Nowy Jork, sto kilometrow w gore rzeki Hudson, w przyblizeniu naprzeciwko West Point, gdzie Reacher spedzil cztery dlugie lata.

-Mysle, ze musi sie pan pospieszyc - dodal asystent

-Tez tak sadze - zapewnil go Reacher i odlozyl sluchawke. Nic z tego nie rozumial. Zamknal baze danych. Raz jeszcze ze spojrzal na torebke nieobecnej sekretarki i wciagnal w pluca powietrze z zapachem jej perfum, po czym wyszedl.
- - -

Sekretarka zmarla piec minut po tym, jak wyjawila tozsamosc pani Jacob, to zas nastapilo piec minut po tym, jak Hobie potraktowal ja swoim hakiem. Byli w lazience biura na osiemdziesiatym osmym pietrze. To bylo doskonale miejsce. Przestronne, o powierzchni dziewieciu metrow kwadratowych o wiele za duze na lazienke. Jakis dekorator lubiacy kosztowne pomysly wylozyl sciany, podloge i sufit plytkami z szarego granitu. Prysznic mial plastikowa kurtyne zawieszona na rurze z nierdzewnej stali, stanowczo zbyt poteznej jak na to zadanie Hobie juz dawno sprawdzil, ze rura wytrzymuje ciezar nie przytomnego czlowieka, przykutego do niej kajdankami. Od czasu do czasu wisieli na niej ludzie znacznie ciezszy od sekretarki, gdy zadawal im pilne pytania lub przekonywal, ze rozsadnie bedzie spelnic jego polecenia.

Jedynym problemem byla izolacja akustyczna, ale Hobie sadzil, ze jest wystarczajaca. To byl solidny budynek. Kazda

z dwuch wiez wazy ponad pol miliona ton. Duzo stali i betonu, dobre grube sciany. Nie mial tez wscibskich sasiadow. Wiekszosc biur na osiemdziesiatym osmym pietrze wynajmowaly przedstawicielstwa handlowe roznych niewielkich krajow, ja ich nieliczni pracownicy spedzali czas w ONZ. Tak samo wygladala sytuacja na osiemdziesiatym siódmym i osiemdziesiatym dziewiatym. Wlasnie z tych powodow Hobie wynajal tu biuro, ale byl czlowiekiem, który nigdy bez potrzeby nie ryzykowal. Dlatego stosowal plaster. Przed rozpoczeciem sesji przygotowywal kilka paskow plastra o dlugosci dwudziestu centymetrow kazdy, ktore przylepial koncem do sciany. Sluzily do zalepiania ust. Gdy ofiara poruszala z przerazeniem glowa, z oczami wychodzacych z orbit, Hobie odrywal plaster i czekal na odpowiedz. W razie krzyku blyskawicznie przylepial nowy pasek i wracal do pracy. Zwykle uzyskiwal potrzebną odpowiedz z po zerwaniu drugiego | plastra. Dzieki granitowym plytkom sprzatanie nie bylo trudna operacja. Wystarczylo nastawic prysznic, wlac kilka wiader

wody na podłogę i pomachać szczotką. Wszystkie ślady znikają z łazienki tak szybko, jak spływa woda z osiemdziesiątego osiemego pietra do kanałów. Oczywiście Hobbie nigdy sam nie sprzątał. Do posługiwania się szczotką potrzebne są dwie ręce. Tym razem zajął się tym jeden z dwóch młodych facetów. Podwinał nogawki eleganckich spodni, zdjął buty i skarpetki. Hobbie siedział przy biurku i rozmawiał z drugim facetem.

-Znajdźcie panią Jacob i sprowadźcie ją do mnie, okay?

-Oczywiście - powiedział rozmówca. - A co z nią? Kiwnął głową w kierunku łazienki. Hobbie też spojrzał w tamtą stronę.

-Poczekajcie do wieczora - zdecydował. - Ubierzcie ją i znieście na dół do motorówki. Wrzucie ją do wody kilka kilometrów od brzegu.

-Najprawdopodobniej fale wyrzucią ją na brzeg. Za parę dni. Hobbie wzruszył ramionami.

-Nic mnie to nie obchodzi - stwierdził. - Za parę dni będzie mocno spuchnięta. Policja uzna, że wypadła za burtę ze statku. Takie rany mogła odnieść wskutek uderzenia sruby.

--

Zwyczajnie działanie w tajemnicy ma zalety, ale również powoduje problemy. Najszybszym sposobem dotarcia do Gar-rison byłoby wynajęcie samochodu, ale gdy ktoś nie używa kart kredytowych i nie nosi prawa jazdy, traci tę możliwość. Reacher pojechał taksówką na dworzec Grand Central. Był prawie pewny, że jest pociąg linii Hudson do Garrison. Ludzie dojeżdżają do pracy w Nowym Jorku nawet z tak dużej odległości. Jeśli nie, to jeden z dalekobieżnych pociągów Am-tracka do Albany i Kanady powinien zatrzymać się w Gar-rison.

Zapłacił za taksówkę, wysiadł i przepchnął się przez tłum do wejścia. Zszedł długą rampą do gigantycznej hali dworcowej. Rozejrzał się i wyteżył wzrok, żeby odczytać rozkład jazdy. Starł się przypomnieć sobie geografię okolic Nowego Jorku. Pociągi w kierunku Croton-Harmon kończyły jazdę zbyt daleko na południe. Potrzebował pociągu jadącego co najmniej do Poughkeepsie. Przejrzał całą listę. Pech. Najbliższy pociąg do Garrison odjeżdżał dopiero za półtorej godziny.

--

Złatwili to w zwykły sposób. Jeden z nich zjechał dziesięć pięter do podziemia, gdzie rozładowywano dostawy. W śmieciach znalazł duże kartonowe pudło. Najlepsze były pudła po lodówkach i automatach do sprzedaży napojów, ale kiedyś zrobili to, używając pudła po kolorowym telewizorze z trzydziestopięciocalowym ekranem. Tym razem znalazł pudło po kartotece. Postawił je na wózek do wozenia mebli i wjechał do windy towarowej. Po chwili był znowu na osiemdziesiątym osmym piętrze.

W tym czasie drugi zapakował zwłoki do plastikowego worka. Włożyli je razem do pudła, a następnie zabezpieczyli pokrywę taśmą klejącą. Postawili pudło na wózku i znowu kierowali się do windy towarowej. Tym razem zjechali na parking. Podjechali wozkiem do czarnego suburbana. Odliczyli na trzy wstawili pudło do bagażnika. Zamknęli tylne drzwi na klucz. Rozejrzeli się dookoła. Nikogo nie było, w pomieszczeniu panował półmrok. Nie ma problemów.

-Wiesz co? - odezwał się jeden z nich. - Jeśli złożymy fotele, zmieści się jeszcze pani Jacob. Złatwimy to wieczorem za jednym zamachem. Nie lubię wypływać tą motorówką częściej, niż to konieczne.

-Dobra - zgodził się drugi. - Zauważyłeś jeszcze jakieś pudła? To było najlepsze. Zależy, czy pani Jacob jest wysoka czy niska.

-Zależy też, czy skończy z nią do wieczora. - Masz jakieś wątpliwości? Nie zauważyłeś, w jakim jest orze?

Podeszli do stojącego niedaleko czarnego chevy tahoe. Eodsz y brat poteznego suburbana, ale i tak duzy woz. - Gdzie ona jest? - spytal ten drugi.

-W Garrison. W gore Hudson, trzeba przejechac obok Sing-Singu. Godzina, moze poltorej godziny jazdy.

Wsiedli do samochodu. Z piskiem opon pokonywali kolejne zakrety, az wreszcie wydostali sie z parkingu na slonce. Ruszyli || strone West, skrecili w prawo i pojechali na polnoc.

4

Ulica West zmienia sie w Jedenasta Aleje naprzeciwko Mola 56, gdzie samochody jadace na zachod skrecaja z Czte rnastej Ulicy na polnoc. Wielki czarny tahoe ugrzazl w korku. Jego klakson dolaczyl do wycia produkowanego przez sfrustrowanych kierowcow. Sygnaly odbijaly sie od scian wysokich budynkow i rozchodzily echem nad rzeka. Przeczolgal i sie dziewiec przecznic i skrecili w lewo w Dwudziesta Trzecia Ulice, a nastepnie znowu na polnoc w Dwunasta. Tam udalo sie im przekroczy c predkosc marszu, ale wkrótce znowu utkneli wsrod samochodow wyjezd zających z Czterdziestej Drugiej Ulicy. Dwunasta Aleja zmienila sie w Miller, ale samochody poruszaly sie w zolwym tempie, az przejechali nad starymi torowiskami. Tam Miller zmienila sie w Henry Hudson Parkway. Dalej jechali powoli, ale Hudson to inaczej szosa 9A, ktora miala zmienic sie w 9 w Crotonville. Mieli przed soba prosu droge na polnoc do Garri son, lecz wcia z tkwili na Manhattanie w Riverside Park, choc od wyruszenia w droge minelo juz pol godzin y.

-- -

To edytor tekstu byl najbardziej znaczący. Cursor cierpliwie migoczacy w polowie slowa Otwarte drzwi i porzucona torebka stanowily istotne wskazowki, ale nie rozstrzygaly watpliwosci Pracownicy biurowi zwykle zabieraja swoje rzeczy i zamykaja drzwi, lecz zdarzaja sie wyjatki. Sekretarka mogla wyjsc na chwile, lecz cos ja zatrzymalo, na przyklad szukala papieru lub ktos ja poprosil o pomoc z oporna kserokopiarka, co skonczylo sie wspolna kawa i opowiadania mi o ostatniej randce. Jesli spodziewala sie, ze za pare minut wroci, mogla zostawic torebke i zrezygnowac z zamknienia drzwi, a potem nieobecność sie przedluzyla. Nikt jednak nie przerywa pracy nad tekstem, nie zapisujac dokumentu. Jesli nawet wychodzi na minute. A sekretarka tak zrobila. Komputer spytal: CZY ZAPISAC ZMIANY? To oznaczalo, ze wstala od biurka, nie naciskajac polecenia ZAPISZ, co w wypadku ludzi walczacych nieustannie z komputerami jest odruchem rownie automatycznym jak oddychanie.

Stad wniosek, ze cala sprawa wygladala bardzo zle. Reacher przeszedl przez kolejna hale Grand Central. Po drodze kupil w automacie kawe. Przycisnal pokrywke kubka i sprawdzil, czy ma w kieszeni zwitek banknotow. Powinno starczyc na to, co planowal.

-- -

W poblizu Sto Siedemdziesiatej Ulicy Henry Hudson Park-way rozdziela sie na platanine ramp, z ktorych ostatecznie wylania sie jako prowadzaca na polnoc Riverside Drive. Ta sama droga, ten sam kierunek, zadnych zakretow, ale s komplikowana dynamika mchu sprawia, ze jesli jeden kierowca zwolni ponizej sredniej, to natychmiast powstaje zagrozenie i setki ludzi musza sie zatrzymac, dlatego ze jakis kierowca z prowincji dwa kilometry dalej stracil na chwile orientacje. Wielki czarny tahoe zatrzymal sie naprzeciw Fort Washington, a pozniej powoli pelzl, co chwila przystajac, pod mostem George'a Washingtona. Tam Riverside Drive sie rozszerza, dzieki czemu kierowcy udalo sie przejsc na trojke, ale gdy droga znowu zmienila sie w Henry Hudson, przed bramka, gdzie kierowcy placili za przejazd, ustawila sie spora kolejka. Musieli dlugo czekac, zeby zaplacic za opuszczenie Manhattanu i przejazd na polnoc przez Bronx.

-- -

Miedzy Grand Central i Croton-Harmon wzdluz rzeki Hudson kursuja dwa rodzaje pociagow: osobowe i ekspresy.

Ekspresy wcale nie jada szybciej, ale rzadziej sie zatrzymuja. Podroz ekspresem trwa od czterdziestu dziewieciu do piecdziesieciu dwuch minut. Osobowe zatrzymuja sie na kazdej stacji, za kazdym razem musza hamowac i rozpedzac sie, co powoduje, ze jazda trwa od szescdziesieciu pieciu do siedemdziesieciu trzech minut. Maksymalna roznica miedzy osobowym i ekspresem to dwadziescia cztery minuty. Reacher jechal osobowym Zaplacił piec dolarow piecdziesiat centow za bilet w jedna strone poza godzinami szczytu. Siedzial bokiem na pustej lawce dla trzech osob, podkrecony nadmiarem kawy. Opierajac glowe o szybe, zastanawial sie, dokad wlasciwie jedzie, dlaczego

to robi i co zamierza zrobic, jak juz dojedzie na miejsce. No i czy przyjedzie o takiej porze, zeby zdazyc, cokolwiek mialo sie zdarzyc.

-- -

Droga 9A zmienila sie w 9 i lagodnie skrecila, oddalajac sie od rzeki za Camp Smith. W Westchester mozna juz byl jechac szybciej. Nie byl to tor wyscigowy, bo liczne zakrety i wyboje wykluczaly utrzymywanie duzej predkosci, ale przynajmniej nie bylo korkow. Droga stanowila mieszanine starych odcinkow i nowych, przecinajacych las. Mijali osiedla ogrodzone wysokimi, drewnianymi plotami, z elegancko pomalowanymi domami i optymistycznymi nazwami wrytymi na imponujacych glazach ustawionych przy bramach. Tahoe posuwalo sie naprzod. Jeden facet kierowal, drugi pilotowal, trzymajac na kolanach rozlozona mape. Mineli Peekskill i zaczeli szukac skretu w lewo. Gdy znalezi, skrecili w kierunku rzeki. Wyczuwali, ze sa juz niedaleko, bo zaczal zmieniac sie pejzaz. Wjechali do Garrison. Odszukanie adresu nie bylo latwe. Dzielnice mieszkalne byly rozlegle i rozrzucone. Mozna miec kod pocztowy Garrison i mieszkac kilka kilometrow od miasta. W koncu znalezi wlasciwa droge, pokonali wszystkie konieczne zakrety i trafili na wlasciwa ulice. Jechali powoli przez rzadniejacy las, przygladajac sie

skrzynkom pocztowym. Droga zakrecila. Zobaczyli przed soba wlasciwy dom i zaparkowali przy krawezniku.

-- -

Reacher wysiadl z pociagu w Croton siedemdziesiat jeden minut po opuszczeniu Grand Central. Zbiegl po schodach. Na postoju taksowek staly cztery jednakowe stare caprice z pasami ze sztucznego drewna na bokach. Pierwszym kierowca, który zareagowal, byla otyla kobieta. Pochylila glowe, tak jakby czekala na pytanie.

-Zna pani Garrison? - spytal Reacher.

-Garrison? - powtorzyla. - To daleko stad, prosze pana. Ze trzydziesci kilometrow.

-Wiem, gdzie to jest.

-Wyjdzie ze czterdziesci dolarow.

-Zaplace piecdziesiat, ale musze tam byc juz teraz. Usiadl z przodu obok niej. Samochod smierdzial jak stara

taksowka - mieszanina odswiezacza powietrza i srodkow do czyszczenia tapicerki. Na liczniku mial poltora miliona kilometrow. Gdy kobieta szybko wyjezdzala z parkingu, woz kolysal sie jak lodz na fali. Wjechali na szose numer 9 i skierowali sie na polnoc.

-Ma pan adres? - spytala kobieta.

Reacher powtorzyl adres, który podal mu asystent w kancelarii prawniczej. Kobieta kiwnela glowa. Jechala z duza predkoscia.

-To nad rzeka - powiedziala.

Po kwadransie szybkiej jazdy mineli Peekskili i zwolnili, szukajac skretu w lewo. Wyprzedzili wielki jacht na wozk

u Skierowali sie na zachod. Reacher wyczuwal bliskosc rzeki. Widac bylo szeroka na kilometr przerwe w lesie. Kobieta wiedziala, jak jechac. Dojechala az do rzeki i skrecila na polnoc w boczna droge. Miedzy nimi i rzeka ciagnely sie tory, ale nie widac bylo pociagow. Na drugim brzegu rzeki ukazywaly sie juz budynki West Point. - To gdzies tutaj - mruknela kobieta. Jechali waska droga. Po obu stronach ciagnely sie ploty z surowych belek, jak zagrody dla bydla, ale trawa na poboczach byla skoszona, a gdzieniegdzie widac bylo posadzone kwiaty. Mniej wiecej sto metrow dalej staly skrzynki pocztowe i slupy sieci energetycznej podtrzymujace przewody zawieszzone miedzy drzewami.

-A co to takiego? - zdziwila sie kobieta. - Chyba dojechalismy.

Na poboczu waskiej drogi staly zaparkowane samochody, niemal calkowicie uniemozliwiajac przejazd. Ze czterdziestu aut, na ogol czarnych lub ciemnoniebieskich. Nowe sedany lub wielkie terenowki. Taksowka skrecila w podjazd. Samochody parkowaly zderzak w zderzak az

do samego domu. Jeszcze dziesiec lub dwanasce wozow stalo przed garazem. Reacher dostrzegl dwa zielone sedany z Detroit. Wojsko. Reacher potrafil wyczuc slady Departamentu Obrony z odleglosci kilometra.

-Okay? - spytala kobieta.

-Chyba tak - ostroznie potwierdzil.

Odliczyl ze zwitka piecdziesiat dolarow, zaplacy i wysiadl. Stal przez chwile na podjezdzie, zastanawiajac sie, co zrobic. Uslyszal, jak taksowka jeczy na wstecznym biegu. Reacher wrocil na droge, spojrzal na samochody i przyjrzel sie skrzyni pocztowej. Zauwazyl przymocowana do niej aluminiowa tabliczke z nazwiskiem Garber. Nazwiskiem, ktore znal rownie dobrze jak wlasne.

Dom stal na duzej dzialce. Wyglad otoczenia oscylowal gdzies miedzy naturalnoscia i zaniedbaniem. Budynek byl niski i rozlegly, z ciemnymi scianami z cedru, ciemnymi okiennicami wysokimi kamiennymi kominami; bylo to skrzyzowanie skromnej willi na przedmiesciach i przytulnego domu na wsi. Wokol panowala cisza, powietrze pachnialo wilgocią. Reacher slyszal szmer owadów w trawie. Za domem plynela rzeka; wszystkie dzwieki splywaly na poludnie szerokim na kilometr pustym korytarzem. Gdy Reacher podszedl blizej, uslyszal dochodzace zza domu odglosy rozmow. Ludzie mowili cicho, ale chyba bylo ich tam wielu. Ruszyl w tamtym kierunku, obchodzac dom po strone garazu. Po chwili znalazl sie na gornym podescie betonowych schodow prowadzacych do ogrodu. W dali widac bylo niebieska, blyszczaca w sloncu rzeka. Poltora kilometra dalej, nieco w prawo, na drugim brzegu ciagnal sie kampus West Point. Lekka mgla nad woda sprawiala, ze zarysy budynkow wydawaly sie rozmyte.

To nie byl ogrod, tylko plaski trawnik siegajacy do urwiska nad rzeka. Na krotko skoszonej trawie stali w niewielkich grupkach ludzie. Wszyscy byli podobnie ubrani - czarne garnitury i krawaty, biale koszule, czarne suknie, czarne ponczo. Kilku oficerow w galowych mundurach. Rozmawiali przyciszonymi glosami, trzymajac w rekach talerzyki i kieliszki z winem. Wszyscy byli powazni i zasmuceni.

Pogrzeb. Reacher przyjechal bez zaproszenia na stype. Stal na podescie, wyraznie widoczny na tle nieba, w ubraniu, ktore nosil poprzedniego dnia w Keys: wyblaklych dzinsach, pomietej zoltej koszuli, bez skarpetek, w starych sandalach, ze splowialymi wlosami sterczacymi na wszystkie strony, nieogolony. Nagle, tak jakby klasnal, wszyscy przerwali rozmowy i spojrzeli na niego. Zamarl. Ludzie patrzyli pytajaco.

Rapacka cisza. Wszyscy znieruchomieli. Po chwili jakas kobieta podala kieliszek i talerzyk najblizszej osobie i mszyla w jego kierunku.

Wygladala na jakies trzydziestci lat; tak jak wszyscy miala na sobie czarna suknie. Byla blada i wyczerpana, ale mimo to wydawala sie piekna. Bolesnie piekna. Bardzo szczupla, wysoka, co podkreslaly szpilki. Dlugie nogi w przejrzystych, ciemnych nylonach. Jasne wlosy, dlugie i luzne. Niebieskie oczy, delikatne kosc. Przeciela z wdziekiem trawnik i zatrzymala sie na dole schodow, tak jakby oczekiwala, ze on zejdzie.

-Czesc, Reacher - powiedziala cicho.

Spojrzał na nią. Wiedziała, kim jest. On również wiedział, kim jest kobieta. Miał wrażenie, że w jednej chwili przewinął się przed jego oczami film z zapisem piętnastu lat życia. W ułamku sekundy nastolatka dojrzała i zmieniła się w piękną kobietę. Garber, nazwisko na skrzynce pocztowej. Leon Garber był przez wiele lat jego dowódca. Przypomnił sobie, jak się poznali podczas pikników na podworku w gorące wieczory na Filipinach. Szczupła dziewczynka wyłaniająca się z cieni wokół ponurego domu w bazie. W wieku piętnastu lat była już na tyle kobieta, żeby przyciągać wzrok, ale jeszcze na tyle dziewczyna, żeby wszelkie myśli o niej były całkowicie zakazane. Jodie, córka Garbera. Jego jedyne dziecko. Światło jego życia. To Jodie Garber po piętnastu latach, dojrzała i piękna, czekała na niego na dole schodów. Reacher spojrzał na tłum i szybko zszedł na trawnik.

-Cześć, Reacher - powtórzyła Jodie.

Mówiła cicho i z napięciem, smutnym głosem. Tak smutnym jak cała scena.

-Cześć, Jodie - odpowiedział.

Chciał spytać, kto zmarł, ale nie potrafił znaleźć słów, które nie zabrzmiałyby bezzwzględnie lub głupio. Jodie zauważyła jego kłopoty.

-Tata - wyjaśniła jednym słowem.

-Kiedy? - spytał.

-Pięć dni temu. Chorował od paru miesięcy, ale koniec nastąpił nagle. To było zaskoczenie.

-Bardzo mi przykro - powiedział, skłaniając głowę.

Reacher popatrzył w stronę rzeki. Miał wrażenie, że zamiast setek twarzy widzi sto twarzy Leona Garbera. Niski, krępy, twardy mężczyzna. Szeroki uśmiech, gdy był szczęśliwy, zirytowany lub coś mu groziło. Odważny psychicznie i fizycznie. Wspaniały dowódca. Na wskroś uczciwy, bezstronny, wrażliwy. Był wzorem dla Reachera w okresie kształtowania się jego charakteru. Mentorem i protektorem Garber wyszedł ze skory, żeby załatwić mu dwukrotny awans w ciągu osiemnastu miesięcy, dzięki czemu Reacher został najmłodszym majorem w czasie pokoju. Potem rozłożył szeroko ręce i z uśmiechem zapewnił go, że to bynajmniej nie on się o to postarał.

-Bardzo mi przykro, Jodie - powtórzył Reacher. Kiwnęła głową w milczeniu.

-Nie mogę w to uwierzyć - dodał. - Widziałem go niecały rok temu. Był w dobrej formie. Zachorował?

Jodie znówu przytaknęła ruchem głowy, - Przecież zawsze był taki silny. - To prawda - westchnęła Jodie. - Zawsze był twardy. - I wcale nie był stary. - Miał szeszedziesiąt cztery lata. - Co się stało?

-Serce - wyjaśniła. - W końcu to go wykończyło, pamiętasz, jak zawsze udawał, że nie ma

serca? - Nigdy nie spotkałem człowieka o większym sercu, - Też się o tym przekonałam. Po

śmierci mamy przez dziesięć lat byliśmy najbliższymi przyjaciółmi. Kochałam go.

-Też go kochałem - wyznał Reacher. - Jak jakby był moim ojcem.

-Tata ciągle o tobie mówił.

Reacher odwrócił wzrok. Wpatrywał się w niewyraźne, szare

zarysy budynków West Point. Był oszołomiony. Wszedł już w wiek, w którym zaczynają umierać znajomi. Jego matkę

a nie zyla, to samo ojciec i brat Teraz stracil kogos, kto byl najlepszym substytutem krewnego.

-Przeszedl zawał sześć miesięcy temu - powiedziała Jodie. Miała zamglone oczy. Odgarnęła długie włosy za uszy. - Wdawało się, że wrócił do sił, dobrze wyglądał, ale w rzeczywistości jego stan szybko się pogarszał. Lekarze zastanawiali się nad bypassem, ale sprawy potoczyły się zbyt szybko. Nie przeżyłby operacji.

-Bardzo mi przykro - powtórzył Reacher trzeci raz. Jodie stanęła obok niego i wsunęła mu rękę pod ramię.

-Nie myśl tak. On zawsze był zadowolony z życia. Lepiej, że długo się nie męczył. Nie mogę sobie wyobrazić, żeby był szczęśliwy, gdyby ten stan się przedłużył. Reacher przypominał sobie starego Garbera. Zawsze był w ruchu, zawsze się czymś zajmował, był prawdziwym wulkanem energii. Inwalidztwo byłoby dla niego koszmarem. Stare, przepracowane serce w końcu nie wytrzymało obciążenia. Pokiwał ze smutkiem głową.

-Chodź, przywitasz się z gośćmi - powiedziała Jodie. - Pewnie niektórych znasz.

-Nie jestem odpowiednio ubrany - zaprotestował, - Czuje się niezrecznie. Powinienem już iść.

-To nie ma znaczenia - zapewniła go. - Myślisz, że tata przejmowałby się czymś takim? Garber zawsze chodził w mundurze polowym i starym kapeluszu. Reacher służył pod jego dowództwem trzynastu lat. Przez ten czas Garber był najgorzej ubranym oficerem w całej armii. Jack uśmiechnął się przelotnie.

-Przypuszczam, że mało by go to obchodziło.

Jodie poprowadziła go przez trawnik. Z setki gości Jack znalazł niewiele osób. Spotkał już kiedyś obecnych tu oficerów. Pracował także na zlecenie kilku mężczyzn w garniturach. Przywitał się z kilkunastoma osobami i próbował zapamiętać ich nazwiska, ale wlatywały mu jednym uchem, a wylatywały drugim. Wszyscy wrócili do rozmów, jedzenia i picia. Stopniowo zapomnieli o jego niespodziewanym pojawieniu się na stypie. Jodie wciąż trzymała go za ramię. Czuł chłodny dotyk jej ręki.

-Szukam kogoś - przypominał sobie. - Dlatego tu przyjechałem.

-Wiem - odpowiedziała Jodie. - Pani Jacob, prawda? Kiwnął głową.

-Czy ona tu jest? - spytał.

-To ja - odparła Jodie.

--

Dwaj mężczyźni w czarnym taho wycofali się z linii samochodów i odjechali spod przewodów elektrycznych, żeby telefon działał bez zakłóceń. Kierowca wybrał numer. Usłyszeli dzwonek telefonu. Po chwili o sto kilometrów i osiemdziesiąt osiem kilometrów stąd ktoś podniósł słuchawkę.

-Mamy problemy, szefie - poinformował kierowcę. - Tu się odbywa jakaś uroczystość, stypa czy coś takiego. Ze stu gości kreci się wszędzie. Nie mamy szans na złapanie pani Jacob. Nie wiemy nawet która to. Jest tu kilkadziesiąt kobiet, może nią być każda z nich. W głośniku rozległo się mruknienie Hobiego.

-Co jeszcze?

-Pamięta pan tego faceta z baru w Keys? Właśnie tu przyjechał taksówka. Dziesięć minut po nas. Od razu wszedł. Głosnik zatrzeszczał, ale Hobie nic nie powiedział.

-Co mamy robić? - spytał kierowcę.

-Robcie swoje. Moze schowajcie gdzieś samochod i poczekajcie, az wszyscy wyjda. O ile wiem, to jej dom. Moze Horn rodzinny lub weekendowy. Gdy wszyscy wyjda pani Jacob zostanie. Nie wracajcie tu bez niej, zrozumiano?

-A co z tym wielkim facetem?

-Jesli wyjdzie, dajcie mu spokoj. Jesli zostanie, sprzatnijcie go. Macie przywiezc mi te Jacob.

--

-Ty jestes pania Jacob? - zdziwil sie Reacher, Jodie Garber pokiwała glowa.

-Jestem, a raczej bylam - odparla. - Rozwiodlam sie, ale zachowalam nazwisko ze wzgledu na prace,

-Kim byl twoj maz?

-Prawnikiem, tak jak ja - odpowiedziala, wzruszajac ramionami. - To malzenstwo wydawalo mi sie niezlym

-Jak dlugo przetrwalo?

-Trzy lata, od poczatku do konca. Poznalismy sie na studiach, wzielismy slub, gdy zaczelismy pracowac. Ja zostalam na Wall Street, a on pare lat temu przeniosl sie do kancelarii w Waszyngtonie. Malzenstwo do niego nie pasowalo, po prostu stopniowo sie rozpadlo. Jesienia zalatwilismy rozwod. Juz prawie go nie pamietam. Zostal nazwisko. Alan Jacob.

Reacher stal na naslonecznionym trawniku i patrzyl na nia. Uswiadomil sobie, ze wiadomosc o jej malzenstwie sprawila mu przykrosc. W wieku pietnastu lat byla szczupla, lecz przepiekna dziewczyna, niewinna, nieco niesmiala, nie kiedy pewna siebie. Obserwowal, jak ciekawosc walczy w niej z niesmialoscia, gdy zbierala odwage, zeby zaczac z nim rozmowe o zyciu i smierci, dobru i zlu. Krecila sie, podciagala chude nogi pod siebie i zmieniala temat rozmowy na kwestie milosci, seksu, zwiazkow miedzy mezczyznami i kobietami. Rumienila sie i po chwili uciekala. On zostawal sam, czul w srodku lod, zauroczony i zly na siebie z tego powodu. Po kilku dniach wpadali na siebie gdzieś w bazie i Jodie sie rumienila. Teraz,

pietnascie lat pozniej, byla dojrzala kobieta, skonczyla prawo, wyszla za maz, rozwiodla sie. Byla piekna, spokojna i elegancka. Stali na podworku domu jej zmarlego ojca. Trzymala go pod reke.

-A ty jestes zonaty? - spytala.

-Nie. - Reacher pokrecil glowa.

-Ale jestes szczesliwy?

-Zawsze jestem szczesliwy - oswiadcyl. - Zawsze bylem i zawsze bede.

-Co robisz?

-Niewiele - odrzekl, wzruszajac ramionami. Reacher popatrzył nad jej glowa na zgromadzonych gosci

Powazni ludzie zajmujacy sie waznymi sprawami, robiacy kariere, systematycznie posuwajacy sie od A do Z. Patrzyl w nich i myslal, kto jest glupcem, on czy oni. Przypomnial sobie wyraz twarzy Costella.

-Ostatnio bylem w Keys - powiedzial. - Kopalem szpadlem baseny. Wyraz jej twarzy sie nie zmienil. Sprobowała uscisnac jego przedramie, ale miala za mala dlon, a jego ramie bylo zbyt grube. Poczul lekki nacisk jej dloni.

-Costello cie tam znalazl? - spytala. Znalazl mnie, zeby zaprosic mnie na pogrzeb, pomyslal.

-Musimy o nim porozmawiac - odrzekl.

-Zna sie na swojej robocie, prawda?

Za slabo, pomyslal Jack. Jodie podeszla do gosci, ktorzy czekali, zeby raz jeszcze zlozyc jej kondolencje. Wino podzialo na nich rozluzniajaco. Mowili glosniej, stawali sie sentymentalni. Reacher udal sie na patio, gdzie stal nakryty bialym obrusem stol z jedzeniem. Nalozyl na tekturowy talerz kurczaka na zimno i ryz, nalal sobie szklanke wody. Na patio staly stare meble ogrodowe, z ktorych inni nie korzystali z powodu niewielkich, szarozielonych smieci botanicznej natury, pochodzacych z najblizszego drzewa. Parasol przeciwsloneczny byl sztywny i splowialy. Reacher schowal sie pod nim i usiadl na brudnym krzesle.

Jedzac, przygladal sie gosciom. Nie mieli ochoty wyjsc. Wyczuwal sympatie do zmarlego. Stary Leon Garber wzbudzal pozytywne uczucia. Raczej nie sklanial ludzi do wyrastania ich bezposrednio, dlatego musieli uczynic to teraz. Jodie krazyla w srode gosci, sciskala rece, usmiechala sie ze smutkiem. Wszyscy mieli do opowiedzenia jakas anegdotę o tym, jak za szorstka powloka zewnetrzna jej ojca krylo sie złote serce. On tez moglby opowiadac. Nie chcial tego robic, poniewaz Jodie sama wiedziala, ze jej ojciec byl dobrym czlowiekiem. Wiedziala to. Poruszala sie z uroczystym spokojem corki, ktora kochala starego cale zycie, a on kochal ja. Powiedziala mu wszystko, co powinna, on powiedzial jej wszystko, co powinien. Ludzie zyja, a potem umieraja. Jesli czynia jedno i drugie wlasciwie, to nie trzeba zalowac. - - -

Znalezli odpowiednie miejsce przy tej samej drodze. To byl niewatpliwie weekendowy dom, teraz zamkniety i pusty. Zaparkowali tam za garazem, przodem do wyjazdu. Z drogi nikt nie mogl go zobaczyc, natomiast oni mogli w kazdej chwili szybko odjechac. Wyciagneli ze schowka pistolety kalibru 9 milimetrow i schowali je do kieszeni. Ruszyli do domu pani Jacob, ale nie szli droga, tylko przez las.

To nie byl latwy spacer. Choc byli tylko sto kilometrow na polnoc od Nowego Jorku, rownie dobrze mogli sie znalezc w dzungli na Borneo. Grzezli w krzakach, witki uderzaly ich po rekach i twarzach. Galezie lisciastych drzew zwieszaly sie nisko nad ziemia, zagradzajac im droge. W koncu byli zmuszeni po przedzieraniu sie tylem. Gdy wreszcie dotarli do podjazdu Garberow, ciezko dyszeli usmarowanym i mchem i zielonym pylem. Ukryli sie w rowie w poblizu drogi, skad widzieli sciezke prowadzaca na tyly domu. Ludzie juz wychodzili, stypa zbлизala sie do konca. Stopniowo stawalo sie oczywiste, ktora kobieta to pani Jacob. Jesli Hobie mial racje, ze to jej

dom, musiala nia byc szczupla blondynka, ktora zegnala sie ze wszystkimi wychodzacych gośćmi. Oni odjeżdżali, ona zostawala. To na pewno pani Jacob. Uważnie ja obserwowali. Byla w centrum uwagi, dzielnie sie usmiechala, obejmowala znajomych, machala reka. Ludzie szli do samochodow pojedynczo, dwójkami, pozniej w wiekszych grupach. Zapalali silniki. Przed domem unosila sie juz niebieska chmura dymu. Dwaj mezczyzni ukryci w rowie slyszeli skrzypienie kol, biegow i ukladu kierowniczego, gdy goscie usilowali wyjechac srode ciasno zaparkowanych wozow. Co chwila slychac bylo glosny warkot, gdy kolejny samochod przyspieszal i znikal. Zadanie wydawalo sie proste. Juz wkrótce pani Jacob zostanie sama, bedzie zmeczona i przygnebiona. Mimo to odwiedzaja dwaj dodatkowi goście. Moze nawet, gdy ich zobaczy, pomysli, ze to spoznieni zalobnicy. Mieli przeciez na sobie ciemne garnitury i krawaty. Stroj obowiazujacy w dzielnicy finansowej Manhattanu nadaje sie rowniez na pogrzeby. - - -

Reacher przygladal sie, jak wychodza dwaj ostatni goście. Pulkownik i dwugwiazdkowy general, obaj w galowych mundurach. Tego sie mozna bylo spodziewac. Gdy gdzieś jest darmowe jedzenie i picie, zolnierze zawsze wychodza a ostatni. Nie znal pulkownika, ale general wydawal mu sie znajomy. Mial wrazenie, ze general rowniez go poznal, ale zaden z nich nie podjal tego tematu. Obaj nie mieli ochoty na dlugie i skomplikowane wyjasnienia. Oficerowie pozegnali sie z Jodie, stukneli obcasami i zaszalutowali. Sztywne ruchy z placu musztry, wyglansowane buty, nieruchome spojrzenie prosto przed siebie, wszystko to sprawilo dosc dziwaczne wrazenie w srode podmiejskiej zieleni na podjeździe domu. Wsiadli do ostatniego samochodu, jaki jeszcze stal przed garazem, jednego z zielonych sedanow tuż obok domu. Pierwsi przyjechali, ostatni wychodza. Pokoj, skonczyla sie zimna wojna, wojsko nie ma nic do roboty. Wlasnie z tego powodu Reacher byl zadowolony ze zwolnienia ze sluzby. Gdy przygladal sie, jak zielony samochod zawraca i znika, wiedzial, ze ma prawo byc szczesliwy. Jodie podeszla do niego i znowu wsunela reke pod jego ramie.

-No, już koniec - powiedziała. Warkot zielonego samochodu stopniowo cichł. Siedzieli w pogłębiającym się milczeniu.

-Gdzie jest pochowany? - przerwał cisze Reacher.

-Na miejskim cmentarzu - odpowiedziała Jodie. - Oczywiście mógł wybrać Arlington, ale nie chciał. Masz ochotę tam pojechać?

-Nie, nie robię takich rzeczy - odrzekł, krećc głową. - Dla niego to nie ma znaczenia, prawda? Wiedział, że będę za nim tęsknił, bo sam mu to powiedziałem już dawno. Kiwnęła głową. Trzymała go za ramię.

-Musimy porozmawiać o Costellu - przypominał Reacher.

-Dlaczego? Przekazał ci wiadomość, tak?

-Nie. - Jack potrząsnął głową. - Znalazł mnie, ale byłem zbyt ostrożny. Nie przyznałem się, że to ja jestem Jack Reacher.

-Ale dlaczego? - zdziwiła się Jodie. Spojrzała na niego. Wzruszył ramionami.

-Kwestia zwyczaju. Nie lubię wdawać się w nie swoje sprawy. Nazwisko Jacob nic mi nie mówiło, więc go zignorowałem. Byłem zadowolony ze spokojnego życia w Key West.

Jodie wciąż na niego patrzyła. Zapewne powinnam była użyć nazwiska Garber - powiedziała. - To przecież była sprawa taty, nie moja. Zalaatwiłam to jednak przez kancelarie i nawet o tym nie pomyślałam. Gdyby powiedział, że przyśła go Garber, pewnie byś się ujawnił.

-Oczywiście.

-Nie musisz się martwić, bo to nie była ważna sprawa.

-Możemy wejść do domu? - spytał.

-Dlaczego? - Jodie znowu się zdziwiła.

-Dlatego że to jednak była jakaś bardzo ważna sprawa.

--

Widzieli, jak wprowadza go do domu przez frontowe drzwi. Odsunęła siatkę moskitiery, którą on przytrzymał, nacisnęła klamkę i otworzyła ciężkie drewniane drzwi. Weszli do środka i zamknęli za sobą drzwi. Kilka sekund później w oknie daleko po lewej stronie zaświeciło się słabe światło. Pewnie usiedli w jakimś salonie tak zasłoniętym nadmiernie wybujałymi roślinami, że światło było potrzebne nawet w ciągu dnia. Dwaj mężczyźni ukucnęli w wilgotnym rowie i czekali. W promieniach słońca widac było przelatujące owady. Spoglądali na siebie i nasłuchiwali, ale niczego nie słyszeli.

Wyszli z rowu na podjazd. Nisko pochyleni pobiegli do rogu garażu. Przyciskając się do ściany, podkradli się do wejścia frontowego. Wyjęli z kieszeni pistolety i trzymając je lufą w dół, po kolei przeszli przez ganek. Ukucnęli po obu stronach drzwi, opierając plecy o ściany, z pistoletami gotowymi do strzału. Skoro tedy weszła, to tedy wyjdzie. To tylko kwestia czasu.

--

-Ktos go zabil? - powtorzyła Jodie.

-Prawdopodobnie rowniez sekretarke - dodal Reacher.

-Nie moge w to uwierzyc - powiedziala. - Z jakiego powodu?

Jodie zaprowadzila go przez ciemny korytarz do niewielkiego pokoju na koncu domu. Male okno, debowa boazeria i skorzane meble sprawialy, ze panowal tu ponury polmrok, ale gdy Jodie zapalila swiatlo na biurku, pokoj stal sie przylatny i zaczal przypominać Reacherowi przedwojenne bary, jakie widzial w Europie. Na polkach staly ksiazki - tanie wydania kupione dziesiatki lat temu. Na scianach i polkach wisialy przypiete pineskami poskrecane, wyblakle fotografie. Posrodku stalo zwykłe biurko - to moglo byc miejsce, gdzie stary niepracujacy

juz mezczyzna zalatwia rachunki i wypelnia zeznania podatkowe, czujac sie tak, jakby znowu byl w pracy. - Nie wiem - odrzekl Reacher. - Niczego nie wiem. Nie wiem nawet, dlaczego kazalas mu mnie szukac.

-Tata chcial cie odnalezc - powiedziala Jodie. - Nigdy wlasciwie mi nie wyjasnil dlaczego.

Bylam zajeta, mialam skomplikowany proces ciagnacy sie miesiacami. Wiem tylko, ze gdy zachorowal, chodzil do kardiologa. Spotkal tam kogos wciagnal sie w jakas sprawe. Bardzo sie nia przejmowal. Mialam wrazenie, ze czul sie tak, jakby byl do czegos zobowiazany.

Pozniej, gdy jego stan sie pogorszył i wiedzial, ze bedzie musial to rzucic, zaczal mowic, iz musi cie odnalezc i opowiedziec ci o tym, poniewaz jestes osoba, ktora byc moze bedzie w stanie cos z tym zrobic. Bardzo sie denerwowal, co mu szkodzilo, dlatego powiedzialam, ze zatrudnie detektywa. Costello czesto dostawal zlecenia z naszej kancelarii. Pomyslalam przynajmniej tyle powinnam zrobic. To wyjasnienie wydawalo sie sensowne, ale

Reacher zadal pytanie: dlaczego akurat on? Rozumial problem Garbera.

Prowadzi jakas sprawa, opuszcza go zdrowie, nie chce zawiesc, potrzebuje pomocy. Ale taki facet jak Garber mogl z latwoscia uzyskac pomoc gdziekolwiek. Na zoltych stronach w ksiazce telefonicznej Manhattanu jest pelno ogloszen agencji detektywistycznych. Jesli sprawa byla bardzo osobista lub zbyt zlizona, zeby wtajemniczyc w nia obcego detektywa, Garber musial tylko siegnac po telefon, a dziesieciu starych znajomych z policji wojskowej przybiegloby mu na pomoc. Dwudziestu.

Wszyscy chcieliby zrewanzowac sie za liczne uprzejmosci Garbera, z ktorych korzystali w calej swej karierze wojskowej. Dlaczego zatem zalezalo mu na nim?

-Kim byl ten czlowiek, ktorego ojciec spotkal u kardiologa? Jodie bezradnie wzruszyla ramionami.

-Nie wiem. Bylam bardzo zajeta. Wlasciwie to nigdy o tym nie rozmawialismy.

-Czy Costello tu przyjechal? Czy rozmawial z ojcem? - Tak. Zadzwonilam do niego i powiedzialam, ze zaplacimy

mu przez kancelarie, ale musi tu przyjechac i porozmawiac z ojcem o szczegolach. Zatelefonowal do mnie dzien lub

dwa później. Powiedział, że spotkał się z ojcem i że

wszystko sprowadza się do znalezienia ciebie. Chciał mieć oficjalne zlecenie, umowę, bo liczył się z poważnymi kosztami. Oczywiście załatwiłam to, ponieważ nie chciałam, żeby tata martwił się wydatkami.

-I dlatego Costello powiedział mi, że jego klientka jest pani Jacob - odrzekł Reacher.-Nie

zas Leon Garber. Dlatego zignorowałem go i spowodowałem, że został zabity.

Jodie potrzaskała głową i obrzuciła go ostrym wzrokiem, jakby był nowym aplikantem, który

napisał kiepskie pismo procesowe. Zaskoczyła go. Wciąż myślał o niej jako piętnastoletniej

dziewczynie, nie zaś adwokatce poświęcającej większość czasu na długie i skomplikowane

procesy sądowe,

-Non sequitur - stwierdziła. - Jest chyba jasne, co się stało. Tata coś opowiedział

Costellowi, ten widocznie spróbował jakiegoś skrótu, zanim zaczął cię szukać, nadepnął

komuś na odcisk i wywołał alarm. Ten ktoś zabił go, żeby dowiedzieć

się, kogo i dlaczego szukał. Nie ma znaczenia to, że nic u

nie powiedziałes. Oni i tak dopadliby Costella, żeby zapytać go, kto zlecił mu sprawę. Zatem w ostatecznej konkluzji i to ja jestem odpowiedzialna za jego śmierć.

-Raczej Leon - rzekł Reacher, kreśląc głową. - Za twoim pośrednictwem. Teraz Jodie pokreśliła głową.

-Odpowiedzialny jest człowiek, którego tata spotkał u kardiologa. Tylko on, za pośrednictwem ojca i moim.

-Muszę go znaleźć.

-Czy teraz to ma znaczenie?

-Tak sądzę - powiedział Reacher. - Jeśli Leon czymś się martwił, to teraz ja się tym martwię. Zawsze tak samo ocenialiśmy problemy.

Jodie pokiwała głową. Szybko wstała i podeszła do polek z książkami. Wyrwała palcami pineskę i chwyciła zdjęcie. Przyjrzała się fotografii i podała ją Reacherowi.

-Pamiętasz? - spytała.

Zdjęcie pochodziło sprzed piętnastu lat. Kolory wyblakły, zmieniły się w blade pastele, tak jak na starych fotografiach na papierze Kodaka pod wpływem czasu i światła. Nad trawnikiem widac było jaskrawe niebo Manili. Po lewej stał pięćdziesięcioletni Leon Garber w pogniecionym mundurze khaki, po prawej Reacher, dwudziestoczteroletni porucznik, wyższy dowódca o głowie, usmiechnięty, tryskający energią młodości. Między nimi stała piętnastoletnia Jodie w letniej sukience, trzymając jedną rękę na ramieniu ojca, a drugą obejmując Reachera w pasie. Mrużyła oczy z powodu słońca i z uśmiechem pochylała się ku niemu, mocno przyciągając go do siebie. - Pamiętasz? Tego dnia ojciec kupił Nikona z samowymalaczką. Pożyczył statyw i nie mógł się doczekać, kiedy wypróbuje nowy aparat Reacher pamiętał. Zapamiętał, jak tego dnia pachniały jej włosy w gorącym słońcu Pacyfiku. Czyste, młode włosy. Pamiętał dotyk jej długiej, nagiej ręki i to, jak upominał się myślach: Stary, opamiętaj się. Ona ma dopiero piętnaście lat i jest córką twojego przelozonego.

-Ojciec mowil, ze to zdjecie rodzinne - powiedziala Jodie. - Zawsze tak je nazywal.

-Tak bylo - zgodzil sie Jack. - Bylismy jak rodzina. Jodie przez dluzsza chwile wpatrywala sie w fotografie z dziwnym wyrazem twarzy.

-Nie zapominaj o sekretarce Costella - odezwal sie Reacher. - Na pewno wydusza z niej nazwisko klienta. Jesli nawet im nie powie, i tak sie dowiedza. Mnie to zajelo pol minuty i wymagalo jednego telefonu. Teraz beda szukac ciebie, zeby sie dowiedziec, kto za tym stoi.

-Przeciez nie wiem.

-Myslisz, ze w to uwierza? Jodie pokrecila glowa i zerknela w kierunku okna.

-Okay, to co mam zrobic?

-Musisz stad uciekac. To jedno jest pewne. Jestes tu zbyt samotna, zbyt oddalona od ludzi. Masz mieszkanie w miescie?

-Oczywiscie. Loft na Broadwayu.

-Masz tu samochod?

-Tak, stoi w garazu. Zamierzalam jednak zostac tu na noc. Musze znalezc jego testament, zajac sie papierkowa robotą. Chcialam wyjechac jutro, wczesnie rano.

-Zrob to wszystko teraz - rzekl Reacher. - Tak szybko, jak mozesz, a potem znikaj stad. Mowie powaznie, Jodie. Kimmolwiek sa ci ludzie, z pewnoscia nie zartuja. Wyraz jego twarzy byl bardziej przekonujacy niz slowa. Jodie skinela glowa i wstala.

-Dobra, zaczniemy od biurka. Mozesz mi pomoc.

Od cwiczen wojskowych w szkole sredniej do emerytury z powodu zlego stanu zdrowia Leon Garber przez piecdziesiat lat sluzyl w wojsku. Wyglad jego biurka dobitnie o tym swiadczył. W gornej szufladzie lezaly starannie poukladane dlugopisy, olowki i linijki. W dolnych, podwojnej wysokosci, wisialy pionowo teczki opatrzone starannie wypisanymi etykietami. Podatki, rachunki za telefon, prad, olej opalowy, ogrodnik, gwarancje na urzadzenia domowe. Jedna etykieta wydawala sie swieza i roznila sie kolorem: TESTAMENT. Jodie przejrzała teczki i w koncu wyciagnela z szuflady cale

Jodie przejrzała teczki i w koncu wyciagnela z szuflady cale harmonijki teczek. Reacher znalazl w szafie stara skorzan walizke. Wlozyli do niej teczki, nie wyciagajac dokumentow. Reacher zamknal walizke i zabezpieczyl ja pasem. Wzial do reki lezaca na biurku stara fotografie i jeszcze raz na nia spojrzal.

-Czy to cie denerwowalo? - spytal. - To, ze on uwazal mnie za czlonka rodziny? Jodie zatrzymala sie w drzwiach i pokiwala glowa.

-Owszem, doprowadzalo mnie to do pasji - odparla. - Pewnego dnia powiem ci dlaczego. Reacher spojrzal na nia, ale Jodie odwrocila sie i wyszla.

-Wezme tylko swoje rzeczy! - krzyknela z glebi korytarza. - Piec minut, dobra? Jack podszedl do polki i przypial fotografie tam, gdzie wisiala. Zgasil swiatlo i wyniosl walizke z pokoju do holu. Zatrzymal sie tam i rozejrzal. To byl przytulny dom. W ktorzych momencie swojej historii zostal powiekszony, co latwo bylo dostrzec. Czesz pokoi tworzyła zwarta calosc podporzadkowana pewnemu planowi architekta, inne natomiast wyraznie wygladaly na przybudowki, polaczone z caloscia waskimi korytarzami. Dom byl zbyt maly, zeby go uznac za labirynt, ale zbyt duzy, zeby da

ło się przewidzieć rozkład. Raecher poszedł do salonu. Stąd widac było podworko i rzekę. Siedząc przy kominku, można było patrzeć na budynki West Point na drugim brzegu. W powietrzu unosił się zapach politur. Wystroj, skromny nawet w czasach świetności, teraz był wyraźnie postarzały. Podłoga z desek, białe ściany, ciężkie meble. Stary telewizor bez odtwarzacza DVD. Książki, obrazy, fotografie. Jeden do Sasa, drugi do lasa. Nikt nie projektował tego pokoju, sam ewoluował, był wygodny. Tu żyli ludzie.

Garber pewnie kupił ten dom trzydzieści lat temu. Prawdopodobnie wtedy, gdy matka Jodie była w ciąży. Wielu ludzi tak robiło. Żonaci oficerowie często kupowali domy, na ogół blisko pierwszej bazy, gdzie służyli, lub w miejscu, które - jak przypuszczali - będzie stanowiło centrum ich życia, na przykład West Point. Domy często stały puste, podczas gdy oni służyli za granicą. Chodziło o to, żeby mieć stały punkt

w życiu, miejsce powrotu po zakończeniu służby. Miejsce, gdzie mieszkali rodziny, jeśli nie mogli im towarzyszyć lub jeśli edukacja dzieci wymagała stabilizacji. Rodzice Reachera nie poszli tą drogą. Nigdy nie kupili domu. Reacher zawsze mieszkał w służbowych bungalowach lub koszarach, a później w tanich motelach. Dotąd był pewny, że nie pragnie niczego innego. Nie odczuwał potrzeby posiadania domu. Bał się związanego z tym zaangażowania. To przygniotałoby go tak, jak teraz ciążyła mu walizka. Rachunki, podatki od nieruchomości, ubezpieczenie, gwarancje, naprawy, konserwacja, decyzje - nowy dach czy nowy piec, wykładzina czy dywan, budżet. Praca w ogrodzie. Podszedł do okna i spojrzał na trawnik. To był świetny przykład jałowosci tego zajęcia. Najpierw marnujesz czas i

pieniądze, żeby trawa wyrosła, a później marnujesz czas i pieniądze na jej koszenie. Przeklinasz, gdy rośnie zbyt bujnie, i martwisz się, gdy nie chce wyrosnąć. Przez całe lato wydajesz pieniądze na podlewanie, a jesienią na nawożenie. Szalenstwo. Jeśli jakiś dom mógł go skłonić do zmiany

zdania, to chyba tylko dom Garbera. Był taki niedbały, nie-wymagający. Wyglądał tak, jakby świetnie trwał w stanie łagodnego zaniedbania. Reacher potrafił sobie wyobrazić, że tutaj mieszka. No i wspaniały widok. Tuż obok płynął potężny Hudson, dając poczucie pewności i harmonii. Stara rzeka się nie zmieniała, od wieków toczyła wody swym korytem, niezależnie od tego, jakie domy pojawiały się na jej brzegach.

-No, jestem gotowa! - zawołała Jodie. Stała w drzwiach salonu, ze skórzana torba na ubrania w ręku. Przebrała się w spłowiele lewisy i niebieski dres ze znaczkiem firmowym, którego Reacher nie mógł odczytać. Wyszczotkowała włosy; naelektryzowane pasemka sterczały na boki. Przyglądała jej reka i odgarnęła za uszy. Dres w kolorze jej oczu kontrastował z miodową skórą. Minione piętnaście lat wcale jej nie zaszkodziły. Poszli do kuchni i zamknęli tylne drzwi. Wylaczyli wszystkie urządzenia domowe, jakie im wpadły w oko, i dokrecili krany. Wrocili do holu i otworzyli frontowe drzwi.

5

Reacher wyszedł pierwszy z kilku powodów. Normalnie pusciliby Jodie przodem, ponieważ jego pokolenie jeszcze z awracalo uwagę na dobre maniery, ale nauczył się, że lepiej zachować ostrożność z takimi demonstracjami rycerskości, jeśli nie wiadomo, jak kobieta na nie zareaguje. No i to był Jej dom, a nie jego, co również miało znaczenie. Musiała zamknąć drzwi na klucz. Z tych powodów pierwszy wyszedł na ganek i jego pierwszego zobaczyli dwaj zaczajeni ludzie Hobiego. Sprzatnijcie go. Macie przywieźć mi te Jacob, polecił im szef. Ten z lewej zdecydował się strzelać natychmiast z siedzącej pozycji. Był napięty i gotowy, toteż jego mózg potrzebował tylko ułamka sekundy na przetworzenie danych dostarczonych przez nerw wzrokowy. Poczul, jak otwierają się drzwi, zobaczył, jak odchyła się moskitiera, ktoś wychodzi na ganek, poznał potężnego faceta z Key West, więc wystrzelił.

Ten z prawej znalazł się w głupiej sytuacji. Tuż przed nosem miał napiętą na ramie moskitierę. Sama w sobie nie stanowiła żadnej przeszkody, ponieważ nylonowa gaza zagrządzająca drogę owadom nie może zatrzymać pocisków, a le obracająca się rama uderzyła go w prawą rękę, gdy próbował przyjąć pozycję do strzału. Zawahał się, po czym przesunął się w bok i do przodu, żeby wyjść zza moskitiery. Chwycił ramę lewą ręką, odsunął ją i złożył się do strzału.

Reacher zareagował całkowicie automatycznie i instynktownie. Miał prawie trzydzieści dziewięć lat, sięgał pamięcią a trzydzieści pięć lat wstecz, ale nie przypominał sobie niczego poza służbą wojskową ojca, jego kolegów, swoją, swoich kolegów. Nie znalazł stabilności, nigdy nie chodził przez rok do tej samej szkoły, nigdy nie pracował od dziewięciu

tej do siedemnastej, od poniedziałku do piątku, nigdy nie oczekiwał niczego poza atakiem z zaskoczenia. Część jego mózgu rozrosła się jak groteskowy miesień, dlatego wydawało mu się całkowicie normalne, że teraz zobaczył na ganku dwóch mężczyzn, których poprzednio widział w odległym o pięć tysięcy kilometrów Key West, zaczajonych z dziewięciomilimetroowymi pistoletami w ręku. Nie przeżył szoku, zaskoczenia, nie poczuł leku lub paniki. Żadnego wahania, zwłoki, blokady. Natychmiast zareagował na czysto mechaniczny problem, jaki pojawił się przed nim niczym geometryczny rysunek, lecz związany był z czasem, przestrzenią, liniami strzału, twardymi pociskami i miękkim ciałem. Reacher trzymał w lewej ręce walizkę. Gdy przekraczał

prog, walizka nabrała pedu. Teraz zrobił dwie rzeczy równocześnie. Lewa ręka wziął szeroki zamach, unosząc walizkę przed siebie, a prawa popchnął Jodie w głąb holu. Pocisk ugrzązł w walizce, a Jodie uskoczyła kilka kroków do tyłu. Reacher poczuł szarpnięcie, ale nie przerwał

muchu. Wychylił się do przodu jak nurek zastanawiający się nad skokiem do zimnej wody. Walizka uderzyła w twarz faceta po lewej. Nie zdążył wstać, był w niestabilnej pozycji, dlatego przewrócił się, potoczył po ganku i znikł ze sceny.

Reacher nie widział tego, ponieważ skupił uwagę na drugim przeciwniku, który usiłował obejść moskitiere. Musiał jeszcze obrócić się o jakieś piętnaście stopni, żeby znaleźć się w pozycji umożliwiającej strzał. Reacher wykorzystał ped walizki, żeby rzucić się do przodu. Znalazł się obok przeciwnika, który uderzył go pistoletem w piers. Reacher usłyszał huk wystrzału i poczuł, jak gazy wylotowe parzą jego skórę, ale pocisk przeleciał pod jego lewym ramieniem i trafił w garaż. W tym momencie Reacher uderzył napastnika łokciem w twarz. Gdy człowiek ważący sto dziesięć kilogramów rzuca się gwałtownie naprzód, a przy okazji trafia przeciwnika sztywno ustawionym łokciem, to takie uderzenie może spowodować poważne obrażenia. Reacher trafił w brode. Fala uderzeniowa rozeszła się wzdłuż szkieletu do stawu, który był dostatecznie mocny, żeby przenieść wstrząs aż do mózgu. Przeciwnik osunął się bezwładnie na ziemię. Reacher wiedział, że minie trochę czasu, nim tamten odzyska przytomność. Rama moskitiery zatrzasnęła się pod działaniem sprężyny. Ten po lewej przetoczył się po podłodze w bok, żeby podnieść pistolet. W drzwiach widac było zgietą w pol Jodie. Przyciskała rękę do piersi, usiłując złapać oddech. Stara walizka sturlała się po schodach na trawnik. - Reacher miał problem z Jodie. Stał w odległości dwóch i pół metra od niej, a między nimi był ten z lewej. Gdyby podniósł broń i złożył się w prawo, Jodie byłaby na linii strzału. Reacher popchnął nieprzytomnego przeciwnika na bok i rzucił się do drzwi. Odchylił moskitiere i wpadł do środka. Zatrzasnął drzwi i pociągnął Jodie w głąb korytarza. Usłyszał trzask automatycznego zamka i prawie jednocześnie z drzwi

posypały się drzazgi - to ten z lewej wystrzelił trzy razy. Reacher chwycił Jodie i pobiegł do kuchni, - Czy możemy dostać się do garażu?

-Przez wiatę.

Był czerwiec. Wiatę była całkowicie otwarta - zamiast ścian po obu stronach wisiały tylko moskitiere. Ten z lewej miał berettę M9 z magazynkiem na piętnaście nabojęw. Wystrzelił cztery - jeden w walizkę, trzy w drzwi. Zostało mu jedenastka, co nie było pocieszającą myślą, jeśli jedyna przegroda między nimi miała stanowić nylonowa siatka.

-Kluczyki do samochodu?

Jodie pogrzebała w torebce i podała mu kluczyki. Reacher zacisnął je w pięści. W głębi kuchni zauważył szklane drzwi. W drugim końcu wiaty widac było identyczne drzwi do garażu.

-Czy drzwi są zamknięte na klucz? Jodie pokiwała głową, z trudem łapiąc oddech.

-Zielony. Zielony jest do garażu. Reacher spojrzał na rękę kluczy. Do kolka był doczepiony

stary klucz yale oznaczony zielonym kolorem. Otworzył drzwi z kuchni, przykleknął i wysunął głowę, niżej niż mogłoby się spodziewać przeciwnik. Rozejrzał się, ale nikogo nie dostrzegł. Wybrał zielony klucz i ujął go jak miniaturową lancę. Rzucił się sprintem pod wiatę. Wcisnął klucz w otwór zamka, otworzył drzwi i machnął ręką na Jodie, żeby poszła w jego ślady. Wpadła do garażu, on zatrzasnął za nią drzwi. Przekrecił klucz i nasłuchiwał. Cisza. W przest

ronnym garażu panował półmrok. Reacher dostrzegł odsłonięte krokwie i szkielet ścian. W powietrzu unosił się zapach oleju i gazu do chłodnicy. W garażu było pełno różnych rzeczy - kosiarek, wazy ogrodowych, leżaków, ale wszystkie wydawały się stare, tak jakby gospodarz przestał kupować nowe urządzenia dwadzieścia lat temu. Brama otwierała się do góry po metalowych prowadnicach. Żadnego elektrycznego mechanizmu. Betonowa podłoga, stara i wyściełana do czysta. Jodie miała nowego oldsmobile'a brązowego, ciemnozielonego ze złotymi ozdobami. Według napisów z tyłu miał napęd na cztery koła i silnik V-6. W ich sytuacji napęd na wszystkie koła mógł się przydać, ale kluczowe znaczenie miało to, czy silnik natychmiast zapali.

-Połóż się na podłodze z tyłu - szepnął Reacher. - Okay? Jodie weszła na czworakach do

samochodu i położyła się

na płask na osłonie wału napędowego. Reacher znalazł klucz do bramy garażu. Unosił ją, wyjrzał na zewnątrz i przez chwilę nasłuchiwał. Żadnych mchów, żadnych dźwięków. Wrócił do samochodu, włożył kluczyk do stacyjki i przekreślił. Przesunął elektrycznie sterowany fotel do samego końca.

-Zaraz wracam - szepnął.

Garber trzymał narzędzia równie pedantycznie uporządkowane jak dokumenty i długopisy. Na ścianie wisiała tablica z hakami dostosowanymi do wszystkich podstawowych narzędzi. Reacher wybrał ciężki młotek stolarski. Podszedł do bramy i cisnął młotek ponad dachem domu, tak aby wylądował w krzakach od frontu. Policzył do pięciu, żeby dać przeciwnikowi czas na dobiegnięcie do krzaków z miejsca, gdzie się ukrył, po czym pognął do samochodu. Stojąc, przekreślił klucz.

Silnik zapalił za pierwszą próbą. Reacher znowu podbiegł do bramy i otworzył ją do samej góry. Wskoczył za kierownicę, wrzucił wsteczny i nacisnął pedał gazu. Wszystkie cztery koła zapisały się po czym wgrzyły się w beton i samochód wystrzelił z garażu. Reacher zauważył faceta z beretta daleko po lewej, na trawniku przed frontowymi drzwiami. Obrócił się i spojrzał w ich kierunku. Reacher gwałtownie przyspieszył. Oldsmobile wyjechał tyłem na drogę. Jack zahamował, wrzucił jedynkę i wystartował, pozostawiając za sobą dym wydobywający się spod opon.

Przejechał na pełnym gazie pięćdziesiąt metrów, po czym łagodnie wyhamował tuż za podjazdem do domu sąsiadów.

wrzucił wsteczny i powoli wjechał na podjazd, między drzewa, gasił silnik. Jodie wstała z podłogi i spojrzała na niego. - Do diabła, co my tu robimy? - spytała. - Czekamy. - Na co?

-Az oni sobie pojadą.

Jodie wzięła głęboki oddech. Była równie oburzona, co zaskoczona.

-Nie będziemy tu czekać, Reacher. Jedziemy prosto na Policję. Jack przekreślił kluczyk, żeby włączyć prąd. Otworzył okno i uważnie nasłuchiwał.

-Nie mogę iść na policję - powiedział, nie patrząc na nią.

-Dlaczego, do cholery?

-Bo będa podejrzewali, że zabiłem Costella.

-Ale go nie zabiłeś.

-Mylisz, że natychmiast mi uwierzą?

-Będa musieli uwierzyć, bo naprawdę tego nie zrobiles. To proste.

-Zajmie im troche czasu, nim znajda kogos, kto bedzie wygladal na lepszego kandydata na morderce.

-Co chcesz przez to powiedziec?

-Chce powiedziec, ze ze wszystkich mozliwych wzgledow pedzie lepiej, jesli sprobuj trzymac sie daleko od policji. Jodie pokrecila glowa. Jack widzial to w lusterku wstecznym.

-Nie, Reacher, musimy w tej sprawie skontaktowac sie z policja Jack patrzyl jej w oczy w lusterku.

-Pamietasz, co czesto powtarzal Leon? Lubil powtarzac: Do diabla, ja jestem policjantem.

-No, rzeczywiscie byl policjantem, tak jak ty. To jednak bylo juz dosc dawno.

-Nie tak bardzo dawno, w kazdym razie dla niego i dla mnie. Jodie przez chwile milczala. Przesunela sie do przodu, w jego strone.

-Ty nie chcesz isc z tym na policje, prawda? To o to chodzi. Nie o to, ze nie mozesz, tylko ze nie chcesz. Reacher odwrocil sie na fotelu, tak aby mogl na nia spojrzec. Jodie patrzyla na dluga, ciemna

plame na jego koszuli, utworzona przez spalony material, sadze i czastki prochu. Rozpial guziki i rozchylil poly koszuli. Na skorze mial taka sama plame. Widac bylo spalone, poskrecane wlosy i nabrzmiewajacy, czerwony pecherz. Polizal kciuk i przycisnal pecherz. Skrzywil sie.

-Zadarli ze mna, sam sie z nimi policze.

-Trudno mi uwierzyc wlasnym uszom - odpowiedziala, patrzac na niego. - Jestes rownie niemozliwy jak moj ojciec. Powinnismy zawiadomic policje, Reacher.

-Nie moge - powtorzyl. - Wsadza mnie do wiezienia.

-Powinnismy to zrobic.

W jej glosie zabraklo przekonania. Reacher pokrecil glowa i nic nie powiedzial. Patrzyl na nia uwaznie. Byla prawnikiem, ale byla tez corka Leona i wiedziala, jak toczy sie sprawy w rzeczywistym swiecie. Milczala przez dluzsza chwile, po czym bezradnie wzruszyla ramionami. Przycisnela dlon do mostka, jakby ja cos bolalo.

-Nic ci nie jest? - spytal.

-Zdrowo mnie walnales - odparla. Moglbym cie rozmasowac, pomyslal Reacher.

-Kim oni sa? - spytala.

-To ci dwaj zabili Costella.

Kiwnela glowa i ciezko westchnela. Popatrzyła w prawo i w lewo.

-Dokad jedziemy? Reacher sie rozluznil. Na jego twarzy pojawil sie usmiech.

-A gdzie na pewno nie beda nas szukac? Jodie wzruszyla ramionami. Oderwala reke od piersi i przygladzila wlosy.

-Manhattan? - powiedziala.

-Dom Leona - odrzekl. - Widzieli, jak ucieklismy. Nie spodziewaja sie, ze zawrocimy.

-Jestes wariatem, wiesz?

-Musimy odzyskac walizke. Byc moze Leon zostawil jakies notatki. Jodie byla wyraznie oszolomiona.

-No i musimy znowu zamknac dom. Nie mozemy zostawic otwartego garazu, bo natychmiast zagniezdza sie w nim szopy. Bedziemy mieli cala rodzine tych lajdakow. Reacher uniosl reke. Przylozyl palec do ust. Oboje uslyszeli war kot zapalanego silnika. Pewnie duzy V-8 w odleglosci dwustu

metrow. Chrzest zwiru na podjezdzie pod ciezarem duzych opon. Wzrost obrotow. Po chwili zobaczyli przejezdza cy droga ciemny samochod. Duzy czarny woz terenowy z aluminiowymi felgami. Yukon lub tahoe, zaleznie od tego , czy z tyłu ma napis GMC czy Chevrolet. W srodku dwaj mezczyzni w ciemnych garniturach. Jeden za kierownica, drugi rozwalony na fotelu. Reacher wychylil glowe przez okno i nasluchiwal. Warkot silnika stopniowo cichl. Napa stnicy pojechali w strone miasta. - - -

Chester Stone czekal w swoim gabinecie ponad godzine, po czym zadzwonil do dyrektora do spraw finansowych i k azal mu sprawdzic stan rachunku biezacego w banku. Piecdziesiat minut wczesniej na konto wplynela wpłata w wys okosci miliona stu tysiecy dolarow z polozonego na Kajmanach biura firmy powierniczej zarejestrowanej na Baham ach.

-Sa pieniadze - potwierdzil dyrektor. - Udalo sie panu, szefie.

Stone zacisnal palce na sluchawce. Nie byl pewny, co takiego mu sie udalo.

-Zejde na dol - powiedzial. - Chce jeszcze raz spojrzec na liczby.

-Liczby sa w porzadku - zapewnil go dyrektor do spraw finansowych. - Niech sie pan nie martwi.

-Zaraz bede u pana - odrzekl Stone. Zjechal winda dwa pietra i wszedl do luksusowego gabinetu dyrektora. Wprowa dzil haslo i

otworzyl tajny arkusz kalkulacyjny. Dyrektor podal nowy stan rachunku biezacego. Po chwili komputer przeliczyl w szystko i przedstawil przewidywany stan finansowy po uplywie szesciu tygodni.

-Widzi pan? - rzucil zadowolony dyrektor do spraw finansowych. - Bingo.

-A co z oprocentowaniem? - spytal Stone.

-Jedenascie patykw tygodniowo przez szesc tygodni? Dosc drogo, prawda?

-Damy rade splacic?

-Na pewno - dyrektor do spraw finansowych nie mial watpliwosci. - Jesteśmy winni dwom dostawcom siedemdziesi at trzy tysiace. Mamy pieniadze. Jesli zgubimy faktury i poprosimy ich, zeby przyslali je ponownie, uwolnimy na ch wile gotowke. - Wskazal palcem na kolumne z danymi o fakturach do zaplaceniu. - Siedemdziesiat trzy tysiace, min us szesc razy jedenascie tysiecy, zostaje siedem. Starczy, zeby kilka razy pojsc na kolacje.

-Przelicz to jeszcze raz - polecil Stone. - Sprawdz dokladnie.

Dyrektor do spraw finansowych spojrzal na niego krytycznie, ale wykonal polecenie. Odjal z konta milion sto tysiec y i na rachunku pojawil sie dlug. Wprowadzil milion sto tysiecy ponownie i wyszedl na rowno. Zlikwidowal przewi dywane wypłaty za faktury, odjal po jedenascie tysiecy za kazdy tydzien w ciagu poltora miesiaca i wyszlo mu, ze z a szesc tygodni powinni byc siedem tysiecy dolarow na plusie.

-Blisko - powiedział. - Ale po właściwej stronie.

-Jak spłacimy kredyt? - spytał Stone. - Za sześć tygodni musimy mieć milion sto tysięcy

-Nie ma problemu. Wszystko już zaplanowałem. Będziemy mieli pieniądze w porę. - Pokaż mi skąd.

-Dobra, widzi pan? - Dyrektor wskazał kolumnę z przewidywanymi wpłatami od klientów.

-Ci dwaj hurtownicy są nam winni dokładnie milion sto siedemdziesiąt trzy tysiące, co pokryje spłatę kredytu i tych dwóch faktur. Mają zapłacić równo za sześć tygodni.

-Zapłaca punktualnie?

-Dotychczas zawsze płacili - odrzekł dyrektor, wzruszając ramionami. Stone wpatrywał się w ekran. - Sprawdź jeszcze raz.

-Niech się pan nie denerwuje, szefie. Wszystko się zgadza. - Zrób to, dobrze? Dyrektor kiwnął głową. Ostatecznie to była firma Stone'a. Przeliczył wszystko ponownie od początku do końca. Wynik był

dokładnie taki sam jak przedtem. Milion sto tysięcy od Hobiego błyskawicznie znikł w zamieci wypłat pensji dla zwalnianych pracowników, dwaj dostawcy głodowali, oprocentowanie zostało spłacone, hurtownicy zapłacili, Hobie dostał z powrotem swój milion sto tysięcy, dostawcy otrzymali pieniądze z opóźnieniem, firma była siedem tysięcy dolarów do przodu. - Niech się pan nie denerwuje - powtórzył. - Będzie dobrze. Stone patrzył na ekran i myślał, czy za te siedem tysięcy dolarów Marilyn pójdzie do Europy. Pewnie nie. Na pewno nie za sześć tygodni. Zdenerwuje się. Zacznie pytać, dlaczego on chce, żeby wyjechała. Będzie musiał jej powiedzieć. Marilyn była bardzo bystra. Na tyle bystra, że zawsze potrafiła z niego wszystko wyciągnąć, tak czy inaczej. A wtedy nie zgodzi się polecieć i przez sześć tygodni ona również nie będzie mogła zasnąć. - - -

Walizka leżała na trawniku przed domem. Ha jednej ścianie widac było otwór wlotowy pocisku. Drugiej dziury nie było. Pocisk przebił ściankę z grubej tektury pokrytej skórą, ale ugrzązł w papierach. Reacher uśmiechnął się i zanieśli walizkę do garażu, gdzie czekała Jodie. Zostawili samochód na asfaltowym placu przed garażem i wrócili do domu tą samą drogą, którą wyszli. Zamknęli za sobą bramy, weszli pod wiatę, zamknęli na klucz drzwi garażu i udali się do kuchni. Tu również zamknęli drzwi na klucz. Na podłodze leżała porzucona torba Jodie z ubraniami. Reacher zanieśli walizkę do salonu. Tu było więcej miejsca i światła niż w gabinecie Leona.

Otworzył walizkę i wyrzucił teczkę na podłogę. Spomiędzy papierów wypadł pocisk. Standardowy naboje Parabellum, czterechmiliimetrowy, z pełnym miedzianym płaszczem i trochę spłaszczonym czubkiem po uderzeniu w walizkę, ale poza tym bez żadnych charakterystycznych znaków. Pocisk zatrzymał się w papierach po pokonaniu jakichś czterdziestu centymetrów.

Widac było ślad przecinający połowę teczek. Zważyć naboje w dłoni. W tym momencie dostrzegł w drzwiach Jodie i rzucił go jej. Złapała pocisk jedną ręką.

-Pamiętka - powiedział.

Jodie podrzuciła kilka razy kule, tak jakby była gorąca, po czym cisnęła ją do kominka. Ukłękła obok Reachera na dywan, przed stertą papierów. Poczł zapach jej perfum, subtelny i kobiecy. Miała na sobie za luzną, bezkształtną białą dresówkę, która jednak podkreślała jej figurę. Rękawy kończyły się w połowie dłoni, niemal sięgały palców. Leżące na biodrach, ale miały luzne nogawki. Wydawała się krucha i delikatna, lecz Jack pamiętał, jak silna ma ramię. Szczupła, ale mocna. Gdy pochyliła się nad teczkami, włosy opadły jej na oczy. Reacher poczuł zapach, który pamiętał od piętnastu lat.

-No to czego szukamy? - spytała.

-Przypuszczam, że dowiemy się, jak znajdziemy - odpowiedział, wzruszając ramionami. Szukali długo, ale niczego nie znaleźli. W papierach nie było niczego ciekawego. Niczego nowego, niczego, co miałyby

znaczenie. Po prostu sterta dokumentów dotyczących domowych i osobistych, które nagle wydały się stare i żałosne, gdyż przypominały historie zakończonego życia. Najnowszym dokumentem był testament umieszczony w oddzielnej teczce w zapieczętowanej kopercie. Starannie wykaligrafowany napis wydawał się nieco chwiejny, ale tak bywa, gdy pisze człowiek, który właśnie wrócił ze szpitala po pierwszym zawale. Jodie wzięła kopertę i schowała do torby z ubraniami, która zostawiła na korytarzu.

-Jakies niezapłacone rachunki?! - zawołała. Jedna teczka miała etykiety SPRAWY BIEŻĄCE.

Była pusta.

Niczego nie znalazłem! - odkrzyknął. - Pewnie jakieś nadejda. Czy otrzymywał rachunki co miesiąc? Jodie spojrzała na niego z uśmiechem. - Tak, co miesiąc.

Teczka z etykietą OPIEKA MEDYCZNA była wypełniona rachunkami ze szpitala i kliniki oraz zwieźła korespondencja z firmą ubezpieczeniową. Reacher przejrzał dokumenty. - Chryste, to leczenie tyle kosztuje? Jodie wróciła do salonu i zajrzała mu przez ramię.

-Naturalnie - potwierdziła. - Czy masz ubezpieczenie? Jack spojrzał na nią z zaskoczeniem,

-Myślę, że Urząd Weteranów zapewni ubezpieczenie przynajmniej przez pewien czas po zakończeniu służby. - Lepiej to sprawdź. Upewnij się. - Przecież dobrze się czuje - odpowiedział, wzruszając ramionami.

-Ojciec też czuł się dobrze. Przez szesćdziesiąt trzy lata i sześć miesięcy. Jodie uklekła obok niego. Miała pochmurne oczy. Jack delikatnie położył rękę na jej ramieniu.

-Piekielny dzień, prawda?

Pokiwała głową i zamrugła. Zdobyła się na słaby, ironiczny uśmiech.

-Trudno w to uwierzyć - powiedziała. - Pochowałam

ojca, uciekłam przed ostrzałem morderców, złamałam prawo, nie zgłaszając tylu przestępstw, że trudno mi je nawet zliczyć,

i jeszcze rozmawiam o połączeniu sił z jakimś facetem, któremu chodzi po głowie osobista zemsta. Wiesz, co tata był na to powiedział?

-Co takiego? Zaciśnęła usta i zniżyła głos, dobrze naśladując dobroniuszny warkot Garbera.

-Zwykła codzienność, dziewczyno, zwykła codzienność. Na pewno powiedziałby coś w tym stylu.

Reacher uśmiechnął się do niej i znowu uściśnął jej ramiona. Wyciągnął ze sterty medycznych dokumentów kartkę z nagłówkiem kliniki kardiologicznej.

-Chodź, musimy znaleźć te kliniki - rzekł.

--

Podczas jazdy do Nowego Jorku w Tahoe trwała długa dyskusja, czy w ogóle powinni wracać. Niepowodzenie nie b

yło słowem, które Hobbie lubił słyszeć. Może lepiej byłoby, gdyby po prostu znikli. Zwyczajnie spieprzyli. To była atrakcyjna perspektywa, ale nie mieli wątpliwości, że Hobbie ich znajdzie. A to już zdecydowanie nieatrakcyjna perspektywa. Wobec tego skupili uwagę na ograniczeniu strat. Wydawało się jasne, co powinni zrobić. Zatrzymali się i zabili dostatecznie dużo czasu w restauracji przy szosie numer 9. Gdy przebili się przez korki na południe Manhattanu, mieli opracowaną całą historię.

-To nie była żadna lamigłowa - oświadczył jeden. - Czekaliśmy kilka godzin, dlatego jesteśmy tak późno. Kłopot polegał na tym, że tam przebywała cała grupa żołnierzy. Brali udział w uroczystości, ale mieli przy sobie broń.

-Ilu? - spytał Hobbie.

-Żołnierzy? - włączył się drugi. - Kilkunastu. Może piętnastu. Stale się krecili, trudno ich było policzyć. Coś w rodzaju warty honorowej.

-Wyszła z nimi - dodał pierwszy. - Pewnie towarzyszyli jej z cmentarza do domu, a potem znowu gdzieś z nimi pojechała.

-Nie przyszło wam do głowy, żeby ich śledzić?

-Nie mogliśmy w żaden sposób - odpowiedział drugi. - Jechali powoli. Długa kolumna samochodów. Jak to na pogrzebie. Natychmiast by nas zauważyli. Przecież nie mogliśmy po prostu dołączyć się do kolumny, prawda? - A co z tym wysokim facetem z Keys? - Wyszedł wcześniej. Pozwoliliśmy mu odejść. Wypatrywałam pani Jacob. Wkrótce stało się jasne, która to. Goście wychodzili, ona została. Potem odjechała w towarzystwie żołnierzy.

-I co zrobiliście?

-Sprawdziliśmy dom - powiedział pierwszy. - Był zamknięty na cztery spusty. Pojechalismy zatem do miasta i sprawdziliśmy, kto jest właścicielem. Wszystkie informacje można znaleźć w bibliotece publicznej. Dom należał do niejakiego Leona Garbera. Spytałismy bibliotekarkę, czy wie, kto to taki. Dała nam lokalną gazetę. Na trzeciej stronie był artykuł o nim. Właśnie zmarł na zawał. Wdowiec, ma jedno dziecko, córkę Jodie, była panią Jacob. Mimo młodego wieku to bardzo znana adwokatka specjalizująca się w sprawach finansowych,

partnerka w kancelarii Spencer Gulman Ricker and Talbot z Wall Street. Mieszka w Nowym Jorku na Broadwayu. I Hobbie powoli pokiwał głową i postukał hakiem o blat w dziwnym rytmie.

-A kim był ten Leon Garber? Dlaczego na pogrzebie byli żołnierze?

-General policji wojskowej - powiedział pierwszy.

-Skonczył służbę z trzema gwiazdkami. Dostał więcej orderów, niż można zliczyć. Służył czterdzieści lat, w Korei, Wietnamie, wszędzie - dodał drugi.

Hobbie przestał stukać. Siedział nieruchomo, a z jego twarzy odpłynęła krew. Od białej skóry wyraźnie odcinały się rany po oparzeniach.

-General policji wojskowej - powtórzył cicho. Przez dłuższą chwilę milczał, wpatrując się w przestrzeń. Podniósł hak i obrócił go przed oczami, przypatrując się, jak promień światła

przepuszczone przez zaluzje odbijaja sie od lsniacego metalu. Hak drzal. Hobie chwycil go lewa reka i unieruchomil.

-General policji wojskowej - powiedzial jeszcze raz, wpatrujac sie w bak. Przeniosl wzrok na dwoch mezczyzn na sofach.

-Wyjdz - polecil temu, ktory zaczal mowic jako drugi.

Mezczyzna wstal, zerknal na partnera, po czym wyszedl i cicho zamknal za soba drzwi. Hobie

odepchnal fotel do tyłu i wstal. Wyszedl zza biurka. Okrazyl sofe i stanal za siedzacym na niej mezczyzna. Ten zas trwal w bezruchu, nie smial nawet obejrzec sie za siebie. Facet nosil koszule w rozmiarze czterdziesci, co oznacza, ze jego szyja miala srednice okolo trzynastu centymetrow, zakladajac, ze ludzka szyja ma ksztalt cylindra. Hobie zawsze przyjmowal to zalozenie. Jego hak mial ksztalt sporej litery J; srednica zakrzywionej czesci wynosila jedenascie centymetrow. Blyskawicznym ruchem chwycil hakiem szyje siedzacego na sofie mezczyzny. Zrobil krok do tyłu i mocno pociagnal. Facet zaczal sie rzucac. Zlupal palcami hak, usilujac sie uwolnic. Hobie usmiechnal sie i pociagnal jeszcze mocniej. Hak byl przytwierdzony do mocnego skorzanego futeralu na przedramie, przymocowanego powyzej lokcia. Futeral na przedramieniu tylko stabilizowal polozenie haka, natomiast ciasna obejma, wezsza niz lokiec, uniemozliwiala jego zerwanie. Hobie ciagnal za hak, az wreszcie facet zaczal rzezic, a jego twarz przybrala niebieski kolor. Wtedy Hobie zwolnil nieco chwyt i pochylil sie nad uchem ofiary.

-Twój kolega ma wielkiego siniaka na twarzy. Do diabla, jak sie go dorobil?

Facet ciezko dyszal i gwałtownie machal rekami. Hobie obrocil nieco hak. Zmniejszyl nacisk na tchawice, ale jednocześnie dotknal czubkiem miekkiego miejsca za uchem.

-No, skad ten siniak? - spytal ponownie. Mezczyzna na sofie wiedzial, ze wystarczy, aby

Hobie lekko

zmienil kat i zwiekszył nacisk, a hak wbije sie w szyje tuż za szczeka. Nie znal sie na anatomii, ale zdawal sobie sprawe, ze od smierci dziela go tylko dwa centymetry.

-Powiem panu - wykrztusil. - Powiem panu. Hobie nie zdjal haka z jego szyi. Poruszał

nim lekko, ilekroć

facet sie wahal, wiec nic dziwnego, ze opowiedzenie calej prawdziwej historii od poczatku do konca trwalo tylko trzy minuty. E- Zawiedliscie mnie - oswiadczył Hobie.

-Tak, ale to jego wina - wydyszal tamten. - Zaplatal sie w moskitiere. Byl bezuzyteczny. Hobie szarpnal hak.

-W przeciwienstwie do kogo? On byl bezuzyteczny, a ty uzyteczny?

-To jego wina - powtorzyl mezczyzna. - Ja jestem przydatny.

-Bedziesz musial to udowodnic.

-Jak? - spytal, ciezko rzezac. - Niech pan tylko powie.

-Bardzo prosto. Mozesz cos dla mnie zrobic.

-Dobrze. Spełnie każdy rozkaz. - Przyprowadz mi pania Jacob! - krzyknął Hobie.

-Dobrze! - rozpaczliwie wrzasnął facet.

-I tym razem nie spieprz roboty! - ryczał Hobie.

-Nie, nie spieprzymy, obiecuje. Hobie znowu szarpnął hak, dwukrotnie.

-Zadane my. Tylko ty masz zrobić dla mnie jeszcze coś.

-Co takiego? - wymamrotał mężczyzna, łapiąc oddech. - Zrobię wszystko.

-Pozbądź się swego bezużytecznego partnera. Dzisiaj wieczorem na motorowce. Mężczyzna pokiwał głową tak energicznie, jak tylko mógł, czując hak zaciskający się na szyi. Hobie się pochylił i zdjął hak. Facet zwałił się na bok, ciężko dysząc i wymiotując.

-Masz mi przynieść jego prawą dłoń - powiedział Hobie. - Jako dowód. - - -

Reacher i Jodie dowiedzieli się, że klinika, w której leczył się Leon, nie była samodzielną instytucją, lecz oddziałem ogromnego prywatnego szpitala służącego wszystkim mieszkańcom okręgu Putnam. Szpital mieścił się w dziesięciopiętrowym białym budynku w parku, gdzie wzniesiono także pawilony specjalistycznych klinik. Przy parkowych alejkach stały niewielkie domki, w których urządzono gabinety lekarzy i stomatologów. Ciężko chorych pacjentów przenoszono do głównego budynku. Klinika kardiologiczna była jednostką administracyjną złożoną ze zmiennej grupy lekarzy i pacjentów. Z listów Leona wynikało, że

był leczony w kilku miejscach, od oddziału intensywnej opieki medycznej na początku przez sale dla rekonwalescentów do kliniki dla pacjentów dochodzących. Na koniec trafił znowu na OIOM.

We wszystkich dokumentach szpitalnych Leona przewijało się nazwisko kardiologa, doktora McBannermana. Reacher wyobrażał go sobie jako uprzejmego starszego pana z siwymi włosami, madrego i współczującego, zapewne szkockiego pochodzenia. Jodie powiedziała mu jednak, że w rzeczywistości to trzydziestopięcioletnia kobieta z Baltimore; spotkała się z nią kilka razy. Reacher prowadził samochód po wąskich, krętych drożkach przez park. Jodie rozglądała się na boki, szukając właściwego pawilonu. Poznała niski budynek z cegiel stojący w głębi ślepego zaułka. Jak wiele innych szpitali, i ten sprawiał wrażenie otoczonego przez antyseptyczne halo. Przed budynkiem stało sześć samochodów; Reacher zaparkował na ostatnim wolnym miejscu.

Recepcjonistka była stara gruba plotkara, która przywitała Jodie, demonstrując współczucie. Zaprosiła ich, żeby poczekali w gabinecie doktor McBannerman, na co czekający pacjenci zareagowali gniewnymi spojrzeniami. Gabinet był pomieszczeniem neutralnym, bladym i sterylnym, z leżanką do badania i dużym kolorowym przekrojem serca na ścianie za biurkiem. Jodie wpatrywała się w planszę, jakby myślała, która część w końcu zawiodła? Reacher czuł, jak jego serce, wielkie i mocne, bije o zebra. W nadgarstkach i na szyi wyczuwał pulsowanie krwi.

Czekali dziesięć minut. W końcu drzwi się otworzyły i do gabinetu weszła doktor McBannerman, niezbyt urodziwa, ciemnowłosa kobieta w białym kitlu, ze stetoskopem na szyi niczym symbolem pełnionej funkcji. Wydawała się za niepokojoną.

-Jodie - powiedziała. - Jest mi bardzo przykro z powodu Leona.

To była na dziewięćdziesiąt dziewięć procent szczerą uwagę, ale tkwiła w niej również pewna obawa. Leka się procesu o błąd w leczeniu, pomyślał Reacher. córka pacjenta, adwokatka, pojawiła się w gabinecie niemal prosto z pogrzebu. Jodie również to dostrzegła i postarała się ją uspokoić. - Przyszłam, żeby pani podziękować. Była pani wspaniała od początku do końca. Nie moglibyśmy sobie życzyć lepszego lekarza.

McBannerman odetchnęła. Zapomniała o niepokoju. Uśmiechnęła się do Jodie, która znowu spojrzała na plansze na ścianie. - Która część w końcu zawiodła? - spytała. McBannerman dostrzegła, że Jodie patrzy na przekrój serca. Wzruszyła lekko ramionami.

-Hm, tak naprawdę to całe serce. To wielki, złożony miesien, który rytmicznie pulsuje trzydziestu milionów razy w ciągu roku. Jeśli wykona prawie trzy miliardy uderzeń, czyli pije dziewięćdziesiąt lat, to mówimy, że jest stary. Gdy zawodzi po dwóch miliardach uderzeń, czyli sześćdziesięciu latach, nazywamy to przedwczesną chorobą serca. Mówimy, że to najpoważniejszy problem zdrowotny Amerykanów, ale w istocie chodzi o to, że wcześniej lub później przestaje bić.

Urwala i spojrzała na Reachera. Przez chwilę myślała, że ostrzegła jakieś niepokojące symptomy, ale natychmiast się reflektowała, że lekarka po prostu oczekuje, iż się przedstawi.

-Jack Reacher - powiedział. - Byłem starym przyjaacielem Leona.

McBannerman pokiwała powoli głową, tak jakby wyjaśniła się jakaś zagadka.

-Słowny major Reacher. Leon bardzo często o panu mówił.

Usiadła i popatrzyła na niego z wyraźnym zainteresowaniem. Obrzuciła wzrokiem jego twarz, a potem skupiła spojrzenie na klatce piersiowej. Reacher nie był pewny, czy wynikało to z medycznej specjalności, czy też jej uwagę przyciągnęły ślady spalenizny na koszuli.

-Czy mówił jeszcze o czymś? - spytała Jodie. - Miałam wrażenie, że czymś się martwił. Lekarka zwróciła się do niej lekko zdziwiona, tak jakby pomyślała, że wszyscy jej pacjenci się czymś martwią, na przykład śmiercią.

-A co ma pani na myśli?

-Sama nie wiem - przyznała Jodie. - Może jakaś sprawa, w którą wciągnął go inny pacjent.

McBannerman wzruszyła ramionami. Spojrzała na Jodie tak, jakby chciała odrzucić te sugestie, ale w ostatniej chwili coś sobie przypomniała.

-Hm, raz wspomniał o czymś. Powiedział mi, że ma nowe zadanie.

-Czy wyjaśnił, co to za zadanie? Lekarka pokręciła głową.

-Nie opowiadał mi o żadnych szczegółach. Miałam wrażenie, że początkowo go to nudziło. Odnosił się do tego z niechęcią. Tak jakby ktoś zwał na niego jakąś żmudną robotę. Później wyraźnie się tym zainteresował. Doszło do tego, że nadmiernie się przejmował. Miał kiepskie EKG, dlatego wcale nie byłam z tego zadowolona.

-Czy utrzymywał szczególnie bliski kontakt z jakimś pacjentem? - spytał Reacher. Lekarka znowu potrząsnęła głową.

-Naprawdę nie wiem. To zapewne możliwe. Pacjenci spędzają razem dużo czasu, dużo rozmawiają. To często starzy ludzie, znudzeni i samotni. Ostatnie zdanie zabrzmiało jak przygana. Jodie się zaczerwieniła.

-Kiedy Leon po raz pierwszy o tym wspomniał? - szybko spytał Reacher.

-W marcu? - powiedziała McBannerman z namysłem. - Moze w kwietniu? Niedlugo po tym, jak zostal wypisany. Na krotko przed jego podroza na Hawaje.

-Ojciec byl na Hawajach? - zdziwila sie Jodie. - Nic o tym nie wiedzialam.

-Nie przyszedl na umowiona wizyte, wiec spytalam go, co sie stalo - wyjasnila lekarka. - Powiedzial, ze polecial na kilka dni na Hawaje.

-Hawaje? Dlaczego tam polecial, nic mi nie mowiac?

-Nie wiem, po co tam sie wybral. - Czy Leon czul sie dostatecznie dobrze, zeby podrozowac?

-spytal Reacher. McBannerman pokrecila glowa.

-Nie. Zdawal sobie chyba sprawe, ze to glupota. Moze dlatego nic o tym nie mowil.

-Kiedy zostal wypisany?

-Na poczatku marca.

-A kiedy polecial na Hawaje?

-Wydaje mi sie, ze w polowie kwietnia.

-Dobrze - powiedzial Reacher. - A czy moglaby pani dac nam liste pacjentow z tego okresu? Z marca i kwietnia. Lubi, z ktorymi mogl rozmawiac.

McBannerman od razu potrzasnela glowa. - Nie. Przykro mi, ale nie moze tego zrobic. To informacje poufne.

Spojrzala blagalnie na Jodie, jak lekarka na prawnika, kobieta na kobiete. Jej oczy mowily: Wie pani, jak to jest. Jodie pokiwal glowa ze zrozumieniem.

-Moze moglabym spytac recepcjonistke? Moze widziala,

jak tata rozmawial z kims czesciej niz z innymi pacjentami? To bylyby informacje pochodzace z rozmowy, nie zas z poufnych dokumentow. Zadnych problemow z tajemnica lekarska. McBannerman sie zorientowala, ze nie ma wyjścia. Nacisnela guzik interkomu i poprosila recepcjonistke do gabinetu. Kobieta zaczela mowic, nim jeszcze lekarka s konczyla formulowac pytanie.

-Tak, oczywiscie. Pan Garber zawsze rozmawial z tym sympatycznym, starszym malzenstwem. Wie pani, to ten mezczyzna z niedomykalnoscia zastawki prawego przedsionka. Nie moze juz prowadzic, dlatego zawsze przywozi go z ona. Tym strasznie starym samochodem. Pan Garber cos dla nich robil. Jestem tego absolutnie pewna. Ciagle pokazywali mu stare fotografie i jakies papiery.

-Panstwo Hobie? - spytala McBannerman. - Tak, wlasnie oni. Stale ze soba szeptali jak spiskowcy. Pan Garber i panstwo Hobie.

Hak Hobie siedzial sam w swoim gabinecie na osiemdziesiatym osmym pietrze, wsluchiwal sie w szmery dochodzace z ogromnego budynku i usilnie sie zastanawial nad zmiana planu. Potrafil elastycznie dostosowywac sie do okolicznosci i byl z tego dumny. Umial sluchac,

obserwować, zmieniać się i uczyć. Uważał, że to daje mu przewagę i czyni kims wyjątkowym. Ody pojechał do Wietnamu, nie zdawał sobie sprawy z własnych zdolności. Właściwie nie zdawał sobie sprawy z niczego,

taki był młody. Na dokładkę wywodził się z podmiejskiej prozai, gdzie nie miał okazji zdobyć żadnych doświadczeń.

Wietnam go zmienił. Mogł go złamać, tak jak złamał wielu. Wszędzie wokół siebie widział ludzi, którzy tego nie wytrzymały. Nie tylko dzieciaki takie jak on, ale również starsi faceci, zawodowcy służący w armii od lat. Wietnam był dla wszystkich ciężarem, który wielu złamał. Jednakże Hobbie nie pękł. Rozglądał się wokół siebie, zmieniał i dostosowywał. Słuchał i uczył się. Zabijanie było łatwe. Przedtem widział tylko martwe zwierzęta zabite na drodze - wiewiórki, krowki i skunksy. Pierwszego dnia w dżungli w Wietnamie zobaczył zwłoki osiem amerykańskich żołnierzy z pieszo patrolu, którzy dostali się pod ogień moździerzy. Ośmiu ludzi, dwadzieścia dziewięć kawałków ciał, niektóre całkiem duże. To był przełomowy moment. Jego koledzy błędnili, wymiotowali, jęczały, nie mogąc w to uwierzyć. On patrzył na to nieporuszony. Zaczął od handlu. Wszyscy czegoś chcieli. Wszyscy narzekali, że czegoś nie mają. To było absurdalnie łatwe. Wymagało tylko uważnego słuchania. Jakis facet palił, ale nie pil. Inny pil, ale nie palił. Wez od jednego piwa, zanieś drugiemu w zamian za papierosy. Dobij targu. Zachowaj prowizję. To było takie łatwe i oczywiste, że nie mógł zrozumieć, dlaczego ludzie nie robili tego sami. Nie traktował tego zajęcia poważnie, gdyż był przekonany, że wkrótce się skończy. Przecież ludzie musieli się szybko zorientować i wykluczyć pośrednika. Jednakże ludzie wcale się nie zorientowali. To była dla niego pierwsza ważna lekcja. Potrafił robić rzeczy, których inni nie umieli. Potrafił dostrzec coś, czego nie widzieli inni. Słuchał uważnie. Czego jeszcze chcieli? Wielu rzeczy. Dzwon, czyn, jedzenia, penicyliny, płyt, służby w bazie, ale nie przy czyszczeniu latryn. Butów, środków przeciw owadom, chromowanych rewolwerów, wysuszonych uszu Wietnamczyków na pamiątki. Marihuany, aspiryny, heroiny, czystych igieł, bezpiecznej służby podczas ostatnich stu dni w Wietnamie. Słuchał, szukał i pobierał prowizję. Wkrótce polem wpadł na przełomowy pomysł. Później zawsze to wspominał z wielką dumą. To był wzór dla wszystkich jego wielkich przedsięwzięć w przyszłości. Właściwie zareałował na pewne problemy, z którymi miał do czynienia. Przede wszystkim jego działalność wymagała bardzo ciężkiej pracy. Znalazienie różnych rzeczy bywało trudne. Wyszukanie zdrowych dziewczyn stanowiło kłopot, a wyszukanie dziewczyn było właściwie niemożliwe. Opanowanie stale rosnącego rynku narkotyków było ryzykowne. Inne rzeczy okazały się nuzące. Wymyślna bron, pamiątki po Wietnamczykach, nawet przyzwoite buty - zdobycie tych przedmiotów wymagało czasu. Nowi oficerowie, którzy przyjeżdżali odbyć służbę, często psuli mu najlepsze transakcje w bezpiecznej strefie, gdzie nie toczyły się walki. Poza tym pojawiła się konkurencja. Hobbie zwrócił uwagę, że nie jest wyjątkiem. Nie było wielu takich jak on, ale jednak znaleźli się ludzie, którzy włączali się do tej gry. Powstawał wolny rynek. Od czasu do czasu niektórzy odrzucali jego oferty. Twierdzili, że gdzieś indziej mogą uzyskać lepsze warunki. To był dla niego szok.

Należy się zmieniać i dostosowywać do warunków. Hobbie przemyślał sytuację. Spędził samotnie cały wieczór, leżąc na boku i zastanawiając się, co zrobić, aż wreszcie dokonał odkrycia. Po co uganiać się za rzeczami, które już teraz było trudno zdobyć, a w przyszłości będzie jeszcze trudniej? Czemu szukać jakiegoś sanitariusza i pytać, czego chce w zamian za spreparowaną czaszkę Wietnamczyka? Po co potem szukać tej cholernej rzeczy i dokonywać wymiany? Po co się tym zajmować? Czyż nie lepiej skoncentrować się na najbardziej rozpowszechnionym towarze dostępnym w całym Wietnamie?

Amerykańskie dolary. Hobbie został lichwiarzem. Później, podczas rekonwalescencji, gdy miał czas czytać, uśmiechał się na myśl o tym. To był klasyczny krok naprzód. Prymitywne społeczności uprawiają handel wymienny, a potem pojawia się gospodarka towarowo-pieniężna. Amerykanie w Wietnamie początkowo stanowili taką prymitywną społeczność. To

nie

ulegało wątpliwości. Prymitywna, improwizowana, źle zorganizowana, ledwo stojąca na błotnistej ziemi tego okropnego kraju. Z biegiem czasu społeczność się rozrastała, stabilizowała, dojrzewała. On był pierwszy, który dojrzał razem z nią. Pierwszy i przez długi czas jedyny. Z tego również był dumny. Okazał się inteligentniejszy, miał większą wyobraźnię, lepiej potrafił się zmienić, dostosować, i właśnie temu zawdzięczał sukcesy. Pieniądze zapewniały wszystko. Jeśli ktoś pragnął mieć buty, heroinę lub dziewczynę, o której jakiś kłamliwy alfons mówił, że jest dwunastoletnią dziewczyną, mógł to kupić za pieniądze pożyczone od Hobbiego. Mógł od razu zaspokoić swoje pragnienie, a zapł

acic za tydzień, plus kilka procent. Hobbie mógł spokojnie siedzieć na tyłku jak tłusty, leniwy pajak pośrodku pajeczyny. Żadnej bieżącości, żadnego zwracania głowy. Starannie wszystko przemyślał. Zdawał sobie sprawę z psychologicznej mocy liczb. Niewielkie liczby, takie jak dziewięć, wydawały

sie niegroźne. Dziewięć procent to była jego ulubiona stawka, To prawie nic. Jedna cyfra. Mniej niż dziesięć. Tak to widzieli inni. Ale dziewięć procent tygodniowo to czterysta sześćdziesiąt osiem procent rocznie. Jeśli ktoś opóźnił się ze spłatą, zaczynała działać zasada procentu składanego i całkowite roczne oprocentowanie mogło łatwo wzrosnąć do tysiąca procent. Nikt o tym nie myślał. Nikt oprócz Hobbiego. Wszyscy dostrzegali tylko liczbę dziewięć, nie wielką i niegroźną.

Pierwszym klientem, który nie mógł spłacić pożyczki, był potężny, agresywny facet, cokolwiek ograniczony. Hobbie się uśmiechał. Dawał mu dług i zasugerował, że mógłby się odwzajemnić, przyłączając się do niego i biorąc na siebie egzekucje długów. Później nie było już wielu niespłacających pożyczek. Wybór odpowiedniej metody zastraszania wymagał starannego przemyślenia. Złamanie dłużnikowi ręki lub nogi gwarantowało, że zostanie odesłany do szpitala polowego na tyły, gdzie mógłby uwodzić białe pielęgniarki heroicznymi opowieściami. Poważne złamanie mogłoby nawet skończyć się odesłaniem do Stanów. To nie była odpowiednia metoda zastraszania. Hobbie kazał swojemu egzekutorowi używać szpikulców pundi. To był wynalazek Wietnamczyków: niewielkie, ostre drewniane szpilki pokryte krowim nawozem. Wietnamczycy ustawiali je w płytkich dołkach; gdy amerykańscy żołnierze nadziewali na nie, rany i zakażenia eliminowały ich z walki. Hobbie polecił swojemu człowiekowi, żeby wbijał je w jaja dłużników. Jego klienci szybko doszli do przekonania, że długofalowe konsekwencje medyczne są zbyt groźne, żeby ryzykować, jeśli nawet mogli w ten sposób uniknąć konieczności spłacenia długu i wrócić do domu. Nim Hobbie stracił rękę i uległ poparzeniu, był już bardzo bogaty. Jego następnym majstersztykiem było przewiezienie całej fortuny do kraju, bez strat i w tajemnicy. Nie każdy potrafiłby to zrobić. Nie w takiej sytuacji, w jakiej on się znalazł. To był kolejny dowód jego wielkości. Podobnie jak dalsza historia. Po przybyciu do Nowego Jorku okaleczony i oszpecony Hobbie natychmiast poczuł się jak w domu. Manhattan to dżungla niewiele różniła się od dżungli w Indochinach. Hobbie nie widział powodu do zmiany sposobu postępowania lub zajęcia się innymi interesami. Miał znaczny kapitał na początek, nie musiał zaczynać od zera.

Przez kilka lat zajmował się lichwiarstwem. Rozwinał je na ogromną skalę. Miał kapitał i odpowiedni wizerunek. Biznes po oparzeniach i hak miał swoje wizualne znaczenie. Nie brakowało mu pomocników. Zerował na falach imigrantów i biedaków. Odparł atak Włochów, którzy usiłowali wyeliminować go z tego interesu. Oplacał licznych policjantów i prokuratorów, żeby zachować anonimowość.

Potem wpadł na swój drugi przełomowy pomysł. Podobny do pierwszego. Był to wynik głębokiego przemyślenia sytuacji. Reakcja na problem. Problemem była skala operacji. Obracał milionami, ale to były drobne transakcje. Tysiące umów, sto dolarów tutaj, sto pięćdziesiąt tam, dziewięć lub dziesięć procent tygodniowo, pięćset lub tysiąc procent rocznie. Kupa papierów, wielkie zwracanie głowy, nieustanna mitrega. Hobbie nagle zdał

sobie sprawę, że mniej może przynieść więcej. To było oświecenie. Pięć procent od miliona dolarów dla jakiejś korporacji to więcej niż pięćset procent od drobnej pożyczki dla człowieka z ulicy. To go zelektryzowało. Hobbie przestał pożyczyc i przykrecił śrubę, żeby zebrać swój kapitał. Kupił garnitur i wynajął pomieszczenie biurowe. Z dnia na dzień stał się kredytodawcą korporacji.

To było genialne posunięcie. Hobbie wyczuł istnienie szarej strefy tuż poza granicą konwencjonalnych praktyk biznesowych. Przekonał się, że jest wielu kredytobiorców, którzy zdaniem banków utracili zdolność kredytową. Bardzo wielu i bardzo zdesperowanych. A co ważne, to były mieczaki. Cywilizowani ludzie w garniturach, którzy przychodzili do niego pożyczyc milion dolarów, stanowili bez porównania mniejsze zagrożenie niż obdartusy z czynszówki, którzy potrzebowali stu dolarów. Mieczaki, których łatwo było zastraszyć. Ludzie niemający dotąd pojęcia o brutalnych aspektach rzeczywistości. Hobbie zrezygnował z usług większości egzekutorów. Liczba jego klientów zmniejszyła się do garstki, wartość średniej pożyczki wzrosła milion razy, oprocentowanie spadło do stratosferycznej wysokości, a dochody wzrosły bardziej, niż kiedykolwiek sobie wyobrażał. Mniej to więcej. To był wspaniały interes. Oczywiście czasami zdarzały się kłopoty, ale Hobbie potrafił sobie z nimi radzić. Zmienił taktykę zastraszania. Mógł łatwo zaatakować swych ucywilizowanych dłużników, uderzając w ich rodziny. Żony, córki, synów. Zwykle wystarczały groźby. Niekiedy konieczne było działanie. To często okazywało się takie zabawne. Żony i córki z przedmiotu bywa

ly takie przyjemne. Były premia. Wspaniały interes. Udalo mu się to osiągnąć dzięki stałej gotowości do zmiany i dostosowania się do okoliczności. Hobbie uważał swą elastyczność za najważniejszą zaletę. Poprząsił sobie, że nigdy o tym nie zapomni. Dlatego siedział teraz w swoim gabinecie na osiemdziesiątym ósmym piętrze, wsłuchiwał się w szmery wielkiego budynku i zastanawiał nad zmianą planów. - - -

Osiemdziesiąt kilometrów na północ, w Pound Ridge, Marilyn Stone również zastanawiała się nad zmianą planów. Była inteligentna kobieta. Wiedziała, że mąż ma kłopoty finansowe. To nie mogło być nic innego. Na pewno nie miał kochanki. Wiedziała to. Gdy mąż ma kochankę, zawsze to można poznać. A zatem nie mógł się martwić niczym poza problemami finansowymi.

Pierwotnie zamierzała po prostu czekać, aż pewnego dnia będzie musiał powiedzieć jej o wszystkim i pozbyć się cień zaru. Chciała poczekać, aż to nastąpi, i dopiero wtedy przejąć inicjatywę. Gotowa była zająć się kryzysem, niezależnie od jego powagi - czy chodziło tylko o zaległości w płatnościach, czy o bankructwo. Kobiety dobrze sobie radzą w kryzysowych sytuacjach. Lepiej niż mężczyźni. Mogła poczynić praktyczne kroki, zaoferować pocieszenie, znaleźć drogę wśród ruin bez wnikającej z upokorzenia bezzadności, jaką z pewnością wykazywałby Chester.

Marilyn jednak zmieniła decyzję. Nie mogła dłużej czekać. Chester zamartwiał się na śmierć. Musiała coś z tym zrobić. Rozmowa z nim byłaby bezużyteczna. Instynkt nakazywał mu ukrywać wszelkie kłopoty. Nie chciał jej denerwować. Zaprzeczyłby wszystkiemu, a sytuacja nie przestałaby się pogarszać. Musiała działać samodzielnie. Dla swego i jego dobra. Pierwszym oczywistym posunięciem było wystawienie domu na sprzedaż. Nie wiedziała dokładnie, jak trudna jest ich sytuacja, ale to niemal na pewno było konieczne. Marilyn nie miała pojęcia, czy to wystarczy. To mogło rozwiązać problem, lecz nie miała żadnej gwarancji. W każdym razie od tego musieli zacząć.

Zamożna kobieta mieszkająca w Pound Ridge ma wielu znajomych w środowisku handlarzy nieruchomości. Jeden szczebel niżej w społecznej hierarchii, wśród ludzi żyjących wygodnie, ale niemogących pochwalic się bogactwem, jest wiele kobiet współpracujących z agencjami handlu nieruchomościami. To dla nich zajęcie uboczne, starają się, żeby wyglądało to na hobby, na przykład udają, że interesuje je architektura wnętrza, nie zaś dobicie targu. Marilyn mogła wyliczyć z pamięci cztery bliskie znajome, do których mogłaby się zwrócić. Z

reka na słuchawce telefonu zastanawiała się,

którą wybrać. W końcu wybrała Sheryl, która знаła najsłabiej, ale wydawała się jej najbystrzejsza z całej czwórki. To o była poważna sprawa i chciała, żeby pośrednik potraktował ją poważnie. Wybrała numer.

-Marilyn! - zdziwiła się Sheryl. - Milo, że dzwonisz. Jak mogę ci pomóc? Marilyn wzięła głęboki oddech.

-Zastanawiamy się nad sprzedażem domu - powiedziała.

-Zwracasz się z tym do mnie? Marilyn, bardzo ci dziękuję. Dlaczego jednak, u licha, chcecie sprzedać? To takie piękne miejsce. Czy przeprowadzacie się do innego stanu? Marilyn znowu wciągnęła powietrze w płuca.

-Podejrzewam, że Chesterowi grozi bankructwo. Nie mam ochoty o tym mówić, ale sądzę, że powinniśmy się z tym liczyć i coś zdecydować. Sheryl przeknęła to bez najmniejszego zająknięcia. Nie wahała się ani sekundy.

-Sądzę, że to bardzo rozsądna decyzja. Na ogół ludzie zbyt długo zwlekają, potem sprzedają w pośpiechu i oczywiście nie bardzo na tym tracą.

-Na ogół? Czy to się często zdarza?

-Pytasz serio? To zdarza się każdego dnia. Lepiej przyjąć to do wiadomości możliwie wcześnie i uzyskać dobrą cenę. Wierz mi, podjęłaś słuszną decyzję. To zresztą typowe dla kobiet, Marilyn. Radzimy sobie z takimi problemami lepiej niż mężczyźni. Marilyn odetchnęła i uśmiechnęła się do telefonu. Czując, że podjęła właściwą decyzję i zwróciła się o pomoc do właściwej osoby.

-Natychmiast umieścicie wasz dom na liście - zapowiedziała Sheryl. - Moim zdaniem powinniście zacząć od dwóch milionów dolarów, a dążyć do uzyskania miliona dziewięciuset tysięcy. To realna cena. Pewnie szybko znajdzie się nabywca. Jak szybko?

-W obecnej sytuacji na rynku? Dom w takim miejscu? Pewnie sześć tygodni. Myślę, że możemy liczyć na ofertę w ciągu sześciu tygodni. - - -

Doktor McBannerman była bardzo czuła na punkcie poufności. Wprawdzie zdradziła adres państwa Hobie, ale nie chciała podać ich numeru telefonu. Jodie nie mogła w tym dostrzec żadnej prawniczej logiki, skoro jednak lekarka tak czuła się lepiej, nie widziała powodu, żeby z nią dyskutować. Podala jej rękę na pożegnanie i pośpiesznie poszła do samochodu. Reacher szedł za nią.

-To dziwne - powiedziała. - Widziałeś tych wszystkich ludzi w poczekalni?

-Owszem Sami starzy, bliscy śmierci.

-Pod koniec tata też tak wyglądał. Dokładnie tak samo. Przypuszczam, że ten stary pan Hobie niczym się od nich nie różni. Trudno uwierzyć, że tacy starcy mają jakąś wspólną sprawę prowadzącą do morderstw. Co to może być? Wsiadli do samochodu. Jodie pochyliła się w stronę kierowcy i sięgnęła po telefon. Reacher włączył silnik, żeby uruchomić klimatyzację. Jodie zadzwoniła do biura numerów. Państwo Hobie mieszkali na północ od Garrison, za Brighton, następnym przystankiem linii kolejowej. Jodie zapisała numer na skrawku papieru i natychmiast zadzwoniła. Po wielu dzwonek w końcu jakaś kobieta podniosła słuchawkę.

-Tak? - odezwała się z wahaniem w głosie.

-Czy pani Hobie? - spytała Jodie.

-Tak - rozległo się w słuchawce. Jodie wyobraziła sobie starą, chorą kobietę, posiwiałą, wychudzoną, prawdopodobnie w kwiecistym szlafroku, ze starą słuchawką przy uchu, w domu pachnącym nieswieżym jedzeniem i pastą do polerowania mebli.

-Mówi Jodie Garber. Jestem córką Leona Garbera.

-Tak? - kolejny raz powtórzyła pani Hobie.

-Ojciec, niestety, zmarł. Pięć dni temu.

-Tak, wiem - powiedziała starszuszka. Wydawała się tym przygnębiona. - Recepcjonistka doktor McBannerman powiedziała nam o tym podczas wczorajszej wizyty. Było mi bardzo przykro, gdy się dowiedziałam. Był dobrym człowiekiem. Był dla nas bardzo uprzejmy. Pomagał nam. Powiedział nam o pani. Pani jest adwokatka. Bardzo mi przykro z powodu pani tragedii.

-Dziękuję - odpowiedziała Jodie. - Czy mogłaby mi pani powiedzieć, w jakiej sprawie tata pomagał państwu?

-Hm, to chyba nie ma już żadnego znaczenia, prawda?

-Dlaczego?

-Dlatego że pani ojciec nie żyje - odrzekła pani Hobie. - Obawiam się, że on był naszą ostatnią nadzieją.

Powiedziała to tak, jakby rzeczywiście była o tym przekonana. Mówiła niskim, cichym głosem. Pod koniec zdania zniżyla głos jeszcze bardziej, nadając mu tragiczną wymowę - jakby straciła coś od dawna wyczekiwanego i upragnio

nego. Jodk wyobrazila sobie, jak koscista dlonia sciska sluchawke, a po bladym, pomarszczonym policzku splywa lza.

-Moze nie wszystko stracone - powiedziala. - Byc moze moglabym panstwu pomoc. Pani Hobie milczala. Jodie przez dluzsza chwile slyszala tylko szmer.

-Hm, nie sadze - odezwala sie w koncu pani Hobie. - Nie wydaje mi sie, zeby to byla sprawa, jaka normalnie zajmujecie sie prawnicy.

-A co to za sprawa?

-Wyduje mi sie, ze to juz nie ma znaczenia - powtorzyla staruszka.

-Czy nie zechcialaby pani chociaz w przyblizeniu wyjasnic, o co chodzi?

-Nie, mysle, ze to juz zamkniete sprawa - stwierdzila pani Hobie takim tonem, jakby jej stare serce mialo zaraz peknac. Znowu przez chwile milczaly. Jodie spojrzala przez okno samochodu na gabinet doktor McBannerman.

-Dlaczego akurat moj ojciec mogl panstwu pomoc? Czy wiedzial cos waznego? Czy dlatego, ze sluzyl w armii? Czy o to chodzilo? Czy to ma zwiazek z wojskiem?

-No, tak. Z tego powodu sadze, ze pani, jako adwokatk, nie bedzie w stanie nam pomoc. Juz probowalismy z prawnikami. Potrzebujemy kogos zwiazanego z armia. Dziekuja jednak za propozycje. To bardzo uprzejmie z pani strony. - Jest tu ze mna jeszcze ktos - oznajmila Jodie. - Kiedys sluzyl z moim ojcem w armii. Jesli tylko moze, jest gotow panstwu pomoc.

Pani Hobie milczala, tak jakby musiala przemyslec nowe okolicznosci. Jodie slyszala szmer jej oddechu. - To major Reacher - dodala. - Niewykluczone, ze moj ojciec wspominal panstwu o nim. Sluzyli razem wiele lat. Tata wezwal go, gdy zrozumial, ze ze wzgledu na stan zdrowia nie bedzie mogl dluziej zajmowac sie sprawa. - On go wezwal? - powtorzyla staruszka. - Tak. Myslal, ze major Reacher bedzie mogl przyjechac i przejac prowadzenie tej sprawy, zeby panstwu pomoc.

-Czy ten pan rowniez sluzyl w policji wojskowej? - Tak. Czy to jest istotne?

-Nie jestem pewna. Znowu umilkla. Oddychala prosto do sluchawki.

-Czy moglby do nas przyjechac? - spytala nagle.

-Oboje przyjedziemy - odparla Jodie. - Czy mozemy przyjechac od razu? Cisza. Oddech i namysl.

-Maz wlasnie wzial lekarstwa - powiedziala pani Hobie. - Teraz spi. Wie pani, on jest ciezko chory. Jodie kiwnela glowa. Otworzyła i zacisnela wolna reke, usilujac opanowac frustracje.

-Pani Hobie, czy zechcialaby pani powiedziec nam, o co tu chodzi? Cisza. Oddech i namysl.

-Wolalabym, zeby to maz pani wyjasnil. Mysle, ze robi to lepiej niz ja. To dluga historia i czasami placza mi sie szczegoly.

-Dobrze, a kiedy maz sie obudzi? - spytala Jodie. - Czy mozemy przyjechac nieco pozniej? Kolejna pauza.

-Zwykle po zazyciu lekarstw spi juz cala noc - oznajmila staruszka. - To prawdziwe bogoslawnienstwo. Czy pani przyjaciel moglby przyjechac jutro z samego rana? - - -

Hobie nacisnal koncem haka guzik interkomu. Pochylil sie do mikrofonu i wezwal recepcjoniste. Tym razem zwroci

sie do niego po imieniu. Taka poufalosc zdarzala mu sie rzadko i zwykle zwiazana byla ze stresem.

-Tony? Musimy porozmawiac.

Tony opuscil swoje stanowisko z debu i mosiadzu, wszedl do gabinetu i przecisnal sie miedzy sofa i stolikiem do kaw. - To Garber polecial na Hawaje - poinformowal.

-Jestes pewny? - spytal Hobie.

-Tak - potwierdzil Tony - Polecial liniami American. Z White Plains do Chicago, z Chicago do Honolulu. Pietnastego kwietnia. Wrocil nastepnego dnia, szesnastego kwietnia, ta sama trasa. Placil Amex. Maja to wszystko w komputerze.

-Co on tam robil? - powiedzial Hobie raczej do siebie niz do Tony'ego.

-Nie wiemy - mruknal recepcjonista. - Mozna jednak sie domyslic, prawda? W gabinecie zapadla grozna cisza. Tony patrzyl na nieuszkodzona polowe twarzy Hobiego i czekal na odpowiedz.

-Dostalem sygnal z Hanoi - rzekl w koncu Hobie. - Chryste, kiedy? - Dziesiec minut temu.

-Jezu, z Hanoi? - powtorzyl Tony. - Cholera. Cholera. - Trzydziest lat - westchnal Hobie. - I teraz to sie stalo. Tony wstal, podszedl do okna i rozchylik plytki zaluzji. Do pokoju wpadl snop swiatla.

-Wobec tego powinien pan zniknac. Teraz to miejsce jest stanowczo zbyt niebezpieczne. Hobie nic nie odpowiedzial. - Zacisnal palce lewej reki na haku.

-Obiecal pan - nalegal Tony. - Pierwszy sygnal, drugi sygnal. Dostalimy juz oba, na litosc boska! - To zajmie im troche czasu - stwierdzil Hobie. - W tym momencie nic jeszcze nie wiedza.

-Garber nie byl glupcem - odpowiedzial Tony, krecac klowa. - Cos wiedzial. Jesli polecial na Hawaje, to mial widocznie powod, zeby to zrobic.

Hobie podniosl lewa reka hak do twarzy. Wodzil gladka, chlodna stal po bliznach. Nacisk czesto lagodzil swedzenie.

-A co wiemy o tym Reacherze? - spytal. - Jakis postep? Tony wygladal przez szczeline w

zaluzji. Byli osiemdziesiat m pieter nad ziemia. - Dzwonilem do St Louis - odpowiedzial. -

On tez byl w policji wojskowej, przez prawie trzynast lat byl podwladnym Garbera. Dziesiec

dni temu ktos prosil o informacje na jego temat. Przypuszczam, ze to Costello.

-Po co? - rzucil Hobie. - Rodzina Garbera zatrudnia Costella, zeby szukal jego starego kumpla z wojska. Do diabla, po co?

-Nie mam pojecia - odrzekl Tony. - Ten facet to wlozega. W Keys zajmowal sie kopaniem basenow. Hobie pokiwal z namyslem glowa.

-Wojskowy policjant - powiedzial do siebie. - A teraz wlozega.

-Powinien pan wyjechac - powtorzyl Tony.

-Nie lubie policji wojskowej - zauwazyl Hobie.

-Wiem.

-Co ten wscibski sukinsyn tu robi?

-Powinien pan wyjechac - po raz trzeci przypomniał Tony.

Hobie pokiwal glowa.

-Jestem elastycznym czlowiekiem - stwierdzil. - Sam wiesz.

Tony puscil zaluzje. W pokoju znowu zrobilo sie ciemno.

-Nie prosze pana o elastycznosc. Chce, zeby trzymal sie pan dawno ustalonego planu.

-Zmienilem plan. Chce zalatwic sprawe Stone'a. Tony znowu usiadl na sofie.

-Pozostanie tu w tym celu jest zbyt ryzykowne. Dostalismy oba sygnaly. Z Wietnamu i Hawajow, na litosc boska.

-Wiem. Dlatego ponownie zmienilem plan.

-Wrocil pan do poprzedniej wersji? Hobie wzruszyl ramionami i pokrecil glowa.

-Nie. To kombinacja obu wariantow. Wynosimy sie stad,

to oczywiste, ale najpierw musze zalatwic Stone'a.

Tony ciezko westchnal i polozyl dlonie na plask na powierzchni sofy.

-Szesc tygodni to zdecydowanie za dlugo. Przeciez Garber polecial na Hawaje. Byl jakimś

waznym generalem. No i oczywiscie musial sporo wiedziec, z jakiego innego powodu by tam

lecial?

Hobie przytaknal. Gdy poruszal glowa, przecinal nia promien swiatla, ktory chwilami oswietlal sterczaca kepke wlo sow.

-Zgadzam sie, on sporo wiedzial, ale zachorowal i zmarl, zabierajac swa wiedze do grobu. W przeciwnym razie jego corka nie musialaby szukac pomocy tego dupka, prywatnego detektywa, i bezrobotnego wloczegi.

-A zatem co pan zamierza?

Hobie opuscil hak ponizej blatu i podparl brode na lewej rece. Rozchylil palce, zaslaniajac nimi blizny. Przyjmowal te poze nieswiadomie, gdy chcial lagodnie wygladac.

-Nie moze zrezygnowac z przejecia firmy Stone'a -

powiedzial. - To zbyt wspaniala okazja. Wystarczy siegnac reka. Gdybym zrezygnowal, nie darowalbym sobie tego do konca zycia. To byloby tchorzostwo. Zgadzam sie z toba, ze rozsadek nakazuje ucieczke, ale przedwczesna ucieczka, nim to jest naprawde konieczne, to tchorzostwo. Nie jestem tchorzem, wiesz to chyba, Tony? - I co pan zamierz a? - powtornie spytal Tony.

-Bedziemy realizowac oba plany w przyspieszonym tem-pie. Zgadzam sie z toba, ze szesc tygodni to o wiele za dlu go. Musimy stad zniknac znacznie szybciej. Nie wyjedziemy jednak przed zalatwieniem Stone'a, wiec musimy to pr zyspieszyc.

-Jak?

-Wystawie dzis jego akcje na sprzedaz - odpowiedzial Hobie. - Trafia na parkiet poltorej

godziny przed zamknieniem giełdy. To powinno wystarczyc, zeby sygnal dotarl do banku.

Jutro rano Stone pojawi sie tu mokry od potu. Mnie nie bedzie, ale ty wyjasnisz mu, czego

chcemy i co zrobimy, jesli tego nie dostaniemy. Maksymalnie za kilka dni bedziemy juz mieli

wszystko. W tym czasie sprzedam aktywa na Long Island, dzieki czemu unikniemy

opoznienia. Ty zamkniesz wszystko tutaj.

-Dobrze. Jak? - powtorzyl pytanie Tony. Hobie rozejrzal sie po swoim gabinecie.

-Po prostu opuscimy to biuro. Zmarnuje sie czynsz za szesc miesiecy, ale do diabla z tym. Ci dwaj zasrancy, ktorzy uwazaja sie za moich egzekutorow, nie stanowia zadnego problemu. Jeden sprzatnie drugiego dzis wieczorem. Ty g o pogonisz, zeby sprowadzil tu pania Jacob, a potem zalatwisz ich oboje. Sprzedaj motorowke, samochody. Wyniesi emy sie, nie zostawiajac za soba spraw do zalatwienia. To powinno potrwać nie dluzej niz tydzien. Tylko tydzien. M ysle, ze tyle mozemy sobie dac? Zgoda? Tony pokiwal glowa. Perspektywa dzialania wplywala na niego uspokajaja co.

-Co z tym Reacherem? To sprawa do zalatwienia.

-Mam specjalny plan - odrzekl Hobie, przesuwajac sie na krzesle.

-Nie znajdziemy go - zauwazyl Tony. - We dwoch, w ciagu tygodnia, to niemozliwe. Nie

mamy dosc czasu, zeby go szukac.

-Nie bedziemy musieli.

-Musimy, szefie - sprzeciwil sie Tony, patrzac na niego ze zdziwieniem. - Nie mozemy tego zostawic. Hobie pokrec il glowa. Opuscil lewa reke i uniosl hak.

-Zalatwie to w bardziej efektywny sposob. Nie ma powodu, zebym trafil energie, szukajac go. Niech on mnie znajdz ie. Na pewno to robi. Wiem, jak postepuja wojskowi policjanci.

-I co wtedy? Hobie sie usmiechnal.

-Potem bedzie zyl dlugo i szcieszliwie - powiedzial. - Co najmniej przez trzydziestci lat. - - -

-Co teraz? - spytal Reacher.

Wciaz stali na parkingu przed dlugim, niskim pawilonem kardiologicznym, z wlaczonym silnikiem. Klimatyzacja w alczyła z promieniami slonecznymi padajacymi na ciemnozielony samochod Ze wszystkich wentylatorow wylatywa ly strugi powietrza, a zapach freonu mieszal sie z wonia perfum Jodie. W tym momencie Reacher czul sie szcieszliwy. Spelnily sie jego dawne marzenia. Kiedys wiele razy rozmyslal, jak czulby sie, siedzac obok niej, gdy juz bedzie

dorosła. Nie spodziewał

sie, że tego doświadczy. Zawsze zakładał, że straci z nią kontakt, nigdy więcej jej nie zobaczy i z biegiem czasu jego uczucia zgasną. A teraz siedział tuż obok niej, wdychał zapach jej perfum i spoglądał na jej długie nogi. Zawsze przypuszczał, że wyrosnie na efektowną kobietę, ale teraz czuł się trochę winny, bo nie przewidział, jaka będzie piękna. Jego fantazje nie pasowały do rzeczywistości.

-To pewien problem - odpowiedziała Jodie. - Nie mogę tam jechać jutro rano. Nie mogę zwolnić się z pracy. Jesteśmy bardzo zajęci. Muszę zaliczać kolejne godziny.

Piętnaście lat. Czy to długo, czy krótko? Czy w tym czasie

człowiek bardzo się zmienia? Jemu wydawało się, że niewiele. Nie czuł, żeby był wyraźnie innym człowiekiem niż piętnaście lat temu. Był tą samą osobą, tak samo myślał i był zdolny do robienia tego, co wtedy. Nabierał doświadczenia, dojrzał, ale był tym samym człowiekiem. Natomiast ona musi być kimś innym. Na pewno. Dla niej te piętnaście lat stanowiło większy skok, przeżyła większą przemianę. Szkoła średnia, studia, małżeństwo, rozwód, praktyka adwokacka, rachunki za każdą godzinę. Czuł się tak, jakby płynął przez niezbadany akwen, nie wiedział, jak się do niego odnosić, gdyż miał w głowie trzy różne obrazy: Jodie jako nastolatka; swoje ówczesne wyobrażenia, jaka będzie, gdy dorosnie; prawdziwa Jodie jako dorosła kobieta. Wiedział wszystko o pierwszych dwóch, a trzecia stanowiła dla niego zagadkę. Znał ją jako dziecko. Znał wizję dorosłej osoby, jaka sam wymyślił. Nie znał natomiast rzeczywistej Jodie i to pozbawiało go pewności siebie, ponieważ nagle bardzo mu zaczęło zależeć, żeby nie popełnić jakiegoś głupiego błędu. - Bedziesz musiał jechać sam - zdecydowała. - Zgoda?

-Oczywiście - odpowiedział. - Nie to jednak jest problemem. Musisz zatroszczyć się o swoje bezpieczeństwo.

Jodie kiwnęła głową. Schowała dłonie w rekawy i skuliła się na fotelu. Reacher nie wiedział dlaczego. - Nic mi się nie stanie - zapewniła. - Gdzie znajduje się twoja kancelaria? - Na rogu Wall Street i Broadwayu. - Mieszkasz gdzieś niedaleko, tak? Na Broadwayu?

-Trzynastą przeczną od kancelarii. Zwykle chodzę piechotą.

-Nie jutro - sprzeciwił się Reacher. - Zawiozę cię do pracy.

-Ty? - zdziwiła się Jodie.

-Właśnie tak, do diabła. Trzynastą kwartałową piechotą? Wybierz to sobie z głowy, Jodie. W domu będziesz dostatecznie bezpieczna, ale na ulicy mogą cię porwać. Czy twoja kancelaria jest odpowiednio zabezpieczona?

-Tak - kiwnęła głową. - Nikt nie może wejść, jeśli nie jest umówiony i nie pokaże dowodu tożsamości.

-Dobra. Wobec tego będę u ciebie w mieszkaniu całą noc, a rano zawiozę cię do pracy.

Potem pojedzie pogadać z panstwem Hobie, a ty zostaniesz w kancelarii i nie wyjdiesz stamtąd, dopóki nie wróci. Zgoda?

Jodie milczała. Reacher zastanowił się, co powiedział.

-No, masz chyba wolny pokój?

-Oczywiście. Jest wolna sypialnia.

-Czy zatem wszystko w porządku? Jodie w milczeniu kiwnęła głową.

-A co teraz? - spytał. Jodie odwróciła się ku niemu. Strumień powietrza z wentylatora rozwiał jej włosy. Odgarnęła je za uszy i przyjrzała się Reacherowi. Uśmiechnęła się.

-Teraz jedziemy na zakupy - powiedziała.

-Na zakupy? Po co? Potrzebujesz czegoś?

-Nie ja. Ty - odrzekła.

-A czego potrzebuje? - spytał z niepokojem.

-Nowego ubrania - wyjaśniła. - Nie możesz iść z wizyta do tych staruszków, wyglądając jak skrzyżowanie włoczęgi z dzikusem z dżungli. Jodie pochyliła się ku niemu i dotknęła opuszkami palmy po wystrzale na koszuli.

-Musimy znaleźć aptekę. Trzeba to czymś posmarować.

-- -

-Do diabła, co ty wyprawiasz?! - wrzasnął dyrektor do spraw finansowych. Stał w progu gabinetu Stone'a, zaciskając ręce na futrynie i ciężko dysząc z wściekłości i wysiłku. Nie czekał na windę, tylko przybiegł schodami ewakuacyjnymi. Stone spojrzał na niego. Nie rozumiał, o co chodzi.

-Ty idioto! - krzyknął dyrektor. - Mówiłem ci, żebyś tego nie robił.

-Czego?! - spytał Stone.

-Sprzedawał akcje! - ryknął dyrektor. - Mówiłem ci przecież, że to wykluczone.

-Wcale nie wystawiłem akcji na sprzedaż - zaproponował Stone. - Na rynku nie ma naszych akcji.

-Do diabła, są - odrzekł tamten. - Wielki pakiet Leży i nikt nie chce go nawet tknąć. Ludzie trzymają się od tych akcji z daleka, jakby były radioaktywne.

-Co takiego?

Dyrektor do spraw finansowych wziął głęboki oddech. Popatrzył na swego pracodawcę. Niski, skulony facet w smie sznym angielskim garniturze, siedzący za biurkiem, które było teraz sto razy więcej warte niż wszystkie akcje firmy.

-Ty zaszranu, mówiłem ci, żebyś tego nie robił. Równie dobrze mogłeś wykupić całą stronę w "Wall Street Journal" i ogłosić, że twoja firma jest gówno warta.

-O czym ty mówisz? - spytał Stone.

-Dzwonią do mnie wszystkie banki - odpowiedział dyrektor. - Śledzą notowania. Akcje pojawiły się na parkiecie go

dzine temu, a ich kurs spada szybciej, niz moga sledzic komputery. Nikt ich nie kupuje. Wyslales bankierom wyrazny komunikat. Oswiadczyles, ze jestes bankrutem. Zawiadomiles ich, ze jestes im winien szesnascie milionow dolarow, a akcje, ktore stanowa zabezpieczenie kredytu, nie sa warte nawet szesnastu centow.

-Nie wystawilem akcji na sprzedaz.

Dyrektor pokiwal glowa z sarkastyczna mina. - Do diabla, to skad sie wziely? Spadly z nieba?

-To Hobbie sprzedaje - rzekl Stone. - Nie ma innego wyjasnienia. Jezu, ale dlaczego?

-Hobbie? - powtorzyl dyrektor. Stone pokiwal glowa.

-Hobbie? - raz jeszcze powtorzyl dyrektor z wyraznym niedowierzaniem. - Cholera, przekazales mu akcje? - Musialem - powiedzial Stone. - Inaczej nie chcial sie zgodzic.

-Kurwa! - zaklal dyrektor. Ciezko dyszal. - Widzisz, on teraz robi?

Stone popatrzyl na niego tepym wzrokiem, po czym pokiwal glowa. Byl przerazony.

-Co mozemy zrobic?

Dyrektor do spraw finansowych zdjal dlonie z futryny. - Zapomnij lepiej o my. Nie ma juz my. Skladam dymisje. Wnosze sie stad. Mozesz sam ratowac sytuacje.

-Przeciez poleciles mi tego faceta! - krzyknal Stone.

-Nie zalecalem, zebys dal mu akcje, ty durniu! - wrzasnal dyrektor. - Kim ty jestes? Balwanem? Gdybym ci poradzil, zebys poszedl do parku wodnego obejrzec piranie, czy wsadzilbys palec do akwarium?

-Musisz mi pomoc - powiedzial Stone.

-Radz sobie sam - odrzekl tamten, krecac glowa. - Ja odchodze. Teraz moze ci tylko poradzic, zebys poszedl do mojego gabinetu i zaczal odbierac telefony. Wszystkie dzwonia. Zacznij od tego, ktory dzwoni najglosniej.

-Poczekaj! - zawolal Stone. - Potrzebuje twojej pomocy.

-W walce z Hobbem?! - odkrzyknal dyrektor. - Mozesz o tym pomarzyc, stary. Dyrektor odwrocil sie, wkroczyl do sekretariatu i znikl. Stone wstal zza biurka, podszedl do drzwi i odprowadzil go wzrokiem, Sekretarka wyszla wczesniej, niz powinna. Stone wyszedl na korytarz. W dziale sprzedazy po prawej nie bylo nikogo. Tak samo w dziale marketingu. Ktos wylaczyl kserokopiarki. Stone nacisnal guzik windy. Dzwiek mechanizmu zabrzmiel wyjatkowo glosno w panujacej wokolo ciszy. Zjechał dwa pietra nizej. Biuro dyrektora do spraw finansowych bylo puste. Ktos powyciagal szuflady i zabral wszystkie rzeczy osobiste. Stone wszedl do gabinetu. Wloska lampa na biurku wciaz sie swiecila, ale komputer byl wylaczony. Na blacie z palisandru lezaly sluchawki telefonow. Stone podniosl pierwsza z brzegu.

-Slucham - powiedzial. - Tu Chester Stone. Powtorzyl to dwukrotnie. W koncu odezwala sie jakas kobieta

i poprosila, zeby poczekal na polaczenie. Uslyszal kilka trzaskow i dzwonkow. Przez chwile grala lagodna muzyka.

-Pan Stone? - To byl nowy glos. - Tu dzial upadlosci Stone zamknal oczy i zacisnal palce na sluchawce.

-Prosze sekunde poczekac. Lacze z dyrektorem. Znowu uslyszal muzyke. Ostre, natarczywe dzwieki skrzypiec. Jakiś barokowy utwor.

-Pan Stone? - odezwał się jakiś mężczyzna. - Mówi dyrektor działu.

-Słucham - odpowiedział. Nic innego nie przyszło mu do głowy.

-Poczyniliśmy stosowne kroki - oświadczył dyrektor. -

Jestem pewny, że rozumie pan nasze stanowisko.

-Okay - odpowiedział Stone. Jakie kroki? Pozew? Wiezienie?

-Sytuacja jest jasna, jutro rano wracamy do normalnych interesów - stwierdził dyrektor.

-Jasna sytuacja? Co pan chce przez to powiedzieć?

-Sprzedajemy pana dług, rzecz jasna.

-Sprzedajecie dług? - powtórzył Stone. - Nie rozumiem.

-Nie chcemy już pańskich zobowiązań - wyjaśnił dyrektor. - Niewatpliwie to może pan zrozumieć. Papiery te nie mieszczą się już w granicach parametrów finansowych, które są dla nas akceptowalne. Wobec tego je sprzedajemy. To normalne, prawda? Jeśli ktoś ma coś, czego już nie chce, to sprzedaje to za najlepszą cenę, jaką może uzyskać.

-Komu je sprzedajecie? - spytał Stone. Był zupełnie oszokowany.

-Firmie powierniczej zarejestrowanej na Kajmanach. Złożyła nam ofertę.

-Jaka jest zatem nasza sytuacja?

-Nasza? - zdziwił się dyrektor. - Nie ma już żadnej naszej sytuacji. Pańskie zobowiązania wobec nas już nie istnieją. Nie ma żadnego my. Nic już

nas nie łączy. Mogę tylko poradzić,

żeby pan nie próbował ponownie nawiązać z nami kontaktu.

Uznamy to za obrażę, na dokładkę do naszych strat.

-Kto teraz jest moim wierzycielem?

-Firma na Kajmanach - cierpliwie wyjaśnił dyrektor. - Jestem przekonany, że ten, kto się za nią kryje, wkrótce wróci się do pana w sprawie spłaty zadłużenia. - - -

Jodie miała prowadzić. Reacher wysiadł, obszedł samochód od przodu i usiadł na miejscu pasażera. Jodie odsunęła pokrywę centralnej konsoli, nacisnęła guzik i przesunęła fotel do przodu. Pojechali na południe przez słoneczne okolice Croton, do White Plains. Reacher krecił się w fotelu, oglądał za siebie. Nikt za nimi nie jechał. Nie dostrzegł niczego podejrzanego. Leniwe popołudnie na przedmieściach. Musiał dotknąć pecherza na piersi, żeby przypomnieć sobie, że coś się jednak stało.

Jodie pojechała do dużego centrum handlowego. Był to budynek wielkości stadionu wcisnięty między biurowce w gęstej plataninie ulic. Jodie kilka razy zmieniała pas, aż wreszcie wjechała po zakrzywionej rampie na podziemny parking. W środku panował półmrok, na betonie widac było tłuste plamy po oleju, ale w dali dostrzegli szklane drzwi do centrum. Jasno oświetlone wejście przyciągało jak latarnia morska. Jodie znalazła wolne miejsce pięćdziesiąt metrów od wejścia. Zaparkowała, wysiadła i podeszła do automatu parkingowego. Po chwili położyła bilet na desce rozdzielczej, tak że widac go było przez przednią szybę.

-Dobra - powiedziała. - Dokad najpierw?

Reacher wzruszył ramionami. To nie była dziedzina, na której się znał. W ciągu ostatnich dwóch lat często kupował ubrania, ponieważ nabrał zwyczaju kupowania nowych rzeczy. Ilekroć stare wymagały uprania. To był rodzaj defekty. Dzięki temu nie musiał nosić walizki, nie musiał nauczyć się, jak obsługiwać pralkę w automatycznej pralni. Słyszał o pralkach na monety i pralniach chemicznych, ale obawiał się, że gdy znajdzie się sam w pralni, nie będzie wiedział, jaka jest poprawna procedura. Natomiast oddanie rzeczy do pralni chemicznej byłoby równoznaczne z zobowiązaniem się do przyjscia w to samo miejsce w przyszłości, na co nie miał ochoty. Najprościej było kupić nowe rzeczy i wyrzucić stare. Wobec tego wciąż kupował ubrania, ale nie potrafiłby powiedzieć, gdzie robił zakupy. Po prostu, gdy widział na wystawie odzież, wchodził, kupował to, czego potrzebował, po czym wychodził, nie wiedząc nawet, co to był za sklep.

-W Chicago byłem w jakimś sklepie należącym do całej sieci - powiedział. - Jakas krótka nazwa. Chyba Gap. Coś takiego. Mieli dobre rozmiary. Jodie zaśmiała się i wzięła go pod ramię.

-Gap - potwierdziła. - Jest i tu.

Weszli przez szklane drzwi prosto do domu towarowego. W środku było chłodno, w powietrzu unosił się zapach mydła i perfum. Przeszli z działu kosmetyków do odzieżowego, gdzie na stołach leżały sterty letnich ubrań z pastelowymi bawełnami. Od razu wyszli na główną alejkę centrum w kształcie owalnego toru wycieczkowego, wokół którego mieściły się niewielkie sklepy. Ten sam układ powtarzał się na dwóch wyższych poziomach. Na podłodze leżała wykładzina, z głośników płynęła muzyka, wszędzie krecili się ludzie.

-Gap jest chyba na gorze - powiedziała Jodie.

Reacher poczuł zapach kawy. Po drugiej stronie alejki zobaczył bar, który wyglądał jak kawiarniany ogródek we Włoszech. Wewnętrzne ściany pomalowano tak, aby przypominały zewnętrzne mury domu, a płaski czarny sufit udawał nocne niebo. Bar pod dachem udający bar pod niebem, w centrum handlowym pod dachem, usiłującym udawać ulicę handlową pod niebem, z wykładziną zamiast chodnika. - Masz ochotę na kawę? - spytał. Jodie uśmiechnęła się i pokręciła głową. - Najpierw robimy zakupy, później napijemy się kawy.

Zaprowadziła go do ruchomych schodów. Uśmiechnął się. Wiedział, jak się czuje Jodie. Sam czuł się tak samo piętnaście lat wcześniej. Poszła wtedy z nim, zdenerwowana i niepewna, stała rutynową wizytą w więzieniu wojskowym w Manili. Dla niego był to znany teren, sprawa bez znaczenia, ale dla niej wszystko było nowe i dziwne. Czuł wtedy zadowolenie, że może ją czegoś nauczyć. Cieszył się z jej towarzystwa. Teraz sytuacja się odwróciła. To Jodie dobrze знаła centrum handlowe, wróciła do Ameryki już dawno i zdążyła ją poznać. Teraz on był kimś obcym na jej terenie.

-Może spróbujemy tutaj? - zaproponowała, wskazując niewielki sklep.

To nie był Gap, lecz jakiś butik z wnętrzem ozdobionym deskami i belkami uratowanymi ze starej stodoły. Ubrania z grubej bawełny w spokojnych kolorach leżały ułożone na stołach z przerobionych wozów konnych na kołach z żelaznymi obrotami.

-Wygląda źle - odpowiedział, wzruszając ramionami. Jodie wzięła go za rękę. Miała chłodną szczupłą dłoń.

Zaprowadziła go do butiku, odgarnęła włosy za uszy i zaczęła wybierać rzeczy. Zachowywała się tak jak inne kobiety. Szybкими ruchami układała w całość różne części garderoby. Para spodni złożonych na dolnej części koszuli. Marynarka na wierzchu położona tak, że widac było część koszuli przy kołnierzu. Zmrużone oczy, zacisnięte usta. Potrze-

asniecie glowa. Inna koszula. Kiwniecie. Prawdziwe zakupy.

-Co myslisz o tym? - spytala.

Jodie wybrala spodnie khaki, ciemniejsze niz wiekszosc drelchow, koszule w zielono-brazowa krate, lekka brazowa marynarka, ktora doskonale pasowala do calosci. Reacher kiwnal glowa.

-Wyglada niezle - powtorzyl.

Ceny byly wypisane recznie na malych metkach zamocowanych na nitkach. Spojrzal na jedna z nich.

-Chryste! - jeknal. - Wykluczone.

-To dobra cena - oznajmila Jodie. - Jak na taka jakosc.

-Nie stac mnie na to, Jodie. Sama koszula kosztowala dwa razy wiecej, niz kiedykolwiek wydal na cale ubranie. Te lachy kosztowaly tyle, ile zarabial w ciagu calego dnia, kopiac baseny Dziesiec godzin, cztery tony ziemi, piasku i kamieni.

-Ja ci to kupie - powiedziala Jodie. Reacher stal z koszula w reku, niepewny, jak zareagowac.

-Pamietasz naszyjnik? - spytala.

Kiwnal glowa. Pamietal. Kiedys koniecznie chciala miec naszyjnik, ktory zobaczyla u jubilera w Manili. Prosty lancuszek ze zlota, w egipskim stylu. Nie byl bardzo drogi, ale z pewnoscia poza zasiegiem jej mozliwosci. Leon rozpoczal jakis program wychowawczy obejmujacy wyrabianie wewnetrznej dyscypliny i nie chcial za to zaplacic. Reacher kupil jej ten naszyjnik, nie jako urodzinowy prezent, bez zadnej okazji, po prostu dlatego, ze ja lubil, a ona chciala go miec.

-Bylam taka szczesliwa - wyznala. - Myslam, ze

pekne z radosci. Wciaz go nosze. Pozwol mi sie teraz zrewanzowac, dobrze?

Po chwili namyslu kiwnal glowa. - Okay.

Jodie mogla sobie na to pozwolic. Byla przeciez adwokatka, prawdopodobnie zarabiala fortune. A to byl uczciwy targ, biorac wszystko we wlasciwych proporcjach, porownujac cene z dochodami, uwzgledniajac pietnascie lat inflacji.

- Okay - powtorzyl. - Bardzo dziekuje.

-Musisz kupic jeszcze skarpetki i bielizne, prawda? Wybrali skarpetki w kolorze khaki i biale

bokserki. Jodie

poszla do kasy i zaplacila zlota karta kredytowa. Reacher wzial nowe rzeczy, poszedl do przebieralni, zerwal metki i przebral sie. Przelozyl pieniadze do kieszeni w nowych spodniach i wyrzucil stare lachy do kosza. Nowe ubranie bylo troche sztywne, ale gdy przejrzal sie w lustrze, uznal, ze calkiem niezle wyglada. Ten stroj pasowal do jego opale nizny.

-Dobrze ci w tym - powiedziala Jodie, gdy go zobaczyla. - Teraz apteka. Reacher kupil maszynke i krem do golenia, szczoteczke paste do zebow oraz tubke masci na oparzenia. Sam za wszystko zaplacyl i wrzucil rzeczy do brazowej papierowej torby. Gdy szli do kawiarni, mineli restauracje. Reacher poczul zapach miesa z rusztu.

-Zjedzmy obiad - zaproponowal. - Ja zapraszam.

-Okay - zgodzila sie Jodie i znowu wsunela reke pod jego ramie.

Za obiad dla dwoch osob Reacher zaplacial tyle, ile kosztowala koszula, co uznal za rozsadna cene. Zjedli deser i wypili kawe. Niektore mniejsze sklepy konczyly juz prace.

-Pora do domu - oswiadczył. - Od tej chwili musimy naprawde uwazac.

Przeszli ponownie przez dom towarowy, tym razem w odwrotnej kolejnosci: najpierw dzial

odziezowy, potem kosmetyki. Reacher kazal jej sie zatrzymac przed wyjsciem na parking i

najpierw sam wyszedl, zeby sie rozejrzec. Na parkingu bylo

goraco i wilgotno, ale nie zauwazyl nikogo podejrzanego. Prawdopodobienstwo wynosilo zapewne jeden do miliona, lecz Reacher wolal nie ryzykowac. Poza klientami spieszacymi do samochodow z pelnymi torbami nie bylo tu nikogo. Podeszli razem do bravady i Jodie zajela miejsce za kierownica. Reacher usiadl obok niej.

-Normalnie ktoredy pojechalabys stad do domu? - spytal.

-Stad? Pewnie przez FDR Drive.

-Okay - odpowiedzial. - Jedz w strone LaGuardii, wrocimy przez Brooklyn. Przez Most Brooklinski.

-Jestes pewny? - Jodie spojrzala na niego ze zdziwieniem. - Jesli masz ochote na zwiedzanie, sa ciekawsze miejsca niz Brooklyn i Bronx.

-Pierwsza zasada: przewidywalnosc jest niebezpieczna - odrzekl Reacher. - Jesli wiadomo, ktora droga normalnie pojechalabys do domu, to dzis jedziemy inna.

-Mowisz serio?

-Jak najbardziej- Kiedys zarabialem, ochraniajac VIP-ow.

-A wiec teraz jestem VIP-em?

-Jak najbardziej - powtorzyl Reacher. - - -

Godzine pozniej bylo juz ciemno. To najlepsza pora na przejazd przez Most Brooklinski. Gdy wjechali na most i zobaczyli przed soba miliony swiatel Manhattanu, Reacher poczul sie jak turysta. To jeden z najwspanialszych widokow swiata, pomyslal. Widzial prawie wszystkie, ktore liczily sie w tej rywalizacji.

-Pojedz kilka przecznic na polnoc - poprosil. - Nadjedziemy z wiekszej odleglosci. Oni sie

spodziewaja, ze wrocimy prosto do domu.

Jodie skrecila w prawo i pojechala na polnoc Lafayette. Okrazyla blok i pojechala znowu na poludnie Broadwayem. Na skrzyzowaniu z Leonard staneli na czerwonych swiatlach. Reacher uwaznie obserwowal ulice przed nimi.

-Jeszcze trzy przecznice - odezwala sie Jodie.

-Gdzie parkujesz?

-Na podziemnym parkingu w budynku. Dobra. Skrec jedna przecznice wzeczniej. Sprawdze,

czy wszystko w porządku. Zrobił kolko i wrócił po mnie. Jeśli nie będzie czekał na chodniku, jedź na policję. Jodie skręciła w prawo w Thomas. Zatrzymała się, żeby mógł wysiąść. Reacher na pożegnanie poklepał dłoń dach samochodu i ruszył przed siebie. Miał rog i znalazł budynek - duży prostokątny z niedawno odnowionym holem, ciężkimi szklanymi drzwiami z mocnym zamkiem i pionowym rzadkiem guzików opatrzonych wizytówkami. Na kartce pod numerem dwunastym przeczytał Jacob/Garber, tak jakby mieszkały tam dwie osoby. Na ulicy kreciło się niewiele przechodniów, kilka osób z sąsiedztwa wymieniało plotki, inni spacerowali, ale nie wydawali się podejrzani. Wjazd na parking znajdował się nieco dalej. Reacher zszedł stromą rampą do ciemnego podziemia. Mało oświetlonym parkingiem nie było nikogo. Dwa szeregi miejsc parkingowych, w sumie piętnaście, bo tam, gdzie powinien być szesnasty, znajdowała się rampa. Jedenaście samochodów. Reacher sprawdził cały parking. Nikt się nie ukrywał.

Wyszedł na zewnątrz i szybko pomaszerował na Thomas. Przeszedł na drugą stronę ulicy i czekał. Po chwili zobaczył jadącą na południe Jodie. Zatrzymała się przy krawężniku i Reacher natychmiast wsiadł.

-Wszystko w porządku - powiedział. Jodie włączyła się do ruchu i zjechała na parking. Światła reflektorów zakolysały się w górę i w dół. Zatrzymała się pośrodku i wjechała tyłem na swoje miejsce. Zgasła silnik.

-Jak można dostać się na górę? - spytał Reacher.

-Tam są drzwi do holu - odpowiedziała, wskazując je ręką.

Reacher zobaczył metalowe schody prowadzące do solidnych, przemysłowych drzwi wzmocnionych przynitowaną stalową płytą, wyposażonych w mocny zamek, taki sam jak szklane drzwi wejściowe. Wysiedli i zamknęli samochód. Reacher wziął jej torbę z ubraniami. Podeszli do drzwi. Jodie otworzyła zamek. W holu nie było nikogo. Na przeciwległej ścianie znajdowały się drzwi do windy.

-Trzecie piętro - powiedziała Jodie. Reacher nacisnął guzik numer cztery.

-Zjedziemy jedno piętro po schodach - wszelki wypadek.

Zeszli po schodach ewakuacyjnych na trzecie piętro. Reacher kazał Jodie poczekać na podestce, a sam wyjrzał na korytarz Pusty, wysoki i wąski hol. Mieszkanie numer dziesięć po lewej, jedenaste po prawej, dwanaście pośrodku.

-Chodźmy - rzucił.

Czarne drzwi do jej mieszkania były grube i mocne. Judasz na wysokości oczu. Dwa zamki. Jodie otworzyła i wszedł

i do srodka. Zamknela drzwi na klucz i opuscila staroswiecka, metalowa sztabe przegradzajaca cale drzwi. Reacher weisnal ja na wlasciwe miejsce. To zelazo gwarantowalo, ze nikt inny nie wejdzie do srodka. Postawil torbe z ubraniami na podlodze przy scianie. Jodie zapalila swiatlo. Czekala przy drzwiach, az Reacher skonczy obchod. Hol, salon, kuchnia, sypialnia, lazienka, sypialnia, lazienka, szafy. Duze, bardzo wysokie pokoje. Nikogo nie bylo. Wrocil do salonu, zdjal marynarkę i rzucil ja na krzeslo. Spojrzal na Jodie. Teraz mogl sie rozluznic.

Jodie jednak wcale sie nie rozluznila. Reacher dobrze to widzial. Nie patrzyla na niego, wydawala sie bardziej spieta niz w ciagu calego dnia. Stala w progu salonu, z dlonmi ukrytymi w rekawach bluzy dresowej, i nerwowo sie krecila. Nie mial pojecia, co ja dreczylo.

-Wszystko w porzadku? - spytal. Pochylila glowe, a potem ja poderwala, zeby odrzucic wlosy do tylu.

-Wezme prysznic - powiedziala. - Jestem gotowa zwalic sie do lozka.

-Cholerny dzien, co?

-Trudno uwierzyc, ze to wszystko stalo sie naprawde. Jodie przeszla przez pokoj, obchodzac Reachera szerokim lukiem. Niesmialo pomachala mu na dobranoc, ledwo wysuwajac palce z rekawa.

-O ktorej jutro startujemy? - spytal.

-Wystarczy o pol do osmej.

-Dobra. Dobranoc, Jodie.

Kiwnela glowa i znikla w korytarzu. Reacher slyszal, jak otwiera, a potem zamyka drzwi sypialni. Przez dluzsza chwile patrzyl w tamta strone, zaskoczony jej zachowaniem. Usiadl na sofie i zdjal buty. Byl zbyt podekscytowany, ze by od razu snac. Raz jeszcze obszedl cale mieszkanię. W istocie nie byl to wcale loft, tylko zwykłe mieszkanię w starym budynku z bardzo wysokimi pomieszczeniami. Zachowala sie dawna struktura. Kiedys byla to prawdopodobnie fabryka. Od zewnatrz widac bylo odsloniete i oczyszczone cegly, od wewnatrz sciany byly otynkowane. Ogromne okna zapewne mialy dac dosc swiatla

szwaczkom, ktoreprawdopodobnie pracowaly tu sto lat temu. Nieotynkowane fragmenty scian mialy cieply kolor cegieł, natomiast cala reszta byla pomalowana na bialo. Podloga jasnych, klonowych desek. Wystroj wnetrza byl chlodny neutralny, jak w galerii. Nic nie wskazywalo, ze kiedykolwiek byl tu ktos poza Jodie. Nie dostrzegl zadnych przejawow

rywalizacji dwoch gangow. Wystroj calego mieszkaniabyl

wyjatkowo jednolity. Biale sofę, biale krzesla, polki na ksiazki zlozone z regularnych prostopadloscianow pomalowanych taka sama biala farba jak sciany. Rury grzewcze i kaloryfery - tez biale. Jedynym kolorowym akcentem w salonie byla kopia obrazu Mondriana wiszaca nad duza sofa. To byla dokladna kopia - recznie namalowana farbami olejnymi na plotnie. Zadnych wulgarnych czerwieni, zolci i blekitu. Wylacznie stonowane kolory, z autentycznymi drobnymi peknieciami na powierzchni. Biel wydawala sie bliska szarosci. Reacher stal i ze zdumieniem wpatrywal sie w obraz. Piet Mondrian zawsze byl jego ulubionym malarzem, a ten obraz stanowil jego ulubione dzieło. Kompozycja z czerwienia, zolcia i blekitem. Mondrian namalowal ten obraz w tysiac dziewiecset trzydziestym roku, a Reacher widzialoryginal w Zurychu.

Naprzeciwko sofę stala wysoka witryna pomalowana na bialo jak wszystko. Niewielki telewizor, wideo, pudelko od telewizji kablowej, odtwarzacz CD z podlaczonymi duzymi sluchawkami. Niewielka kolekcja plyt, glownie jazzu z lat piecdziesiatych. Lubil taka muzyke, ale nie wariowal na jej punkcie.

Okna wychodzily na dolny Broadway. Slychac bylo nieustanny szum uliczny, migotaly swiatla neonow. Od czasu do czasu rozlegalo sie wycie syren rozchodzace sie wzdluz ulic. Reacher pokrecil przezroczystym pretem, zmienil ust

awienie zaluzji i spojrzal w dol, na chodnik. Wciaz te same grupki gadajacych ludzi. Zadnych powodow do zdenerwowania. Zaciagnal szczelnie zaluzje.

Wszedl do ogromnej kuchni. Wszystkie kredensy i szafy byly wykonane z drewna i pomalowane na bialo. Urzadzenia domowe z nierdzewnej stali, jak piec do pieczenia pizzy w restauracji. Zdarzylo mu sie juz mieszkac w pomieszczeniach mniejszych od lodowki Jodie. Otworzył drzwiczki. W srodku stalo kilka butelek jego ulubionej wody, ktora regularnie pil w Keys. Wzial jedna i poszedl do goscinnego pokoju.

Sypialnia byla wykonczona na bialo, jak cale mieszkание. Drewniane meble kiedys byly innego koloru, ale zostaly przemalowane. Postawil butelke na nocnym stoliku. I poszedl do

lazienki. Biala glazura, biala umywalka, biala wanna, wszystko z porcelany i stali. Wrocil do sypialni, zaciagnal zaluzje, rozebral sie i starannie ulozyl ubranie na komodzie. Zrzucil narzute, polozyl sie do lozka i popadl w zadume.

Iluzja i rzeczywistosc. Jakie znaczenie ma dziewiec lat roznicy wieku? Bardzo duze, gdy ona miala pietnascie, a on dwadziescia cztery. Ale teraz? On mial trzydziestci osiem, ona dwadziescia dziewiec lub trzydziestci, nie byl tego pewny. W czym tkwi problem? Dlaczego nie robi czegos? Moze to nie chodzilo o roznice wieku. Moze przyczyna byl Leon. Jodie byla jego corka i zawsze bedzie. Reacher czul sie winny, bo mial wrazenie, ze Jodie jest jakby jego mlodsza siostra czy bratanica. To oczywiscie bardzo go blokowalo, ale przeciez to byla wytlaczenie iluzja. Jodie to corka starego przyjaciela, to wszystko. Dlaczego zatem czul sie winny, gdy patrzyl na nia i wyobrazal sobie, jak sciaga z niej bluze i rozpina pasek? Dlaczego wlasnie tego nie robi? Do diabla, dlaczego lezal w goscinnym pokoju, zamiast byc po drugiej stronie sciany w lozku z Jodie? Tak o tym myslal w ciagu niezliczonych nocy w przeszlosci, kiedy z t esknota, niekiedy z pozadaniem? Byc moze dlatego, ze jej rzeczywistosc wywodzila sie z podobnych iluzji. Jesli myslal o niej jak o mlodszej siostrze bratanicy, to ona uwazala go za starszego brata lub wujka. Oczywiscie bardzo go lubila, ale to tylko pogarszalo sprawe. Uczucie do ulubionego wujka to cos szczegolnego. Ulubieni wujkowie maja swoje role. Role rodzinne, takie jak rozpuszczanie dziecka i wspolne zakupy. Ulubieni wujkowie nie probuja

nawiazac kontaktu erotycznego. To byloby dla niej jak piorun z jasnego nieba, uznalaby to za zdrade, za cos okropnego, kazirodczego, niepozanego, psychologicznie szkodliwego. Ona jest po drugiej stronie sciany, pomyslal Reacher. Nic nie mogl na to poradzić. Zupelnie nic. To nigdy sie nie stanie. Wiedzial, ze doprowadzi go to do szalenstwa, dlatego zmusil sie, zeby przestac o niej myslec. Skupil sie na rzeczywistosci, nie zas na zludzeniach. Ci dwaj faceci, kimkolwiek byli. Z pewnoscia znaja juz jej adres. Sa dziesiatki sposobow, zeby znalezc czyjs adres. W tym momencie moga byc gdzieś w poblizu. Reacher przejrzał w myslach rozklad budynku. Drzwi frontowe zamkniete. Drzwi z parkingu zamkniete. Drzwi do mieszkания zamkniete i zablokowane. Okna wszystkie zamkniete. Zaluzje zaciagniete. Tej nocy byli bezpieczni, natomiast jutro rano powinni sie liczyć z niebezpieczeństwem. Powaznym niebezpieczeństwem. Reacher postaral sie zapamietac wszystko, co wiedzial o tamtych dwoch. Ich samochod, garnitury, budowe ciala, twarze. - - -

Dokladnie w tym momencie juz tylko jeden z tych dwoch facetow mial twarz. Wyplyneli razem na ciemne wody nowojorskiego portu pietnascie kilometrow na poludnie od miejsca, gdzie lezal Reacher. Wspolnie otworzyli plastikowa torbe i wyrzucili zimne zwloki sekretarki do oleistych fal Atlantyku. Jeden odwrocil sie do drugiego, zeby powiedziec jakis kawal, ale w tym momencie facet z beretta z tlumikiem wyciagnal swoja bron i strzelil koledze prosto w twarz. Jeszcze raz i jeszcze raz. Kule trafily w trzy rozne miejsca, bo ofiara juz sie przewracala. Twarz zabitego byla jedna wielka rana. Morderca oparl jego reke na mahoniowej porieczni i odcial dlon stalowym tasakiem, ktory ukradl z restauracji. Musial uderzyc az piec razy. To byla brudna robota. Wrzucil dlon do plastikowej torby i zepchnal cialo do wody. Osunelo sie w glebine bez najmniejszego szmeru, niecale dwadziescia metrow od miejsca, gdzie juz tonely zwloki sekretarki.

Jodie obudzila sie wczesnie rano, co bylo dla niej czymś niezwyklym. Normalnie spala az do dzwonka budzika, a po tem z trudem zwlekala sie z lozka i zaspana szla do lazienki. Tego dnia obudzila sie godzinie wczesniej, niz musiala. Oddychala plytko, a jej serce bilo w przyspieszonym tepie. Sypialnia Jodie byla biala podobnie jak pozostale pokoje. Wielkie biale lozko stalo zaglowkiem przy scianie naprzeciwko okna. Za sciana znajdowal sie pokój gosciny, urza

dzony symetrycznie. To oznaczało, że jego głowa znajdowała się teraz w odległości mniejszej niż poł metra od jej głowy. Po drugiej stronie ściany.

Jodie dobrze wiedziała, z czego zbudowana jest ściana. Kupiła to mieszkanie, nim zostało ukończone. Przez kilka miesięcy często tu przychodziła, żeby nadzorować przebudowę. Dwie sypialnie oddzielała oryginalna, stulenia ściana. Poteźna belka stropowa podtrzymywała ściane z cegieł sięgająca aż do sufitu. Murarze wykonczyli ją w europejskim stylu, nakładając po obu stronach grubą warstwę tynku. Architekt uważał, że to zwiększy solidność konstrukcji, z pewnością lepsza izolacja dźwiękowa i odporność na ogień. Teraz od Reachera dzieliły ją trzy warstwy: tynk, cegła, tynk.

Kochała go. Nie miała w tej sprawie wątpliwości. Najmniej-szej wątpliwości. Zawsze go kochała, od samego początku.

Czy to było w porządku? Czy mogła go darzyć taką miłością? Już wcześniej męczyło ją to pytanie. Wiele lat temu czesto traciła całą noc na takie rozmyślenia. Wstydziała się swoich uczuć. Wobec dziewięciu lat różnicy wieku takie uczucia były obsceniczne. Haniebne. Wiedziała to. Piętnastoletnia dziewczynka nie powinna tak myśleć o koleżance o ję. Zgodnie z kodeksem wojskowym było to niemal kazirodztwo. To tak, jakby pozadawała swojego wujka. Niemal tak, jakby myślała w ten sposób o ojcu. A mimo to kochała Reachera. Nie miała najmniejszej wątpliwości.

Gdy tylko nadarzała się okazja, spędzała czas w jego towarzystwie. Często z nim rozmawiała. Dotykała go, kiedy tylko pozwalały na to okoliczności. Miała swoją odbitkę zdjęcia wykonanego w Manili aparatem z samowyzwalaczem, na którym obejmuje go w pasie. Od piętnastu lat trzymała je między Strumcami książki. Spoglądała na nie mnóstwo razy. Przez lata żyła wspomnieniem, jak go dotykała, jak obejmowała, pozując do zdjęcia. Wciąż pamiętała jego twarz, jego zapach.

Nigdy nie pozbyła się tych uczuć. Chciała o nim zapomnieć. Chciała uznać, że to było tylko zadurzenie nastolatki. Nieprawda. Świadczyła o tym trwałość jej uczuć. Reacher zniknął, ona dorosła, zaczęła nowe życie, ale wciąż go kochała. Jej uczucia nie osłabły, trwały równoległe do głównego nurtu jej życia. Zawsze były obecne, zawsze rzeczywiste, zawsze tak samo silne, ale niezwiązane już z codziennym życiem. Podobnie jak pragnienia niektórych jej znajomych, prawników i bankierów, którzy naprawdę chcieli być tancerzami lub piłkarzami. Marzenie z przeszłości, niezwiązane z rzeczywistością, ale definiujące charakter danej osoby. Prawnik, który chciał być tancerzem. Bankier, który chciał być piłkarzem. Rozwiedziona trzydziestoletnia kobieta, która zawsze chciała być z Jackiem Reacherem. Wczorajszy dzień powinien być najgorszym dniem w jej życiu. Pochowała ojca, swego ostatniego krewnego. Zaatakowali ją uzbrojeni bandyci. Znała ludzi, którzy musieli iść na psychoterapię po mniej traumatycznych przeżyciach. Powinno czuć się nieszczęśliwa i zszokowana. Tak jednak nie było. To był najlepszy dzień w jej życiu. Jack pojawił się nagle, zjawa na schodach za garażem, ponad trawnikiem. Promienie południowego słońca padały prosto na jego głowę. Poczuli gwałtowne bicie serca, a dawne uczucia wróciły jeszcze silniejsze i gwałtowniejsze niż kiedykolwiek wcześniej. To było jak zastrzyk narkotyku, jak uderzenie gromu.

Traciła czas. Wiedziała. Musiała to przyjąć do wiadomości. On patrzył na nią jak na bratanicę lub młodszą siostrę. Tak.

Jakby dziewięcioletnia różnica wieku wciąż miała znaczenie, już nie było istotne. Małżeństwo piętnastoletniej dziewczyny z dwudziestoletnim mężczyzną mogłoby stanowić pewien problem, ale trzydziestoletniej kobiety z trzydziestodwuletnim mężczyzną byłoby czymś najzupełniej normalnym. Są tysiące małżeństw między osobami różniącymi się wiekiem znacznie bardziej. Nawet miliony. Są siedemdziesięcioletni faceci, którzy żenia się dwudziestoletnimi dziewczynami. A może on po prostu za bardzo przywykł widzieć w niej córkę Leona. Była dla niego kuzynka. Córką dowodcy. Zasady moralne, zwłaszcza regulamin wojskowy, uniemożliwiały mu spojrzenie na nią w inny sposób. To zawsze budziło w niej gniew. W dalszym ciągu tak było. Leon lubił go, praktycznie zagarnął go dla siebie jako zastożego syna, a tym samym odebrał go jej. To od samego początku uniemożliwiło ich związek.

Spędzili cały dzień razem jak brat z siostrą, wuj z bratanicą. Potem on bardzo spowadzał, zachowywał się jak jej ochroniarz, tak jakby do jego zawodowych obowiązków należało zapewnienie jej bezpieczeństwa. To wszystko. Nie mogła liczyć na nic więcej. Ani teraz, ani w przyszłości. I nic nie mogła na to poradzić. Zupełnie nic. Zdarzało się jej

zapraszać mężczyzn na randki. Wszystkie kobiety w jej wieku tak się zachowywały. To było dopuszczalne. Akceptowane, nawet normalne. Coż jednak mogła jemu powiedzieć? Co może o swej miłości powiedzieć siostra do brata lub bratanica do wuja, nie powodując odrazy i szoku? Zatem to wykluczone, już nic nie da

Wyciągnęła się na łóżku i uniosła ręce nad głowę. Dotknęła dłońmi ściany, która ich dzieliła. Przynajmniej był w jej mieszkaniu i mogła o nim marzyć. - - -

Egzekutor Hobiego w pojedynkę dopłynął motorówką do przystani, zaciągnął, zamknął kabine i poszedł do domu. Udało mu się przespacerować tylko trzy godziny. Wstał o szóstej rano, wziął szybki prysznic i wyszedł bez śniadania. W torbie ze sklepu spożywczego Zabar's, która została mu po ostatnich zakupach, niosł zapakowaną w foliowy worek i owiniętą wczorajszą

gazetę dla zabitego kompana.

Wsiadł do czarnego Tahoe i szybko dojechał na miejsce. O tej porze na ulicach było jeszcze

luźno, jeździły głównie

samochody dostawcze. Zaparkował pod ziemią i pojechał na osiemdziesiąte osme piętro.

Recepcjonista Tony już siedział na swoim stanowisku z dechami i mosiadzami. W biurze panowała

zupełna cisza. Egzekutor wyczuł, że Hobiego jeszcze nie ma. Podniósł torbę, tak jakby była

trofeum.

-Przyniosłem to dla Haka - powiedział.

-Hak dziś nie przyjdzie - rzekł Tony.

-Wspaniale - kwaśno mruknął egzekutor.

-Wsadź to do lodówki - poradził Tony.

Obok recepcji znajdowała się niewielka kuchnia, ciasna i brudna, jak często w biurach. Ślady po rozlanej kawie na blacie, brudne kubki. Mała lodówka pod kredensem. Egzekutor przesunął na bok mleko i sześć puszek piwa, po czym wcisnął paczkę na półkę.

-Celem na dzisiaj jest pani Jacob - oznajmił Tony. Stał w progu kuchni. - Wiemy, gdzie mieszka. Dolny Broadway, na północ od ratusza. Osiem przecznic stąd. Sąsiedzi twierdzą, że zawsze wychodzi z domu dwadzieścia po siódmej i idzie pieszo do pracy.

-Czyli dokąd?

-Róg Wall Street i Broadwayu. Ja będę prowadził, ty ją złapiesz. - - -

Chester Stone pojechał do domu o normalnej porze i nic nie powiedział żonie. Nie mógł się na to zdobyć. Był zupełnie oszołomiony tempem upadku. W ciągu jednego dnia zawałił się jego świat. Nie mógł opanować zdarzeń. Zamierzał zapomnieć o wszystkim do rana, a w ciągu dnia pojechać do Hobiego i spróbować przemówić mu do rozsądku. W głębi serca wierzył, że zdola się uratować. Na łaskę boską, przecież jego firma istniała już czterdzieści lat! Praca trzech kolejnych Ches-terów Stone'ów. To wszystko nie mogło zniknąć z dnia na dzień. Nic nie powiedział Marilyn i dotrwał w oszołomieniu do końca wieczoru. Marilyn też nic mu nie powiedziała. Było jeszcze za wcześnie na informowanie go, że to ona przejęła inicjatywę. Taka

rozmowa musiała się odbyć w odpowiednich okolicznościach. Chodziło o jego dumę. Marilyn krzesała się po domu, wykonując

wszystkie normalne czynności, a potem spróbowała usnąć, Chester leżał obok niej i wpatrywał się w sufit. - - -

Gdy Jodie dotykała dłońmi ściany dzielącej sypialnię, Reacher był pod prysznicem. Wypracował trzy schematy porannej toalety i każdego ranka musiał dokonać wyboru. Pierwszy - wyłącznie prysznic. To zajmowało mu jedenaste minut. Drugi - golenie i prysznic. Dwadzieścia dwie minuty. Trzeci miał charakter specjalny i rzadko go stosował. Składał się z trzech etapów: prysznic, golenie, ponowny prysznic. To zajmowało mu pół godziny, ale zapewniało dobre nawilżenie skóry. Jakaś dziewczyna wytłumaczyła mu, że golenie lepiej wychodzi, jeśli skóra jest dokładnie nawilżona. Dodała, że nikomu jeszcze nie zaszkodziła dwukrotna kąpiel.

Tego ranka Reacher wybrał najdłuższą procedurę. Prysznic, golenie, prysznic. Sprawilo mu to przyjemność. Gości na łazienka Jodie była przestronna, a głowka prysznica wisiała tak wysoko, że nie musiał się pochylać, co rzadko się zdarzało. Na półce stało kilka butelek szamponu. Podejrzał, że nie przypadły one do gustu Jodie, dlatego poszły w odstawkę do łazienki gościnnej, ale to mu nie przeszkadzało. Znalazł szampon rzekomo przeznaczony do włosów suchych i zniszczonych przez słońce. Uznał, że właśnie czegoś takiego potrzebuje. Polał włosy szamponem i natarł je, żeby wytworzyć pianę. Umył całe ciało żółtym mydłem i starannie oplukał. Wyszedł z kabiny, żeby się ogolić nad umywalką. Spływająca z niego woda utworzyła kałużę na posadzce. Golił się pedantycznie, zaczynając od kości policzkowych, przesuwając maszynkę do góry i do dołu. Potem wrócił pod prysznic.

Mycie zębów zajęło mu pięć minut. Nowa szczoteczka była bardzo twarda i Reacher czuł, że dobrze działa. Wytarł się i włożył spodnie. Polnagi poszedł do kuchni, żeby coś zjeść. Jodie już tam była. Również przed chwilą wyszła spod prysznica. Jej ciemne, mokre włosy opadały prosto na plecy. Miała na sobie za dużą koszulę z krótkimi rękawami, z cienkiego materiału, kończąca się dwa centymetry powyżej kolan. Chodziła na bosaka, miała długie i szczupłe nogi. Była bardzo szczupła, z wyjątkiem miejsc, gdzie nie powinna. Reacher czuł, że z trudem oddycha.

-Dzień dobry, Reacher - rzuciła. - Dzień dobry, Jodie.

Patrzyła na niego. Pozerła go wzrokiem. Jej twarz miała dziwny wyraz.

-Pecherz - powiedziała. - Wygląda gorzej niż wczoraj.

Reacher przyjrzał się ranie. Była czerwona i zaogniona. Rozszerzyła się i nabrzmiała.

-Posmarowales ranę? - spytała. Pokręcił głową.

-Nieważne.

-Przynies masło - poleciła.

Wrócił do łazienki i znalazł tubkę w brązowej torbie. Przyniósł ją do kuchni i podał Jodie. Odkreśliła zakretkę, przedziurawiła plastikowym kolcem metalowe zamknięcie i wycisnęła nieco masła na opuszkę wskazującego palca. Robił to ze skupieniem, lekko przygryzając język. Podeszła do niego

podniosła rękę. Delikatnie dotknęła pecherza i zaczęła nakładać masło. Reacher patrzył w ścianę nad jej głową. Stała niecałe pół metra od niego. Masowała palcem jego pierś. Pragnął wziąć ją w ramiona. Chciał podnieść ją i przycisnąć do siebie. Delikatnie pocałować, zaczynając od szyi. Unieść jej twarz i pocałować w usta. Jodie zakresła palcem niewielkie kolka na jego klatce piersiowej. Czuł zapach jej wilgotnych włosów, jej skóry. Przesunęła palce wzdłuż rany. Trzydzieści centymetrów od niego, naga pod koszulą. Gwałtownie sapnął i zacisnął pięści. Jodie odsunęła się o krok. - Bolało? - spytała. - Co?

-Bolało cie? Spojrzył na jej palec błyszczący od masła.

-Tylko troche - powiedzial.

-Przepraszam, ale to bylo konieczne. - Tez tak sadze - odparl, kiwajac glowa. Zwalczyl kryzys. Jodie zakrecila tubke , a on odsunal sie od

niej wylacznie po to, zeby sie ruszyc. Wyciagnal z lodowki butelke wody. Na blacie kredensu lezal banan. Jodie polozyla lekarstwo na stole.

-Ide sie ubrac - stwierdzila. - Niedlugo powinniśmy wyjść.

-Okay. Bede gotowy.

Jodie znikla w swojej sypialni. Reacher napil sie wody i zjadl banana. Wrocil do sypialni, wlozyl koszule i wcisnal ja w spodnie. Znalazl skarpetki i buty. Wlozyl marynarkę. Poszedl do salonu i tam czekal na Jodie. Podniosl zaluzje, otworzyl okno, wychylil sie i popatrzył na ulice trzy pietra niziej.

Rano ulica wygladala zupełnie inaczej niz wieczorem. Znikly swiatla reklam, natomiast nad budynkami po przeciwnej stronie pojawilo sie slonce i jego promienie odbijaly sie od szyb. Znikly rowniez grupki leniwych plotkarzy. Ich miejsce zajeli poruszajacy sie energicznie przechodnie, niewatpliwie spieszacy do pracy. Niektorzy niesli papierowe kubki z kawa i jedli slodkie bulki. Taksowkarze przepychali sie miedzy samochodami, co chwila trapiac. Wial lekki wiatr. Reacher czul zapach rzeki.

Budynek stal po zachodniej stronie dolnego Broadwayu, ulicy jednokierunkowej. Samochody jechaly na poludnie. Normalnie, idac do pracy, Jodie po wyjsci z budynku skrecilaby w prawo i poszla zgodnie z kierunkiem ruchu. Zapewne by szla prawa strona chodnika, zeby byc w sloncu. Przeszlaby na druga strona Broadwayu na swiatlaczach, pewnie po minieciu szesciu lub siedmiu przecznic. Przemaszerowalaby ostatnie pare kwartalow po lewej stronie i skrecila w lewo w Wall Street, do swego biura. Jak oni chca ja porwac? Mysl tak jak przeciwnik. Mysl tak jak ci dwaj. Silni fizycznie, dalecy od

wszelkiej subtelności, sklonni do uzycia przemocy, grozni, ale w istocie amatorzy. Bylo jasne, co zrobia. Na pewno czekaja w czterodrzwiowym samochodzie w bocznej ulicy, jakies trzy kwartaly na poludnie. Zaparkowali na prawym pasie, przodem na wschod. W kazdej chwili moga ruszyc i skrecic w prawo w Broadway. Siedza w milczeniu na przednich siedzeniach. Wpatruja sie przed siebie, czekajac, az Jodie przejdzie przed nimi. Albo pospiesznie przejdzie przez jezdnie, albo zatrzyma sie na swiatlaczach. Poczekaja chwile, rusza powoli naprzod i skrecia w prawo. Dogonia ja i wyprzedza. Ten siedzacy na miejscu pasazera wyskoczy tuz przed nia, chwyci ja, wepchnie na tylne miejsce i sam wsiadzie. Jeden szybki, brutalny ruch. Metoda dosc prymitywna, ale niezbyt trudna. Wlasciwie calkiem latwa. Sukces praktycznie pewny, ryzyko zalezy od ofiary i jej czujności. Reacher wiele razy to robil, atakujac ofiary znacznie silniejsze i czujniejsze niz Jodie. Raz nawet zrobil to z pomoca Leona, ktory prowadzil samochod.

Reacher wychylil sie do pasa za okno. Spojrzal w prawo. Przyjrzel sie trzem następnym skrzyzowaniom. Gdzieś tam czekaja.

-Jestem gotowa! - zawolala Jodie.

--

Zjechali razem dziewiecdziesiat pieter do podziemnego garazu. Podeszli do miejsc wynajetych razem z biurem Hobi ego.

-Lepiej wezmy suburbana - powiedzial egzekutor. - Wpiekszy.

-Dobra - zgodzil sie Tony. Otworzil drzwiczki i usiadl za kierownica. Egzekutor zajal miejsce pasazera. Spojrzal na pusta platforme ladunkowa. Tony zapalil silnik i ruszyl w kierunku wyjazdu z parkingu. - Jak to zrobimy? - spytal Tony. Tamten usmiechnal sie z duza pewnością siebie. - Prosta sprawa. Bedzie szla na poludnie Broadwayem. Pocz

ekamy za rogiem, az ja zobaczmy. Kilka przecznic na poludnie od jej domu. Gdy ja dostrzemy, wjedziemy na Broadway, dogonimy ja, no i to zalatwi sprawe, nie?

-Nie - odrzekl Tony. - Zrobimy to inaczej.

-Dlaczego? - Egzekutor spojrzal na niego. Tony skrecil z piskiem opon. Wyjechali na slonce.

-Dlatego ze nie jestes zbyt bystry - powiedzial. - Jesli tak to zamierzales zrobic, to na pewno jest lepszy Sposob. Spi epzyles sprawe w Garrison. Spieprzysz i tutaj. Pewnie towarzyszy jej ten facet, jak mu tam, Reacher. Poko

nal was tam, pokona cie tutaj. Wobec tego, jesli to jest twoj najlepszy plan, jest to ostatnie rozwiazanie, jakie moglibysmy zastosowac.

-Zatem jak chcesz to zalatwic?

-Wyjasnie ci to bardzo starannie - odrzekl Tony. - Postaram sie mowic prostym jezykiem, zebys zrozumial.

-- -

Reacher zamknal okno. Obrocil klamke i opuscil zaluzje. Jodie stala w holu, z wlosami pociemnialymi od wilgoci, ubrana w prosta, lniana sukienke bez rekawow i sandaly. Sukienka byla tego samego koloru, co jej mokre wlosy, ale gdy wyschna, bedzie ciemniejsza. Miala torebke zawieszona na ramieniu i duza skorzana teczke, jakich czesto uzywaja piloci samolotow do wynajecia. Na pewno byla bardzo ciezka. Jodie postawila ja na podlodze i pochytila sie do torby z ubraniami, ktora wciaz stala pod sciana. Wyciagnela koperte z testamentem Leona, otworzyla teczke i schowala dokument do srodka.

-Moze ja to wezme? - zaproponowal Reacher, wskazujac teczke.

Jodie sie usmiechnela i pokrecila glowa. - To miasto zwiazkow zawodowych - powiedziala.

-Tutaj ochroniarze nie pelnia obowiazkow tragarzy.

-Wydaje sie dosc ciezka.

-Jestem juz duza dziewczynka - odparla, patrzac na niego.

Reacher kiwnal glowa. Podniosl zelazna sztabe i ustawil ja w pionowym polozeniu. Jodie pochytila sie obok niego i otworzyla zamki. Ten sam zapach perfum, subtelny i kobiecy.

Widzial jej smukle, niemal chude ramiona. Mocno napinala miesnie lewej reki, zeby udzwignac teczke.

-Jaka dziedzina prawa sie zajmujesz? - spytal.

-Finanse - odpowiedziala.

Reacher otworzyl drzwi. Wyrzal ostroznie na korytarz. Nikogo nie bylo. Zarowka windy wskazywala, ze ktos zjezdza z drugiego pietra.

-Co to wlasciwie znaczy? Wyszli na korytarz i wezwali winde.

-Najczesciej chodzi o zmiane terminu splat kredytu - wyjasnila. - W istocie jestem raczej negocjatorem, a nie prawnikiem. Doradca, mediatorem, rozumiesz? Reacher niezbyt rozumial, co Jodie robi. Sam nigdy nie mial dlugow. Nie z powodu wrodzonej cnoty, lecz raczej braku okazji. Wszystkie jego podstawowe potrzeby zaspokajala armia. Dach nad glowa, jedzenie na talerzu. Przywykl do tego, ze nie ma wiekszych potrzeb. Mial jednak kolegow, ktorzy popadl

i w kłopoty finansowe. Kupowali domy na kredyt hipoteczny albo samochody na raty, a potem nie radzili sobie ze spłatą. Zwykle takimi sprawami zajmował się kompanijny sierżant. Rozmawiał z bankiem, ustalał plan spłat, potraczał odpowiednie kwoty z zółdu. Reacher przypuszczał, że to były grosze w porównaniu z sumami, jakimi zajmowała się Jodie.

-Gra o miliony dolarów, tak? - spytał. Przyjechała winda. Drzwi otworzyły się automatycznie.

-Co najmniej - odpowiedziała. - Zwykle dziesiątki milionów, czasami setki. W windzie nikogo nie było. Weszli do składowiska. - Lubisz to zajęcie? - spytał.

-Oczywiście. Jeśli ktoś musi pracować, to trudno o lepszą robotę. Winda zatrzymała się na parterze z lekkim szarpnięciem. - Jesteś w tym dobra?

-Tak - odpowiedziała po prostu. - Najlepsza na Wall Street, nie mam żadnych wątpliwości. Reacher się uśmiechnął. Jodie była nieodrodną córką Leona.

Drzwi windy otworzyły się samoczynnie. Pusty hol, drzwi frontowe właśnie się zamykały za jakąś grubą kobietą, która szła po schodkach na ulicę.

-Kluczyki do samochodu? - poprosił.

Jodie trzymała je w ręku. Wielki pek na mosiężnym kolku. - Poczekał tutaj - polecił jej. - Podjadę do schodów. To potrwa tylko chwilę.

Drzwi z holu do garażu można było otworzyć od wewnątrz, naciskając klamkę. Reacher zszedł po metalowych schodach. Idąc przez ciemny parking, rozglądał się uważnie na boki. Nikogo nie zauważył. Pewnym krokiem podszedł do wielkiego, ciemnego chryslera, dwa miejsca od samochodu Jodie. Szybko przykucnął i spojrzał pod samochody. Nikt nie czaił się na podłodze. Wstał i przecisnął się między maską chryslera a ścianą. Minal jeszcze jeden samochód. Znowu przykucnął, z trudem wciskając się między zderzak oldsmobile'a i mur. Odwrócił głowę i spojrzał, czy z samochodu nie wiszą jakieś druty, których tam być nie powinno. Niczego nie dostrzegł. W porządku. Żadnych bomb.

Otworzył drzwiczki i wślizgnął się za kierownicę. Zapalił silnik, wyjechał na centralną alejkę, po czym cofnął się po schody. Przechylił się na bok i otworzył drzwiczki po stronie pasażera. W tym momencie Jodie wyszła z holu, zbiegła po schodach, wskoczyła do samochodu i zatrzasnęła za sobą drzwiczki. To była jedna gładka operacja. Reacher wrzucił jedynkę, wyjechał po rampie na ulicę i skręcił w prawo.

Słońce na wschodzie przez chwilę świeciło mu w oczy, ale gdy skręcił na południe, przestał mieć z tym kłopot. Od pierwszej przecznicy dzieliło go trzydzieści metrów. Samochody powoli przesuwały się naprzód. Gdy zapaliły się czerwone światła, przed nim stały trzy auta. Reacher jechał prawym pasem, dlatego nie mógł zajrzeć w głąb przecznicy, z której wylewał się strumień wozów. Widział jednak, że w pewnym miejscu strumień zwalnia, tak jakby

samochody musiały ominąć jakąś przeszkodę. Może był niezaparkowany czterodrzwiowy samochód? Po chwili strumień dopływający z boku zatrzymał się i światła na Broadwayu zmieniły się na zielone.

Reacher przejechał przez skrzyżowanie, katem oka zerkając na drogę, ale wpatrując się w przecznice. Nie zauważył nic istotnego. Żaden zaparkowany czterodrzwiowy samochód nie blokował drogi. Przeszkoda był pomalowany w jasne skrawki pasy kozyłek stojący przed otwartą studzienką. Dziesięć metrów dalej stała furgonetka z elekrowni. Na chodniku zauważył kilku robotników. Rozmawiali i popijali coś z puszek. Samo

chody zwolniły i znowu się zatrzymały. Kolejne światła. Tym razem przed nim stały cztery auta.

To nie ta ulica. Na przecznicy był zły kierunek ruchu - ze wschodu na zachód. Reacher miał dobry widok po lewej, co najmniej pięćdziesiąt metrów w głąb ulicy. Niczego nie zauważył. To będzie następna, pomyślał.

Reacher wolalby sie nie ograniczac do miniecia tych dwoch facetow. Moglby zrobic petle, zeby podjechac do nich o d tyłu. Zaparkowac sto metrow za nimi i podejsc. Z pewnoscia caly czas patrza przed siebie, obserwujac przejście przez główną ulicę. Moglby im sie dobrze przyjrzec. I nie tylko. Moglby rowniez wsiasc do ich samochodu. Z pewnoscia nie zamkneli tylnych drzwiczek. Siedza i patrza przed siebie. Moglby szybko wskoczyc na tylny fotel, chwycic kazdego za glowe i walnac jedna o druga jak muzyk grajacy na talerzach. Po kilku takich uderzeniach zaczeliby odpowiadac na pewne podstawowe pytania. Jednakze nie mogl tego zrobic. Skoncentruj sie na glownym zadaniu -to jedna z jego zasad. Glownym zadaniem bylo

odeskortowanie Jodie do kancelarii. Ochrona polega na defensywie. Jesli miesza sie defensywe z ofensywa, ani jedno, ani drugie nie moze byc wlasciwie wykonane. Jak powiedzial Jodie, zarabial na zycie jako ochroniarz. Byl wyszkolony, i to dobrze, oraz mial ogromne doswiadczenie. Zatem zamierzal trzymac sie defensywy i uznac, ze zwyciezyl, jesli Jodie cala i zdrowa przekroczy prog swego biura. Natomiast nie zamierzal wyjasniac jej, jak powazna jest sytuacja. Nie chcial, zeby sie denerwowala. Niezaleznie od tego, w co wdal sie Leon, nie bylo zadnego powodu, zeby ta sprawa miala przysporzyc jej umartwien. Leon nie zyczylby sobie takiego obrotu zdarzen. Leon oczekiwalby po nim, ze sam sie wszystkim zajmie. Tak Wlasnie zamierzal zrobic. Odprowadzic ja do biura bez zadnych Blizszych wyjasnien, bez ponurych ostrzezen.

Zielone swiatlo. Pierwszy samochod ruszyl naprzod, po nim drugi i trzeci. Reacher puscil sprzeglo. Sprawdzil odleglosc do samochodu przed nim i spojrzal w prawo. Gdzie oni sa? Waska przecznice wypelnialy dwie kolumny samochodow stojacych na swiatlachs. Nikt nie czekal na prawym pasie. Tu ich nie bylo. Przejechal powoli przez skrzyzowanie. Nikogo nie zauwazyl. Odetchnal, rozluznil sie i popatrzył przed siebie. Magle rozlegl sie glosny, metaliczny trask. Zgrzyt rozdzieranego metalu, gwałtowne przyspieszenie, jakby otrzymali potęż-kopniecie. Wpadli na samochod przed nimi i staneli. Po-szki powietrzne eksplodowaly z glosnym hukiem. Reacher widzial, jak Jodie poleciala do przodu. Pasy zatrzymaly jej cialo, ale glowa wciaz leciala naprzod. Uderzyla w poduszke, Odbila sie od niej i uderzyla w zaglowek. Widzial ja zupełnie wyraznie, jakby byla nieruchoma, natomiast cale wnetrze samochodu wydawalo sie rozmazane, poniewaz jego glowa poruszala sie dokladnie tak samo jak jej. Pod wplywem podwojnego uderzenia Reacher puscil kierownice. Poduszka powietrzna juz sie zapadala. Spojrzal w lusterko, Zobaczyl czarna maske wielkiego samochodu wbita w tyl ich bravado. Gorna czesc pogietej chromowanej oslony chlodnicy. Jakas ogromna tere nowka. W srodku za przyciemniona szyba siedzial jeden mezczyzna. Reacher nigdy go jeszcze nie spotkal.

Inni kierowcy zaczeli trabic i skrecac w lewo, zeby ominac przeszkode. Widzial ich twarze - patrzyli, co sie stalo. Slyszal jakis syk. Albo para z uszkodzonej chlodnicy, albo dzwonienie w

uszech spowodowane naglym hukiem. Kierowca terenowki wysiadl juz z samochodu. Wydawal sie przejetý i zmar twiony. Zlozyl rece w przepaszajacym gescie. Wysunal sie przez lekko uchylone drzwi i ruszyl ku nim miedzy powoli poruszajacymi sie samochodami. Po drodze zerknal na pogieta karoserie swojego samochodu. Z przedniego siedzenia sedana wysiadla jakas kobieta, oszolomiona i zla. Inne samochody omijaly miejsce wypadku. Gorace powietrze drzalo, nieustannie ktos trabil. Jodie wyprostowala sie na fotelu i rozmasowala sobie kark.

-Nic ci nie jest? - spytal. Jodie przez dluzsza chwile rozwazala to pytanie.

-Wszystko w porzadku - odpowiedziala w koncu. - Co z toba?

-Okay. Jodie wbila palec w zapadnieta poduszke powietrzna. W) dawala sie zafascynowana.

-To naprawde dziala, wiedzialas o tym?

-Pierwszy raz widzialem, jak zadzialalo - odpowiedzial Reacher.

-Ja tez.

Ktos zapukal w okno po stronie kierowcy. Kierowca terenowki. Jeszcze raz zapukal w szybe, jakby mu zalezalo na pospiechu. Reacher popatrzył na niego. Facet gestami prosil, zeby otworzyc drzwi. Wydawal sie czymys zaniepokojony

ny.

-Cholera - zaklął Reacher.

Nacisnął gwałtownie pedał gazu. Samochód ruszył do przodu, pchając przed sobą rozbity wóz, z którego wcześniej wysiadła kobieta. Udało mu się posunąć o metr. Słychać było zgrzyt metalu.

-Do diabła, co ty wyprawiasz?! - krzyknęła Jodie. Kierowca terenówki trzymał lewą ręką klamkę, a prawą miał w kieszeni.

-Kładź się! - wrzasnął Reacher.

Wrzucił wsteczny, nabrał rozpędu, wykorzystując zdobyty metr przestrzeni, i uderzył w terenówkę. To dało mu jeszcze pół metra. Ruszył naprzód, skręcając w lewo. Znowu zderzył się ze stojącym przed nim sedanem, wyrzucając w powietrze grad odłamków szkła. Samochody na lewym pasie zaczęły hamować, ślizgając się na prawo i lewo. Reacher spojrzał w prawo. Jeden z facetów, których widział w Key West, próbował otworzyć drzwi po stronie Jodie. Reacher energicznym ruchem obrócił kierownicę w prawo i znowu pojechał do tyłu. Tamten nie puścił klamki, ale szarpnięcie zwałilo go z nog. Reacher ponownie wałnął w terenówkę. Po raz kolejny ruszył naprzód na maksymalnych obrotach. Facet z Key West wciąż trzymał klamkę, machał gwałtownie wolną ręką i nogami, tak jakby był kowbojem, a jego wóz młodym byczkiem rozpaczliwie usiłującym się uwolnić. Reacher przycisnął gaz do dechy i minimalnie wyminął tylny róg sedana. Ocierając się prawym bokiem o bagażnik, pozbył się napastnika. Tamten uderzył kolanami o błotnik, wyleciał w powietrze i wylądował głową na tylnej szybie sedana. Reacher zobaczył jeszcze, jak pod wpływem rozpędu napastnik przetacza się przez dach i spada na chodnik,

-Uważaj! - krzyknęła Jodie.

Kierowca terenówki wciąż był obok jego okna. Reacher jechał już po lewym pasie, ale tłok uniemożliwiał mu przyspieszenie. Kierowca biegnął obok i usiłował wyciągnąć coś z kieszeni, Reacher zjechał na lewo i zbliżył się do jadącej równolegle ciężarówki. Mezczyzna uskokczył. Wciąż trzymał klamkę, ale wreszcie wyciągnął rękę z kieszeni. Reacher znowu zjechał na lewo i przygniotł go do boku ciężarówki. Usłyszał głuchy trzask, gdy tamten uderzył głową o metal. Kierowca ciężarówki gwałtownie zahamował, a Reacher skreślił w wolną przestrzeń przed nim. Broadway był zapchany samochodami. Przed sobą miał błyszczącą, kolorową wstęgę. Słońce odbijało się od dachów samochodów. Kierowcy zmieniali pasy, powoli posuwali się naprzód, trąbili. Nad ulicą unosiły się spaliny. Reacher jeszcze raz zmienił pas na

pierwszy z lewej, przejechał przez pasy na czerwonym świetle, rozpraszając przechodniów. Samochód trząsł się i mocno siał w prawo. Wskaznik temperatury wyszedł poza skalę, a spod pogiętej maski wydobywała się para. Zapadnięta poduszka powietrzna zwieszała się z kierownicy aż do jego kolan. Gwałtownie skreślił w ślepy zaułek, gdzie znajdował się smietnik restauracji. Pudła, puste butle po oleju, drewniane tace ze zgniłymi warzywami i owocami. Śmieci posypały się na maskę samochodu. Reacher zgasił silnik i wyjął kluczyki ze stacyjki. Zatrzymał się tak blisko ściany po prawej, że Jodie nie mogła normalnie wysiąść. Chwycił jej teczkę i torebkę i wyrzucił z samochodu. Wcisnął się w drzwi, żeby jej pomóc. Jodie gramoliła się w poprzek foteli. Jej sukienka uniosła się do góry. Reacher chwycił ją w pasie i podniósł. Położyła mu głowę na ramieniu i zacisnęła gołe nogi na jego biodrach. Wyniósł ją z zaułka. Praktycznie nic nie ważyła. Postawił ją na chodniku i wrócił po jej rzeczy. Jodie obciągnęła sukienkę. Ciężko dyszała, a wilgotne włosy przylepiły się jej do twarzy.

-Skąd wiedziałas? - spytała, z trudem łapiąc powietrze.

-Jak zgadles, że to nie był wypadek?

Reacher podał jej torebkę, a sam wziął teczkę. Chwycił Jodie za rękę. Też gwałtownie oddychał. To był spory zastrzyk adrenaliny.

-Porozmawiamy, idąc - powiedział.

Skrecili na wschod w kierunku Lafayette. Oslepialo ich wschodzace słońce, a wiatr od rzeki chłodził twarze. Słyszel i szum samochodów klebiących się na Broadwayu. Po przejściu pięćdziesięciu metrów nieco się uspokoili.

-Skąd wiedziałeś?

-Statystyka, jak przypuszczam. Jakie jest prawdopodobieństwo, że będziemy mieli wypadek

dokładnie wtedy, gdy spodziewamy się ataku tych facetów? Jeden do miliona, nie większe.

Jodie kiwnęła głową. Na jej twarzy pojawił się uśmiech. Uniosła głowę, wyprostowała

ramiona. Szybko odzyskiwała równowagę. Ani śladu szoku. Naprawdę była nieodrodna córka

Leona.

-Byles wspaniały - stwierdziła. - Zareagowałeś błyskawicznie.

-Przeciwnie, byłem do niczego - odrzekł. - Postępowałem jak skończony idiota. Jeden błąd po drugim. Tamci zmienili personel. Jakis nowy facet przejął dowodzenie. Nie przyszło mi to do głowy. Cały czas przewidywałem, co zrobią dwaj teści zaszranicy, a nie pomyślałem, że sprawę przejmie ktoś

inteligentniejszy. Facet niezłe to wymyślił. To był dobry plan, prawie im się udało. Nie przewidziałem tego, całkowicie mnie zaskoczyli. A gdy już zaatakowali, traciłem czas na rozmowę o pieprzonych poduszkach powietrznych.

-Nie rob sobie wyrzutów.

-Mam powody. Leon miał podstawową zasadę: Jak coś robisz, rob to dobrze. Dzięki Bogu, nie widział, jak to sparta czyłem. Byłoby mu za mnie wstyd. Na twarzy Jodie pojawiła się chmura. Reacher uświadomił sobie, co powiedział.

-Przepraszam. Nie mogę przyjąć do wiadomości, że on zmarł.

Skrecili w Lafayette. Jodie zatrzymała się przy krawężniku. Wpatrywała, czy nie nadjeżdża taksówka.

-No coż, niedługo wszyscy przyzwyczaimy się do tego - stwierdziła spokojnie. -

Przepraszam, że zniszczyłem ci samochód. Powinienem był przewidzieć ten manewr.

-To tylko leasing. - Jodie wzruszyła ramionami. - Zadzwoń, żeby przysłali nowy, taki sam. Może czerwony. Teraz przynajmniej wiem, że dobrze znosi zderzenia.

-Powinnas donieść o kradzieży samochodu. Zadzwoń na policję i powiedz, że gdy rano wychodziłaś, na parkingu nie było samochodu.

-To oszustwo.

-Nie, to inteligentna taktyka. Pamiętaj, że nie mogę pozwolić, aby policja mnie przesłuchiwała. Nie mam nawet prawa jazdy. Jodie zastanawiała się przez chwilę. W końcu się uśmiechnęła. Jak młodsza siostra

wybaczająca starszemu bratu jego grzeszki, pomyślał Reacher.

-Okay - powiedziała. - Zadzwoń z biura.

-Z biura? Nie pojedziesz do żadnego cholernego biura.

-Z jakiego powodu? - zdziwiła się Jodie.

-Po tym, co się właśnie stało? - Reacher machnął ręką w kierunku Broadwayu. - Nie chce cię spuszczać z oka, Jodie.

-Muszę iść do pracy, Reacher - odpowiedziała. - Myśl logicznie. Biuro nie przestało być bezpieczne z powodu tego ataku na ulicy. To zupełnie niezależne stwierdzenie. Zgadza się? Biuro jest tak bezpieczne jak zawsze. Jeśli przedtem zgodziłaś się, żebym poszła do pracy, co się zmieniło teraz?

Reacher popatrzył na nią. Miał ochotę odpowiedzieć, że wiele się zmieniło. Niezależnie od tego, jaka sprawa miało to o stare małżeństwo z kliniki kardiologicznej, któremu Leon postanowił pomóc, teraz do gry włączyli się prawie kompetentni zawodowcy. Prawie kompetentni zawodowcy, którym dziś rano prawie się udało - zabrakło im pół sekundy. Kocham cię, grozi ci niebezpieczeństwo i nie chce cię spuszczać z oka - miał ochotę krzyknąć. Nie mógł tego zrobić. Przecież postanowił, że nie będzie zwał na nią dodatkowego ciężaru. Miłości i niebezpieczeństwa. Wzruszył nieporadnie ramionami.

-Powinnas pojechać ze mną - rzekł.

-Żeby ci pomóc?

-Tak, pomogłabym ci porozmawiać z tymi starszami. Z tobą będzie rozmawiać, bo jesteś córką Leona.

-Chcesz, żebym ci towarzyszyła, bo jestem córką Leona? Reacher kiwnął głową. Jodie zatrzymała przejeżdżającą takśówkę.

-Błędna odpowiedź, Reacher - powiedziała.

-- -

Reacher na próżno usiłował ją przekonać. Podjęła decyzję i nie zamierzała jej zmienić. Mogła natomiast pomóc mu rozwiązać pilny problem praktyczny: wynająć samochód, korzystając ze swojego prawa jazdy i złotej karty kredytowej. Pojechali takśówką do agencji Hertz. Czekal piętnaście minut na nasłonecznionej ulicy, aż wreszcie Jodie podjechała po niego nowiutkim taurusem. Pojechali na Wall Street. Po drodze mineli jej budynek i miejsce zasadzki. Słuzby miejskie już

usunęły rozbite samochody. W rynsztoku leżały odłamki szkła, a na asfalcie widac było plamy po rozlanym oleju, to wszystko.

Jodie pojechała dalej i zaparkowała przy hydrancie przed drzwiami budynku, w którym mieszkała. Nie zgasiła silnika i cofnęła fotel, tak aby Reacher mógł natychmiast ruszyć.

-Okay - powiedziała. - Przyjedź po mnie o siódmej, dobrze?

-Tak późno? - Późno zaczynam, muszę późno skończyć. - Nie wychodź z budynku, dobrze?

Reacher wysiadł z samochodu. Stojąc na chodniku, czekał, aż ona wejdzie do budynku. Gdy

Jodie przechodziła przez szeroki, wybrukowany plac przed wejściem, Reacher przyglądał

się jej nagim nogom tańczącym pod sukienką. Odwróciła się, uśmiechnęła i pokiwała mu na

pożegnanie. Przeszła przez obrotowe drzwi, machając ciężką teczką. To był wiezowiec, być

może sześćdziesięciopiętrowy. Swoje biura miało tu kilkadziesiąt firm, może nawet kilkaset.

Wydawał się niezły

zabezpieczony. Tuż za wejściem znajdowała się szeroka ława, za którą siedziało kilku ochroniarzy. Za nimi wznosiła się solidna szklana ściana, od podłogi do sufitu, z pojedynczymi drzwiami odblokowywanymi przez naciśnięcie guzika pod ławą. Windy były za szklaną przegrodą. Wejście wymagało zgody ochrony. Reacher pokiwał głową. Może to o bezpieczne miejsce. Może. Wszystko zależy od czujności ochroniarzy. Jodie właśnie rozmawiała z jednym z nich. Pochyliła się do przodu, a jasne włosy zasłoniły jej twarz. Chwile później podeszła do drzwi w szklanej ścianie, poczekala sekundy i nacisnęła klamkę. Zatrzymała się przy windach.

Nacisnęła guzik. Otworzyły się drzwi. Jodie weszła, dzwigając teczkę. Drzwi się zatrzasnęły. Reacher poczekał minutę na chodniku, po czym pośpiesznie wszedł do budynku. Podeszedł do lady ochrony, tak jakby to pobił codziennie. Wybrał najstarszego. Tacy zwykle są najbardziej niedbali. Młodzi wciąż mają nadzieję na awans.

-Zostałem wezwany do biura Spencer Gutman - powiedział, spoglądając na zegarek.

-Panskie nazwisko? - spytał ochroniarz.

-Lincoln.

Ochroniarz był siwy i zmęczony, ale zrobił to, co powinien. Sygnalizował po desce do notowania i przejrzał listę zapowiadanych gości.

-Jest pan umówiony?

-Wezwali mnie przez telefon kilka minut temu. Jakas pilna sprawa.

-Pan Lincoln, jak samochód?

-Jak prezydent - powiedział Reacher. Tamten kiwnął głową i przesunął grubym palcem wzdłuż długiej listy nazwisk.

-Nie ma pana na liście - stwierdził. - Nie mogę pana wpuszczać.

-Jestem pracownikiem Costella - przekonywał go Reacher. - Dzwonili, żebym jak najszybciej przyjechał.

-Mogę do nich zadzwonić - zaproponował ochroniarz. - Kto pana wzywał?

-Chyba pan Spencer - powiedział Reacher, wzruszając ramionami. - Ten facet, z którym zwykle rozmawiam. Ochroniarz spojrział na niego z niechęcią. Wydawał się urażony. Odłożył deskę na miejsce.

-Pan Spencer zmarł dziesięć lat temu - oświadczył. - Jeśli chce pan wejść, musi się pan normalnie umówić, rozumie pan?

Reacher kiwnął głową. Biurowiec był dobrze strzeżony. Obrócił się na pięcie i poszedł do samochodu. - - -

Marilyn Stone oczekiwała, aż mercedes Chestera zniknie z pola widzenia, po czym pobiegła do domu i wzięła się do pracy. Była kobieta poważna. Wiedziała, że jeśli mają rzeczywiście sprzedać dom w ciągu sześciu tygodni, to muszą się postarać. Najpierw zadzwoniła do firmy sprzątajacej. W domu panował idealny porządek, ale zamierzała usunąć niektóre meble. Gdy w domu jest niewiele mebli, wydaje się bardziej przestronny, większy niż w rzeczywistości. W ten sposób nie narzuca się potencjalnym nabywcom sposobu urządzenia wnętrza, nie

rozstrzyga, co wygląda dobrze, a co zle. Na przykład włoski kredens w holu świetnie tam pasował, ale Marilyn nie chciała, aby potencjalny nabywca sądził, że bez włoskiego kredensu hol się nie obędzie. Lepiej niech sam uruchomi swoją wyobraźnię, może w myślach postawi tam mebel, który już ma. Po usunięciu mebli należało zlikwidować ślady na podłodze, dlatego Marilyn zadzwoniła do firmy sprzątajacej. Mało mebli daje wrażenie przestrzeni, ale ślady po nich mogą wprować w przyspieszenie. Wezwwała również ekipę z firmy transportowej, żeby zabrali meble do wynajętego magazynu. Zawiadomiła

ogrodnika, że chce, aby przychodził codziennie rano na godzinę. Trawniki i krzewy wokół domu powinny być w nienagannym stanie, Marilyn wiedziała, że nawet w tym sektorze rynku liczy się najbardziej pierwsze wrażenie.

Potem spróbowała przypomnieć sobie jeszcze, co czytała lub słyszała o sprzedawaniu domu. Kwiaty w wazonach, to oczywiste. We wszystkich pokojach. Zadzwoniła do kwiaciarni. Ktoś powiedział jej, żeby rozstawić spodki z płynem do mycia szyb. Amoniak neutralizuje różne zapachy domowe. Przypomniła sobie, że przetrząsnąć w piecu ziarna kawy, można wytworzyć miły, zachęcający zapach. Przygotowała nową paczkę. Po-fnowiła, że włoży parę ziaren do pieca, gdy Sheryl zadzwoni, właśnie jedzie z klientami. To będzie właściwa chwila, jeśli chodzi o stworzenie zapachu.

8

Chester Stone rozpoczął następny dzień zupełnie zwyczajnie. Pojechał do pracy o normalnej godzinie. Jak zwykle jałda benzyna działała na niego uspokajająco. Słońce świeciło, tak jak powinno w czerwcu. Na ulicach panował ruch jak co dnia, ani większy, ani mniejszy. Na rogatkach stali gazeciarze i sprzedawcy kwiatów. Ruch na Manhattanie już się przerzedzał, co świadczyło, że wybrał odpowiednią porę na przyjazd do pracy. Zaparkował na wynajętym miejscu w podziemnym garażu i wjechał windą na górę do swego biura. W tym momencie skończyła się normalność. Biuro było całkowicie opuszczone, zupełnie jakby firma z dnia na dzień przestała istnieć. Pracownicy instynktownie zachowywali się jak szczury uciekające z tonącego okrętu. Na biurku w głębi sali dzwonił telefon. Nie było nikogo, kto mógłby odebrać. Komputery były wyłączone. W ciemnych ekranach monitorów odbijały się światła lamp na suficie. W jego gabinecie zawsze panowała cisza, ale teraz nakładał się na nią niesamowity spokój na zewnątrz. Gdy Chester wszedł do gabinetu, miał wrażenie, że znalazł się w grobie.

-Jestem Chester Stone - powiedział w ciszy.

Chciał usłyszeć jakiś głos, ale to zabrzmiało jak krakanie. Gruba wykładzina i izolacja akustyczna na ścianach tłumiły echo. Jego głos znikł w próżni.

-Cholera! - zaklął.

Był zły. Najbardziej na swoją sekretarkę. Pracowała u niego od wielu lat. Uważał, że może liczyć na jej lojalność w trudnych chwilach, niesmiałe dotknięcie ramienia, błysk w oku, obietnice pomocy w walce w niesprzyjających okolicznościach. Ona jednak zachowała się tak jak wszyscy. Usłyszała plotki z wydziału finansowego o bankructwie i jak inni uznała, że czek z wypłatą nie będzie miał pokrycia. Wyrzuciła z pudła jakieś stare dokumenty, spakowała zdjęcia swoich cholernych bratanków w tanie ramki, roślinę z biurka, smieci z szuflady i zawiozła to Wszystko metrem do swojego przytulnego mieszkanka, gdziekolwiek mieszkała. Przytulne mieszkanko, kupione i urządzone za pieniądze, które zarabiała u niego w dobrych czasach. Teraz pewnie siedzi w szlafroku na kanapie, pije kawę i cieszy się z nieoczekiwanego wolnego dnia. Nigdy tu nie wróci. Może już przegląda ogłoszenia o pracy, wybiera następną przystanek. - Cholera! - powtórzył.

Obrocił się na pięcie i wypadł przez sekretariat na korytarz, do windy. Zjechał na parter i wyszedł na nasłonecznioną ulicę. Skreślił na zachód. Siedział szybko, jakby goniła go wściekłość. Serce łomotało mu o zebra. Nad jego głową wznosiły się błyszczące, ogromne wieże World Trade Center. Przycisnął palec, wszedł do środka i skierował się do windy. Był spocony. Poczul na palcach chłodne powietrze w klimatyzowanym holu. Wjechał ekspresowa winda na osiemdziesiąte osme piętro. Przeszedł przez wąski korytarz do poczekalni Hobiego. Po raz drugi w ciągu dwudziestu czterech godzin mógł zobaczyć jej wystroj z debu i mosiadzu. Recepcjonista siedział na swoim zwykłym miejscu. Jakis mocno zbudowany mężczyzna właśnie wychodził z kuchni z dwoma kubkami kawy. Stone poczul zapach kawy. Widział parę unoszącą się z kubków. Spojrzał na recepcjonistę, po czym znowu na tego z kubkami. - Chce rozmawiać z

panem Hebiem - oswiadczył. Zignorowali go. Ten mocno zbudowany postawił jeden kubek na ladzie recepcjonisty, po czym przeszedł za Stone'a i usiadł koło drzwi wyjściowych. Recepcjonista pochylił się i obrócił kubek, tak aby mógł łatwo chwycić za uszko.

-Chcę rozmawiać z panem Hobiem - powtórzył Stone. Patrzył prosto przed siebie.

-Nazywam się Tony - odezwał się recepcjonista. Stone spojrzał na niego, zaskoczony. Tony miał na czole

czerwony znak, jak ślad po uderzeniu. Był uczesany, ale miał mokre włosy na skroniach, jakby niedawno zdjął zimny okład.

-Chcę rozmawiać z panem Hobiem - powiedział po raz trzeci.

-Pana Hobię nie ma i dziś nie przyjdzie - odrzekł Tony. - Tymczasem ja zajmę się pana sprawami. Mamy pewne rzeczy do omówienia, prawda?

-Owszem - odparł Stone.

-Może przejdziemy do gabinetu? - zaproponował Tony i wstał. Skinął głową w kierunku drugiego mężczyzny. Tamten podniósł się i zajął jego miejsce. Tony podszedł do drzwi gabinetu. Otworzył je, przytrzymał i Stone wszedł do środka. Gabinet sprawiał równie ponure wrażenie jak poprzedniego dnia. Załóżki były zaciągnięte. Tony usiadł za biurkiem na fotelu Hobięgo. Sprezyna podstawy zajęczała w ciszy. Stone stanął i rozejrzał się. Zastanawiał się, gdzie ma usiąść.

-Ty masz stać - stwierdził Tony.

-Co takiego? - rzekł Stone.

-Masz stać podczas całej rozmowy - nakazał Tony.

-Co takiego? - powtórzył Stone. Był zszokowany.

-Tu, przed biurkiem Stone stał nieruchomo, z zacisniętymi ustami.

-Ramiona po bokach - upomniął go Tony. - Stój prosto i nie garb się. Tony mówił spokojnym, rzeczowym tonem, siedząc nieruchomo za biurkiem. Zapadła cisza, słychać było tylko cichy szmer dochodzący z korytarza i bicie serca Stone'a. Jego oczy dostosowały się już do półmroku. Widział na blacie biurka ślady pozostawione przez Hobięgo. Niektóre były bardzo głębokie, tak jakby w gniewie wbil hak w drewno. Cisza wyprowadzała go z równowagi. Nie miał pojęcia, jak ma się zachować. Spojrzał na stojącą po lewej sofę. Rozmowa na baczność była takim upokorzeniem. Zwłaszcza że tego sobie życzył przeklęty recepcjonista. Zerknął na drugą sofę, po prawej. Powinien po prostu usiąść, nie przejmując się To-nym. Zrobił krok i usiadł. Zignoruj go. Zrobił to. Po prostu usiadł i pokazał mu, kto jest szefem. Jak zwycięski return lub picie asem. Siadaj, na litość boską! Jednakże nie mógł poruszyć nogami. Zupełnie jakby był sparalizowany. Stał nieruchomo, metr przed biurkiem, sztywny z gniewu i upokorzenia. I strachu.

-Nosisz marynarkę pana Hobięgo - stwierdził Tony. - Czy mogłbyś ją zdjąć, bardzo proszę?

Stone przez chwilę gapił się na niego, potem spojrzał na marynarkę. Miał na sobie ciemny garnitur. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy w życiu przypadkiem nosił ten Sam garnitur dwa dni z rzędu. - To moja marynarka - powiedział.

-Nie, należy do pana Hobięgo. Stone pokręcił głową.

-Kupiłem ją w Londynie. To z pewnością moja marynarka. Tony uśmiechnął się w półmroku.

-Najwyraźniej czegoś nie rozumiesz.

-Czego nie rozumiem? - spytał osłupiały Stone.

-Nie rozumiesz, że należysz do pana Hobięgo. Ty i wszystko miałeś. Stone gapił się na niego. W gabinecie zapadła cisza. Znowu słychać było tylko cichy szmer dochodzący z korytarza i bicie serca Stone'a.

-Zatem zdejmij marynarkę pana Hobięgo - polecił spokojnie Tony. Stone w dalszym ciągu gapił się na niego. Otwierał i zamykał usta, ale nic nie mówił.

-Zdejmuj marynarkę! - nakazał Tony. - Nie należy do ciebie. Nie powinieneś chodzić w rzeczach, które nie są twoją własnością.

Mówił spokojnie, ale w jego głosie kryła się groźba. Twarz Stone'a zesztywniała, lecz jego ręce nagle zaczęły się poruszać, tak jakby nie był w stanie kontrolować ich ruchów. Sciągnął z siebie marynarkę i trzymał ją za kołnierz, jak gdyby znajdował

się w sklepie odzieżowym i oddawał ekspedientowi przymierzone ubranie.

-Połóż na biurku - powiedział Tony.

Stone położył marynarkę na blacie. Wyglądził ją. Czuł pod palcami doskonałą wełnę. Tony przyciągnął do siebie marynarkę i zaczął opróżniać kieszenie. Zgarnął ich zawartość w niewielki stos, zwinął w kłęb marynarkę i cisnął ją na sofę po lewej. Wybrał ze stosu pióro wieczne marki Mont Blanc, popatrzył na nie z uznaniem i schował do

swojej kieszeni. Następnie rozłożył na blacie pakiet kluczy. Znalazł kluczyk do samochodu i podniósł go, trzymając dłońmi palcami.

-Mercedes? Stone tępo kiwnął głową.

-Jaki model?

-Pięćset SEL.

-Nowy?

-Z zeszłego roku.

-Kolor?

-Ciemnoniebieski.

-Gdzie jest? - Na podziemnym parkingu w moim biurze - wymamrotał Stone.

-Zabierzemy go później - zapowiedział Tony.

Otworzył szufladę, wrzucił kluczyki i znowu zamknął. Teraz skupił uwagę na portfelu. Otworzył go i wygrzebał całą zawartość na blat. Rzucił pusty portfel pod biurko. Stone usłyszał, jak wpada do kosza na śmieci. Tony zerknął na fotografię Marilyn i też cisnął ją do kosza. Sztywny papier fotograficzny stuknął o metalowe dno. Tony zebrał trzema palcami karty kredytowe i ułożył w kupkę jak zetony w kasynie. Odsunął je na bok gestem krupiera. - Znam faceta, który da za nie stówę - oznajmił. Przeliczył pieniądze i posortował banknoty zgodnie z ich nominałem. Spisał je w notatniku biurowym i wrzucił do szuflady. - Czego chcecie? - spytał Stone. Tony spojrzał na niego.

-Chce, zebyś zdjął krawat pana Hobięgo- oświadczył

Stone bezradnie wzruszył ramionami.

-Nie, poważnie, czego wy ode mnie chcecie?

-Siedemnaście milionów sto tysięcy dolarów. Tyle jesteście nam dłużni.

-Wiem - kiwnął głową Stone. - Oddam.

-Kiedy?

-No, potrzebuje trochę czasu.

-W porządku. Masz godzinę.

-Stone popatrzył na niego z osłupieniem.

-Nie, muszę mieć więcej czasu.

-Masz tylko godzinę. - W godzinę nie dam rady. - Wiem, że nie dasz rady - stwierdził Tony.

-Nie dasz rady, jeśli nawet dostaniesz dzień, tydzień lub rok, ponieważ jesteś bezużytecznym gówniarzem, który nie potrafiłby sam wytrzeć sobie tyłka, prawda?

-Co takiego?

-Jesteś do niczego, Stone. Przejąłeś biznes, który stworzył twój dziadek, ciężko harując, a twój ojciec pięknie rozwinął, po czym spuścił to wszystko do Stone wzruszył ramionami. Przelknął ślinę.

-No, zadano mi pewne ciosy - powiedział. - Co jednak mogę zrobić?

-Zdejmij krawat! - wrzasnął Tony. Stone podskoczył i podniósł ręce. Walczył z węzłem.

-Zdejmuj-krawat, gówniarzu! - ponownie wrzasnął Tony. Chester zerwał krawat z szyi i rzucił na biurko.

-Dziękuję, panie Stone - powiedział łagodnie Tony.

-Czego wy chcecie? - szepnął Stone.

Tony otworzył inną szufladę i wyjął z niej kartkę papieru gęsto zapisaną trudnym do odczytania maczkiem. To była jakaś lista z liczbami i sumą wypisaną na dole.

-W tym momencie mamy trzydzieści dziewięć procent akcji twojej korporacji - oznajmił.

-Chcemy jeszcze dwanaście. Stone spojrzał na niego i wykonał proste dodawanie.

-Pakiet kontrolny?

-Właśnie. Mamy trzydzieści dziewięć procent, jeszcze dwanaście i będziemy mieli pięćdziesiąt jeden. To rzeczywiście pakiet kontrolny. Stone przelknął ślinę i pokręcił głową.-Nie. Nie zgadzam się.

-Okay. Wobec tego chcemy za godzinę otrzymać siedemnaście milionów sto tysięcy dolarów.

Stone rozglądał się chaotycznie na lewo i prawo. Mocno zbudowany mężczyzna w drogim garniturze wszedł do gabinetu, cicho zrobił kilka kroków po wykładzinie i stanął za Tonym ze skrzyżowanymi ramionami.

-Zegarek, poproszę - zazała Tony.

Stone spojrzał na lewy nadgarstek. Miał roleksa. Wyglądał, jakby był zrobiony ze stali, ale to była platyna. Kupił go w Genewie. Rozpiął bransoletkę i podał zegarek Tony'emu, który kiwnął głową i wrzucił go do szuflady.

-Teraz zdejmij koszulę pana Hobbiego.

-Nie zmusicie mnie do przekazania wam akcji - powiedział Stone.

-Owszem, zmusimy. Zdejmij koszulę, okay?

-Słuchaj, nie dam się zastraszyć - oświadczył Stone takim pewnym głosem, na jaki było go stać.

-Już się dałeś - odrzekł Tony. - Może nie? Za chwilę zesrasz się ze strachu w spodnie pana Hobbiego. To będzie poważny błąd, ponieważ zmusimy cię, żebyś je oczyścił. Stone nie odpowiedział. Wpatrywał się w przestrzeń między dwoma przesładowcami.

-Dwanaście procent akcji - rzucił Tony łagodnym głosem. - Czemu nie? I tak są bezwartościowe. Zostanie ci czterdzieści dziewięć procent

-Chcę porozmawiać z adwokatem - zazała Stone.

-Proszę bardzo, rozmawiaj. Stone rozejrzał się po gabinecie.

-Gdzie jest telefon?

-Nie ma. Pan Hobbie nie lubi telefonów.

-Wtedy jak mam rozmawiać?

-Krzycz - zaproponował Tony. - Krzycz, żeby głośno, może adwokat cię usłyszy. - Co? -

Krzycz - powtórzył Tony. - Jest pan naprawdę tępy, panie Stone. Proszę wnioskować z prostych przesłanek. Nie ma tu telefonu, nie może pan wyjść z pokoju, chce pan rozmawiać z adwokatem, zatem musi pan krzyczeć. Stone znów wbił wzrok w przestrzeń. -

Krzycz, gówniarzu! - wrzasnął Tony. - Nie mogę - bezradnie odpowiedział Stone. - Nie wiem, czego chcesz. - Zdejmij koszulę! - rozdarł się Tony. Stone gwałtownie zadygotał.

Unosił ręce, ale się zawahał. - Ściągaj to, gówniarzu! - krzyknął Tony. Stone rozpiął guziki od góry do dołu. Zdjął koszulę. Stał, trzymając ją w ręku. Trząsł się. - Złóż ją porządnie. Pan Hobbie lubi porządek. Stone złożył koszulę, najlepiej jak umiał. Strzepnął ją, trzymając za kołnierz, złożył w powietrzu na pół, i jeszcze raz na pół. Położył na marynarce.

-Podpisz zrzeczenie sie dwunastu procent akcji - zazadal Tony

-Nie - odrzekl Stone, zaciskajac piersi. Zapadla cisza. Cisza i polmrok.

-Wydajnosć - odezwal sie spokojnie Tony - Przykladamy tu duze znaczenie do wydajnosci. Powinien pan byl zwracac wieksza uwaga na wydajnosć, a moze wtedy pana korporacja nie trafilaby na smietnik. Jaka zatem jest najbardziej wydajna metoda zalatwienia tej sprawy? Stone bezradnie wzruszyl ramionami. - Nie wiem, o czym mowisz.

-Wiec ci wyjasnie. Chcemy, zebys spelnil nasze zyczenie. Chcemy zobaczyc twoj podpis na tym dokumencie. Jak mozemy to osiagnac?

-Nigdy go nie zobaczysz, sukinsynu - odrzekl Stone. - Do diabla, wole oglosic bankructwo. Nic nie dostaniecie. Na wet centa. Sprawa w sadzie potrwa piec lat, minimum. Tony pokrecil cierpliwie glowa, jak nauczyciel, ktory po raz setny slyszy bledna odpowiedz.

-Mozecie robic, co chcecie - rzucil Stone. - Nie oddam wam mojej firmy.

-Mozemy ci zrobic krzywde - powiedzial Tony. Stone spojrzal na biurko. Jego krawat lezal na glebokich sladach po haku.

-Zdejmuj spodnie pana Hobiego! - wrzasnal Tony.

-Nie zdejme, do diabla! - krzyknal Stone.

Facet stojacy obok Tony'ego siegnal pod marynarkę. Rozleglo sie skrzypienie skory. Stone patrzyl na niego z niedowierzaniem. Tamten wyciagnal niewielki czarny rewolwer. Uniosl go na wysokosc oczu, wycelowal i zaczal sie do niego zbliczac, omijajac biurko. Byl coraz blizej. Stone wpatrywal sie w rewolwer szeroko otwartymi oczami. Facet celowal mu w twarz. Stone trzasl sie, a z czola splywal mu pot. Jeszcze dwa kroki. Stone zezowal, patrzac na bron. Facet przylozyl lufe do jego

czola. Byla twarda i zimna. Stone zadygotal. Odchylil sie do tyłu. Wciaz skupial spojrzenie na ciemnej plamie, jaka z tej odleglosci stanowil dla niego rewolwer. Nie dostrzegl, jak tamten zacisnal druga reke w piesc i wzial zamach. Nagle dostal potezny cios w brzuch i zwalil sie na podloge jak worek. Podwinal nogi, skulil sie, ciezko dyszal i wymiotowal.

-Zdejmuj spodnie, zasrancu! - wrzasnal znowu Tony. Ten z bronia kopnal ofiare z calej sily

w korpus. Stone

jeknal, przewrocil sie na plecy i krecil jak zolw, dyszac i krztuszac sie. Zaczal szarpac za pasek. Udalo mu sie rozpiac klamre. Odpial guzik i pociagnal za suwak. Zsunal spodnie z nog, ale zaczepily sie o buty. Wreszcie zrzucil je z siebie, wywracajac na lewa strone.

-Prosze wstac, panie Stone - spokojnie zazadal Tony. Stone wstal, ale chwial sie na

nogach. Pochylil sie i zwiesil

glowe. Podpieral sie rekami o kolana. Czul skurcze w brzucha. Majtki, biale nogi, ciemne skarpetki i buty sprawialy komiczne wrazenie.

-Mozemy panu zrobic krzywde - powtorzyl Tony. - Teraz pan chyba to rozumie, prawda?

Stone pokiwal glowa i ciezko sapnal. Przyciskal rece do brzucha. Mial mdlosci.

-rozumie to pan? - ponownie zapytał Tony. Stone znowu przytaknął ruchem głowy.

-Niech pan to wyrazić powie, panie Stone - zezwolił Tony. - Niech pan powie, że możemy zrobić panu krzywdę.

-Możecie mi zrobić krzywdę - wysapał Stone.

-Ale tego mnie zrobimy. Pan Hobie nie załatwia tak swoich spraw. Stone podniósł rękę i wytarł łzy. Spojrzał z nadzieją na swego oprawcę.

-Pan Hobie woli skupić uwagę na zonach - ciągnął Tony. - Widzi pan, chodzi o wydajność. To pozwala znacznie szybciej osiągnąć pożądaną wartość. W tym momencie powinien pan pomyśleć o Marilyn. - - -

Wynajęty taurus był znacznie szybszy od bravady. Na suchej

szosie w gorący czerwcowy dzień nie było między nimi porównania. Może podczas styczniowych śniegów lub lutowych opadów śniegu z deszczem Reacher doceniłby zalety napedu na cztery koła, ale na letnią jazdę w górę rzeki Hudson sedan był o wiele lepszy od jeepa. Taurus był niski, stabilny i dobrze trzymał się drogi na zakrętach. Silnik pracował cicho. Reacher nastawił radio na nowojorską stację. Jakaś kobieta o nazwisku Wynonna Judd pytała: Dlaczego nie ja? Reacher pomyślał, że nie powinna mu się tak bardzo podobać, bo gdyby ktoś go spytał, czy chciałby posłuchać wokalistki country śpiewającej żalostną piosenkę o miłości, na pewno odpowiedziałby, że nie. Ta miała jednak wspaniały głos, a towarzyszył jej cholernie dobry gitarzysta. Słowa trafiały do niego, ponieważ wyobrażał sobie, że to śpiewa Jodie, nie zaś Wynonna Judd. Śpiewała: Dlaczego nie ja, gdy się starzejesz? Dlaczego nie ja? Zaczął śpiewać razem z nią. Jego szorstki bas towarzyszył jej kontrakowi, a gdy skończyła i zaczęły się reklamy, Reacher już myślał, że jeśli kiedykolwiek będzie miał dom i stereo jak inni, to kupi płytę Dlaczego nie ja?

Jechał na północ szosa numer 9. Na fotelu obok położył otwartą mapę Hertza, z której

wynikało, że Brighton znajduje się w połowie drogi między Peekskill i Poughkeepsie, nieco na

zachód nad rzeką Hudson. Obok położył kartkę z gabinetu doktor McBannerman. Zanotował

na niej adres państwa Hobie. Jechał ze stałą prędkością stu pięciu kilometrów na godzinę,

dostatecznie szybko, żeby dojechać w rozsądnym czasie, i dostatecznie wolno, żeby uniknąć

kontaktu z drogówką, której funkcjonariusze - jak przypuszczał - czaili się za każdym

laskiem, żeby zwiększać dochody miast za pomocą radarów i mandatów.

Jazda do Garrison zajęła mu w przybliżeniu godzinę. Zamierzał jechać na północ do dużej

drogi na zachód, wzdłuż rzeki do Newburgh. Chciał zjechać z niej tuż przed Hudsonem i

dotrzeć do Brighton od północy. Wtedy pozostałoby mu tylko znaleźć podany adres;

przewidywał, że to może okazać się dość trudne.

Pomylił się jednak, ponieważ od razu zjechał na południe

z szosy wschód-zachód droga widniejąca w drugiej linii adresu państwa Hobie. Jechał

powoli, patrząc na skrzynki pocztowe i numery domów. Ta część poszukiwań okazała

sie trudniejsza. Skrzynki pocztowe staly w grupach, po szesc co kilkaset metrow, bez zadnych oczywistych zwiazkow z domami. W rzeczywistosci domow na ogol nie bylo widac. Prawie wszystkie staly gdzies daleko od glownej drogi; zeby do nich dojechac, trzeba bylo skrecic w jedna z wielu waskich, wysypanych zwirem drog, podobnych do tuneli przebitych przez las.

Reacher znalazl wlasciwa skrzynke pocztowa. Stala na drewnianym paliku, mocno sprochnialym i pochylonym do przodu. Wokol slupka wily sie cierniste pedy. Na duzej zielonej skrzynce ktos starannie napisal recznie numer domu, ale cyfry juz wyblakly.

Drzwiczki zwisaly, poniewaz skrzynka byla calkowicie wypelniona poczta. Oproznil ja i polozyl cala zawartosc na fotelu pasazera. Zamknal drzwiczki. Teraz zobaczyl nazwisko Hobie wykalgigrafowane ta sama farba, pisanyymi literami.

Wszystkie skrzynki pocztowe staly po prawej stronie szosy, dla wygody listonosza, natomiast gruntowe drogi do domow odchodzily na obie strony. Z miejsca, gdzie staly skrzynki, widac bylo cztery takie drogi, dwie na prawo i dwie na lewo.

Reacher wzruszyl ramionami i wybral pierwsza po prawej, w kierunku rzeki. Nie trafil. Przy tej drodze staly dwa domy. Na bramie pierwszego zobaczyl nazwisko Kozinsky. Przed drugim stal jaskrawoczerwony pontiac firebird zaparkowany pod nowym koszem nad brama garazu. Na trawniku lezaly porzucone dziecinne rowery. To nie wygladalo na dom starych i chorych ludzi.

Pierwsza droga po lewej rowniez nie zaprowadzila go do celu. Udalo mu sie dopiero za trzecia proba - to byla druga droga po prawej stronie. Zarosniety krzakami podjazd biegł na poludnie, rownolegle do rzeki. Na bramie wisiala zardzewiala skrzynka pocztowa z czasow, kiedy jeszcze poczte dostarczano nieco blizej adresatow. Ten sam zielony kolor, ale jeszcze bardziej splowialy. Ten sam odreczny charakter pisma i wyblakle litery: Hobie. Reacher skrecil na podjazd. Galezie krzakow szorowaly po obu bokach taurusa. Zatrzymal sie za

chevroletem zaparkowanym na skos pod wiata. To był stary, amerykański samochód z maską i bagażnikiem wielkości lotniskowca.

Zgasił silnik i wysiadł z samochodu. Pochylił się do środka i zebrał pocztę z fotela. Przez chwilę stał, przyglądając się otoczeniu. Państwo Hobie mieszkali w parterowym domu ustawionym na zachód, ku rzece. Dom był takiego samego ciemnobrazowego koloru jak ich samochód. Ściany ze sta-rych pociemniałych desek, dach kryty gontem. Dziedziniec przypominał dżunglę. To była doskonała ilustracja tego, co dzieje się z dobrze utrzymanym ogrodem po piętnastu latach zaniedbania, mokrych wiosen i upalnych lat. Tam gdzie kiedyś była szeroka alejka od wiaty do drzwi frontowych, pozostała wąska ścieżka między krzakami. Reacher pomyślał, że bardziej od ogrodnika przydałby się tu pluton piechoty z miotaczami ognia.

167

Przedarł się do drzwi, walczyć z galeziami, które chwytaly go za kostki. Guzik dzwonka był całkowicie zardzewiały, dlatego Reacher zapukał. Poczekał. Żadnej odpowiedzi. Zapukał

jeszcze raz. Słyszał szmery w dżungli za plecami i trzask stygnącego tłumika w samochodzie.

Znowu zapukał. Czekal. Usłyszał skrzypienie podłogi w domu. Ktoś zbliżał się do drzwi.

Zatrzymał się przy drzwiach.

-Kto tam? - rozległ się słaby głos kobiecy, stłumiony przez drzwi.

-Reacher! - odkrzyknął. - Przyjaciel generała Garbera. Donosny głos Reachera spowodował panikę w krzakach.

Spłoszone zwierzęta uciekały lub szukały kryjówki. Reacher usłyszał zgrzyt zamka i odsuwanych rygli. Zaskrzypiał y otwierane drzwi. W holu było ciemno. Wszedł w cień okapu i wówczas zobaczył czekającą kobietę. Miała jakieś o siemdziesiąt lat, była chuda jak patyk, siwa i pochylona. Ubrana była w spłowiałą, kwiecistą suknię rozszerzającą się od talii i podtrzymywaną nylonowymi halkami. Widział takie suknie na fotografiach z przyjęcia w ogrodzie z lat pięćdziesiątych

i sześćdziesiątych. Tak ubrane kobiety miały zwykle również długie białe rękawiczki, kapelusze z szerokim rondem i uśmiechały się jak zadowolone przedstawicielki burżuazji.

-Oczekujemy pana - powiedziała staruszka.

Pani Hobie przesunęła się w bok, żeby go wpuścić. Reacher uklonił się i wszedł. Jej suknia była tak szeroka, że musiał się przecisnąć przy scianie. Usłyszał szelest nylonu.

-Przyniosłem państwa pocztę - rzekł. - Skrzynka była przepełniona. Uniosł gruby plik kopert i reklam. Czekal na reakcję.

-Dziękuję panu. To bardzo uprzejme z pana strony. Stąd do skrzynki jest zbyt daleko, żeby iść pieszo, a gdy jedziemy, nie chcemy się zatrzymywać na drodze, żeby ktoś na nas nie wpadł z tyłu. To bardzo ruchliwa droga, a ludzie jeżdżą strasznie szybko. Moim zdaniem szybciej, niż powinni.

Reacher kiwnął głową. To była zapewne najspokojniejsza droga, jaką widział w całym swoim życiu. Gdyby ktoś postanowił przespacerować się na środkowej linii, miałby duże szanse przeżycia do rana. Wciąż trzymał w ręku pocztę. Starsza pani nie okazała zaniepokojenia, korespondencja.

-Gdzie mam to odłożyć? - spytał.

-Czy mogłby pan to położyć w kuchni na stole?

Ciemne drewniane ściany holu sprawiały, że wydawał się ponury. Kuchnia była jeszcze gorsza. Niewielkie okno było o przeszklone żółta, matowa szyba. Reacher przyjrzał się meblom pokrytym ciemną okleiną i dziwnym, emaliowanymi urządzeniom kuchennymi na krótkich nóżkach. W całym pomieszczeniu pachniało starym jedzeniem i gorącym piwem, ale panował w nim nienaganny porządek. Na wytartym linoleum leżał chodnik usztywniony galanow. Na stole stał wyszczerbiony, porcelanowy kubek z włożonymi do środka okularami. Reacher położył pocztę obok kubka. Pomyślał, że gdy już sobie pojdzie, pani Bobie wygnie okulary z kubka i przejrzy wszystko, ale najpierw odwiesi swoją najlepszą sukienkę do szaty, gdzie leżały kulki naftaliny.

-Czy mogę panu zaproponować kawalek ciasta? - spytała.

Reacher spojrzał na płytę kuchennej. Na wierzchu stał porcelanowy talerz nakryty lnianą ściereczką. Pani Hobie upiekła dla niego ciasto. - Napije się pan kawy? Obok kuchennej stał staroswiecki ekspres wykonany z emalii koloru miedzi, z zielonym szklanym guzikiem na gorze, podłączony do kontaktu kablem w postrzępionym, bawełnianym oplocie, Reacher kiwnął głową. - Dziękuję. Z przyjemnością - powiedział. Pani Hobie wydawała się zadowolona. Przysunęła się do kuchennej, zginiatając suknie. Drzącym, chudym kciukiem nacisnęła guzik. Ekspres był już napełniony i gotowy do użycia.

-To potrwa tylko chwilę - powiedziała. Przez sekundy nasłuchiwała. Stary ekspres zaczął

perkotać. - Chodźmy, przedstawię pana mężowi. Teraz nie śpi i bardzo pragnie pana

poznać. W tym czasie zaparzy się kawa.

Zaprowadziła go do niewielkiego salonu w głębi domu, mniej więcej cztery na cztery metry,

zastawionego ciężkimi

fotelami i witrynami z porcelanowymi figurkami. Na jednym z foteli siedział stary mężczyzna

w sztywnym niebieskim

garniturze z serży, z wyswieconymi lokciami, co najmniej o trzy numery za luznym. Kolnierz

koszuli tworzył szeroką, sztywną obroż wokół bladej, pomarszczonej szyi. Na głowie

pozostały mu tylko nieliczne siwe kosmyki. Z mankietów wystawały cienkie jak ołówki

nadgarstki. Chude, kosciste dłonie położył na oparciu fotela. Z nosa wystawały mu dwie

cienkie, przezroczyste rurki zawieszane na uszach. Za nim stał wózek z butlą z tlenem.

Spojrzał na Reachera, po czym wziął głęboki oddech, zbierając siły na uniesienie ręki na

powitanie.

-Major Reacher - powiedział. - Bardzo mi przyjemnie pana poznać. Reacher podszedł i uściskał jego dłoń. Była zimna i sucha. Miał wrażenie, że to reka szkieletu owinięta we flanelę. Starszy pan przerwał, wciągnął w płuca nieco tlenu i znowu się odezwał.

-Jestem Tom Hobie, majorze. Ta urocza dama to moja żona Mary. Reacher skinął głową.

-Ciesze się ze spotkania z państwem. Nie jestem już majorem.

Pan Hobie skinął głową i wciągnął tlen przez nos.

-Służył pan w wojsku, a zatem moim zdaniem ma pan prawo do tego tytułu. Pośrodku ściany znajdował się niski komin z kamieni polnych. Na gzymsie stały gęsto ustawione fotografie w srebrnych ramach. Na ogół były to kolorowe zdjęcia młodego człowieka w oliwkowym mundurze, w różnych pozach i sytuacjach. Na jednym, wyraźnie starszym, czarnobiałym, widac było innego mężczyznę w mundurze, wysokiego, prostego jak trzcina, z uśmiechem na twarzy. Szeregowiec pierwszej klasy z innego pokolenia. Być może był to pan Hobie, nim słabnące serce zaczęło go zabijać od środka. Reacher nie mógł jednak dostrzec wyraźnego podobieństwa.

-To ja - potwierdził starszy pan, który zauważył, że Reacher przygląda się zdjęciu.

-Z drugiej wojny światowej? Pan Hobie potwierdził skinieniem głowy. W jego oczach widac było smutek.

-Nigdy nie byłem na froncie - powiedział. - Zgłosiłem się na ochotnika, nim jeszcze wprowadzono obowiązkową służbę, ale chorowałem na serce i nie chcieli posłać mnie do walki. Służyłem w magazynie w New Jersey.

Reacher pokiwał głową ze zrozumieniem. Hobie sięgnął do gałki zaworu i zwiększył dopływ tlenu.

-Przyniosę kawę - wtraciła pani Hobie. - 1 ciasto.

-Czy mogę pani pomóc? - spytał Reacher.

-Nie, dziękuję, dam sobie radę - odpowiedziała i wyszła powoli z salonu.

-Proszę, niech pan siada, panie majorze - zaprosił Tom Hobie.

Reacher kiwnął głową i usiadł na fotelu tuż przy nim, żeby słyszeć jego słabnący głos. Pan Hobie milczał. Słychać było tylko syk tlenu z butli i brzdakanie porcelany w kuchni. Zwykle domowe odgłosy. Jasnozielone żaluzje w oknach blokowały

promieni słonecznych. gdzieś niedaleko płynęła rzeka, pewnie za zdziczałym ogrodem. Byli czterdzieści kilometrów od domu Leona Garbera.

-Już podaje! - zawołała pani Hobie z korytarza. Wrocila do salonu, pchając przed sobą

wozek z serwisem do

kawy, niewielkim dzbankiem mleka i cukiernicą. Na tacy leżało ciasto biszkoptowe ozdobione żółtym lukrem. Pewnie cytrynowym. Obok stał stary ekspres, z którego unosił się zapach kawy.

-Jaka pan pije kawę?

-Bez mleka i cukru, bardzo proszę.

Pani Hobbie nalala kawę do filizanki. Jej ręce drżały z wysiłku, a filizanka kiwała się na spodeczku. Nałożyła mu na talerzyk duży kawałek ciasta. Talerzyk dygotał. Wciąż słysząc był syk tlenu. Starszy pan powtarzał w pamięci swą opowieść, dzielił ją na kawałki i wciągał w płuca tlen, żeby starczyło mu sił na opowiadanie.

-Byłem drukarzem - nagle przerwał milczenie. - Miałem własną drukarnię. Mary pracowała u jednego z moich najważniejszych klientów. Poznaliśmy się i wzięliśmy ślub wiosną tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku. Nasz syn urodził się w czerwcu następnego roku. Pan Hobbie spojrzał na fotografię nad kominkiem.

-To nasz syn, Victor Truman Hobbie. W salonie zapadła cisza jak podczas nabożeństwa.

-Uważałem, że służba jest moim obowiązkiem - powiedział starszy pan. - Nie nadawałem się do służby na froncie i bardzo tego żałowałem. Byłem rozgoryczony, majorze. Chciałem jednak służyć mojej ojczyźnie, tak jak mogłem. Tak samo wychowaliśmy naszego syna. Chcieliśmy, żeby kochał swój kraj i był gotowy mu służyć. Zgłosił się na ochotnika do Wietnamu.

Pan Hobbie zamknął usta i kilkakrotnie zaciągnął się tlenem. Pochylił się i podniósł z podłogi skórzaną aktówkę. Położył ją na koscistych kolanach i otworzył. Wyjął zdjęcie i podał je Reacherowi, który odstawił filizankę, żeby wziąć fotografię z jego drżącej ręki. Na wyblakłym, kolorowym zdjęciu zobaczył chłopca w wieku dziewięciu lub dziesięciu lat, krego, z dużymi zębami, piegawatego i uśmiechniętego, z metalową miską

na głowie i karabinem - zabawka na ramieniu. Nogawki dżinsów miał wcisnięte w skarpetki, by wyglądały tak, jakby nosił wojskowe getry.

-Chciał być żołnierzem - odezwał się znowu pan Hobbie. - Zawsze. To było jego ambicją. Oczywiście w tym czasie całkowicie to aprobowałem. Nie mogliśmy mieć więcej dzieci, więc Victor był jedynakiem, światłem naszego życia. Uważałem, że służba wojskowa to właściwy wybór drogi życiowej dla syna patrioty. Znowu zapadła cisza. Hobbie zakasłał. Syk tlenu. Cisza.

-Czy popierał pan nasz udział w wojnie w Wietnamie, majorze? - spytał Hobbie. Reacher wzruszył ramionami.

-Byłem zbyt młody, żeby mieć opinie w tej sprawie - odpowiedział. - Wiedząc to, co wiem teraz, sądzę, że to był błąd.

-Dlaczego?

-Niewłaściwe miejsce, niewłaściwa pora, niewłaściwe powody, niewłaściwe metody, niewłaściwa strategia, niewłaściwe dowództwo. Brak społecznego poparcia, prawdziwej woli walki o zwycięstwo.

-Poszedłby pan na te wojny?

-Tak, poszedłbym walczyć - odparł Reacher, kiwając głową. - Nie miałbym wyboru. Ja też jestem synem żołnierza. Jednak zazdrościłbym pokoleniu mojego ojca. Znacznie łatwiej było iść na drugą wojnę światową.

-Victor chciał pilotować helikoptery - powiedział starszy pan. - Miał bzika na tym punkcie. Obawiam się, że to moja wina. Kiedyś zabrałem go na jarmark i zapłaciłem dwa dolary za przejazd helikopterem. To był stary Bell do opylania pol. Potem już zawsze chciał zostać pilotem. Uznał, że wojsko to najlepsza szkoła pilotażu.

Wyjął z aktówki kolejną fotografię. Podał ją przez stół. To był ten sam chłopak, już dwa razy starszy, wysoki, uśmiechnięty, w nowym mundurze. Stał przed wojskowym helikopterem H-23 Hillerem, starym śmigłowcem szkoleniowym.

-To z Fort Wolters - wyjaśnił pan Hobbie. - Daleko na południu, w Teksasie. Główna szkoła pilotów śmigłowców armii lądowej.

-Syn latał smigłowcem w Wietnamie?

-Skonczył szkołę z drugą lokatą w swoim roczniku - odrzekł Hobie. - To nie było dla nas niespodzianką. Zawsze dobrze się uczył, przez całą szkołę średnią. Miał duże zdolności matematyczne i rachunkowe. Wyobrażałem sobie, że skończy studia i będzie moim partnerem, zajmie się stroną księgową. Bardzo na to liczyłem. Mnie nauka przychodziła z trudnością, nie będę tego ukrywał. Nie jestem wykształconym człowiekiem. Zawsze bardzo się cieszyłem z dobrych wyników Victora. To był bardzo inteligentny chłopak. I bardzo dobry. Bystry, uprzejmy, dobry, idealny syn. Nasz jedyny syn. Pani Hobie milczała. Nie jadła ciasta i nie pila kawy.

-Jego promocja oficerska odbyła się w Fort Rucker - mówił dalej pan Hobie. - W Alabamie. Pojechalismy to zobaczyć.

Pokazał Reacherowi następne zdjęcie. To była kopia jednego ze zdjęć stojących nad kominkiem. Pastelowa trawa i niebo,

wysoki młody mężczyzna w mundurze, z czapką zsunietą na oczy, obejmujący ramieniem szczupłą, ładną kobietę w kolorowej sukni. Fotografia była odrobinę nieostra, a horyzont przechylony. Najwyraźniej pstryknął ją mąż i ojciec, którego rozpierała duma.

-To Victor i Mary - powiedział. - Ona w ogóle się nie zmieniła, prawda? Wciąż tak samo wygląda.

-Ani trochę - gładko potwierdził Reacher.

-Kochalismy go - wtraciła cicho pani Hobie. - Dwa tygodnie później został wysłany na wojnę.

-W lipcu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku - dodał jej mąż. - Miał dwadzieścia lat.

-I co się stało? - spytał Reacher.

-Odbił całą turę służby na froncie - powiedział pan Hobie. - Otrzymał dwie pochwały za odwagę. Wroczył do domu z medalem. Od razu zrozumiałem, że prowadzenie księgowości w drukarni to nie dla niego zajęcie. Myślałem, że będzie pracował jako pilot helikopterów obsługujących platformy naftowe. Może nad Zatoką. Firmy naftowe dobrze wtedy płaciły pilotom z armii. Lub z lotnictwa czy marynarki, oczywiście.

-On jednak pojechał tam znowu - dodała jego żona. - Do Wietnamu.

-Zgłosił się na ochotnika na front - ciągnął pan Hobie. - Nie musiał, ale twierdził, że to jego obowiązek. Mówił, że wciąż trwa wojna i powinien brać w niej udział. Uważał, że tego wymaga patriotyzm.

-I co było później? Przez dłuższą chwilę wszyscy milczeli.

-Nie wrócił - w końcu odpowiedział pan Hobie. Znowu zapadła przysięgająca cisza. Gdzieś tykał zegar.

Tyknięcia wydawały się coraz głośniejsze i głośniejsze, aż wreszcie wypełniły powietrze jak uderzenia młota.

-To mnie zniszczyło - przerwał milczenie pan Hobie. Słychać było świst tlenu przepływającego przez jego zacisnięte gardło.

-To mnie zniszczyło. Często powtarzałem, że oddałbym całą resztę życia za jeden dzień z synem.

-Całą resztę życia - powtórzyła Mary Hobie. - Za jeden dzień z naszym dzieckiem. -

Naprawdę tak myślałem - powiedział pan Hobie. - I w dalszym ciągu tak myślę, majorze.

Teraz zapewne nie mam już wiele do stracenia, prawda? Niewiele zostało już we mnie życia.

Tak jednak powiedziałem trzydzieści lat temu i później powtarzałem każdego dnia, a Bog mi świadkiem, że naprawdę tak myślałem. Cała reszta życia za jeden dzień z synem.

-Kiedy zginął? - spytał delikatnie Reacher.

-Nie zginął - odrzekł pan Hobie. - Został złapany. - Dostał się do niewoli?

-Początkowo powiedziano nam, że zaginął. Założyliśmy, że zginął, ale mimo to wciąż mieliśmy nadzieję. Oficjalnie został uznany za zaginionego. Nigdy nie powiadomiono nas

formalnie o jego śmierci.

-Czekaliśmy - wtraciła jego żona. - Po prostu czekaliśmy, rok po roku. W końcu zaczęliśmy zadawać pytania. Powiedziano nam, że Victor zaginął, a prawdopodobnie poległ. To wszystko, co mogli nam powiedzieć. Jego helikopter został zestrzelony nad dżunglą i nie odnaleziono wraku.

-Wtedy przyjęliśmy to do wiadomości - powiedział starszy pan. - Wiedzieliśmy, jak to jest. Wielu chłopców zginęło i nikt nie wie, gdzie są ich groby. Na wojnie tak już bywa.

-Potem zbudowali pomnik upamiętniający poległych w Wietnamie - odezwała się pani Hobie. - Widział go pan?

-Mur? - spytał Reacher. - W Waszyngtonie? Tak, widziałem pomnik. Jest bardzo poruszający.

-Nie zgodzili się umieścić na nim nazwiska naszego syna - rzekł pan Hobie.

-Dlaczego?

-nigdy tego nie wyjaśnili. Pytaliśmy, błagaliśmy, ale oni nie chcieli wyjaśnić. Powiedzieli tylko że Victor nie jest już uznawany za ofiarę wojny.

-Wtedy spytaliśmy, jaki jest jego status - dodała pani Hobie - Zaginiony w akcji.

-Ale przecież nazwiska innych zaginionych w walce są umieszczone na Murze - zauważył

Hobie. Znowu zapadła cisza. W sąsiednim pokoju głośno tykał zegar.

-A co powiedział na to generał Garber? - spytał Reacher.

-Nie mógł tego zrozumieć - odparł pan Hobie. - Zupełnie tego nie rozumiał. Chciał to wyjaśnić, ale umarł. Cisza. Syk tlenu i tykanie zegara.

-My wiemy, co się stało - stwierdziła po chwili pani Hobie.

-Wiedza państwo? Co takiego?

-Jest tylko jedno wyjaśnienie. Dostał się do niewoli.

-I nigdy nie został uwolniony - dodał jej mąż.

-Dlatego wojsko trzyma to w tajemnicy. Rząd wstydzi się przyznać. W rzeczywistości wielu naszych żołnierzy wciąż

z przebywa w niewoli. Wietnamczycy trzymali ich jako zakładników, żeby wymusić pomoc zagraniczną, umowy handlowe i kredyty po wojnie. To był szantaz. Przez lata rząd odmawiał, choć nasi chłopcy byli jencami, a teraz się tego wypiera. To wielka tajemnica, rząd nie chce o tym mówić.

-Mamy dowód - stwierdził Hobie.

Wyciągnął z aktówki kolejną fotografię. Podał ją Reacherowi. To było nowe zdjęcie. Żywe kolory, błyszcząca faktura. Zostało wykonane teleobiektywem w dżungli. Na zdjęciu widac było płot z drutu kolczastego na bambusowych tyczkach, Wietnamczyk w brązowym mundurze, z opaską na czole, trzymającego karabin maszynowy. Reacher łatwo go poznał: sowiecki AK-47. To nie ulegało wątpliwości. Obok wietnamskiego żołnierza stał wysoki biały mężczyzna około pięćdziesiątki, wychudzony, przygarbiony, posiwiały, w rozpadającym się mundurze. Starł się nie patrzeć na pilnującego go Wietnamczyka.

-To Victor - oświadczyła pani Hobie. - To nasz syn. Zdjęcie pochodzi z zeszłego roku.

-Przez trzydzieści lat wypytywalismy, co się z nim stało - powiedział pan Hobie. - Nikt nie chciał nam pomóc. Pytaliśmy wszystkich. Później znaleźliśmy człowieka, który opowiedział nam o tajnych obozach. Nie ma ich wiele. Tylko kilka, a jenców jest zaledwie garstka. Większość już zmarła. Ze starości lub

głodu i wycieńczenia. Ten człowiek poleciał do Wietnamu, żeby czegoś się dowiedzieć. Udało mu się dotrzeć w pobliże obozu i zrobić to zdjęcie. Nawet rozmawiał z jednym jencem przez płot. W tajemnicy, w nocy. To oczywiście było bardzo niebezpieczne. Spytał o nazwisko więźnia, którego sfotografował. Dowiedział się, że to Vic Hobie, pilot helikoptera pierwszej Dywizji Kawalerii Powietrznej. - Ten człowiek nie miał pieniędzy, żeby zorganizować wyprawę ratunkową - dodała pani Hobie. - My już wydaliśmy wszystkie oszczędności, żeby zapłacić za jego podróż. Nic nam nie zostało. Gdy poznaliśmy w szpitalu generała

Garbera, opowiedzieliśmy mu te historie. Prosilismy, żeby nakłonił władzę do sfinansowania akcji.

Reacher wpatrywał się w zdjęcie. Patrzył na wychudzonego mężczyznę z szarą twarzą. - Kto jeszcze widział to zdjęcie? - Nikt. Tylko generał Garber - odparła pani Hobie. - Ten człowiek, który sfotografował Victora, zachował to w tajemnicy. Pod względem politycznym to bardzo delikatna sprawa. Bardzo niebezpieczna. Straszna sprawa w historii naszego

narodu. Musielismy jednak przedstawić ją generałowi Garberowi, ponieważ on mógł nam pomóc.

-Czego państwo po mnie oczekują? - spytał Reacher. Słychać było syk tlenu. Wdech i wydech, wdech i wydech. Starzec poruszył ustami.

-Po prostu chce zobaczyć syna - powiedział. - Chce go zobaczyć, choćby na dzień przed śmiercią. - - -

Starsi państwo powiedzieli już wszystko, co mieli do powiedzenia. Oboje wpatrywali się w zdjęcia stojące nad kominkiem. Reacher siedział w zupełnej ciszy. Po pewnym czasie pan Hobie dwiema rękami podniósł skórzaną aktówkę i podał ją Reacherowi. Jack pochylił się, żeby ją odebrać. W pierwszej chwili sądził, że ma po prostu schować zdjęcie, ale zdał sobie sprawę, że to był akt przekazania paleczki. Ceremonia. Ich poszukiwania kontynuował Leon, a teraz to zadanie przypadło jemu.

Aktówka była bardzo cienka. Oprócz trzech fotografii były w niej tylko nieliczne listy syna do rodziców i oficjalnych korespondencji z Departamentem Obrony. No i jeszcze dokumenty związane z likwidacją ich wszystkich oszczędności i przesłaniem potwierdzonego czeku na osiemnaście tysięcy dolarów na adres w Bronksie w celu sfinansowania wyprawy rekonesansowej do Wietnamu, którą miał pokierować niejaki Rutter. Najstarsze listy od syna pochodziły z miejscowości na Południu, gdzie przechodził szkolenie

-Dix. Polk, Wolters. Rucker. Belvoir i Bermingham. Krótki listek z Mobile w Alabamie, gdy

wchodził na pokład statku, żeby odbyć trwający miesiąc rejs przez Kanał Panamski do

Indochin. Cienkie listy lotnicze z Wietnamu, osiem z pierwszego wyjazdu, sześć z drugiego.

Papier listowy miał trzydzieści lat, był sztywny i suchy jak starożytny papirus. Jak dokument znaleziony przez archeologów.

Victor nie był epistolografem. Jego listy były pełne banalnych zwrotów, jakimi szpikują swoją korespondencję młodzi żołnierze. Zapewne na świecie jest ze sto milionów rodziców, którzy z czcią przechowują takie listy z różnych czasów, różnych wojen, w różnych językach, ale zawierających takie same informacje: jedzenie, pogoda, plotki o działaniach wojennych, słowa otuchy. Korespondencja z Departamentem Obrony była dobrą ilustracją rozwoju techniki biurowej. Pierwsze listy były napisane na starych maszynach do pisania; niektóre litery wyskakiwały z linii, zdarzały się za duże odstępki i słabo odbite znaki w miejscach, gdzie tasma była zużyta. Później rozpoczęła

się epoka elektrycznych maszyn do pisania; litery były oszczędniejsze, bardziej jednolite. No i wreszcie edytory tekstu – lepszy papier i żadnych błędów. Jednak treść się nie zmieniała. Brak informacji. Zaginał w akcji, prawdopodobnie zginął. Kondolencje.

Po umowie zawartej z Rutterem staruszkowie zostali bez grosza. Przedtem mieli pewien kapitał zainwestowany w fundusz akcyjny i nieco gotówki w banku. W aktówce znajdowała się kartka zapisana zapewne przez panią Hobie, z wyliczeniami ich miesięcznych wydatków, skreśleniami kolejnych pozycji, aż wreszcie ostateczna kwota zgadzała się z emeryturą z ubezpieczenia społecznego, co pozwoliło im upłynnić kapitał. Półtora roku temu sprzedali wszystkie jednostki udziałowe, wyciągnęli gotówkę z banku i przesłali wszystko Rutterowi z Bronksu tytułem opłacenia kosztów poszukiwań w Wietnamie. Rutter miał niezwłocznie

wyjechać. Poprosił jeszcze o wszelkie informacje mogące się przydać, między innymi numer służbowy, historię służby i fotografie. No i wreszcie list wysłany trzy miesiące później z opisem tajnego obozu w dżungli, wielkiego ryzyka związanego ze zrobieniem tego zdjęcia i dyskretnej rozmowy przez plot. Rutter przedstawił jeszcze bardzo szczegółowy plan wyprawy ratunkowej, której koszt ocenił na czterdzieści pięć tysięcy dolarów. Czterdzieści pięć tysięcy, których nie mieli.

-Czy pan nam pomoże? - spytała stara kobieta, przerywając ciszę. - Czy wszystko jest jasne? Czy chciałby pan o coś spytać?

Reacher spojrzał na nią. Pani Hobie najwyraźniej obserwowała, jak przeglądał dokumenty. Zamknął aktówkę i wbił wzrok w wytartą skórę. W tym momencie nasuwało mu się tylko jedno pytanie: Do diabła, dlaczego Leon nie powiedział tym ludziom prawdy?

9

Marilyn Stone była tak zajęta, że nie miała czasu na lunch, ale niezbyt się tym przejmowała, ponieważ była zadowolona z tego, jak wygląda ich dom. Przekonała się, że ma do tej sprawy zupełnie beznamietny stosunek, co trochę ją dziwiło, bo przecież sprzedawała swój dom, własny dom, który nie tak wiele lat temu wybrała z wielką troską, entuzjazmem i namysłem. To był dom z jej marzeń. Znacznie większy i lepszy, niż kiedykolwiek oczekiwała. Wówczas sama myślała o takim domobudziła w niej fizyczne podniecenie. Gdy się przeprowadzili czuła się tak, jakby zmarła i trafiła do nieba. Teraz myślała o domu jako o przedmiocie na sprzedaż i rozważała wszelkie aspekty marketingowe tej operacji. Nie myślała o tym, że sama z wielką radością wymyślała wystroj wszystkich pokoi. Nie czuła bólu. Nie spoglądała tęsknym wzrokiem na miejsca, gdzie zabawiała się z Chesterem, gdzie jedli, śmiali się i spali. Po prostu na zmianę rozważała, jak sprawić, żeby mieszkanie było najbardziej atrakcyjne dla kupujących. Zgodnie z jej planem pierwsza pojawiła się ekipa z firmy zajmującej się przeprowadzkami. Marilyn kazała im zabrać kredens z przedpokoju i fotel Chestera z salonu. Nie był brzydki, ale ewidentnie nie pasował do całości. To było ulubione miejsce jej meza: wybrał ten fotel, tak jak czynia zwykle mężczyźni - kierując się względami wygody i przyzwyczajeniem, nie zaś stylem i stosownością. To był jedyny mebel, jaki przywieźli

tu z poprzedniego domu. Chester postawił go przy kominku, na skos. Na co dzień Marilyn nawet lubiła ten fotel. Dzięki niemu salon sprawiał wrażenie pomieszczenia, w którym naprawdę żyją ludzie, nie zaś wystawy z salonu meblowego. Właśnie z tej przyczyny musiał teraz zostać usunięty.

Marilyn kazała również zabrać z kuchni stół rzeźnicki do krojenia mięsa. Długo się nad tym zastanawiała. Z pewnością ten stół sprawiał, że kuchnia robiła poważne wrażenie. To było miejsce, gdzie można zaplanować i przygotować skomplikowane posiłki. Jednak usunięcie stołu pozwalało uzyskać rozległą, pustą przestrzeń wyłożoną błyszczącym gresem. Światło z okna w wykuszu sprawiało, że ta przestrzeń wydawała się wielką jak ocean. Marilyn musiała rozważyć problem z punktu widzenia kupujących. Zadała sobie pytanie: Co zrobiłoby na niej większe wrażenie? Profesjonalna kuchnia czy rozległa przestrzeń kuchenna? W ten sposób stół trafił na ciężarówkę.

Podobny los spotkał telewizor z bawialni. Chester niechętnie odnosił siskich kamer filmowych, co było dla niego dołkliwym ciosem. Chester nie miał ochoty na kupowanie najnowszych produktów swych rywali. Mieli stary model RCA, nawet bez pilota, za to z podrabiana chromowana ramka wokół ekranu tak wypukłego jak kuliste akwarium. Marilyn widziała lepsze odbiorniki wyrzucone na śmietniki i pobocza dróg. Kazała zatem zabrać go z bawialni i postawić w tym miejscu bibliotekę z gabinetu pokoju. Jej zdaniem to bardzo poprawiło wygląd pomieszczenia. Bibliotekę, skórzane fotele i ciemne abazury narzucały spostrzeżenie, że mieszkają tu ludzie kulturalni i inteligentni. To otwierało pole aspiracji.

Nabywca mógł sadzić, że kupuje nie tylko dom, ale i styl życia.

Marilyn przez kilka minut wybierała książki do położenia na stoliku do kawy w salonie. Później przyjechała kwiaciarka z płaskimi, kartonowymi pudłami kwiatów. Marilyn kazała jej umyć wszystkie wazon, dała europejski magazyn i powiedziała, żeby skopiowała kompozycje ze zdjęć. Pracownik z biura Sheryl przywiozł znak "Na sprzedaż". Marilyn poleciła mu ustawić ogłoszenie obok skrzynki pocztowej. Ogrodnicy przyjechali do telewizorów. Wideo zakończyła akurat wtedy, gdy wyjeżdżała ekipa transportowa, co wymagało skomplikowanych manewrów na podjeździe. Marilyn wyjaśniła szefowi ogrodników, czego sobie życzy, a następnie znikła wewnątrz domu. Chłopak zajmujący się basenem przyszedł równocześnie ze sprzątaczkami. Marilyn przez chwilę patrzyła na zmianę na niego i na sprzątaczkę, nie wiedząc, od czego zacząć. W końcu zdecydowanie poleciła sprzątaczkom poczekać, zaprowadziła chłopca na miejsce i powiedziała mu, co ma zrobić. Gdy biegła do domu, poczuła głód i zdała sobie sprawę, że nie zjadła lunchu. Była jednak zadowolona z postępu w pracy. - - -

Panstwo Hobie odprowadzili Reachera do drzwi. Starszy pan najpierw długo wdychał tlen, żeby wstać, a potem pchał przed sobą butle z tlenem ustawione na dwukółkowym wózku, trochę jak łaskę, trochę jak torbę na kij do golfu. Z ona szła przed nim, a jej sukienka szła. Pani Hobie otworzyła drzwi, a jej mąż stał obok, ciężko dyszał i zaciskał rękę na uchwycie wózka. Do holu wpadł powiew świeżego powietrza.

-Czy w okolicy mieszkają może jacyś starzy przyjaciele Vica? - spytał Reacher.

-Czy to ważne, majorze?

Reacher wzruszył ramionami. Już dawno zrozumiał, że przygotowując ludzi na złe wieści, najlepiej jest od samego początku sprawiać wrażenie człowieka dokładnego i systematycznego. Ludzie są bardziej skłonni słuchać, jeśli sądzą, że zostały wykorzystane wszystkie możliwości.

-Po prostu chciałbym więcej o nim wiedzieć - odpowiedział.

Panstwo Hobie wydawali się zdziwieni, ale zastanowili się nad odpowiedzią, bo Reacher był ich ostatnią nadzieją. Miał w swoich rękach życie ich syna, w sensie dosłownym.

-Jeśli ktoś, to Ed Steven ze składu z materiałami budowlanymi - rzekł wreszcie pan Hobie.

-Victor i Ed byli wciąż, ocierając się o ściany i futryny drzwi. Reacher wszedł za nimi ze

skorzana aktowka pod pacha.

Bliskimi kumplami, od przedszkola do dwunastej klasy. To jednak było trzydziści pięć lat temu, majorze. Nie rozumiem, jakie to może mieć teraz znaczenie. Reacher kiwnął głową, bo rzeczywiście nie miało to żadnego znaczenia.

-Mam państwa telefon - przypomniał. - Jak tylko się czegoś dowiem, natychmiast zadzwonię.

-Liczymy na pana - powiedziała pani Hobie.

-Milo mi było państwa poznać - rzucił Reacher na pożegnanie. - Dziękuję za kawę i ciasto. Bardzo mi przykro z powodu państwa sytuacji.

Nie odpowiedzieli. Reacher pomyślał, że to była beznadziejna odzywka. Trzydziści lat cierpienia, a jemu jest przykro z powodu ich sytuacji? Jak najszybciej uscisnął ich kruche dłonie i wycofał się zarosnięta ścieżka. Szedł do samochodu z aktówką pod pachą, patrząc prosto przed siebie. Zjechał tyłem z podjazdu, znowu szorując oboma bokami samochodu o galezie. Zawrócił na gruntowej drodze i dotarł do ulicy, którą tu przyjechał. Jadać na południe, rozglądał się

w poszukiwaniu sklepu. Zbliżał się do Brighton. W miarę jak jechał, ulica się poszerzała, a nawierzchnia stawała się coraz równiejsza. Minal stację benzynową i remizę strażacką. Miejski park. Supermarket z wielkim parkingiem, bank, szereg niewielkich sklepów

odsuniętych nieco od ulicy.

Parking przed supermarketem najwyraźniej stanowił geograficzny środek miasta. Reacher powoli minal zjazd. Kawałek dalej zobaczył szkolkę ogrodniczą z rzędami krzewów w doniczkach pod zraszacem. Nad szkolką unosiła się tęcza. Po chwili zauważył spory barak stojący na działce z wielkim szyldem: Ed Steven - Artykuły techniczne. Zjechał z drogi i zaparkował obok składu drewna na tyłach budynku.

Wejście stanowiły słabo widoczne drzwi w krótszej ścianie baraku. W środku znajdował się prawdziwy labirynt utworzony z polek z rzeczami, których Reacher nigdy jeszcze nie musiał kupować. Sruby, gwoździe, kolki rozporowe, narzędzia ręczne i elektryczne, wiadra na śmieci, skrzynki pocztowe, szyby, futryny okienne, drzwi, puszki farby. Posrodka pomieszczenia

stały cztery lady ustawione w kwadrat pod jaskrawymi jarzeniówkami. W tej zagrodzie stali mężczyzna i dwaj chłopcy, ubrani w dzinsy, koszule i czerwone fartuchy. Mężczyzna był niski i szczupły, miał jakieś pięćdziesiąt lat, a chłopcy niewątpliwie byli jego synami, o czym świadczyło podobieństwo twarzy i budowy. Mieli pewnie osiemnastę i dwadzieścia lat.

-Pan Ed Steven? - spytał Reacher.

Mężczyzna kiwnął głową i unosił brwi jak człowiek, który od trzydziestu lat ma stałe do czynienia z pytaniami klientów i sprzedawców.

-Czy moglibyśmy porozmawiać o Victorze Hobie? Steven przez chwilę patrzył na niego ze

zdziwieniem, a potem

zerknął na synów, tak jakby przewinął w pamięci całe ich życie i wrócił do jeszcze wcześniejszych czasów, gdy znał Victora Hobiego.

-Zginął w Wietnamie, wie pan? - powiedział.

-Chcialbym czegos sie o nim dowiedziec, jakim byl czlowiekiem.

-Jego starzy znowu go szukaja? - spytal. Nie byl zaskoczony, jego glos wyrazal znuzenie. Najwyrazniej wszyscy w miescie dobrze znali i rozumieli problemy panstwa Hobie, ale nie mogli sie juz zdobyc na glebokie wspolczucie. Reacher kiwnal glowa.

-Chcialbym sie zorientowac, co to byl za facet Slyszałem, ze pan go dobrze znal.

-No, chyba tak - przyznal Steven. - To jednak bylo dawno temu, gdy bylismy dziecmi. Po skonczeniu szkoly srednie j widzialem go tylko raz.

-Zechce mi pan o nim opowiedziec?

-Jestem dosc zajety. Musze zajac sie rozladunkiem.

-Moge panu pomoc. Mozemy rozmawiac podczas pracy. Steven juz chcial rutynowo odmowic, ale zerknal na Reachera, zwrocil uwage na jego wzrost i budowe, po czym usmiechnal sie jak tragarz, ktoremu zaproponowano podnosnik widlowy za darmo.

-Okay - powiedzial. - Na zapleczu. Steven wyszedl zza lady i wyprowadzil Reachera przez

tylne drzwi. Obok metalowej wiaty stala zakurzona furgonetka wyladowana workami z cementem. Polki pod wiata byly puste Reacher zdjal marynarkę i polozyl ja na masce furgonetki.

Worki byly zrobione z grubego papieru. Reacher wiedzial z doswiadczenia, jakiego nabral przy budowie basenow, ze jesli chwyci dwiema rekami w srodku, worek zlozy sie i peknie. Lepiej bylo mocno chwycic jedna reka za rog worka. To rowniez przynajmniej czesciowo chronilo przed zabrudzeniem koszuli. Worki wazyly po piecdziesiat kilogramow, dlatego bral po dwa naraz. To ulatwialo utrzymanie rownowagi. Steven patrzyl na niego tak, jakby ogladal cyrkowy numer.

-No, to niech mi pan opowie o Victorze Hobie -mruknal Reacher. Steven wzruszyl ramionami. Oparl sie o slup wiaty.

-To bylo tak dawno. Co ja moze panu opowiedziec? Przeciez bylismy tylko dziecmi. Nasi

ojcowie znali sie z izby handlowej. Jego tata byl drukarzem, moj prowadzil ten sklep, ale wtedy to byl tylko sklad drewna. Razem zaliczyliśmy cala szkole. Tego samego dnia poszlismy do przedszkola i tego

samego dnia skonczyliśmy szkole srednia. Potem widzialem go tylko raz, gdy przyjechal do domu na przepustke. Rok sluzyl w Wietnamie i wybieral sie tam ponownie.

-Jakim byl facetem? Steven znowu wzruszyl ramionami.

-Nie mam wielkiej ochoty przekazywac panu mojej opinii.

-Dlaczego? Jakies nieprzyjemne fakty?

-Nie, nic takiego - zaprzeczyl Steven. - Nie ma absolutnie nic do ukrycia. To byl dobry chlopak. Mam jednak wyrazic opinie dziecka o innym dziecku sprzed trzydziestu pieciu lat, tak? To nie jest opinia, na jakiej mozna polegac.

Reacher przystanal, trzymajac w kazdym reku piecdziesiecio-kilo gramowy worek cementu. Spojrzal na Stevena, ktory opieral sie o tyczke. W swym czerwonym fartuchu, szczuply i sprawny, wydawal mu sie typowym jankesem, drobnym przedsioborca z malego miasteczka. Facet, na ktorego rozsadku mozna polegac.

-Dobra, wezme to pod uwage. Steven sklonil glowe, tak jakby ustalili reguly rozmowy.

-Ile ma pan lat? - spytal.

-Trzydziesci osiem.

-Pochodzi pan z tych okolic?

-Nie - pokrecil glowa Raechar. - Trudno byloby okreslic, skad pochodze. - Okay, musi pan zatem zrozumiec pewne rzeczy. To niewielkie miasteczko, a Victor i ja urodzilismy sie w czterdziestym osmym roku. Mielismy pietnascie lat, gdy zginaj Kennedy, szesnascie, nim pojawili sie Beatlesi, dwadziescia, gdy wybuchly rozruchy w Chicago i Los Angeles. Rozumie pan, co chce powiedziec?

-To byl inny swiat.

-Jak cholera. Wychowywalismy sie w zupełnie innym swiecie. Tak spedzilismy cale dzieciinstwo. Dla nas wielkim smialkiem byl chlopak, ktory wsadzil karty baseballowe w szprychy rowem. Musi pan o tym pamietac, gdy bede mowil o Victorze. Reacher pokiwal glowa. Wzial dziewiaty i dziesiaty worek z platformy furgonetki. Zaczal sie pocic. Troche sie niepokoil, w jakim stanie bedzie jego koszula, gdy zobaczy go

-Victor byl bardzo porzadnym dzieckiem - mowil dalej Steven. - Bardzo dobrym i

normalnym. A jak wspomnialem, dla porownania, to bylo w czasach, kiedy myslalismy, ze

wyprawiamy Bog wie co, gdy w sobote o wpol do dziesiatej wieczorem pilismy mleczny

koktajl, zamiast lezec w lozku.

-Czym sie interesowal? - spytal Reacher. Steven wydal policzki i wzruszyl ramionami.

-Coz moze panu powiedziec? Tym samym co wszyscy. Baseballem, rockiem. Lubilismy Elvisa, lody, westerny. Takie rzeczy. Normalne rzeczy.

-Jego ojciec powiedzial mi, ze Victor zawsze chcial zostac zolnierzem.

-Wszyscy chcielismy. Najpierw kowbojami i Indianami, pozniej zolnierzami.

-Pan tez walczył w Wietnamie?

-Nie, ja przestalem myslec o sluzbie wojskowej - odrzekl

Steven, krecac glowa. - Nie bylem przeciw. Musi pan zrozumiec, to dzialo sie na dlugo przed pojawieniem sie hipisow.

I Nikt nie byl przeciw sluzbie wojskowej. Nie chodzi tez o to, ze balem sie wojny. Wtedy nikt sie nie bal. Przeciez bylismy armia Stanow Zjednoczonych. Wszyscy uwazali, ze spravimy manto skosnookim zoltkom w szesc miesiecy maksimum. Nikt nie bal sie sluzby. To po prostu wydawalo sie takie staromodne. Szanowalismy wojsko, lubilismy wojenne historie, ale to wszystko wydawalo sie nam czymś z innej epoki, rozumie mnie pan? Chcialem zajac

sie interesem. Chcialem zmienic sklad z drewnem ojca w wielka korporacje. To wydawalo mi sie wlasciwym zadaniem. Uwazalem to za bardziej amerykanskie przedsiwziecie niz sluzba w wojsku. Wtedy biznes byl uwazany za dzialalnosc patriotyczna.

-A zatem wykombinowal pan cos, zeby uniknac poboru? - spytal Reacher.

-Dostałem wezwanie z komisji poborowej, ale złożyłem podanie o przyjęcie na studia. Nie otrzymałem jeszcze odpowiedzi, ale komisja zwolniła mnie ze służby. Mój ojciec przyjaźnił się z przewodniczącym komisji, co pewnie miało swoje znaczenie.

-Jak na to zareagował Victor?

-Wcale mu to nie przeszkadzało. To nie stanowiło problemu w stosunkach między nami. Nie byłem pacyfistą ani nikim takim. Tak jak inni popierałem nasz udział w wojnie w Wietnamie. To był po prostu osobisty wybór między przeszłością a przyszłością. Ja chciałem zajmować się przyszłością, Victor chciał służyć w wojsku. Wiedział, że jest, jak by to powiedzieć, zbyt stateczny. Prawda mówiąc, Victor pozostawał pod silnym wpływem swego starego, który podczas drugiej wojny światowej był na tyłach. Mój ojciec służył w piechocie, walczył na Pacyfiku. Victor pewnie myślał, że jego rodzina weźmie udział w wojnie. Chciał to zrobić, traktował to jako obowiązek. Teraz to wydaje się dość niefortunne, nie? Obowiązek? Wtedy jednak wszyscy tak myśleliśmy. Nie można nas porównać z młodzieżą. Byliśmy dość poważni i staromodni. Victor może nieco bardziej niż inni. Bardzo poważny, bardzo sumienny, ale mimo to nie wyróżniał się specjalnie.

Reacher przyniósł już trzy czwarte ładunku. Zatrzymał się i oparł o furgonetkę, żeby odpocząć.

-Czy był bystry?

-Całkowicie wystarczająco moim zdaniem - odrzekł Steven. - Uczył się dobrze, ale nie jakos rewelacyjnie. Trochę dzieci z tych okolic poszło na studia, zostali prawnikami lub lekarzami. Jeden chłopak, trochę od nas młodszy, dostał pracę w NASA. Victor był dość inteligentny, ale jeśli dobrze pamiętam, musiał się napocić, żeby mieć dobre stopnie. Reacher sięgnął po następne dwa worki. Zaczął od najdalszych polek i teraz był z tego zadowolony, bo już paliły go przedramiona.

-Czy kiedyś coś przeszkrobał?

-Przeszkrobał? Pan nie słucha, co do pana mówię. Victor był wzorowym dzieckiem, a nawet najgorszy chuligan z tamtych czasów dziś wydobyłby się nam aniołem. Jeszcze sześć worków. Reacher wytarł dłonie o spodnie.

-Jak się zachowywał podczas waszego ostatniego spotkania? Przed drugim wyjazdem do Wietnamu? Steven przez chwilę się zastanawiał, co odpowiedzieć.

-Wydawał się nieco starszy. Ja byłem starszy o rok, on wyglądał tak, jakby przybyło mu pięć lat. Ale to wszystko. Nie zmienił się. Wciąż bardzo poważny, bardzo gorliwy. Dostał medal, dlatego w mieście urządzono paradę na jego cześć. Był tym naprawdę zakłopotany, mówił, że ten medal to nic takiego. Pojechał znowu i już nie wrócił.

-Jak pan to przeżył?

-Dość ciężko - odpowiedział Steven po chwili zwłoki. - Znałem go całe życie. Oczywiście wolalbym, żeby wrócił z wojny, ale byłem zadowolony, że nie został kaleką jak wielu innych. Reacher skończył pracę. Wepchnął ostatni worek na polkę i oparł się o słupkę naprzeciwko Stevena.

-A co pan myśli o tej tajemnicy? Co się z nim stało?

-Nie ma żadnej tajemnicy - odparł Steven ze smutnym

uśmiechem. Pokreślił głową. - Został zabity. Po prostu dwoje starych ludzi nie chce przyjąć do wiadomości kilku gorzkich prawd. - Jakich?

-To jasne. Po pierwsze, ich chłopak poległ na wojnie. Po drugie, zginął w jakiejś zapomnianej

przez Boga dzungli, gdzie nikt go nie znajdzie. Po trzecie, w tym okresie rząd zaczął klęczeć.

Przestali uwzględniać zaginionych na listach ofiar, żeby zmniejszyć ich liczbę. Ilu ich było w tym zestrzelonym helikopterze Vica? Pewnie z dziesięciu. To dziesięć nazwisk, o których nic dowiedziała się telewizja. Taka była wtedy polityka rządu, a dziś jest za późno, żeby to przyznać. - Tak pan uważa?

-No pewnie. Wojna źle wpłynęła na cały rząd. Mogę panu powiedzieć, że mojemu pokoleniu trudno to było przyjąć do wiadomości. Wam, młodszemu, pewnie łatwiej to zaakceptować, ale może mi pan wierzyć, że tacy starzy ludzie jak państwo Hobbie nigdy się z tym nie pogodzą. Steven zamknął. Popatrzył z rozczarowaniem na pustą furgonetkę i pełną polkę.

-Przeniósł pan tonę cementu. Chce pan może wejść, umyć się i napić wody sodowej?

-Muszę coś zjeść - odparł Reacher. - Jeszcze nie jadłem lunchu. Steven pokiwał głową i uśmiechnął się z zalem.

-Niech pan jedzie na południe. Tuż za dworcem kolejowym jest bar. To tam w soboty wieczorem o wpół do dziewiątej pililiśmy mleczne koktajle i każdy z nas myślał, że jest Frankiem Sinatrą. - - -

Lokal koło dworca niewątpliwie bardzo się zmienił od czasów, kiedy w sobotnie wieczory odwiedzali go młodzieńcy z kartami baseballowymi w szprychach rowerów popijali tam mleczne koktajle. Teraz była to restauracja w stylu z lat siedemdziesiątych, niska, z ceglana fasada i dodatkami z lat dziewięćdziesiątych w postaci skomplikowanych rozświetlonych i niebieskich neonów we wszystkich oknach- Reacher wziął ze sobą skorzaną aktówkę. Wszedł do chłodnego wnętrza pachnącego freonem, hamburgerami i silnymi środkami czyszczącymi, którymi spryskiwano stoły przed wytarciem. Usiadł przy stoliku, a pogodna, korpulentna dwudziestoletnia kelnerka przyswoiła go na miejscu, kładąc przed nim talerz i sztucce. Podawała mu menu wielkości plakatu ze zdjęciami i opisami wszystkich dań. Zamówił podwójnego hamburgera z serem, sałatkę z kapusty i zapiekane cebule. Złożył się sam ze sobą, że jedzenie nie będzie podobne do tego na fotografii. Napił się zimnej wody i poprosił o kolejną szklankę. W końcu otworzył aktówkę.

Skupił uwagę na listach Victora do rodziców. W sumie było ich dwadzieścia siedem - trzynastą z różnych ośrodków w szkoleniowych i czternaście z Wietnamu. Potwierdziły wszystko, co powiedział mu Steven. Poprawna gramatyka, bez błędów ortograficznych, proste krótkie zdania. Ten sam charakter pisma, jaki mają wszyscy, którzy chodzili do szkoły w Ameryce od lat dwudziestych do sześćdziesiątych, ale pochylone do tyłu. Widocznie był leworeczny. Wszystkie listy były jednostronnicowe plus kilka linijek na drugiej. Zdyscyplinowany mężczyzna, który wiedział, że jest rzeczą nieaktowną kończyć osobisty list na pierwszej stronie. Uprzejmy, obowiązkowy, leworeczny, nudny, konwencjonalny, wykształcony, ale żaden geniusz. Kelnerka przyniosła jedzenie. Hamburger był znośny, lecz cały posiłek nie przypominał ucztę przedstawioną na zdjęciu. Biała kapusta w papierowym kubku pływała w sosie z octu winnego, zapiekane kolba cebuli przypominały brązowe opony. Ser szwajcarski był cienki jak gaza, ale przynajmniej rzeczywiście miał smak sera.

Trudniej było zinterpretować zdjęcie z uroczystej promocji w Rucker. Fotografia była trochę nieostra, a daszek czapła rzucał cień na twarz Victora. Stał wyprzedzony, z ramionami odciągniętymi do tyłu. Czy pekał z dumy, czy był zakłopotany obecnością matki? Ostatecznie Reacher uznał, że układ ust wskazuje na dumę. Były zacisnięte, z opuszczonymi kącikami, tak jakby z trudem powstrzymywał radosny uśmiech. To było

zdjęcie kogoś, kto odniósł największy sukces w swoim dotychczasowym życiu. Wszystkie cele osiągnięte, wszystkie marzenia spełnione. Dwa tygodnie później popłynął do Wietnamu. Reacher odszukał list z Mobile. Victor pisał ze statku na dzień przed wyjściem z portu. Jedna strona i kilka suchych zdań. Uczucia pod kontrolą. Z tego listu nic nie wynikało. Reacher zapłacił rachunek, zostawiając kelnerce dwa dolary napiwku za to, że była taka

zadowolona z życia. Czy ona napisałaby do domu jedną stronę i kilka linijek bez żadnej treści na dzień przed wypłynięciem na wojnę? Nie, ale też nigdy nie wyruszyłaby na wojnę. Helikopter Victora został zestrzelony jakieś siedem lat przed jej przyjściem na świat, a wojna w Wietnamie to dla niej coś, co musiała przecierpieć na lekcjach historii. Było jeszcze za wcześnie na powrót na Wall Street. Reacher musiał jakoś zabić czas, co najmniej dwie godziny. Wsiadł do samochodu i włączył klimatyzację na pełny regulator. Rozłożył mapę Hertza na aktówce, żeby zastanowić się

nad wyborem drogi powrotnej. Mogł pojechać szosą numer 9 do drogi Bear Mountain, stamtąd na wschód do Taconic, z Taconic na południe

i wylądować na szosie Bronx River. W ten sposób dotarłby prosto do ogrodu botanicznego, w którym nigdy nie był, a bardzo chciał go odwiedzić. - - -

Marilyn wreszcie zjadła lunch o trzeciej. Przed zwolnieniem ekipy sprzątajacej sprawdziła, czy wszystko zostało zrobione jak należy. Spisali się bez zarzutu. Wyczyszcili na mokro wykładzinę w holu; nie była brudna, ale to najlepszy sposób na usunięcie śladów po nożkach kredensu. Teraz już nikt nie mógł poznać, że kiedyś stał tu ciężki mebel.

Gdy robotnicy wyszli, wzięła długi prysznic, a potem wytarła kabinę papierowym ręcznikiem, żeby była sucha i błyszcząca. Uczesała się, ale nie wysuszyła włosów. Wiedziała, że pod wpływem czerwcowej wilgoci i gorąca po wyschnięciu będą lekko sfalowane. Ubrała się; wybrała ulubioną sukienkę Chestera, ciemnorozowy prosty futerał, w którym wyglądała najlepiej

bez bielizny. Sukienka kończyła się tuż nad kolanami, a choć nie była bardzo obcisła, przylegała do ciała we wszystkich stosownych miejscach, jakby została uszyta na miarę. Tak zresztą było, choć Chester o tym nie wiedział. Uważał, że żonie udało się znaleźć gotową sukienkę, która akurat świetnie na nią pasuje. Marilyn nie wyprowadziła go z błędów; nie chodziło o pieniądze, po prostu czuła, że byłoby pewnym bezwstydem zamawiać taką seksowną sukienkę. A sukienka działała na niego tak, jakby rzeczywiście była bezwstydną. Chester zawsze na nią reagował Marilyn wkładała ją, gdy uważała, że ma zasłużyć na nagrodę lub chciała odwrócić jego uwagę od innych spraw. To dlatego ubrała się w nią. Chciała odwrócić jego uwagę. Po przyjściu wieczorem Chester miał się dowiedzieć, że ich dom został wystawiony na sprzedaż, że przejęła inicjatywę i sama podjęła decyzję. Jakkolwiek na to patrzeć, zapowiadał się trudny wieczór. Marilyn chciała wykorzystać wszystkie swoje atuty, nie przejmując się bez- Wybrała szpilki od Gucciego w kolorze sukienki, w których

jej nogi wydawały się dłuższe. Potem poszła do kuchni na lunch: jabłko i kawałek sera z obniżoną zawartością tłuszczu. Wrocila na górę, wyczyszcila zeby. Zastanawiała się nad makijażem. Skoro pod sukienką była naga i miała rozpuszczone włosy, to najlepiej byłoby zrezygnować z makijażu. Marilyn zdawała sobie jednak sprawę, że jest już w takim wieku, w którym makijaż jest niezbędny, dlatego poświęciła dwadzieścia minut, żeby umalować się tak, jakby w innych okolicznościach tego nie zrobiła.

Następnie zajęła się paznokciami. Pomalowała również paznokcie u nóg, ponieważ podejrzewała, że szybko rzuci pantofle. Skropiła się ulubionymi perfumami, jednakże lekko, żeby zapach był wyczuwalny, ale nie nachalny. W tym momencie zadzwoniła Sheryl.

-Marilyn! - wykrzyknęła. - Szesc godzin na rynku i już masz branie!

-Tak? Kto chce kupić? Jak się dowiedział?

-Wiem, to dopiero pierwszy dzień, jeszcze nawet nie

ukazało się ogłoszenie. Czy to nie wspaniale? To jakiś dzentelmen, który przeprowadza się tu z całą rodziną. Zwiedzał okolice i zobaczył twój znak o sprzedaży. Od razu tu przyjechał, żeby wypytac o wszystkie szczegóły. Jesteś gotowa? Czy mogę go przywieźć?

-Tak od razu? Już? To szybko, nieprawdaz? No, ale jestem gotowa. Kto to taki, Sheryl?

Myslisz, że to poważny klient?

-Zdecydowanie tak sądzę. Jest tutaj tylko dzisiaj. Wieczorem musi odlecieć na Zachód.

-Dobra, przyprowadz go. Będzie gotowa.

Marilyn zdala sobie sprawe, ze nieswiadomie powtarza wszystkie elementy przygotowan. Pracowala szybko, lecz bez zenerwowania. Odlozyla sluchawke, pobiegla do kuchni i nastawila piecyk na niska temperature. Nasypala garstke ziaren kawy na spodeczek, po czym wstawila go do piekarnika. Zamknela drzwiczki, a nastepnie zajela sie zlewem. Wyrzucila ogryzek jablka do smieci, wstawila talerzyk do zmywarki. Wytarla zlew papierowym recznikiem, cofnela sie o krok i z rekami na biodrach rozejrzala sie po kuchni. Podeszla do okna i zmienila kat ustawienia zaluzji, zeby swiatlo lsnienie posadzki. Wbiegla po schodach na gore, aby raz jeszcze sprawdzic stan wszystkich pokoi. Poprawiala kwiaty, zaluzje, poduszki, wlaczala swiatlo. Przeczytala gdzieś, ze gdy gospodyni zapala swiatlo dopiero wtedy, gdy nabywca jest juz w pokoju, daje sygnal, ze to ponury dom. Swiatla powinny byc zapalone juz wczesniej, tworzac pogodna atmosfere. Marilyn zbiegla po schodach. W jadalni uniosla zaluzje, zeby widac bylo basen. W bawialni zapalila swiatla do czytania i zaciagnela firanki, dzieki czemu pokoj wydawal sie przytulny i wygodny. Zajrzala do salonu. Cholera, zapomniala o wyniesieniu stolika Chestera, ktory stal obok fotela. Jak mogla nie pomyslec o tym szczegole? Chwycila stolik i zniosla do piwnicy. Uslyszala zgrzyt zwiru pod kolami samochodu Sheryl. Szybko wbiegla na gore, zamknela drzwi do piwnicy i wpadla do garderoby. Spojrzala do lustra, zeby sprawdzic, jak wyglada. Boze! Miala przeciez na sobie ten jedwabny futeral! Bez

bielizny. Material kleil sie do ciala. Do diabla, co ten biedny facet sobie pomysli? Sheryl zadzwonila do drzwi. Marilyn zamarla. Czy miala czas sie przebrac? Oczywiscie, ze nie. Byli juz na progu, czekali, az im otworzy. Moze jakis zakiet? Kolejny dzwonek. Marilyn wziala gleboki oddech i pokiwalabiodrami, zeby rozluznic tkanine. Wyszla do holu. Jeszcze raz gleboko odetchnela i otworzyla.

Sheryl usmiechnela sie do niej, ale Marilyn patrzyla na nabywce. Dosc wysoki mezczyzna, od piecdziesieciu do piecdziesieciu pieciu lat, szpakowaty, w ciemnym garniturze. Stal bokiem, przygladal sie roslinom przed domem. Spojrzala na jego nogi, poniewaz Chester zawsze twierdzil, ze bogactwo i wychowanie najlatwiej poznac po butach. Te prezentowaly sie calkiem niezle. Ciezkie oksfordy wyglansowane na blysk. Marilyn usmiechnela sie na powitanie. Czy to ten facet kupi ich dom? Czy sprzedadom w ciagu szesciu godzin? To byloby rzeczywiscie cos. Wymienila konspiracyjny usmiech z Sheryl i zwrocila sie do nieznajomego mezczyzny.

-Prosze, niech pan wejdzie - powiedziala, wyciagajac reke na powitanie.

Potencjalny nabywca zwrocil sie twarza w jej strone. Przygladal sie jej zupełnie otwarcie.

Marilyn poczula sie tak, jakby stala nago. Praktycznie byla naga. Sama tez nie mogla oderwac

spojrzenia od jego twarzy. Nieznajomy byl potwornie poparzony. Jedna polowa jego glowy

byla pokryta niezliczonymi rozowymi bliznami. Marilyn wykrzywiala usta w uprzejmym

usmiechu i wyciagalado niego reke. Tamten pochwili uniosl swoja. To jednak nie byla dlon,

tylko lśniący, metalowy hak. Nie zadna sztuczna reka, nie elegancka proteza, lecz groźnie

wykrzywiony hak z nierdzewnej stali.

--

Reacher zatrzymal sie przy krawieczniku przed szescdziesiecioletnim budynkiem na Wall Street; byla za dziesiec siodma. Nie wylaczajac silnika, przyjrzel sie uwaznie trojkatowi, ktorego wierzcholek znajdowal sie przy wejściu, a boki rozchylaly sie

na obie strony placu, obejmujac obszar, z ktorego ktos moglby dopasc Jodie szybciej niz on. Wewnatrz trojkata nie bylo nikogo, kto budzilby niepokoj. Nikt nie stal nieruchomo, nikt nie obserwowal wejścia. Dosc rzadki strumien pracownikow spieszacych do domu, w marynarkach, z wypchanymi teczkami. Wiekszosc szla w lewo, w kierunku metra. Kilku przeciskalo sie miedzy zaparkowanymi samochodami, zeby zlapac tak-iwke Samochody przed budynkiem rowniez wydawalasy niegrozne. Furgonetka UPS, dwie

limuzyny, których kierowcy stali obok i rozglądali się w poszukiwaniu swych pasażerów. Skromny ruch pod koniec ciężkiego dnia w biurze. Reacher wyciągnął się na fotel i czekał, spoglądając na prawo i lewo, przed i za siebie, ale zawsze wracając spojrzeniem do obrotowych drzwi.

Jodie wyszła z budynku przed siódmą, kilka minut wcześniej, niż się spodziewał. Zobaczył ją przez szklane drzwi w holu. Dostrzegł jej włosy, sukienkę, migoczące ruchy nog. Podeszła do drzwi. Reacher przez chwilę się zastanawiał, czy czekała

na niego, wyglądając przez okno z biura. Sądząc po czasie, było to dość prawdopodobne. Pewnie zobaczyła samochód i od razu poszła do windy. Jodie nacisnęła obrotowe drzwi i wyszła na plac. Reacher wysiadł z samochodu i stanął na chodniku. Czekał na nią. Jodie niosła swoją ciężką teczkę. Odeprzeszła przez nasłoneczniony kawałek placu, jej włosy zaświeciły jak aureola. Uśmiechnęła się do niego z daleka.

-Cześć, Reacher! - zawołała.

-Cześć, Jodie - odpowiedział.

Czegoś się dowiedziała. To było widać po jej twarzy. Miała dla niego jakąś ważną wiadomość, ale uśmiechała się tak, jakby zamierzała się z nim dźgnąć.

-Jakie wiadomości? - spytał. Jodie znowu się uśmiechnęła i pokręciła głową.

-Ty pierwszy, dobrze?

Usiedli w samochodzie. Reacher powtórzył jej wszystko, czego dowiedział się od panstwa Hobie. Uśmiech znikł z twarzy Jodie. Spoważniała. Potem dał jej skórzaną aktówkę. Gdy przeglądała zawartość, zaczął przebiegać przez głowę ruch

w kierunku Broadwayu. Skreślił w Broadway na południe i zatrzymał się dwie przecznice od jej domu, przed niewielką kawiarnią. Jodie czytała sprawozdanie z wyprawy rekoniesansowej Ruttera. Przyglądała się zdjęciu wychudzonego, szpakowatego mężczyzny i wietnamskiego żołnierza.

-Trudno w to uwierzyć - powiedziała cicho.

-Daj mi klucze - rzekł. - Napij się kawy, a ja pójdę do ciebie sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

Jodie nie protestowała. Była wyraźnie wstrząsnęta. Siegnęła do torebki po klucze, wysiadła z samochodu i szybko weszła do kawiarni. Reacher patrzył przez chwilę, jak siada przy stoliku, po czym ruszył. Od razu skreślił na podziemny parking. Jechał wynajętym samochodem, dlatego uznał, że jeśli nawet ktoś tam czeka, przez chwilę się zawaha, co zapewni mu wystarczającą przewagę. Na parkingu jednak nie było nikogo. Te same samochody, które stały tam rano, tak jakby przez cały dzień nikt ich nie używał. Reacher zaparkował taurusa na miejscu Jodie i wszedł po metalowych schodach do holu. Pusto. Pusto w windzie i na korytarzu na trzecim piętrze.

Zadnych śladów włamania na drzwiach. Wszedł do mieszkania. Cisza i spokój. W mieszkaniu nikogo nie było.

Reacher zszedł schodami ewakuacyjnymi do podziemia i wyszedł frontowymi drzwiami na ulicę. Poszedł pieszo na południe, do kawiarni. Jodie siedziała sama przy chromowanym stoliku, pogrążona w lekturze listów Victora Hobiego. Obok jej łokcia stała nietknięta filiżanka kawy z ekspresu.

-Pijesz tę kawę? - spytał. Jodie położyła zdjęcie na stosie listów.

-To ma bardzo poważne implikacje - powiedziała. Reacher uznał to za negatywną odpowiedź, podniósł filiżankę i wypił kawę jednym haustem. Zdażyła ostygnąć, ale była bardzo mocna.

-Chodźmy - zaproponowała Jodie. Pozwoliła mu wziąć teczkę. Poszli, trzymając się pod ramię, do domu. Podał jej klucze. Jodie otworzyła drzwi frontowe. W milczeniu wjechali windą na trzecie piętro. Jodie przekreśliła klucz w drzwiach mieszkania i pierwsza weszła do

środką.

-Zatem to agenci rządowi polują na nas - stwierdziła. Reacher nie odpowiedział. Zdjął

marynarkę i rzucił ją na

sofę pod kopią Mondrian'a.

-Na pewno - dodała Jodie.

Podszedł do okna, żeby podnieść żaluzje. Do środka wpadły promienie światła. Biały pokój natychmiast się rozjaśnił.

-Jesteśmy już blisko poznania tajemnicy tych obozów - powiedziała Jodie. - Wobec tego rząd chce nas uciszyć. CIA lub inna agencja. Reacher poszedł do kuchni. Wyjął z lodówki butelkę wody mineralnej.

-Grozi nam poważne niebezpieczeństwo - zauważyła Jodie. - Nie wydajesz się szczególnie zmartwiony. Wzruszył ramionami i wypił łyk wody. Była za zimna. Wolał temperaturę pokojową.

-Życie jest zbyt krótkie, żeby się martwić - odpowiedział.

-Tata często się martwił. To źle wpływało na jego serce.

-Wiem. Bardzo mi przykro.

-Ale nie traktujesz sprawy poważnie? Nie wierzysz w to?

-Wierze - odrzekł Reacher. - Wierze we wszystko, co mi powiedzieli.

-Fotografia jest dowodem, tak? To miejsce niewątpliwie istnieje.

-Wiem, że istnieje. Byłem tam.

-Byłeś tam? - Jodie spojrzała na niego ze zdziwieniem. - Kiedy? Jak się tam dostałeś?

-Niedawno - odpowiedział. - Dotarłem mniej więcej tak blisko jak ten Rutter.

-Jezu, Reacher! Co zatem zamierzasz z tym zrobić?

-Zamierzam kupić spluwę.

-Nie, musimy zawiadomić policję. Lub lepiej gazetę. Rząd nie może robić takich rzeczy.

-Poczekasz tu na mnie, dobrze?

-Dokąd idziesz?

-Idę kupić bronię. Potem kupię pizzę i przyniosę tu na kolację.

-Na litosc boska, nie mozesz ot tak kupic rewolweru.

Nie w Nowym Jorku. Musisz miec dowod tozsamosci, pozwolenie na bron, a i tak trzeba czekac piec dni.

-Wszedzie mozna kupic bron, zwlaszcza w Nowym Jorku. Z czym ma byc pizza?

-Masz dosc pieniedzy?

-Na pizze?

-Na rewolwer.

-Spluwa bedzie kosztowac mniej niz pizza - zapewnil ja Reacher. - Zamknij za mna drzwi. I nie otwieraj, jesli nie zobaczysz mnie przez judasza.

Gdy wychodzil, Jodie stala nieruchomo posrodku kuchni. Reacher zszedl schodami ewakuacyjnymi do holu. Zatrzymal sie na chwile na chodniku, zeby sie zorientowac w topografii. Jedna przecznice dalej na poludnie byla pizzeria. Reacher zamowil duza pizze - na jednej polowce anchois i kapary, na drugiej pepperoni - na wynos, do odbioru za trzydziestci minut, po czym skierowal sie na wschod, oddalajac sie od zgielku Broadwayu. Byl w Nowym Jorku dostatecznie wiele razy, zeby wiedziec, ze popularne opinie o tym miescie sa

prawdziwe. Tu wszystko szybko sie zmienia. Zarowno w czasie, jak i w przestrzeni. Wystarczy pokonac kilka przecznic, zeby znalezc sie w zupełnie innym otoczeniu. Zdarza sie, ze front budynku to raj klasy sredniej, a w zauлку na tyłach spia włoczedzy. Reacher wiedzial, ze wystarczy dziesiec minut zeby dotrzec pieszo do swiata zupełnie nieprzypominajacego ekskluzywnego domu Jodie.

Reacher znalazl to, czego szukal, w poblizu podjazdu do Mostu Brooklinskiego. Zamiast regularnej siatki uliczki tworzyly w tym miejscu splatany labirynt, a na polnoc i wschod

ciagnela sie ogromna dzielnica mieszkaniowa. Tu i owdzie widac bylo nedzne sklepy. Na boisku do koszykowki pod obreczami miast sieci wisialy lancuchy. Bylo goraco, wilgotno, w powietrzu unosily sie spaliny. Reacher zatrzymal sie na rogu i patrzyl, jak zderzaja sie ze soba dwa swiaty. Strumien samochodow i szybko idacych przechodniow oraz mniej wiecej tyle samo wozow zaparkowanych przy krawezniku i beczynnych ludzi tworzacych grupki. Jadace samochody przeciskaly

sie obok zaparkowanych, kierowcy trabili i skrecali raz w lewo, raz w prawo. Przechodnie przepychali sie lub omijali i grupki prozniakow, schodzac na jezdnie. Od czasu do czasu jakis samochod sie zatrzymywal, a wtedy do okna kierowcy podbiegal chlopiec. Po krotkiej rozmowie kierowca podawal mu pieniadze, chlopak znikal w drzwiach budynku, pojawial sie po krotkiej chwili i znowu podchodzil do samochodu. Kierowca rozgladal sie nerwowo na wszystkie strony, po czym odbieral niewielka paczke i szybko ruszal, wlaczajac sie do ruchu. Chlopak wracal na chodnik i znowu czekal.

Niektorzy przechodnie rowniez dokonywali takich transakcji. Schemat byl zawsze taki sam. Chlopcy przenosili pieniadze i paczki, poniewaz byli zbyt mlodzi, zeby mozna ich bylo oskarzyc. Reacher przygladal sie im przez chwile. Korzystali glownie z trzech wejsc do dlugiego budynku. Najwiecej klientow mial chlopak dyzurujacy przy srodkowych drzwiach. W przyblizeniu dwa do jednego, jesli chodzi o obroty. To byl jedenasty budynek od rogu. Reacher skierowal sie na wschod. Nieco dalej byla pusta dzialka z widokiem na rzeke. Wysoko

nad glowa mial przeslo mostu. Skrecil na polnoc w waska uliczke za budynkami. Idac, liczyl zewnetrzne schody ewakuacyjne przed soba. Doliczyl do jedenastu i opuscil wzrok. Na tyłach budynku stal czarny sedan. Na bagazniku siedzial mniej wiecej dziewietnastoletni chlopak. Trzymal w reku komorke. To byl straznik, o jeden szczebel wyzej w hierarchii od malolatow dyzurujacych na chodniku.

W poblizu nie bylo nikogo widac. Chlopak byl sam. Reacher szedl dalej. W takiej sytuacji nalezy isc szybko i nie p

atrzec na wybrana ofiare. Facet musi myslec, ze w ogole na niego nie zwracasz uwagi. Reacher demonstracyjnie zerknal na zegarek i spojrzal w glab uliczki. Szedl szybko, prawie biegl. W ostatniej chwili popatrzył na samochod, tak jakby widok przeszkody zmusil go do powrotu do rzeczywistosci. Chlopak go obserwowal. Reacher skrecil w lewo, choc wiedzial, ze nie zdola sie precisnac obok samochodu. Cofnal sie z wyraza irytacja i skrecil w prawo. Rowno czesnie machnal lewa reka i uderzyl chlopaka w glowe. Wyrostek spadl z bagaznika.

Reacher zadal mu drugi cios, tym razem prawy prosty, stosunkowo slaby. Nie chcial go wysylac do szpitala.

Reacher przyjrzel sie, jak chlopak pada na chodnik, zeby sprawdzic, czy stracil przytomnosc. Przytomny czlowiek z awsze usiluje zlapac rownowage. Chlopak zwalil sie na beton zupełnie bezwladnie jak worek kartofli. Reacher przewrocil go na plecy i sprawdzil zawartosc kieszeni. Znalazl rewolwer, ale to nie byla zdobycz, z jakiej mogl byc dumny. Chinski rewolwer dwudziestodwucalowy, skopiowany z rosyjskiego, który z kolei byl skopiowany z czegos, co nie bylo nic warte. Wyrzucil spluwe pod samochod, zeby chlopak nie mogl po nia siegnac. Nie mial watpliwosci, ze tylne drzwi do budynku sa otwarte, bo po to sa tylne drzwi, gdy ktos prowadzi intensywny handel narkotykami sto p iedziesiat metrow na poludnie od komisariatu policji. Kiedy policjanci wchodzi od frontu, trzeba szybko sie wycofac, nie tracac czasu na otwieranie zamka. Uchylil je nieco stopa i zajrzal do ciemnego wnetrza. W glebi korytarza po prawej stronie zobaczyl kolejne drzwi, za ktorymi palilo sie swiatlo. Mial do nich jakies dziesiec krokow.

Nie powinien czekac. Na pewno nie zrobia przerwy kolacje. Ruszyl naprzod. Zatrzymal sie przed drzwiami. W budynku smierdzialo zgnilizna, potem i uryna. W srodku bylo cicho. Nikt tu nie mieszkal. Reacher nasluchiwal. Za drzwiami ktos cos powiedzial. Druga osoba odpowiedziala. Co najmniej dwie osoby.

Reacher nie mogl otworzyc szeroko drzwi, zeby ocenic sytuacje. To nie jest wlasciwa metoda. Facet, który zatrzymuje sie chocby na milisekunde, umiera wczesniej od swoich kolegow. Budynek mial pewnie piec metrow szerokosci, z czego metr zajmowal korytarz. Zamierzal pokonac pozostale cztery metry, nim tamci sie zorientuja. Wciaz jeszcze beda wpatrywac sie w drzwi i myslec, czy ktos idzie.

Wzial gleboki oddech i wpadl do pokoju. Drzwi trzasnely o sciane z wielkim hukiem. Po dwoch skokach byl juz pod druga sciana pokoju. Kiepskie swiatlo. Jedna gola zarowka pod sufitem. Dwaj faceci. Paczki i pieniadze na stole. Obok rewolwer. Reacher trafil blizszego mezczyzne sierpem w skron.

Delikwent pochylil sie na bok. Reacher zadal mu jeszcze kopniecie kolanem w brzuch, ale juz zbлизal sie do drugiego. Facet probowal wstac z krzesla. Mial szeroko otwarte oczy i usta. Reacher uderzyl go lokciem miedzy brwi i linia wlosow. Jesli zrobi sie to dostatecznie silnie, ofiara traci przytomnosc na godzine, ale czaszka zostaje w jednym kawalku. To miala byc wyprawa na zakupy, a nie egzekucja.

Reacher znieruchomial. Nasluchiwal, czy cos sie dzieje. Nic. Wyrostek na ulicy spal snem sprawiedliwego, a dzieciaki na chodniku niczego nie uslyszaly z powodu ulicznego halasu. Spojrzal na rewolwer lezacy na stole, ale szybko odwrocil wzrok. To byl colt detective special. Szesciostrzalowy rewolwer z niebieskiej stali z plastikowymi okladkami kolby. Trzydziest-kaosemka. Krotka, pieciocentymetrowa lufa. Beznadziejna spluwa. Jemu bylo potrzebne cos z nacznie lepszego. Krotka lufa nie zapewniala celnosci, a kaliber bardzo go rozczarowal. Reacher przypomnial sobie pewnego kapitana policji z niewielkiego okregu w Luizjanie. Facet zglosil sie do policji wojskowej po rade w kwestii wyboru broni i Reacher zostal wydelegowany,

zeby zalatwil sprawe. Kapitan opowiedzial mu wiele historii o tragicznych konsekwencjach poslugiwania sie bronia trzydziestoosmiocalowa. Nie mozna miec pewnosci, ze jednym strzałem wykonczysz narkomana, który cie atakuje, oswiadczył. Opowiadal o samobojcy, który musial strzelac sobie w glowe piec razy, zeby wreszcie sie zabic. Te relacje o nieszczesciach zrobily na Reacherze takie wrazenie, ze postanowil na zawsze zrezygnowac z tego kalibru. Nie zamierzal zmieniac przyzetej zasady. Jeszcze raz przez chwile nasluchiwal, czy ktos nie nadchodzi. Cisza. Ukucnal obok faceta, ktorego uderzyl w skron, zeby przeszukac jego kurtke.

Najbardziej zajeci dilerzy zarabiaja najwiecej pieniedzy, za ktore moga kupic najlepsze zabawki. Dlatego Reacher wszedl tutaj, nie zas do konkurencji. W lewej wewnetrznej kieszeni dilerza znalazl dokladnie to, czego szukal. Cos znacznie lepszego od nedznego trzydziestoosmiocalowego detective special. Duzy, czarny, automatyczny stejr GB, pie

kny pistolet kalibru dziewięć milimetrów. Bronia o takim kalibrze posługiwali się jego przyjaciele z sił specjalnych. Sprawdził stan pistoletu. Pełny magazynek na osiemnastie naboje. Zamek pachniał tak, jakby jeszcze nigdy nie oddał z tego pistoletu choćby jednego strzału. Reacher nacisnął spust i przyjrzał się, jak działa mechanizm. Złodził pistolet i wsadził go za pasek od spodni. Wstał i uśmiechnął się.

-Kupuje twojego steyra za dolara - powiedział do nieprzytomnego diler. - Jeśli coś ci się nie podoba, pokręć głową, okay?

Uśmiechnął się znowu. Wyjął dolara ze zwitka banknotów, położył na stoliku i przycisnął rewolwerem. Wyszedł na korytarz. Wszędzie spokój. Znowu zrobił dziesięć kroków i znalazł się na zewnątrz. Rozejrzał się na boki, po czym podszedł do samochodu. Otworzył drzwiczki kierowcy, nacisnął dzwignię i zwolnił zamek bagażnika. W środku, pod kablami do akumulatora, znalazł kartonowe pudełko z amunicją. Wrzucił je do torby i odszedł. Gdy wrócił na Broadway, pizza już na niego czekała. - - -

To stało się tak nagle. Bez żadnego ostrzeżenia. Kiedy tylko znaleźli się w środku i Marilyn zamknęła drzwi, mężczyzna

uderzył Sheryl w twarz czymś, co miał w rekawie. Marilyn stała jak sparalizowana. Widziała, jak mężczyzna gwałtownie się obraca, a hak zakreśla w powietrzu łuk, po czym uderza z trzaskiem w twarz Sheryl. Marilyn przycisnęła ręce do ust, jakby koniecznie chciała powstrzymać się od krzyku. Mężczyzna odwrócił się w jej stronę. Siegnął lewą ręką pod prawą pachę i wyciągnął rewolwer. Sheryl runęła na znak na wykładzinie, w miejscu, gdzie była jeszcze wilgotna po praniu. Marilyn widziała, jak rewolwer zbliża się do niej. Widziała brąz z szarego metalu; wskutek oliwienia powierzchnia była polmatowana. Mężczyzna wycelował w jej pierś. Marilyn wpatrywała się w rewolwer. W głowie miała zupełną pustkę.

-Podejdź bliżej! - rozkazał mężczyzna.

Marilyn nie mogła się ruszyć. Przyciskała dłonie do ust. Oczy otworzyła tak szeroko, że niemal pękała skóra na twarzy.

-Bliżej - powtórzył.

Marilyn spojrzała na Sheryl, która usiłowała wstać, podpierając się łokciami. Z nosa płynęła jej krew. Górna warga już spuchła i krwawiła. Z trudem łapała oddechy. Leżała z rozłożonymi kolanami i zadarta sukienka, z odsłoniętymi udami. Nie zdołała utrzymać ciężaru ciała na łokciach i znowu upadła, uderzając głową o podłogę. Przetoczyła się na bok.

-Podejdź bliżej! - zazała mężczyzna.

Marilyn wpatrzyła się w jego twarz. Skóra poznaczona bliznami wydawała się plastikowa. Jedno oko zasłaniała grubą, szorstką powieką. Drugie miało lodowaty wyraz. Mężczyzna patrzył, w ogóle nie mrugając. Marilyn przeniosła wzrok na rewolwer oddalony o pół metra od jej piersi. Napastnik trzymał go starannie wypielegnowaną ręką ze śladami manicuru. Rewolwer nawet nie drżał. Zrobiła ćwierć kroku do przodu.

-Bliżej.

Marilyn przesunęła stopy, aż koniec lufy dotknął jej sukni. Przez cienki jedwab czuła chłód metalu.

-Bliżej.

Spojrzała na mężczyznę. Dzielilo ich teraz mniej więcej

trzydzieści centymetrów. Skóra po lewej stronie jego twarzy była szara i pomarszczona. Oko otaczały liczne zmarszczki. Zamrugnął prawym okiem. Powieka poruszała się bardzo powoli. Na dół, do góry, celowo, jakby to była część

maszyny. Marilyn pochylila sie pare centymetrow naprzod. Lufa rewolweru wbila sie w jej piers. - Blizej.

Marilyn znou przesunela stopy. Mezczyzna w odpowiedzi pchnal rewolwer do przodu. Lufa bolesnie ugniatala jej piers. W jedwabiu utworzyl sie gleboki krater. Mezczyzna podniosl prawa reke, te z hakiem. Trzymal ja na wysokosci oczu Marilyn. Zwykly stalowy hak starannie wypolerowany. Obrocil go w powietrzu, z trudem manewrujac ramieniem. Marilyn slyszala skrzypienie skorzanej uprzezy w rekawie. Hak mial ostry szpic. Mezczyzna przylozyl hak do jej czola. Poczula zimne dotkniecie metalu i sprobowała cofnac glowe. Przesunal hak wzdluz jej nosa i przycisnal do gornej wargi, zmuszajac ja do rozchylenia

ust. Zastukal lekko w zeby. Hak przylgнал do wyschnietej dolnej wargi. Mezczyzna ciagnal w dol, az wreszcie warg a oderwala sie od haka. Przesunal hak po jej brodzie, do gardla. Teraz do gory, wbijajac luk haka pod szczeki i zmuszajac Marilyn do uniesienia glowy. Spojrzal jej w oczy.

-Nazywam sie Hobie - powiedzial.

Marilyn stala na palcach, usilujac zmniejszyc nacisk haka na szyje. Zaczela sie dusic. Od otwarcia drzwi chyba jeszcze nie oddychala.

-Czy Chester opowiadal ci o mnie?

Marilyn zadzierala glowe do gory i patrzyla w sufit. Hobie wbijal lufe w jej piers. Nie byla juz zimna, bo ogrzala sie od jej ciala. Pokrecila glowa na tyle, na ile pozwalal jej nacisk haka.

-Nie wspominalem o mnie?

-Nie - wykrztusila. - Dlaczego?

-Czy jest skrytym czlowiekiem?

Znou pokrecila glowa, wykonujac taki sam minimalny ruch na boki. Skora jej szyi tarla o metal.

-Czy mowil ci o swoich problemach w interesach? Marilyn zamrugala i jeszcze raz pokrecila glowa.

-Czyli jest skryty.

-Czyli jest skryty.

-No, moze - sapnela. - Ale i tak wiedzialam.

-Czy ma kochanke?

Znou zamrugala i potrzasnela glowa. - Skad wiesz? - spytal Hobie. - Skad mozesz wiedziec, jesli on jest taki skryty?

-Czego chcesz?

-No, ale pewnie nie potrzebuje kochanki. Jestes piekna kobieta. Marilyn stala na palcach. Szpilki od Gucciego juz nie dotykaly podlogi.

-Przed chwila wyglosilem komplement - powiedzial Hobie. - Czy nie powinnas jakos odpowiedziec? Uprzejmie?

Zwiekszyl nacisk haka, ktory wbil sie w jej szyje. Marilyn oderwala jedna stope od wykladziny.

-Dziekuje - wykrztusila.

Hobie opuscil nieco hak. Marilyn mogla juz patrzec przed siebie i postawic obcasy na podlodze. Ciezko dyszala. Wdech i wydech. Wdech i wydech.

-Jestes bardzo piekna kobieta - powtorzyl Hobie. Przylozyl hak do jej talii i przesunal nim w dol bioder. Na udo. Patrzyl jej w twarz, wbijajac rewolwer w piers. Obrocil hak, tak ze teraz dotykaj jej szpicem, nie zas na plask. Przesunal hak z jedwabiu sukienki na gola noge. Szpic byl zaostzony, nie jak igla, ale jak zatemperowany olowek. Hobie zatrzymal reke, po czym zaczal przesuwac hak do gory. Naciskal lekko, nie kaleczac jej skory, ale zostawiajac na materiale bruzde. Wsunal hak pod jedwab sukienki. Poczula dotyk metalu na udzie. Coraz wyzej. Marilyn czula, jak jedwab zbiera sie na haku. Rabek sukienki byl coraz wyzej. Sheryl znowu poruszyla sie na podlodze. Hak znieruchomial. Hobie spojrzal swym okropnym prawym okiem na lezaca kobiecie.

-Wloz reke do mojej kieszeni - powiedzial do Marilyn. Spojrzala na niego ze zdziwieniem.

-Wloz lewa reke do mojej prawej kieszeni - polecil Hobie.

Marilyn musiala przyblizyc sie jeszcze bardziej i siegnac miedzy jego ramionami. Ich twarze sie zblyzily. Hobie paczyl mydlem. Pomacala palcami w jego kieszeni, az trafila na niewielki przedmiot. Wyciagnela go. To byla rolka srebrzystej tasmu klejacej o grubosci trzech centymetrow. Pewnie z piec metrow.

-Sklej tasma jej nadgarstki! - zazadal.

Marilyn poruszyla biodrami, aby sukienka opadla. Hobie sie usmiechnal. Marilyn spogladala to na rolke tasmu, to na lezaca Sheryl.

-Przewroc ja na brzuch! - rozkazal.

Ostatnie promienie slonca odbijaly sie od rewolweru. Marilyn uklekla obok Sheryl. Pociagnela ja za ramie, az wreszcie udalo sie ja przewrocic.

-Zloz jej rece, tak zeby stykaly sie lokciami. Marilyn sie zawahala. Hobie uniosl nieco

rewolwer, a potem

hak, demonstrujac swoje uzbrojenie. Skrzywila sie. Sheryl znowu sie poruszyla. Krew utworzyla wielka, brazowa i lepka

plame na wykladzinie. Marilyn z trudem wykrecila jej rece, zeby polaczyc lokcie.

-Jeden obok drugiego - nakazal Hobie.

Marilyn podwazyla paznokciem tasmie i oderwala spory kawalek. Owinela nim przedramiona Sheryl, zaczynajac tuz ponizej lokci.

-Mocniej. Od nadgarstkow do lokci.

Marilyn okrecila tasmie jeszcze kilka razy. Sheryl zaczela sie szarpac, usilowala sie uwolnic.

-Dobrze. Teraz ja posadz - powiedzial Hobie. Marilyn przewrocila ja na wznak i podniosla.

Sheryl siedziala,

opierajac sie o sciane skrepowanymi z tylu rekami. Miala zakrwawiona twarz, nabrzmiale wargi, a spuchniety nos juz zaczal siniec.

-Zaklej jej usta! - rozkazał Hobie.

Marilyn nadgryzła taśmę, żeby oderwać pasek o długości piętnastu centymetrów. Sheryl zamrugła. Dochodziła do przytomności. Marilyn bezradnie wzruszyła ramionami, jakby chciała ją przeprosić, po czym przyłożyła taśmę do jej ust.

Hobie wybrał grubą, srebrzystą taśmę wzmocnioną niciami. Błyszczała, ale nie była śliska, ponieważ krzyżujące się nici zwiększały tarcie. Marilyn przesunęła palcami po taśmie, żeby ją przykleić. Z nosa Sheryl zaczęły się wydobywać bąble. Otworzyła szeroko oczy.

-Boże, ona nie może oddychać! - krzyknęła Marilyn. Chciała zerwać taśmę, ale Hobie kopnął ją w rękę.

-Złamales jej nos - powiedziała Marilyn. - Nie może oddychać.

Hobie wycelował rewolwer w jej głowę. Trzymał go nieruchomo w odległości czterdziestu centymetrów od skroni.

-Ona umrze!

-Niewatpliwie - przyznał Hobie.

Marilyn patrzyła na niego z przerażeniem. Z zatkanych dróg oddechowych Sheryl wydobywały się czerwone bąble. Oczy wychodziły jej z orbit. Gwałtownie usiłowała złapać oddech. Hobie spojrzał na Marilyn.

-Chcesz, żebym był miły? - spytał. Gwałtownie pokiwała głową.

-Czy w zamian ty też będziesz dla mnie miła? Marilyn spojrzała na swoją znajomą. Jej piers falowała, gdy

konwulsyjnie próbowała wciągnąć powietrze w płuca. Szarpała głową na boki. Hobie się pochylił. Przyłożył hak szpicem do taśmy. Mocno nacisnął, aż czubek wbili się w taśmę. Sheryl zamarła. Hobie szarpnął hakiem na boki, po czym wyrwał go, zostawiając nierówną dziurę, przez którą ze swistem przelatywało powietrze. Przy każdym wdechu i wydechu strzępy taśmy wlatywały do ust Sheryl i wylatywały z nich.

-Byłem miły - powiedział Hobie do Marilyn. - Teraz jesteś moja dłużniczka. Sheryl z trudem oddychała przez niewielki otwór. Zezowała w dół, jakby chciała się upewnić, że powietrze ma jak dostać się do jej płuc. Marilyn klęczała na podłodze i patrzyła na nią sztywna z przerażenia.

-Zaprowadź ją do samochodu - polecił Hobie.

10

Chester Stone był sam w łazience na osiemdziesiątym ósmym piętrze. Tony zmusił go, żeby tam poszedł. Nie musiał używać siły. Po prostu w milczeniu wskazał reka drzwi i Chester popędził przez pokój w podkoszulku, majtkach, ciemnych skarpetkach i wypastowanych polbutach. Tony opuścił ramię. Powiedział mu, że ma tu siedzieć, po czym zamknął drzwi. Chester słyszał dochodzące przez ściany stłumione dźwięki, a po kilku minutach jego dwaj oprawcy najwyraźniej wyszli. Stone usłyszał trzask drzwi i szmer windy, po czym zapadła cisza. W gabinecie było ciemno. Usiadł na podłodze, opierając się o ścianę wyłożoną granitowymi płytami. W milczeniu wpatrywał się w ciemność. Drzwi do łazienki nie były zamknięte na klucz. Wiedział to. Gdy Tony zamknął drzwi, Chester nie usłyszał żadnego trzasku zamka. Poczul zimno. Od granitowej podłogi ciągnęło ziąbem, a cienkie bawełniane bokserki nie stanowiły żadnego zabezpieczenia przed chłodem. Zaczął się trząść. Był głodny i spragniony. Przez chwilę uważnie nasłuchiwał. Cisza. Wstał z podłogi i podszedł do umywalki. Odkrecił

kran. Jeszcze raz sprawdził, czy przez szmer wody nie przebijają się jakieś odgłosy z gabinetu. Nic. Napił się wody. Dotknął zębami kranu, w ustach poczul smak chloru. Przeplukał je. Przez chwilę czekał, aż woda dobrze zwilży wys

chnięty język, po czym ją przełknął. Zakrecił kran. Czekał godzinę. Przez całą godzinę siedział na podłodze, wpatrując się w drzwi i wsłuchując w ciszę. Czuł ból w miejscu, gdzie mężczyzna go uderzył. Ostry ból zębów, o które zaważła piasek. Kosc o kosc, solidne, mocne uderzenie. No i łagodniejszy, budzący mdłości ból w brzuchu. Chester nie odrywał spojrzenia od drzwi, jednocześnie starając się nie myśleć o bólu. W budynku rozchodziły się ciche szmery świadczące o obecności innych ludzi, ale miał wrażenie, że są gdzieś daleko. Szumy wiatru, klimatyzacji, wody w rurach i gwizd wiatru składały się na ledwo słyszalny, przyjemny szept. Chester miał wrażenie, że słyszy, jak otwierają się i zamykają drzwi windy, może nawet osiemdziesiąt osiem piętér niżej, a niski dźwięk rozchodzi się wzdłuż szyb.

Było mu zimno, zdrewniał, czuł głód, bolał go brzuch, bał się. Wstał, z trudem wyprostowując zesztywniałe plecy. Nasłuchiwał. Nic. Przesunął skorzane podeszwy po posadzce. Stał przez chwilę z ręką na klamce. Wciąż niczego nie słyszał. Otworzył drzwi. W wielkim gabinecie było cicho i ciemno. Chester podszedł do drzwi do poczekalni. Teraz był już bliżej windy. Słyszał, jak kabiny poruszają się w szybach. Zatrzymał się i uważnie nasłuchiwał. Cisza. Otworzył drzwi. W poczekalni nie było nikogo. W słabym świetle blade błyszczął debowy blat, tu i owdzie światło odbijało się od mosiężnych okuc. Słyszał silnik lodówki w kuchni po prawej stronie. Czuł zapach Starej, zimnej kawy.

Drzwi na korytarz były zamknięte. Solidne grube drzwi, prawdopodobnie ognioodporne, zgodnie z ostrymi przepisami obowiązującymi w Nowym Jorku. Drzwi były wykonane debem, ale przy tużynie widac było, że pod drewnem kryje się stal. Chester spróbował nacisnąć klamkę, lecz drzwi nawet nie drgnęły. Długo stał pod nimi, wyglądając przez niewielkie okienko, zaledwie dziesięć metrów od windy i wolności. W końcu podszedł do pulpitu recepcjonisty.

Od frontu pulpit sięgał na wysokość piersi. Z tyłu znajdował się niższy blat, a sięgająca wyżej bariera tworzyła przezgrodkę z papeterią i porządnie ułożonymi folderami. Na blacie, przed krzesłem Tony'ego, stał telefon - skomplikowana konsola

z licznymi guzikami i ciekłokrystalicznym wyświetlaczem Chester przeczytał komunikat OFF. Podniósł słuchawkę, ale usłyszał tylko szmer krwi w uchu. Przycisnął kilka guzików na chybił traf. Nic z tego. Przyjrzał się uważnie konsoli, aż w końcu dostrzegł przycisk z napisem OPERATE. Gdy go nacisnął, na wyświetlaczu pojawił się napis ENTER CODE. Wybrał kilka przypadkowych numerów. Znowu OFF.

Pod blatem znajdował się niewielki kredens. Debowe drzwiczki. Wszystkie zamknięte. Chester po kolei spróbował je otworzyć, ale za każdym razem słyszał stuk metalowego rygla o wpust zamka. Wrocil do gabinetu Hobiego. Przecisnął się między sofami do biurka. Na sofach niczego nie było. Jego ubranie znikło. Blat biurka pusty. Szuflady zamknięte na klucz. To było solidne biurko, na pewno bardzo drogie, ale zniszczone przez ślady haka. Chester przykleknął. W samych bokserkach wyglądał komicznie. Szarpał za uchwyty szuflad, ale dawały się przesunąć tylko o ułamek milimetra. Pod biurkiem stał kosz na śmieci. Chester pochylił niski, mosiężny cylinder

W środku zobaczył swój opróżniony portfel i odwrócone zdjęcie Marilyn. Na drugiej stronie widac było liczne napisy KODAK. Wyciągnął zdjęcie z kosza. Zona uśmiechnęła się do niego z fotografii. To był amatorski portret. Marilyn miała na sobie jedwabną sukienkę, tę seksowną, uszytą na zamówienie. Nie wiedziała, że on o tym wie. Był sam w domu, gdy zadzwonił krawiec. Odebrał telefon i powiedział, żeby zadzwonił później. Udawał, że wierzy, iż kupiła sukienkę w zwykłym sklepie. Zrobił to zdjęcie, gdy włożyła ją po raz pierwszy. Uśmiechała się niesmiało, a jej oczy błyszczały z ożywienia. Kazała mu skądś zobaczyć zdjęcie, żeby nie było widac, jak jedwab przylega do piersi. Chester przez dłuższą chwilę wpatrywał się w zdjęcie, po czym odłożył je do kosza, bo nie miał kieszeni.

Wstał, wyminał fotele i podszedł do okna. Unosił żaluzje. Wyjrzał na zewnątrz. Chciał coś zrobić. Niestety, był zamknięty na osiemdziesiątym ósmym piętrze. Nie widział nic poza rzeką i New Jersey. Nie mógł zawołać sąsiada. Najbliższy sąsiad na tej wysokości mieszkał pewnie gdzieś w Appalachach w Pensylwanii. Pusił żaluzje. Obszedł cały gabinet, całą poczekalnię,

aż wrocil do punktu wyjścia i zrobił to jeszcze raz. Beznadziejna sytuacja. Był w więzieniu. Stał posrodku gabinetu, trząsał się z zimna i miał pustkę w głowie.

Czuł głód. Nie wiedział, która jest godzina. W biurze nie było zegara, stracił roleksa. Słońce było już nisko nad horyzontem. Późne popołudnie lub wczesny wieczór. Nie jadł lunchu. Podeszedł do drzwi. Przyłożył do nich ucho, ale nie słyszał niczego poza szmerami budynku i warkotem silnika lodówki. Przeszedł przez poczekalnię do kuchni. Przez chwilę trzymał palec na włączniku, nim odważył się zapalić światło. Światłówka przez sekunde migotała, a jej zapalnik gniewnie warczał, ale w końcu się zapaliła, oblewając pomieszczenie białym światłem. Kuchnia była niewielka, z małym stalowym zlewem i równie małym blatem. W zlewie stały wypłukane kubki, a obok na blacie brudny ekspres do kawy. Pod blatem stała lodówka. Chester otworzył drzwiczki. Dostrzegł napoczęte mleko, kilka puszek piwa i starannie zamknięta papierowa torba ze sklepu Zabar's. Wyciągnął ją z lodówki. W środku była jakaś paczka owinięta w gazetę. Ciepła i twarda. Chester wstał i rozwinał gazetę, trzymając paczkę nad blatem. Pod |

gazeta kryła się plastikowa torba. Chwycił za dolną krawędź i potrząsnął. Z torby wypadła odcięta dłoń z białymi, wykrzywionymi palcami. Z dołu sterczały odłamki kości, czerwone mięso i niebieskawe żyły. Chester miał wrażenie, że lampa jarzeniowa nagle zawirowała. Zemdlał i upadł na podłogę. - - -

Reacher położył pudełko z pizzą na podłodze. Wyciągnął pistolet zza paska, po czym wrzucił go do sportowej torby z zapasową amunicją. Ukucnął i podniósł pudełko. Zdażył wstać, nim winda zatrzymała się na trzecim piętrze. Gdy tylko pojawił się w polu widzenia Judasza, Jodie otworzyła drzwi. Wciąż miała na sobie tę samą lnianą sukienkę. Teraz była nieco pofalowana na biodrach, bo siedziała w niej przez cały dzień. Stała, krzycząc długie, opalone nogi.

-Przyniosłem kolację - oznajmił. Jodie nie spojrzała na pudełko, tylko na sportową torbę.

-To ostatnia szansa, Reacher - stwierdziła. - Powinnismy z kimś porozmawiać o tej sprawie.

-Nie.

Reacher postawił torbę na podłodze. Jodie obeszła go i zamknęła drzwi.

-Okay - powiedziała. - Jeśli to sprawka rządu, być może masz rację. Może powinnismy trzymać się z daleka od policji.

-Słusznie.

-No to musimy załatwić to razem.

-Zjedźmy kolację - zaproponował.

Reacher zaniósł pizzę do kuchni. Jodie nakryła już do stołu, mieli siedzieć naprzeciwko siebie. Talerze, noże i widelce, serwetki, szklanki z zimną wodą. Tak jakby mieszkali tu razem. Położył pudełko na kredensie i podniósł pokrywkę.

-Wybieraj.

Jodie stała tuż za nim. Wyczuwał jej obecność, czuł zapach perfum. Dotknęła jego pleców. To było palące dotknięcie. Jodie przez sekundy trzymała dłoń nieruchomo, po czym popchnęła go w bok.

-Podzielimy się - rzuciła.

Wzięła pudełko i przeniosła je na stół. Nałożyła na talerze po ćwiartce pizzy obu rodzajów, Reacher usiadł przy stole. Przyglądał się jej, jednocześnie pijąc wodę. Jodie była smukła i

energiczna. Poruszała się tak, że każda codzienna czynność przypominała balet. Wyrzuciła zatłuszczone pudełko i wrociła do stołu. Sukienka płynnie falowała przy każdym jej ruchu. Jodie usiadła, Reacher słyszał, jak len otarł się o jej skórę. Zawadziła stopą o jego nogę.

-Przepraszam - powiedziała.

Wytarła palce w serwetkę, odrzuciła włosy na plecy i pochyliła głowę, żeby ugryźć pizzę. Jadła, trzymając pizzę lewą ręką, łapczywie przelikuąc kolejne kęsy.

-Nie jadłam lunchu - wyjaśniła. - Zakazałeś mi wychodzić z biura.

Jodie wysunęła język, żeby złapać pasmo sera. Z niesmiałym uśmiechem wciągnęła je do ust. Jej zatłuszczone wargi błyszczały. Wypiła duży łyk wody.

-Anchois, moje ulubione. Skąd wiedziałeś? Niestety, po nich chce się pić. Bardzo słone. Sukienka Jodie nie miała rękawów. Reacher widział jej ramiona aż od niewielkiej kości barku. Smukłe, opalone. Prawie bez mięśni, bicepsy wyglądały jak ścięgna. Prezentowała się tak wspaniale, że zaparło mu dech w piersiach, ale pod względem fizycznym stanowiła zagadkę. Była wysoka, lecz tak drobna, że trudno było pojąć, gdzie mieszczą się jej organy wewnętrzne. Choć była bardzo szczupła, wydawała się silna i energiczna. Zagadka. Reacher pamiętał, jak objęła go w pasie piętnaście lat temu. Zupełnie jakby ktoś zacisnął pętlę z grubej liny.

-Nie mogę tu zostać na noc - oznajmił.

-Dlaczego? - Jodie spojrzała na niego. - Jeśli masz coś do zrobienia, pójdę z tobą. Jak powiedziałam, to nasza wspólna sprawa.

-Nie, po prostu nie mogę zostać. - Dlaczego? - spytała ponownie. Reacher wziął głęboki oddech. Jej włosy błyszczały.

-To niestosowne, żebym nocował tutaj - stwierdził.

-Dlaczego tak uważasz? Reacher wzruszył ramionami. Był zakłopotany.

-Jodie, posłuchaj. Ze względu na Leona myślisz o mnie jak o swoim starszym bracie lub wujku czy kims takim, a przecież to nieprawda. Jodie patrzyła na niego bez słowa.

-Bardzo przepraszam - dodał.

-O co ci chodzi? - spytała, szeroko otwierając oczy.

-To niestosowne - powtórzył łagodnie. - Nie jesteś moją młodszą siostrą lub bratanicą. To tylko złudzenie, ponieważ przyjaźniłem się z twoim ojcem. Dla mnie jesteś po prostu piękną kobietą i nie mogę być tu z tobą sam na sam.

-Czemu? - spytała, z trudem łapiąc oddech.

-Jezu, Jodie, co to za pytanie? Bo to niestosowne, dlatego. Nie muszę ci szczegółowo wyjaśniać. Nie jesteś ani moją siostrą, ani bratanicą, a ja nie mogę udawać, że tak jest. To udawanie doprowadza mnie do szaleństwa. Jodie siedział a bez ruchu. Wpatrywała się w niego, prawie nie oddychając.

-Od jak dawna tak o mnie myślisz? Reacher znowu wzruszył z zakłopotaniem ramionami.

-Chyba zawsze tak myślałem. Od kiedy się poznaliśmy. Jodie, daj spokój, nie byłeś wtedy dzieckiem. Dzielila nas mniejsza różnica wieku niż mnie i Leona.

Jodie milczała. Reacher wstrzymał oddech. Czekal na łzy, oburzenie, traumę, ale ona tylko na niego patrzyła. Już zaczął zamyślać, że zdecydował się na tę rozmowę. Powinien był zamknąć buzię na kłódke. Zacisnąć żeby i jakos wytrzymać. Przeżył już gorsze sytuacje, choć nie pamiętał kiedy i gdzie.

-Przepraszam - powiedział ponownie.

Nie mógł odczytać z jej twarzy, o czym myśli. Patrzyła na niego szeroko otwartymi, niebieskimi oczami, podpierając się łokciami o blat. Faldy sukienki zebrały się z przodu. Widział wąskie, białe ramiączko stanika, wyraźnie odcinające się od opalonej skóry. Spojrzał na twarz, na której malowało się wzburzenie, zamknął oczy i ciężko westchnął. Szczerze to

najlepsza polityka? Co za bzdura!

Nagle Jodie zrobiła coś dziwnego. Powoli wstała, odsunęła krzesło na bok, po czym chwyciła dwiema rękami krawędź stołu. Jej cienkie mięśnie napreżyły się jak sznurki. Odciągnęła stół pod ścianę. Zmieniła pozycję i naciskając udami, odepchnęła go jeszcze dalej. Reacher siedział na krześle. Nagle został odizolowany pośrodku pokoju. Jodie stała dwa kroki przed nim. Reacher prawie przestał oddychać.

-Myślisz o mnie jak o kobiecie? - spytała powoli. Kiwnął głową.

-Nie jak o siostrze? Nie jak o bratanicy? Pokręcił głową. Jodie przez chwilę milczała.

-Myślisz o seksie ze mną? - szepnęła. Reacher pokiwał głową z zakłopotaniem i rezygnacją.

-Oczywiście. A co sobie wyobrazasz? Popatrz na swoje odbicie w lustrze. Ostatniej nocy nie mogłem spać. Jodie stała bez słowa.

-Musiałem ci powiedzieć - dodał. - Bardzo ci przepraszam, Jodie. Zamknęła oczy. Mocno zmrużyła powieki. Reacher zobaczył, że na jej twarzy pojawia się radosny uśmiech. Zaciśnięła pięści.

Nagle rzuciła się na niego, wylądowała na jego kolanach, zarzuciła mu ramiona na szyję i zaczęła całować, tak jakby miała umrzeć, jeśli tylko na chwilę przerwie. - - -

Jechali samochodem Sheryl. Hobie kazał prowadzić Marilyn. Sam usiadł na tylnym siedzeniu obok Sheryl, która wciąż miała ręce wykrecone do tyłu i związane, a usta zaklejone. Z trudem oddychała. Opierał głowę na jej udzie, wbijając go w ciało. W lewej ręce trzymał rewolwer. Od czasu do czasu dotykał łufą karku Marilyn, aby nie zapomniała, że ma broń. Tony czekał na nich na podziemnym parkingu. Skonczyły się już godziny pracy i biurowiec opustoszał. Tony poprowadził Sheryl, a Hobie - Marilyn. Wsiadli do windy towarowej. Hobie otworzył drzwi do biura i wszedł do poczekalni. W kuchni paliło się światło, a na podłodze leżał Stone w samej bieliznie. Marilyn jęknęła i podbiegła do niego. Hobie przypatrywał się, jak jej ciało porusza się pod cienką sukienką. Uśmiechnął się, a potem odwrócił i zamknął drzwi na klucz. Schował do kieszeni klucze i rewolwer. Marilyn nagięła się zatrzymując. Wpatrywała się w coś z przerażeniem, szeroko otwartymi oczami, przyciskając dłonie do ust. Hobie spojrzał w tym samym kierunku. Na kuchennym blacie leżała dłoni wewnętrzna strona do góry, z zagiętymi palcami, jak dłoni zebra. Marilyn opuściła wzrok.

-Nie martw się - powiedział Hobie. - To nie jego. Ale to dobry pomysł, prawda? Jeśli nie zrobi tego, czego sobie życzę, mogłbym mu odciąć rękę. Marilyn spojrzała na niego osłupiałym wzrokiem.

-A może lepiej odciąć rękę tobie - dodał. - Mogłbym go zmusić żeby się temu przyglądał

-Może nawet udaloby mi się go zmusić, żeby zrobił to sam.

-Jestes szalony - odezwiała się Marilyn.

-Wiesz, zrobiłby to - ciągnął Hobie. - Zrobiłby wszystko, czego zażadam. Jest złośny.

Spojrzał na niego, jak on wygląda w tej bieliznie. Uważasz, że dobrze wygląda? Marilyn nie

odpowiedziala.

-A ty? - spytal. - Czy ty dobrze wygladasz w samej bieliznie? Chcesz zdjac sukienke i mi pokazac? Marilyn spojrzal a na niego z przerazeniem.

-Nie? - powiedzial. - Dobrze, moze pozniej. A co z twoja agentka? Czy sadzisz, ze ona wygladalaby dobrze tylko w bieliznie? - Hobie odwrocil sie w strone Sheryl, ktora zaczela sie cofac, az oparla sie o drzwi zwiazanymi z tylu reka mi. Zesztywniala. - No wiec jak? Dobrze wygladasz w samej bieliznie?

Przerazona Sheryl gwałtownie pokrecila glowa. Oddychala ze swistem przez dziurke w tasmie. Hobie zbлизyl sie do niej i wsadzil hak za pasek jej spodnicy.

-Sprawdzmy.

Szarpnal gwałtownie. Sheryl zachwiala sie na nogach, a na podloge posypaly sie guziki. Uklekla. Hobie przycisnal ja

podeszwa do podlogi. Skinal glowa na Tony'ego. Ten pochytil sie i sciagnal z niej spodnice, choc probowala stawic opor, machajac nogami.

-Rajstopy - skrzywil sie Hobie. - Boze, jak ja nie cierpie rajstop. Sa zupelnie

nieromantyczne.

Pochylil sie i rozerwal hakiem nylonowe rajstopy. Razem z rajstopami sciagneli buty. Tony zwinal w kule jej spodnice, buty i strzepy rajstop, zanosil do kuchni i wyrzucil do smieci. Sheryl usiadla na podwinietych nogach. Ciezko dy szala. Miala na sobie skape, biale majteczki, ktore probowala zaslonic polami bluzki. Marilyn przypatrywala sie jej z otwartymi ze zgrozy ustami.

-No, teraz dobrze sie bawimy - powiedzial Hobie. - Czyz nie?

-Pewnie - odparl Tony. - Ale jeszcze nie tak dobrze, jak bedziemy sie bawic juz niedlugo. Hobie sie zasmial. Stone zacal sie ruszac. Marilyn przyklekla i pomogla mu usiasc na podlodze. Hobie zbлизyl sie do nich i podniosl z blatu obcieta reke.

-To dlon ostatniego faceta, ktory mnie zirytowal - oswiadczył.

Stone otwieral i zamykal oczy, jakby w ten sposob mogl zmienic scene. Spojrzal na Sheryl. Marilyn uswiadomila sobie, ze Chester nigdy jej nie spotkal. Nie wiedzial, kim jest.

-Do lazienki! - rozkazal Hobie.

Tony poderwal Sheryl z podlogi. Marilyn pomogla wstac mezowi. Hobie kroczył za nimi. Przeszli przez wielki gabINET do lazienki.

-Do srodka - rzucil Hobie.

Stone wszedl pierwszy, kobiety za nim. Hobie przypatrywal sie im, stojac w drzwiach. Kiwnal glowa w kierunku Chhestra.

-Tony bedzie spal w gabinecie na sofie - poinformowal. - A zatem lepiej nie wychodz z

lazienki. No i nie marnuj czasu. Omow sprawy z zona. Jutro rano przekazesz mi akcje. Bedzie

dla niej znacznie lepiej, jeśli zrobimy to w atmosferze wzajemnego zrozumienia. Znacznie lepiej. Jeśli nie, spowoduje to poważne konsekwencje. Rozumiesz?

Stone patrzył na niego bez słowa. Hobie przez chwilę

przypatrywał się kobietom, po czym pomachał im obcieta reka na pożegnanie i zamknął drzwi. - - -

Sypialnie Jodie zalewało słoneczne światło. W czerwcu w każdy wieczór przez pięć minut, gdy słońce chyliło się nad horyzontem, promienie znajdowały wąską, prostą ścieżkę między wieżowcami Manhattanu i z całą siłą bombardowały okno. Załuski świeciły się jak reflektor, a białe ściany odbijały promienie, aż cały pokój wyglądał tak, jakby na stałą w nim eksplozja, Reacher pomyślał, że to bardzo pasuje do sytuacji. Leżał m wznak. Jeszcze nigdy w życia nie czuł się tak szczęśliwy.

Gdyby się nad tym zastanowił, mogby się zaniepokoić. Mogłby przypomnieć sobie różne porzekadła, na przykład: Biada człowiekowi, który dostał to, czego pragnął. Lub: Lepiej dążyć do celu, niż go osiągnąć. Miał prawo czuć się dziwnie, skoro osiągnął to, o czym marzył od piętnastu lat, ale wcale

tak się nie czuł. Miał wrażenie, że poleciał rakieta w jakieś miejsce, o którego istnieniu nawet nie wiedział. Było takie, jak sobie wymarzył, tylko milion razy wspanialsze. Jodie nie była snem. Była żywa istota, czuł jej oddech, dotykał jej mocnego ciała, czuł jej zapach. Była przy nim, ciepła, niesmiala, szczodra.

Jodie leżała z głową na zgiętym ramieniu Reachera, dotykając włosami jego twarzy. Przy każdym oddechu czuł je w ustach. Położył rękę na jej plecach i przesuwając ją po żebrach. Wyczuwał opuszkami kręgosłup ukryty między długimi mięśniami. Leżała z zamkniętymi oczami i uśmiechem na ustach. Poczul, jak laskocze go rzesami w szyję. Ramieniem wyczuwał

kształt jej ust, ruchy mięśni twarzy. Miała chłodną i miękką skórę.

-Powinnam teraz się rozplakać - powiedziała cicho. - Zawsze myślałam, że się rozplaczę. Jeśli to kiedykolwiek się stanie, to na pewno wybuchnę płaczem.

-Dlaczego miałabym się płakać? - spytał, przyciskając ją mocniej do siebie.

-Z powodu tych wszystkich straconych lat.

-Lepiej późno niż nigdy - zauważył. Jodie uniosła się na łokciach. Położyła się na nim, przyciskając piersi do jego klatki piersiowej,

-Wszystko, co mi powiedziałeś, mogłam sama powiedzieć, co do słowa. Zależy, że nie zrobiłam tego już dawno. Nie mogłam.

-Ja też me - rzekł. - Czulem się winny. To była moja tajemnica.

-Tak samo było ze mną. Jodie usiadła na nim okrakiem, wyprostowała się i uśmiechnęła.

-Teraz to już nie jest tajemnica - stwierdziła. - Nie.

Przeciagnęła się, rozkładając szeroko ramiona. Ziewnęła i uśmiechnęła się z zadowoleniem. Położyła ręce na biodrach, a potem przesunęła je na piersi.

-Jeszcze raz? - spytała z figlarnym uśmiechem.

Reacher przewrócił ją na łóżko i pochylił się nad nią. - Bawimy się w ganiętego? Nadrabiamy stracone lata? Ledwo dostrzegalnie kiwnęła głową, uśmiechając się i przesuwając włosy po poduszce. - - -

Marilyn przejęła inicjatywę. To ona była najsilniejsza z tej trojki. Chester i Sheryl byli zupełnie oszołomieni, co uznała za całkiem zrozumiałe, ponieważ to oni najbardziej ucierpieli. Mogła się domyslać, jak się czują bezbronni w samej bieliznie. Sama była pończogami, ale teraz się tym nie martwiła. Oderwała taśmę z ust Sheryl i przytuliła ją, gdy płakała. Potem zerwała taśmę z jej nadgarstków, odwinęła zwoje sięgające do łokci i zgłębła taśmę w lepkie kule, którą wyrzuciła do śmieci. Rozmasowała zdrewniałe ramiona Sheryl, przywracając w nich czucie. Wzięła ręcznik do rąk, zwilżyła go ciepłą wodą i zmyła zakrzepłą krew z jej twarzy. Sheryl miała spuchnięty, poczerwiałe nos. Marilyn zaczęła się zastanawiać, jak zapewnić jej pomoc lekarza. Przypominała sobie sceny z filmów o porwaniu zakładników. Zawsze ktoś przyjmuje rolę rzecznika, mówi,

żeby policja nie interweniowała, i załatwia uwolnienie chorych. Jak oni to robili? Marilyn zebrała ręczniki z wieszaka. Dala Sheryl ręcznik kąpielowy, żeby zrobiła sobie z niego sukienkę, a pozostałe podzieliła na trzy kupki. Wiedziała, że posadzka jest zimna, więc izolacja termiczna miała istotne znaczenie. Przesunęła ręczniki pod ścianę, układając je w rzadek. Usiadła pośrodku, Chestera posadziła po lewej, a Sheryl po prawej. Chwyciła ich za ręce i mocno uściśnęła. Chester odwzajemnił uścisk.

-Bardzo przepraszam - powiedział.

-Ile jesteś im winien?

-Ponad siedemnaście milionów. Nie pytała, czy może oddać. Gdyby mógł, nie leżałby pończogami na podłodze łazienki.

-Czego on chce? Chester złośliwie wzruszył ramionami.

-Wszystkiego - odrzekł. - Chce dostać całą firmę. Marilyn pokręciła głową. Skupiła wzrok na rurach pod umywalką.

-Co nam zostanie? Chester przez chwilę milczał, po czym znowu wzruszył ramionami.

-Ochłapy, jakie zechce nam zostawić. Pewnie nic.

-A co z domem? Dom nam zostanie, prawda? Wystawiłam go na sprzedaż. Sheryl to agentka pośrednictwa handlu nieruchomości. Według niej można go sprzedać prawie za dwa miliony. Stone spojrzał na Sheryl. Potrząsnął głową.

-Dom należy do firmy. Tak było wygodniej ze względów finansowych. Wobec tego Hobbie zagarnie dom tak jak wszystko.

Marilyn pokręciła głową. Patrzyła przed siebie. Sheryl już zasnęła na siedząco, całkowicie wyczerpana ciężkimi przeżyciami.

-Ty też spij - powiedziała mężowi. - Coś wymyślę. Chester uściśnął jej dłoń i odchylił głowę do tyłu. Zamknął oczy.

-Bardzo przepraszam - powtórzył.

Marilyn nie odpowiedziała. Wygładziła sukienkę, obciągając materiał na uda, i wbiła wzrok w przestrzeń, intensywnie rozmyślając nad ich sytuacją. - - -

Nim skończyli się kochać po raz drugi, słońce już znikło. Najpierw zmieniło się w jasny pas światła przesuwający się

e w bok po oknie, później w wąski, poziomy snop padający na białą ścianę, w którym tańczyły drobiny kurzu. Plama przesuwiała się powoli, aż wreszcie znikła, jakby ktoś nacisnął wyłącznik. W pokoju pozostało tylko rozproszone, wieczorne światło. Leżeli wyczerpani na splecionej pościeli, przytulając się do siebie. Oddychali powoli całkowicie rozluźnieni. Reacher poczuł, że Jodie się uśmiecha. Oparła się na łokciu i spojrzała na niego z takim samym kpiącym uśmiechem, jakim powitała go przed biurkiem.

-O co chodzi? - spytał.

-Mam ci coś do powiedzenia. Reacher czekał.

-Występuje teraz oficjalnie.

Spojrzał na nią. Wciąż się uśmiechała, nawet w półmroku widać było blask jej niebieskich oczu. Oficjalnie? Przecież był prawnikiem, zajmowała się sprzątaniami, gdy ktoś nie mógł oddać stu milionów dolarów.

-Nie mam żadnych długów - powiedział. - I nie jestem niczym wierzycielem. Pokręciła głową. Wciąż się uśmiechała.

-Występuje jako wykonawca testamentu ojca.

Skłonił głowę. Nie było nic dziwnego w tym, że Leon wyznaczył ją na wykonawcę testamentu. Jako prawnik należał do rodziny była oczywistą kandydatką.

-Przeczytałam jego testament - ciągnęła. - Dzisiaj w pracy.

-I czego ciekawego się dowiedziałas? Może był ukrytym dusigroszem? Trzymał w tajemnicy miliardy? Jodie znów pokręciła głową. Nic nie powiedziała.

-Dowiedział się, co stało się z Victorem Hobiem i opisał to w testamencie? W dalszym ciągu się uśmiechała.

-Zapisał ci coś. W spadku - wyjaśniła wreszcie.

Reacher pokiwał głową. To też pasowało do Leona. Pamiętał o nim i wybrał jakiś drobiazg, żeby przypomnieć o łączącej ich przyjaźni. Co to mogło być? Pewnie jakaś pamiątka. Może swoje orderzy? Może ten karabin snajperski, który przywoził z Korei. To był stary niemiecki mauzer. Prawdopodobnie Sowieci zdobyli go podczas wojny i dziesięć lat później sprzedali swoim koreańskim klientom. To była piękna sztuka. Wielokrotnie zastanawiali się z Leonem, w jakich bitwach mógł być użyty. Ucieszyliby się z takiego karabinu. Miła pamiątka. Do diabła, gdzie on będzie go trzymał?

-Zapisał ci swój dom - powiedziała Jodie.

-Co?

-Dom - powtórzyła. - Tam gdzie byliśmy, w Garrison.

-Dom? - Reacher patrzył na nią z osłupieniem. Jodie pokiwała głową. Wciąż się uśmiechała.

-Nie wierze. I nie mogę przyjąć zapisu. Co ja bym z tym zrobił?

-Co byś z tym zrobił? Mieszkałbyś w nim, Reacher. Do tego chyba służą domy, nie sadzisz?

-Ale ja nie mieszkam w domach. Nigdy nie mieszkalem.

-No to mozesz teraz zaczac. Reacher przez chwile milczal, po czym pokrecil glowa.

-Jodie, nie moze tego przyjac. Dom powinien nalezec do ciebie. Leon powinien byl zostawic go tobie. To twoje dziedzictwo.

-Nie chce go - odpowiedziala po prostu. - Ojciec o tym wiedzial. Wole mieszkac w miescie.

-To mozesz go sprzedac. Nalezy do ciebie. Sprzedaj go zatrzymaj pieniadze.

-Nie potrzebuje tych pieniedzy. Tata zdawal sobie z tego sprawe. Dom jest wart mniej, niz ja zarabiam w ciagu roku. Reacher spojrzal na nia.

-Sadzilem, ze w tej okolicy nieruchomosci sa bardzo drogie. Przeciez to dzialka tuż nad rzeka.

-Masz racje - przyznala Jodie. Reacher przez chwile nic nie rozumial.

-Czy wiedzialas, ze on to zrobil?

-Nie do konca. Wiedzialam, ze nie zamierza zapisac mi swego domu. Przypuszczalam, ze poleci mi go sprzedac i przekazac pieniadze na jakis cel dobroczynny, dla weteranow lub cos w tym stylu.

-No to zrob to. Jodie znowu sie usmiechnela.

-Reacher, nie moze tego zrobic. To nie zalezy ode mnie. To wiazaca decyzja ojca wyrazona w testamencie. Musze ja wykonac.

-Jego dom - mruknal Reacher. - Leon zostawil mi swój dom.

-Martwil sie o ciebie. Przez dwa lata, od kiedy zostales zwolniony z wojska. Wiedzial, jak to jest, gdy ktos sluzyl w wojsku cale zycie i potem nic z tego nie ma. Niepokoil sie o to, co zrobisz ze swoim zyciem.

-Przeciez nie wiedzial, jak zyje.

-Mogl to odgadnac. Byl bystrym starym facetem. Wiedzial, ze bedziesz sie wloaczyl po kraju. Powtarzal wiele razy, ze to w porzadku teraz, przez trzy czy cztery lata. Co jednak bedzie, gdy stuknie ci piecdziesiatka? Szescdziesiatka? Siedemdziesiatka? Myslal o tym. Reacher wzruszyl ramionami. Lezal nago na wznak, wpatrujac sie w sufit.

-Nigdy sie nad tym nie zastanawialem. Zyj dniem dzisiejszym, takie bylo moje motto. Jodie nie odpowiedziala. Pochylila glowe i pocalowala go w piers.

-Czuje sie tak, jakbym ci kradl dom - powiedzial. - To twoj spadek. Powinien nalezec do ciebie. Jodie pocalowala go o jeszcze raz.

-To byl jego dom. Nawet gdybym go chciala, musielibysmy uszanowac jego wole. W rzeczywistosci wcale go nie chce. Nigdy nie chcialam, i on o tym wiedzial. Mogl z nim zrobic, co tylko przyszlo mu do glowy. I tak zrobil. Zostawil go tobie, bo chcial, zeby byl twoj.

Reacher wpatrywal sie w sufit, lecz w myslach chodzil po swoim domu. Podjazd, drzewa po obu stronach, garaz po prawej, wiata, niski dom po lewej. Gabinet, salon, szeroka rzeka za oknem. Meble. Wygodny dom. Moze kupi stereo. Troche ksiazek. Dom. Jego dom. W myslach sprobował powiedziec moj dom. Z trudem. Moj dom. Poczul dreszcz.

-Tata chciał, żeby dom należał do ciebie - mówiła dalej Jodie. - To spadek. Nie możesz się sprzeciwić. To już się stało. I zapewniam cię, że dla mnie to żaden problem. Zgoda? Reacher powoli pokiwał głową.

-Zgoda, ale to dziwne. Naprawdę, bardzo dziwne.

-Chcesz kawy? - spytała.

Reacher obrócił się na bok i spojrzał jej w oczy. Mogłoby mieć własny ekspres. W swojej kuchni. W swoim domu. Włączony do gniazdka. Do jego prądu.

-Kawy? - spytała ponownie.

-Chyba tak. Wstała z łóżka i włożyła pantofle.

-Czarna, bez cukru, zgadza się? Jodie stała zupełnie nago, miała tylko szpilki na nogach. Dostrzegła, jak na nią patrzył.

-W kuchni jest zimna podłoga. Zawsze wkładam tam coś na nogi.

-Daj spokój z tą kawą, dobra? - - -

Całą noc przespał w jej łóżku. Reacher obudził się pierwszy dobrze po wschodzie słońca. Delikatnie wyciągnął spod niej ramię i spojrzał na zegarek. Prawie siódma. Spał dziewięć godzin. Nigdy w życiu nie spał mu się tak dobrze i na tak wygodnym łóżku. Spał w życiu na setkach, może tysiącach łóżek. To było najlepsze. Jodie spała obok niego. Leżała na brzuchu, a w nocy odrzuciła koldre, odsłaniając nagie plecy aż do pasa. Widział z boku jej piers. Włosy rozrzucone na

ramionach. Jedno kolano podciągnęła do góry i położyła na jego udzie. Głowę na poduszce zwróciła twarzą w stronę kolana. Pod skórą widac było mięśnie. Reacher pocałował ją w kark. Poruszyła się.

-Dzień dobry, Jodie - powiedział.

Otworzyła oczy. Zamknęła i znowu otworzyła. Uśmiechnęła się. To był serdeczny, poranny uśmiech.

-Balam się, że to mi się sniło - odezwiała się. - Kiedyś miałam takie sny.

Pocałował ją jeszcze raz. Czule w policzek. Potem mniej czule w usta. Objęła go. Kochali się

czwarty raz w ciągu piętnastu lat. Potem wzięli razem prysznic po raz pierwszy w życiu.

Zrobili śniadanie. Jedli tak, jakby od paru dni głodowali.

-Muszę pojechać na Bronx - oznajmił.

-Do tego Ruttera? Pojadę z tobą. Wiem mniej więcej, gdzie to jest.

-A co z pracą? Myślałem, że musisz iść do kancelarii. Jodie spojrzała na niego pytająco.

-Mówiłaś, że masz dużo roboty. Miałem wrażenie, że jesteś bardzo zajęta.

-Wymyśliłam to - powiedziała z niesmiałym uśmiechem. - Zrobiłam wszystko wcześniej. Nie mam nic pilnego. Mogę wziąć cały tydzień wolnego. Po prostu nie chciałam być z tobą, czując to, co czułam. Dlatego pierwszej nocy od razu uciekłam do łóżka. Jako gospodyni powinnam pokazać ci gościnny pokój. Nie chciałam jednak być z tobą w syp

ialni. Pewnie bym zwariowała. Tak blisko, a jednocześnie tak daleko. Rozumiesz mnie? Reacher pokiwał głową.

-A więc co robiłaś w pracy przez cały dzień?

-Nic - zachichotała Jodie. - Gapiłam się w ścianę i nic nie robiłam.

-Jesteś szurnięta - rzucił Reacher. - Dlaczego po prostu mi nie powiedziałaś?

-Dlaczego ty po prostu mi nie powiedziałeś? - Przecież powiedziałem.

-W końcu - przyznała. - Po piętnastu latach.

-Wiem, ale bałam się ci to powiedzieć. Myślałam, że będziesz urazona, zraniona. Sądziłem, że to ostatnia rzecz, jaką chciałabyś usłyszeć.

-Tak samo ja. Bałam się, że mnie znienawidzisz już na zawsze. Spojrzeli na siebie z uśmiechem. Po chwili wybuchli śmiechem. Śmiali się dobre pięć minut.

-Idę się ubrać - powiedziała w końcu Jodie, wciąż chichocząc. Reacher poszedł za nią. Jego ubranie leżało na podłodze. Jodie sięgnęła do szafy po czyste rzeczy. Patrzył na nią i myślał, czy w domu Leona są wbudowane szafy. Nie, czy w jego domu są wbudowane szafy. Na pewno. Przecież są we wszystkich domach. Czy to oznacza, że teraz będzie musiał zgromadzić rzeczy, żeby wypełnić szafy?

Jodie wybrała dzinsy, koszulę, skórzany pasek i drogie pantofle. On włożył nową marynarkę. Do jednej kieszeni wsunął steyra, a do drugiej wsypał dwadzieścia naboju. Marynarka

zrobiła się ciężka. Jodie przyniosła skózaną aktówkę, żeby sprawdzić adres Ruttera.

-Gotowy? - spytała.

-Bardziej już nie będę.

Reacher kazał jej czekać w każdym krytycznym miejscu, a sam sprawdzał, czy nic im nie grozi. Postępował dokładnie tak samo jak poprzedniego dnia. Wczoraj jej bezpieczeństwo było dla niego bardzo ważne, ale teraz stało się sprawa życia i śmierci. Pusty korytarz, pusta winda, pusty hol, pusty parking. Razem dotarli do taurusa. Jodie objechała kwartał, żeby skierować się na północ i wschód.

-Przez East River Drive do dziewięćdziesiątej piątej. Może być? - spytała. - Jadać na wschód, trafimy na Cross Bronx Expressway. Reacher wzruszył ramionami. Spróbował sobie przypomnieć mapę Hertza.

-Skreć potem na północ w Bronx River. Musimy dojechać do zoo.

-Do zoo? Rutter nie mieszka w tej okolicy.

-Właściwie nie do zoo, tylko do ogrodu botanicznego. Musisz tam coś zobaczyć.

Jodie spojrzała na niego z ukosa, ale skupiła uwagę na prowadzeniu. Niedawno minął poranny szczyt, ale na ulicach wciąż było bardzo dużo samochodów. Pojechali na północ wzdłuż rzeki, potem na północny zachód do mostu George'a Washingtona i po zjeździe z niego skierowali się na wschód w stronę Bronksu. Jechali szybciej, bo o tej porze Nowy Jork wysysa ludzi. Na przeciwnym pasie samochody prawie stały.

-Dobra, dokąd teraz? - spytała Jodie.

-Min Fordham University. Przejedź za palmiarnie i zaparkuj na gorze. Jodie kiwnęła głową i zmieniła pas. Minęła Fordham po lewej i oranżerie po prawej. Wjechała przez brame na teren muzeum. Parking był prawie pusty.

-Co teraz? Reacher wziął aktówkę i wysiadł.

-Tylko się nie uprzedzaj - powiedział.

Do palmiarni mieli sto metrów. Poprzedniego dnia Reacher poznał jej historię, z darmowej ulotki. Zastąpiła nazwaną imieniem niejakego Enida Haupta, jej budowa w 1902 roku kosztowała fortuna, a remont dziewięćdziesiąt pięć lat później dziesięć razy więcej. Pieniądze zostały dobrze wydane, ponieważ wynik był imponujący. Ogromna i ozdobna palmiarnia mogła służyć za wzór miejskiej filantropii wyrażony w szkło i żelazo.

W środku było gorąco i wilgotno. Reacher poprowadził Jodie na miejsce, którego szukał. Na stanowiskach otoczonych niskimi murkami i poręczami rosły egzotyczne rośliny. W alejkach między nimi stały ławki dla zwiedzających. Mleczne szyby filtrowały światło, jakby na niebie klebiły się jasne chmury. W powietrzu unosił się zapach mokrej ziemi i kwiatów. - No i co?

-spytała Jodie trochę rozbawiona, trochę zniecierpliwiona. Reacher znalazł ławkę, której szukał. Odsunął się od niej o kilka kroków w stronę niskiego muru. Zrobił krok w lewo, jeszcze jeden, aż wreszcie miał już pewność.

-Stan tutaj - poprosił.

Chwycił ją od tyłu za ramiona i ustawił dokładnie w tym miejscu, w którym stał przed chwilą. Pochylił się, żeby ich

-Stan na palcach i patrz prosto przed siebie. Jodie wyciągnęła się, jak najwyżej mogła. Włosy spadły jej luzno na ramiona.

-Dobrze. Teraz powiedz mi, co widzisz - rzekł Reacher. - Nic szczególnego. Różne rośliny. Pokiwał głową. Otworzył aktówkę i wyjął z niej zdjęcie wychudzonego białego mężczyzny, usiłującego uchylić się przed karabinem strażnika. Trzymał je przed nią w wyciągniętej ręce, aby mogła jednocześnie patrzeć na fotografię i rośliny.

-O co ci chodzi? - spytała rozbawiona i sfrustrowana.

-Porównaj. Trzymając nieruchomo głowę, Jodie spoglądała na przemian na zdjęcie i na wskazane miejsce. Nagle wyrwała mu fotografię. Patrzyła na nią, trzymając ją przed sobą na długość ramienia.

Jej oczy rozszerzyły się, nieco przybladła.

-Jezu, to zdjęcie zostało zrobione tutaj? Z tego miejsca? Te wszystkie rośliny wyglądają dokładnie tak jak na fotografii.

Reacher sprawdził jeszcze raz. Jodie trzymała zdjęcie tak, że układ roślin przed nimi dokładnie zgadzał się z fotografią. Kilka pięciometrowych palm po lewej. Kępa paproci po prawej. Jakieś krzewy w glebi. Wież i strażnik stałiby sześć metrów stąd na grzędzie. Zdjęcie wykonano przez teleobiektyw, żeby skrócić perspektywę i zmniejszyć głębie ostrości. Dzięki temu rośliny z przodu i z tyłu były nieco rozmyte. Łatwo można było je uznać za nieostry obraz z dżungli, ale w rzeczywistości rosły na sąsiedniej grzędzie.

-Cholera! - zakleła Jodie. - Cholera, nie mogę w to uwierzyć.

Oswietlenie rowniez sie zgadzalo. Mleczne szyby zapewnily dobra imitacje zachmurzonego nieba nad dzungla. W Wietnamie czesto jest pochmurno. Gory nie przepuszczaja chmur i w pamieci ludzi pozostaje mgla, tak jakby to parowala ziemia. Jodie wciaz porownywala zdjecie z otoczeniem, przesuwajac sie nieco w lewo i w prawo, zeby uzyskac najlepsza zgodnosc.

-A co z ogrodzeniem? Te bambusowe tyczki? Wydaja sie takie rzeczywiste.

-Odrobina sztafazu. Trzy tyczki, dziesiec metrow drutu kolczastego. Myslisz, ze to trudno dostac? Przyniesli je tutaj pewnie zwiniete w rulon.

-Ale kiedy? Jak?

-Moze wczesnie rano? - zasugerowal, wzruszajac ramionami. - Jeszcze przed otwarciem. Moze znaja kogos, kto tu pracuje. Moze zrobili to, gdy palmiarnia byla jeszcze zamknieta na czas renowacji. Jodie znowu spojrzala na fotografie.

-Chwileczke. Widac te lawke. Tu na zdjeciu widac rog tej lawki.

Jodie pokazala mu palcem niewielka, rozmazana biala plame. To byl rog zelaznej lawki po prawej stronie, za glownym planem. Teleobiektyw zwezil pole widzenia, ale za malo.

-Nie zauwazylem - przyznal Reacher. - Dobrze ci to idzie.

-Moze i dobrze, lecz jestem coraz bardziej wsciekla - odpowiedziala, zwracajac sie twarza do niego. - Ten lajdak wzial osiemnascie tysiecy dolarow za podrobione zdjecie.

-Jeszcze gorzej. Dal im falszywa nadzieje.

-Co robimy?

-Zlozimy Rutterowi wizyte.

Wrocili do taurusa szesnascie minut po tym, jak z niego wysiedli. Jodie prowadzila, bebniaac palcami w kierownice.

-Powiedziales mi jednak, ze w to wierzysz - mowila bardzo szybko. - Wspomnialam, ze zdjecie potwierdza, iz ten oboz istnieje, a ty sie z tym zgodziles. Powiedziales mi, ze byles tam niedawno i dotarles tak blisko jak Rutter.

-Wszystko sie zgadza. Mowilem prawde - odrzekl Reacher. - Wierzyłem, ze ogrod botaniczny istnieje. Wlasnie stamtad wrocilem. I bylem tak blisko jak Rutter. Stalem dokladnie obok tego murka, skad na pewno zrobil zdjecie.

-Jezu, Reacher, co to ma byc? Jakas gra?

-Wczoraj jeszcze nie wiedzialem, co to jest - odparl, wzruszajac ramionami. - To znaczy, nie wiedzialem, jak duzo informacji mam ci przekazywac. Jodie usmiechnela sie mimo zniecierpliwienia. Pamietala o roznicie miedzy poprzednim dniem i obecnym.

-Do diabla, dlaczego Rutter sadzil, ze mu sie to uda? Palmiarnia zamiast dzungli, na litosc boska? Reacher przeciagnal sie na fotelu, siegajac ramionami prawie do okna.

-To sprawa psychologii - stwierdzil. - Psychologia jest podstawa kazdego szwindlu.

Mowisz ludziom to, co chca slyszec. Ci starzy chcieli uslyszec, ze ich chlopak zyje. Wobec tego facet ich zapewnial, ze prawdopodobnie przezył. Zainwestowali w to duzo nadziei i pieniedzy, siedzieli jak na szpilkach przez trzy mies

iace, on daje im zdjecie, wiec jest praktycznie pewne, ze zobacza na nim to, co chca zobaczyc. Przy czym zrobil to bardzo sprytnie. Dowiedzial sie od nich, w jakiej jednostce sluzyl ich syn, poprosil o jego zdjecie, tak zeby mogl wybrac faceta w srednim wieku, odpowiedniego wzrostu i budowy ciala. Potem przekazal im informacje zawierajace

numer i nazwa jednostki. Psychologia. Widzieli to, co chcieli zobaczyc. Moglby sfotografowac faceta w masce goryla, a oni uwierzyliby, ze to zwierza zyjace w Wietnamie.

-Jak sie zorientowales?

-W ten sam sposob. Opierajac sie na psychologii, ale w odwrotnym kierunku. Nie chcialem w to uwierzyc, bo wiedzialem, ze to nie moze byc prawda. Wiec szukalem czegoś, co nie pasowalo do obrazka. Dla mnie takim szczegolem byl mundur faceta na zdjeciu. Zwrocilas na to uwage? Znoszony amerykanski mundur? Zestrzelili gościa trzydziestu lat temu. Jest absolutnie wykluczone, zeby w dzungli mundur przetrwal trzydziestu lat. Rozpadlby sie juz po szesciu tygodniach.

-A jak zgadles, ze sfalszowali to zdjecie w ogrodzie botanicznym? Reacher przycisnal rozlozone szeroko palce do okna, zeby rozluznic napiecie w ramionach.

-A gdzie indziej mogli znalezc taka scenerie? Moze na Hawajach. Po co jednak wydawac pieniadze na samolot dla czterech osob, skoro mogli to zrobic na miejscu.

-Skad wzieni tego Wietnamczyka?

-Pewnie student - odrzekl. - Moze nawet z Fordham. Moze z Columbii. Pewnie wcale nie byl Wietnamczykiem. Rownie dobrze mogl to byc kelner z chinskiej restauracji. Rutter pewnie dal mu dwadziescia dolarow za pozowanie do zdjecia. Prawdopodobnie sciagnal czterech lebkow, zeby na zmianie odgrywali amerykanskigo jenca. Niski bialy, wysoki bialy, niski czarny, wysoki czarny, i wszystkie mozliwosci sa uwzglednione. To jacys wlozedzy, sa odpowiednio chudzi i wynedzniali. Za butelke bourbona zrobili wszystko, czego chcial. Za jednym zamachem pstryknal wszystkie zdjecia i uzywal ich stosownie do potrzeb. Mogl sprzedac to samo zdjecie dziesiec razy. Kazdemu, kto stracil syna wysokiego i bialego. Wszystkich sklonil do zachowania sprawy w tajemnicy, opowiadajac im te bajki o spisku rzadowym.

-To ohydne.

-W pelni sie z toba zgadzam - przyznal Reacher. - Rodziny CNZ wciaz stanowia duzy, latwy do wykorzystania rynek. Zerowal na nich jak sepi.

-CNZ? - spytala Jodie.

-Ciala nie znaleziono - wyjasnil. - Tak sie ich nazywa. ZWW/CNZ. Zabity w walce, ciala nie znaleziono.

-Zabity? Nie wierzysz, ze w Wietnamie sa jeszcze jacys amerykanscy jency? Reacher pokrecil glowa.

-Nie ma zadnych jencow, Jodie. To wszystko bzdury.

-Jestes pewny?

-Calkowicie.

-Jak mozesz byc tego pewny?

-Po prostu wiem - odpowiedzial. - Tak jak wiem, ze niebo jest niebieskie, trawa zielona, a ty masz piekny tyłek. Jodie sie usmiechnela. Jechali do Ruttera.

-Pamiętaj, że jestem prawnikiem. Ten dowód nie jest dla mnie wystarczający.

-Liczą się fakty historyczne - stwierdził. - Przede wszystkim historia o przetrzymywaniu zakładników, żeby wymusić amerykańską pomoc, jest zupełnie lipa. Oni planowali przeprowadzenie ataku na południe wzdłuż szlaku Ho Shi Mina natychmiast po tym, jak my się wyniesiemy, co było

jawnym naruszeniem traktatu zawartego w Paryżu, zatem wiedzieli, że nie mogą liczyć na żadną pomoc. Wobec tego wypuścili wszystkich jenców w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim roku. Wiem, zajęło im to sporo czasu, ale puscili ich. Gdy skończyliśmy ewakuację w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym, złapali ze stu maruderów i od razu ich przekazali, co nie pasuje do planu przetrzymywania zakładników. Poza tym bardzo im zależało, żebyśmy rozminowali ich porty, dlatego nie wdawali się w żadne głupie gierki.

-Na pewno nie spieszyło się im z odsyłaniem zwłok - zauważyła Jodie. - Wiesz, ciała żołnierzy zabitych w walce lub ofiar wypadków lotniczych. Pozwalali sobie na różne głupie gierki.

-Zgoda - przyznał, kiwając głową. - Nie rozumieli, jakie to jest dla nas ważne. Chcieliśmy, żeby odesłali dwa

tysiące ciał. Nie mogli tego pojąć. Walczyli przez ponad czterdzieści lat, z Japonią, Francją, Ameryką i Chinami. Sami stracili pewnie z milion. Te dwa tysiące to z ich punktu widzenia kropla w morzu. No i byli komunistami. Nie przykładali większej wartości do życia jednostki. To znowu sprawa psychologii. Jednakże to nie oznacza, że trzymali jenców w tajnych obozach.

-Nie jest to bardzo przekonujący dowód - oschle stwierdziła Jodie. Reacher znowu pokiwał głową.

-Przekonującym dowodem jest sam Leon. Twój ojciec i podobni do niego. Znam tych ludzi. To dzielni, uczciwi żołnierze. Walczyli w Wietnamie, a później zrobili karierę, zdobyli władzę i ważne stanowiska. Wiem nie gorzej od innych, że w Pentagonie jest pełno gnojek, ale zawsze było dość takich jak Leon, żeby im patrzeć na ręce. Odpowiedz mi na jedno pytanie. Co zrobiłby Leon, gdyby wiedział, że w Wietnamie są nasi jency?

-Nie wiem. - Jodie wzruszyła ramionami. - Na pewno

coś by zrobił.

-Możesz się o to założyć. Leon rozwaliliby Biały Dom, cegła po cegle, aż wreszcie wszyscy nasi chłopcy wrociliby do domu. Nie zrobił tego. Lecz nie dlatego, że nie wiedział o jencach. Nie ma sposobu, żeby utrzymać taką rzecz w tajemnicy przed wszystkimi Leonami przez tyle lat. Wielka konspiracja trwająca przez sześć prezydenckich kadencji? Konspiracja, której nie wykryli tacy jak Leon? Wykluczone. Leonowie tego świata nigdy nie zareagowali, co oznacza, że takiej konspiracji nie było. Z mojego punktu widzenia jest to niepodważalny dowód.

-Nie, to deklaracja wiary.

-Możesz to nazwać jak chcesz. Mnie to wystarczy. Jodie obserwowała ruch przed nimi i rozważała argumenty Reachera. W końcu kiwnęła głową, bo wiara w ojca również jej wystarczyła.

-Czyli Victor Hobie nie żyje?

-Na pewno. Zabity w walce, ciała nie znaleziono. Jodie powoli posuwała się na południe. Droga była zapchana.

-No dobrze. Nie ma jenców, nie ma obozów. Nie ma rządowej konspiracji. Wobec tego to nie agenci rządowi próbowali nas zastrzelić i rozjechać samochodem. - Ani przez chwilę tak nie sądziłem - odrzekł. - Agenci rządowi, z którymi miałem do czynienia, z reguły działali znacznie sprawniej. Można powiedzieć, że sam byłem agentem. - Myślisz, że spaprałbym akcje dwa razy z rzędu?

Jodie skreśliła w prawo i zatrzymała się na poboczu. Spojrzała na niego szeroko otwartymi, niebieskimi oczami. - W

obec tego to musi byc sprawka Ruttera - powiedziala - Jesli nie jego, to czyja? Prowadzi jakis lukratywny szwindel, prawda? Jest gotowy go chronic. Przypuszcza, ze ujawnimy to. Wobec tego szukal nas i probowal sie pozbyc.

-Hej, zycie jest pelne niebezpieczenstw.

-- -

Marilyn zdala sobie sprawe, ze zasnela, bo gdy obudzily ja jakies odglosy za drzwiami, byla zziebnieta i zeszywniala. W lazience nie bylo okna, dlatego nie mogla sie zorientowac, ktora jest godzina. Pewnie rano, pomyslala, bo czula sie tak, jakby spala kilka godzin. Chester wpatrywal sie pustym wzrokiem w jakis punkt za rurami pod umywalka. Byl zupełnie niekomunikatywny. Sheryl skulila sie na podlodze. Ciezko oddychala przez usta. Miala czarny, spuchniety nos. Marilyn przygladala sie jej przez chwile. Z trudem przelknela sline. Wreszcie odwrocila sie i jeszcze raz przylozyla ucho do drzwi. Nasluchiwala uwaznie. W gabinecie byli dwaj mezczyzni. Slyszała dwa niskie glosy. Rozmawiali cicho. Z zewnatrz dochodzily rowniez szmery windy, slabe odglosy ulicznego ruchu. Ryk samolotowych silnikow, gdy wielki odrzutowiec startowal z lotniska Kennedy'ego, kierujac sie na zachod.

Marilyn wstala z podlogi.

W nocy zrzucila buty. Znalazla je pod recznikami. Wlozyla pantofle i cicho podeszla do umywalki Chester patrzyl tak, jakby jej nie widzial. Przejrzala sie w lustrze. Nie tak zle, pomyslala. Ostami raz spedzila noc na podlodze w lazience po przyjeciu w akademiku dwadziescia lat temu. Teraz wygladala nie gorzej niz wowczas. Przeczesała palcami wlosy i przemyśla powieki, po czym pod kradła sie do drzwi i znowu zaczela nasluchiwać.

Dwaj mezczyzni, ale to nie byli Tony i Hobie. Rozmawiali jak rowny z rownym. To byla zwykla konwersacja, zaden z nich nie wydawal rozkazow. Marilyn odsunela noga reczniki, wziewla gleboki oddech i otworzyla drzwi.

Tamci przerwali rozmowe i spojrzeli na nia. Tony siedzial na sofie przed biurkiem, bokiem do niej. Drugi, ktorego wczesniej nie widziala, usiadl obok niego na stoliku do kawy. Mial na sobie ciemny garnitur, wydawal sie niewysoki, ale mocno zbudowany. Za biurkiem nie bylo nikogo. Nigdzie nie widziala Hiebiego. Zaluzje byly dokladnie zaciagniete, ale mogla dostrzec,

ze na zewnatrz swieci slonce. Widocznie bylo juz pozniej, niz myslala. Spojrzala na Tony'ego.

-Dobrze spalas? - spytal z usmiechem.

Marilyn nie odpowiedziala. Zachowala obojetna mine, az wreszcie Tony przestal sie usmiechac. Jeden zero, pomyslala.

-Omowilam sytuacje z moim mezem - sklamala. Tony patrzyl na nia niecierpliwie, wyczekujac dalszego ciagu. Marilyn kazala mu czekac. Dwa zero.

-Zgadza sie na przekazanie akcji - powiedziala w koncu. - To jednak dosc skomplikowana operacja, ktora wymaga czasu. Sa pewne czynniki, ktorych najwyrazniej nie wzieliscie pod uwage. Zrobimy to, ale oczekujemy z waszej strony pewnej minimalnej wspolpracy.

-Na przyklad? - dociekal Tony.

-O tym porozmawiam z Hobiem - odrzekla. - Nie z toba.

W gabinecie zapadla cisza. Slychac bylo tylko cichy szmer dochodzacy z zewnatrz. Marilyn skoncentrowala sie na oddychaniu. Wdech i wydech. Wdech i wydech.

-Okay - zgodzil sie Tony.

Trzy zero, pomyslala Marilyn-

-Teraz prosze kawe - zazadala. - Trzy kubki z cukrem i smietanka.

Znowu zrobilo sie cicho. Po chwili Tony kiwnal glowa i ten mocno zbudowany mezczyzna

wstal ze stolika. Wyszedl z gabinetu do kuchni. Cztery zero, uznala Marilyn.

-- -

Pod adresem zwrotnym podanym na liscie Ruttera znajdowal sie obskurny sklep polozony poza obszarem miasta, gdzie jeszcze mozna bylo miec nadzieje na przywrocenie ladu. Sklep miescil sie w drewnianym budynku wcisnietym miedzy dwie trzypietrowe kamienice, gdzie kiedyś pewnie byly jakies warsztaty lub magazyny, ale juz dawno zostaly porzucone. Na lewo od wejścia do sklepu Ruttera znajdowalo sie brudne okno wystawowe, a na prawo garaz z podniesiona brama. W srodku stal nowiutki lincoln navigator. Reacher poznal model, bo widzial go na reklamach. To byl wielki ford z napędem na cztery kola, z roznymi luksusowymi

dodatkami pozwalajacymi go zaliczyc do lincolnów. Przez brame widac bylo blysk metalicznego czarnego lakieru. Samochod byl prawdopodobnie wiecej wart niz caly budynek, w ktorym stal.

Jodie przejechala przed budynkiem ani szybko, ani wolno, lecz tak, jak mogl jechac kazdy po dziurawej ulicy. Reacher wykrecil glowe, zeby przyrzec sie sklepowi. Jodie skrecila w lewo, by objechac kwartal. Reacher zauwazyl wazka uliczke ciagnaca sie za budynkami z zardzewialymi schodami ewakuacyjnymi wiszacymi nad stertami smieci.

-Jak chcesz to zrobic? - pytala.

-Po prostu wejdziemy do srodka - odpowiedzial. - Najpierw musimy obserwowac jego reakcje. Jesli nas zna, zastosujemy okreslony wariant. Jesli nie, inny.

Jodie zaparkowala dwa domy dalej przed sklepem w cieniu poczernialego magazynu z cegiel. Zamknela samochod.

Z chodnika mogli dostrzec towary rozłożone za brudną szybą wystawową. Różne artykuły z nadwyżek wojskowych, stare mundury polowe, manierki i buty, radiostacje polowe, żelazne racje

żywności i helmy piechoty. Część z tych rzeczy była już przestarzała, zanim Raechar skończył West Point.

Z trudem otworzyli drzwi. Rozległ się brzęk dzwonka. Drzwi były połączone prymitywnym mechanizmem ze zwykłym dzwonkiem. W środku nie było nikogo. Na prawo od drzwi znajdowała się lada, a za nią wejście do garażu. Na okragłym chromowanym wieszaku wisiały różne ubrania, a na jednej półce leżały rozmaite przypadkowo zebrane przedmioty. W głębi sklepu widac było tylne drzwi, zamknięte i wyposażone w alarm. Obok nich stało pięć winyliwych krzeseł, na podłodze poniewierały się butelki po piwie, leżały liczne niedopalki. W pomieszczeniu panował półmrok, ale mimo to łatwo dostrzegli kurz nagromadzony przez lata.

Reacher szedł przed Jodie. Deski podłogi skrzypiały pod jego ciężarem. Po dwóch krokach dostrzegł za ladą wejście do piwnicy, z solidną klapą z grubych sosnowych desek i z mosiężnymi zawiasami. Mosiężne raczki były wypolerowane przez niezliczone dłonie, które podnosiły i opuszczały klapy. Przez uniesioną klapy zobaczył wąską drabinę zrobioną z takich samych starych desek. Na dole świeciła się żarówka. Słychać było szmer butów na betonowej podłodze.

-Do diabła, zaraz przyjdzie! - usłyszeli krzyk z dołu. To był głos mężczyzny w średnim wieku. Ton zdradzał zaskoczenie i irytację. Z pewnością właściciel sklepu nie spodziewał się żadnych klientów. Jodie spojrzała na Reachera, który zacisnął palce na kolbie stejra. Nad podłogą pojawiła się głowa, potem ramiona i tors. Otyły właściciel z trudem wspinał się po drabinie. Był ubrany w stary oliwkowy mundur, miał tłuste szare włosy, potargana szara broda, miesiasta twarz i małe oczka. Wyszedł na czworakach i wstał.

-Cos pomoc?

Za nim pojawiła się głowa kolejnego faceta. Wyszedł z piwnicy. I następny. Następny. Następny. Czterech. Po kolei prostowali się, przyglądali się Reacherowi i Jodie, po czym szli w głąb sklepu. Wysocy, napakowani, wytatuowani, w takich samych starych mundurach. Usiedli na krzesłach, krzycząc potężne ramiona na sterczących brzuchach.

-Cos pomoc? - powtórzył ten pierwszy.

-Pan Rutter? - spytał Reacher.

Tamten przytaknął. Wyraz jego oczu świadczył, że ich nie rozpoznał. Reacher zerknął na czterech facetów na krzesłach. To była nieprzewidziana komplikacja.

-Czego pan chce? - spytał Rutter.

Reacher zmienił plan. Spróbował odgadnąć, jakie transakcje naprawdę są zawierane w tym lokalu i co kryje się w piwnicy.

-Potrzebuje tłumika - powiedział. - Do stejra GB. Rutter się uśmiechnął. Sądząc po

ruchu szczęki i iskierkach

w oczach, był naprawdę rozbawiony.

-Mnie prawo zakazuje sprzedawać tłumiki, a panu je mieć - rzekł.

Powiedział to w taki sposób, że nikt nie mógł mieć wątpliwości, iż w rzeczywistości sprzedawał już wiele tłumików. W jego głosie była protekcyjna nutka: Mam coś, czego ty chcesz, a zatem jestem od ciebie lepszy. Natomiast najwyraźniej nie myślał o ostrożności. W najmniejszym stopniu nie podejrzywał,

ze Reacher jest policjantem, który usiłuje go sprowokować. Nikt jeszcze nie wziął Reachera za policjanta. Był zbyt duży i grubo ciosany. Nie miał bladej cery człowieka przesiadującego w komisariacie, która ludzie nieswiadomie kojarzą z policjantami. Rutter nie przejmował się Reacherem, natomiast przyglądał się podejrzliwie Jodie. Nie wiedział, kim może być. Jodie spokojnie wytrzymała jego spojrzenie.

-Jakie prawo? - rzuciła pogardliwie. Rutter podrapał się po brodzie.

-Z tego powodu są drogie - oznajmił.

-Drogie? W porównaniu z czym? - spytała Jodie. Reacher uśmiechnął się do siebie. Rutter najwyraźniej nie

potrafił jej zaklasyfikować, a tymi dwoma pytaniami całkowicie zbiła go z tropu. Mogła być zarówno dama z wyższych sfer Manhattanu, która bała się, że ktoś chce porwać jej dzieci, jak i żona miliardera pragnąca szybko odziedziczyć fortunę. Może chciała rozwiązać problem skomplikowanego trójkąta małzńskiego. Patrzyła na niego jak kobieta nienawykła do tolerowania żadnego sprzeciwu, a już na pewno nie ze strony prawa lub jakiegoś handlarza z Bronksu.

-Steyr GB? - spytał Rutter. - Chce pan oryginalny austriacki tłumik? Reacher kiwnął głową, tak jakby to on był tu czlowikiem od banalnych szczegółów. Rutter pstryknął palcami. Jeden z osilków wstał z krzesła, zszedł do piwnicy i po chwili wrócił z czarnym cylindrem zawiniętym w papier. Przetłuszczony papier był niemal przezroczysty.

-Dwa tysiące dolarów - powiedział Rutter.

Cena była nieomal uczciwa. Ten model pistoletu nie był już produkowany, ale według Reachera pewnie kosztował jakieś osiemset lub dziewięćset dolarów. Cena hurtowa tłumika wynosiła pewnie ze dwieście dolarów. Dwa tysiące za a nielegalnie sprowadzony tłumik dziesięć lat po zakończeniu produkcji, siedem tysięcy kilometrów od fabryki, może na było uznać za rozsądną propozycję.

-Niech pan pokaze - poprosił.

Rutter wytarł rurkę w spodnie i podał ją Reacherowi, który wyciągnął pistolet z kieszeni. Założył tłumik. Nikt nie robi tego tak jak na filmach. Nie podnosi się pistoletu na wysokość twarzy, żeby powoli, z namysłem i czułością wkręcić urządzenie. Wystarczy lekko przycisnąć i obrócić tłumik o poł

obrotu, a wchodzi na miejsce jak obiektyw aparatu. Tłumik poprawił wyważenie pistoletu. W dziewięćdziesięciu

dziesięciu przypadkach na sto strzał z broni ręcznej jest skierowany za wysoko, bo na skutek odrzutu unosi się lufa. Ciężar tłumika zmniejsza prawdopodobieństwo tego efektu. Poza tym tłumik wyhamowuje tempo rozchodzenia się gazów, co osłabia siłę odrzutu.

-Dobrze działa? - spytał Reacher.

-No pewnie - odrzekł Rutter. - Przecież to oryginal. Facet, który przyniósł tłumik, znowu usiadł na krześle.

Czterech facetów, pięć krzeseł. W celu pokonania gangu należy najpierw wyeliminować przywódcę. To uniwersalna zasada. Reacher poznał ją, gdy miał cztery lata. Należy odgadnąć, kto jest przywódcą i zdecydowanie go zaatakować. Ta sytuacja

była jednak odmienna. Przywódca był Rutter, ale tymczasem musiał pozostać w jednym kawałku, ponieważ Reacher miał względem niego pewne plany. - Dwa tysiące dolarów - powtórzył Rutter. - Najpierw test polowy.

Steyr GB nie ma bezpiecznika. Pierwszy wystrzał wymaga naciśnięcia spustu z siłą siedmiu kilogramów, co producent uważa za wystarczające zabezpieczenie przed przypadkowym strzałem, jeśli na przykład pistolet upadnie. W celu wywarcia siły siedmiu kilogramów trzeba nieco się wysilić. Dlatego nie ma bezpiecznika. Reacher obrócił rekę w

lewo i nacisnął spust z siłą siedmiu kilogramów. Puste krzesło rozpadło się na kawałki. Huk był dość głośny. Wcale nie przypominał kaszlnięcia jak na filmach. Żadne delikatne puknięcie. Strzał zabrzmiał tak, jakby ktoś wziął książkę telefoniczną z Manhattanu, unosił ją nad głowę i z całej siły uderzył o biurko. To nie był cichy dźwięk, ale i tak cichszy niż bez tłumika. Czterej faceci na krzesłach siedzieli jak sparaliżowani. W powietrzu jeszcze unosiły się strzępy winylu i drewna. Rutter gapił się na niego, stojąc bez ruchu. Reacher uderzył go mocno w brzuch, podbił nogi i zwałił na podłogę. Wycelowal w osłona siedzącego obok rozwalonego krzesła.

-Do piwnicy! - polecił. - Wszyscy. I to już, okay?

Żaden się nie ruszył. Reacher policzył głośno jeden, dwa, trzy, po czym wystrzelił. Spod nog pierwszego z brzośu posypały się drzazgi. Jeden, dwa, strzał. Jeden, dwa, ognia. W powietrzu kreciły się drzazgi i kurz z podłogi. Huk kolejnych strzałów był ogluszający. Czuć było smród spalonego prochu i rozgrzanej wełny stalowej w tłumiku. Po trzecim strzale wszyscy czterej zgodnie wstali z krzesel. Przepychając się, zeszli do piwnicy, potykając się na szczeblach drabiny. Reacher opuścił klapy i przycisnął ją ładą. Rutter unosił się na czworakach. Reacher przewrócił go kopniakiem na plecy, a potem kopnął go jeszcze kilka razy. Rutter cofał się, aż wreszcie oparł się głową o przesuniętą ładę.

Jodie kucnęła i pokazała mu podrobioną fotografię. Rutter zamrugał i skupił wzrok na zdjęciu. Poruszył ustami zasłoniętymi potarganą brodą. Reacher też ukląkł i chwycił go za lewy nadgarstek, i ścisnął za mały palec.

-Mam kilka pytań - oświadczył. - Za każde kłamstwo złamię ci jeden palec.

Rutter zaczął się szarpać. Ze wszystkich sił próbował się uwolnić. Reacher zadał mu mocne uderzenie w brzuch. Rutter zrezygnował z oporu.

-Wiesz, kim jesteśmy?

-Nie - wysapał.

-Gdzie zostało zrobione to zdjęcie?

-To tajny oboz. W Wietnamie.

Reacher złamał mu mały palec. Po prostu nacisnął w bok i wylał ze stawu. Tak jest znacznie łatwiej, niż szarpać do gory. Rutter jęknął z bólu. Reacher chwycił go za palec serdeczny. Rutter nosił na nim złoty sygnet.

-Gdzie?

-W zoo na Bronksie.

-Kim jest ten chłopak?

-Jakiś dzieciak.

-A ten mężczyzna?

-Znajomy - sapnął Rutter.

-Ile razy to robiłeś?

-Pewnie z piętnaście razy. Reacher nacisnął palec z pierścieniem.

-To prawda! - krzyknął Rutter. - Przysięgam, najwyżej piętnaście razy. I niczego ci nie zrobiłem. Nawet cie nie zna

m.

-Znasz państwa Hobie? - spytał Reacher. - Z Brighton? Reacher widział, że oszłamiony Rutter przegląda w myślac
h

listę ofiar. Przypomnił sobie. Niewątpliwie zaczął się zastanawiać, jakim cudem ci żalosni starzy naiwniacy mogli
ściągnąć na niego takie nieszczęście.

-Jesteś ohydny skurwysynem, zgadza się? Rutter w panice rozglądał się na boki.

-Powtórz to! - wrzasnął Reacher.

-Jestem skurwysynem - wyjeczał Rutter.

-Gdzie jest twój bank?

-Bank? - tępo powtórzył Rutter.

-Tak, bank. Rutter się zawahał. Reacher scisnął palec.

-Dziesięć przecznic stąd - zakrzeczał Rutter.

-Akt własności samochodu?

-W szufladzie.

Reacher dał znak Jodie. Wstała i przeszła za ladę. Wyciągała kolejne szuflady, aż wreszcie znalazła plik dokumento
w. Szybko je przejrzała.

-Zarejestrowany na niego. Kosztował czterdzieści tysięcy. Reacher puścił palec Ruttera i chwycił go za kark. Kante
m dłoni prawie zgniotł mu gardło.

-Kupuję twój samochód za dolara - powiedział. - Jeśli coś ci się nie podoba, pokręć głową, dobrze? Rutter nawet się
nie poruszył. Oczywiście wychodziły mu z orbit. Dusił się.

-Teraz pojedziemy do banku. Moim nowym samochodem. Wyciągniesz z konta osiemnaście tysięcy, a ja je oddam
państwu Hobie.

-Nie - zaprotestowała Jodie. - Dziewiętnaście tysięcy sześćset pięćdziesiąt. Pieniądze były złożone w funduszu powi
erniczym. Przyjmijmy za stopę zysku sześć procent. Za półtora roku.

-Okay - zgodził się Reacher. Zwiększył nacisk. - Dziewiętnaście tysięcy sześćset pięćdziesiąt dla państwa Hobie, dzi
ewiętnaście tysięcy sześćset pięćdziesiąt dla nas. Rutter wpatrywał się w niego błagalnym wzrokiem. Niczego nie ro
zumiał.

-Oszukałeś ich - wyjaśnił mu Reacher. - Obiecałeś, że dowiesz się, co stało się z ich synem. Nie zrobiłeś tego. Teraz
my musimy to zrobić. Potrzebujemy pieniędzy na wydatki. Rutter zsiniał. Zaciśnął palce na rękach Reachera, na pr
ożno usiłując się uwolnić.

-Zgoda? - spytał Reacher. - Tak to załatwimy. Jeśli masz jakies zastrzeżenia, pokręć głową. Rutter wciąż szarpał ję
go rece, ale nie próbował poruszyć głowy.

-Możesz to uważać za podatek - powiedział Reacher. - Podatek na skurwysynów, którzy oszukują.

Puscil go i wstal. Kwadrans później byli już w banku. Rutter trzymał lewą rękę w kieszeni, a prawą podpisał czek. Po pięciu minutach Reacher wrzucił do torby trzydzieści dziewięć tysięcy trzydzieści dolarów. Po kolejnym kwadransie wysadził Ruttera z samochodu za sklepem, z dwoma dolarami wepchniętymi do ust - za tłumik i za samochód. Po następnych pięciu minutach jechał już za taurusem, który prowadziła Jodie, do agencji Hertz na lotnisku LaGuardia. Kwadrans później jechali razem lincolnem na Manhattan.

11

Wieczór w Hanoi zaczyna się pełne dwanaście godzin wcześniej niż w Nowym Jorku, dlatego, choć słońce było jeszcze wysoko, gdy Reacher i Jodie wracali z Bronksu, schowało się już za górami w północnym Laosie, trzysta kilometrów na zachód od lotniska Noi Bai. Niebo przybrało pomarańczowy kolor, a długie popołudniowe cienie znikły. Zapaść tropikalny zmierzch. Smród lotniczej benzyny tłumiał zapachy miasta i dżungli, a ryk silników odrzutowych stojących na płycie samolotów zagłuszał klaksony samochodów i cykanie nocnych owadów. Półtora kilometra od zatłoczonego terminalu pasażerskiego, obok nieoznaczonego hangaru stał ogromny transportowiec C-141 Starlifter należący do amerykańskich sił powietrznych. Tylne pochylnie były opuszczone, a silniki działały z dostateczną mocą, żeby oświetlić wnętrze ładowni. W hangarze palily się lampy. Pod dachem z blachy falistej wisiały setki

zarówek, dzięki którym żółte światło wypełniało rozległe wnętrze. Hangar wielkości stadionu był prawie pusty. W jednym miejscu stało siedem skrzyni o długości dwóch metrów, zrobionych z wypolerowanego aluminium. Skrzynie przypominały kształtem trumny, i tak rzeczywiście było. Stały w równym szeregu, na koziołkach, nakryte amerykańskimi flagami. Flagi były świeżo uprane i uprasowane, a środkowy pasek każdej pokrywał się dokładnie ze środkiem trumny.

Obok siedmiu trumien stało dziewięciu mężczyzn i dwie kobiety. Szesciu przybyło tu w charakterze eskorty honorowej. To byli zwykli żołnierze, ogoleni i ubrani w galowe mundury. Stali na baczność, trzymając się w pewnej odległości od pozostałej piątki, wśród której było troje Wietnamczyków - dwaj mężczyźni i kobieta - niskich, ciemnowłosych, z kamiennymi twarzami. Oni również nosili mundury, ale codzienne, a nie galowe. Ciemne oliwkowe spodnie i kurtki, pomarszczone i znoszone, z oznakami stopni wojskowych. Pozostali dwójce to byli Amerykanie w cywilnych ubraniach, które jednak zdradzały ich wojskowy status równie wyraźnie jak mundur. Młoda kobieta miała na sobie płocienna spodnicę do kolan, bluzkę khaki z długimi rękawami i mocne, brązowe buty. Wysoki, siwy mężczyzna, mający jakieś pięćdziesiąt pięć lat, nosił tropikalne ubranie khaki, na które nałożył lekki płaszcz przeciwdeszczowy. W rękę trzymał starą skorzaną teczkę, a na płycie obok niego stała również stara torba podróżna.

Siwowłosy mężczyzna niemal niezauważalnie skinął głową, dając znak eskortie honorowej. Dowódca eskorty wydał komendę. Żołnierze ustawili się w dwa szeregi. Powoli pomaszzerowali naprzód, zrobili zwrot w prawo i staneli po obu stronach pierwszej trumny. Jednym płynnym ruchem podnieśli ją na ramiona. Dowódca rzucił komendę. Ruszył i powoli do bramy hangaru, trzymając trumnę idealnie równo. Słychać było tylko skrzypienie butów na betonie i wyście silników samolotu. Po wyjściu na płytę zrobili szeroki łuk, omijając strugi gorących gazów z silników samolotu, po czym podeszli do rampy z tyłu. Uważnie wnieśli trumnę do ładowni, korzystając z metalowych zeber przymocowanych do rampy, które chroniły przed poślizgnięciem. Przy wejściu czekała na nich pilotka, kapitan sił powietrznych, ubrana w tropikalny kombinezon lotniczy. Cała załoga stała na baczność obok niej - drugi pilot, mechanik, nawigator i radiooperator. Naprzeciwko ustawiła się drużyna żołnierzy z obsługi naziemnej. Załoga i żołnierze tworzyli dwa milczące szeregi. Eskorta honorowa przeszła powoli między nimi, aż do przedniej części ładowni. Ugięli kolana i postawili trumnę na polce przymocowanej do kadłuba. Dowódca drużyny naziemnej zabezpieczył trumnę gumowymi pasami. Cofnął się. Wszyscy zaszalutowali w milczeniu.

Zaladowanie siedmiu trumien trwało godzinę. Ludzie w hangarze czekali na zakończenie operacji. Gdy żołnierze wnosili siódma trumnę, pozostali wyszli za nimi na płytę, dostosowując krok do tempa eskorty honorowej. Czekali na dole przy rampie. Było gorąco i wilgotno. Eskorta spełniła swój obowiązek i opuściła samolot. Wysoki siwowłosy Amerykanin pożegnał ich, salutując, uściśnął ręce Wietnamczyków i skinął głową w stronę Amerykanki. Nikt nie powiedział ani słowa. Zarzucił na ramię torbę z ubraniami i szybko wszedł po rampie do samolotu. Zawarczał silnik, rampa się uniosła i zakryła wejście do ładowni. Silniki samolotu zawyły głośniejsze i ogromna maszyna zaczęła kołować po płycie. Transportowiec wykonał obszerny skręt w lewo i znikł za hangarem. Ryk nieco przycichł. Chwilę później silniki znowu zawyły. Samolot pedził coraz szybciej po pasie startowym, aż wreszcie oderwał się od ziemi. Wzno

sil sie, jednocześnie skrecajac w prawo z pochylonym na bok skrzydlem. Chwile pozniej widac bylo

juz tylko swiatla pozycyjne na koncach skrzydel i ogonie oraz ciemna smuga dymu ukkladajaca sie wzdluz zakrzywionej trajektorii lotu.

Na lotnisku zapadla cisza. Zolnierze eskorty honorowej odmaszerowali. Amerykanka wymienila uscisk dloni z Wietnamczykami i poszla do samochodu. Trzej wietnamscy ofice-

rowie udali sie do swojego wozu. Byl to japonski sedan przemalowany na ciemnozielono. Kobieta usiadla za kierownica, dwaj mezczyzni z tylu. Do centrum Hanoi nie bylo daleko. Kobieta zaparkowala za niskim, betonowym budynkiem pomalowanym na piaskowy kolor. Mezczyzni wysiedli bez slowa i weszli do srodka drzwiami bez zadnego na pisu. Kobieta zamknela samochod i obeszla budynek, kierujac sie do innego wejscia. Weszla po schodach do swojego pokoju. Na biurku lezal duzy kolonotatnik. Starannym pismem odnotowala nadanie ladunku i zamknela kolonotatnik, po czym zanosla go do szafy przy drzwiach, a nastepnie wyjrzala na korytarz. Wrocila

do biurka, podniosla sluchawke i wybrala numer do Nowego Jorku, dwadziescia tysiecy kilometrow od Hanoi. - - -

Marilyn obudzila Sheryl i doprowadzila Chestera do stanu jako takiej swiadomosci, nim mocno zbudowany mezczyzna przyniosl kawe. Niosl dwa kubki w prawej rece, jeden w lewej. Nie wiedzial, gdzie je postawic. Przez chwile rozgladal sie, po czym podszedl do umywalki i postawil je na waskiej granitowej polce na przybory toaletowe. Odwrocil sie i wyszedl bez slowa. Zamknal za soba drzwi zdecydowanie, ale unikajac trzasniecia. Marilyn podala kubki, biorac naraz tylko jeden, poniewaz drzala i bala sie, ze rozleje kawe, jesli sprobuje podniesc dwa rownoczesnie. Kucnela i najpierw podala kawe Sheryl. Pomogla jej wypic pierwszy lyk. Potem podala kubek Chesterowi. Wzial od niej kawe i spojrzal na kubek, tak jakby nie wiedzial, co to takiego. Marilyn siegnela po trzecia kawe, oparla sie o umywalke i wypila kilka lykow. Byla spragniona. Cukier i smietanka dodaly jej energii.

-Gdzie sa akcje? - spytala szeptem. Chester spojrzal na nia z apatia.

-W banku, w mojej skrytce - odpowiedzial. Marilyn kiwnela glowa. Nagle uswiadomila sobie, ze nie wie, w jakim banku Chester ma rachunek i gdzie jest ten bank.

-Ile ich jest?

-Pierwotnie bylo tysiac - odparl, wzruszajac ramionami. - Wykorzystalem trzysta jako zabezpieczenie kredytu. Musialem tymczasowo przekazac je kredytdawcy.

-A jak wpadly w rece Hobiego?

-Wykupil moj dlug. Przesla mu kurierem papiery pewnie jeszcze dzis. Do niczego nie sa im juz potrzebne. Zobowiazalem sie przekazac mu jeszcze dziewiecdziesiat. Sa w skrytce. Mialem mu je przeslac.

-Jak wyglada przekazanie akcji? Chester wzruszyl ramionami ze znuzeniem.

-Musze podpisac odpowiednia umowe. On bierze umowe, dokumenty i rejestruje transakcje na gieldzie. Gdy bedzie mial piecset jeden zarejestrowanych akcji, stanie sie wiekszosciowym udzialowcem.

-Gdzie jest twój bank? Chester wypil pierwszy lyk kawy.

-Trzy przecznice stad. Piechota mozna tam dojsc w piec minut. Jeszcze piec minut do gieldy. Niech bedzie dziesiec minut od poczatku do konca operacji. Po tym czasie bedziemy bezdomnymi na ulicy, bez grosza w kieszeni.

Postawil kubek na podlodze i znowu wbil martwy wzrok w sciane. Sheryl siedziala nieruchomo. Nie wypila kawy. Jej skora byla wilgotna od potu. Moze miala wstrzasnienie mozgu czy cos innego. Moze to jeszcze szok. Marilyn nie wiedziala. Nie miala doswiadczenia w takich sprawach. Nos Sheryl wygladal okropnie. Czarny i spuchniety. Pod oc

zami miała since, wargi wyschnięte i popekane, bo cała noc oddychała przez usta.

-Spróbuj wypić jeszcze trochę kawy - powiedziała Ma-

rylyn. - Na pewno dobrze ci zrobi.

Kucnęła obok niej i pomogła jej unieść rękę do ust. Pochyliła kubek. Sheryl wypila łyk. Trochę goracej kawy spłynęło jej po brodzie. Jeszcze jeden łyk. Spojrzała na Marilyn. Patrzyła tak,

jakby chciała coś powiedzieć. Marilyn nie wiedziała, o co chodzi, ale uśmiechnęła się do niej,

żeby dodać jej otuchy. - Jakos wyprawimy cię do szpitala - obiecała.

Sheryl zamknęła oczy i kiwnęła głową, jakby słowa Marilyn nagle sprawiły jej ulgę. Marilyn

ukleknęła obok niej, chwyciła ją za rękę. Wpatrywała się w drzwi, myślała, jak spełni te

obietnice.

--

-Zamierzasz zatrzymać ten samochód? - spytała Jodie. Miała na myśli lincolna. Reacher pomyślał o tym, gdy stali w korku przed Triborough.

-Być może - odpowiedział.

Samochód był prawie nowy. Bardzo cichy i przyjemny w prowadzeniu. Czarny metaliczny lakier, skórzana tapicerka,

szesćset kilometrów na liczniku. Wciąż pachniał świeżą skórą i plastikiem. Wielkie fotele, takie same jak fotel kierowcy, liczne konsole z uchwytami do kubków, schowki.

-Wydaje mi się wulgarny - stwierdziła Jodie.

-W porównaniu z czym? - uśmiechnął się Reacher. - Tym pudełkiem, którym jechaliśmy?

-Na pewno był znacznie mniejszy od tego.

-Ty jesteś znacznie mniejsza ode mnie. Jodie przez chwilę milczała.

-Należał do Ruttera - powiedziała. - Jest splamiony. Samochody ruszyły, ale po chwili

zatrzymały się znowu

nad rzeką Harlem. Daleko po lewej widac było przez mgłę budynki środkowego Manhattanu.

-To tylko przedmiot - rzekł. - Przedmioty nie mają pamięci.

-Nienawidzę go - oznajmiła. - Myślałam, że jeszcze nikogo tak nienawidziłam. Reacher kiwnął głową.

-Rozumiem cię. Przez cały czas, gdy tam byliśmy, myślałem o rodzicach Hobiego, tam w Brighton, siedzących samotnie w swoim niewielkim domu. Pamiętam wyraz ich oczu. Cholernie ciężko przeżyli wyjazd syna na wojnę, a po niej zostali okłamani i oszukani. Nie można tego wybaczyć. Gdyby nieco zmienić chronologię, mogliby to być moi rodzice. A on zrobił to piętnaście razy. Powinienem być mocniej go sprac.

-Byle tylko nie zrobil tego jeszcze raz.

-Lista potencjalnych ofiar szybko sie kurczy - odrzekl Reacher, krecac glowa. - Nie ma juz wielu rodzin CNZ, ktore mozna byloby nabrac. Zjechali z mostu i pojechali na poludnie Druga Aleja. Nie bylo korkow.

-To nie jego ludzie probowali nas zalatwic - zauwazyla spokojnie Jodie. - Nie wiedzial, kim jestesmy.

-Zgadza sie - przyznal Reacher. - Ile podrobionych fotografii musialby sprzedac, zeby oplacalo mu sie rozbic suburbana? Musimy to przeanalizowac od poczatku, Jodie. Dwaj ludzie zostali wyslani do Keys i do Garrison, zgoda?

To wymaga dwoch pensji, wydatkow na bron i bilety lotnicze. Jezdza terenowka tahoe. Potem pojawia sie trzeci czlowiek w suburbanie, i moze sobie pozwolic, zeby po prostu zostawic rozbity woz na ulicy. To kosztuje kupe szmalu, a prawdopodobnie stanowi tylko wierzcholek gory lodowej. Oznacza, ze w tej grze chodzi o miliony dolarow. Rutter nigdy nie zarabial tyle pieniedzy, kantujac emerytow na osiemnascie tysiecy dolarow. - Do diabla, o co zatem chodzi? Reacher wzruszyl ramionami. Przez caly czas patrzyl w lusterko wsteczne.

--

Hobie odebral telefon z Hanoi w domu. Wysluchal krotkiego raportu wietnamskiej kobiety i odlozyl sluchawke, nie mowiac ani slowa. Stal posrodku salonu z glowa pochylona na bok, mruzac zdrowe oko, tak jakby obserwowal jakies fizyczne zdarzenia. Na przyklad pilke baseballowa szybujaca w gore w swietle reflektorow oraz gracza cofajacego sie, zeby ja zlapac. Plot jest juz coraz blizej, gracz podnosi rekawice, pilka

wciaz leci plot sie zbliza, gracz skacze. Czy pilaka przeleci

przez plot? Czy nie? Hobie nie potrafil przewidziec.

Wyszedl z salonu na taras. Stad, z wysokosci trzydziestego pietra, mogl podziwiac widok parku. Nie cierpial go, poniewaz drzewa przypominaly mu dzieciinstwo. To jednak zwiekszalo wartosc nieruchomosci, a liczily sie tylko pieniadze. Hobie nie odpowiadal za to, jak gusty innych ksztaltuja rynek. Po prostu musial to wykorzystac. Odwrocil sie i spojrzal w lewo. Teraz widzial biurowiec stojacy daleko w centrum. Wieze WTC wydawaly sie nizsze, niz powinny, z powodu zakrzywienia powierzchni Ziemi. Hobie wrocil do salonu. Zamknal drzwi na taras. Wyszedl z mieszkania i zjechal winda na podziemny parking.

Jezdzil normalnym samochodem, bez zadnych modyfikacji, ktore moglyby mu pomoc. To byl nowy model cadillaca, sedan ze stacyjka i dzwignia automatycznej skrzyni biegow po prawej stronie kierownicy. Hobie mial klopoty z zapalaniem, poniewaz musial przelozyc lewa reke przez kierownice, wlozyc kluczyk

do stacyjki i obrocic. Na tym konczyly sie jego problemy. Naciskajac hakiem, przerzucil dzwignie biegow i wyjechal z parkingu, prowadzac jedna reka.

Gdy znalazł się na południe od Piecdziesiątej Dziewiątej Ulicy, od razu poczuł się lepiej. Park znikł, a on jechał przez hałasliwe kaniony centrum. Miejski ruch działał na niego uspokajająco. Klimatyzacja cadillaca łagodziła swędzenie blizn. Czerwiec był dla niego najgorszym miesiącem. Jakas szczególna kombinacja upałów i wilgoci doprowadzała go do szalenstwa. Cadillac bardzo mu pomagał. Hobbie ciekaw był, czy mercedes Stone'a okaże się równie dobry. Wtępił w to. Nigdy nie miał zaufania do klimatyzacji w importowanych samochodach. Dlatego zamierzał sprzedać mercedesa. Znal faceta na Queensie, który natychmiast go kupi. To jednak była jedna z dalszych spraw na jego liście. Miał wiele do zrobienia, a zostało mu mało czasu. Gracz był na właściwym miejscu, pod piłką, wyskakiwał, żeby ją złapać.

Hobbie zaparkował tam, gdzie przedtem stał suburban. Siegnął w poprzek kierownicy, wyjął kluczyki i zamknął samochód. Wjechał na górę ekspresowa winda. Tony siedział na miejscu recepcjonisty.

-Miałem znowu telefon z Hanoi - powiedział Hobbie. - Już leci. Tony odwrócił wzrok.

-O co chodzi? - spytał Hobbie.

-Powinnismy zrezygnować z przejęcia firmy Stone'a.

-To przecież zajmie im kilka dni, prawda?

-Kilka dni może nam nie wystarczyć - odrzekł Tony. - Są jakieś komplikacje. Ta kobieta powiedziała, że rozmawiał z mężem i są gotowi ustąpić, ale są też pewne komplikacje, o których nie wiemy.

-Jakie komplikacje?

-Nie chciała mi powiedzieć. - Tony potrząsnął głową. - Chce rozmawiać bezpośrednio z panem. Hobbie spojrzał na drzwi gabinetu.

-Cos zmyśliła. Do diabła, lepiej żeby się okazało, iż cos zmyśliła, bo nie mogę sobie teraz pozwolić na żadne komplikacje. Właśnie zawarłem wstępne umowy sprzedaży terenów, trzy oddzielne kontrakty. Dałem słowo. Maszynaria jest już w ruchu. Jakie komplikacje?

-Nie chciała mi powiedzieć - powtórzył Tony.

Hobbiego swędziła twarz. Na parkingu nie było klimatyzacji. Wystarczył krótki spacer do windy, żeby gorące powietrze podrażniło skórę. Przycisnął hak do czoła, licząc, że chłodny metal przyniesie mu ulgę. Niestety, hak również się nagrzwał.

-Co z panią Jacob? - spytał.

-Spędziła całą noc w domu - odparł Tony. - Z Rea-cherem. Sprawdziłem. Rano długo się śmiali z jakiegoś powodu. Potem gdzieś pojechali na połnoc FDR Drive. Może wrócili

do Garrison.

-Nie jest mi do niczego potrzebna w Garrison. Potrzebuje jej tutaj. I tego faceta. Tony milczał.

-Przyprowadz pania Stone.

Hobie poszedł do gabinetu i usiadł za biurkiem. Tony udał się w przeciwnym kierunku, do łazienki. Chwile później wyszedł, popychając Marilyn przed sobą. Wydawała się zmęczona. Jedwabny futerał sprawiał absurdalne wrażenie, tak jakby poszła na przyjęcie, złapała ją zamiec i zablakowała się w miescie. Hobie wskazał jej sofę.

-Siadaj, Marilyn - zaproponował.

Marilyn stała. Sofa była za niska. Za niska, żeby siedzieć na niej w krótkiej sukience, i za niska, żeby osiągnąć konieczną psychologiczną przewagę. Błędem byłoby jednak stać przed biurkiem jak pokorny klient. Podeszła do okna, odsunęła żaluzje, wyjrzała i usiadła na parapecie. Zmusiła go do obrocenia fotela, żeby mógł na nią patrzeć.

-Co to za komplikacje? - spytał. Spojrzała na niego i wzięła głęboki oddech,

-Przejdziemy do tego - odpowiedziała. - Najpierw wysłamy Sheryl do szpitala. W gabinecie zapadła cisza. Słychać było tylko odgłosy życia w gęsto zaludnionym budynku. Gdzieś na zachodzie zawył syrena. Może aż w Jersey City.

-Co to za komplikacje? - powtórzył pytanie Hobie. Mówił dokładnie takim samym tonem, z taką samą intonacją. Tak jakby gotów był zignorować jej błąd.

-Najpierw szpital. Znowu cisza. Hobie zwrócił się do Tony'ego.

-Przyprowadz tu Stone'a - polecił.

Stone wyszedł z łazienki w majtkach, potykając się przy każdym kroku. Tony brutalnie go popchnął. Stone uderzył głowami o kant stolika i jęknął z bólu.

-Co to za komplikacje? - zwrócił się do niego Hobie. Stone tylko bezradnie rozglądał się na boki, jakby był zbyt przerażony i oszołomiony, żeby odpowiedzieć. Hobie czekał. Kiwnął na Tony'ego.

-Złam mu nogę - rozkazał.

Spojrzał na Marilyn. Wszyscy milczeli. Słychać było nierówny oddech Stone'a i odgłosy dochodzące z budynku. Hobie uważnie przypatrywał się Marilyn. Wytrzymała jego spojrzenie.

-Proszę bardzo - powiedziała spokojnie. - Złam mu

te pięprzone nogi. Co mnie to obchodzi? Przez niego będę bez grosza. Zrujnował mi życie. Jeśli masz ochotę, złam mu obie nogi. W ten sposób nie osiągniesz jednak swojego celu nawet odrobiny szybciej. Są pewne komplikacje, zatem im wcześniej się nimi zajmiemy, tym lepiej dla ciebie. A nie zaczniemy, póki Sheryl nie znajdzie się w szpitalu. - Marilyn odchyliła się do tyłu, kładąc dłonie na parapecie i podpierając się na nich. Miała nadzieję, że wydaje się rozluźniona i swobodna, ale w rzeczywistości robiła to, żeby nie spaść na podłogę. - Najpierw szpital - powtórzyła. Tak bardzo skoncentrowała się na głosie, że brzmiał, jakby mówił ktoś obcy. Była z tego zadowolona. Niski, pewny głos, równy i spokojny. To dobrze brzmiało w gabinecie. - Później się dogadamy - dodała. - Twój wybór. Gracz podskoczył, trzymając wysoko rekawice, piłka spadała. Rekawica znalazła się nad plotem. Trudno powiedzieć, czy piłka trafiła do rekawicy. Hobie głośno zastukał hakiem o blat biurka. Stone gapił się na niego. Hobie go zignorował. Spojrzał na Tony'ego.

-Zawiez te dziwke do szpitala - polecil kwasno.

-Chester pojedzie z nimi - wtracila Marilyn. - Musi sprawdzic. Ma widziec, jak wchodzi sama do izby przyjec. Ja tu zostane jako zabezpieczenie. I Hobie przestal pukac. Spojrzal na nia z usmiechem.

-Nie masz do mnie zaufania?

-Nie, nie mam do ciebie zaufania. Jesli Chester nie pojedzie z nimi, po prostu zamkniesz

Sheryl gdzie indziej.

-Ani przez chwile o tym nie myslalem - oswiadczył z usmiechem. - Zamierzalem polecic Tony'emu, zeby ja zastrzelil i wrzucil do morza. Znowu zapadla cisza. Marilyn w srodku cala sie trzesla.

-Jestes pewna, ze to dobry pomysl? - spytal Hobie. - Jesli w szpitalu ona pisnie choc slowo, zabije cie. Rozumiesz to, tak? Marilyn pokiwalą glowa.

-Nikommu nic nie powie, jesli bedzie wiedziala, ze jeszcze mnie tu trzymasz.

-Modl sie, zeby nie powiedziala.

-Nie powie. Tu nie chodzi o nas, tylko o nia. Potrzebuje pomocy lekarza.

Marilyn przygladala sie Hobiemu. Odchylila sie do tylu, bo poczula sie slabo. Szukala w jego twarzy oznak wspolczucia. Poczucia odpowiedzialnosci. Hobie nie odwrocil oczu. W zadnym sposobie nie okazal wspolczucia. Marilyn przelknela sliny i wziala gleboki oddech.

-Sheryl potrzebuje spodnicy. Nie moze wyjsc bez niej. To byloby podejrzane. Szpital zawiadomilby policje, na czy m nie zalezy ani tobie, ani mnie. Tony musi isc kupic jej nowa spodnice.

-Pozycz jej swoja - odpowiedzial Hobie. - Zdejmij i daj Sheryl. Dlugie milczenie.

-Nie pasowalaby na nia - stwierdzila w koncu Marilyn.

-To nie z tego powodu nie chcesz jej pozyczyc. Marilyn nic nie powiedziala. Milczenie. Hobie wzruszyl ramionami.

-Dobrze.

-I buty - dodala Marilyn. Przelknela sliny.

-Co?

-Buty - powtorzyla. - Przeciez nie moze wyjsc boso.

-Jezu - westchnal Hobie. - Do diabla, co jeszcze?

-Gdy Chester wroci i powie mi, ze widzial, jak sama weszla do szpitala, wtedy porozmawiamy. Hobie przejechal palcami lewej reki wzdluz haka.

-Jestes cwana kobieta.

Wiem, pomyslala Marilyn. To pierwsza z komplikacji, z jakimi musisz sobie poradzić. - - -

Reacher postawił sportową torbę na białej sofie pod kopią Mondriana. Odciągnął suwak i wysypał z niej paczki pięćdziesięciodolarowych banknotów. Trzydzieści dziewięć tysięcy trzysta dolarów w gotówce. Podzielił pieniądze, rzucając paczki na zmianę na przeciwne konce sofy. Po chwili na sofie leżały dwa imponujące stosy.

-Cztery wizyty w banku - zauważyła Jodie. - Poniżej

dziesięciu tysięcy dolarów bank nie musi zgłaszać transakcja -przecież nie chcemy odpowiadać na pytania o pochodzenie gotówki. Włożymy to na moje konto i weźmiemy czek bankowy dla państwa Hobie na dziewiętnaście tysięcy sześćset pięćdziesiąt. Z naszej połowy będziemy korzystać za pomocą mojej złotej karty kredytowej, zgoda? Reacher kiwnął głową.

-Musimy kupić bilety do St Louis i zapłacić za hotel. Mając dziewiętnaście patyków w banku, możemy polecić pierwszą klasę i zatrzymać się w jakimś przyzwoitym hotelu.

-Tylko tak można latać - odpowiedziała. Objęła go w pasie, stanęła na palcach i pocałowała w usta. Oddał jej pocałunek.

-Dobra zabawa, prawda? - powiedziała Jodie. - Może dla nas. Państwo Hobie gorzej się bawia.

Poszli razem do czterech banków. W ostatnim Jodie wpłaciła resztę pieniędzy i wykupiła czek bankowy dla T. i M. Hobie

na sumę dziewiętnaście tysięcy sześćset pięćdziesięciu dolarów. Kasjer włożył czek do kremowej koperty, a Jodie schowała ją w portfelu. Wrocili na Broadway pieszo, trzymając się za ręce. Wjechali na górę, żeby Jodie mogła spakować się przed lotem. Zniknęła czek bankowy w biurku, chwyciła za telefon i szybko ustaliła, że o tej porze najlepsze połączenie do St Louis oferują linie United Airlines.

-Taksówka? - spytała.

-Pojeździemy samochodem - odrzekł Reacher, kręcąc głową. Ryk silnika V-8 wypełnił podziemny parking. Reacher nacisnął kilka razy pedał gazu. Uśmiechnął się. Silnik miał tak duży moment obrotowy, że ciężki samochód kołysał się na resorach.

-Ceny zabawek - mruknęła Jodie. Spojrzał na nią pytająco.

-Nie słyszałeś tego powiedzenia? Mężczyźni różnią się od chłopców tylko ceną swoich zabawek. Reacher znowu zwiększył obroty i uśmiechnął się.

-Ta kosztowała tylko dolara.

-A ty właśnie spaliłeś benzynę za dwa dolary. Reacher wrzucił bieg i wjechał na rampę. Ruszył na wschód

do Midtown Tunnel i skręcił w Czterysta Dziewięćdziesiąt Piątą do Van Wyck. Po chwili byli na lotnisku imienia Kennedy'ego.

-Zostaw samochód na krótkoterminowym parkingu - powiedziała Jodie. - Teraz możemy

sobie na to pozwolić.

Reacher musiał ukryć pistolet i tłumik w samochodzie. Nie ma żadnego łatwego sposobu na przeniesienie broni przez bramki bezpieczeństwa na lotnisku. Schował pistolet pod fotelem kierowcy. Zostawili lincoln na parkingu naprzeciwko budynku United. Pięć minut później kupili bilety pierwszej klasy, w jedną stronę, do St Louis. Drogie bilety uprawnili ich do skorzystania ze specjalnej poczekalni, gdzie kelner podał im dobrą kawę w porcelanowych filiżankach.

ach ze spodeczkami i gdzie mogli przeczytać "Wall Street Journal", nie płacić za gazetę. Potem poszli do samolotu. Reacher nioś torbę Jodie. W pierwszej klasie fotele stały parami po obu stronach samolotu. Zajmowały pierwsze szeregowe rzędy. Szerokie, wygodne siedzenia. Reacher się uśmiechał.

-Nigdy jeszcze nie leciałem pierwsza klasa - wyznał.

Usiadł przy oknie. Miał dość miejsca, żeby nieco się wyciągnąć. Jodie zginęła w fotelu. Był tak szeroki, że zmieściłby się na nim trzy osoby o jej wymiarach. Stewardesa podała im sok, nim jeszcze samolot zaczął kołować. Kilka minut później wystartowali i przelecieli nad południowym cyplem Manhattanu. - - -

Tony wrócił do biura, dzwigając w reku łusniacę, czerwona torbę ze sklepu Talbota i brązowa od Bally'ego. Marilyn zaniósła je do łazienki. Pięć minut później Sheryl pojawiła się w gabinecie. Nowa spódnica była właściwej wielkości, ale Tony nie potrafił wybrać właściwego koloru. Sheryl automatycznymi ruchami wygładziła ją na biodrach. Nowe buty nie pasowały do spódnicy i były za duże. Jej twarz wyglądała okropnie. Patrzyła tępy i potulnym wzrokiem, zgódniej in-strukcjami Mariiyn.

-Co powiesz lekarzom? - spytał ją. Sheryl odwróciła wzrok i skupiła się na scenariuszu.

-Uderzyłam twarzą o drzwi - powiedziała. Mówiła niskim, nosowym głosem. Sprawiała wrażenie otepiałej i zszokowanej.

-Czy zadzwonisz na policję?

-Nie, nie zrobię tego - zapewniła, krećac głowa.

-Co się stanie, jeśli to zrobisz?

-Nie wiem - odpowiedziała głosem pozbawionym wyrazu.

-Twoja przyjaciółka Marilyn zginie, a przedtem sporo wycierpi. Rozumiesz to? Hobie unioś hak, żeby widział go przez cały gabinet. Wstał od biurka. Podeszedł do okna i

zatrzymał się tuż przy Marilyn. Lewa ręka odgarnął jej włosy, muskając przy tym

skóre. Zesztywniała. Dotknął hakiem jej policzka. Sheryl pokiwała głową. - Tak, rozumiem

-odparła.

-- -

Te akcje należało przeprowadzić szybko, bo choć Sheryl miała na sobie nową spódnice i buty, Chester w dalszym ciągu chodził w bokserkach i podkoszulku. Tony kazał im zostać w poczekalni, aż przyjdzie winda towarowa, a potem szybko ich przeprowadził przez korytarz do kabiny. Na dole wyszedł pierwszy i rozejrzał się dookoła. Nikogo nie było. Szybko pogonił ich do taho. Wepchnął Chestera do tyłu, a Sheryl kazał usiąść z przodu. Zapalił silnik i zamknął wszystkie drzwi. Wyjechał na ulicę.

Tony mógłby wymienić na poczekaniu pewnie ze dwadzieścia szpitali na Manhattanie. Instynkt podpowiadał mu jednak, żeby pojechać jak najdalej na północ, może aż do Mount Sinai na Setnej Ulicy. Byłoby bezpieczniej wywieźć Sheryl jak najdalej od World Trade Center, ale miał na to za mało czasu. Jazda

na północ i z powrotem zajęłaby co najmniej godzinę, pewnie więcej. Nie mieli godziny na zbyciu. Wobec tego zdecydował się na szpital Świętego Wincentego na rogu Jedenastej Ulicy i Siodmej Alei. Bellevue, na rogu Dwudziestej Pierwszej Ulicy i Pierwszej Alei, było lepiej usytuowane pod względem geograficznym, ale tam z różnych powodów często krecili się policjanci. Wiedział to z doświadczenia. Stałe tam byli, tak jakby w tym miejscu mieszkali. Dłat

ego wybrał Świętego Wincentego. Pamiętał również, że przed wejściem do izby przyjęć jest rozległy plac, tam gdzie Greenwich przecina Siodmą Ulicę. Pamiętał te okolice, niedawno przejeżdżał tamtędy, gdy porwali sekretarkę Costella. Rozległy teren, prawdziwy plac. Mogli widzieć, jak wchodzi do szpitala, nie zbliżając się zbyt do wejścia.

Po osmiu minutach byli na miejscu. Tony zatrzymał się przy krawężniku po zachodniej stronie Siodmej Ulicy. Naciśnął guzik, żeby odblokować drzwi.

-Wysiadaj - warknął.

Sheryl otworzyła drzwi i wysunęła się na chodnik. Stała w miejscu, niepewna, co zrobić. Po chwili ruszyła w kierunku przejścia dla pieszych. Nie oglądała się za siebie. Tony pochylił się w bok i zatrzasnął za nią drzwiczki. Spojrzał na Stone'a.

-Teraz się przyglądaj.

Stone już obserwował Sheryl. Samochody zwolniły i światło zmieniło się na zielone. Sheryl ruszyła wraz z innymi przechodniami, wyraźnie oszłamona. Szła wolno, człapiąc w zbyt dużych butach. Gdy światło zmieniło się na czerwone, była jeszcze na jezdni. Niecierpliwy kierowca ciężarówki zjechał w prawo i wyminał ją. Przeciela szeroki chodnik i weszła na polkolistą podjazd dla karet. Zbliżyła się do podwójnych drzwi. Plastikowe, obdrapane, wahadłowe drzwi. Przed wejściem stały trzy pielęgniarki, które zrobiły sobie przerwę na papierosa. Minęła je i powoli skierowała się prosto do drzwi. Naciśnęła je dwiema rękami. Uchyliły się. Weszła do środka. Drzwi zatrzasnęły się za nią.

-No, widziałeś? Stone kiwnął głową.

-Tak, widziałem. Jest w środku. Tony zerknął w lusterko i włączył się do ruchu. Nim przejechał sto metrów, Sheryl już czekała wśród innych pacjentów, aż lekarze ocenia, kto najpilniej wymaga pomocy. Przez cały czas powtarzała, c o Marilyn kała jej zrobić.

-- -

Z lotniska w St Louis do Krajowego Archiwum Danych Personalnych było blisko, więc pojechali taksówką. Dla Rea-chera było to znajome terytorium. Gdy przejeżdżał służbowo do kraju, prawie zawsze zaglądał do archiwum, żeby sprawdzić czyjeś dane. Tym razem znalazł się w innej sytuacji. Przyjechał tu jako cywil. To coś innego niż wtedy, gdy pojawiał się w mundurze majora. Zupełnie coś innego. Nie miał w tej kwestii żadnych wątpliwości. Interesanci pragnący uzyskać informacje muszą zwrócić się po pomoc do pracowników dyżurujących w holu. Ścisłe mówiąc, całe archiwum jest udostępnione, ale personel bardzo się stara, żeby ukryć ten fakt. W przeszłości Reacher z całego serca popierał te taktyki.

Raporty wojskowe bywają bardzo szczere, należy je czytać i interpretować, biorąc pod uwagę kontekst, w jakim powstały. Zawsze był zadowolony, że publiczność nie ma do nich łatwego dostępu. Teraz jednak sam należał do publiczności i zastanawiał się, jak to wpłynie na przebieg poszukiwań. W kilkunastu magazynach archiwum stały kilometry polek zastawionych dokumentami. Może się zdarzyć, że ktoś czeka dni i tygodnie na odnalezienie właściwej tezy, choć pracownicy sprawiają wrażenie wychodzących ze skóry, żeby ją zlokalizować. Reacher wiele razy obserwował to z drugiej strony barykady. Wyglądało bardzo wiarygodnie. Przyglądał się temu z ironicznym uśmiechem.

Gdy zapłacili za kurs i wysiedli z taksówki, zatrzymali się na chwilę, żeby uzgodnić plan działania. Było gorąco. Weszli do środka. Nad ławą zobaczyli wielki napis: JEDNO ZAMOWIENIE - JEDNA TECZKA. Staneli przy ladzie i czekali, aż ktoś podejdzie. Otyła kobieta w średnim wieku, w mundurze sierżanta, zajmowała się pracą, której jedynym celem było zmuszenie ich do czekania, aż skończy. Po dłuższej chwili podała im dwa blankiety zamówienia i wskazała długopis przywiązany sznurkiem do lady.

Jodie podała nazwisko Jacob i zażądała wszystkich informacji na temat majora Jacka-kreska-Reachera, wydział dochodzenia kryminalnych armii. Reacher wziął od niej długopis i poprosił o wszystkie informacje o generale broni Leon

ie Jerome Garbem. Oddal oba formularze. Sierżant spojrzala na nie i rzuciła na tacę z zamówieniami. Nacisnęła guzik dzwonka i wróciła do swoich zajęć. Zgodnie ze schematem działania jakiś szeregowiec powinien usłyszeć dzwonek, przyjść po zamówienia i rozpocząć cierpliwe poszukiwania teczek.

-Kto jest dziś oficerem dyżurnym? - spytał Reacher.

To było proste pytanie. Pani sierżant przez chwilę myślała, jak uniknąć konieczności udzielenia odpowiedzi, ale nie wymyśliła.

-Major Theodore Conrad - odparła niechętnie.

Reacher kiwnął głową. Conrad? To nazwisko nic mu nie mówiło.

-Czy mogłaby pani zameldować mu, że chcielibyśmy z nim porozmawiać, bardzo krótko? Czy mogłaby pani polecić, żeby te teczki dostarczono do jego gabinetu? Reacher powiedział to w sposób stanowiący kombinację uprzejmości i rozkazu. Taki ton głosu zwykle doskonale działał na sierżantów. Kobieta podniosła słuchawkę telefonu.

-Zaraz ktoś przyjdzie zaprowadzić państwa na górę - oświadczyła tak, jakby była zdumiona, że major Conrad wyswiadcza im taką uprzejmość.

-Nie ma potrzeby - rzekł Reacher. - Wiem, gdzie to jest. Byłem tu wcześniej. Reacher wskazał Jodie schody. Weszli na pierwsze piętro. Major Conrad czekał na nich przy drzwiach do przestronnego gabinetu. Miał na sobie letni mundur z plakietką z nazwiskiem na piersi. Wydawał się dość przyjazny, choć zgorzkniały z powodu służby na tym stanowisku. Miał jakieś czterdzieści pięć lat; skoro jeszcze był majorem, to oznaczało, że nie zrobił jeszcze kariery. Zatrzymał się, ponieważ przez korytarz biegł ku niemu szeregowiec z dwiema grubymi teczkami. Reacher uśmiechnął się pod nosem. Przyznano im najwyższy priorytet. Gdy pracownicy archiwum chcieli coś szybko załatwić, potrafili to zrobić naprawdę błyskawicznie. Conrad wziął dokumenty i zwolnił gonca.

-Co mogę dla państwa zrobić? - spytał. Mówił powoli i tak niewyraźnie, jak metne są wody Missisipi, z której okolicy się wywodził, ale sprawiał sympatyczne wrażenie.

-Potrzebujemy pana pomocy, majorze - odpowiedział Reacher. - Mamy nadzieję, że jeśli zapozna się pan z tymi dokumentami, zechce pan je nam udzielić.

Conrad spojrział na teczki, przesunął się w bok i zaprosił ich gestem do gabinetu. To był cichy pokój z boazerią na ścianach. Conrad wskazał im dwa skorzane fotele, a sam usiadł za biurkiem. Położył teczki na blacie. Otworzył pierwszą, Leona, i zaczął przeglądać jej zawartość. Po dziesięciu minutach wiedział już wszystko, czego chciał

się dowiedzieć. Reacher i Jodie siedzieli i wyglądali przez okno. Na zewnątrz prażyło słońce. Conrad zamknął teczkę i spojrzał na nazwiska zamawiających. Podniósł wzrok.

-Dwie piękne teczki - powiedział. - Imponujący przebieg służby. Rozumiem też, o co

chodzi. Pan niewątpliwie jest

majorem Jackiem Reacherem, a pani Jodie Jacob, jak przypuszczam, to Jodie Garber, czyli córka generała, o której są tu wzmianki. Czy mam rację?

Jodie uśmiechnęła się i kiwnęła głową. - Tak myślałem - powiedział Conrad. - Zapewne sądzą państwo, że jako rodzina, jeśli można tak to określić, uzyskają państwo lepszy i szybszy dostęp do archiwum? Reacher uroczyście poklecił głową. - Nawet nie przyszło nam to do głowy - zapewnił Conrada. - Wiemy, że wszyscy pragną skorzystać z materiałów archiwalnych, są traktowani absolutnie jednakowo. Conrad najpierw się uśmiechnął, a później wybuchł śmiechem.

-Powiedzial pan to tak powaznie. Dobrze, bardzo dobrze. Gra pan w pokera? Powinien pan. Jak moge panstwu pomoc?

-Chcielibysmy poznać wszystkie informacje, jakie sa w archiwum na temat Victora Trumana Hobiego.

-Wietnam?

-Zna go pan? - spytał ze zdziwieniem Reacher.

-Nigdy o nim nie slyszalem - spokojnie odrzekl Conrad. - Jesli jednak na drugie imie ma Truman, to urodzil sie w latach tysiac dziewiecset czterdziesci piec-piecdziesiat dwa. Byl za mlody, zeby walczyć w Korei, i za stary na wojne w Zatoce Perskiej. Reacher kiwnal glowa. Major Theodor Conrad coraz bardziej mu sie podobal. Byl bystrym facetem. Reacher pomyslal, ze chetnie zajrzalby do jego teczki, zeby sie dowiedziec, dlaczego w wieku czterdziestu pieciu lat jest tylko majorem i wysiaduje za biurkiem w Missouri.

-Mozemy pracowac tutaj - powiedzial Conrad. - Zapraszam. Siegnal po telefon i zadzwonil bezposrednio do magazynu, pomijajac dzial zamowien. Mrugnal do Reachera i kazal przyniesc teczke Hobiego. Siedzieli w milczeniu. Piec minut pozniej przybiegl goniec z teczka.

-Szybko sie sprawil - zauwazyla Jodie.

-Raczej dosc wolno - odrzekl Conrad. - Prosze sobie wyobrazic sytuacje tego szeregowca.

Slyszy, jak mowie H, od nazwiska Hobie. Biegnie do sekcji H, znajduje teczke na podstawie inicjalow imion, wyciagaja i biegnie tutaj. Wszyscy moi podwladni musza spelniac standardowe wojskowe kryteria fizycznej sprawnosci, zatem w ciagu pieciu minut powinien przebiec prawie poltora kilometra. Archiwum jest duze, ale nie az tak duze. Od swego biurka do sekcji H i tutaj mial do pokonania znacznie mniejsza odleglosc, prosze mi wierzyc. Czyli wykonal rozkaz dosc wolno. Podejrzewam, ze zatrzymala go pani sierzant, zeby mi zrobic na zlosc.

Teczka Hobiego byla stara i pomarszczona, z wydrukowana na wierzchu tabelka z wpisanyimi ladnym charakterem pisma nazwiskami osob, ktore do niej zagladaly. Byly tylko dwie. Conrad przesunal palcem po nazwiskach.

-Dwa zamowienia telefoniczne. Sam general Garber zamowil ja w marcu tego roku - powiedzial. - A ktos o nazwisku Costello, z Nowego Jorku, poprosil o jej wyciagniecie na poczatku ubieglego tygodnia. Skad to nagle zainteresowanie?

-Tego wlasnie chcemy sie dowiedziec - odpowiedzial Reacher. Zolnierz, ktory bral udzial w walce, ma gruba teczke. Zwlaszcza jesli walczył przed trzydziestoma laty. Trzydziesci lat to dosc czasu, zeby wszystkie raporty, meldunki i notatki na jego temat trafily w odpowiednie miejsce. Teczka Victora Hobiego miala jakies piec centymetrow grubosci. Stary, tekturowy skoroszyt z trudem miescil wszystkie dokumenty. Reacherowi skojarzyl sie z czarnym portfelem Costella, ktory widzial w barze w Keys. Przysunal krzeslo blizej krzesla Jodie i biurka Conrada. Major polozyl teczke na lśniacym blacie, odwrocil ja i otworzyl, tak jakby pokazywal cenna ksiege zainteresowanym

koneserom.

-- -

Marilyn udzieliła jej bardzo precyzyjnych instrukcji i Sheryl wykonała wszystko co do joty. Najpierw miała zgłosić się do lekarza po pomoc. Zameldowała się w recepcji, a potem usiadła w poczekalni na twardym plastikowym krześle. W szpitalu Świętego Wincentego w izbie przyjęć był niewielki ruch, dlatego już dziesięć minut później podeszła do niej lekarka. Była tak młoda, że mogłaby być jej córką.

-Jak to się stało? - spytała.

-Uderzyłam się o drzwi - odpowiedziała Sheryl. Lekarka zaprowadziła ją za parawan i kazała położyć się na leżance. Sprawdziła jej odruchy.

-O drzwi? Czy na pewno? Sheryl kiwnęła głową. Trzymała się swojej historii. Marilyn na to liczyła.

-Były częściowo otwarte. Nagle się odwróciłam i nie zauważyłam. Lekarka nic nie powiedziała. Zaswieciła małą latarkę najpierw w jej prawe oko, potem w lewe.

-Czy dobrze pani widzi?

-Trochę nieostro.

-Ból głowy?

-Tak silny, że trudno to sobie wyobrazić.

-Dobrze. Musimy zrobić rentgen kości twarzy, rzecz jasna, ale chce również zlecić tomografię całej czaszki. Musimy się dowiedzieć, co dokładnie stało się w środku. Ma pani dobrą polisę ubezpieczeniową, dlatego poproszę zaraz chirurga, żeby panią obejrzał. Jeśli będzie konieczna operacja plastyczna, lepiej zająć się tym jak najwcześniej. Niech pani się przebierze i położy. Później dam pani jakieś środki przeciwbólowe. Sheryl przypomniała sobie słowa Marilyn: Zadzwoń przed zżyciem środków przeciwbólowych, bo potem będziesz półprzytomna i zapomnisz.

-Muszę najpierw zadzwonić - stwierdziła.

-Jeśli pani sobie życzy, możemy zawiadomić męża - zaproponowała lekarka neutralnym tonem.

-Nie, nie jestem mężatką. Muszę zadzwonić do prawnika. Muszę zadzwonić do adwokata mojej znajomej. Lekarka spojrzała na nią i wzruszyła ramionami.

-Proszę, telefon jest w holu. Proszę się pośpieszyć. Sheryl podeszła do kilku automatów wiszących na ścianie

naprzeciwko poczekalni. Zadzwoiła do operatora i poprosiła o połączenie na koszt odbiorcy. Powtórzyła zapamiętany numer. Ktoś odebrał po drugim dzwonku.

-Forster i Abelstein - usłyszała pogodny głos. - Czym mogę służyć?

-Dzwonie w imieniu pana Chestera Stone'a - powiedziała Sheryl. - Muszę porozmawiać z jego adwokatem.

-To pan Forster. Proszę poczekać.

Gdy Sheryl czekała, słuchając muzyki, lekarka stała siedem metrów od niej w recepcji. Również telefonowała. Do działu przemocy domowej nowojorskiej policji. Gdy oczekiwała na połączenie, nie słyszała żadnej muzyki.

-Dzwonie ze szpitala Świętego Wincentego - poinformowała. - Mam dla was następną

klientke. Ta twierdzi, że uderzyła się o drzwi. Nie chce nawet przyznać, że ma meza,

a co dopiero, że ją pobili. Możecie przyjechać i porozmawiać z nią o dowolnej porze.

--

Pierwszym dokumentem w teczkę Victora Hobbiego był oryginał jego podania o przyjęcie do wojska. Kartka zżółkła na brzegach i zeszytywniała ze starości. Podanie było napisane ręcznie, tym samym ładnym charakterem pisma, co listy do Brighton. Hobbie opisał swoje

wykształcenie i pragnienie zostania pilotem helikoptera. To wszystko. Nie sprawiał wrażenia kandydata na gwiazdora, ale w tym czasie na każdego ochotnika przypadło dwudziestu potencjalnych poborowych, którzy uciekali do Kanady, więc nic dziwnego, że komisja poborowa natychmiast posłała go do lekarza.

Hobbie zaliczył badania lekarskie dla pilotów znacznie surowsze niż standardowe. Dotyczyło to zwłaszcza wzroku i utrzymania równowagi. Otrzymał kategorię A-1. Wzrost sto osiemdziesiąt dwa centymetry, waga siedemdziesiąt sześć kilogramów, wzrok 20/20, dobra pojemność płuc, brak chorób zakaźnych. Badania odbyły się wczesną wiosną. Reacher wyobraził sobie młodego Victora, bladego po nowojorskiej zimie, stojącego w bokserkach na drewnianej podłodze, z centymetrem krawieckim wokół piersi.

Z następnego dokumentu wynikało, że otrzymał bilet i skierowanie do Fort Dix, gdzie miał się zameldować dwa tygodnie później. Kolejna partia papierów dotyczyła pobytu w Dix. Zaczęła się od podpisanej zaraz po przybyciu deklaracji, w której Hobbie ostatecznie zobowiązał się do lojalnej służby w Armii Stanów Zjednoczonych. W Dix przeszedł trwające dwanaście tygodni szkolenie podstawowe i zaliczył sześć testów sprawności. Uzyskał wyniki wyraźnie lepsze niż przeciętne, ale nie odnotowano żadnych komentarzy.

Dalej znaleźli zamówienie wouchera na podróż do Fort Polk i kopie skierowania na zaawansowane ćwiczenia piechoty. Notatki na temat jego postępów w ćwiczeniach z bronią. Otrzymał dobrą ocenę, co w Polk miało swoje znaczenie. W Dix taką ocenę dostawał każdy, kto potrafił rozpoznać karabin z odległości dziesięciu kroków. W Polk taka ocena świadczyła o doskonałej koordynacji motoryczno-wzrokowej, dobrej kontroli ruchów, stabilnym temperamentem. Reacher nie był ekspertem w dziedzinie pilotażu, ale przypuszczał, że zdaniem instruktorów to był obiecujący kandydat na pilota. Kolejny voucher świadczył, że Hobbie pojechał z Polk do Fort Wolters w Teksasie, gdzie znajdowała się Podstawowa Szkoła Pilotażu Helikopterów Armii. W dokumentach była notatka dowódcy Polk, który stwierdził, że Hobbie zrezygnował z tygodniowego urlopu, żeby od razu pojechać do szkoły. Dowódca tego nie skomentował, ale między wierszami łatwo było odczytać jego aprobatę. Oto żołnierz, któremu naprawdę zależało na służbie. Pakiet dokumentów z Wolters był już znacznie grubszy. Hobbie spędził tam pięć miesięcy, a były to poważne zajęcia, jak studia. Najpierw miesiąc szkolenia teoretycznego, z naciskiem na fizykę, aerodynamikę i nawigację. Zaliczenie teorii było warunkiem koniecznym przejścia do następnego etapu. Hobbie pokazał klasę. Jego ojciec liczył, że syn wykorzysta swoje uzdolnienia matematyczne w buchalterii, ale tutaj przydały mu się w nauce. Hobbie skończył jako pierwszy w swojej klasie. Jedynym minusem była krytyczna notatka na temat jego postawy. Jakis oficer upominał go za udzielanie pomocy innym w zamiar za usługi. Hobbie pomagał kolegom mecząc się z trudnymi równaniami, a oni oddawali mu takie przysługi jak czyszczenie butów i sprzętu. Reacher wzruszył ramionami. Ten oficer był jakimś durniem. Hobbie miał zostać pilotem, a nie świętym.

Przez następne cztery miesiące Hobbie uczył się podstaw pilotażu, głównie na H-23 Hillerze. Jego pierwszym instruktorem był niejaki Lanark. Pisał prawie nieczytelnie, a jego notatki na temat szkolenia były bardzo anegdotyczne, dalekie od wojskowego stylu. Niekiedy zabawne. Lanark twierdził, że nauka latania helikopterem nie różni się od nauki jazdy rowerem. Przewracasz się, raz, drugi, trzeci, aż wreszcie wszystko dobrze się układa i już do końca życia umiesz latać. Jego zdaniem Hobbie na początku miał trudności i potrzebował dość dużo czasu na opanowanie podstaw pilotażu, ale potem robił

nadzwyczajne postępy. Lanark szybko przesadził go z Hillera na H-19 Sikorsky'ego, co można porównać z zamianą dzieciennego rowerka na szosowy rower kolarski. Hobbie radził sobie lepiej z Sikorskim niż z Hillerem. Miał naturalny talent, który przejawiał się wyraźniej, gdy pilotował bardziej skomplikowaną maszynę. Hobbie skończył szkolenie

w Wolters z druga lokata, tuz za asem, niejakim A.A. DeWittem.

Razem pojechali do Fort Rucker w Alabamie na kolejne cztery miesiace zaawansowanego szkolenia.

-Slyszal pan kiedys o DeWitcie? - spytal Reacher. - Gdzies juz spotkalem sie z tym nazwiskiem. Conrad sledzil ich postepy, patrzac na dokumenty odwrocone do gory nogami.

-Moze to general De Witt - powiedzial. - Teraz dowodzi szkola pilotazu w Wolters. To by pasowalo, nie? Sprawdze.

Zadzwonil do magazynu po teczke generala dywizji A.A. DeWitta. Odkladajac sluchawke, spojrzal na zegarek.

-Powinien to zalatwic szybciej, bo sekcja D jest blizej jego biurka niz H. Chyba ze ta cholerna

sierzant znowu go zatrzyma.

Reacher sie usmiechnal i wrocil do przeszlosci sprzed trzydziestu lat. W Fort Rucker szkolenie przypominalo juz prawie dziwa akcje. Nie latali na maszynach cwiczebnych, ale na nowiutkich helikopterach bojowych Bell UH-1 Iroquis nazywanych hueyami. Duze maszyny z turbinami gazowymi i lopatkami wirnika o dlugosci czternastu metrow i sze rokosci pol metra. Mlody Victor Hobie szalal na nich pod niebem Alabamy przez siedemnascie dlugich tygodni, az wreszcie otrzymal promocje z licznymi wyroznieniami i pochwalami. Z tej okazji odbyla sie parada, na ktora przyje chali jego rodzice.

-Trzy minuty czterdziesti sekund - szepnal Conrad. Do gabinetu wszedl szeregowiec z teczka DeWitta. Major odebr al dokumenty. Szeregowiec zasalutowal i wrocil do swej pracy.

-Nie moge wam pokazac tych dokumentow-powiedzial Conrad. - General jest jeszcze w czynnej sluzbie. Powiem w am, czy to ten sam DeWitt.

Otworzył teczkę. Reacher zauwazyl, ze sa w niej takie same dokumenty jak w teczce Hobiego.

-Ten sam - potwierdzil Conrad. - Przezył Wietnam i zostal w wojsku. Maniak

helikopterowy. Przypuszczam, ze do konca sluzby bedzie tkwil w Wolters.

Reacher pokiwal glowa. Wyjrzal przez okno. Bylo juz pozne popoludnie.

-Napijecie sie kawy? - spytal Conrad.

-Z przyjemnoscia- odparla Jodie. Reacher kiwnal glowa. Conrad podniosl sluchawke telefonu.

-Poprosze kawe - rzucil. - To nie jest teczka, tylko napoj. Trzy filizanki, najlepsza porcelana. Zrozumiano?

Szeregowiec przyniosl kawe na srebrnej tacy. Reacher dotarl juz do Fort Belvoir w Wirginii, gdzie Victor Hobie i je go nowy kumpel A.A. DeWitt zglosili sie do Trzeciej Kompanii Transportowej Pierwszej Dywizji Kawalerii Powiet rznej. Spedzili tam dwa tygodnie, dostatecznie dlugo, zeby w tym czasie

armia zmienila okreslenie jednostki na Kompanie B 229 Batalionu Helikopterow Szturmowych. Pod koniec tych dw och tygodni kompania wyplynela z Alabamy na pokladzie trans-portowca plynacego w konwoju siedemnastu statko w. Po trzydziestu jeden dniach zeglugi zawineli do portu w zatoce Long Mai, trzydziesti kilometrow na poludnie od Qui Nhon w Wietnamie, osiemnascie tysiecy kilometrow od Nowego Jorku. Trzydziesti jeden dni na morzu to caly miesiac. Dowodztwo kompanii wymyslalo rozne prace, zeby wojsko sie nie nudzilo. Z dokumentow wynikalo, ze H obie zglosil sie do pracy przy konserwacji helikopterow polegajacej na ustawicznym plukaniu i smarowaniu rozmon towanych maszyn w ladowni statku, zeby ochronic je przed dzialaniem soli. Otrzymał pochwalę i awans na porucznika

ka pierwszej klasy trzynastym miesiącu po zaciągnięciu się do wojska. Dobry chłopak. Reacher przypomniał sobie słowia Eda Stevensa: Bardzo poważny, bardzo sumienny, ale mimo to nie wyróżniał się specjalnie.

- Smietanki? - zaproponował Conrad.

Jodie i Reacher równocześnie pokręcili głowami.

- Czarna, bez cukru - rzekli unisono.

Conrad nalal kawę. Reacher dalej czytał. W tym czasie armia używała dwóch typów helikopterów: bojowych i transportowych. Kompania B latała na transportowych, które wspierały logistycznie działania Pierwszej Dywizji Kawalerii. Transportowce były uzbrojone w dwa ciężkie karabiny maszynowe zainstalowane na wysięgnikach przy wymontowanych drzwiach. Załoga składała się z pilota, drugiego pilota, dwóch strzelców i mechanika. Helikopter mógł zabrać tylu żołnierzy, ile mieściło się między strzelcami, lub tonę amunicji. Wietnam bardzo różnił się od Alabamy. Hobbie uczył się nowych umiejętności w praktyce. To nie podlegało żadnym sformalizowanym ocenom, ale on i DeWitt jako pierwsi z nowych zostali skierowani do dżungli. Zgodnie z praktyką służby po pięciu lotach bojowych w charakterze drugiego pilota Hobbie awansował na stanowisko pilota. Od tej pory wszystko nabrało większej powagi. Druga połowa skoruśzytu wypełniała raporty z lotów bojowych, na cienkim papierze, spisane przez sekretarza kompanii. Hobbie rzadko brał udział w walce. Wokół wrzała wojna, ale on spędzał dużo czasu na ziemi z powodu złej pogody. Mgła i chmury sprawiały, że niekiedy przez wiele dni z rzędu lot na niskiej wysokości nad pokrytymi dżunglą dolinami i zakrawałby na próbę samobójstwa. Potem nagle się przejaśniało i kolejne raporty pochodziły z tego samego dnia: trzy, pięć, nawet siedem lotów dziennie, dowozić posiłki, zabierając rannych, dostarczając amunicję. Wszystko pod ostrzałem przeciwnika. Po dwóch lub trzech dniach znowu nadchodziła mgła i helikoptery czekały w hangarach na kolejne okienko pogodowe. Reacher wyobraził sobie Hobbiego, jak całymi dniami wyleguje się na hamaku, z poczuciem ulgi lub sfrustrowany, znudzony lub spięty, żeby nagle na krótko wrócić do walki.

Raporty z wykonania zadań bojowych były przedzielone dokumentami dotyczącymi zakończenia pierwszego okresu służby w Wietnamie, rutynowego przyznania medalu, długiego urlopu w Nowym Jorku i początku drugiego pobytu w Wietnamie. Raportów z drugiego okresu było mniej niż z pierwszego. Ostatni dokument w teczce stanowił opis dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego lotu bojowego porucznika Victora Hobbiego. Nie było to rutynowe zadanie, lecz specjalna operacja. Hobbie wystartował z Pleiku i poleciał na wschód na lotnisko polowe w pobliżu przełęcz y An Khe. On i jego kolega mieli zabrać stamtąd czekających żołnierzy. Towarzyszył mu DeWitt Hobbie doleciał pierwszy. Wylądował na mikroskopijnym lądowisku będącym pod ostrzałem z broni maszynowej. Widziano, że wziął na pokład tylko trzech żołnierzy i niemal natychmiast wystartował. Kilka pocisków z karabinów maszynowych trafiło do helikoptera. Jego strzelcy pokładowi strzelali na ślepo, ponieważ nieprzyjaciel krył się w dżungli. DeWitt krzyknął, obserwując Hobbiego. Widział, jak seria pocisków trafiła w silnik helikoptera. Według oficjalnego raportu spisane go przez sekretarza kompanii DeWitt widział, jak zatrzymał się wirnik maszyny Hobbiego, a w pobliżu zbiornika paliwa pojawiły się płomienie. Helikopter rozbił się o drzewa sześć kilometrów na zachód od lądowiska.

- Lecił pod ostrym kątem, z prędkością ponad stu trzydziestu kilometrów na godzinę. DeWitt dostrzegł zielonkawy błysk, co zwykle wskazywało na eksplozję zbiornika paliwa poniżej koron drzew. Podjęto akcję ratunkową, ale musiano ją przerwać z powodu pogody. Nie znaleziono kawałków wraku. Teren kilka kilometrów na zachód od przełęcz y uważano za niedostępny, pierwotna dżungla, dlatego zakładano, że w pobliżu nie ma oddziałów Wietkongu. Ofiarom nie groziło natychmiastowe wzięcie do niewoli. Z tego powodu osmiu ludzi obecnych w helikopterze uznano za zaginionych w walce.

- Ale dlaczego? - zdziwiła się Jodie. - DeWitt widział eksplozję. Czemu uznano ich za zaginionych? Przecież na pewno wszyscy zginęli, prawda? Major Conrad wzruszył ramionami.

- Pewnie tak - przyznał. - Nikt jednak nie wiedział tego na sto procent. DeWitt zobaczył tylko błysk wśród drzew. Teoretycznie mógł to być na przykład skład amunicji Wietkongu,

który wybuchł wskutek przypadkowego trafienia ze spadającego helikoptera. Cokolwiek. W raportach potwierdzano

smierc w walce tylko wtedy, gdy nikt nie miał żadnych wątpliwości. Gdy ktoś widział to na własne oczy. Kiedyś samotny myśliwiec spadał do oceanu trzysta kilometrów od brzegu, uznawano pilota za zaginionego, nie zaś zabitego, bo mógł gdzieś dopłynąć lub mógł mu ktoś udzielić pomocy. Do uznania kogoś za zabitego konieczny był naoczny świadek. Może pani pokazać dziesięć razy grubsza teczkę ze szczegółowymi rozkazami wciąż na nowo określającymi, jak opisywać straty.

-Dlaczego? - spytała znowu Jodie. - Bo dowództwo lekalo się prasy?

-Nie - pokręcił głową Conrad. - Mówię tu o wewnętrznych sprawach armii. Gdy dowództwo bało się dziennikarzy, zawsze kłamało. W tej sprawie kierowało się dwoma względami. Po pierwsze, nikt nie chciał błędnie poinformować rodzin. Niech mi pani wierzy, na wojnie zdarzały się niesamowite historie. To było zupełnie obce środowisko. Czasami ludzie przeżywali w okolicznościach, w których wydawało się to zupełnie wykluczone. Znajdowali się po wielu dniach lub

tygodniach. Znajdowano ludzi dawno zaginionych. Trafiali do niewoli, a Wietnamczycy nie ogłaszali list jenców, zrobili to dopiero wiele lat później. Nie można mówić rodzicom, że ich syn poległ w walce, a potem spokojnie powiedzieć, że jednak się znalazł. Dlatego dowództwo wołało powtarzać, że zaginal, tak długo, jak tylko było to możliwe. - Conrad na chwilę przerwał. - Po drugie, dowództwo rzeczywiście się bało, ale wcale nie dziennikarzy. Bało się spojrzeć prawdzie w oczy. Nie chciało powiedzieć sobie, że dostajemy łanie, i to tegie. Reacher czytał sprawozdanie z ostatniego lotu Hobiego. Odszukał nazwisko drugiego pilota. Był to podporucznik F.G. Kaplan. Regularny partner Hobiego podczas prawie całej drugiej tury w Wietnamie.

-Czy mogłbym zobaczyć jego teczkę? - spytał majora.

-Seksja K? - stwierdził Conrad. - Potrwa jakieś cztery minuty. Siedzieli w milczeniu nad zimną kawą, aż wreszcie gonić przyniósł teczkę Kaplana. Wyglądem i objętością nie różniła

się od poprzedniej. Widniała taka sama tabelka z wpisanymi zamożnościami. Od dwudziestu lat tylko raz ktoś się nią zainteresował: w kwietniu zamówił ją przez telefon general Leon Garber. Reacher odwrócił teczkę i zaczął przeglądać dokumenty od poprzedniego, który niczym nie różnił się od ostatniego raportu w papierach Hobiego. Ta sama relacja z zadania bojowego spisana przez tego samego urzędnika tym samym charakterem pisma. Natomiast ostatni dokument nosił datę dokładnie dwa lata późniejszą. Była to formalna decyzja Departamentu Obrony. Po rozważeniu wszystkich okoliczności departament uznał, że podporucznik E.G. Kaplan zginął w walce sześć kilometrów na zachód od przelotu An Khe, gdy helikopter, którego był drugim pilotem, został zestrzelony przez nieprzyjaciela. Ciało nie znaleziono, ale zgodnie z decyzją w sprawach historycznych i rentowych Kaplana należało uważać za poległego. Reacher pokazał dokument majorowi.

-Więc dlaczego w tece Victora Hobiego nie ma takiej samej decyzji?

-Nie wiem - odpowiedział Conrad, kręcąc głową.

-Muszę polecieć do Teksasu - oznajmił Reacher. - - -

Lotniska Noi Bai pod Hanoi i Hickam Field niedaleko Honolulu leżą dokładnie na tej samej szerokości geograficznej, dlatego starłifter amerykańskich sił powietrznych nie poleciał ani na północ, ani na południe, lecz skierował się do południa. Lecił między zwrotnikiem Raka i równoleżnikiem określającym dwudziesty stopień szerokości geograficznej. Dziesięć tysięcy kilometrów, z prędkością dziewięćset kilometrów na godzinę, a zatem czas lotu wynosił dziesięć godzin, ale samolot zaczął schodzić do lądowania siedem godzin wcześniej, niż wystartował, o trzeciej po południu poprzedniego dnia. Gdy przekraczali linię zmiany daty, pilotka jak zwykle wszystkim to zakomunikowała. Siwowłosy

Amerikanin siedzący w tylnej części kokpitu cofnął zegarek, dodając ekstra-dzień do swojego życia.

Hickam Field to główne lotnisko wojskowe na Hawajach, ale dzieli pasy startowe i system kontroli lotów z cywilnym lotniskiem Honolulu International. Starlifter musiał krążyć nad oceanem, czekając, aż wylądował samolot JAL 747 z Tokio. Wreszcie obniżył lot, wyrównał i wylądował tuż za japońską maszyną. Koła zapisały się na beton, a silniki i zawyły na odwróconym ciągu. Pilotka nie przejmowała się subtelными regulami obowiązującymi w lotnictwie cywilnym. Ostro zahamowała, dzięki czemu transportowiec zatrzymał się jeszcze przed pierwszą drogą kołowania. Kierownictwo lotniska wymagało, żeby samoloty wojskowe trzymały się z daleka od turystów. Zwłaszcza japońskich. Pilotka pochodziła z Connecticut i niewiele przejmowała się głównym przemysłem hawajskim oraz wrażliwością orientalnych turystów, ale w ten sposób miała krótszą drogę kołowania do kompleksu wojskowego, dlatego zawsze starała się tak ładować. Starlifter powoli kołował po płycie, zgodnie z przepisami.

Zatrzymał się pięćdziesiąt metrów od długiego betonowego budynku blisko plotu z drutu kolczastego. Pilotka zgasił silniki. Przez chwilę siedziała w milczeniu. Pracownicy obsługi naziemnej dołączyli do samolotu gruby przewód elektryczny. Wszystkie systemy znowu ożyły zasilane prądem z lotniska. Dzięki temu cała ceremonia mogła się odbyć w ciszy. Eskorta honorowa na Hickam Field jak zwykle składała się z ośmiu żołnierzy reprezentujących cztery rodzaje broni - siły lądowe, marynarkę, siły powietrzne i piechotę morską. Żołnierze powoli pomaszerowali do samolotu. Zatrzymali się w dwuszeręgu. Pilotka nacisnęła guzik. Tylne ramy ze zgrzytem opadły na rozgrzany asfalt amerykańskiego terytorium. Eskorta powoli weszła do samolotu dokładnie środkiem ramy. Minęła stojące w milczeniu dwa szeregi - załogę samolotu i obsługę naziemną. Dowódca obsługi odpalił gumowe pasy i żołnierze eskorty honorowej zdjęli z polki pierwszą trumnę. Podnieśli ją na ramiona. Powoli opuszcili ciemną ładownię i zeszli po rampie na oświetloną jaskrawym słońcem płytę lotniska. Światło odbiło się od lśniącego aluminium, kontrastującego z kolorami narodowej flagi. W dali widac było błękitny Pacyfik i zielone wzgórza Oahu. Żołnierze zrobili zwrot w prawo i powoli pomaszerowali do długiego, betonowego budynku. Weszli do środka, ugięli kolana i postawili trumnę na podłodze. Stali przez chwilę w milczeniu z pochylonymi głowami i rękami splecionymi z tyłu, po czym wykonali w tył zwrot i pomaszerowali do samolotu.

Rozładunek siedmiu trumien trwał godzinę. Dopiero po zakończeniu pracy siwowłosy Amerykanin wstał ze swego fotela. Skierował się do schodków dla pilota. Zatrzymał się na nasłonecznionym górnym podestach, żeby przeciągnąć zmęczone kończyny.

12

Stone musiał poczekać pięć minut za przyciemnionymi oknami, ponieważ rampa ładunkowa w podziemiach World Trade Center była zajęta. Tony stał w pobliżu, opierając się o filar. Ukryty w ciemnościach czekał, aż ciężarówka odjedzie z głośnym rykiem diesla. Wykorzystał chwilę przerwy, nim nadjechała następna, żeby szybko przeprowadzić Stone'a do windy towarowej. Nacisnął guzik. Jechali w milczeniu, ze zwieszonymi głowami, ciężko dysząc i czując mocny zapach gumowej podłogi. Wysiedli na osiemdziesiątym ósmym piętrze. Tony rozejrzał się, czy nikt nie idzie. Korytarz był pusty. Szybko przeszli do biura Hobiego.

Mocno zbudowany mężczyzna stał za pulpitem recepcjonisty. Mineli go i weszli prosto do gabinetu. Jak zwykle w środku było ciemno. Zaciągnięte żaluzje nie przepuszczały światła. Hobie siedział nieruchomo za biurkiem, w milczeniu wpatrując się w Marilyn, która usadowiła się na sofie, z podwiniętymi nogami.

-No i co? - spytał. - Zadanie wykonane?

-Sheryl jest w szpitalu - odpowiedział Stone, kiwając głową.

-Gdzie? - spytała Marilyn. - W którym szpitalu?

-Świętego Wincentego - powiedział Tony. - Weszła prosto do izby przyjęć. Stone kiwnął głową na potwierdzenie jego słów. Dostrzegł, że Marilyn uśmiechnęła się z ulgą.

-Okay - powiedział Hobie. - To dobry uczynek na ten dzień. Teraz wróćmy do interesów. Co to za komplikacje, o których muszę wiedzieć?

Tony popchnął Stone'a w stronę sofy. Chester minął stolik do kawy i ciężko zwałił się obok Marilyn. Znowu wbił w zrok w przestrzeń.

-Słucham? - powiedział Hobie.

-Chodzi o akcje - wyjaśniła Marilyn. - Nie w pełni należą do meza. Hobie zmierzył ją ostrym spojrzeniem.

-Cholera, wiem, że należą. Sprawdziłem na giełdzie.

-Owszem, jest ich właścicielem, ale nie może nimi swobodnie dysponować - odpowiedziała Marilyn.

-Z jakiego powodu?

-Są wyznaczeni powiernicy. Oni kontrolują dostęp do akcji.

-Jacy powiernicy? Dlaczego?

-Ojciec Chestera tak zarządził przed śmiercią. Nie miał zaufania do syna, bał się, że popełni błąd. Uważał, że potrzebuje nadzoru. Hobie patrzył na nią uważnie.

-Wszystkie poważne decyzje dotyczące akcji muszą zostać kontrasygnowane przez powierników. - W gabinecie zapadła cisza. - Oboje - dodała.

Hobie spojrzał na Chestera. To było tak, jakby snop światła reflektora został skierowany w bok. Marilyn obserwowała jego zdrowe oko. Widziała, jak myśli. Widziała, jak daje się nabrąć. Wiedziała, że tak będzie, bo to kłamstwo pasowało do jego opinii o Chesterze. Firma Chestera zbankrutowała, bo był złym biznesmenem. Bliski krewny, na przykład ojciec, mógł łatwo ocenić jego umiejętności. A odpowiedzialny ojciec na pewno chciałby ochronić majątek rodziny, wyznaczając odpowiednich powierników.

-Tego się nie da ominąć - ciągnęła Marilyn. - Bogu wie, ile razy próbowaliśmy. Hobie kiwnął głową. To był minimalny ruch. Niemal niezauważalny. Marilyn uśmiechnęła się w myślach. Uśmiechnęła się triumfalnie. Jej ostatni komentarz przekonał Hiebiego. Nadzór powierników to coś, czego każdy chce się pozbyć. Próby wyeliminowania powierników potwierdzają ich istnienie.

-Kim są powiernicy? - spytał spokojnie.

-Jednym jestem ja - odpowiedziała Marilyn. - Drugim starszy partner w jego kancelarii adwokackiej.

-Tylko dwóch powierników? Marilyn kiwnęła głową.

-A ty jesteś jednym z nich? Marilyn znowu przytaknęła.

-Masz już mój głos. Mam tego dość. Chcę się pozbyć wszystkiego, żebyś się ode mnie odczepił.

-Jesteś bystrą kobietą - przyznał Hobie.

-Co to za kancelaria? - spytał Tony.

-Forster i Abelstein - odparła. - Niedaleko stąd.

-Kim jest starszy partner?

-Niejaki David Forster.

-Jak sie z nim umowimy? - spytal Hobie.

-Zadzwonie do niego - zaproponowala Marilyn. - Ja albo Chester, ale wydaje mi sie, ze w tej sytuacji bedzie lepiej, j
esli ja to zrobie.

-No to dzwon. Umow sie na spotkanie dzis po poludniu.

-Nie da sie tak szybko. - Marilyn pokrecila glowa. - Moze potrwać kilka dni. Zapadla cisza. Slychac bylo tylko odgl
osy zycia w ogromnym budynku. Hobie postukal

hakiem o biurko. Zamknal oczy. Uszkodzona powieka nie domknela sie calkowicie. Widac bylo kawalek bialka pod
obny do sierpa ksiezycy.

-Najpóźniej jutro rano - oswiadczył spokojnie. - Powiedz mu, ze to dla ciebie bardzo pilna sprawa. - Otworzył oczy.
- Kaz mu rowniez przefaksowac akty powiernicze - szepnal. - Do diabla, chce wiedziec, na czym stoje. Marilyn trze
sla sie w srodku. Przyciskala kurczowo reke do miekkiej sofy.

-Nie bedzie zadnych problemow. To tylko formalnosc.

-No to dzwon - polecil Hobie.

Marilyn chwiala sie na nogach. Stala niepewnie i obciagnela sukienke na udach. Chester na chwile dotknal jej lokcia
. Drobný gest wsparcia. Wyprostowala sie i poszla za Hobiem do recepcji.

-Dzwon przez dziewczec - powiedzial.

Marilyn stanela za pulpitem. Czula na sobie wzrok trzech mezczyzn. Przyjrzała sie konsoli, ale nie dostrzegła glosni
ka. Lekko odetchnela i podniosla sluchawke. Nacisnela dziewczec. W sluchawce rozlegl sie sygnal miejski.

-Zachowuj sie rozsadnie - przykazal Hobie. - Pamietaj, jestes inteligentna kobieta.

Zachowuj sie inteligentnie.

Kiwnela glowa. Hobie podniosl hak. Stal blysnela w sztucznym swietle. Hak wydawal sie ciezki. Byl starannie wyk
onczony i dokladnie wypolerowany. Proste i brutalne urzadzenie me-chaniczne. Hobie najwyrazniej chcial dac jej d
o zrozumienia, co moze nim zrobic.

-Forster i Abelstein - uslyszala pogodny glos recepcjonistki. - Czym mozemy sluzyc?

-Mowi Marilyn Stone - przedstawila sie. - Chcialabym rozmawiac z panem Forsterem. Nagle zaschlo jej w gardle.
Mowila ochryplym glosem. Przez chwile w sluchawce grala muzyka.

-Forster - odezwal sie adwokat. Mial niski glos. Slychac bylo, ze siedzi w duzym gabinecie.

-Davidzie, to ja, Marilyn Stone - powiedziala. Przez sekunde nie odpowiadala. Marilyn wiedziala juz, ze Sheryl wyko
nala jej instrukcje.

-Czy ktos nas podslychuje? - spytal spokojnie Forster.

-Nie, nic mi nie jest - odrzekla pogodnie. Hobie oparl hak o lade. Stal blyszczala na wysokosci jej piersi, w odleglos
ci pol metra od oczu.

-Powinnas zawiadomic policje.

-Nie, chodzi mi o spotkanie powierników. Kiedy najwcześniej możemy się spotkać?

-Twoja znajoma, Sheryl, powiedziała mi, czego chcesz - ciagnał Forster. - To nie będzie łatwe. Nasi ludzie nie poradzą sobie z tym zadaniem. Nie jesteśmy do tego przygotowani. Nasza kancelaria nie zajmuje się takimi sprawami. Będzie musiał znaleźć prywatnego detektywa.

-Czy moglibyśmy umówić się na jutro rano? Obawiam się, że to dość pilna sprawa.

-Pozwól, że zawiadomie policję.

-Nie, Davidzie, w przyszłym tygodniu to zdecydowanie za późno. Jeśli to możliwe, musimy się pośpieszyć.

-Nie wiem nawet, gdzie szukać. Nigdy jeszcze nie korzystaliśmy z usług prywatnego detektywa.

-Poczekaj chwileczkę. - Marilyn zakryła mikrofon ręką i spojrzała na Hobiego. - Jeśli koniecznie chcesz jutro, to musimy się spotkać w kancelarii.

-Nie. Spotkamy się tutaj, na moim terenie - zażądał Hobie. Marilyn odsłoniła mikrofon.

-Davidzie, a może pojutrze? Przykro mi, ale musimy spotkać się tutaj. To delikatna sprawa.

-Naprawdę nie chcesz, żebym zadzwonił na policję? Jesteś absolutnie pewna?

-Hm, są pewne komplikacje. Wiesz, jak to jest. Zdarzają się delikatne sytuacje.

-Dobrze, spróbuję znaleźć kogoś odpowiedniego. To zajmie mi trochę czasu. Będzie musiał poprosić o rekomendację.

-Doskonale, Davidzie.

-Jeśli jesteś pewna, że tak chcesz to załatwić, to zaraz się tym zajmę, choć nie całkiem rozumiem, co chcesz osiągnąć.

-Tak, zgadzam się z tobą - powiedziała. - Dobrze wiesz, że system wprowadzony przez ojca Chestera zawsze nas irytował. Ingerencja z zewnątrz może niekiedy zmienić sytuację, nie sądzisz?

-O drugiej po południu - rzekł Forster. - Pojutrze. Nie wiem, kto to będzie, ale postaram się znaleźć kogoś dobrego. Zgodna?

-Pojutrze, druga po południu - powtórzyła. Wyrecytowała adres. - Doskonale. Dziękuję, Davidzie. Rece jej się trzęsły. Gdy odkładała słuchawkę, rozległo się grzechotanie.

-Nie poprosiłaś o przesłanie aktów powiernictwa - zauważył Hobie. Wzruszyła nerwowo ramionami.

-Nie było potrzeby. To formalność. Forster mógłby nabrać jakichś podejrzeń. Cisza. Hobie kiwnął głową.

-Dobrze - zgodził się. - Pojutrze o drugiej po południu.

-Potrzebujemy ubrań. To ma być spotkanie w interesach. Nie możemy wystąpić tak jak teraz.

-Mnie się podoba wasz ubiór - odparł Hobie z uśmiechem. - Obojga. No, ale Chester może ode mnie pożyczyć swój

stary garnitur. Ty zostaniesz w tej sukience. Marilyn kiwnęła głową. Była zbyt wyczerpana, żeby naciskać.

-Wracajcie do łazienki! - rozkazał Hobie. - Wyjdziecie pojutrze o drugiej po południu. Zachowujcie się grzecznie, to dostaniecie dwa posiłki dziennie.

Wyszli w milczeniu. Tony zamknął za nimi drzwi. Przeszedł przez ciemny gabinet i wrócił do poczekalni, gdzie czekał na niego Hobie.

-Pojutrze to o wiele za późno - stwierdził. - Na łaskę boską, przecież na Hawajach

dowiedzia się już dziś. Jutro to ostateczny termin.

Hobie pokiwał głową. W świetle reflektorów widać było spadającą piłkę. Gracz skoczył. Plot był coraz bliżej.

-Rzeczywiście, trochę brakuje czasu - przyznał.

-Trochę? Ma pan cholernie mało czasu. Powinien pan zniknąć stąd, i to natychmiast.

-Nie mogę, Tony. Dałem słowo w sprawie tej transakcji, zatem muszę dostać akcje. Wszystko będzie okay. Nie martw się. Pojutrze o drugiej trzydziestej będę miał akcje. O trzeciej zostaną zarejestrowane, do piątej je sprzedam i w porze kolacji już nas tu nie będzie. Pojutrze wieczorem będzie po wszystkim.

-To szalenstwo! Sprowadzać tu prawnika? Żaden prawnik nie może się to pojawiać. Bobie

spojrzał na niego.

-Prawnik - powtórzył powoli. - Wiesz, co jest podstawą sprawiedliwości? - Co takiego?

-Bezstronność - odrzekł Hobie. - Bezstronność i równość. Skoro oni chcą sprowadzić prawnika, to my również powinniśmy to zrobić. Dla równości stron.

-Chryście, Hobie, nie możemy mieć tu dwóch adwokatów.

-Możemy - powiedział Hobie. - Sadzę nawet, że powinniśmy.

Hobie obszedł pulpit i usiadł na krześle, na którym przed chwilą siedziała Marilyn. Było jeszcze ciepło. Siegnął po książkę, telefoniczną z żółtymi stronami. Wybrał kancelarie i nacisnął dzwonek. Siedmioma precyzyjnymi ruchami ręki wydał numer.

-Spencer Gutman - usłyszał pogodny głos. - Czym możemy służyć?

--

Sheryl leżała w łóżku na znak podłączona do kroplówki. Miała wenflon wkluty w lewą rękę i przymocowany plaster. Przy łóżku stał wysoki metalowy stojak, na którym wisiała plastikowa torba z płynem. Sheryl

czuła, jak ciecz powoli spływa do żyły. Czowała, że ma ciśnienie wyższe niż zwykle. Szumiało jej w głowie i wyczuwała uderzenia pulsu za uszami. Ciecz w worku była przezroczysta jak woda, ale najwyraźniej działała. Twarz już jej nie bolała. Bol ustąpił, była spokojna i senna. Już chciała zawołać pielęgniarkę i powiedzieć, że nie potrzebuje środków przeciwbólowych, ale się zreflektowała. Zdawała sobie sprawę, że ból znikł właśnie dzięki tym lekarstwom i natychmiast wróci, jeśli pielęgniarka odłączy kroplówkę. Spróbowała zachichotać z tego nieporozumienia, ale oddychała zbyt wolno, żeby wydobyć z siebie jakiś dźwięk. Uśmiechnęła się tylko do siebie, zamknęła oczy i odpłynęła w ciepłą głębinę łóżka. Obudził ją jakiś hałas w pokoju, przy jej łóżku. Otworzyła oczy. Zobaczyła sufit, biały i jasno oświetlony. Z trudem spoglądała wzdłuż łóżka. W nogach stały dwie osoby, mężczyzna i kobieta. Patrzyli na nią. Mieli na s

obie mundury. Niebieskie koszule z krótkimi rękawami, długie, ciemne spodnie, wygodne polbuty. Na koszulach widniały liczne emblematy. Jasne, haftowane patki, metalowe odznaki. Poza tym pasy z ekwipunkiem: palka, kajdanka mi, radiem. Wielka kabura z rewolwerem z drewniana kolba. Policjanci. Oboje w zaawansowanym wieku. Dość niscy. Dość szerocy. Z ciężko obciążanymi pasami nie wyglądali zbyt zgrabnie.

Oboje cierpliwie się jej przyglądali. Znowu spróbowała się zaśmiać. Ze spokojem patrzyli na pacjentkę. Mężczyzna jużłysiał. W jego łśniącym czole widac było odbicie sufitu. Kobieta miała trwałą ondulację i włosy koloru marchewki. Była starsza od partnera, mogła mieć ponad pięćdziesiąt lat. Na pewno miała dzieci, Sheryl była o tym przekonana. Policjantka patrzyła na nią macierzyńskim wzrokiem.

-Możemy usiąść? - spytała.

Sheryl skinęła potakująco. Gęsta ciecz szumiała jej w głowie, miała kłopoty ze skupieniem myśli. Kobieta przysunęła krzesło i usiadła po prawej stronie łóżka, daleko od stojącej kłopotliwej.

Mężczyzna usiadł za nią. Kobieta pochyliła się w stronę łóżka, a mężczyzna odchylił się do tyłu. Sheryl widziała jego twarz za plecami policjantki. Byli bardzo blisko. Trudno jej było skupić wzrok na ich twarzach.

-Nazywam się O'Hallinan - przedstawiła się kobieta. Sheryl znowu kiwnęła głową. To

nazwisko pasowało do

kobiety. Rude włosy, grube rysy, mocna budowa - musiała nosić irlandzkie nazwisko. W nowojorskiej policji służy wiele osób irlandzkiego pochodzenia. Niekiedy to rodzinny zawód, dziedziczony z pokolenia na pokolenie.

-A ja Sark - dodał jej partner.

Był blady. Błada biała skóra wydawała się papierowa. Ogołił się, ale na policzkach widac już było cien. Miał wpadnięte oczy, lecz uśmiechał się uprzejmie. Zmarszczki wokół oczu. Sheryl była pewna, że jest wujem. Miał siostrzenicę w i siostrzenice, którzy go lubili.

-Chcielibyśmy porozmawiać z panią o tym, co się stało - wyjaśniła O'Hallinan.

Sheryl zamknęła oczy. W rzeczywistości sama niezbyt dobrze to pamiętała. Wiedziała, że weszła do domu Marilyn. Pamiętała zapach płynu do prania wykładzin. Pomyslała wtedy, że to błąd. Klient może podejrzewać, że Marilyn coś próbuje ukryć. Sekunde potem leżała na podłodze i czuła potworny ból.

-Czy może nam pani powiedzieć, co się stało? - spytał Sark.

-Uderzyłam się o drzwi - szepnęła. Kiwnęła głową, jakby chciała potwierdzić swoje słowa. To było ważne. Marilyn nalegała, żeby nie zawiadamiała policji. Jeszcze nie.

-O jakie drzwi?

Sheryl nie miała pojęcia. Marilyn jej nie powiedziała. Tego nie ustaliły. Jakie drzwi? Spanikowała.

-W biurze - odparła.

-Czy ma pani biuro w Nowym Jorku? - spytała O'Hallinan.

Sheryl milczała. Patrzyła tępo w twarz policjantki.

-Z polisy ubezpieczeniowej wynika, że pracuje pani w Westchester - stwierdził Sark. - Jest pani agentem pośredniczącym w handlu nieruchomościami w Pound Ridge. Sheryl ostrożnie przytaknęła.

-Zatem uderzyła się pani o drzwi w biurze w Westches-ter - zauważyła O'Hallinan. - Teraz jest pani w szpitalu w Nowym Jorku, osiemdziesiąt kilometrów od biura.

-Jak to się stało, proszę pani? - dociekał Sark. Sheryl nie odpowiadała. Zapadła cisza. Słyszała tylko szum w uszach i skroniach.

-Możemy pani pomóc - oznajmiła uprzejmie O'Hallinan. - Po to tu jesteśmy. Przyjechalismy, żeby pani pomóc. Postaramy się, żeby coś takiego nie zdarzyło się ponownie. Sheryl ostrożnie kiwnęła głową.

-Musisz nam jednak powiedzieć, jak to się stało. Czy on często to robi? Sheryl spojrzała na nią ze zdziwieniem. Przez chwilę nie rozumiała, o czym mówi.

-Czy dlatego tu pani przyjechała? - spytał Sark. - Nowy szpital, żadnych dokumentów na temat poprzednich zdarzeń

tego rodzaju. Gdybyśmy popytali w Mount Kisco lub White Plains, czego byśmy się dowiedzieli? Czy dowiedzielibyśmy się, że dobrze panią znają? Może z przeszłości? Gdy wcześniej tak panią potraktował?

-Uderzyłam się o drzwi - szepnęła Sheryl. O'Hallinan pokręciła głową.

-Sheryl, wiemy, że to nieprawda.

Wstała i wyciągnęła zdjęcie rentgenowskie z podświetlonej gablotki na ścianie. Podniosła je pod światło, tak jak to robią lekarze.

-Tutaj widac twój nos - powiedziała, wskazując palcem. - Tutaj kości policzkowe, tu czoło

i tu podbródek. Widzisz? Masz zmiądzony nos i polamane kości policzkowe. Uszkodzone są

kości położone głębiej niż linia łącząca brodę z czołem. Natomiast broda i czoło są nietknięte.

Z tego wynika, że otrzymałaś uderzenie czymś ustawionym poziomo. Co to było? Palka?

Uderzył, trzymając ją poziomo?

Sheryl gapiała się na zdjęcia. Jej kości wyglądały jak nieostre plamy. Widac było ogromne oczodole. Środki przeciwbólowe szumiały jej w głowie, była słaba i senna.

-Uderzyłam się o drzwi - szepnęła.

-Krawiec drzwi jest pionowa - cierpliwie tłumaczył Sark. - Gdybyś uderzyła się o drzwi, miałabyś rany na brodzie i czołe, prawda? Tak podpowiada zdrowy rozsądek. Gdybyś złamała sobie kości policzkowe, uderzając o pionową krawiec, musiałabyś też zdrowo o nią walić czołem i brodą. Sark popatrzył na zdjęcie ze smutkiem.

-Możemy ci pomóc - powtórzyła O'Hallinan. - Powiedz nam, co się stało, a postaramy się, żeby już nigdy się nie powtórzyło. Możemy się postarać, żeby już nigdy czegoś takiego nie zrobił.

-Chcę mi się spać - szepnęła Sheryl. O'Hallinan pochyliła się ku niej.

-Czy łatwiej byłoby ci o tym mówić, gdyby mój partner wyszedł? - spytała szeptem. - Moglibyśmy porozmawiać w cztery oczy.

-Uderzyłam się o drzwi - wyszeptwała Sheryl. - Teraz chce spać. O'Hallinan cierpliwie

pokiwała głową.

-Zostawie ci wizytówkę. Jeśli będziesz chciała porozmawiać, gdy się zbudzisz, po prostu zadzwon, dobrze?

Sheryl bezwładnie kiwnęła głową. Policjantka wyciągnęła z kieszeni wizytówkę i położyła ją na szafce obok łóżka.

-Nie zapomnij, naprawdę możemy ci pomóc - przypomniała.

Sheryl milczała. Albo spała, albo udawała. O' Hallinan i Sark odciągnęli parawan i wyszli na korytarz, do recepcji. Lekarka spojrzała na nich. O'Hallinan pokręciła głową

-Twardo zaprzecza - powiedziała.

-Uderzyła się o drzwi - sarkastycznie dodał Sark. - Drzwi, które pewnie były na gazie, waga sto kilogramów i wymaga chują palka do baseballu.

-Do licha, dlaczego kobiety osłaniają takich lajdaków? - westchnęła lekarka.

-Widziałam, jak tu przyszła - wtraciła się pielęgniarka. -

-Widziałam, jak tu przyszła - wtraciła się pielęgniarka. - To wyglądało naprawdę dziwnie.

Wysiadła z samochodu po przeciwnej stronie ulicy. Sama przeszła aż tutaj. Miała za duże buty, zauważyliście? W samochodzie siedzieli dwaj faceci. Przyglądali się, jak idzie, a potem bardzo szybko odjechali.

-Jaki to był samochód? - spytał Sark.

-Czarna duża bryka.

-Pamięta pani numer rejestracyjny?

-A czy ja jestem mistrzem pamięci? O'Hallinan wzruszyła ramionami i chciała odejść.

-Jednakże numer powinien być na wideo - nagle dodała pielęgniarka.

-Na jakim wideo? - spytał Sark.

-Z kamery nad drzwiami. Stoimy zawsze dokładnie pod kamerą, żeby dyrekcja nie mogła sprawdzić, jak długo trwa przerwa na papierosa. Kamera rejestruje to samo, co my widzimy. Godzina przybycia Sheryl została odnotowana w recepcji. Szybko przewineli taśmę. Przez minuty śledwstecz filmie, jak Sheryl wychodzi, przecina podjazd dla karettek, plac przed szpitalem, przechodzi tyłem przez jezdnię i zatrzymuje się obok dużego czarnego samochodu. O'Hallinan pochyliła się nad ekranem.

-Dobra, mam numer - powiedziała. - - -

Jodie wybrała hotel na tę noc. Znalazła dział podróży w najbliższej księgarni, przejrzała przewodniki po St Louis i wybrała hotel zalecany przez trzech autorów.

-To zabawne, nie sadsisz? Jesteśmy w St Louis, a w dziale podróży jest więcej

przewodników po St Louis niż po jakimkolwiek innym miejscu. Czy to dział podróży?

Powinien się nazywać raczej działem dla pozostających w domu.

Reacher czuł się trochę nieswojo. Ta metoda była dla niego czymś nowym. Hotele, w których zazwyczaj się zatrzymywał, nie reklamowały się w przewodnikach. Zadowolali się neonami na wysokich słupach, chwalić się atrakcjami, które przestały być atrakcjami i zmieniły się w podstawowe wyposażenie: na puszczonej mniej więcej dwadzieścia lat temu, na przykład klimatyzacja, telewizja kablowa i basenem.

-Potrzymaj - poprosiła Jodie.

Reacher wziął od niej przewodnik i założył kciukiem stronę. Jodie odszukała w torebce komórkę. Wziela od niego książkę, wybrała numer, stojąc między polkami, i zadzwoniła do hotelu. Reacher przyglądał się jej. Nigdy jeszcze nie dzwonił do hotelu. W hotelach, w których się zatrzymywał, zawsze były wolne pokoje, niezależnie od okoliczności. Właściciele byli zachwyceni, jeśli kiedyś ponad połowa pokoi była zajęta. Przysłuchiwał się rozmowie, ale słyszał tylko to, co mówiła Jodie. Wymieniała kwoty, za które, nieco się targując, mogłby zapewnić sobie łóżko na cały miesiąc.

-Okay - powiedziała. - Mamy pokój. Apartament dla nowożeńców. Łóżko z baldachimem. Niezłe, co? Reacher się uśmiechnął. Apartament dla nowożeńców.

-Musimy coś zjeść - przypomniał. - Czy dają tam kolacje? Jodie pokręciła głową. Otworzyła przewodnik na dziale restauracji.

-Oczywiście, ale dużo zabawniej jest pojeść gdzieś indziej. Lubisz francuską kuchnię?

-Moja mama była Francuzką - powiedział, kiwając głową.

Jodie zajrzała do przewodnika. Znowu sięgnęła po komórkę i zarezerwowała stolik dla dwóch osób w modnej restauracji w historycznej dzielnicy miasta, niedaleko hotelu.

-Mamy rezerwację na osiem - oznajmiła. - Zostało dość czasu, żeby nieco się rozejrzeć po mieście. Potem możemy zameldować się w hotelu i odświeżyć przed kolacją.

-Zadzwoń na lotnisko - zauważył Reacher. - Musimy wylecieć jutro wcześnie rano. Do Dallas-Fort Worth.

-Zrobię to na zewnątrz. Z książkami nie dodzwonię się na lotnisko. Reacher niosł jej torbę. Jodie kupiła prymitywną turystyczną mapę St Louis. Wyszli na zewnątrz. Było już późne popołudnie, ale wciąż prażyło słońce. Rozłożył mapę, a Jodie zadzwoniła

do biura linii lotniczych i zarezerwowała dwa bilety pierwszej klasy do Teksasu na osiem trzydzieści rano. Potem spacerowali wzdłuż brzegu Missisipi płynącej przez miasto. Przechadzali się, trzymając się za ręce. Połtorej godziny. Przeszli sześć kilometrów przez całą historyczną dzielnicę miasta. Hotel mieścił się w starej rezydencji średniej wielkości przy spokojnym, szerokim bulwarze wysadzonym kasztanowcami. Weszli do środka przez duże czarne drzwi. Podłoga w holu była wyłożona debowym parkietem koloru miodu. Recepcjonistka siedziała przy starym mahoniowym biurku stojącym z boku. Reacher spojrzał na nią zaskoczony. W hotelach, w których zwykle bywał, recepcjonista siedział za metalową siatką lub kuloodporną szybą z pleksiglasu. Elegancka pani z siwymi włosami przesunęła kartę kredytową Jodie przez czytnik, po czym podała jej kwit do podpisu, a Reacherowi mosiężny klucz.

-Milego pobytu, pani Jacob - powiedziała.

Apartament dla nowozencow zajmowal cale poddasze. Na

blyszczacym, wypastowanym parkiecie z debu lezalo kilka starych dywanow. Sufit mial skomplikowana geometryczna strukture zlozona z plaszczyn i lukarn. W salonie staly dwie sofy z tapicerka w kwietne wzory. Obok znajdowala sie lazienka, a za nia sypialnia z gigantycznym lozkiem z baldachimem, nakrytym narzuta w taki sam kwietny wzor jak sofy. Lozko bylo tak wysokie, ze gdy Jodie na nim usiadla, nie siegala nogami do podlogi. Trzymajac rece pod kolanami, machala stopami w powietrzu. W oknie za nia widac bylo slonce. Jodie sie usmiechnela. Reacher postawil torbe na podlodze i stal nieruchomo. Patrzyl na nia. Jodie miala niebieska koszule koloru posredniego miedzy chabrowym i blekitem jej oczu. Koszula z miiego materialu, pewnie jedwabiu, byla zapieta na piec guzikow podobnych do malych perel. Dwa gorne pozostaly rozpiete. Pod ciezaem kolnierza koszula rozchylala sie na boki. Widac bylo skore szyi, rowniez miodowa, lecz nieco jasniesza od parkietu. Koszula nie byla duza, ale mimo to luzno ukladala sie na jej ciele. Jodie wsunela ja w spodnie, stare, wielokrotnie prane, lecz starannie wyprasowane dzinsy z paskiem z czarnej skory mocno scisnietym wokol talii. Na golych nogach miala niebieskie pantofle na niskim obcasie, z delikatnej skory, prawdopodobnie wloskie. Gdy machala nogami, Reacher widzial podeszwy. Miala nowe buty, prawie nienoszone.

-Czemu sie tak przygladasz? - spytala. Przechylila glowe na bok, z niesmialym i figlarnym usmiechem.

-Tobie - odrzekl.

Guziki rzeczywiscie byly zrobione z perel z naszyjnika, zdjetych z nitki i przyszytych do koszuli. Slizgaly sie w jego niezrecznych palcach. Bylo ich piec. Reacher rozpiął cztery, delikatnie wyciagnal jej koszule zza paska dzinsow i rozpiął piaty. Jodie po kolei uniosla rece, zeby mogl latwiej rozpiac mankiety. Zsunal koszule z jej ramion. Pod spodem nie miala nic. Jodie pochytila sie i zajela sie jego guzikami. Zaczela od dolu. Miala niewielkie, delikatne i precyzyjne dlonie. Szybsze niz on. Reacher mial rozpiete mankiety, bo z powodu grubych nadgarstkow nie mogl zapiac za dnej kupionej w sklepie koszuli. Jodie przesunela rekami po jego piersi, odsunela koszula i sciagnela z jego barkow. Pociagnela w dol, zsuwajac ja z ramion. Material opadl na podloge z cichym szmerem bawelny i stuknieciem guziko w o drewno. Przesunela palcami po bliznie po oparzeniu.

-Wziales masc?

-Nie.

Jodie objela go w pasie, pochytila glowe i pocalowala rane. Poczul jej chlodne i twarde usta na wzrażliwej skorze. Potem kochali sie po raz piaty w ciagu pietnastu lat, na lozku z baldachimem, na najwyzszym pietrze starej rezydencji, podczas gdy slonce za oknem oddalalo sie na zachod, gdzieś w strone Kansas.

--

Wydzial przemocy domowej nowojorskiej policji wynajmowal pomieszczenia wszedzie, gdzie tylko mogl. W tym czasie zajmowal duzy pokoj nad biurami administracji w budynku przy Police Plaza. O'Hallinan i Sark wrocili tam go dzine przed

zakonczeniem zmiany. To byl czas przeznaczony na papierkowa robote. Oboje od razu usiedli przy biurkach, otworzyli notesy i zaczeli pisac, dokumentujac kolejne wydarzenia tego dnia. Gdy dotarli do wizyty w szpitalu Swietego Wincentego, do konca pracy zostalo im jeszcze pietnascie minut. Zrelacjonowali to jako prawdopodobne pobicie, do dajac, ze ofiara odmawia wspolpracy z policja. O'Hallinan wykrecila formularz z maszyny do pisania. W tym momencie zauwazyla zapisany w notesie numer rejestracyjny. Siegnela po telefon, zeby zadzwonic do wydzialu samochodowego.

-Czarny chevrolet tahoe - poinformowal ja urzednik. - Wlascicielem jest Cayman

Corporate Trust majaca biuro w World Trade Center.

O'Hallinan wzruszyła ramionami. Zapisala informacje w notesie. Zastanawiala sie, czy ponownie wkrecic formularz i dodac te informacje. Rozwazania przerwal jej telefon od tego samego urzednika z wydzialu samochodowego.

-Mam jeszcze cos - powiedzial. - Ten sam wlasciciel porzucil wczoraj czarnego chevroleta

suburbana na Broadwayu po wypadku z udzialem trzech samochodow. Pietnasty Komisariat

odnotowal wrak.

-Kto sie tym zajmuje? Ma pan nazwisko tego z pietnastki?

-Przykro mi, ale nie.

OMlallmaw przerwala polaczenie. Zadzwonila do wydzialu drogowego w Pietnastym Komisariacie, ale tam rownie z wlasnie zbлизala sie pora zmiany i niczego sie nie dowiedziala. Napisala notatke dla siebie, zeby sprawdzic to jutro . Wrzucila ja do skrzynki z korespondencja przychodzaca. Konczyli juz prace. Sark wstal od sasiedniego biurka.

-Idziemy stad - stwierdzil. - - Praca zamiast zabawy to dobre dla nudziarzy.

-Bardzo slusnie - zgodzila sie O'Hallinan. - Masz ochote na piwo?

-Co najmniej jedno - odpowiedzial Sark. - Moze dwa.

-No to idziemy.

-- -

Wzieli razem dlugi prysznic w przestronnej lazience apartamentu dla nowozencow. Pozniej Reacher owinal sie recznikiem kapielowym, rozlozyl na sofie i patrzyl, jak Jodie sie szykuje. Wyjela z torby nowa sukienke skrojona tak samo jak zolta lniana, w ktorej poszla do pracy, ale uszyta z niebieskiego jedwabiu. Wlozyla ja przez glowe i poruszyl a biodrami, zeby opadla na miejsce. Sukienka miala prosty, niewielki dekolt i siegala prawie do kolan. Wlozyla te same niebieskie pantofle. Wytarla recznikiem wlosy i zaczesala je do tylu. Znowu podeszla do torby i wyciagnela z niej naszyjnik, ktory Reacher kupil jej kiedys w Manili.

-Pomozesz mi zapiac?

Jodie uniosla wlosy z karku. Pochylil sie ku niej. Naszyjnik mial postac ciezkiego, zlotego lancucha. Prawdopodobnie nie byl ze zlota, nie za te cene, jaka Reacher zaplacicl, ale na Filipinach wszystko bylo mozliwe. Reacher mial grube paluchy i polamane paznokcie wskutek pracy fizycznej. Wstrzymal

oddech. Dopiero za druga proba udalo mu sie zapiac naszyjnik. Pocalowal ja w kark. Jodie odrzucila wlosy na plecy . Byly ciezkie, wilgotne i pachnialy latem.

-No, wreszcie jestem gotowa.

Uśmiechnela sie i rzucila mu rzeczy pozbierane z podlogi. Reacher ubral sie, walczac z bawelna klejaca sie do wilgotnej skory. Pozyczyl od niej grzebien i uczesal sie. W lustrze zobaczyl odbicie stojacej za nim Jodie. Wygladala jak księżniczka wybierajaca sie na kolacje z ogrodnikiem.

-Jeszcze sie okaze, ze mnie nie wpuszcza - powiedzial. Jodie wyciagnela sie i poprawila mu kolnierzyk z tylu. Zle sie ukladal z powodu jego nadmiernie rozwinietych miesni plecowa.

-Jak mogliby cie zatrzymac? Wezwac Gwardie Narodowa? Do restauracji mieli cztery przecznice. Czerwcowy wieczor

w Missouri, nad rzeką. Powietrze było spokojne i wilgotne. Szumiały kasztanowce poruszane lekką bryzą z nad wodą. Na ulicach był spory ruch. Drzewa się nie zmieniły, ale przybyło samochodów jeżdżących i parkujących pod nimi. Wśród budynków widac było hotele i restauracje, często z francuskimi nazwami. Szyldy i napisy były oświetlone reflektorami. Żadnych neonów. Jodie wybrała restaurację o nazwie La Prefecture. Reacher się uśmiechnął. Zastanawiał się, czy kochankowie w jakimś francuskim miasteczku kiedykolwiek wybrali się do restauracji zwanej Urząd Miejski, bo jeśli dobrze pamiętał, to właśnie znaczyło to francuskie słowo.

Mimo to lokal okazał się całkiem przyjemny. Przy drzwiach powitał ich chłopak pochodzący ze Środkowego Zachodu, usiłujący mówić z francuskim akcentem. Zaprowadził ich do stolika na tarasie oświetlonym świecami, wychodzącym na ogród na tyłach budynku. W ogrodzie urządzono fontannę ze światłami na dnie, drzewa były oświetlone reflektorami przymocowanymi do pni. Na stole leżał lniany obrus, a sztuczki były ze srebra. Reacher zamówił amerykańskie piwo, a Jodie pernod i wodę. - Sympatyczne miejsce, prawda? - powiedziała. Reacher kiwnął głową. Wieczór był ciepły i bardzo spokojny.

-Powiedz mi, jak się czujesz? - spytał.

-Bardzo dobrze - odparła, patrząc na niego ze zdziwieniem.

-A dokładniej?

-Reacher, usiłujesz mnie wybadac? - spytała z niesmiałym uśmiechem.

-Nie. Myślę o czymś. Jesteś zrelaksowana? - Też się uśmiechnął. Skinęła głową.

-Czujesz się bezpieczna? Znowu skinęła.

-Ja też - powiedział. - Bezpieczny i swobodny. Co to oznacza? Kelner przyniósł napoje na srebrnej tacy. Pernod w wysokiej szklance i dzbanek wody importowanej z Francji. Piwo w kuflu pokrytym szronem. W takim lokalu nie podają piwa w butelkach.

-No, co twoim zdaniem to oznacza? - spytała Jodie. Dolała wody do bursztynowego napoju, który zmienił kolor na mleczny. Zakreśliła szklanką, żeby wymieszać anyżówkę z wodą. Reacher poczuł silny zapach.

-To oznacza, że mamy do czynienia z niewielką grupą - odpowiedział. - To niewielka operacja z bazą w Nowym Jorku. Tam byliśmy zaniepokojeni, tu czujemy się bezpieczni.

Reacher podniósł kufel i wypił duży łyk piwa.

-To tylko odczucie - stwierdziła Jodie. - To niczego nie dowodzi.

-Nie, ale odczucia bywają przekonujące. Mamy również pewne dowody. Tam nas ścigali i atakowali, natomiast tutaj nikt nie zwraca na nas uwagi.

-Rozglądałaś się? - spytała z wyraźnym zaniepokojeniem.

-Zawsze się rozglądam - odrzekł. - Chodziliśmy po mieście powoli i nie kryjąc się. Nikt nas nie śledził.

-Brakuje im ludzi? Reacher pokiwał głową.

-Mają dwóch facetów, którzy byli w Keys i Garrison, i trzeciego, który prowadził suburbana.

Przypuszczam, że to

wszystko, czym dysponują, bo inaczej byłoby tutaj i śledzili, co robimy. To niewielka grupa mająca siedzibę w Nowym Jorku.

Teraz Jodie przytaknęła ruchem głowy. - Moim zdaniem to Victor Hobie - oświadczyła.

Kelner znowu podszedł do ich stolika, tym razem z bloczkiem i ołówkiem. Jodie zamówiła pate i jagnię, a Reacher zupę i porc aux pruneaux, ponieważ w dzieciństwie zawsze to jadł w niedziele na obiad, jeśli oczywiście w miejscu, gdzie pełnił służbę ojciec, matka mogła kupić wieprzowinę i sliwki. To było regionalne danie z doliny Loary, a choć mama pochodziła z Paryża, gotowała je dla synów, ponieważ sadziła, że to coś w rodzaju ekspresowego wprowadzenia w jej ojczystą tradycję.

-Nie sądzę, żeby to był Victor Hobie - stwierdził Reacher.

-Myślę, że tak - uparła się Jodie. - Jakims cudem przeżył i od tej pory się ukrywa. Nie chce, żeby go znaleziono.

Reacher potrząsnął głową.

-Też o tym myślałem na początku. To jednak jest nieprawdopodobne z psychologicznego punktu widzenia. Czytałeś jego dokumenty. Jego listy. Powtórzyłem ci, co opowiadał

o nim jego stary kumpel b.d. Steven. To był szczerzyj, uczciwy prostoduszny chłopak. Trochę nudny, całkowicie normalny. Nie mogę uwierzyć, że tak po prostu zerwał kontakt z rodzicami. Od trzydziestu lat się do nich nie odezwał. Dla czego miałby to robić? To zupełnie nie pasuje do wszystkiego, co o nim wiemy.

-Może się zmienił - zasugerowała Jodie. - Tata zwykł mówić, że Wietnam zmieniał ludzi.

Zazwyczaj na gorsze.

Reacher pokręcił głową.

-On zginał - powiedział. - Szesc kilometrów na zachód od przełęcz An Khe trzydzieści lat temu.

-Żyje i mieszka w Nowym Jorku. Wciąż stara się pozostać w ukryciu. - - -

Hobie stał na tarasie na trzydziestym piętrze, oparty o barierę, plecami do parku. Trzymał przy uchu bezprzewodowy telefon i sprzedawał mercedesa Stone'a pewnemu facetowi z Queens.

-Jest jeszcze bmw - powiedział. - Coupe, seria osiem. Teraz znajduje się w Pound Ridge.

Dam ci rabat pięćdziesiąt procent, jeśli jutro dostanę torbę z gotówką.

Hobie przerwał. Słuchał, jak tamten wciąga powietrze przez zęby, jak zawsze robią handlarze samochodami, gdy rozmawia się z nimi o pieniądzach.

-Powiedzmy, trzydziści patyków za oba, gotówka na

Facet mruknął, że się zgadza. Hobbie przeszedł do następnej pozycji na liście.

-Mam jeszcze tahoe i cadillaca. Daj czterdzieści i możesz wybrać, którego chcesz. Handlarz przez chwilę się zastanawiał, po czym zdecydował się na tahoe. Większa popularnością cieszą się używane samochody z napędem na cztery koła niż limuzyny, zwłaszcza na Południu. Hobbie wiedział, że handlarz tam właśnie wysłał te samochody. Wyciągnął telefon i wszedł przez rozsuwane drzwi do salonu. Lewą ręką otworzył notes w skórzanej okładce i przycisnął hakiem, żeby się nie zamknął. Zadzwoił do pośrednika handlu nieruchomościami, który był mu winien sporo pieniędzy.

-Proszę o zwrot długu - oświadczył.

Hobbie słyszał, jak facet przelika ślinę, nagle ogarnięty paniką. Zapadło pełne desperacji milczenie. Pośrednik ciężko usiadł na fotelu.

-Czy możesz mi oddać dług? - spytał Hobbie. Tamten nie odpowiedział.

-Wiesz, jaki jest los tych, którzy nie oddają mi pieniędzy? Milczenie. Odgłos przelickania śliny.

-Nie martw się - dodał Hobbie. - Znajdziemy jakieś rozwiązanie. Mam do sprzedania dwie nieruchomości. Rezydencje w Pound Ridge i mój apartament na Piątej Alei. Chce dwa

miliony za dom i trzy i pół za apartament. Sprzedasz je za tyle, a zamiast płacić ci prowizję, skreślę twój dług. Zgodzą?

Pośrednik nie miał wyjścia, musiał się zgodzić. Hobbie podyktował mu numer konta w banku na Kajmanach, na które miał w ciągu miesiąca przelać pieniądze.

-Miesiąc to bardzo optymistyczna ocena - zauważył pośrednik.

-Jak się miewają twoje dzieci? - spytał Hobbie. Tamten znowu nerwowo przełknął ślinę.

-Dobrze, niech będzie miesiąc.

Hobbie odłożył telefon i zapisał kwotę pięć milionów pięćset czterdzieści tysięcy na kartce, na której sumował zyski ze sprzedaży samochodów i rezydencji. Następnie zadzwonił do biura linii lotniczych, żeby spytać o bilety na pojutrze wieczór. Mieli dużo wolnych miejsc. Uśmiechnął się. Piłka przelatwała wysoko nad polem w kierunku piątego rzędu widzów na trybunie. Gracz podskakiwał jak wariat, ale od piłki dzieliła go duża odległość. - - -

Po wyjściu Hobbiego Marilyn poczuła się dostatecznie bezpiecznie, żeby wziąć prysznic. Nie zrobiłaby tego, gdy się znajdowała w gabinecie. Jego obłesne spojrzenie było zbyt wymowne. Czuliaby, że widzi ją przez drzwi łazienki. Natomiast

Tony nie budził takich obaw. Był wyraźnie zaniepokojony i posłuszny. Hobbie kazał mu pilnować, żeby nie wyszli z łazienki. Z pewnością tego dopilnuje, ale to wszystko. Nie przyjdzie tutaj, żeby ich dreczyć. Zostawi ich w spokoju. Marilyn nie miała co do tego wątpliwości. Ten drugi, mocno zbudowany, który przyniósł kawę, wykonywał polecenia Tony'ego. Wobec tego poczuła, że może się wykapać, ale na wszelki wypadek kazała Chesterowi stanąć przy drzwiach i trzymać klamkę.

Pochyliła się do środka kabiny, żeby puścić gorącą wodę. Zdjęła sukienkę i buty. Starannie powiesiła sukienkę na brzegu kabiny, poza zasięgiem prysznica, ale na tyle blisko, żeby pod wpływem pary wygładziły się zagniecenia. Weszła do kabiny, splukała włosy i namydliła całe ciało. To było tak przyjemne. Rozluźniła się, pozbyła napięcia w mięśniach. Uniosła twarz i długo stała pod prysznicem. W końcu wyszła z kabiny, nie zakrecając wody, wytarła się i zamieniła miejscami z Chesterem.

-Umyj sie - powiedziala. - Dobrze ci to zrobi.

Chester byl otepialy. Kiwnal glowa, puscil klamke. Zdjal majtki i podkoszulek. Usiadl nago na podlodze, zeby zdjac buty i skarpetki. Marilyn zauwazyla zoltosina plame na jego boku.

-Bili cie? - szepnela.

Kiwnal glowa. Wstal z podlogi i wszedl pod prysznic. Stal pod strumieniem wody z zamknietymi oczami i otwartymi ustami. Prysznic podzialal na niego ozywco. Znalazl mydlo i dokladnie sie umyl.

-Nie zakrecaj wody - powiedziala Marilyn. - Tak bedzie cieplej.

Rzeczywiscie. Strumien goracej wody ogrzewal lazienke. Chester wyszedl z kabiny i siegnal po recznik. Wytarl twarz, po czym owinal go wokol bioder.

-Poza tym ten halas uniemozliwia im podslychowanie - dodala Marilyn. - Musimy porozmawiac. Chester wzruszyl ramionami, jakby uwazal, ze nie ma nic do omowienia.

-Nie rozumiem, co tu robisz. Nie ma zadnych powiernikow. Hobbie sie o tym dowie i tylko sie wscieknie. Marilyn wycierala recznikiem wlosy. Przerwala i spojrzala na meza. W lazience zaczela gromadzic sie para.

-Potrzebujemy swiadka. Nie rozumiesz tego?

-Swiadka czego?

-Swiadka wydarzen - odpowiedziala. - David Forster przysle tu jakiegos prywatnego detektywa. Co Hobbie bedzie mogl zrobic? Przyznamy, ze nie ma powiernikow, po czym wszyscy razem pojdziemy do banku i przekazemy mu akcje. W miejscu publicznym, przy swiadku. Swiadku i ochroniarzu. Wtedy bedziemy mogli po prostu odejsc.

-Uda sie?

-Mysle, ze tak. Jemu sie spieszy. Nie zauwazyles? Ma jakis termin. Jest w panice. Musimy

zwlekat tak dlugo, jak tylko to bedzie mozliwe, a nastepnie wymknac sie w obecnosci

swiadka, ktory bedzie nas ochranial. Hobbemu zbyt mocno zalezy na czasie, zeby mogl

zareagowac.

-Nie rozumiem - powtorzyl Chester. - Chcesz powie

dziec, ze ten detektyw zezna, iz dzialalismy pod przymusem? Chodzi ci o to, zebysmy mogli

pozwalac Hobbiego i odzyskac akcje?

Marilyn przez chwile milczala. Patrzyla na niego ze zdumieniem.

-Nie, Chester, nie bedziemy nikogo pozywac. Hobbie dostanie akcje i zapomnimy o calej sprawie. Chester patrzyl na nia przez pare.

-To nie jest rozwiazanie. W ten sposob nie uratujemy firmy. Hobbie dostanie akcje, a my nie bedziemy mieli gdzie wrocic. Marilyn spojrzala na niego. Niemal oslupiala.

-Na litosc boska, Chester, czy ty niczego nie rozumiesz? Firma jest stracona. To juz historia i lepiej przyjmij to do wiadomosci. Nie chodzi o ratowanie pieprzonej firmy. Chodzi o uratowanie zycia. - - -

Zupa byla doskonala, a wieprzowina jeszcze lepsza. Jego

matka bylaby z niej dumna. Wypili mala butelke kalifornijskiego wina i z zadowoleniem zjedli kolacje. Nie rozmawiali przy jedzeniu. W restauracjach tej klasy obowiazuje dluga przerwa miedzy glownym daniem i deserem. Kelnerzy nie naciskaja gosci, zeby zwolnili stolik. Reacher cieszył sie tym luksusem. Nie przywykl do takiego zycia. Odchył sie na krzesle i wyciagnal nogi pod stolem. Kostkami dotykł kostek Jodie.

-Pomysl o jego rodzicach - powiedzial. - Wyobraz go sobie jako dziecko. Jesli otworzysz

encyklopedie i sprawdzisz haslo "normalna amerykanska rodzina", zobaczysz zdjecie rodziny

Hobie, calej trojki. Zgoda, Wietnam zmienial ludzi. Wierze, ze wojna w pewien sposob

rozszerzyla jego horyzonty. Rodzice tez to rozumieli. Wiedzieli, ze nie wroci do Brighton,

zeby byc ksiegowym w jakiejś malej drukarni. Wyobrazali sobie, ze bedzie pracowal na

platformach naftowych, latal w regionie Zatoki, pracujac dla nafciarzy. Ale przeciez nie

zerwalby kontaktu z nimi, nie sadzisz? Zachowalby jakas wiez. Nie porzucilby ich. To zimne i

twarde okrucienstwo ciagnace

sie przez trzydziestci lat. Czy w jego dokumentach dostrzeglas cokolwiek, co mogloby swiadczyć, ze jest takim facetem?

Moze jakos zgrzeszył - zastanawiala sie Jodie, - Moze zrobil cos haniebnego. Cos w stylu My Lai, jakas masakra lub cos takiego. Moze wstydzi sie wrocic do domu. Czuje sie winny, ukrywa swój sekret. Reacher niecierpliwie pokręcił głowa,

-Gdyby cos takiego zrobil, zostaloby to odnotowane w jego teczce, Poza tym nie mial okazji. Był pilotem helikoptera, nie żołnierzem piechoty. Nigdy nie widzial nieprzyjaciela z bliska. Kelner podszedł do stolika z bloczkiem i ołówkiem.

-Czy zycza sobie panstwo deser? Moze kawe? Zamowili sorbet jezynowy i czarna kawe. Jodie dopila wino. W swietle swiec wino mialo gleboki, czerwony kolor. - A zatem co zrobimy?

-On zginaj - powiedzial Reacher. - Wczesniej lub pozniej zdobedziemy rozstrzygajacy dowod. Wtedy wrocimy do Brighton i powiemy jego starym, ze zmarnowali trzydziestci lat, ludzacy sie, iz jest inaczej.

-A co powiemy sobie? Ze atakowaly nas duchy? Reacher wzruszył ramionami. Nic nie odpowiedzial. Kelner przyniosł sorbet. Zjedli deser w milczeniu. Pozniej przyniosł kawe i rachunek w niewielkim folderze oprawionym w skore, z wycisnietym logo restauracji. Jodie wlozyla do srodka karte kredytowa, nawet nie patrzac, ile ma zaplacic. Uśmiechnela sie do Reachera.

-Znakomita kolacja - powiedziala.

-Znakomite towarzystwo - odrzekł z usmiechem.

-Zapomnijmy na chwile o Victorze Hobie - zaproponowala.

-A kto to jest? - spytał. Jodie się zasmiała.

-Wiec o czym będziemy myśleć?

-Myślałem o twojej sukience - odpowiedział z uśmiechem.

-Podoba ci się?

-Jest wspaniała, ale...

-Ale co?

-Mogłaby wyglądać jeszcze lepiej. Na przykład rzucona na podłogę.

-Tak sędzisz?

-Jestem prawie pewien. Na razie jednak to tylko przypuszczenie. Konieczne jest empiryczne potwierdzenie. Wiesz, należy porównać dwie możliwości, przed zdjęciem sukienki i po zdjęciu. Jodie westchnęła, udając zmęczenie.

-Reacher, wstajemy o siódmej. Mamy ranny samolot.

-Jestes młoda - rzekł. - Jeśli ja mogę wytrzymać, to ty tym bardziej. Uśmiechnęła się. Odsunęła krzesło i wstała. Zrobiła dwa kroki w kierunku alejki między stolikami. Suknia podkreślała ruchy jej ciała, choć nie była obcisła. Z tyłu wyglądała wspaniale. W świetle świec jej włosy wydawały się złote. Zbliżyła się do Reachera i pochyliła do jego ucha.

-Okay, tak jest przed. Chodźmy, nim zapomnisz i nie będziesz mógł porównać. - - -

Siodma rano w Nowym Jorku jest o godzinę wcześniej niż siódma rano w St Louis. O'Hallinan i Sark spędzili te godziny w komisariacie, planując pracę na ten dzień. Na tacy czekała na nich sterta zgłoszeń z nocy. Wezwania ze szpitali, raporty policjantów, którzy interweniowali w sprawach domowych. O'Hallinan i Sark musieli posegregować sprawy, ocenić ich wagę i pilność, ustalić porządek, w jakim się nimi zajmą biorąc pod uwagę umiejscowienie wydarzeń. To była typowa noc w Nowym Jorku. Dwadzieścia osiem nowych spraw, które musieli załatwić. Nic dziwnego, że zadzwonili do wydziału drogowego Pietnastego Komisariatu dopiero za dziesięć osma. O'Hallinan wybrała numer. Dyżurny sierżant odebrał telefon dopiero po dziesiątym dzwonku.

-Odnotaliscie czarnego suburban - powiedziała. - Z wypadku na dolnym Broadwayu dwa dni temu. Robicie coś w tej sprawie? Słychać było, jak tamten przerzuca papiery.

-Jest na parkingu. Interesuje was to?

-Mamy kobietę ze zmiażdżonym nosem, która przywiezli do szpitala tahoe zarejestrowanym na tego samego właściciela.

-Może była kierowca. Mielismy wypadek z udziałem trzech samochodów, ale mamy tylko jednego kierowcę. Wypadek spowodował suburban, kierowca znikł. Drugi to olds-mobile bravada. Skreślił w boczną uliczkę, kierowca i pasażer się ulotnili. Suburban należy do jakiejś korporacji finansowej z tej dzielnicy.

-Cayman Corporate Trust? - spytała O'Hallinan. - To do nich należy tahoe.

-Zgadza się - potwierdził sierżant. - Bravada jest własnością pani Jodie Jacob, ale wcześniej zgłosiła kradzież. To nie ta wasza kobieta z rozwalonym nosem?

-Jodie Jacob? Nie, ta nasza ma na imię Sheryl.

-Pewnie prowadziła suburbana. Niska?

-Chyba dość niska - odpowiedziała O'Hallinan. - Dlaczego pytasz?

-Zadziałała poduszka powietrzna. Zdarza się, że powoduje takie obrażenia, zwłaszcza gdy ktoś jest niski.

-Chcesz sprawdzić?

-Nie, według nas, skoro mamy samochód, będą chcieli go odzyskać i sami do nas przyjdą. O'Hallinan odłożyła słuchawkę. Sark spojrzał na nią pytająco.

-O co tu chodzi? - spytał. - Gdyby to był wypadek samochodowy, dlaczego miałyby mówić, że uderzyła się o drzwi?

-Nie wiem. - O'Hallinan wzruszyła ramionami. - A dlaczego agentka handlu nieruchomościami z Westchester miałaby prowadzić samochód korporacji z World Trade Center?

-To mogłoby tłumaczyć obrażenia - powiedział Sark. - Poduszka, może kierownica, to mogło się tak stać.

-Mogło - przyznała O'Hallinan.

-Sprawdzimy?

-Chyba powinniśmy, bo jeśli to był wypadek, to sprawa jest zamknięta.

-Dobra, ale nie zapisuj tego nigdzie, bo jeśli to nie był wypadek i sprawę trzeba będzie znowu otwierać, będziemy mieli cholerne zawracanie głowy.

Wstali, włożyli notesy do kieszeni mundurów. Zeszli po schodach, a przechodząc przez dziedziniec do samochodu patrolowego, cieszyli się przez chwilę porannym słońcem. - - -

To samo słońce przetoczyło się na zachód. Teraz tam była już siódma rano. Promienie wpadły na poddasze przez lukarne i oświetliły ukosnie łóżko z baldachimem. Jodie wstała pierwsza, brała już prysznic. Reacher leżał sam w ciepłym łóżku, przeciągając się. Jego uwagę zwróciło stłumione brzęczenie z nieokreślonego miejsca w pokoju.

Spojrzał na nocną szafkę, żeby sprawdzić, czy to telefon lub czy Jodie nastawiła budzik, którego wieczorem nie zauważył. Nie. Wciąż słyszał to brzęczenie, ciche, lecz uparte. Usiadł na łóżku. Teraz zlokalizował źródło: coś w torebce Jodie. Wstał i nago przeszedł przez pokój. Otworzył torebkę.

Teraz brzęczenie stało się głośniejsze. Dzwoniła komórka, Reacher spojrzał na drzwi do łazienki. Wyjął telefon, który głośno zabrzeczał. Przyjrzał się guzikom i nacisnął ten z zieloną słuchawką. Sygnał ucichł.

-Halo? - powiedział. Chwila ciszy.

-Kto mówi? Chciałbym rozmawiać z panią Jacob. Głos młodego, zabieganego mężczyzny. Znal ten głos. To był sekretarz z kancelarii Jodie, który dał mu adres Leona.

-Jest pod prysznicem.

-Ach... - westchnął sekretarz. Znowu na chwilę zamilkł.

-Jestem jej znajomym - wyjaśnił Reacher.

-Rozumiem. Czy państwo są w Garrison?

-Nie, jesteśmy w St. Louis w Missouri.

-Boże, to komplikuje sytuację. Czy mogłbym rozmawiać z panią Jacob?

-Bierze prysznic - powtórzył Reacher. - Powiem, żeby oddzwoniła. Albo może przekazać jej wiadomość.

-Będzie pan tak uprzejmy? - ucieszył się sekretarz. - Obawiam się, że to bardzo pilne.

-Chwileczkę - powiedział Reacher. Podszedł do szafki nocnej i wziął niewielki bloczek do notowania oraz długopis, który leżał koło telefonu... hotel dbał o takie szczegóły. Usiadł i przełożył telefon do lewej ręki. - Słucham, może pan mówić.

Sekretarz przekazał wiadomość. Bez żadnych konkretnych faktów. Dobierał słowa tak, żeby niczego wyraźnie nie powiedzieć. Niewątpliwie byłby znajomemu nie mógł zdradzić żadnych prawniczych sekretów. Reacher odłożył notatnik i długopis. Nie musiał niczego zapisywać.

-Poproszę, żeby zadzwoniła do pana, jeśli to nie będzie jasne - obiecał.

-Dziękuję i przepraszam, że przerwałem, hm, cokolwiek to było, co przerwałem.

-Niczego pan nie przerwał - odrzekł Reacher. - Jak powiedziałem, pani Jacob jest w łazience. Gdyby jednak zadzwonił pan dziesięć minut wcześniej, mogłoby to być problemem.

-Mój Boże - westchnął sekretarz i zakończył rozmowę. Reacher się uśmiechnął, znowu przyjrzał się guzikom i nacisnął ten z czerwoną słuchawką. Rzucił telefon na łóżko. W łazience przestała lecieć woda. Jodie wyszła otulona ręcznikiem i chmurą pary.

-Przed chwilą dzwonił na komórkę twój sekretarz. Zdaje się, że przeżył szok, gdy odebrałem.

-No to diabli wzięli moją reputację. - Jodie zachichotała. - Podczas lunchu dowiedzieli się o tym całe biuro. Czego chciał?

-Musisz wracać do Nowego Jorku.

-Dlaczego? Przekazał ci jakieś szczegóły? Reacher potrząsnął głową.

-Nie, był bardzo dyskretny, jak zapewne powinien być sekretarz w kancelarii adwokackiej. Najwyraźniej jesteś tam asem atutowym. Wielki popyt na twoje usługi.

-Jestem najlepsza - odpowiedziała z uśmiechem. - Przecież już ci mówiłam. Kto tym razem mnie potrzebuje?

-Ktoś zadzwonił do twojej kancelarii. Jakas korporacja

finansowa ma sprawę do załatwienia. Prosił, żebyś ty się nią zajęła. Prawdopodobnie dlatego, że jesteś najlepsza.

-Powiedział, o co chodzi? - spytała z uśmiechem. Reacher wzruszył ramionami.

-Zwykle sprawy, jak sadze. Ktos komus jest winien pieniadze i najwyrazniej sie o to kloca. Masz przyjsc na konference jutro po poludniu i przemowic jednej lub drugiej stronie do rozumu. - - -

W kazdej minucie z okolic Wall Street dzwonia tysiace ludzi. Wsrod tych wszystkich telefonow byl rowniez telefon z kancelarii Forster i Abelstein do biura prywatnego detektywa Williama Curry'ego. Curry byl weteranem wydzialu kryminalnego nowojorskiej policji, mial za soba dwadziescia lat sluzby. W wieku czterdziestu siedmiu lat przeszedl na emeryture i usilowal zarobic na alimenty jako prywatny detektyw, czekajac, az jego byla zona wyjdzie za maz, umrze lub zapomni o nim. Otworzyl biuro juz dwa lata temu i byly to kiepskie

lata. Osobisty telefon starszego partnera z prestizowej kancelarii z Wall Street byl dla niego przełomowym zdarzeniem. Curry ucieszył się, ale nie był zbyt zdziwiony. Przez te dwa lata miał dobre wyniki i nie żądał zbyt wysokich stawek właśnie po to, żeby zdobyć reputację. Jeśli w końcu mu się udało i do biura zaczęli pukać ważni klienci, był to powód do zadowolenia, a nie zdziwienia. Zaskoczył go natomiast charakter zlecenia.

-Mam odgrywać pana?

-To bardzo ważne - powiedział Forster. - Oczekują przybycia prawnika, Davida Forstera. Nie możemy ich zawieść. Nie będa poruszane żadne kwestie prawne. Prawdopodobnie w ogóle niewiele się wydarzy. Pana obecność wystarczy, żeby wszystko przebiegło gładko. To będzie pewnie dość proste. Okay?

-No, niech będzie - zgodził się Curry. Spisał nazwiska wszystkich, którzy mieli być obecni, oraz adres miejsca przedstawienia. Zadał podwójnej stawki. Nie chciał, żeby uznanego za taniego, zwłaszcza że chodziło o grube ryby z Wall Street. Im zawsze imponuje wysokie honorarium. Curry to wiedział. Poza tym, z uwagi na charakter zadania, sądził, że na to zasługuje. Forster bez wahania zaakceptował podaną kwotę i obiecał, że wysle czek. Curry odłożył słuchawkę. W myślach zaczął przeglądać zawartość szafy. Zastanawiał się, co ma włożyć, żeby wyglądać jak szef wielkiej kancelarii z Wall Street.

13

Z St Louis do Dallas-Fort Worth jest dziewięćset trzydzieści siedem kilometrów w linii prostej. Lot trwał dziewięćdziesiąt minut. Trzydzieści minut ostro w górę, trzydzieści minut szybkiego lotu i trzydzieści minut na zejście do lądowania. Reacher i Jodie lecieli pierwszą klasą, tym razem po lewej stronie samolotu, wśród zupełnie innego towarzystwa niż podczas lotu z

Nowego Jorku. Prawie wszystkie fotele zajmowali teksascy biznesmeni w niebieskich lub szarych garniturach, kowbojskich butach ze skóry aligatora i ogromnych kapeluszach. Byli więksi, bardziej rumiani i zachowywali się

głośniej od swoich kolegów ze Wschodniego Wybrzeża. Stewardesy miały z nimi więcej roboty. Jodie włożyła prostą, rdzawą sukienkę, jaką mogłaby nosić Audrey Hepburna. Biznesmeni ukradkiem spoglądali na nią, unikając wzroku Reachera, który siedział na fotelu przy przejściu. Miał na sobie pogniecione ubranie khaki i stare angielskie buty. Biznesmeni na próżno usilowali go zaklasyfikować. Spoglądali na jego opaleniznę, zniszczone ręce, jego towarzyszkę i widzieli w nim jakiegoś pioniera, któremu się poszczęściło i znalazł złoto na swej działce w głuszy. Potem przypominali sobie, że te czasy już minęły i znowu zaczęli spekulować. Reacher nie zwracał na nieb uwagi. Trzymał w ręce porcelanową filiżankę, pił najlepszą kawę, jaką podają linie lotnicze, i rozmyślał, jak dostać się do Wolters i dowiedzieć się czegoś od DeWitta.

Gdy policjant wojskowy usiłuje dowiedzieć się czegoś od dwugwiazdkowego generała, próba ta przypomina rzut monetą. Orzełek - znajduje człowieka doceniającego wartość współpracy. Może kiedyś miał trudności w jakiejś jednostce, a policja pomogła mu je szybko i skutecznie wyeliminować. Wtedy wierzy w policję i instynkt nakazuje mu podjąć współpracę. Jest przyjacielem policjanta. Reszka - generał jest człowiekiem, który w przeszłości pewnie sam przysporzył sobie kłopotów. Może popełnił błędy na jakimś stanowisku lub spał jakiegoś zadania i policja bez ogródek mu o tym powiedziała. Wtedy nie można liczyć z jego strony na nic poza pretensjami i zadawnionymi urazami. Orzełek lub reszka, ale moneta jest sfalszowana, gdyż szczyt każdej hierarchii gardzi własną policją, dlatego reszka wypada znacznie częściej niż orzełek. To wynikało z doświadczenia Reachera. Co gorsza, był policjantem wojskowym,

ktory wrocil do cywila. Byl dwa punkty do tyłu, nim jeszcze wszedl na boisko. Samolot zatrzymal sie przy bramce. Biznesmeni z pierwszej klasy poczekali, az Jodie wyjdzie pierwsza. Albo prosta teksaska uprzejmosc, albo chcieli gapić się na jej nogi i tylek. Reacher nie mogl mieć o to pretensji, bo sam chcial zrobic to samo. Wzial jej torbe i poszedl za nia przez rekaw do hali przylotow. Tam zrownal sie z nia i otoczyl reka jej ramiona. Poczul na sobie swidrujace spojrzenie kilkunastu par oczu.

-Demonstrujesz swe posiadanie? - spytala.

-Zwrocilas na nich uwage? - odpowiedzial pytaniem na pytanie. Jodie objela go w pasie i przyciagnela do siebie.

-Raczej trudno bylo ich nie zauwazyc. Chyba moglam sie umowic z kims na wieczor.

-Musialabys opedzac sie kijem.

-To z powodu sukienki. Pewnie powinnam byla wlozyc spodnie, ale sadzilam, ze Poludnie to tradycyjny region.

-Nawet gdybys paradowala w kombinezonie sowieckiego czolgisty, szarozielonym i watowanym, i tak biegaliby wokół z wywieszonymi ozorami.

-Widzialam zdjecie kierowcy sowieckiego czolgu. - Jodie

zachichotala. - Tata mi pokazal. Dziewiecdziesiat kilogramow, wasy, tatuaz, fajka, a to byla kobieta.

Terminal byl klimatyzowany. Gdy wyszli na zewnatrz, poczuli uderzenie goraca - roznica temperatur wynosila dwadziescia stopni. Czerwiec, dziesiata rano, a w Teksasie bylo juz trzydziesci siedem stopni. Do tego wilgoc. Staneli w kolejce po taksowke.

-Uff - westchnela Jodie. - Sukienka chyba jednak jest lepsza.

Stali w cieniu estakady, ale tuż obok prazylo biale slonce. Beton byl rozgrzany i lśniacy. Jodie wyjela z torebki okulary przeciwsloneczne. Gdy je nalezyla, jeszcze bardziej przypominala Audrey Hepburn z jasnymi włosami. Wsiedli do pierwszej taksowki, ktora przyjechala. Nowa caprice z klimatyzacja włączona na pelny regulator i dewocjonalia mi zwisajacymi z lusterka wstecznego. Kierowca sie nie odzywala. Jechali czterdziesci minut glownie po betonowej szosie, ktora w sloncu wydawala sie prawie biala. W poblizu lotniska byl blok, ale pozniej

droga opustoszala.

Fort Wolters byl wielka stala baza na pustkowiu, z niskimi eleganckimi budynkami. Teren bazy byl wypielegnowany, jak tylko jest to mozliwe w wojsku. Wokół bazy ciagnal sie plot z drutu kolczastego o dlugosci wielu kilometrow. Wszystkie druty byly rowno naciagniete, a pod plotem nie rosly zadne chwasty. Krawezniki starannie pobielono. Miedzy budynkami wily sie wewnetrzne drogi z szarego betonu. Od szyb odbijalo sie slonce. Gdy jechali wzdluz plotu, zobaczyli lotnisko wielkoscí stadionu, na ktorym staly w rownych szeregach helikoptery. Miedzy nimi poruszali sie instruktorzy i szkoleni zolnierze. Glowna brama byla oddalona od szosy. Wzdłuż podjazdu staly po obu stronach biale maszty flagowe. Flagi wisialy bezwladnie w goracym, nieruchomym powietrzu. Przy zagrodzonej bialo-czerwonym szlabanem bramie stala niewielka wartownia. Od wysokosci pasa mezczyzny sciany wartowni byly zrobione z czarnego szkła. Reacher widzial, jak siedzacy w srodku policjanci wojskowi przygladali sie nadjezdzajacej taksowce. Byli w pelnym rynsztunku, z bialymi helmami na glowach.

Regularna policja wojskowa. Uśmiechnal sie. Ci ludzie nie beda stwarzac problemu. Dla nich bedzie blizszym przyjacielem niz ci, ktorych strzegli.

Taksowka zatrzymala sie na placyku przed brama. Podeszli po goracym betonie do wartowni i schronili sie w cieniu okapu. Sierżant policji odsunal szybe na bok i spojrzal na nich pytajacym wzrokiem. Reacher poczul podmuch chłodnego powietrza.

-Chcielibysmy spotkać się z generałem DeWitem - powiedział. - Czy to jest możliwe, sierzancie?

-To zależy, kim pan jest - odpowiedział policjant, przyglądając się Reacherowi. Reacher powiedział, kim jest i kim był, kim jest Jodie i kim był jej ojciec. Chwile później znaleźli się już w chłodnej wartowni, a sierżant dzwonił do kolegi w budynku dowództwa bazy.

-Okay, zostaliście zapisani - poinformował po chwili. - General będzie wolny za pół godziny.

Reacher się uśmiechał. General prawdopodobnie nie był zajęty, ale potrzebował pół godziny, żeby sprawdzić, czy naprawdę są tymi, za których się podawali.

-Jaki jest general, sierzancie? - spytał.

-Nasza ocena to CGG - odparł sierżant z uśmiechem. Reacher też się uśmiechał. Czuł się tu nieoczekiwanie

swojsko. CGG to w slangu wojskowym "czasami głupi gnojek". W ustach sierżanta taka ocena generała była w miarę pozytywna. To oznaczało, że jeśli uda się wybrać właściwe podejście, general może być skłonny do współpracy. Nie stanowiło to jednak żadnej gwarancji. Czekać, Reacher miał o czym myśleć.

Po trzydziestu dwóch minutach do wartowni podjechał zwykły, zielony chevy z wymalowanymi na biało napisami. Sierżant dał im znak. Kierowca był szeregowiec, który najwyraźniej nie zamierzał się odzywać. Poczekał, aż wsiadał, po czym zawrócił i powoli pojechał w kierunku budynków. Reacher przyglądał się dobrze znanemu otoczeniu. Nigdy nie był w Wolters, ale czuł się jak w domu, bo baza nie różniła się niczym

od innych, które widział. Ten sam rozkład, tacy sami ludzie, takie same detale. Zupełnie jakby wszystkie bazy zakładało według tego samego planu. Dowództwo znajdowało się w jednopiętrowym budynku przed placem defiladowym, który wyglądał dokładnie tak samo jak budynek dowództwa w bazie w Berlinie, gdzie Reacher się urodził. Tylko pogoda była inna. Samochód zatrzymał się przed schodkami prowadzącymi do wejścia. Kierowca zmienił bieg na luz i w milczeniu patrzył przed siebie. Reacher otworzył drzwi i wysiadł, a po nim zrobiła to Jodie. Znowu poczuł palące promienie słońca.

-Dziękuję za podwiezienie, żołnierzu - powiedział Reacher.

Chłopak siedział nieruchomo i patrzył prosto przed siebie. Reacher i Jodie podeszli do drzwi.

W chłodnym holu dyżurował policjant wojskowy w białym helmie, białych getrach i z lśniącym M-16 na piersi. Patrzył na gołe nogi Jodie.

-Reacher i Garber do generała DeWitta - poinformował Reacher. Policjant stanął na baczność. Reacher skinął głową. Poszli w kierunku schodów. Wnętrze budynku było całkowicie standardowe, zgodne ze specyfikacjami stanowiącymi niełatwy kompromis między luksusem a funkcjonalnością, jak prywatna szkoła w starym dworze. W środku panował nienaganny ład, wystrojony był prosty i urzędowy. Przy górnym podestcie schodów stało biurko, za którym siedział korpulentny sierżant policji zawałony górami dokumentów. Za biurkiem widac było debowe drzwi z tabliczką z nazwiskiem DeWitt jego stopniem i listą odznaczeń. To była duża tabliczka.

-Reacher i Garber do generała DeWitta - powiedział Reacher. Sierżant skinął głową i podniósł słuchawkę telefonu. Naciśnął guzik.

-Panscy goście, panie generale - zameldował. Wysłuchał odpowiedzi, wstał i otworzył drzwi. Przesunął w bok, żeby ich przepuścić, po czym zamknął drzwi. Gabinet był wielkości kortu tenisowego, wyłożony debową boazerią. Na podłodze leżał wielki dywan, ze śladami częstego odkurzania. General siedział na fotelu za dużym, debowym biurkiem. Miał pięćdziesiąt parę lat, był wysuszony i zły. Rzedniejące, szare włosy strzygł maszynką tuż przy skórze. Patrzył na nich wpolprzymkniętymi oczami z wyrazem twarzy, który Reacher odczytał jako kombinację zaciekawienia

a i irytacji.

-Siadajcie - powiedział. - Proszę.

Przed biurkiem stały skórzane fotele dla gości. Na ścianach gabinetu wisiały liczne pamiątki z historii batalionu i dywizji, trofea wojenne, odznaczenia, stare, czarno-białe zdjęcia plutonów i kompanii. Fotografie i przekroje różnych helikopterów. Nie widać było natomiast żadnych osobistych rzeczy DeWitta. Nawet zdjęcia rodziny na biurku.

-Czym mogę służyć? - spytał.

Mówił z płaskim, wojskowym akcentem, jakiego nabierają żołnierze zawodowi w ciągu długiej służby w różnych miejscach na świecie z ludźmi z różnych miejsc w kraju. Pewnie pochodził ze Środkowego Zachodu, może z okolic Chicago.

-Byłem majorem policji wojskowej - powiedział Reacher i urwał.

-Wiem. Sprawdziliśmy. Neutralna odpowiedź. Bez żadnej oczywistej intencji. Ani wroga, ani przyjacielska.

-Jestem córką generała Garbera - przedstawiła się Jodie. DeWitt kiwnął głową na znak, że to również wie.

-Przyjechalismy tutaj w sprawie prywatnej - wyjaśnił Reacher. Na chwilę zapadła cisza.

-W istocie w sprawie o charakterze cywilnym - uscisł DeWitt. Reacher przytaknął. Pierwsze uderzenie.

-Chodzi o losy pilota o nazwisku Victor Hobie. Służył pan z nim w Wietnamie. DeWitt zrobił taką minę, jakby o tym nie wiedział. Uniosł brwi.

-Doprawdy? Nie pamiętam go. Drugie uderzenie. Niechętny do współpracy.

-Usiłujemy ustalić, co się z nim stało. Znowu chwila ciszy. DeWitt powoli pokręcił głową, jakby był rozbawiony.

-Dlaczego? Czy to wasz dawno zaginiony wujek? A może pański ojciec? Może miał krótki, smutno zakończony romans z pańską marką, gdy pracował u niej, opiekując się basenem. A może kupił pan dom, w którym mieszkał w dzieciństwie, i znalazł pan ukryty za boazerią jego pamiętnik wraz z numerem "Playboya" z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku? Trzecie uderzenie. Agresywny i niechętny do współpracy. W gabinecie zapadła cisza. Słychać

było dochodzące z zewnątrz wycie wirnika helikoptera. Jodie przesunęła się do przodu na fotelu.

-Przyjechalismy tutaj na prośbę jego rodziców - powiedziała łagodnym, cichym głosem. - Stracili syna trzydziści lat temu i nigdy się nie dowiedzieli, co się z nim stało. Wciąż rozpaczają, generale. DeWitt spojrzał na nią szarymi oczami i pokręcił głową.

-Nie pamiętam go. Bardzo żałuje.

-Odbýwał szkolenie razem z panem, tu w Wolters - dodał

Reacher. - Potem razem pojechaliście do Rucker, a później do Qui Nhon. Razem służyliście przez prawie dwie pełne tury w bazie w Pleiku, pilotowaliście helikoptery transportowe.

-Czy pana stary służył w wojsku? - spytał DeWitt. Reacher kiwnął głową.

-Tak. W piechocie morskiej. Trzydzięci lat, Semper Fi.

-Moj byl w Osmej Armii Powietrznej - powiedzial DeWitt - W czasie drugiej wojny swiatowej byl pilotem bombowca. Latali ze wschodniej Anglii do Berlina i z powrotem. Wie pan, co mi powiedzial, gdy zglosilem sie na pilota helikoptera? Reacher czekal.

-Dal mi bardzo dobra rade - kontynuowal DeWitt - Poradzil, zebym nie przyjaznil sie z innymi pilotami. Wszyscy w koncu gina i tylko jestes nieszczesliwy.

-Naprawde pan go nie pamietal? DeWitt wzruszyl ramionami.

-Nawet ze wzgledu na jego rodzicow? - wtracila Jodie. -

Czy nie wydaje sie panu, ze to niesluszne, iz nigdy sie nie dowiedza, co sie stalo z ich synem? Zapadla cisza. Odglosy pracy wirnika przycichly. DeWitt patrzyl na Jodie. Rozlozyl niewielkie rece na biurku i ciezko westchnal.

-Hm, troche go pamietam - powiedzial. - Glownie z poczatku znajomosci. Pozniej, gdy po kolei wszyscy gineli, wzialem sobie do serca rade starego i zamknalem sie w sobie.

-Jakim byl czlowiekiem? - spytala.

-Jakim byl czlowiekiem? - powtorzyl DeWitt. - Na pewno nie takim jak ja, to nie ulega watpliwosci. Nigdy jeszcze kogos takiego nie spotkalem. Byl chodzaca sprzeczoscia. Wiecie, ze zglosil sie do wojska na ochotnika, prawda? Ja tez, podobnie jak wielu innych. Vic jednak roznil sie od wszystkich. Byla gleboka przepasc miedzy ochotnikami i chlopakami z poboru. Ochotnicy byli tacy zapaleni, szli na wojne, bo wierzyli, ze tak trzeba. Vic ich nie przypominal. Zglosil sie na ochotnika, ale byl spokojny jak najbardziej rozgoryczony rekrut z obowiazkowego poboru. Natomiast pilotowal helikoptery, jakby urodzil sie z wirnikiem w tylku.

-Taki byl dobry? - zachecila go Jodie. - Wiecej niz dobry - odpowiedzial DeWitt. - Na poczatku byl gorszy tylko od mnie, a to cos mowi, bo ja z pewnoscia urodzilem sie z wirnikiem w tylku. Vic byl tez dobry z teorii. Dobrze to pamietam. Rozumial wszystko najszybciej i najlepiej z calej grupy.

-Czy mial w zwiazku z tym jakies klopoty, jesli chodzi o ocene postawy? - spytal Reacher.

-Domagal sie przyslug w zamian za pomoc? DeWitt oderwal wzrok od Jodie.

-Widze, ze jest pan przygotowany. Byl pan w archiwum.

-Przyjechalismy prosto z St Louis - przyznal Reacher.

-Mam nadzieje, ze nie przegladaliscie rowniez mojej teczki - powiedzial general, kiwajac glowa. Byl spokojny.

-Oficer dyzurny nam nie pozwolil.

-Staralismy sie nie grzebac tam, gdzie nie powinnismy zagladac - zapewnila Jodie. DeWitt znowu pokiwal glowa.

-Vic rzeczywiscie pomagal w zamian za uslugi - stwierdzil. - Niektorzy uwazali, ze postepuje niewlasciwie. Jesli do brze pamietam, doszlo do niewielkiej awantury. Teoretycznie nalezy pomagac innym z dobrego serca. Dla dobra cal ego oddzialu, nie? Na

pewno dobrze pan zna to pieprzenie.

General przerwal i spojrzal na Reachera z rozbawieniem. Reacher kiwnal glowa. Obecosc

Jodie bardzo mu pomogla. Jej urok sklanial do wspolpracy.

-Wie miał to w nosie - kontynuował DeWitt. - Zimno kalkulował. Tak jakby to było równanie. Podobnie jak siła udźwigu x jest potrzebna do startu helikoptera, tak tyle pomocy ze skomplikowanymi wzorami wystarcza, żeby ktoś wygłansował ci buty. Przełożeni krzyknęli, że jest zimnym człowiekiem.

-Był zimny? - spytała Jodie. DeWitt przytaknął mchem głowy.

-Całkowicie pozbawiony emocji, najzimniejszy facet, jakiego w życiu spotkałem. To zawsze mnie zdumiewało.

Początkowo sądziłem, że to ze względu na pochodzenie z małego miasteczka, gdzie niczego nie widział i niczego nie robił. Później zrozumiałem, że on rzeczywiście nie miał żadnych uczuć. Zupełnie żadnych. To było dziwne, ale między innymi dlatego był takim fenomenalnym pilotem.

-Ponieważ się nie bał? - spytał Reacher.

-Właśnie - potwierdził general. - Nie był odważny, bo odważnym można nazwać kogoś, kto boi się, ale pokonuje swój strach. Vic nigdy się nie bał. Dlatego był lepszym pilotem niż ja. To ja skończyłem Rucker z pierwszą lokatą, dostałem odpowiedni dyplom, ale gdy pojechalismy do dżungli, okazał się lepszy, bez dwóch zdań.

-Pod jakim względem? DeWitt wzruszył ramionami, jakby nie mógł tego wyjaśnić.

-Wszystkiego nauczyliśmy się w praktyce, wszystko sami wymyślaliśmy. Całe nasze szkolenie było do dupy, to fakt. Tylko jakby ktoś pokazał ci okrągły przedmiot, powiedział: to jest piłka do baseballu, a następnie kazał grać w pierwszej lidze.

Teraz, gdy dowodzę tą bazą, staram się to zmienić. Nie chciałbym posyłać na wojnę chłopaków tak kiepsko wyszkolonych jak my wtedy.

-Hobby był dobry w takiej praktycznej nauce? - spytał Reacher.

-Najlepszy. Czy wie pan cokolwiek o lataniu helikopterem nad dżunglą?

-Nie za wiele - przyznał Reacher, kreć głową.

-Pierwszym poważnym problemem jest SL - oznajmił DeWitt. - SL to stanowisko ładowania. Masz gdzieś grupę zdesperowanych i wykonanych żołnierzy piechoty pod ostrzałem. Trzeba ich stamtąd zabrać. Łączy się przez radio i nasz dyspozytor lotów mówi im oczywiście: Wyciągniemy was stamtąd, ale przygotujcie SL. Wobec tego robią prowizoryczne SL, posługując się środkami wybuchowymi, pilami i wszystkim, co tylko mają. No, ale huey z działającym wirnikiem potrzebuje pola o szerokości czternastu i pół metra oraz długości siedemnastu metrów. Żołnierze są zmęczeni, śpieszą się, a nieprzejrzeli ich ostrzeliwuje z moździerzy, dlatego z reguły robią za małe

-Nie możemy ich zabrać. Coś takiego zdarzyło się nam dwa lub trzy razy i mieliśmy tego dość. Pewnego wieczoru widzę, jak Vic przygląda się krawędzi łopatk wirnika w swoim helikopterze. Spytałem go, czemu się tak przygląda? A on na to, że łopatki są z metalu. A z czego mają być? - pomyślałem wtedy. Z bambusa? On jednak w dalszym ciągu im się przygląda. Następnego dnia znowu lecimy na prowizoryczne SL i oczywiście to cholerne stanowisko jest za małe o pół metra ze wszystkich stron. Nie mogę wylądować. Vic jednak ładuje. Powoli się obniża, nieco krąży i koposi rośliny łopatkami, jakby helikopter był wielką, latającą kosiarką. To było niesamowite. W powietrzu latały kawałki drzew. Zabrał siedmiu czy osmiu ludzi, a po nim wylądowali następni i zabrali wszystkich pozostałych. To później uznano za standardową procedurę operacyjną, ale wymyślił ją Vic, dlatego że był chłodny, logiczny i nie bał się próbować. Ten manewr ocalił życie pewnie setkom, może tysiącom ludzi. - Robi wrażenie.

-Może pan być tego pewny. Mieliśmy też poważny problem z ciężarem. Niech pan sobie

wyobrazi, że ładuje pan na otwartym polu. Ci z piechoty pchają się na pokład, a w końcu maszyna jest za ciężka i nie może wystartować. Twoi strzelcy muszą odpędzać ludzi, zmusić ich, żeby zostali, choć mogą zginąć. To nie jest

mile uczucie. Pewnego dnia Vic wziął na pokład dużo ludzi, no i oczywiście nie mógł oderwać się od ziemi. Naciśnął drążek do przodu i rozpedził się poziomo jak zwykły samolot, aż wreszcie podmuch zwiększył siłę nośną i jakos wystartował. Start z rozpedu. To również stało się standardową procedurą operacyjną, zaczerpnięta z jego pomysłu. Czasami robił to na zboczach gór. Wydawało się, że na pewno się rozbije, ale w ostatniej chwili jakos startował. Jak już powiedziałem, wymyślaliśmy wszystko na miejscu i trzeba przyznać, że wiele rzeczy wymyślił Victor Hobie.

-Podziwiał go pan - zauważyła Jodie.

-Tak, podziwiałem. Nie boję się tego przyznać - odrzekł generał, kiwając głową.

-Ale nie byliście bliskimi przyjaciółmi.

-Jak powiedział mi ojciec, nie należy zaprzyjaźniać się z pilotami. Ciesze się, że go posłuchałem. Zbyt wielu zginęło.

-A jak spędzał czas? - spytał Reacher. - Z dokumentów wynika, że bardzo często nie mogliście latać.

-Pogoda była kurewska. Naprawdę kurewska. Nie ma pan pojęcia jak bardzo. Chce przenieść te szkolenia gdzieś indziej, na przykład do stanu Washington, gdzie jest często mgła. Nie ma sensu szkolić pilotów w Teksasie i Alabamie, jeśli potem mają walczyć w kraju, gdzie jest kiepska pogoda.

-A co pan robił, gdy nie latałiscie?

-Ja? Różne rzeczy. Chodziłem na zabawy, spałem. Czasami brałem samochód i jechałem szukać różnych rzeczy, których potrzebowaliśmy.

-A Vic? - wtraciła Jodie. - Co on robił? DeWitt znowu wzruszył ramionami.

-Nie mam pojęcia. Zawsze był zajęty, zawsze coś kombinował, ale nie wiem, co to było. Jak wam powiedziałem, nie chciałem trzymać się z innymi pilotami.

-Czy podczas drugiej tury jakos się zmienił? - dociekał

Reacher.

DeWitt na chwilę się uśmiechnął.

-Wszyscy, którzy przyjeżdżali na drugą turę, się zmieniali.

-Pod jakim względem? - zainteresowała się Jodie.

-Byli wściekli - wyjaśnił generał. - Nawet jeśli ktoś od razu zgłaszał się na powtórny wyjazd, czekał co najmniej dziewięć miesięcy, często rok. Gdy wracał, przekonywał się, że podczas jego nieobecności wszystko zeszło na psy. Budynki, które postawili, już się rozpadały. Rowy, które wykopali, do połowy wypełniała woda. Drzewa, które ścieli, żeby zrobić lotnisko, już odrastały. Człowiek miał wrażenie, że podczas jego nieobecności tym niewielkim terytorium zarządzili jacyś idioci. Więc ludzie wpadali w gniew i przygnebienie. A ogólnie mówiąc, mieli rację. Cała operacja w Wietnamie była prowadzona coraz gorzej, stopniowo wymykała się spod kontroli. Poziom gwałtownie spadał.

-Czy pana zdaniem Hobie się rozczerował? Stracił złą- Czy pana zdaniem Hobie się rozczerował? Stracił złudzenia? - spytał Reacher.

-Naprawdę nie przypominam sobie jego nastawienia - odpowiedział DeWitt ze wzruszeniem ramion. - Może nie był o złe. Jak pamiętam, miał bardzo silnie rozwinięte poczucie obowiązku.

-A jaki był cel jego ostatniego zadania bojowego? Szare oczy nagle stały się tak puste, jakby zatrzęsły się okiennice.

-Nie pamiętam.

-Został zestrzelony - powiedział Reacher. - Lecił wtedy tuż obok pana. Nie pamięta pan, jaki był cel lotu?

-Straciliśmy w Wietnamie osiem tysięcy helikopterów - odrzekł DeWitt. - Osiem tysięcy,

panie Reacher, od początku do końca wojny. Czasami mam wrażenie, że sam widziałem, jak większość została zestrzelona. Jak mogę pamiętać akurat ten jeden?

-Na czym polegało zadanie? - ciągnął Reacher.

-Dlaczego chce pan to wiedzieć? - odpowiedział pytaniem DeWitt.

-To może mi pomóc.

-W czym?

-W rozmowie z jego rodzicami. Chce móc powiedzieć, że zginął, wykonując jakieś pozytywne zadanie. DeWitt się uśmiechnął. To był gorzki, sardoniczny, zużyty uśmiech.

-No, przyjacielu, za cholere nie może pan czegoś takiego powiedzieć.

-Dlaczego?

-Bo żadne z naszych zadań nie było pozytywne. To była strata czasu i ludzi. Przegralismy wojnę, nieprawdaz?

-Czy to było tajne zadanie?

Rozmowa na chwilę się urwała. W wielkim gabinecie zapadła cisza.

-Dlaczego pan tak przypuszcza? - spytał DeWitt neutralnym tonem.

-Wziął na pokład tylko trzech pasażerów. To mi wygląda na jakieś specjalne zadanie. Z pewnością nie musiał startować z rozpedu.

-Nie pamiętam - powtórzył DeWitt. Reacher patrzył na niego spokojnie. DeWitt nie odwrócił wzroku.

-Jak mogę pamiętać? Słysze o czymś po raz pierwszy od trzydziestu lat i mam pamiętać wszystkie szczegóły?

-Nie rozmawia pan o tym po raz pierwszy od trzydziestu lat. Dwa miesiące temu, w kwietniu, ktoś zadał panu te same pytania. DeWitt nie odpowiedział.

-General Garber dzwonił do archiwum, żeby dowiedzieć się wszystkiego o Victorze - powiedział Reacher. - Nie mogę sobie wyobrazić, że później nie zadzwonił do pana. Może pan nam powie to, co powiedział pan jemu?

-Powiedziałem mu, że nie pamiętam. - DeWitt się uśmiechnął. Znowu zapadło milczenie. Za oknem coraz głośniejszymi wirnikami helikopterów.

-Proszę w imieniu jego rodziców, żeby zechciał pan nam powiedzieć - spokojnie odezwała się Jodie, - Oni wciąż rozpaczają. Muszą poznać los syna.

-Nie moge - odrzekl DeWitt, krecać głowa.

-Nie może pan, czy nie chce? - spytał Reacher. DeWitt powoli wstał z fotela i podszedł do okna. Był niski. Stał w świetle słońca i mrużąc oczy, obserwował lądujący helikopter, który słyszeli.

-To tajne informacje - - oświadczył. - Nie wolno mi wypowiadać się na ten temat i nie zamierzam tego zrobić. Garber pytał mnie o to i powiedziałem mu dokładnie to samo. Bez komentarzy. Zasugerowałem mu jednak, żeby szukał bliżej własnych śmieci i wam mogę poradzić to samo.

-Bliżej własnych śmieci? DeWitt odwrócił się plecami do okna.

-Przeglądał pan teczkę Kapłana?

-Jego drugiego pilota?

-Tak. Czy czytał pan raport z jego przedostatniego lotu bojowego? Reacher pokręcił głową.

-A powinien pan przeczytać - stwierdził DeWitt - Słabo się pan spisał jak na byłego majora policji wojskowej. Niech pan jednak nikomu nie mówi, że ja to panu zasugerowałem, bo wypre się wszystkiego, a władze uwierzą mnie, nie panu. Reacher spojrział na bok. DeWitt wrócił do biurka i usiadł na fotelu.

-Czy to możliwe, że Victor Hobie żyje? - spytała Jodie. Helikopter wylądował i zgasił silniki. Zrobiło się zupełnie ciicho.

-Nie mam nic do powiedzenia na ten temat - odrzekł DeWitt.

-Czy ktoś pana już o to pytał?

-Nie mam nic do powiedzenia na ten temat - powtórzył general.

-Widział pan, jak rozbil się jego helikopter. Czy to możliwe, że ktoś przeżył?

-Widziałem wybuch w dżungli, zasłonięty koronami

drzew, to wszystko. Miał w zbiornikach dużo benzyny, więcej niż połowę objętości. Niech pani sama wyciągnie wnioski, pani Garber.

-Czy przeżył?

-Bez komentarza.

-Dlaczego Kapłana uznano oficjalnie za zmarłego, a Ho-biego nie?

-Bez komentarza.

Jodie pokiwała głową. Zastanawiała się przez chwilę, po czym zmieniła podejście, dokładnie jak adwokat mający do czynienia z opornym świadkiem.

-A zatem rozważmy czysto teoretyczną możliwość. Przypuśćmy, że młody człowiek o takiej osobowości i tak wychowany jak Victor Hobie przetrwał katastrofę. Czy wydaje się panu możliwe, że taki człowiek nie nawiązałby później kontaktu z rodzicami? DeWitt znowu wstał. Najwyraźniej nie czuł się swobodnie.

-Nie wiem, pani Garber. Nie jestem żadnym cholernym psychiatrą. Jak pani powiedziałem, starałem się nie utrzymy

wac z nim zbyt bliskich kontaktow. Wydawal mi sie solidnym obowiazkowym facetem, ale emocjonalnie chlodnym. Gdybym musial zgadywac, powiedzialbym, ze takie zachowanie wydaje mi sie bardzo malo prawdopodobne. Prosz e jednak nie zapominac, ze Wietnam zmienial ludzi. Do diabla, na pewno zmienil mnie. Kiedys bylem milym czlowiekiem.

--

Sark mial czterdzieci cztery lata, ale wydawal sie starszy. Na jego wyglad zle wplynely bieda w dzieciinstwie i brak nalezytej troski, gdy byl juz dorosly. Mial matowa, blada skore i wczesnie wylysial. Ziemista cera, wpadniete policzki i lysina dodawaly mu sporo lat. W rzeczywistosci jednak Sark podjal walke z uplywem czasu. Przeczytal wszystkie materialy publikowane przez wydzial opieki medycznej nowojorskiej policji na temat diety i cwiczen. Wyeliminowal prawie wszystkie tluszcze i troche sie opalal, tylko tyle, zeby pozbyc sie chorobliwej bladosci, nie ryzykujac, ze nabawi sie czerniaka. Gdy tylko mial okazje, staral sie chodzic. Wracajac do domu, wysiadal z metra przystanek wczesniej i szedl pieszo w takim tempie, zeby szybciej oddychac i poczuc, jak serce przyspiesza swoj rytm. To wlasnie doradzali lekarze w rozmaitych ulotkach. Podczas pracy czesto namawial O'Hallinan, zeby zaparkowali samochod od patrolowy w pewnej odleglosci od miejsca przeznaczenia, dzieki czemu mogli sie przejsc.

O'Hallinan nie interesowala sie cwiczeniami aerobowymi, ale byla przyjacielsko nastawiona i chetnie przystawala na jego propozycje, zwlaszcza latem, gdy swiecilo slonce. Zaparkowala samochod przy krawezniku obok kosciola Swietej Trojcy i poszli do World Trade Center pieszo, od strony poludniowej. Dzieki temu przeszli sie szybkim krokiem szescset metrow. Sark byl zadowolony, jednakze zaparkowali samochod w okolicy, gdzie bylo jakies cwierte miliona adresow, a poniewaz, wychodzac z komisariatu, nie zostawili notatki, dokad sie udaja, nikt nie mial pojecia, gdzie ich szukac.

--

-Odwiecz was na lotnisko? - spytal DeWitt. Reacher uznal te propozycje za odprawe

polaczona z gestem

majacym zlagodzic wrazenie, jakie wywolalo kamienne milczenie generala. Kiwnal glowa. Wojskowym chevroletem mogli wrocic znacznie szybciej, bo juz czekal przed budynkiem z

wlaczonym silnikiem.

-Bardzo dziekuje - odparl.

-Z przyjemnoscia - zapewnil go DeWitt. Siegnal po telefon, wybral numer i wydal jakis rozkaz.

-Poczekajcie tutaj - powiedzial. - Trzy minuty.

Jodie wstala i obciagnela sukienke. Podeszla do okna i wyjrzala - Reacher przygladal sie pamiatkom zawieszonym na scianach. Dostrzegl wsrod nich odbitke slynnego zdjecia z gazet. Amerykanski helikopter startujacy z dachu ambasady w Sajgonie, ponizej tlum ludzi z podniesionymi rekami, tak jakby chcieli zmusic maszyna do powrotu.

-To pan byl pilotem? - spytal pod wplywem przeczucia.

DeWitt spojrzal na zdjecie i kiwnal glowa.

-Byl pan jeszcze w Wietnamie w tysiac dziewiecset siedemdziesiatym piatym roku? DeWitt znowu pokiwal glowa.

-Tak. Zaliczyłem pięć tur bojowych, a potem służbę w kwaterze głównej. W sumie wolalem walczyć.

Z oddali dobiegl ich warkot silnika. Niskie basowe dudnienie poteznego helikoptera. Byl coraz blizej. Reacher stana

I kolo Jodie przy oknie. Od strony lotniska nadlatywal huey. Lecial nisko nad budynkami.

-To po was - powiedzial DeWitt.

-Helikopter? - zdziwila sie Jodie. DeWitt sie usmiechnal.

-A czego sie pani spodziewala? To przeciez szkola pilotazu helikopterow. Po to przyjezdzaja tu ci chlopcy. To nie kursy jazdy samochodem. Szum wirnika narastal, powoli dzwiek stawal sie coraz wyzszy, mieszal sie z wyciem turbin.

-Teraz sa wieksze lopatki! - krzyknal De Witt. - Z kompozytow, nie z metalu. Ciekawe, co zrobilby z tym stary Vic.

Huey przesunal sie w bok i zawisl nad placem defiladowym. Szyby dygotaly od huku. Pilot wyrównal i posadzil maszyne na ziemi.

-Milo mi bylo panstwa poznać! - zawolal De Witt. Uscisneli jego dlon i wyszli Sierżant

policji wojskowej przy

biurku kiwnal im glowa na pozegnanie, po czym wrocil do swoich papierow. Zeszli na dol. Na zewnatrz powital ich huk oraz uderzenie ciepla i pyłu. Drugi pilot otworzyl drzwiczki. Pochyleni podbiegli do helikoptera. Jodie sie usmiechala, a pod powietrza rozwiewal jej wlosy na wszystkie strony. Mezczyzna podal jej reke i pomogl wsiasc. Przywiazali sie pasami do lawki w tyle kabiny. Drugi pilot zatrzasnal drzwiczki i przeszedl na swoje miejsce. Maszyna zadzgotala i oderwala sie od ziemi. Podloga sie pochylila, zakolysala, a budynki zawirowaly za oknem. Po chwili widzieli juz ich dachy, potem prerie wokol

bazy pocieta drogami przypominajacymi szare pociagniecia ołowkiem. Helikopter pochylil sie do przodu, wzmozl sie e ryk turbiny i maszyna ruszyla po wybranym kursie z predkoscia stu szescdziesieciu kilometrow na godzine. - - -

W ulotkach, ktore przeczytal Sark, okreslano to jako "energiczny marsz". Chodzilo o marsz z predkoscia szesciu kilometrow na godzine. Taka predkosc powoduje przyspieszenie pracy serca, co stanowi klucz do cwiczen aerobowych, ale unika sie przy tym niebezpieczenstwa kontuzji kolan, na jakie narazaja sie biegacze. Ta koncepcja wydawala sie rozsadna i Sark dal sie przekonac. Pokonanie szesciuset metrow w tempie szesciu kilometrow na godzine powinno zajac szesc minut, ale im zajelo osiem, poniewaz Sarkowi towarzyszyla O'Hallinan, ktora chetnie szla, natomiast nie zamierzala sie spieszyc. Byla calkiem sprawna fizycznie, ale lubila powtarzac, ze jest stworzona do wygody, nie z as pospiechu. To byl kompromis. Sark potrzebował jej zgody, zeby w ogole troche pochodzic, zatem nie skarzyl sie na jej tempo. Uwazal, ze lepsze to niz

nic. Na pewno przynosilo mu to jakas korzysc.

-Ktora wieza? - spytal.

-Chyba poludniowa - odpowiedziala O'Hallinan. Weszli przez glowne wejście do holu poludniowej wiezy.

Za iada stali ochroniarze w mundurach, ale byli zajeci grupa obcokrajowcow w szarych garniturach, dlatego Sark i O'Hallinan podeszli do spisu uzytkownikow. Cayman Corporate Trust miala biuro na osiemdziesiatym osmym pietrze. Podeszli do windy ekspresowej i wsiedli do kabiny. Ochrona nawet nie odnotowala, ze weszli do budynku. Gdy winda ruszyla, poczuli zwiekszony nacisk stop na podloge. Po chwili byli na osiemdziesiatym osmym pietrze. Wind a lagodnie wyhamowala. Drzwi otworzily sie automatycznie, rozlegl sie cichy dzwonek. Wyszli na korytarz. Znalezi sie w waskim przejsci u z nisko zawieszonym sufitem. Biuro Cayman Corporate Trust mialo nowoczesne debowe drzwi z niewielkim okienkiem i mosiezna klamka. Sark otworzyl drzwi i przepuscil O'Hallinan. Byla dostatecznie stara, zeby doceniac takie uprzyjemnosci.

Znalezi sie w poczekalni z debowymi meblami wykonczonymi mosiadzem. Za siegajacym do piersi pulpitem siedzi

al mocno zbudowany mezczyzna w ciemnym garniturze. Sark zatrzymal sie posrodku pokoju. Jego pas z ekwipunkiem zwiekszal szerokosc bioder, dzieki temu wydawal sie wiekszy i bardziej dominujacy. O'Hallinan podeszla do recepcji. W myslach planowala, co zrobic. Chciala wstrzasnac przeciwnikiem, dlatego zdecydowala sie na frontalny atak. Czesto widziala, ze tak postepuja detektywi.

-Przyszlismy w sprawie Sheryl - oznajmila. - - -

-Musze wracac domu - powiedziala Jodie.

-Nie, lecisz ze mna na Hawaje.

Znowu byli w chlodnym terminalu lotniska Dallas-Fort Worth. Huey wyladowal na odleglym ladowisku dla helikopterow, ale drugi pilot podwiozl ich zielonym wozkiem golfowym do terminalu. Wskazal im nieoznaczone drzwi, za ktorymi znajdowala sie klatka schodowa. Po chwili byli juz w hali dla podroznych.

-Na Hawaje? Reacher, nie moge leciec na Hawaje. Musze wracac do Nowego Jorku.

-Nie mozesz wrocic tam sama. Pamietasz chyba, ze Nowy Jork to miejsce, gdzie grozi ci mebezpieczenstwo. Ja zas musze leciec na Hawaje. Wobec tego polecisz ze mna, to proste,

-Reacher, nie moge - powtorzyla Jocie. - Musze jutro isc na spotkanie. Dobrze wiesz. Sam odebrales telefon, zgadza sie?

-Trudna sprawa, Jodie. Nie wrocisz sama do Nowego Jorku.

Gdy rano opuszczali apartament dla nowozencow, Reacher przezytl cos dziwnego. Uslyszal wewnetrzny glos, ktory ostrzegal; Miesiac miodowy juz sie skonczyl, stary. Twoje zycie sie zmienia i zaczynaja sie problemy. Zignorowal to, ale teraz sobie przypomnial. Po raz pierwszy w zyciu stal sie zaklad-nikiem losu. Mial sie o kogo martwic. To sprawialo mu glownie przyjemnosc, ale rowniez ciazylo.

-Musze wracac, Reacher - raz jeszcze stwierdzila Jodie. - Nie moge zawiesc.

-Zadzwon, ze nie dasz rady wrocic. Powiedz, ze jestes chora, wymysl cos.

-Nie moge tego zrobic. Sekretarz wie, ze nie jestem chora. Musze rowniez myslec o swojej karierze. To dla mnie bardzo wazne.

-Nie wrocisz tam sama - powtorzyl Reacher.

-A dlaczego ty musisz leciec na Hawaje?

-Znajde tam odpowiedz.

Reacher podszedl do kasy i zdjal z chromowanego wieszaka gruby rozklad lotow. Stanal w chlodnym swietle jarzeniovek. Otworzył rozklad na D, na odlotach z Dallas-Fort Worth, i przesunal palcem wzdluz listy miejsc docelowych az do H, do Honolulu. Potem przeskoczyl

do odlotow z Honolulu i odnalazl polaczenia powrotne do Nowego Jorku. Sprawdzil jeszcze raz. Odetchnal z ulga.

-Damy rade zalatwic obie sprawy. Spojrz. Mamy samolot

kwadrans po dwunastej stad do Honolulu. Od godzin lotu trzeba odjac roznice czasu, dlatego bedziemy tam o trzeciej

czasu lokalnego. Następnie mamy samolot do Nowego Jorku o siódmej wieczorem. Lecąc na wschód do godzin lotu należy dodać różnicę czasu, więc w Nowym Jorku będziemy jutro w południe. Twój sekretarz powiedział, że spotkanie jest po południu, tak? Czyli zdążysz.

-Muszę otrzymać informacje o spotkaniu - powiedziała. - Nie mam pojęcia, o co chodzi.

-Będiesz miała kilka godzin. Szybko się uczysz, zdążysz. - To szalenstwo. W ten sposób będziemy mieli tylko cztery godziny na załatwienie sprawy na Hawajach.

-Całkowicie wystarczy. Zadzwoń wcześniej, żeby wszystko przygotować.

-Spędzimy całą noc w podróży. Pojdziesz na spotkanie po bezsennej nocy w tym cholernym samolocie.

-Polecimy pierwsza klasa. Przecież i tak płaci Rutter. W pierwszej klasie można się przespać. Fotele są dostatecznie wygodne.

-Szalenstwo - powtórzyła. Wzruszyła ramionami i westchnęła.

-Pożycz mi swój telefon - poprosił Reacher.

Jodie podała mu komórkę. Reacher zadzwonił do biura numerów zamiejscowych i poprosił o telefon. Wybrał numer i słuchał, jak dziesięć tysięcy kilometrów od Dallas brzęczy dzwonek. Po ośmiu dzwonkach rozległ się głos, który chciał usłyszeć.

-Mówi Jack Reacher - przedstawił się. - Czy będzie pan w biurze cały dzień?

Na Hawajach był wczesny ranek, więc nic dziwnego, że ktoś odpowiedział mu powoli i

sennym głosem, ale to była odpowiedź, jaką chciał usłyszeć. Wylaczył telefon i oddał go

Jodie, która ciężko westchnęła, lecz tym razem towarzyszył temu słaby uśmiech. Podeszła do

kasy i kupiła dwa bilety pierwszej klasy do Honolulu, a stamtąd do Nowego Jorku. Zapłaciła

złotą kartą kredytową. Kasjer od razu zarezerwował im miejsca. Wydawał

się zdziwiony, że ktoś gotów jest zapłacić tyle, ile za używany

samochód sportowy, żeby spędzić dwadzieścia godzin w samolocie i cztery na Oahu. Podał Jodie bilety. Dwadzieścia minut później Reacher rozsiadł się na ogromnym, skórzanym fotelu, a Jodie siedziała bezpiecznie metr od niego.

- - -

Mieli opracowaną procedurę w takich sytuacjach. Nigdy jeszcze jej nie zastosowali, ale ćwiczyli często i pedantycznie. Mocno zbudowany mężczyzna przy pulpicie recepcjonisty niepozornym ruchem przesunął rękę w bok i nacisnął palcem wskazującym jeden guzik, a środkowym drugi. Pierwszy służył do zamykania drzwi z poczekalni na korytarz. Elektroniczny mechanizm przesunął stalowy rygiel cicho i niezauważalnie. Po uruchomieniu mechanizmu nie można było otworzyć drzwi kluczem. Drugi guzik spowodował włączenie migoczącej, czerwonej lampki w interkomie Hobiego, który musiał to zauważyć.

-W czyjej sprawie? - spytał facet przy pulpicie.

-Sheryl - powtórzyła O'Hallinan.

-Przykro mi, ale tu nie pracuje nikt o takim imieniu. Obecnie zatrudniamy trzy osoby i są to wyłącznie mężczyźni. P

rzesunal reke w lewo i polozyl palec na guziku uruchamiajacym interkom.

-Czy macie czarne tahoe? - spytala O'Hallinan.

-Owszem, mamy taki samochod - potwierdzil tamten, kiwajac glowa.

-A czarnego suburbana?

-Tak. Mysle, ze mamy samochod tej marki. Czy chodzi o naruszenie przepisow drogowych?

-Chodzi o to, ze Sheryl jest w szpitalu - odpowiedziala O'Hallinan.

-Jaka Sheryl? - znowu spytal mocno zbudowany mezczyzna.

Sark podszedl do O'Hallinan.

-Chcielibysmy porozmawiac z pana szefem.

-Okay. Zobaczcie, co da sie zrobic. Czy moge prosic wasze nazwiska?

-Sark i O'Hallinan z wydzialu policji miasta Nowy Jork. Tony otworzyl drzwi gabinetu i stanal

w nich. Spojrzal na

policjantow.

-Czym moge sluzyc? - zapytal.

Obaj zakladali, ze policjanci odwroca sie od pulpitu recepcjonisty i spojrze na Tony'ego. Moze zrobila kilka krokow w jego strone. Tak tez sie stalo. Sark i O'Hallinan zrobili w tyl zwrot i podeszli w kierunku drzwi do gabinetu. Mezczyzna za pulpitem pochylil sie, otworzyl kredens i wyciagnal strzelbe na grubym srut z krotko obcieta lufa. Trzymal ja przy nodze, zeby nie bylo jej widac.

-Chodzi o Sheryl - powtorzyla O'Hallinan.

-Jaka Sheryl? - zdziwil sie Tony.

-O Sheryl, ktora lezy w szpitalu z rozwalonym nosem - wyjasnil Sark. - A takze polamanymi koscmi policzkowymi i wstrzasnieniem mozgu. Sheryl, ktora wysiadla z waszego tahoe przed izba przyjec szpitala Swietego Wincentego.

-Och, rozumiem - odparl Tony. - Nie spytalismy jej, jak sie nazywa. Z powodu obrazen nie mogla w ogole mowic.

-Jak sie znalazla w waszym samochodzie? - spytala O'Hallinan.

-Bylismy na dworcu Grand Central, odwozilismy klienta. Znalezlismy ja na chodniku, wydawala sie zdezorientowana. Wysiadla z pociagu z Mount Kisco i blakala sie po dworcu. Zaproponowalismy, ze zawieziemy ja do szpitala, bo najwyrazniej potrzebowala pomocy. Podrzucilismy ja do Swietego Wincentego, poniewaz to po drodze.

-Bellevue jest blizej dworca - zauwazyla O'Hallinan.

-Tak, ale tam jest duzy ruch - powiedzial spokojnie Tony. - Latwiej dojechac do Swietego Wincentego.

-Nie zastanowilo was, co jej sie stalo? - spytal Sark. - Jaka byla przyczyna jej obrazen?

-No oczywiście, myśleliśmy o tym - rzekł Tony. - Spytałismy ją, ale nie mogła mówić. Dlatego nie rozpoznaliśmy jej imienia. O'Hallinan stała, najwyraźniej nie wiedząc, co zrobić. Sark zrobił krok naprzód.

-Znaleźliście ją na chodniku?

-Tak, przed Grand Central - potwierdził Tony.

-Nie mogła mówić?

-Ani słowa.

-A zatem skąd wiecie, że przyjechała pociągiem z Kisco? Jedynym niejasnym punktem podczas licznych prób była

kwestia określenia, kiedy przejść od defensywy do ofensywy. To sprawa subiektywnej oceny sytuacji. Ufali, że gdy będzie to konieczne, podejmą właściwą decyzję. Tak też się stało. Mezczyzna za pulpitem zarepetował strzelbę i po dniósł ją nad pulpit

-Nie ruszać się! - krzyknął.

Tony wyciągnął z kieszeni pistolet kalibru dziewięć milimetrów. Sark i O'Hallinan spojrzeli na pistolet, potem na strzelbę i wyrzucili ręce w górę. Nie zrobili tego powoli i z zalem jak na filmach. Uniesli ręce tak, jakby od tego zależało ich życie, dotykając nimi płyt dzwiekochłonnych nad

głowami. Facet ze strzelba podszedł od tyłu i wbil lufę w plecy Sarka, a Tony obszedł O'Hallinan i zrobił to samo pistoletem. Z ciemnego gabinetu wyłonił się trzeci mezczyzna. Stanął w drzwiach.

-Jestem Hak Hobie - powiedział.

Oboje wpatrywali się w niego w milczeniu. Zatrzymali na chwilę wzrok na zdeformowanej twarzy, a potem na pustym rekawie.

-Jak się nazywacie? - spytał Hobie.

Nie odpowiedzieli. Wpatrywali się w hak. Hobie podniósł prawą reke. Światło odbiło się od stalowej powierzchni.

-Ktore z was to O'Hallinan? O'Hallinan kiwnęła głową. Hobie spojrzał na Sarka.

-Zatem ty jesteś Sark. Sark również skinął głową. To był minimalny ruch.

-Zdejmijcie pasy! - rzucił Hobie. - Po kolei. Szybko. Sark zrobił to pierwszy. Opuszczył ręce i przez chwilę mocował się z klamrą. Ciezki pas upadł z hukiem na podłogę. Sark znowu podniósł ręce.

-Teraz ty - polecił Hobie, patrząc na O'Hallinan. O'Hallinan zdjęła pas. Ciezki pas z przepiętymi kajdankami,

rewolwerem i palka uderzył o wykładzinę. Podniosła ręce. Hobie pochylił się, chwycił hakiem za klamry pasów i uniosł je. Przybrał pozę wedkarza prezentującego ryby po udanym dniu nad rzeką. Zdrowa ręka odpisał dwie pary kajdank.

-Odwroćcie się. Wykonali polecenie. Teraz Tony i ten drugi celowali im w twarze.

-Ręce do tyłu.

Jednoreki człowiek może założyć ofierze kajdanki, jeśli ta stoi spokojnie i trzyma nadgarstki jeden obok drugiego. S

ark i O'Hallinan stali naprawdę nieruchomo. Hobie najpierw założył im kajdanki, a potem zacisnął je tak mocno, że jęknęli z bólu. Podniósł pasy wysoko, żeby nie wiec ich po podłodze, i wrócił do gabinetu.

-Wejdźcie! - zawołał.

Hobie stanął za biurkiem i położył pasy na blacie, jakby to

były przedmioty do zbadania. Usiadł ciężko na fotelu. Tony ustawił więźniów przed biurkiem. Hobie chwilowo nie zwracał na nich uwagi. Odpalił rewolwery od pasów i wrzucił je do szuflady. Odczepił radia i przez chwilę manipulował głośnością, aż słychać było trzaski i szumy. Położył oba odbiorniki na brzegu biurka, z antenami skierowanymi ku oknu. Pochylając głowę, przez chwilę wsłuchiwał się w szmer, a następnie wyciągnął z petli przy pasach policyjne paliki. Jedną położył na biurku, a drugą złapał w lewą rękę. To była nowoczesna palika, z rączką i teleskopowym dołem. Przyjrzał się jej z zainteresowaniem.

-Jak to działa? - spytał.

Ani Sark, ani O'Hallinan nie odpowiedzieli. Hobie przez chwilę bawił się paliką, po czym spojrzał na mocno zbudowanego mężczyznę. Ten dzgnął Sarka strzałką w nerki.

-Zadalem ci pytanie - powiedział Hobie.

-Trzeba ją machnąć - mruknął Sark. - Machnąć i jakby strzelić. Hobie wstał, bo potrzebował więcej miejsca. Machnął paliką i strzelił nią jak z bata. Teleskopowa część się rozsunęła i zablokowała w bojowym położeniu. Hobie usmiechnął się zdrową połową twarzy. Złożył palikę i spróbował znowu. Jeszcze raz się usmiechnął. Krążył wokół biurka, machając paliką, składając ją i ponownie otwierając. Wypróbował zamach w pionie i poziomie. Robił to coraz mocniej. Krecił się, machając paliką. Otworzył ją tak, jakby zagrywał backhand, po czym uderzył O'Hallinan w twarz.

-Podoba mi się - powiedział.

Policjantka poleciała do tyłu, ale Tony dzgnął ją pistoletem w plecy. Nogi ugięły się pod nią i upadła bezwładnie do przodu, opierając się głową o biurko, bo ręce miała skute na plecach. Z nosa i ust ciekła jej krew.

-Co Sheryl wam powiedziała? - spytał Hobie. Sark patrzył na koleżankę.

-Powiedziała, że uderzyła się o drzwi - wymamrotała.

-Do diabła, dlaczego zatem zawracacie mi głowę? Dlaczego tu przyszliście?

Sark podniósł na niego wzrok. Spojrzał mu prosto w twarz.

-Bo jej nie uwierzyliśmy. Nie ulegało wątpliwości, że ktoś ją pobili. Kierowaliśmy się numerem rejestracyjnym tego i najwyraźniej trafiliśmy we właściwe miejsce. W gabinecie zapadła cisza. Słychać było tylko trzaski i szmery dochodzące z policyjnych aparatów radiowych. Hobie kiwnął głową.

-Jak najbardziej właściwe - potwierdził. - I wcale nie uderzyła się o drzwi. Sark też kiwnął głową. Nie brakowało mu odwagi. Wydział przemocy domowej nowojorskiej policji nie jest dobrą przechowalnią dla tchórzów. Z definicji wymaga umiejętności radzenia sobie z ludźmi skłonny do brutalnej przemocy. Sark potrafił sobie z nimi radzić nie gorzej od innych.

-To wielki błąd - powiedział spokojnie.

-Jaki błąd? - zainteresował się Hobie.

-Tu chodzi wyłącznie o to, co zrobił pan Sheryl. Sprawa może ograniczyć się do tego. Nie powinien pan niczego do

kladac. Akty przemocy wobec policjantow to znacznie powazniejszy zarzut. Sprawe Sheryl moze sie uda jakos zalatwic. Moze byl pan sprowokowany, moze sa jakies okolicznosci lagodzace. Jesli jednak bedzie pan nas dalej atakowa, nie bedziemy mogli pomoc. Pan sie tylko pograza.

Sark przerwal i uwaznie obserwowal reakcje Hobiego. Ten sposob czesto okazyl sie skuteczny. Wlasny interes sprawcy czesto sklanial go do wspolpracy. Hobie jednak nie zareagowal w zaden sposob. Nic nie powiedzial. W gabinecie zapadla cisza. Sark obmyslal nastepne posuniecie, gdy nagle przez radio uslyszeli glos odleglego dyspozytora, ktory wlasnie skazal ich na smierc.

Piec-jeden i piec-dwa, prosze potwierdzcie, gdzie teraz jestescie.

Sark tak nawykl reagowac na wezwanie, ze odruchowo siegnal reka do biodra. Kajdanki wciely sie w nadgarstki. Radiowe wezwanie padlo w pustke. Hobie wpatrywal sie w przestrzen.

Piec-jeden i piec-dwa, musze wiedziec, gdzie jestescie. Prosze sie zglosic. Sark wpatrywal sie w radio z przerazeniem. Hobie dostrze jego spojrzenie i usmiechnal sie.

-Nie wiedza, gdzie jestescie - powiedzial. Sark pokrecil glowa. Szybko myslal. Byl odwaznym czlowiekiem.

-Wiedza, gdzie jestesmy. Wiedza, ze jestesmy tutaj. Chca tylko uzyskac potwierdzenie, to wszystko. Stale nas kontroluja.

Dyspozytor odezwal sie ponownie. Piec-jeden, piec-dwa, prosze sie zglosic. Hobie wpatrywal sie w Sarka. O'Hallina n usilowala wstac i patrzyla na radia. Tony skierowal pistolet w jej strone.

Piec-jeden, piec-dwa, czy mnie slyszycie? Glos znikl w szumie, ale po chwili wrocil. Teraz brzmial wyrazniej.

Piec-jeden, piec-dwa, mamy pilny przypadek przemocy domowej na rogu Houston i alei D. Czy jestescie w tej okolicy? Hobie sie usmiechnal.

-To trzy kilometry stad - powiedzial. - Nie maja najmniejszego wyobrazenia, gdzie jestescie.

Skrzywil sie ironicznie. Lewa czesc jego twarzy przyjete dziwny wyraz, natomiast prawa pozostala nieruchoma jak sztywna maska.

14

Po raz pierwszy w zyciu Reacherowi bylo wygodnie w samolocie. Latal od urodzenia, najpierw jako dziecko zolnierza, potem jako zolnierz. W sumie przelecial miliony kilometrow skulony na lawce w demonstracyjnie spartanskich wojskowych samolotach transportowych albo wcisniety w waski fotel w klasie turystycznej. Podroz pierwsza klasa samolotu pasazerskiego byla dla niego nowym luksusem.

Kabina pierwszej klasy robila wrazenie. To byla zamierzona obraza pasazerow klasy turystycznej, ktorzy przechodzili wzdluz

samolotu do swoich skromnych miejsc. W pierwszej klasie w jednym rzędzie stały cztery fotele, a w turystycznej dziesięć. Z arytmetyki wynikało, że fotele w jedyńce są dwa i pół razy szersze, a ponadto były lepsze. Wydawały się o gromne. Reacher miał wrażenie, że siedzi na sofie. Mogł się wiercić na wszystkie strony, nie obijając bioder o łokcie. Odstępy między rzędami były tak duże, że mógł obsunąć się na fotelu i wyciągnąć nogi, nie wbijając kolan w oparcie następnego fotela. Naciskając guzik, mógł odchylić oparcie do tyłu tak bardzo, że prawie leżał poziomo, nie przeszkadzając przy tym pasażerowi z tyłu. Zmienił ustawienie oparcia kilka razy, zupełnie jak dziecko, które bawi się nową zabawką. W końcu wybrał położenie pośrednie i otworzył magazyn linii lotniczych, świeży i nowy, nie zaś po

giety i lepki jak te, które czytali pasażerowie w dalszych czterdziestu rzędach.

Jodie utonęła w swoim fotelu. Zdjęła buty i usiadła z podwiniętymi nogami. Na kolanach trzymała ten sam magazyn, a obok jej łokcia stał kieliszek ze schłodzonym szampanem. W kabinie było cicho. Siedzieli w przedniej części samolotu, daleko od silników, których huk nie był tu głośniejszy od szmeru wentylatorów. Reacher nie czuł żadnych drgań. Spojrzał na powierzchnię złotego szampana w kieliszku Jodie. Była zupełnie nieruchoma.

-Mogłbym się przyzwyczaić do takich warunków - powiedział. Jodie spojrzała na niego z uśmiechem.

-Nie z twoimi zarobkami - zauważyła.

Reacher kiwnął głową i zajął się arytmetyką. Wytoczył, że za jedną dniówkę przy kopaniu basenów mógłby kopiec o siemdziesiąt kilometrów lotu w pierwszej klasie. Samolot pokonywał taki dystans w pięć minut. Dziesięć godzin pracy, zarobek przepuszczony w pięć minut. Wydawałby pieniądze sto dwadzieścia razy szybciej, niż je zarabiał.

-Co zamierzasz teraz robić? - spytała Jodie. - Gdy skończymy z tą sprawą?

-Nie wiem. Reacher zadawał sobie to pytanie, od kiedy Jodie powiedziała mu o domu. Ten dom tkwił w jego wyobraźni, chwilami wydawał mu się zagrożeniem, chwilami czymś przyjemnym. Przypominał mu obraz, który zmienia się w zależności od nachylenia względem światła. Chwilami stał oświetlony słońcem, wygodny, niski i rozległy, otoczony zdziczałym ogrodem, jak prawdziwy rodzinny dom. Chwilami ukazywał mu się jako gigantyczne koło młyńskie, które zmusza do coraz szybszego biegu, żeby tylko pozostać na linii startu. Znal ludzi mających domy. Rozmawiał z nimi z takim samym pełnym dystansu zainteresowaniem, z jakim rozmawiałby z osobą hodującą weże lub startującą w konkursach tanecznych. Dom narzuca pewien styl życia. Jeśli nawet ktoś dał ci go w prezencie, jak zrobił Leon, to dom nakłada na ciebie liczne obowiązki. Są podatki od nieruchomości. Reacher wiedział o tym. Trzeba zapłacić za ubezpieczenie od pożaru i klęsk żywiołowych, takich jak huragan. Dom wymaga napraw i konserwacji. Znajomi właściciele domów ciągle coś przy nich robili. Zdarzało się, że przed zimą wymieniali system grzewczy, bo stary się zepsuł. Albo w piwnicy pojawiła się woda i konieczna była skomplikowana operacja związana z odsłanianiem fundamentów. Dachy stanowiły częsty problem. Wiedział o tym. Znajomi mu opowiadali. Zaskoczyło go, że życie dachu może się skończyć. Trzeba zdjąć gonty i założyć nowe. Malować ściany lub wymieniać deskowanie. To samo z oknami. Znal ludzi, którzy długo rozważali, jakie kupić okna. - Czy zamierzasz szukać pracy? - spytała Jodie. Reacher wyglądał przez owalne okno. Lecieli nad południową Kalifornię. Dziesięć kilometrów pod

nimi ciagnela sie sucha brazowa pustynia. Jaka prace? Utrzymanie domu - podatki, ubezpieczenie, naprawy - bedzie go kosztowalo pewnie z dziesiec tysiecy dolarow rocznie.

Dom stal z dala od miasta, wiec musialby zatrzymac samochod Ruttera. Dostal go za darmo, tak jak dom, ale uzytkowanie takiego samochodu tez laczylo sie z wydatkami. Ubezpieczenie, zmiany oleju, na

prawy, benzyna. Pewnie kolejne trzy patyki rocznie. Do tego nalezalo dodac wydatki na zycie

-jedzenie, ubrania, media. Gdyby mial dom, chcialby miec jeszcze inne rzeczy. Chcialby

kupic stereo, plyty Wynonny Judd i wielu innych muzykow. Przypomnial sobie recznie spisany roczny budzet pani Hobbie. Ona uznala, ze potrzebuja okreslonej sumy na caly rok, a Reacher nie wyobrazal sobie, zeby udalo mu sie zejsc ponizej tej kwoty. Musial miec trzydziestu tysiecy dolarow rocznie, a zatem musialby zarabiac piecdziesiat tysiecy, bo jeszcze nie uwzglednil podatkow od dochodu i kosztow dojazdu do cholernej pracy.

-Nie wiem - powtorzyl.

-Jest wiele rzeczy, ktore moglbys robic.

-Na przyklad?

-Masz liczne zdolnosci. Jestes znakomitym detektywem. Tata zawsze mowil, ze jestes najlepszym, jakiego w zyciu spotkal.

-Tak bylo w wojsku - odpowiedzial. - To juz skonczone.

-Te same umiejetnosci mozna stosowac w roznych dziedzinach. Zawsze jest popyt na zdolnych ludzi. Uniosla glowe tak, jakby nagle wpadla na dobry pomysl.

-Mozesz przejac praktyke. Costella. Zostanie po nim proznia. Nieustannie korzystalismy z jego uslug.

-Swietny pomysl. Najpierw postaralem sie, zeby go zabili, teraz przejmie jego interesy.

-To nie byla twoja wina - odpowiedziala Jodie. - Powinienes o tym pomyslec. Wobec tego Reacher znowu zaczal przygladac sie Kalifornii i myslec. Przypomnial sobie wysluzony skorzany fotel Costella i jego starzejace sie, przywyklo do wygod cialo. Wyobrazil sobie, jak siedzi w pastelowym pokoju z mlecznymi szybami i spedza cale zycie przy telefonie. Pomyslal, ile kosztuje utrzymanie biura na Greenwich Avenue, zatrudnienie sekretarki, zapewnienie jej nowego komputera, konsoli telefonicznej, ubezpieczenia medycznego i platnego urlopu. Na dokladke do wszystkich wydatkow zwiazanych z domem w Garrison. Pracowalby przez dziesiec miesiecy, nim zarobilby pierwszego dodatkowego dolara.

-Nie wiem - rzekl po chwili. - Nie jestem pewny, czy chce o tym myslec.

-Bedziesz musial.

-Byc moze - zgodzil sie. - Ale niekonieczne w tej chwili.

Jodie usmiechnela sie ze zrozumieniem i przerwali rozmowe. Samolot lecial z cichym szumem. Stewardesa podawal napoje. Jodie wybrala jeszcze jeden kieliszek szampana, Reacher zdecydowal sie na piwo. Przekartkowal magazyn

- nudne artykuły o niczym szczególnym. Reklamy usług finansowych i różnych skomplikowanych gadżetów, czarnych i wymagających baterii. Dotarł do opisu floty samolotów linii lotniczej z licznymi kolorowymi rysunkami. Zidentyfikował samolot, którym lecieli, dowiedział się, ile bierze pasażerów, jaka ma rozpiętość skrzydeł i moc silników. Na końcu magazynu była krzyżówka na całą stronę. Wydawała się trudna. Jodie już ją rozwiązywała.

-Spojrz na jedenascie pionowo - poprosiła.

-Bywają ciężkie - przeczytał. - Dziewiec liter.

-Obowiązki - powiedziała Jodie. - - -

Marilyn i Chester Stone siedzieli skuleni na sofie przed biurkiem, ponieważ Hobbie zajął łazienkę. Był tam z policjantami. Mężczyzna w ciemnym garniturze siedział na sofie naprzeciwko nich, ze strzelbą na kolanach. Tony rozwałił się obok niego i położył nogi na stoliku. Chester miał tępa minę i wpatrywał się w przestrzeń. Marilyn była zmarznięta, głodna i przerażona. Z łazienki nie dochodziły do nich żadne odgłosy.

-Co on tam z nimi robi? - szepnęła.

-Prawdopodobnie na razie tylko z nimi rozmawia - odpowiedział Tony, wzduszając ramionami.

-O czym?

-No, pyta ich, co lubią a czego nie. W zakresie fizycznego bólu. Lubi to robić.

-Boże, dlaczego?

-Jego zdaniem tak jest bardziej demokratycznie, więc pozwala ofiarom decydować o swoim losie. - Uśmiechnął się. Marilyn zadygotała.

-Boże, czy on nie może ich po prostu wypuścić? Przecież sadzili, że Sheryl pobili maza, to wszystko. Nic o nim nie więdzieli.

-No to niedługo czegoś się dowiedzą - rzucił Tony. - Kaze ofiarom wybierać liczbę. Nigdy nie wiedzą, czy wybrać małą, czy dużą, bo nie mają pojęcia, o co chodzi. Wydaje się im, że jeśli wybiorą właściwą, to go ulagodzi. Zawsze bardzo długo nad tym myśla.

-Czy nie może ich pusczyć? Może później? Tony potrząsnął głową.

-Nie - odrzekł. - Jest bardzo spięty. To go relaksuje. Jak terapia. Marilyn długo milczała. Musiała jednak zapytać.

-A co ma oznaczać ta liczba? - szepnęła. - Ile godzin będą umierać - wyjaśnił Tony. - Ci, którzy wybrali dużą, bardzo tego później żałują.

-Ależ z was lajdacy.

-Jeden facet wybrał kiedyś sto, ale skończyliśmy z nim po dziesięciu.

-Lajdacy.

-Tobie nie kaze wybierać liczby. W stosunku do ciebie ma inne plany. W łazience wciąż panowała cisza.

-On jest szalony - szepnęła Marilyn.

-Pewnie trochę tak - zgodził się Tony, wzduszając ramionami. - Mimo to go lubię. W życiu wiele wycierpiał. Może

dlatego interesuje go bol.

Marilyn patrzyła na niego z przerażeniem. W tym momencie zadzwonił dzwonek przy debowych drzwiach na korytarz. W przerazającej ciszy zabrzmiał wyjątkowo głośno. Tony i mężczyzna ze strzelbą spojrzeli w tamtym kierunku.

-Sprawdź, o co chodzi - polecił Tony.

Siegnął do kieszeni marynarki po pistolet. Wycelował w Marilyn i Chestera. Jego partner ze strzelbą podniósł się z niskiej sofy i obchodził stół, poszedł do drzwi. Zamknął je za sobą. W gabinecie zrobiło się cicho. Tony wstał. Podszedł do łazienki. Zapukał w drzwi kolbą, uchylił je i wsunął głowę do środka.

-Mamy gości - szepnął.

Marilyn rozejrzała się na prawo i lewo. Tony był siedem metrów od niej, a stał najbliżej. Wzięła głęboki oddech, zerwała się z sofy, przeskoczyła przez stół, przebiegła po sofie naprzeciwko i rzuciła się do drzwi. Otworzyła je gwałtownie. Facet w ciemnym garniturze stał po drugiej stronie poczekalni przy drzwiach i rozmawiał z jakimś niskim mężczyzną.

-Pomocy! - krzyknęła.

Mężczyzna spojrzał na nią. Był ubrany w ciemnoniebieskie spodnie, niebieską koszulę i krótką marynarkę koloru spodni. Jakis mundur. Na klapie marynarki miał wyszyte jakieś logo. Pod pachą trzymał brązową, papierową torbę ze sklepu spożywczego.

-Pomocy! - zawołała jeszcze raz.

Mężczyzna w ciemnym garniturze rzucił się gwałtownie do przodu, wciągnął gościa do poczekalni i zatrzasnął za nim drzwi. Równocześnie Tony chwycił Marilyn od tyłu, obejmując ją ramieniem w pasie. Powłokł ją do gabinetu. Pochyliła się, usiłując stawic opór. Zgięła się w pół i zaciekle walczyła.

-Na litość boską, pomocy!

Tony uniosł ją z podłogi. Jego ramię przesunęło się pod jej piersi. Krótka sukienka podjechała do góry, odsłaniając uda. Marilyn kopnęła i próbowała się wyrwać. Niski mężczyzna w niebieskim uniformie gapił się na nią. Spadły jej buty. Tamten się uśmiechnął. Wszedł do gabinetu, omijając jej pantofle.

-Hej, chciałbym mieć taki towar - powiedział.

-Wybij to sobie z głowy - wysapał Tony. - Ścisły zakaz, przynajmniej na razie.

-Szkoda - westchnął ten nowy. - Na co dzień nie widuje się czegoś takiego.

Tony zaciągnął Marilyn na sofę i posadził obok Chestera. Mężczyzna wzruszył ramionami z wyraźnym zalem i opornie.

torbę na biurko. Na blat posypały się paczki pieniędzy. Hobie wyszedł z łazienki. Był bez marynarki, a rekawy koszuli podwinał do łokci. Lewe przedramię było mocno umiesnione i pokryte czarnymi włosami. Na prawym nosił skórzany futerał, ciemnobrązowy, wysłużony i lśniący, z paskami ginacymi w rekawie. Na dole futerał się zwał i wystawał z niego stalowy hak z prostym odcinkiem o długości piętnastu centymetrów i łukiem zakończonym ostrym szpi-cem.

-Tony, policz pieniądze - polecił. Marilyn wyprostowała się na sofie. Spojrzała na tego nowego.

-On trzyma tam dwoje policjantow - powiedziala z naciskiem. - Chce ich zabic. Facet wzruszyl ramionami.

-I bardzo dobrze - stwierdzil. - Moim zdaniem trzeba ich wszystkich pozabijac. Marilyn spojrzala na niego tepym w zrokiem. Tony stanal za biurkiem i uporządkowal paczki pieniedzy. Ulozyl je w rzadek i przeliczyl, przekładając z jednego konca biurka na drugi.

-Czterdziesci tysiecy.

-Gdzie sa kluczyki? - spytal nowy. Tony otworzyl szuflade biurka.

-To kluczyki do benza - powiedzial. Rzucil je niskiemu mezczyznie. Siegnal do kieszeni po nastepne. - Te do tahoe. Samochody sa na parkingu na dole.

-Co z bmw? - spytal mezczyzna w uniformie.

-Jeszcze stoi w Pound Ridge! - zawolal Hobie z drugiego konca pokoju.

-Kluczyki?

-Pewnie w domu - rzekl Hobie. - Nie wziela torebki, a nie wydaje sie, zeby gdzies je ukrywala, prawda? Mezczyzna spojrzal na sukienke Marilyn i usmiechnal sie oblesnie.

-Cos sie pod tym kryje, ale nie wyglada to na kluczyki. Marilyn popatrzyła na niego z obrzydzeniem. Na klapie

mial wyhaftowany czerwonym jedwabiem napis: Mo's Motors. Hobie przeszedl przez gabinet i stanal za nia. Pochylil sie i podsunal jej pod nos hak. Marilyn wpatrywala sie w stalowy szpic z odleglosci kilkunastu centymetrow. Zadrzala.

- Gdzie sa kluczyki? - spytali

-Bmw nalezy do mnie, nie do firmy.

-Nalezal. Juz przestal. Hobie przysunal hak jeszcze blizej. Czula zapach metalu i skory.

-Moge ja przeszukac - zaproponowal ten nowy. - Moze jednak gdzies je ukryla. Przychodzi mi do glowy kilka intere-
sujacych miejsc, ktore mozna by sprawdzic. Marilyn znowu zadygotala.

-Kluczyki - powiedzial cicho Hobie.

-W kuchni na kredensie - szepnela.

Hobie opuscil hak i odszedl od niej z usmiechem. Ten nowy wydawal sie rozczarowany. Kiwnal na znak, ze uslysza-
l ten szept. Poszedl powoli do drzwi, bawiac sie kluczykami do benza i tahoe.

-Przyjemnie robic z wami interesy - rzucil na pozegnanie. Zatrzymal sie przy drzwiach i

jeszcze raz spojrzal na Marilyn.

-Jestes pewny, ze to niemozliwe, Hobie? Biorac pod uwage to, jak dlugo sie znamy? Ile
interesow robilismy razem?

Hobie zdecydowanie pokrecil glowa.

-Nawet o tym nie mysl. Ta nalezy do mnie.

Facet wzruszył ramionami i wyszedł, machając kluczykami. Zatrzasnął za sobą drzwi gabinetu. Po chwili usłyszeli trzask drzwi do biura i szum windy. Znowu zapadła cisza. Hobie spojrzał na stos pieniędzy, odwrócił się i poszedł do łazienki. Marilyn i Chester siedzieli obok

siebie na sofie, zmarznięci, głodni i bliscy wymiotów. Światło przenikające przez szczeliny żaluzji było coraz słabsze, widac było żółta poświata zachodu. Cisza w łazience trwała, jak oceniała Marilyn, mniej więcej do osmej. Potem przerwał ją krzyk bólu. - - -

Samolot gonił słońce przesuwające się na zachód, ale nie nadązał - stracił trzy godziny. Wylądował na Oahu już po południu. Pasażerowie pierwszej klasy wysiedli przed tymi z klasy turystycznej, dzięki czemu Reacher i Jodie jako pierwsi znaleźli się na postoju taksówek. Pod względem temperatury

i wilgotności pogoda przypominała Teksas, ale w powietrzu czuć było sól, bo do Pacyfiku nie było daleko. Słońce świeciło nieco łagodniej. Zielone, poszarpane góry i niebieski ocean sprawiały, że wyspa przypominała lśniący klejnot tropików. Jodie znowu nałożyła ciemne okulary. Rozglądała się dookoła z umiarkowanym zaciekawieniem. W czasach służby ojca wielokrotnie była na Hawajach, ale nigdy tak naprawdę się tu nie zatrzymała. Tak samo Reacher. Nie potrafiłby zliczyć, ile razy wykorzystywał Hawaje jako punkt przesiadkowy w podróży po Pacyfiku, ale nigdy tutaj nie służył.

Pierwsza taksówka w długim szeregu była wierna kopia tej, którą jechali z Dallas-Fort Worth. Czysta caprice z klimatyzacją włączoną na pełny regulator i miejscem dla kierowcy przypominającym kaplicę i salon równocześnie. Rozczarowali kierowcę, wybierając najkrótszy możliwy kurs na Oahu - objazd wokół lotniska do bramy bazy sił powietrznych Hickam. To mniej niż kilometr. Facet spojrzał na stojące za nim taksówki. Najwyraźniej myślał z zazdrością, o ile więcej zarabia jego koledzy.

-Dostaniesz dziesięć dolarów napiwku - obiecał mu

Reacher.

Kierowca spojrzał na niego dokładnie takim wzrokiem, jak kasjer na lotnisku Dallas-Fort Worth. Licznik nie wyjdzie poza opłatę za pierwszy kilometr, a ten oferuje taki napiwek? Reacher spojrzał na fotografię przyklejoną taśmą do winylowej deski rozdzielczej. Zapewne rodzina kierowcy. Ciemnoskóra, uśmiechnięta kobieta w kolorowej sukni i liczne ciemne dzieci. Wszyscy stali przed czystym, skromnym domem. Na prawo od domu dostrzegł ogród. Pomyślał o Hobiech samotnie siedzących w ciemnej ciszy w Brighton, z syczącą butlą z tlenem i skrzypiącymi deskami pod nogi. Przypomnił sobie Ruttera i jego brudną norę.

-Dwadzieścia dolarów - powiedział. - Jeśli ruszymy od razu, zgoda?

-Dwadzieścia dolarów? - powtórzył kierowca ze zdumieniem. mieniem.

-Trzydzieści. Dla twoich dzieci. Wydają się miłe Kierowca się uśmiechnął, musnął palcami usta i następnie

dotknął lśniącej powierzchni zdjęcia. Ruszył, zmienił pas na drodze wokół lotniska i niemal natychmiast, po przejechaniu osmiuset metrów, zatrzymał się przed bramą bazy, która wyglądała dokładnie tak jak w Fort Wolters. Jodie otworzyła drzwiczki i wysiadła. Na zewnątrz było bardzo gorąco. Reacher wyciągnął z kieszeni zwitek banknotów. Na wierzchu było pięćdziesiąt dolarów. Wziął banknot i podał go przez otwór w barierze z pleksiglasu.

-Reszty nie trzeba - rzucił. Wskazał zdjęcie. - To pana dom? Kierowca przytaknął.

-Dobrze się trzyma? Trzeba coś naprawić? Taksowkarz pokręcił głową.

-Nie. Jest w doskonałym stanie.

-Dach w porządku?

-Zadnych problemów.

-Tylko pytałem - powiedział Reacher. Przesunął się po siedzeniu i wysiadł. Stał obok

Jodie na rozgrzanym asfalcie. Taksówka odjechała w kierunku cywilnego terminalu. Gorące

powietrze było nieco mgliste. Od strony oceanu wiał lekki wiatr, niosąc zapach soli. Jodie

odgarnęła włosy z twarzy i rozejrzała się wokół.

-Dokąd idziemy?

-CLIH - odparł. - Centralne Laboratorium Identyfikacji, Hawaje. To główne laboratorium sił lądowych.

-Po co?

-Pokażę ci - rzekł. - Przynajmniej taka mam nadzieję - dodał po chwili. Podeszli do wartowni i stanęli przy okienku. W środku siedział sierżant w takim samym mundurze, tak samo ostrzyżony i z taką samą podejrzliwą miną jak żołnierz w Wolters. Kazał im czekać na słońcu, ale po chwili odsunął okienko. Reacher podał nazwiska.

-Jesteśmy umówieni z Nashem Newmanem - wyjaśnił. Sierżant wydawał się zdziwiony. Podniósł podkładkę do notowania i przewrócił kilka kartek. Przesunął palcem wzdłuż

linii i skinął głową. Podniósł słuchawkę i wybrał czterocyfrowy numer. Telefon wewnętrzny. Podał nazwiska gości i poczekał na odpowiedź. Znowu coś go zdziwiło. Zasłonił dłoń mikrofon i spojrzał na Jodie.

-Ile ma pani lat? - spytał.

-Trzydzieści - odpowiedziała. Teraz ona była zaskoczona.

-Trzydzieści - powtórzył sierżant do mikrofonu. Słuchał jeszcze chwilę, po czym odłożył telefon i zanotował coś na podkładce. Zwrócił głowę w kierunku okna.

-Newman zaraz przyjdzie, mogą państwo wejść.

Przecisnęli się między ścianą wartowni i przeciwwagą szlabanu. Czekali tylko o dwa metry dalej, ale teraz stali na chodniku należącym do bazy, nie zaś wydziału drogowego Hawajów, co natychmiast wpłynęło na wyraz twarzy sierżanta. Zapomniał o podejrzliwości i tylko przyglądał się im z zaciekawieniem. Bardzo chciał wiedzieć, dlaczego legendarnemu Nashowi Newmanowi tak bardzo zależało, żeby ci cywile jak najszybciej znaleźli się w bazie. Jakies pięćdziesiąt metrów od bramy stał niski, betonowy budynek z prostymi drzwiami w ślepej ścianie. Po chwili wyszedł przez nie siwowłosy mężczyzna. Zamknął za sobą drzwi na klucz, po czym szybkim krokiem skierował się w stronę wartowni. Miał na sobie spodnie i koszulę od tropikalnego munduru, a na wierzchu biały laboratoryjny fartuch. Przy bliźszym widoku było dość metalu, żeby odgadnąć, iż jest wyższym oficerem, a jego postawa całkowicie potwierdzała to wrażenie. Reacher ruszył mu na spotkanie. Jodie poszła za nim. Siwowłosy mężczyzna miał pięćdziesiąt parę lat, był wysoki, miał dumny, patrycjuszowski wyraz twarzy. Odznaczał się naturalną atletyczną sprawnością, która dopiero zaczęła słabnąć pod wpływem wieku.

-General Newman - odezwał się Reacher. - Chciałbym panu przedstawić Jodie Garber. Newman spojrzał na niego i uśmiechnął się do niej.

-Milo mi poznać pana, generale - powiedziała Jodie.

-Juz kiedyś się spotkaliśmy - stwierdził Newman.

-Naprawdę? - zdziwiła się Jodie.

-Tak, ale pewnie pani tego nie pamięta. Byłbym zdumiony, gdyby pani pamiętała. Na Filipinach. Miała pani wtedy z e trzy lata. Spotkaliśmy się w ogrodzie pani ojca. Pamiętam, że przyniosła mi pani szklanke ponczu. To była duża szklanka, niosła ją pani przez wielki ogród, a była pani mała dziewczynka. Trzymała ją pani dwiema rękami, wysuwając język, z ogromnym skupieniem. Obserwowałem panią i serce podchodziło mi do gardła ze strachu, że pani ją upuści.

-Ma pan rację, niestety, tego nie pamiętam. - Jodie się uśmiechnęła. - Miałam trzy lata? To było bardzo dawno temu.

-Dlatego spytałem sierżanta, na ile lat pani wygląda - odrzekł Newman. - Nie chciałem, żeby panią pytał o to wprost. Chodziło mi o jego subiektywne wrażenie. Kobiet nie należy pytać o wiek, prawda? Ciekaw byłem jednak, czy rzeczywiście odwiedza mnie córka Leona. General uściśnął jej dłoń. Zwrócił się do Reachera i poklepał go po ramieniu.

-Jack Reacher! - wykrzyknął. - Cholernie się cieszę, że znowu cie widzę.

Reacher mocno ścisnął jego rękę. Też się cieszył.

-General Newman był moim nauczycielem - wyjaśnił Jodie. - Milion lat temu wykładał w szkole policyjnej. Cała moja wiedza o kryminalistyce pochodzi od niego.

-Był dobrym studentem - rzekł Newman. - A w każdym razie uważał na wykładach, co rzadko się zdarza.

-Czym się pan tu zajmuje, generale? - spytała.

-Hm, antropologia kryminalistyczna - odparł Newman. - Jest najlepszym eksportem na świecie - wtracił Reacher. Newman machnął ręką na ten komplement.

-Nic mi o tym nie wiadomo.

-Antropologia? - zdziwiła się Jodie. - Wydawało mi się, że antropologia zajmuje się badaniem prymitywnych plemion. Jak żyją, w co wierzą, jakie odprawiają rytuały i tak dalej.

-To pole działania antropologii kulturowej - odrzekł Newman. - Są różne odmiany antropologii. Ja się zajmuję antropologią kryminalistyczną stanowiącą część antropologii fizycznej.

-Polega na badaniu ludzkich zwłok w poszukiwaniu śladów i dowodów - dodał Reacher.

-Jestem lekarzem od koci - uciął Newman. - Do tego to się sprowadza. Rozmawiając, powoli przesuwali się wzdłuż chodnika w kierunku drzwi w ślepej ścianie. Otworzył im młodszy mężczyzna, który stał w korytarzu i czekał na nich. Niczym się nie wyróżniał; miał jakieś trzydzieści lat, a pod fartuchem nosił mundur porucznika. Newman wskazał go mchem głowy.

-To porucznik Simon. Prowadzi laboratorium. Bez niego nie dałbym sobie rady. Przedstawił porucznikowi Reachera i Jodie. Wszyscy wymienili uściski dłoni. Simon był człowiekiem spokojnym i zdystansowanym. Reacher uznał, że to typowy facet z laboratorium, zirytowany zakłóceniem normalnego trybu pracy. Newman poprowadził ich przez korytarz do swego gabinetu. Simon w milczeniu skinął głową i znikł.

-Siadajcie - powiedział Newman. - Porozmawiajmy.

-Czy zatem jest pan kims w rodzaju anatomopatologa? - spytała Jodie. Newman usiadł za swoim biurkiem. Pokiwał ręką na boki, sygnalizując brak zgody.

-Anatomopatolog ma ukończoną medycynę, w przeciwieństwie do antropologów. My studiowaliśmy tylko antropologię, nie poza tym. Naszą specjalnością jest fizyczna struktura ludzkiego ciała. Zarówno anatomopatolodzy, jak i antropolodzy badają zwłoki, ale ogólnie mówiąc, jeśli ciało jest stosunkowo świeże, to stanowi przedmiot zainteresowania anatomopatologa, a jeśli został tylko szkielet to już nasze zadanie. Dlatego mówię, że jestem specjalistą od kości. Jodie pokiwała głową.

-Oczywiście to pewne uproszczenie - dodał Newman. - Zdarza się, że zajmujemy się zwłokami ludzi, którzy niedawno zmarli. Przypuścimy, że ciało jest pocwiartowane. W takim przypadku anatomopatolog zapewne zwróciłby się do nas z prośbą o pomoc. Moglibyśmy zbadać ślady pozostawione na kościach przez użyte narzędzia, takie jak piła, okreslic, czy sprawca był słaby czy silny, lewo- czy praworeczny i tak dalej. Jednakże w dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto badam szkielety. Wyschnięte, stare kości. - Newman uśmiechnął się jak z jakiegoś prywatnego żartu. - Kiedy mamy do czynienia ze starymi szkieletami, anatomopatolodzy są bezużyteczni. Naprawdę, zupełnie bez nadziejni. Nie mają pojęcia o podstawowych rzeczach. Czasami zastanawiam się, czego właściwie ich ucza na studiach.

W gabinecie było cicho i chłodno. Żadnych okien, pośrednie oświetlenie z ukrytych lamp, wykładzina na podłodze. Biurko z palisandru, wygodne skórzane fotele dla gości. Elegancki zegar na niskiej półce wskazywał już trzecią trzydziestą. Zostało im tylko trzy i pół godziny do lotu do Nowego Jorku.

-Przejechaliśmy tu w pewnej sprawie, generale - powiedział Reacher. - Niestety, to nie jest czysto towarzyska wizyta.

-Mimo to nie musisz nazywać mnie generalem. Mów do mnie Nash, okay? Słucham, jaki macie problem?

-Potrzebujemy twojej pomocy, Nash - Odparł Reacher. Newman spojrzała na niego.

-Chodzi ci o kogoś z listy zaginionych w walce? Newman zwrócił się do Jodie, żeby wyjaśnić.

-Tym się tutaj zajmuje. Od dwudziestu lat nie robię nic innego. Jodie skinęła głową.

-Rzeczywiście, chodzi nam o pewną szczególną sprawę, w którą zostaliśmy wciągnięci. Newman powoli pokiwał głową. Z jego oczu nagle znikło światło.

-Tak, tego się obawiałem - powiedział. - Mamy tu osiemdziesiąt dziewięć tysięcy sto dwadzieścia spraw żołnierzy zaginionych w walce, ale mogę się założyć, że wiem, o którą wam chodzi

-Osiemdziesiąt dziewięć tysięcy? - powtórzyła ze zdumieniem Jodie.

-I sto dwadzieścia. Dwa tysiące dwustu z Wietnamu, osiem tysięcy stu siedemdziesięciu z Korei i siedemdziesiąt osiem tysięcy siedemset pięćdziesięciu z drugiej wojny światowej. Nie zrezygnowaliśmy z prób ustalenia losu nikogo z nich i obiecuje, że nigdy nie przestaniemy próbować.

-Boże, dlaczego jest ich aż tylu? Newman wzruszył ramionami. Jego twarz nagle wykrzywił gorzki grymas.

-Tak już jest na wojnie - odpowiedział. - Materiały wybuchowe, operacje taktyczne,

samoloty. Tocza sie wojny, niektorzy zolnierze przezywaja, inni gina. Zwloki poleglych czasami udaje sie odzyskac, czasami nie. Niekiedy nie pozostaje nic. Jesli ktos zostanie trafiony pociskiem z dziala, rozpada sie na pojedyncze molekuly. Po prostu nic z niego nie zostaje. Moze tylko drobna czerwona zawiesina w powietrzu, i to nie zawsze, bo mogli calkowicie wyparowac. Jesli pocisk wybuchl w poblizu, z delikwenta zostaja tylko strzepy. A przeciez w walce chodzi o zdobycie terenu, prawda? Jesli nawet te strzepy sa dosc duze, zostana prawdopodobnie wgniecione w ziemie przez czolgi, nieprzyjacielskie lub wlasne, poruszajace

sie w te i z powrotem po polu walki, a wtedy juz nie mozna znalezc zadnych sladow. - General na chwile zamilkl. Slachac bylo tykanie zegara. - Jeszcze gorzej jest z lotnikami. Toczyliśmy wiele kampanii powietrznych nad oceanami. Gdy samolot spada do wody, nie zostaja zadne slady. Czlonkowie zalogi pozostaja na liscie zaginionych do konca swiata, niezaleznie od tego, ile wysilku poswieca na ich szukanie ludzie pracujacy w takich laboratoriach jak to.

Newman machnal reka, jakby chcial objac caly gabinet i niewidoczne laboratoria. Zatrzymal ja zwrocona w kierunku Jodie, dlonia do gory, jakby o cos prosil.

-Osiemdziesiat dziewiec tysiecy - powtorzyla. - A ja sadzilam, ze w sprawie zaginionych chodzi tylko o Wietnam. Dwa tysiace ludzi.

-Osiemdziesiat dziewiec tysiecy sto dwadziescia - raz jeszcze podkreslil Newman. - Wciaz dostajemy zwloki z Korei, niekiedy z drugiej wojny swiatowej, z wysp na Pacyfiku. Ale ma pani racje, chodzi glownie o zaginionych w Wietnamie. Dwa tysiace dwustu. Szczerze mowiac, nie tak wielu. Wiecej ludzi ginelo kazdego dnia podczas pierwszej wojny swiatowej. codziennie przez cztery dlugie lata. Zolnierze rozerwani na strzepy i rozdeptani w blocie. Wietnam byl jednak inny. Po czesci z powodu takich wydarzen jak pierwsza wojna swiatowa. Nie akceptujemy juz masowej rzezi, i calkiem slusnie. Zrobilismy krok naprzod. Spoleczenstwo po prostu juz nie aprobejuje takiego nastawienia jak dawniej. Jodie w milczeniu pokiwal glowa.

-A poza tym przegralismy wojne w Wietnamie - dodal Newman. - To duza roznica. Jedyna wojna, jaka kiedykolwiek przegralismy. Z powodu porazki straty bola nas znacznie bardziej. Dlatego staramy sie wyjasnic wszystkie przypadki.

Newman znowu wskazal gestem niewidoczne laboratoria. Jego glos zabrzmial nieco pogodniej.

-A wiec tym sie tutaj zajmujecie? - zapytala Jodie. - Czekacie, az gdzies daleko zostana znalezione jakies szkielety, sprowadzacie je tutaj i identyfikujecie, tak? Chodzi o to, zeby wreszcie skreslic kogos z listy zaginionych? Newman znowu pomachal przeczaco reka.

-Nie czekamy beczynn timer. Jesli to mozliwe, prowadzimy poszukiwania. I nie zawsze udaje sie nam zidentyfikowac zwloki, choc cholernie sie staramy.

-To musi byc bardzo trudne.

-Pod wzgledem technicznym to czesto powazne wyzwanie - zgodzil sie Newman. - W miejscach, skad pochodza szkielety, zwykle panuje potworny balagan. Pracownicy terenowi przysylaja nam kosci zwierzat, miejscowej ludnosci. Musimy je posortowac. Potem zaczynamy analize. Niekiedy mamy bardzo malo materialu. Po niektórych zolnierzach

h zostaje tylko troche odlamkow kosci; zmiescilyby sie w pudelku po cygarach.

-Niemozliwe - zdziwila sie Jodie.

-To zdarza sie calkiem czesto - odrzekl general. - Teraz mamy tu ze sto niezidentyfikowanych czesciowych szkieletow. Departament Obrony nie moze sobie pozwolic na pomylki. Obowiazuja bardzo surowe kryteria oceny, a nie za wsze jestesmy w stanie im sprostac.

-Od czego zaczynacie? - zaciekawila sie Jodie. Nash wzruszyl ramionami.

-Zalezy od tego, czym dysponujemy. Zwykle od danych medycznych. Przypusemy, ze Reacher zaginal w akcji. Jesli w dzieciinstwie zlamal reke, mozemy porownac archiwalne zdjecia rentgenowskie ze zrosnietymi koscmi. Moze. Gdybyśmy znalezli jego szczeke, moglibysmy porownac plomby w zebach z danymi od stomatologa. Reacher zauwazy l, ze Jodie patrzy na niego i wyobraza sobie, jak Nash porownuje jego pozolke kosci znalezione w dzungli i oczyszczone z ziemi z kruchymi, wyblaklymi zdjeciami rentgenowskimi sprzed trzydziestu lat. W gabinecie zapadla cisza. Slychac bylo tykanie zegara.

-Leon byl tutaj w kwietniu-przerwal milczenie Reacher.

-Tak, odwiedzil mnie - potwierdzil Newman. - Glupio z jego strony, bo byl juz bardzo chory, ale ucieszylem sie ze spotkania. Zwrocil sie do Jodie z wyrazem wspolczucia na twarzy.

-Byl wspanialym czlowiekiem. Wiele mu zawdzieczam. Jodie kiwnela glowa. Nie pierwszy raz slyszala takie slowa. I nie ostatni.

-Pytal cie o Victora Hobiego - stwierdzil Reacher.

-Tak. Victora Trumana Hobiego.

-I co mu powiedziales?

-Nic - odrzekl Nash. - I tobie rowniez nic nie powiem. Wskazowki zegara stale przesuwaly sie naprzod. Za kwadran s czwarta.

-Dlaczego? - spytal Reacher.

-Z pewnoscia wiesz.

-To tajemnica?

-Scisle tajne - odpowiedzial Newman. Reacher nie mogl spokojnie wysiedziec na fotelu. Ogarnela go frustracja.

-Nash, jestes nasza ostatnia nadzieja. Wszedzie indziej juz sprawdzalismy.

-Wiesz, jakie sa reguly, Reacher. - Nash potrzasnal glowa. - Do diabla, jestem oficerem amerykanskiej armii. Nie zamierzam ujawniac tajnych informacji.

-Prosze cie, Nash. Zrobilismy taki kawal drogi.

-Nic moze - odparl general.

-Nie znam tego slowa - rzekl Reacher. Cisza.

-Hm, ale mozesz zadawac mi pytania - przerwal ja Newman. - Jesli moj byly student przychodzi tu i zadaje pytania, opierajac sie na wlasnych obserwacjach i informacjach, a ja odpowiadam na nie w czysto teoretyczny sposob, moim zdaniem nie moze to nikomu zaszkodzic.

Reacher mial wrazenie, ze rozstapily sie chmury i wyjrzalo slonce. Jodie spojrzala na niego. Zerknal na zegar. Za siedem czwarta. Mieli niecalo trzy godziny.

-Dobra, Nash, dziekuje - powiedzial. - Czy znasz ta sprawe?

-Znam wszystkie, ale te szczegolnie dobrze, od kwietnia.

-Jest scisle tajna? Newman tylko kiwnal glowa.

-Tak scisle, ze nawet Leon nie mogl zostac wtajemniczony?

-Tak - A to raczej bardzo wysoki poziom - odparl Newman - Chyba sie zgadasz? Reacher przytaknal. Intensywnie myslal.

-Czego Leon chcial od ciebie?

-Nic nie wiedzial - stwierdzil Newman. - Musicie o tym pamietac.

-Okay - rzucil Reacher. - Czego chcial od ciebie?

-Chcial, zebysmy znalezi miejsce, gdzie spadl helikopter.

-Szesc kilometrow na zachod od przeleczy An Khe.

-Tak - przyznal Newman. Pokiwal glowa. - Bylo mi przykro, bo nie widzialem zadnego powodu, zeby trzymac to przed nim w tajemnicy, ale nie moglem zmienic klauzuli tajnosci. Wiele mu jednak zawdzieczalem, o wiele wiecej niz moge opowiedziec, wiec obiecalem, ze bedziemy szukac.

-Dlaczego nie szukano znacznie wzczesniej? - wtracila Jodie, pochylajac sie do przodu. -

Przeciez bylo wiadomo, przynajmniej w przyblizeniu, gdzie spadl helikopter Hobiego.

Newman wzruszyl ramionami.

-Te poszukiwania sa niewiarygodnie trudne. Nie ma pani pojecia jak bardzo. Warunki terenowe, biurokracja. Prosze pamietac, ze przegralismy wojne. To Wietnamczycy dyktuja tam warunki. Prowadzimy razem poszukiwania, ale to oni rzadza. Znosimy nieustanne upokorzenia i manipulacje. Nie wolno nam nosic mundurow, poniewaz oni twierdza, ze widok amerykanskich wojskowych bedzie traumatycznym przezyciem dla mieszkancow wsi. Zmuszaja nas do wynajmowania ich helikopterow. Placimy wiele milionow dolarow rocznie za rachityczne, zardzewiale wraki, dwa razy gorsze od naszych maszyn. Prawde mowiac, odkupujemy te stare kosci, a oni dyktuja cene i steruja podaza. Stan y Zjednoczone placa ponad trzy miliony dolarow za jedne zidentyfikowane zwloki, co doprowadza mnie do pasji. Za cztery czwarta. Newman ciezko westchnal. Byl pograzony w myslach.

-Ale znalezliscie to miejsce? - ciagnal Reacher.

-Planowalismy, ze kiedys to zrobimy - powiedzial Newman. - Wiedzielismy w

przyblizeniu, gdzie szukac i co tam znajdziemy, dlatego nie uwazalismy tego za pilna sprawa.

Z uwagi na Leona pojechalem na miejsce i wytargowalem zmiane kolejnosci. Chcialem, zeby

ta sprawa znalazła się jako następna na liście. To nie były łatwe negocjacje. Gdy Wietnamczycy wyczuwają, że na czymś ci zależy, stają się cholernie uparci. Nie macie pojęcia jak bardzo. Zagadkowe? Nie musicie mnie o tym przekonywać.

-Czy jednak w końcu znaleźliście miejsce, gdzie rozbił się helikopter Hobiego?

-Pod względem geograficznym to parszywe miejsce. Rozmawialiśmy z DeWitem w Wolters. Pomógł nam dokładniej zlokalizować, gdzie spadł Hobie. Trudno o region bardziej odcięty od świata. Gorzysty i niedostępny. Mogę zagwarantować, że żaden człowiek nie postawił tam stopy w ciągu całej historii planety. To była koszmarna wyprawa. Na miejscu katastrofy było w doskonałym stanie. Całkowicie niedostępne, więc nie zostało spenetrowane przez szabrowników.

-Szabrowników? - zdziwiła się Jodie. - Czego mogli tam szukać?

-Różnych rzeczy. W bardziej dostępnych miejscach ludność zabrała wszystko już trzydzieści lat temu. Brali identyfikatory, dokumenty, helmy, pamiątki, ale najbardziej zależało im na metalach kolorowych. To dotyczy przede wszystkim wraków zwykłych samolotów, ze względu na złoto i platynę.

-Jakie złoto?

-W obwodach elektronicznych - wyjaśnił Newman. - Na przykład, w F cztery Phantom. Cenne metale w połączeniach elektronicznych są warte jakieś pięć tysięcy dolarów. Ludzie demontowali układy, odzyskiwali złoto i sprzedawali. Jeśli dziś kupicie tanie biżuterie w Bangkoku, możecie przypuszczać, że jest zrobiona ze złota pochodzącego z amerykańskich samolotów szturmowych.

-I co znaleźliście na miejscu? - spytał Reacher.

-Wrak był całkiem dobrze zachowany - powiedział Newman. - Rozbity i zardzewiały, ale można było dopatrzeć się w nim Hueya. Z ciała oczywiście zostały tylko szkielety. Mundury już dawno zgniły. Niczego nie brakowało. Zapakowaliśmy je do trumien i wywieźliśmy helikopterami do Hanoi. Potem przewieźliśmy starlifterem na Hawaje, z pełnymi honorami. Niedawno wróciliśmy. To trwało trzy miesiące, od początku do końca. Jedną z najszybszych operacji, jakie kiedykolwiek przeprowadziliśmy. Identyfikacja będzie formalnością, bo zachowały się metalowe identyfikatory. W tym przypadku antropolog jest zbędny. Wystarczy otworzyć trumnę, spojrzeć na identyfikator i można zamykać. Zauważ, że Leon tego nie dożył. Może to go uspokoiło.

-Zwłoki są tutaj? - spytał Reacher.

-Za ścianą - odparł Newman, kiwając głową.

-Czy możemy je zobaczyć?

-Nie powinniście, ale jeśli koniecznie chcecie... Wszyscy milczeli. Newman wstał i obiema rękami wskazał im drzwi. Na korytarzu mineli porucznika Simona.

-Idziemy do laboratorium - poinformował go Nash.

-Tak, panie generale - odpowiedział Simon. Wszedł do swojego pokoju, a Reacher, Jodie i Nash poszli dalej. Zatrzymali się przed zwykłymi drzwiami w ścianie z pustaków. Newman wyciągnął z kieszeni klucze. Otworzył drzwi i za prosił ich do środka takim samym gestem jak poprzednio. Reacher i Jodie weszli pierwsi. - - -

Simon przyglądał się przez otwarte drzwi swojego pokoju, jak wchodził do laboratorium. Gdy zamknęli za sobą drzwi, podniósł słuchawkę telefonu, wybrał dziewięć, żeby otrzymać połączenie z linią zewnętrzną, po czym wykreślił dziesięcio-cyfrowy numer, zaczynając od kodu strefowego Nowego Jorku. Telefon dzwonił wiele razy, bo dziesięć tysięcy kilometrów na wschód był już późny wieczór. W końcu ktoś odebrał.

-Reacher jest tutaj - szepnął Simon. - Właśnie teraz, z jakąś kobietą. Są w laboratorium. Oglądają.

-Kim jest ta kobieta? - spytał Hobie, całkowicie panując nad swoim głosem.

-To Jodie Garber - powiedział Simon. - Córka generała Garbera.

-Czyli pani Jacob.

-Co pan chce, żebym zrobił?

Hobie przez chwilę się zastanawiał. Simon słyszał tylko szum towarzyszący satelitarnemu połączeniu.

-Możesz ich zawieźć na lotnisko. Ta kobieta ma umówione spotkanie w Nowym Jorku na jutro po południu, zatem pewnie będzie chciała zdążyć na samolot o siódmej wieczorem. Postaraj się, żeby się nie spoznili.

-Dobrze - odpowiedział Simon. Hobie przerwał połączenie.

-- -

Laboratorium mieściło się w niskiej sali, w przybliżeniu trzynastym na szesnastym metrow, bez okien. Na suficie wisiały liczne żarówki. Słychać było szmer wentylacji, ale mimo to w powietrzu czuć było jakiś zapach, kombinację ostrego odorem silnych środków dezynfekcyjnych i ciepłej woni ziemi. W głębi sali znajdowała się spora alkowa, a w niej stały polki.

Na polkach leżały kartonowe pudła oznaczone numerami napisanymi czarnym flamastrem.

Jakieś sto pudeł.

-Niezidentyfikowani - zauważył Reacher.

-Jak na razie - odpowiedział Nash. - Nie rezygnujemy z dalszych prób. Między drzwiami i alkową znajdowała się główna część laboratorium. Posadzka z gresu była wyszorowana do połysku. Pośrodku stało dwadzieścia drewnianych stołów, precyzyjnie ustawionych w dwa rzędy. Stoły sięgały Newmanowi do pasa, miały blaty z wypolerowanych marmurowych płyt i były nieco krótsze i niższe niż standardowe łóżko wojskowe. Wyglądały jak nieco solidniejsza wersja stołów używanych przez dekoratorów wewnątrz do łączenia tapet. Na sześciu stołach nie było niczego. Na siedmiu leżały pokrywy aluminiowych trumien, a na ostatnich siedmiu same trumny - w jednym rzędzie pokrywa, w drugim trumna. Reacher stał w milczeniu z pochyloną głową. Po chwili wyprzeżył się na baczność i zsalutował po raz pierwszy.

ierwszy od ponad dwóch lat

-To straszne - szepnela Jodie. Stała z rękami splecionymi na plecach, z pochyloną głową jak podczas pogrzebu. Reacher skończył salutować i uściśnął jej dłoń. - Dziękuję - powiedział Nash. - Ciesze się, gdy ludzie okazują tu należyty szacunek.

-Jak moglibyśmy zachować się inaczej? - szepnela Jodie. Wpatrywała się w trumny, a w jej oczach zalsniły łzy.

-No, Reacher, co tutaj widzisz? - przerwał milczenie Newman. Reacher rozglądał się po jasno oświetlonej sali.

-Widzę siedem trumien - odpowiedział cicho. - Spo-dziewałem się osmiu. Tym helikopterem leciało osmiu ludzi. Pięciu członków załogi i trzech pasażerów, których zabrali z przeleczy. Tak jest w raporcie DeWitta. Pięć plus trzy to osiem.

-A osiem minus jeden to siedem - odrzekł Newman.

-Czy przeszukaliście miejsce, gdzie rozbil się helikopter? Dokładnie?

-Nie. - Nash pokręcił głową.

-Jak to nie?

-Musisz sam zgadnąć. Reacher otrząsnął się i przesunął się o krok do przodu.

-Mogę?

-Zapraszam - odrzekł Newman. - Powiedz mi, co dostrzegasz. Skup się. Przekonamy się, co zapamiętales z wykładów, a co zapomniales.

Reacher podszedł do najbliższej trumny. Zatrzymał się, tak że patrzył wzdłuż trumny. W środku stała drewniana skrzynia o długości i szerokości o kilka centymetrów mniejsza od aluminiowej trumny.

-Wietnamczycy wymagają od nas, żebyśmy używali i drewnianych trumien. Sprzedają nam

te skrzynie - wyjaśnił Newman. - W hangarze w Hanoi wkładamy je do naszych trumien.

Drewniana skrzynia nie miała pokrywy. To była raczej płytka taca, na której ktoś ułożył

ludzkie kości, mniej więcej poprawnie pod względem anatomicznym. Na końcu leżała

czaszka, pozołkła i stara, z pustymi oczodołami i zębami wyszczerzonymi w groteskowym

uśmiechu. W szczelę widac było złoty zab.

Poniżej czaszki leżały starannie ułożone kregi szyjne, a dalej obojczyki, łopatki, zebra i miednica. Po bokach ułożono kości ramion i nog. Światło odbijało się od metalowego lancuszka otaczającego szyję i opadającego na lewą łopatkę.

-Mogę? - ponownie spytał Reacher. - Ja też nie - przyznał Newman. - Miał

dziewiętnaście lat.

Wszyscy przez chwile milczeli. Czuc bylo slaby, slodki zapach gliny.

-Spojrz na nastepnego - odezwal sie Newman.

Ten szkielet roznil sie od poprzednich. Zmarly odniosl jedna rane w piers. Identyfikator lezal zaplatany miedzy zebrami. Reacher nie mogl go wyciagnac. Pochylil sie, zeby odczytac nazwisko.

-Bamford.

-Mechanik pokladowy - wyjasnil Newman. - Siedzial na lawce w kabinie, tylem do kierunku lotu, naprzeciwko trzech pasazerow.

Kosciotrupia twarz Bamforda usmiechala sie do nich. Szkielet byl kompletny. Jedynym uszkodzeniem byla waska rana z boku, podobna do rowka. Mostek zostal wbity w glab, az do kregoslupa, tak mocno, ze wybil trzy kregi. Zlamane trzy zebra.

-A co o tym myslisz? - spytal Newman.

-Prosze bardzo - zachecil go Newman, kiwajac glowa. Reacher przez dluzsza chwile stal w milczeniu, po czym pochylil sie i pociagnal za lancuszek. Identyfikator zaczepil o kosci, ktore poruszily sie i zastukaly. Reacher chwycil identyfiktor, przetarl go kciukiem i odczytal nazwisko.

-Kaplan - powiedzial. - Drugi pilot.

-Jak zginal? - spytal Newman.

Reacher polozyl identyfiktor na zebrach. Przyjrzal sie uwaznie szkieletowi, szukajac wskazowek. Czaszka byla cala. Ramiona, nogi i klatka piersiowa rowniez, natomiast miednica byla strzaskana, podobne jak kregi w dolnej czesci kregoslupa. Zebra, osiem, liczac od dolu, zlamane po stronie plecow.

-Uderzenie w chwile, gdy huey walnal w ziemie. Mocne uderzenie w dolna czesc plecow. Rozlegle obrazenia wewnetrzne i krwotok. Smierc nastapila prawdopodobnie w ciagu minuty.

-Byl przypety pasami do fotela - zauwazyl Newman. - Jesli helikopter uderzyl o ziemie, dlaczego Kaplan otrzymal uderzenie w plecy?

Reacher znowu przyjrzal sie szkieletowi. Czul sie tak jak przed laty podczas zajec. Bal sie, ze powie glupstwo w obecnosci legendarnego Nasha Newmana. Zastanawial sie, dotykajac lekko palcami pozolnklych kosci. Nie mial watpliwosci. Bardzo mocne uderzenie w dolna czesc plecow. Nie bylo innego wyjasnienia.

-Huey sie obrocil - powiedzial. - Lecial pod ostrym katem i zawadzil o drzewa. Obrocil sie, ogon odpadl od kabiny, a kabina uderzyla w ziemie, lecac tylem do przodu.

-Doskonale - pochwalil go Newman. - Znalezlismy helikopter wlasnie w takim stanie. Kabina uderzyla o ziemie tylem. Pasy nie uratowaly mu zycia; natomiast fotel go Reacher podszedl do nastepnej trumny. Taka sama drewniana skrzynia, takie same pozolnke kosci. Taka sama groteskowa czaszka wykrzywiona w oskarzycielskim grymasie. Zlamany kregoslup szyjny. Reacher siegnal po identyfiktor i wyciagnal go spomiedzy odlamkow.

-Tardelli - przeczytal glosno.

-Prawy strzelec pokladowy - dodal Newman. Szkielet Tardellego byl w kiepskim stanie. Liczne zlamanie.

Strzelcy na helikopterach transportowych stoja w otwartych drzwiach, praktycznie bez pasow, zeby moc swobodnie

obracac ciezki karabin maszynowy. Sa przypieci tylko elastyczna linka. Gdy huey sie roztrzaskal, Tardelli prawdopodobnie przelecial przez cala kabine.

-Zlamany kark-oswiadczył Reacher. - Obrazenia klatki piersiowej.

Odwrocil zolta czaszke. Byla popiekana jak skorupka jajka. - Rowniez obrazenia glowy.

Moim zdaniem zmarl natychmiast. Wolalbym nie rozstrzygac, ktora rana okazala sie de cydujaca.

Reacher wlozyl reke do trumny i sprawdzil wymiary rany. Byla waska i pozioma. Mogl wsunac w nia tylko dwa palce.

-Jakies uderzenie - powiedzial. - Cos posredniego miedzy ostrym i tepym narzedziem. Niewatpliwie otrzymal uderzenie z boku w piers, co spowodowalo natychmiastowe zatrzymanie pracy serca. Czy to byla lopatka wirnika?

-Bardzo dobrze. - Nash pokiwal glowa. - Wyglada na to, ze lopatka zlamala sie w wyniku uderzenia w drzewo i wpa dla do kabiny. Musiala uderzyc go w tors. Jak sam zauwazyles, takie uderzenie spowodowalo natychmiastowe zatrzymanie pracy serca. Kosci w nastepnej trumnie wygladaly zupełnie inaczej. Niektore byly zolte, ale wiekszosc biala. Wydawaly sie kruche i zniszczone przez erozje. Identyfikator byl wygiety i czarny. Reacher uniosl go do swiatla i odczytal wytloczony napis: Soper.

-Lewy strzelec pokladowy - dodal Newman.

-Wybuchl pozar - rzekl Reacher.

-Skad wiesz? - spytal Newman jak nauczyciel, ktorym rzeczywiscie byl.

-Identyfikator jest spalony.

-I co jeszcze?

-Kosci ulegly zwapnieniu. Przynajmniej wiekszosc.

-Zwapnieniu? - powtorzyl Nash. Reacher kiwnal glowa. Wrocil pamiecia do podrecznikow, ktore czytal pietnascie lat temu.

-Skladniki organiczne sie spalily, zostaly tylko nieorganiczne. W wyniku spalenia kosci zmniejszaja sie, bieleja, staja sie kruche.

-Dobrze - pochwalil go Nash.

-To ten wybuch, ktory widzial DeWitt - wtracila Jodie. - Eksplozja zbiornika z paliwem.

-Klasyczne dowody - zgodzil sie Newman. - To nie byl powoli rozszerzajacy sie pozar, lecz wybuch paliwa. Benzyna a tryskala na wszystkie strony i szybko sie spalala, co wyjasnia przypadkowy rozklad oparzen. Wydaje mi sie, ze benzyna rozlala sie na dolna czesc ciala Sopera, natomiast gorna czesc znalazla sie poza zasiegiem ognia. Jego cichy glos slabl, az wreszcie Nash zamilkl. Wszyscy troje wyobrazali sobie straszna scene. Ryczace silniki, pociski wroga przesywajace maszyny, nagla utrata mocy, struga benzyny ze zbiornika, ogien, zderzenie z drzewami, krzyki, koszarne uderzenie urwanych lopatek wirnika, zgrzyt rozdzieranego metalu. Ciala lezace na ziemi, gdzie nigdy nie stanela ludzka stopa. Puste oczodoly Sopera patrzyly w strone swiatla. To bylo wyzwanie, zeby wyobrazili sobie te scene.

-Sprawdzmy nastepnego - odezwal sie Newman.

W kolejnej trumnie leżały zwłoki mężczyzny o nazwisku Allen. Nie były spalone. Żółty szkielet z identyfikatorem na złamanym karku. Kształtna, zgrabna czaszka. Równe białe zęby. Wysoka, okrągła, nieuszkodzona część mózgowia. Produkt dobrego wyżywienia i starannego wychowania w Ameryce w latach pięćdziesiątych. Całe plecy miał zmiażdżone jak rozdeptany krab.

-Allen był jednym z trzech ludzi, których zabrali z przeleczy - poinformował Nash.

Reacher ze smutkiem pokiwał głową. W szóstej trumnie Reacher ze smutkiem pokiwał głową.

W szóstej trumnie leżał Zabirski. On też zginął w wyniku pożaru. Kości były niewielkie i zwapniałe.

-Za życia był pewnie wysoki - rzekł Newman. - W wyniku spalenia kości czasami kurczą się aż o pięćdziesiąt procent. Lepiej nie uważajcie go za karła.

Reacher znowu pokiwał głową. Podniósł kilka kości. Były lekkie i kruche jak lupiny. Po wypaleniu zostały szorstkie mikroskopijne pory.

-Obrażenia? - spytał Newman. Reacher przyjrzał się jeszcze raz, ale niczego nie zauważył.

-Spalił się żywcem - stwierdził.

-Tak, obawiam się, że tak się stało - przyznał Newman.

-Straszne - szepnęła Jodie. W siódmej i ostatniej trumnie leżały szczątki Gunstona. Małe szczątki. W pierwszej chwili

Reacher sądził, że brakuje czaszki, dopiero potem zauważył, że leży w dole skrzyni. Została rozbita na setki kawałków, na ogół nie większych od paznokcia kciuka.

-Co o tym myślisz? - spytał Newman. Reacher potrząsnął głową.

-Wole nie myśleć. Już z tym skończyłem - szepnął. Newman pokiwał głową ze współczuciem.

-Uderzenie łopatką wirnika w głowę. To jeden z trzech pasażerów. Siedział naprzeciwko Bamforda.

-Pięciu i trzech - powiedziała cicho Jodie. - W skład załogi wchodził pilot Hobie i Kaplan, mechanik Bamford, strzelec Tardelli i Soper. Przylecieli zabrać Allena, Zabirskiego i Gunstona.

-Tak wynika z dokumentów - przyznał Newman.

-Gdzie zatem jest Hobie? - spytał Reacher.

-Czegoś nie zauważyłeś - oznajmił Newman. - Kiepska robota jak na kogoś, kto kiedyś był w tym taki dobry.

Reacher spojrzał na niego. DeWitt wyraził się podobnie. Niedbalstwo jak na kogoś, kto był kiedyś majorem policji. Poradził też, żeby szukał bliżej własnych śmieci.

-Oni byli z policji, zgadza się? - powiedział nagle Reacher.

-Oni, czyli którzy? - uśmiechnął się Nash.

-Dwaj z tej trojki, Allen, Gunston, Zabinski - odparl Reacher. - Dwaj zaaresztowali trzeciego. To bylo specjalne zadanie. Dzień wcześniej Kaplan przywiozł tam dwóch policjantów. To był jego przedostatni lot, leciał sam. Nie przeczytałem raportu z tego lotu. Wrocili po nich i po aresztowanego.

-Zgadza się - rzekł Newman.

-Ktorzy to policjanci?

-Pete Zabinski i Joey Gunston. Carl Allen był więźniem.

-A dlaczego został aresztowany? - spytał Reacher.

-Szczegóły stanowią tajemnicę - stwierdził Newman. - Jak przypuszczasz?

-Specjalnie polecieli, żeby go szybko aresztować. Pewnie za rozprysnięcie.

-Rozprysnięcie? Co to takiego? - spytała Jodie.

-Zabicie oficera dowodzącego oddziałem - wyjaśnił Reacher. - To zdarzało się czasami. Jakis zapalony porucznik,

zwykle świeżo po przylocie z kraju, zbyt ochoczo pragnie zaatakować silne pozycje nieprzyjaciela. Żołnierzom to się nie podoba. Ich zdaniem jemu chodzi o medal, a oni woleliby przeżyć. Gdy zatem on krzyczy: "Do ataku", ktoś strzela mu w plecy lub rzuca w niego granatem, co było znacznie lepszym rozwiązaniem, bo nie wymagało celowania i łatwiej było wszystko ukryć. Stąd nazwa rozprysnięcie, od granatu rozpryskowego.

-Czy tak było? - zaintrygowała się Jodie.

-Szczegóły są utajnione - powtórzył Newman. - Niewątpliwie jednak chodziło również o

rozprysnięcie pod koniec jego długiej i porywistej kariery. Z dokumentów wynika, że Carl

Allen z pewnością nie był wzorem żołnierza. Jodie kiwnęła głową.

-Do licha, dlaczego to taka tajemnica? Cokolwiek zrobił, zginał już trzydzieści lat temu. Sprawiedliwości stało się zadość, zgadza się? Reacher znowu podszedł do trumny Allena. Przyjrzał się kościom.

-Ostrożność - doszedł do wniosku. - Kimkolwiek był ten gorliwy porucznik, jego rodzina usłyszała, że zginał jak bohatery, walczyć z nieprzyjacielem. Gdyby się dowiedziała, że było inaczej, doszłoby do skandalu. A Departament Obrony nie lubi skandali.

-Zgadza się - powtórzył Newman.

-Gdzie jednak jest Hobby? - spytał Reacher.

-Jeszcze coś przegapiłeś. Krok po kroku, okay?

-Co przegapiłem? Gdzie mam szukać?

-W kościach - odpowiedział Nash.

Zegar na ścianie laboratorium wskazywał piątą trzydzieści. Mieli jeszcze godzinę i kilka minut. Reacher wziął głęboki oddech i obszedł trumnę w odwrotnej kolejności. Gunston, Zabinski, Allen, Soper, Bamford, Tardelli, Kaplan. Szereg wyszczerzonych czaszek i jeden bezgłowy szkielet. Powtórzył rundę. Zegar przynaglał go tykaniem. Reacher z

atrzymywał się przy każdej trumnie, opierał o aluminiowe brzegi i pochylony wpatrywał się w szkielet. Czegoś nie zauważył. Czegoś

w kościach. Systematycznie przyglądał się szczątkom, zaczynając od głowy. Czaszka, szyja, obojczyki, zebra, ramiona, miednica, nogi, stopy. Zaczął grzebać w szkieletach, przerzucać suche kości. Wciąż szukał. Za kwadrans szósta. Za dziesięć. Jodie obserwowała go niespokojnie. Reacher robił już trzecią rundę, znowu zaczynając od Gunstona. Przeszedł do Zabrin-skiego, drugiego policjanta. Potem do Allena, przestępcy. Po nim do strzelca Sopera. Mechanik Bamford. Znalazł to w jego trumnie. Zamknął oczy. To było oczywiste. Tak oczywiste, jakby ktoś wymalował to na szybie i oświetlił reflektorem. Jeszcze raz szybko obszedł wszystkie trumny, żeby sprawdzić. Miał rację. Szósta wieczór na Hawajach.

-Mamy tu siedem ciał - oznajmił. - Oraz piętnaście dłoni.

--

Szósta wieczór na Hawajach to jedenasta w Nowym Jorku. Hobbie był sam w swoim mieszkaniu, trzydziści pięć ponad Piątą Aleją. Kładł się spać. Jak na niego, to wczesna pora.

Zwykle czytał lub oglądał filmy w telewizji kablowej do pierwszej lub drugiej w nocy, ale tego wieczoru był zmęczony. To był wyczerpujący dzień, wymagający od niego aktywności fizycznej i umysłowego napięcia.

Hobbie siedział na brzegu łóżka. Miał podwójne łóżko, choć zawsze spał sam. Na łóżku leżała biała kołdra. Ściany i załóżki również były białe. Nie żeby zależało mu na spójności wystroju

-po prostu białe przedmioty są zawsze najtansze. Wszystko - pościel, farba, firanki - jest

najtansze w białej wersji. W sypialni nie było żadnych obrazów, fotografii, ozdób, pamiątek.

Podłoga ze zwykłych, dębowych desek. Bez dywanu.

Hobbie trzymał stopy płasko na podłodze. Nosił czarne Oksfordy wypastowane na głans. Trzymał je dokładnie pod kątem prostym do desek podłogi. Pochylił się i zdrowa ręka rozwiązał sznurowadła, jedno po drugim. Zsunął buty, również jeden po drugim. Dosunął je nogą do siebie, podniósł dwa naraz i ustawił równo pod łóżkiem. Wsuwając ręce pod ściągacz skarpetek, ściągnął je, jedną po drugiej. Potrząsnął nimi, żeby wywrocic na prawą stronę, po czym upścił je na podłogę. Rozwiązał krawat. Zawsze nosił krawat. Był bardzo dumny, że potrafi zawiązać krawat jedną ręką.

Bobbie podszedł do szafy. Otworzył drzwi i wsunął krawat wąskim końcem za mosiężną poprzeczkę. Obniżył lewe ramię i zrzucił marynarkę z lewej ręki. Lewa ręka ściągnął ją z prawego ramienia. Wyjął z szafy wieszak i jedna ręka zawiesił na nim marynarkę. Odwiesił ją do szafy. Rozpiął guziki i suwak spodni. Gdy opadły, zrobił krok i stanął obok nich. Ukucnął i rozciągnął je na lśniacej podłodze. Nie ma innego sposobu, żeby jedna ręka złożyć porządnie spodnie. Wyrownał mankiety, przycisnął je stopą i wyprostował nogawki. Wstał i wyciągnął z szafy drugi wieszak. Pochylił się, wsunął poprzeczkę wieszaka pod nogawki i przesunął je do kolan. Wyprostował się, potrząsnął wieszakiem i spodnie przybrały perfekcyjny kształt. Powiesił je obok marynarki.

Sięgnął lewą ręką do guzików koszuli i przepchnął je przez wykrochmalone dziurki. Rozpiął prawy mankiet. Ściągnął koszulę z prawego ramienia, lewa ręka przytrzymał rękaw i wyciągnął z niego hak. Pochylił się na bok i pozwolił, żeby koszula sama spadła z lewego ramienia. Przycisnął rękę do podłogi i pociągnął lewą ręką. Jak zawsze, rękaw wywrocil się na lewą stronę. Przeciągnął zdrową dłoń przez zapięty mankiet. Hobbie musiał wprowadzić tylko jedną modyfikację w swojej garderobie - kazał przeszyć guziki mankietów u koszuli, żeby

mogł przesunąć lewą rękę przez mankiet bez rozpinania.

Zostawił koszulę na podłodze. Chwycił lewą ręką brzeg majtek i ściągnął je, nieco się wijąc.

Wyszedł z nich i złapał dol podkoszulka. To była najtrudniejsza operacja. Kilka razy szarpnął, aż wreszcie udało mu się przeciągnąć dol podkoszulka przez głowę. Teraz chwycił go przy szyi i sciągnął z głowy. Pociągnął w prawo i przełożył hak pod ramiączkiem. Szarpnął gwałtownie lewą ręką i podkoszulek spadł na podłogę. Hobie się pochylił, podniósł podkoszulek, koszulę i bokserki, po czym zaniósł je do łazienki i wrzucił do kosza z brudną bielizną.

Wrocil nago do łóżka i znowu usiadł na brzegu. Lewa ręka sięgnął do góry i rozpiął trzy mocne skórzane pasy otaczające prawy biceps. Trzy pasy, trzy klamry. Rozluźnił skórzaną uprząż i sciągnął ją z ramienia. Skóra zaskrzypiała. Była znacznie grubsza i cięższa niż skóra butów. Uprząż zrobiono z kilku warstw skóry. W ciągu wielu lat doskonale dopasowała się do jego ramienia, nabrała polysku. Gdy ją sciągał, mocno nacisnęła na biceps. Hobie przesunął paski przez łokieć, po czym chwycił lewą ręką hak i lekko pociągnął. Futerał zsunął się z kikuta. Scisnął go między kolanami w pozycji pionowej, hakiem do dołu. Pochylił się w kierunku nocnej szafki, wyciągnął z pudełka kilka chusteczek higienicznych i wziął pudełko talku. Zgniotł chusteczki, żeby wytrzeć pot nagromadzony w ciągu dnia w futerał. Następnie wysypał do środka trochę talku. Wylał chusteczką futerał od zewnątrz i wyczyścił hak. Gdy skończył, położył uprząż na podłodze obok łóżka.

Na kikucie prawej ręki nosił cienką skarpetkę, żeby uprząż nie drażniła skóry. To nie było żadne wymyslnie, medyczne

urządzenie. Dziecinna skarpetka bez piety. Matki wkładają je dzieciom, nim uczą się chodzić. Hobie kupował skarpetki w domach towarowych, tuzin za każdym razem. Zawsze wybierał białe, bo były tansze. Sciągnął skarpetkę z kikuta, przewrócił ją na prawą stronę i położył koło pudełka z chusteczkami na nocnej szafce.

Kikut był pomarszczony i cienki. Część mięśni ocalała, ale wskutek bezczynności niemal znikły. Końce kości zostały gładko opilowane, skóra starannie zaszyta. Na tle białej skóry wyraźnie odcinały się czerwone szwy, podobne do chińskiego pisma. Na końcu kikuta rosły czarne włosy, ponieważ skóra pochodziła z zewnętrznej części przedramienia.

Hobie wstał i poszedł do łazienki. Poprzedni właściciel mieszkania zainstalował nad

umywalka duże lustro. Hobbie przyjrzał się swemu odbiciu. Nie znosił tego widoku. Nie z powodu brakującej ręki. Nie miał ręki i tyle. Nienawidził natomiast swojej twarzy. Blizn po oparzeniach. Reka to była tylko rana, natomiast twarz została oszpecona. Stanął bokiem do lustra, żeby nie widzieć blizn. Wyczyścił żeby i wrócił do łózka z butelką płynu nawilżającego. Wycisnął kilka kropel na kikut i starannie je roztarł.

Postawił butelkę na nocnej szafce, obok skarpetki, nakrył się kołdrą i zgasił światło.

-- -

-Lewa czy prawa? - spytała Jodie. - Którą dłoń stracił? Reacher stał obok lśniącej trumny Bamforda i porządkował kłosa.

-Prawa - odpowiedział. - Ta dodatkowa to prawa. Newman sięgnął ponad rękę Reachera i odłożył na bok dwa kilkunastocentymetrowe odłamki kości.

-Stracił nie tylko dłoń - oznajmił. - To kawałki kości łokciowej i promieniowej. Ucięte poniżej łokcia, prawdopodobnie przez łopatkę wirnika. Zostało mu dość, żeby zrobić przyzwoity kikut. Reacher podniósł odłamki i dotknął palcami ostrych końców.

-Nie rozumiem, Nash - powiedział. - Dlaczego nie kazałeś przeszukać okolicy?

-A dlaczego mielibyśmy to zrobić? - spytał Nash neutralnym tonem.

-Nic ma podstaw zakładać, że on przeżył. Był poważnie ranny. Uderzenie o ziemię, ucięta ręka. Może jeszcze jakieś rany, obrażenia wewnętrzne. Poważna utrata krwi? Może został poparzony? Wszędzie dookoła płonęła benzyna. Pomyśl o tym, Nash. Jak jest

prawdopodobieństwo, że wydostał się z wraka, krwawiąc z przeciętych naczyń krwionośnych, pewnie w płonącym mundurze? Może wyczołgał się z helikoptera, stracił przytomność dwadzieścia metrów dalej i zmarł. Do diabła, dlaczego go nie szukałeś?

-Zadaj sobie to pytanie - odrzekł Newman. - Jak myślisz, dlaczego go nie szukaliśmy? Reacher spojrzał na niego. Nash Newman, jeden z najbardziej inteligentnych ludzi, jakich spotkał w życiu. Człowiek przenikliwy i precyzyjny, który na podstawie fragmentu czaszki potrafił powiedzieć, do kogo należała, jak jej właściciel żył i jak umarł. Pedantyczny profesjonalista, który prowadził największe badania kryminologiczne w historii i ustawicznie zbierał pochwały. Jak to możliwe, że Nash Newman popełnił tak elementarny błąd? Reacher nagle wypuścił powietrze z płuc i zamknął oczy.

-Jezu, Nash - powiedział powoli. - Ty wiesz, że on przeżył, prawda? Ty to wiesz. Nie szukałeś go, bo wiedziałeś na pewno, że przeżył.

-Zgadza się - przyznał Newman.

-Skąd możesz to wiedzieć? Nash rozejrzał się po laboratorium. Ściszył głos.

-Znalazł się po pewnym czasie. Trzy tygodnie później dotarł do szpitala polowego, osiemdziesiąt kilometrów od niego

jsca zestrzelenia helikoptera. Te informacje sa w dokumentach medycznych. Mial goraczke, byl wycieczony, mial rozlegle oparzenia twarzy, uciete ramie, robactwo w kikucie. Prawie caly czas byl polprzytomny, ale mial na szyi identyfikator. Kiedy odzyskal przytomnosc, zdal relacje. Twierdzil, ze oprocz niego nikt nie przezytl. Dlatego powiedzialem, ze dokładnie wiedzieliśmy, co tam znajdziemy. Z tego tez powodu to zadanie nie mialo priorytetu dopoki Leo n nie podniecil sie tak cala sprawa.

-I co sie stalo? - spytala Jodie. - Dlaczego to taka tajemnica?

-Ten szpital byl daleko na polnocy - odpowiedzial Newman. - Nieprzyjacieli napieral na poludnie, a my sie cofalismy. Szpital mial byc ewakuowany.

-I co? - wtracil Reacher.

-Wieczorem, dzien przed planowanym transportem do Sajgonu, Hobie znikl.

-Znikl? Newman pokiwal glowa.

-Po prostu zwial. Wstal z lozka i prysnal. Od tej pory nikt go nie widzial.

-Cholera! - zaklal Reacher.

-W dalszym ciagu nie rozumiem, dlaczego to taka tajemnica - niecierpliwila sie Jodie. Newman wzruszyl ramionami.

-No, Reacher moze to wyjasnic. To raczej jego specjalnosc, nie moja. Reacher wciaz trzymal fragmenty kosci. Kosc promieniowa i kosc lokciowa prawego przedramienia, na dole ladnie zakonczone, tak jak tego chciala natura, a na gorze zmiazdzone i przeciete lopatka wirnika. Hobie sam zbadal krawedz natarcia lopatki i doszedl do wniosku, ze jest w stanie sciac drzewo grubosci meskiej reki. Wielokrotnie wykorzystal ten pomysl, zeby uratowac innym zycie. W koncu ta sama lopatka wpadla do kokpitu jego helikoptera i uciela mu dlon.

-Byl dezterem - wyjasnil. - Z prawnego punktu widzenia byl niewatpliwie dezterem. Byl zolnierzem w czynnej sluzbie i uciekl. Podjeto jednak decyzje, zeby go nie scigac. Tak byc musialo. Co armia mogla zrobic? Gdyby udalo sie go zlapac, co dalej? Musieliby oskarzyc faceta majacego wspaniala historie sluzby, dziewiecset dziewiecdziesiat jeden lotow bojowych, ktory zdezterowal, gdy zostal powaznie ranny i oszepeczony. Nie mogli tego zrobic. Wojna nie byla popularna. Nie mogli poslac okaleczonego bohatera do wiezienia wojskowego w forcie Leavenworth za deztercje, nie w takich okolicznosciach. Z drugiej strony nie mogli rowniez oglosic, ze wybacza dezterom. To rowniez bylby skandal, choc odmiennego rodzaju. Armia w dalszym ciagu lapala i oskarzala wielu dezterow, ktorzy niczym sie nie zasluzyli. Nie mogli przyznac, ze stosuja rozne standardy, w zaleznosci od tego, kto zdezterowal. W zwiazku z tym akta Hobiego zostaly utajnione. Dlatego jego osobistateczka konczy sie na raporcie z ostatniego lotu bojowego. Cala reszta jest w jakimi sejfie,

gdzies w Pentagonie.

Jodie pokiwal glowa. - No i dlatego na Murze nie ma jego nazwiska - powiedziala. -

Wiedza, ze zyje.

Reacher nie mial ochoty odlozyc kosci. Trzymal je i wadzil po nich palcami.

Nienaruszone konce byly idealnie gladkie, dzieki czemu umozliwialy precyzyjne i subtelne ruchy dloni w nadgarstku.

-Czy wprowadziles do bazy jego dane medyczne? - spytal Newmana. - Stare zdjecia

rentgenowskie, informacje stomatologiczne i tak dalej?

Newman pokręcił głową.

-On nie zaginal w akcji. Przeżył i zdezerterował. Reacher odwrócił się do trumny Bamforda i

delikatnie położył w rogu drewnianej skrzyni dwa kawałki kości. Potrząsnął głową.

-Nie mogę w to uwierzyć, Nash. Wszystko, co wiemy o tym facecie, świadczy, że nie miał osobowości dezertera. Jego pochodzenie, historia służby, wszystko. Znam się na dezertersach. Złapałem ich wielu.

-Zdezerterował - powtórzył Newman. - To fakt. Potwierdzają to dokumenty ze szpitala.

-Przeżył zestrzelenie helikoptera - powiedział Reacher. - Sądzę, że to już nie podlega dyskusji. Był w szpitalu. Też nie mogę zaprzeczyć. Przypuszcmy jednak, że w rzeczywistości nie była to dezercja? Może był półprzytomny, oszołomiony lekami? Może po prostu wyszedł ze szpitala i zabił? Newman pokręcił głową.

-Nie był półprzytomny. Wiedział, co robi.

-Skąd ta pewność? Mimo utraty krwi, wycieńczenia, gorączki, morfiny?

-Zdezerterował - powtórzył Newman.

-To nie, się kłuje.

-Wojna zmienia ludzi - przypomniał Newman.

-Nie aż tak bardzo - rzucił Reacher. Newman podszedł bliżej i ciszył głos.

-Zabił sanitariusza - szepnął. - Sanitariusz zauważył, jak Hobie ucieka, i chciał go zatrzymać. To jest opisane w dokumentach. Hobie powiedział, że nie zamierza wrócić. i uderzył go butelką w głowę. Rozbił mu czaszkę. Położyli go do łóżka, które zwolnił Hobie, ale nie przeżył podróży do Sajgonu. To dlatego ta sprawa jest utajniona, Reacher. Armia pusiła mu płazem nie tylko dezercję, ale również morderstwo.

W laboratorium zapadła kamienna cisza. Słychać było tylko szum wentylacji. W powietrzu unosił się zapach starych kości. Reacher położył rękę na lśniącej pokrywie trumny Bamforda, żeby łatwiej utrzymać równowagę.

-Nie mogę w to uwierzyć - szepnął.

-Lepiej uwierz, bo to prawda - odparł Newman.

-Nie mogę tego powiedzieć jego rodzicom. Po prostu nie mogę. To ich zabije.

-To cholerny sekret - wtraciła Jodie. - Dlaczego mu odpuścili?

-Polityka-powiedział Newman. - Polityka na wysokim szczeblu była i jest wyjątkowo śmiertelna.

-Może zmarł później - głośno myślał Reacher. - Może uciekł do dżungli i zmarł? Był przecież w kiepskim stanie, prawda?

-Jak to mogłoby ci pomóc? - spytał Newman.

-Mogłbym powiedzieć, że nie żyje, i pominąć wszystkie szczegóły.

-Chwytasz sie brzytwy - rzekl Nash.

-Musimy juz isc - stwierdzila Jodie. - Musimy zdazyc na samolot.

-Czy porownasz jego dane medyczne z zapisami w bazie? - spytal Reacher. - Czy zrobisz to dla mnie, jesli wyciagne je od jego rodziny? Newman milczal.

-Juz je mam - powiedzial po chwili. - Leon je przywiozl. Rodzina przekazala mu te dane w celu wykorzystania w poszukiwaniach, - Czy zatem zrobisz porownanie? - nalegal Reacher.

-Tonacy brzytwy sie chwytaja - powtorzyl Newman. Reacher wskazal reka na pudla stojace w alkuwie w glebi sali.

-On moze byc jednym z nich, Nash.

-On jest w Nowym Jorku - wtracila Jodie. - Czy naprawde tego nie rozumiesz?

-Nie, chce, zeby poległ jak żołnierz - upieral sie Reacher. - Nie moge wrocic do jego rodzicow i powiedziec im, ze ich syn to dezterter, morderca, ktory przeżył wojne i od tej pory nawet sie do nich nie odezwal. Musi byc martwy.

-Ale nie jest - ucial Newman.

-Przeciez moze byc martwy, prawda? Mógł umrzec juz po ucieczce ze szpitala. Gdzies w dzungli, z powodu choroby, wygłodzenia, podczas ucieczki? Moze znaleziono jego szkielet. Czy zrobisz porownanie? Potraktuj to jako osobista przysluga, jaka mi wyswiadczysz.

-Reacher, musimy juz isc - przynaglila go Jodie.

-Zrobisz to? - nalegal Reacher.

-Nie moge - odpowiedzial Newman. - Jezu, przeciez ta cala sprawa jest scisle tajna, czy tego nie rozumiesz? Niczego nie powinienem byl ci mowic. I nie moge dodawac do listy zaginionych jeszcze jednego nazwiska. Departament Obrony nie bylby z tego zadowolony. Mamy zmniejszac liczbe nazwisk, nie zas zwiekszac.

-Nie mozesz tego zrobic nieoficjalnie? Prywatnie? Przeciez to mozliwe. Rzadzisz tutaj, Nash. Prosze, zrob to dla mnie.

-Chwytasz sie brzytwy, to wszystko - odrzekl Nash, krecac glowa.

-Prosze cie, Nash. Zapadla cisza. Nash ciezko westchnal.

-Do diabla, dobrze - powiedzial. - Zrobie to wytlacznie dla ciebie.

-Kiedy? - spytal Reacher.

-Jutro z samego rana - obiecal Nash, wzruszajac ramionami.

-Zadzwon do mnie, jak tylko bedziesz mial wyniki, dobrze?

-Oczywiscie, ale marnujesz czas. Numer telefonu?

-Lepiej niech pan zadzwoni na moja komorke - zaproponowala Jodie. Wyrecytowala numer. Newman zapisal go na mankiecie fartucha.

-Dzięki, Nash - powiedział Reacher. - Bardzo ci jestem wdzięczny.

-Strata czasu - powtórzył Newman.

-Musimy już iść! - przypomniała Jodie.

Reacher kiwnął niezdeterminowaną głową. Wszyscy skierowali się do wyjścia z budynku. Porucznik Simon czekał na nich przy drzwiach. Zaproponował, że odwiezie ich samochodem do cywilnego terminalu.

15

Lecieli pierwsza klasa, ale mimo to lot powrotny był okropny. Trafili na ten sam samolot wracający do Nowego Jorku wzdłuż drugiego boku gigantycznego trójkąta. Obsługa naziemna sprawdziła stan techniczny, uzupełniła paliwo, posprzątała i poperfumowała kabinę. Zmieniła się załoga. Reacher i Jodie siedzieli na tych samych miejscach, które zajmowali cztery godziny wcześniej. Reacher znowu usiadł koło okna, ale teraz czuł się inaczej. Fotel w dalszym ciągu był dwa i pół razy szerszy niż normalnie, w dalszym ciągu pokryty skóra i baranica, ale teraz nie sprawiał mu tyle przyjemności. Światła były przygaszone, bo lecili nocą. Wystartowali, gdy nad wyspą zaczynał się już cudowny tropikalny zachód słońca, po czym skręcili na wschód, w stronę ciemności. Do pierwszej klasy docierał tylko stłumiony pomruk równo pracujących silników. Stewardesy zachowywały się cicho i starały się nie narzucać. W kabinie był jeszcze tylko jeden pasażer. Siedział dwa rzędy przed nimi po drugiej stronie przejścia. Był to wysoki szczupły mężczyzna w bawełnianej koszuli w kolorowe pasy. Prawe przedramię położył na oparciu fotela. Dłoni

zwisała luźno i bezwładnie. Miał zamknięte oczy.

-Ile on ma wzrostu? - spytała Jodie. Reacher pochylił się w bok i spojrzał przed siebie.

-Pewnie metr osiemdziesiąt parę.

-Tyle samo, ile Hobie - powiedziała. - Pamiętasz dane z jego teczki?

Reacher pokiwał głową. Spojrzał na blade przedramię mężczyzny leżące na oparciu. Facet był chudy, nawet w półmroku widać było wyraźny guz kości w nadgarstku. Długie mięśnie, pęgowa skóra i jasne owłosienie, Reacher dostrzegł rysującą się pod skórą kość promieniową, łączącą nadgarstek z łokciem. Odlamek kości, który zostawił Hobie na miejscu zestrzelenia helikoptera, miał piętnaście centymetrów długości. Reacher ocenił odległość od nadgarstka pasażera. Wypadło mniej więcej w połowie przedramienia

-Stracił połowę przedramienia, prawda? - szepnęła Jodie.

-Trochę więcej niż połowę - odpowiedział. - W szpitalu musieli pewnie nieco przyciąć kikut. Prawdopodobnie opiliwali ostre końce kości. Jeśli przeżył.

Mężczyzna zmienił w śnie pozycję. Przyciągnął rękę do ciała, tak jakby wiedział, że o niej rozmawiają. Już jej nie widzieli.

-On przeżył - powiedziała Jodie. - Jest w Nowym Jorku, ukrywa się. Reacher odchylił się w drugą stronę i oparł czoło o zimny plastik iluminatora.

-Zalozylbym sie o glowe, ze zginal - stwierdzil. Siedzial z otwartymi oczami, ale za oknem nie mial zadnych widokow. Czarna noc az do rownie czarnej powierzchni oceanu dziesiec kilometrow nizej.

-Dlaczego tak cie to meczy? - spytala Jodie. Reacher odwrocil glowe od okna. Wbil wzrok w oparcie fotela przed nim.

-Z wielu powodow - odparl.

-Takich jak?

-Roznych, ukladajacych sie w wielka, przygnebiajaca spirale - rzekl, wzruszajac ramionami. - To bylo zawodowe wyzwanie. Instynkt cos mi podpowiadal, a teraz wyglada na to, ze sie pomylilem.

Jodie polozyla reke na jego przedramieniu tuz nad nadgarstkiem, gdzie miesnie nieco sie zwezaja.

-Pomyłka to jeszcze nie koniec swiata. Potrzasnal glowa,

-Czasami nie, czasami tak. To zalezy, czego dotyczy. Gdyby ktos mnie spytal, kto wygra World Series, a ja powiedzialbym Yankees, to nie mialoby znaczenia. Skad mam wiedziec takie rzeczy? Gdybym jednak byl dziennikarzem sportowym, ktory powinien znac sie na tym? Lab zawodowym hazardzista? Gdyby baseball byl moim podstawowym zajeciem w zyciu? Wtedy taki blad bylby koncem swiata.

-I co chcesz przez to powiedziec?

-Chce powiedziec, ze takie oceny sa podstawa mojego zawodu. To w tej dziedzinie mam byc dobry. Kiedys bylem bardzo dobry. Zawsze moglem polegac na intuicji. Nie zawodzila mnie.

-Nie miales danych, do ktorych moglbys sie odwolac.

-Bzdura, Jodie. Mialem bardzo duzo danych. Znacznie wiecej niz w wielu podobnych sprawach. Poznałem jego rodzicow, czytalem jego listy, rozmawialem z jego starym kumplem, widzialem jego dokumenty, rozmawialem z kolegą z wojska. Wszystko mowilo mi, ze to facet, ktory z pewnoscia nie mogl zrobic roznych rzeczy, a ktore, jak sie okazuje, najwyrazniej zrobil. Pomylilem sie, a to doprowadza mnie do pasji, bo co mam teraz uczynic?

-Co masz na myśli?

-Musze powiedziec prawde jego rodzicom. To ich wykonczy. Szkoda, ze ich nie poznalas. Wielbili tego chlopaka. Wielbili wojsko, patriotyzm, sluzbe ojczyźnie, wszystkie te pieprzone

rzeczy. Teraz mam pojechac do nich i powiedziec im, ze ich syn to dezterter i morderca, ktory na zimno pozwolil, ze by przez trzydziestci lat wyczekiwali na wiadomosc o nim. To tak, jakbym wlasnorecznie ich zabil. Bede musial z gory zawiadomic pogotowie ratunkowe. Reacher zamilkl. Obrocil sie plecami do ciemnego iluminatora.

-I co jeszcze?

-I jeszcze przyszlosc - odpowiedzial. Spojrzal na Jodie. - Co ja mam zrobic? Mam dom, musze znalezc prace.

Jaka prace? Nie moge juz udawac detektywa, skoro nagle zaczalem popelniac tak cholerne bledy. Co za niezwykla synchronizacja zdarzen, nie sadzisz? Moje profesjonalne umiejetnosci zeszly na psy akurat w tym momencie, gdy musze znalezc prace. Powinienem wrocic na Floryde i do konca zycia zajmowac sie kopaniem basenow.

-Zbyt ostro sie oceniasz. To bylo tylko przeczucie, to wszystko. Przeczucie, ktore okazalo sie bledne.

-Przeczucia powinny okazywac sie sluszne. Moje dotychczas zawsze byly trame. Moglbym ci opowiedziec o kilkun

astu przypadkach, w których opierałem się na intuicji, nie mając żadnych innych argumentów. Wiele razy przeczuci a ocaliły mi życie. Jodie pokiwała głową.

-Statystycznie również powinienem być mieć rację - dodał Reacher. - Wiesz, ilu ludzi nie można się było doliczyć p o Wietnamie? Tylko pięciu. Dwa tysiące dwustu uznano za zaginionych w akcji, ale dobrze wiadomo, że oni nie żyj a. Wcześniej lub później Nash ich wszystkich znajdzie i skreśli

z listy. Pozostało jednak pięciu facetów, których nie można było zaliczyć do żadnej kategorii. Później się okazało, że trzech przeszło na stronę Wietnamu i zostali tam po wojnie. Dwóch znikło gdzieś w Tajlandii. Jeden mieszkał pod mostem w Bangkoku. Pięciu ludzi spośród miliona żołnierzy, którzy służyli w Wietnamie, a Victor Hobie jest jednym z nich, ja zaś się pomyliłem.

-W istocie wcale się nie pomyliłeś - powiedziała Jodie. - Oceniałeś dawnego Victora Hobiego. Te wszystkie informacje dotyczyły tego, jaki był Hobie przed wojną i przed zestrzeleniem helikoptera. Wojna zmienia ludzi. Jedynym świadkiem przemiany Hobiego był DeWitt, lecz robił wszystko, co mógł, żeby jej nie dostrzegać.

-Brałem to pod uwagę - odrzekł, krećcąc głowę. - W każdym razie próbowałem. Nie przypuszczałem, że mógł się tak bardzo zmienić.

-Może to skutek zestrzelenia - zasugerowała. - Pomyśl o tym, Reacher. Ile on miał lat? Dwadzieścia jeden? Dwadzieścia dwa? Zginęło siedmiu ludzi, a on pewnie czuł się odpowiedzialny, bo był kapitanem statku, prawda? No i został okaleczony. Stracił rękę, był poparzony. Fizyczne oszpecenie i kalectwo to dla młodego mężczyzny wielka trauma. No a potem, w szpitalu polowym, pewnie był oszołomiony lekami, bał się powrotu do walki.

-Nikt nie wysłałby go znowu do walki - zaprotestował Reacher.

-Zgoda, ale może nie był w stanie jasno myśleć. Dostawał morfinę, a to przecież narkotyk. Może sądził, że odesła go do jednostki. Może bał się kary za to, że stracił helikopter. Po prostu nie znamy jego stanu psychicznego w tym czasie. Chciał uciec i uderzył w głowę sanitariusza, który próbował go zatrzymać. Później oprzytomniał i uświadomił sobie, co uczynił. Prawdopodobnie czuł się okropnie. Mój instynkt cały czas mi podpowiada, że tak właśnie się stało. Ukrywa się, bo jest winny i stara się utrzymać to w tajemnicy. Powinien był od razu się przyznać, ponieważ i tak nie zostałby skazany. Okoliczności łagodzące były aż nazbyt oczywiste. Jednakże się ukrył, a im dłużej to trwało, tym trudniej było mu zmienić decyzję.

-Jeśli nawet masz rację, nie zmienia to faktu, że się pomyliłem - odpowiedział Reacher. - Opisałeś jakiegoś irracjonalnego faceta. Wpadającego w panikę, histerycznego, niemającego poczucia rzeczywistości. Ja uznałem go za statecznego nudziarza. Bardzo stabilnego, bardzo

rozsadnego, bardzo normalnego. Tracę wyczucie.

Ogromny samolot pedził z cichym szumem. Dziewięćset kilometrów na godzinę w rozrzedzonym powietrzu na wysokości dziesięciu kilometrów, ale wydawało się, że wisi nieruchomo. Przestronny pastelowy kokon zawieszony na niebieskim niebie.

-A zatem co zamierzasz zrobić? - spytała Jodie.

-W jakiej sprawie? - Przyszłości.

-Nie wiem - odparł, wzruszając ramionami.

-A co powiesz rodzicom Hobiego?

-Nie wiem - powtórzył.

-Mozesz spróbować go znaleźć - zaproponowała. - Wyjaśnilbyś, że nic mu nie grozi, że sprawa uległa przedawnieniu. Postaralbys się przemówić mu do rozsądku. Może zgodziłby się spotkać z rodzicami.

-Jak mam go znaleźć? Czuje się teraz tak, jakbym nie potrafił znaleźć nosa na własnej twarzy. A tobie tak bardzo zależy, aby mnie pocieszyć, że o czymś zapominasz.

-O czym?

-O tym, że on nie chce zostać znaleziony. Jak powiedziałaś, chce żyć w ukryciu. Jeśli nawet początkowo niezbyt widział, co robi, to później najwyraźniej mu się to spodobało. Kazał zabić Costella, Jodie. Probował nas zabić. Tylko po to, żeby jego tajemnica nie wyszła na jaw, żeby mógł się ukrywać.

Stewardesa prawie całkowicie zgasiła światło w kabinie. Reader zrezygnował z dalszej dyskusji. Odchylił oparcie fotela do tyłu i próbował zasnąć. Nie mógł pozbyć się jednej myśli: Victor Hobie kazał zamordować Costella po to, żeby dalej mógł się ukrywać. - - -

Victor Hobie obudził się w swej sypialni trzydziści pięć lat nad Piątą Aleją tuż po szóstej. To dla niego była mniej więcej normalna pora, zależnie od tego, jak przykry był sen o pożarze. Trzydziści lat to niemal jedenastdzieści tysięcy dni, jedenastdzieści tysięcy nocy, a każdej nocy miał ten sam sen. Kokpit odłamał się od ogona, potem wskutek uderzenia o galezie obrotowi obrócił się tyłem do przodu. Pękł zbiornik paliwa i benzyna rozlała się po całej kabinie. Widział to każdej nocy jak na koszmarnej filmie puszczonej w zwolnionym tempie. Strumień benzyny lśnił i migotał w szarym powietrzu dżungli. Ciecz tworzyła kuliste bryły podobne do gigantycznych, zdeformowanych kropel deszczu. Zmieniały się i rosły jak żywe organizmy unoszące się w powietrzu. W odbitym świetle wydawały się dziwne i piękne. Mieniały się tęczowo. Doleciały do niego pierwsze, nim jeszcze łopata wirnika uderzyła w rękę. Każdej nocy konwulsyjnie szarpał głową, ale każdej nocy i tak spadały na niego. Rozpryskiwały

się na jego twarz. Ciecz była ciepła. To go dziwiło. Była podobna do wody, a woda powinna być zimna. Mimo to ciecz była ciepła. I lepka. Gęstsza od wody. Śmierdziała. Jakiś chemiczny zapach. Oblała lewą część głowy, wsiąkała we włosy, które przylepiły się do czaszki. Spływała po czole do oka.

Odwrocił głowę i zobaczył, że w powietrzu unosi się płomień. Palce ognia sięgały do strumyków benzyny, jakby je oskarżały. Potem zmieniły się w usta. Polykały wiszące w powietrzu ciekłe kule. Zjadały je w błyskawicznym tempie, pozostawiając większe gorące obłoki, z których strzelały płomienie. Kule eksplodowały, wszystkie jednocześnie. Jedenastdzieści tysięcy razy szarpał desperacko głową, ale płomień zawsze go dosięgał. Plonęły, lecz ich dotknięcie wydawało się zimne. Nagle po jednej stronie twarzy i we włosach miał pełno lodu. Chwilę później zobaczył ciemną łopatkę wirnika. Złamała się przy uderzeniu w piersi mechanika, Barmforda, a odłamek trafił w niego i uderzył o rękę dokładnie pośrodku między nadgarstkiem i łokciem.

Widział, jak odpada dłoń. Widział to ze wszystkimi szczegółami, ale to nie powtarzało się we śnie, bo sen dotyczył ognia. Nie snił o rym, jak łopata uderzyła w rękę, bo dobrze pamiętał, jak to się stało. Czarna

łopatka miała cienki, aerodynamiczny profil. Przeszła przez kości przedramienia i zatrzymała się na udzie, bo stracił całą energię. Jego przedramię zostało przekrojone na dwie części. Widział zegarek na przegubie. Dłoń z nadgarstkiem upadła na podłogę kabiny. Podniósł kikut i dotknął nim twarzy, tak jakby chciał sprawdzić, dlaczego skóra na głowie wydaje się taka zimna, choć czuł zapach spalenizny.

Później uświadomił sobie, że ten ruch uratował mu życie. Gdy już odzyskał zdolność myślenia, zrozumiał, co zrobił. Płomień opalił kikut. To była mimowolna kauteryzacja. Wysoka temperatura spowodowała zamknięcie arterii. Gdyby nie dotknął płonącej twarzy, wykrwawiłby się na śmierć. To był triumf. Nawet w skrajnie niebezpiecznej sytuacji, półprzytomny, zachował się właściwie. Był człowiekiem umiejącym przetrwać. To dało mu pewność siebie, której nigdy nie stracił.

Zachował przytomność przez dwadzieścia minut. Zrobił, co miał do zrobienia w kokpicie, po czym wypelził z wraku, wiedział, że nikt nie poszedł w jego ślady. Dotarł do krzaków i czołgał się dalej. Szedł na kolanach, podpierając się lewą ręką, jak małpa idąca na knykciach. Pochylił się i przyłożył poparzoną twarz do wilgotnej ziemi. Poczul potworny ból. Wytrzymał dwadzieścia minut, ale potem stracił przytomność.

Z następnych trzech tygodni nie zapamiętał prawie niczego. Nie wiedział, dokąd poszedł, co jadł i pił. To, co zapamiętał, było jeszcze gorsze niż amnezja. Na całym ciele miał pijawki. Spalona skóra odpadła, odsłaniając gnijące ciało. W kikutie reki zagnieździło się robactwo. W końcu znalazł się w szpitalu. Pewnego dnia obudził się w obloku morfiny. Nigdy w życiu nie czuł się tak dobrze, ale udawał, że dalej cierpi, bo dzięki temu lekarze nie odsyłali go na tyły. Chirurdzy opatrzyli jego poparzoną twarz, usuneli czerwie z kikuta. Wiele lat potem zrozumiał, że czerwie uratowały mu

życie. Przypadkowo przeczytał artykuł o badaniach medycznych, których autorzy używali czerwii do leczenia gangreny. Robactwo nieznuzenie zżerało rozkładające się ciało, nim zgnilizna zdążyła się rozszerzyć. Eksperymenty zakończył się sukcesem. Uśmiechnął się. On to wiedział.

Wiadomość o ewakuacji szpitala zupełnie go zaskoczyła. Nikt mu nie powiedział. Przypadkowo podsłuchiwał dwóch sanitariuszy, gdy układali plany na następny dzień. Natychmiast wstał. Nie było żadnych wartowników. Spotkał tylko pielęgniarza, który obijał się pod plotem. Przez niego stracił cenną butelkę z wodą, która rozbil o jego głowę, ale to o nie zatrzymało go na dłużej niż kilka sekund.

W tym miejscu, metr od krzaków za plotem szpitala, rozpoczął długą podróż do domu. Najpierw musiał odzyskać pieniądze. Były zakopane osiemdziesiąt kilometrów od szpitala, w kryjówce niedaleko obozu, w trumnie. Wybor trumny okazał się niezwykle szczęśliwy. To był jedyny duży pojemnik, jaki mógł wtedy znaleźć, ale później się okazało, że to była genialna decyzja. Pieniądze trzymał w banknotach stu-, pięćdziesięcio-, dwudziesto- i dziesięciodolarowych. W sumie osiemdziesiąt kilogramów. Tyle z powodzeniem może ważyć trumna. Miał w niej prawie dwa miliony dolarów. Jego baza już dawno została opuszczona i znajdowała się teraz daleko za liniami nieprzyjaciela. Mimo to dotarł tam, a na miejscu musiał rozwiązać pierwszą poważną trudność. Jak chory, jednoreki człowiek ma wykopać trumnę? Początkowo z zapału wytrzymałością. Później z pomocą innych. Już prawie skończył, gdy odkryli go Wietnamczycy. W płytkim grobie widac było wyraźne wieko trumny. Patrol wietnamski pojawił się nagle pomiędzy drzew i całkowicie go zaskoczył. Spodziewał się, że umrze, ale zamiast tego dokonał odkrycia. To było jedno z wielkich odkryć jego życia. Wietnamczycy się zatrzymali, wyraźnie przestraszeni i niepewni. Zdążył sobie sprawę, że go nie rozpoznali. Nie wiedzieli, z kim mają do czynienia. Oparzenia pozbawiły go tożsamości. Miał na sobie brudną i podartą koszulę nocną ze szpitala. Nie wyglądał na Amerykanina. Nie wyglądał na nic, co oni znali. Nie wyglądał jak człowiek. Przekonał się wtedy, że kombinacja strasznego wyglądu, szalonego zachowania

i trumny działa na wszystkich, którzy go widzieli. Atawistyczne lęki przed śmiercią, zwłokami i

szalenstwem pozbawiały wszystkich chęci działania. W tym momencie zrozumiał, że jeśli

będzie się zachowywał jak wariat uciepiony trumną, to ci ludzie zrobią dla niego wszystko.

Odwieczne przesady działały na jego korzyść. Wietnamski patrol pomógł mu wyciągnąć

trumnę i załadował ją na wóz ciągnięty przez woły. Siedział na trumnie, belkotął, wykrzykiwał

i wskazywał na zachód. Wietnamczycy zawieźli go dwadzieście kilometrów w kierunku

Kambodży.

Wietnam to wąski kraj, od wybrzeża do zachodniej granicy. Mieszkańcy przewozili go od wsi

do wsi i już po czterech dniach znalazł się w Kambodży. Karmili go ryżem, dawali wodę do

picia i ubrali w czarna pizame, zeby go ulagodzic i pozbyc sie prymitywnego strachu. Potem przejechali go Khmerzy. Podskakiwal i skrzeczal jak malpa, stale wskazujac na zachod, na zachod, na zachod. Dwa miesiace pozniej dotarl do Tajlandii. Khmerzy przeniesli trumne przez granice i uciekli.

Tajlandia byla innym krajem. Gdy przekroczyl granice, mial wrazenie, ze opuscil epoke kamienia lupanego. Tu byly drogi, pojazdy. Ludzie zachowywali sie inaczej. Belkoczacy kaleka z trumna byl obiektem ostroznego wspolczucia i troski. Nie uwazali go za zagrozenie.

Podrozowal przygodnie zatrzymanymi furgonetkami i ciezarowkami - raz zlapal starego chev-roleta, kilka razy peugeot. Po dwuch tygodniach splynal wraz z innymi sciekami z Dalekiego Wschodu do kloaki zwanej Bangkokiem.

Mieszkal w Bangkoku rok. Wynajal chate i juz pierwszej nocy zakopal trumne na podworku. Uzyl lopaty do kopania okopow, ukradzonej z zapasow amerykanskiej armii, ktora kupil na czarnym rynku. Byla tak zaprojektowana, zeby mozna bylo kopac jedna reka, a w drugiej trzymac karabin.

Gdy juz ukryl pieniadze, zaczal szukac lekarza. W Bangkoku nie stanowilo to problemu. Z reguly byli to nasaczeni dzinem weterani brytyjskiego imperium, zwolnieni z pracy, ale w miare kompetentni, przynajmniej wtedy, gdy byli trzeźwi. Niewiele mogli zrobic z jego twarzy. Chirurg zrekonstruowal powieke,

tak ze prawie sie zamykala, i to bylo wszystko. Znacznie lepiej poradzili sobie z reka.

Otworzyli rane, opilowali kosci, wygladzajac konce. Zszyli miesnie i naciagneli skore na wierzch. Kazali poczekac miesiac, az rana sie zagoi, a potem skierowali go do czlowieka wyrabiajacego sztuczne konczyny.

Protetyk zaproponowal mu kilka modeli. Podstawa wszystkich byl futeral zakladany na kikut i umocowany uprzeza do ramienia powyzej lokcia. Roznily sie zakonczeniem. Mogla to byc drewniana dlon, zrecznie wyrzezbiona i pomalowana przez corke protetyka. Trojzab podobny troche do gracy. Wybral prosty hak. Podobal mu sie, choc nie potrafil powiedziec dlaczego.

Majster wykul go ze stali i starannie wypolerowal, a nastepnie przyspawal do stalowego lejka

wpuszczanego między kolejne warstwy skorzanego futeralu. Wyrzeźbił drewnianą kopię kikutu i rozklepał na nim skóre, nadając jej właściwy kształt, a następnie nasaczył żywicą, żeby stwardniała. Przyszył do futeralu pasy i klamry uprząży. Całość kosztowała pięćset dolarów amerykańskich.

Zył w Bangkoku przez rok. Początkowo z trudem posługiwał się hakiem, a futerał ciągle go uwierał, ale z biegiem czasu nabrał wprawę. Radził sobie. Gdy wykopał trumnę i kupił bilet na statek handlowy płynący do San Francisco, już prawie nie pamiętał, że kiedyś miał dwie ręce. Natomiast nie mógł się przyzwyczaić do wyglądu swojej twarzy.

Zszedł na ląd w Kalifornii, wyciągnął z ładowni trumnę i za niewielką część jej zawartości kupił używaną furgonetkę. Trzej przestraszeni dokerzy pomogli mu załadować trumnę.

Pojechał przez cały kraj, aż do Nowego Jorku. Minęło dwadzieścia dziewięć lat, a on wciąż tu mieszkał. Dzieło tajskiego majstra leżało na podłodze obok jego łóżka. Kładł je tu każdego wieczoru przez jedenaste tysięcy nocy.

Przewrócił się na brzuch i lewa ręka podniósł uprząż z podłogi. Usiadł na łóżku, włożył ją między kolana i sięgnął po leżącą na nocnym stoliku skarpetkę. Dziesięć po szóstej. Kolejny dzień w życiu.

- - -

William Curry obudził się kwadrans po szóstej. To był zwyczaj z czasów, kiedy pracował na dziennej zmianie w policji. Odziedziczył po babce umowę najmu mieszkania na pierwszym piętrze przy Beekman. To nie było wspaniałe miejsce, ale przynajmniej nie musiał za nie dużo płacić i miał niedaleko do wszystkich komisariatów poniżej kanału. Przeprowadził się tu po rozwodzie i został po przejściu na emeryturę. Emerytura policyjna wystarczała na czynsz, media i wynajęcie jednopokojowego biura na Fletcher. Dochody z wątlej praktyki detektywistycznej musiały mu wystarczyć na jedzenie i alimenty. Miał jednak nadzieję, że gdy stanie się bardziej znany, będzie dużo zarabiał.

Kwadrans po szóstej rano w mieszkaniu było jeszcze chłodno. Jego kamienica stała w cieniu znacznie wyższych budynków. Curry stanął na linoleum i przeciągnął się, a potem wkroczył do aneksu kuchennego i postawił na palniku ekspres do kawy. Poszedł się umyć. Miał dobrze ustaloną kolejność porannych czynności, dzięki czemu nigdy się nie spóźniał do pracy. Po przejściu na emeryturę niczego nie zmienił.

Podszedł do szafy z kubkiem kawy w ręku i stanął przed otwartymi drzwiami. Przyglądał się ubraniom wiszącym na drążku. Jako policjant zazwyczaj chodził w zwykłych spodniach i marynarce. Szara flanela, marynarka w kratę. Lubił tweed, choć nie był Irlandczykiem. Próbowal latem chodzić w lnianych marynarkach, ale łatwo się gniotły, dlatego zdecydował się na cienki poliester. Żadne z tych ubrań nie wchodziło w grę, skoro tego dnia miał wyglądać jak David Forster, jeden z najdroższych nowojorskich adwokatów. Curry postanowił włożyć weselny garnitur.

To był zwykły czarny garnitur Brooks Brothers kupiony na rodzinne wesela, chrzciny i pogrzeby. Miał już co prawda

a piętnaście lat, ale nie różnił się wiele od nowych modeli. Był na niego nieco za luzny, bo jak Curry stracił kuchnię zony, szybko schudł. Spodnie były nieco za szerokie jak na standardy East Village, ale to mu odpowiadało, ponieważ zamierzał założyć na kostki olstra, William Curry uważał, że zawsze należy być odpowiednio przygotowanym, David Forster powiedział, że prawdopodobnie w ogóle niewiele sięwydarzy. Curry byłby bardzo zadowolony, gdyby się okazało, że adwokat miał rację, ale po dwudziestu latach służby w nowojorskiej policji, w najgorszych latach tego miasta, odnosił się ostrożnie do takich zapewnień. Zamierzał założyć olstra na kostki i schować na plecach wielki Magnum.35? z długą lufą.

Włożył garnitur do plastikowego pokrowca, który gdzieś znalazł, dołożył białą koszulę i najspokojniejszy krawat, jaki miał. Przeciągnął czarny pasek przez kaburę na pistolet i włożył do torby wraz z olstrami na kostki. Wrzucił do torby czki magnum i dwa krótkie rewolwery Smith Wesson kalibru.38. Wrzucił do pudełka po dwanaście naboju do wszystkich trzech rodzajów broni i też je spakował. Wcisnął czarne skarpetki do czarnych polbutów i upchnął je do torby z olstrami. Zamierzał przebrać się po lunchu. Nie chciał chodzić w garniturze przez całe przedpołudnie i pokazać się na spotkaniu w wymiętej marynarce. Zamknął mieszkanie na klucz i poszedł do swego biura na

Fletcher. Po drodze zatrzymał się tylko w piekarni, żeby kupić słodką bułkę z bananem i orzechami, o niskiej zawartości tłuszczu.

--

Marilyn Stone obudziła się o siódmej. Była zmęczona, miała czerwone oczy. Siedzieli w gabinecie do północy, a reszcie Hobie wyszedł. Mocno zbudowany facet w ciemnym garniturze posprzątał w łazience. Wyszedł bardzo zirytowany i kazał im czekać, aż wyschnie podłoga. Siedzieli w ciemnościach, odret-wiali, zziębnięci i głodni, ale mieli takie mdłości, że nawet nie przyszło im do głowy poprosić o coś do jedzenia. Tony kazał jej poprawić poduszki na sofie. Przypuszczała, że chce się położyć. Czuli się upokorzona, że musi przygotowywać mu łóżko, pochylając się w krótkiej sukience, ale ułożyła poduszki. Uśmiechnął się do niej. W łazience było zimno. Ściany były wilgotne, pachniało

środkami dezynfekującymi. Złożone ręczniki leżały obok umywalki. Rozłożyła je na podłodze. Oboje skulili się na nich bez słowa. Za drzwiami w gabinecie panowała cisza. Marilyn nie spodziewała się, że zasnie, ale widocznie tak się stało, bo obudziła się z wyraźnym przekonaniem, że zaczyna się nowy dzień.

Z gabinetu dochodziły jakieś odgłosy. Marilyn umyła twarz. Chwile później ten w ciemnym garniturze przyniósł kawę. Wziela bez słowa swój kubek. Facet postawił na umywalce kubek dla Chestera, który leżał na podłodze. Nie spał, ale się nie ruszał. Idąc do drzwi, mężczyzna przeszedł nad nim.

-Już niedługo będzie koniec - zwróciła się do meza.

-To dopiero początek, chciałabym powiedzieć - odparł Chester. - Dokąd pojedziemy? Gdzie pojedziemy dziś wieczorem?

Chciała odpowiedzieć do domu, dzięki Bogu, ale przypomniała sobie, że do Chestera już dotarło, iż od drugiej trzynastki nie będą mieli domu.

-Pewnie do hotelu - powiedziała.

-Zabrali mi karty kredytowe. Chester zamknął. Marilyn spojrzała na niego.

-O co chodzi?

-To nigdy się nie skończy - rzekł. - Nie rozumiesz? Jesteśmy świadkami. Tego, co zrobili z tymi policjantami. I z Sheryl. Jak mogliby nas wypuścić?

Marilyn niemal niedostrzegalnie kiwnęła głową. Spojrzała na niego z wyraźnym rozczarowaniem. Była rozczarowana, bo wreszcie zrozumiał. Teraz przez cały dzień będzie się martwił i gorączkował, co tylko utrudni sytuację. - -

Porządne zawiązanie krawata zajęło mu pięć minut. Gdy skończył, włożył marynarkę. Ubierał się w odwrotnej kolejności, niż rozbierał, dlatego na końcu włożył buty. Potrafił zawiązać sznurowadła prawie tak szybko, jak ktoś posługujący się dwiema rękami. Sztuczka polegała na przycisnięciu wolnego końca do podłogi hakiem.

Porządki zaczął od łazienki. Wrzucił wszystkie brudne rzeczy do poszewki i ułożył ją przy drzwiach wyjściowych. Ściągnął posciel z łóżka, zwinął ją i wcisnął do drugiej poszewki. Zebrał

wszystkie przedmioty osobistego użytku do plastikowej torby z supermarketu. Oprożnił szafę i schował rzeczy do torby podróży. Zablokował drzwi mieszkania, żeby się nie zatrzasnęły, po czym zaniósł wypchane poszewki i plastikową torbę do zsypu. Wyrzucił je i zamknął kłapę. Wyciągnął torbę z ubraniami na korytarz, po czym zamknął mieszkanie i włożył klucze do koperty.

Wychodząc z domu, zatrzymał się przy okienku dozorczy, żeby zostawić kopertę z kluczami dla pośrednika handlu nieruchomości. Zszedł po schodach na podziemny parking i zaniósł torbę z ubraniami do cadillaca. Zatrzasnął kłapę bagażnika, a następnie usiadł za kierownicą. Pochylił się w prawo, lewą ręką włożył kluczyk do stacyjki i zapalił. Wyjechał z parkingu i skierował się na południe Piąta Aleja, starannie odwracając wzrok, żeby nie spojrzeć na park. Po chwili był już bezpieczny w kanionach centrum. Wynajmował trzy miejsca parkingowe w World Trade Center,

ale po sprzedaniu suburban i tahoe wszystkie były wolne. Postawił cadillaca na środkowym. Torbę zostawił w bagażniku, ponieważ zamierzał pojechać cadillakiem na lotnisko LaGuardia i zostawić go na długoterminowym parkingu, a następnie pojechać taksówką na JFK, udając pasażera, który pośpiesznie przejeżdża z jednego lotniska na drugie. Samochód będzie stał na lotnisku, aż wyrosną pod nim chwasty, a jeśli ktoś się nim kiedyś zainteresuje, będzie szukać właściciela na listach pa-sażerów LaGuardii. To oznaczało, że musi spisać na straty nie tylko umowę najmu biura, ale i samochód, jednakże zawsze swobodnie wydawał pieniądze, jeśli otrzymywał za nie coś o odpowiedniej wartości, a trudno mu było wyobrazić sobie coś cenniejszego niż własne

życie.

Wjechał na górę ekspresową windą i dziewięćdziesiąt sekund mosiężnymi ozdobami. Tony

siedział za pulpitem recepcjonisty

i pił kawę. Wydawał się zmęczony. - Motorówka? - spytał go Hobie.

-Jest już u handlarza - odpowiedział Tony. - Przesła pieniądze przekazem. Chciał wymienić reling w tym miejscu, gdzie ten dupek uszkodził go tasakiem. Zgodziłem się, powiedziałem, żeby sobie potracili, gdy ją sprzedadza. Hobie kiwnął głową.

-Cos jeszcze? Tony uśmiechnął się ironicznie.

-Mamy więcej pieniędzy do przesłania. Właśnie przyszedł przelew z rachunku Stone'a, oprocentowanie pożyczki. Jedenaście tysięcy dolarów, bardzo punktualnie. Sumienny zasraniec, prawda? Hobie również się uśmiechnął.

-Prześlij je na wyspy, jak tylko otworzą bank, okay? Tony kiwnął głową i spojrzał na kartkę z notatkami.

-Simon znowu zadzwonił z Hawajów. Zdzayili na samolot. W tym momencie są gdzieś nad Wielkim Kanionem.

-Czy Newman już wie? - spytał Hobie.

-Jeszcze nie. - Tony pokręcił głową. - Zacznie sprawdzać dziś rano. Reacher zmusił go do tego. Wygląda na bystrzego faceta.

-Nie jest dostatecznie bystry - oświadczył Hobie. - Różnica czasu wynosi pięć godzin, tak?

-Tak. Bada wiedzieli dzisiaj po poludniu. Powiedzmy, ze zacznie o dziewiatej rano, zajmie mu to dwie godziny. Do wie sie o czwartej naszego czasu. Juz nas tu nie bedzie. Hobbie znowu sie usmiechnal.

-Mowilem ci, ze wszystko sie uda. Czy nie mowilem? Czy nie powiedzialem ci, zebys sie uspokoil i mnie zostawil myslenie. - - -

Gdy Reacher sie obudzil, jego zegarek wskazywal siodma. Jesli dobrze pamietal, zegarek byl wciaz nastawiony na czas w St Louis, a zatem na Hawajach byla trzecia rano, a szosta w Arizonie lub Kolorado czy nad czym tam wlasnie lecieli. W Nowym Jorku byla juz osma. Przeciagnal sie na fotelu, wstal i przeszedl obok Jodie, ktora lezala skulona na swoim miejscu. Stewardesa nakryla ja kocem. Mocno spala. Oddychala powoli, a wlosy zaslanialy jej twarz. Reacher stal przez chwile

w przejsci, przypatrujac sie spiaczej Jodie, po czym poszedl wyprostowac nogi. Przeszedl do klasy turystycznej. Swiatla w kabinie byly przygaszone, a w tyle samolotu panowal wiekszy scisk. Pasazerowie na waskich fotelach kulili sie pod kocami. Czuc bylo przykry zapach brudnych ubran. Reacher doszedl do samego konca samolotu, zawrocil przez galerie przy kabinie obslugi, opierajac sie o aluminiowe szafki. Wrocil drugim przejsciem. Zatrzymal sie na chwile w drzwiach do pierwszej klasy i jeszcze raz spojrzal na pasazerow. Mezczyzni w garniturach, bez marynarek, z rozluznionymi krawatami. Kobiety w kostiumach, bez zakietow. To i owdzie wlaczone laptopy, otwarte teczki na pus tych fotelach, wypchane skoroszytami w plastikowych okladkach ze spiralna oprawa. Swiatla do czytania skierowane na rozkladane stoliki. Niektorzy z tych ludzi wciaz pracowali, do poznego wieczora lub od wczesnego ranka, zalez nie od wyboru strefy czasowej. Reacher przypuszczal, ze byli to typowi przedstawiciele

klasy sredniej. Wzniesli sie wysoko nad dno, ale daleko im bylo do szczytu. Tak jak majorzy i pulkownicy w armii. Osiagneli w cywilu taki poziom jak on w wojsku. On dochrapal sie stopnia majora. Gdyby sluzyl dalej, pewnie juz bylby pulkownikiem. Oparl sie o grodz i popatrzy na pochylone glowy. Leon mnie stworzyl i teraz mnie zmienil, po myslal. Leon pomogl mu zrobic szybka kariere w mundurze. Nie stworzyl go z niczego, ale na pewno mu pomogl. To nie ulegalo watpliwosci. Ta kariera juz sie skonczyla i dryfowal bez celu. Dryf tez

juz sie skonczyl, rowniez dzieki Leonowi. Nie tylko z powodu Jodie. Z powodu jego

testamentu. Stary zostawil mu dom, ktory stanowil kotwice. To wystarczylo. Przedtem

perspektywa osiedlenia sie w jakimś miejscu wydawala mu sie czysto teoretyczna

mozliwoscia, jak odlegla kraina, ktorej nigdy nie odwiedzi. To wymagaloby zbyt dlugiej

podrozy. Bilety byly zbyt drogie. Trudnosc z przyzwyczajeniem sie do obcego mu stylu zycia

wydawala sie porazajaca. Zapis Leona pozbawil go wolnosc. Leon porwal go i wywiozl do

tego obcego kraju. Teraz stal z nosem przycisnietym do plotu.

Widzial, jak wyglada zycie po drugiej stronie. Nagle pomyslal, ze gdyby jednak poszedl w

innym kierunku, byloby to czystym szalenstwem. To zmieniloby swobodna wlozcze w

swiadomy wybor, czyli cos zupełnie odmiennego. Caly sens swobodnej wloczegi polegala na

biernej akceptacji braku wyboru. Leon postawil go w sytuacji, w ktorej mial wybor. Czekal na

niego solidny i wygodny dom nad brzegiem Hudsonu. Leon na pewno usmiechal sie do

siebie, gdy zapisywal mu dom. Pewnie usmiechnal sie ironicznie i pomyslal: Ciekawe, jak sie

z tego wywiniesz, Reacher.

Reacher popatrzył na laptopy i plastikowe foldery w spiralnej oprawie. Skrzywił się w duchu.

Jak miał przekroczyć granice odległej krainy bez tego balastu? Bez garniturów, krawatów i

małych, plastikowych urządzeń na baterie? Notesów w oprawie ze skóry i listów

elektronicznych z głównego biura? Zadrzał. Stał jak sparalizowany, opinając się o grodz.

Ogarnęła go taka panika, że nie mógł oddychać i mszyc się z miejsca. Przypomnił sobie, jak pewnego dnia, niecały rok wcześniej.

wysiadł z ciężarówki na skrzyżowaniu w pobliżu miasta,

o którym nigdy nie słyszał, w stanie, w którym nigdy nie był. Pomachał kierowcy na

pożegnanie, wsadził ręce do kieszeni

i ruszył pieszo, mając milion kilometrów za sobą i milion przed sobą. Świeciło słońce, kurz

unosił się spod jego butów, a on uśmiechał się z radości, że jest sam i nie ma zielonego

pojęcia, dokąd idzie.

Reacher pamiętał jednak również inny dzień, dziewięć miesięcy później. Konczyły mu się

pieniądze, zastanawiał się co dalej. Nawet w najtańszych motelach trzeba zapłacić. Tak samo

w najtańszych barach. Zaczął pracować w Keys. Początkowo zamierzał zarabiać tylko kilka

tygodni. Potem wziął jeszcze pracę wieczorową, a trzy miesiące później, gdy spotkał Costella,

w dalszym ciągu pracował. W rzeczywistości jego swobodna wólcza skończyła się już

wtedy. Już wówczas był pracującym człowiekiem. Nie mógł się tego wypierać. Teraz pytanie

sprowadzało się do kwestii, gdzie, za ile i u kogo. Uśmiechnął się. To jak prostytutka,

pomyślał. Nie ma powrotu. Rozluźnił

się trochę. Odepchnął się od grodzi i wrócił na swoje miejsce. Facet w koszuli w paski, z

ramionami takiej samej długości jak Victor Hobie, nie spał. Obserwował Reachera. Skłonił

głową na powitanie. Reacher odklonił się i poszedł do łazienki. Gdy wrócił, Jodie już nie

spala. Siedziała wyprostowana, przeczesując palcami włosy.

-Cześć, Reacher - powiedziała. - Hej, Jodie. Pochylił się i pocałował ją w usta. Zrobił krok nad jej nogami, po czym usiadł na swoim fotelu.

-Dobrze sie czujesz? - spytal. Jodie poruszyla glowa, zeby odrzucic wlosy na plecy.

-Niezle. Calkiem niezle. Sadtalam, ze bedzie gorzej. Gdzie byles?

-Poszedlem wyprostowac nogi. Zajrzalem, jak zyja ludzie w innej klasie.

-Nie. O czyms myslales. Zauwazyłam to juz pientnascie lat temu. Gdy musisz o czyms pomyslec, zawsze spacerujesz

-Tak? - zdziwil sie Reacher. - Nie wiedzialem.

-Na pewno tak robisz - zapewnila. - Zauwazyłam to. Dokladnie cie obserwowalam. Czy
pamietasz, ze bylam w tobie zakochana?

-I co jeszcze robie?

-Zaciskasz lewa dlon, gdy jestes zly lub spiety. Prawa trzymasz swobodnie. To

prawdopodobnie wynik cwiczen z bronia. Kiedy jestes znudzony, myslami uciekasz do muzyki. Poruszasz wtedy palcami, jakbys gral na fortepianie. Gdy mowisz, poruszasz czubkiem nosa.

-Naprawde?

-Niewatpliwie. O czym myslales?

-O tym i owym - odpowiedzial, wzruszajac ramionami.

-O domu, zgadlam? To cie trapi, prawda? No i ja. Dom i ja. Czujesz sie skrepowany jak ten
facet z powiesci, Guliwer. Czytales te ksiazke?

-Guliwer to facet, ktorego we snie uwiezili Lilipuci - rzucil z usmiechem. - Przywiazali go do ziemi setkami cienkich sznurkow.

-Czujesz sie jak on? Reacher przez chwile zwlekal z odpowiedzi.

-Nie z twojego powodu. Zwlekal o ulamek sekundy za dlugo. Jodie pokiwal glowa.

-Inaczej jest, gdy zyjesz sam, prawda? Wiem, bylam zamezna. Jest ktos, kogo stale trzeba brac pod uwage. Ktos, o kogo trzeba sie martwic?

-Przyzwyczajaje sie do tego. - Reacher sie usmiechnal.

-No i jeszcze dom, tak? - Rowniez sie usmiechnela.

-Dziwnie sie z tym czuje - przyznal, wzruszajac ramionami.

-No, to sprawa miedzy toba i Leonem. Chce, zebys wiedzial, ze niczego od ciebie nie wymagam. W zadnej sprawie. To twoje zycie, twoj dom. Powinienes zrobic to, czego chcesz, bez zadnych naciskow. Reacher pokiwal glowa i nic nie powiedzial.

-Czy zamierzasz szukac Hobiego?

-Moze. - Reacher znowu wzruszył ramionami. - To cholernie trudne zadanie.

-Masz informacje, od ktorych mozesz zaczac - zauwazyla Jodie. - Sa dane medyczne. Musi miec proteze. Jesli jest poparzony, to musialy zachowac sie jakies notatki na ten temat. No i na pewno zauwazysz go, jesli spotkacie sie na ulicy. Jednoreki mezczyzna z poparzona twarza.

-Moge rowniez poczekac, az on mnie znajdzie. Wystarczy, zebym posiedzial w Garrison, az on przysle tam swoich chlopcow.

Reacher odwrocil sie w strone okna. Spojrzal na swoje slabe odbicie. Wlasnie przyjalem, ze on zyje, uswiadomil sobie. Zaakceptowalem to, ze sie pomylilem. Znowu spojrzal na Jodie.

-Czy mozesz pozyczyc mi komorke? Dasz sobie rade bez niej? To na wypadek gdyby Nash cos znalazl i zadzwonil. Jesli tak sie stanie, chce o tym natychmiast wiedziec. Jodie wytrzymala jego spojrzenie, po czym kiwnela glowa. Otworzyła torebke. Wyjela telefon i podala Reacherowi.

-Zycze szczescia - powiedziala. Reacher schowal komorke do kieszeni marynarki.

-Dotychczas szczescie nie bylo mi potrzebne - odpowiedzial.

Nash Newman nie czekal z rozpoczeciem poszukiwan do dziewiatej rano. Byl pedantycznym czlowiekiem, dbajacym

o wszystkie szczegoly zarowno w sprawach etycznych, jak

i zawodowych. To byly nieoficjalne badania, ktore zgodzil sie przeprowadzic, kierujac sie wspolczuciem dla przyjaciela. Nie mogl tego robic w godzinach pracy. Prywatne sprawy nalezy zalatwiac prywatnie.

Wstal o szostej rano, gdy nad gorami rozpoczynal sie tropikalny wschod slonca. Ubral sie i wypil kawe. O szostej trzedyjsciu byl juz w swoim gabinecie. Przypuszczal, ze rozstrzygniecie tej kwestii zajmie mu dwie godziny. Przed rozpoczeciem pracy o dziewiatej chcial jeszcze zjesc sniadanie w kantynie. Wyciagnal szuflade i wyjal dokumentacje medyczna Victora Hobiego. Leon Garber

zgrupowal ja w wyniku zmutowanej kwerendy wzród lekarzy i stomatologów w okregu Putnam. Trzymal je w starym folderze policyjnym zamykanym metalowa klamka i dodatkowo zabezpieczonym tasiemka, ktora kiedyś byla czerwona, ale wyblakla.

Nash rozwalal tasiemke, rozpiął klamrę i otworzył folder. Na wierzchu leżała deklaracja podpisana przez oboje rodziców Hobiego w kwietniu, w której zgodzili się na wykorzystanie dokumentacji medycznej syna. Pod nią znalazł stare dokumenty. Newman przeglądał w swym życiu tysiące takich teczek i mógł bez wysiłku określić na ich podstawie wiek i miejsce, gdzie ci chłopcy się wychowywali, dochody ich rodziców, talenty sportowe i inne czynniki, które wpływają na historię medyczną. Na przykład pewna procedura stomatologiczna może zostać wymyślona w Kalifornii i następnie zyskać popularność w całym kraju jak najnowsza moda. Wobec tego trzynastoletni chłopiec z Des Moines, który był tak leczony, musiał urodzić się pięć lat później niż trzynastolatek z Los Angeles, który również skorzystał z tego dobrodziejstwa. No a dochody rodziców decydowały, czy w ogóle miał na to szansę. Gwiazdorzyszkolnej drużyny piłkarskiej mieli zwichnięte barki, gracze w baseball uszkodzone nadgarstki, a pływacy chroniczne zapalenie uszu. W teście Victora Hobiego nie było wielu dokumentów. Newman umiał czytać między wierszami, dlatego łatwo sobie wyobraził zdrowego, dobrze odżywionego chłopca, o którego starannie troszczyli się obowiązkowi rodzice. Zaliczył przebieżenia i grypy oraz atak bronchitu w wieku osmiu lat. Żadnych wypadków. Żadnych złamań. S

systematyczna opieka stomatologiczna. Chłopak wychowywał się w epoce dominacji agresywnej stomatologii. Według Newmana to było typowe dla wszystkich chłopców z okolic Nowego Jorku, którzy urodzili się w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. W tym czasie dentyści przede wszystkim walczyli z ubytkami. Tropili je za pomocą zdjęć rentgenowskich, powiększali wiertarkami i wypełniali amalgamatem srebra. Chłopcy często odwiedzali gabinet dentystryczny, co z pewnością nie cieszyło Victora Hobiego, ale z punktu widzenia Newmana stanowiło to nad wyraz pomyślną okoliczność, ponieważ dzięki temu dysponował grubym plikiem zdjęć jego uzębienia. Były one dostatecznie liczne, dostatecznie wyraźne i dostatecznie dobre, żeby umożliwić jednoznaczna identyfikację.

Newman zebrał wszystkie zdjęcia i wyszedł na korytarz. Otworzył drzwi w ścianie z pustaków i mijając aluminiowe trumny, skierował się do alkowy w głębi. Na szerokiej polce za rogiem, niewidoczny od drzwi, stał terminal komputera. Newman włączył go i otworzył menu poszukiwań. Na ekranie pojawił się szczegółowy kwestionariusz

Wypełnienie kwestionariusza wymagało prostej logiki. Nash nacisnął ikonę WSZYSTKIE KOSCI i wprowadził informacje; BRAK ZŁAMAN W DZIECINSTWIE, MOżliWE ZŁAMANIA W DOROSŁYM WIEKU. Jeśli nawet chłopak nie złamał sobie nogi, grając w piłkę, mógł to zrobić później, na przykład podczas szkolenia. Dokumentacja medyczna z czasów służby nie zawsze była kompletna. Newman poświęcił dużo czasu na wypełnienie części kwestionariusza dotyczącej uzębienia. Dokładnie opisał każdy zab, korzystając z danych. Zaznaczył wszystkie ubytki, a przy każdym zdrowym zębie dodał: POTENCJALNE UBYTKI. To był jedyny sposób, żeby uniknąć błędów. Prosta logika. Dobry zab może się zepsuć i wymagać leczenia, natomiast wypełniona dziura nigdy nie znika. Przyjrzał

się zdjęciom rentgenowskim i w rubryce ODSTĘPY wpisał: ROWNE. To samo w rubryce WIELKOŚĆ Pozostałych części kwestionariusza nie wypełnił. Po niektórych chorobach pozostają ślady w kościach, ale nie po grypie, przeziębieniu lub bronchicie. Newman jeszcze raz przejrzał wypełniony kwestionariusz. Punktualnie o siódmej nacisnął ikonę SZUKAJ. W porannej ciszy wyraźnie słyszał szum twardego dysku. Program zaczął cierpliwa podróż przez bazę danych. - - -

Wylądowali dziesięć minut przed zaplanowaną godziną, na krótko przed dwunastą czasu wschodniego. Samolot zszedł do lądowania nad błyszczącą taflą zatoki Jamaica, wylądował,

pedząc na wschód, po czym zawrócił i powoli kołował do terminalu. Jodie przestawiła zegarek i wstała z fotela, nim samolot się zatrzymał. W pierwszej klasie obsługa nie czepia się pasażerów za takie łamanie reguł.

-Chodźmy - powiedziała Jodie. - Mam naprawdę mało

czasu.

Stanęła przy drzwiach, nim jeszcze stewardesa je otworzyła. Reacher niosł torbę Jodie, która szła pierwsza. Pospiesznie przeszli przez rekaw, przecielił hale przylotów i udali się na krótkoterminowy parking. Już z daleka zobaczyli wielkiego, czarnego lincolna navigatora. Żeby wyjechać, musieli wydać pięćdziesiąt osiem dolarów od Ruttera.

-Czy mam czas na prysznic? - zastanowiła się głośno Jodie. Reacher wyraził swoją opinię,

naciskając pedał gazu mocniej,

nim powinien. Jechali Van Wyck. Na Long Island Expressway w kierunku tunelu nie było korków. Już dwadzieścia minut po wylądowaniu byli na Manhattanie, a po trzydziestu prawie dojechali do domu na Broadwayu.

-Sprawdzę mieszkanie - postanowił Reacher. - To ważniejsze od prysznica. Kiwnęła głową. Po powrocie do miasta musieli znowu liczyć się z niebezpieczeństwem.

-Dobra, ale się pośpiesz.

Reacher ograniczył się do wizualnego sprawdzenia holu

przez szklane drzwi. Nikogo nie zauważył. Zostawili samochód przed domem, wjechali windą na czwarte piętro, po czym zeszli schodami ewakuacyjnymi na trzecie. W budynku panowała cisza i spokój. Mieszkanie było nienaruszone. W dziennym świetle widac było doskonale kopie Mondriana. Była dwunasta trzydziści.

-Dziesięć minut - rzuciła Jodie. - Zawieziesz mnie do kancelarii, dobrze?

-Jak dotrzesz na to spotkanie?

-Mamy na stałe wynajęty samochód z kierowcą. On mnie zawiezie. Jodie pobiegła przez salon do łazienki, po drodze zrzucając z siebie ubranie.

-Chcesz coś zjeść?! - krzyknął.

-Nie mam czasu! - odkrzyknęła.

Jodie spędziła pięć minut w łazience i pięć w garderobie. Pojawiła się w grafitowym kostiumie.

-Znajdź moją teczkę, dobrze? - poprosiła. Uczesała się i wysuszyła włosy. Ograniczyła

makijaż do tuszu do powiek i szminki. Sprawdziła swój wygląd w lustrze i pobiegła do salonu.

Reacher znalazł już teczkę. Zeszli do samochodu.

-Weź moje klucze - powiedziała. - Będiesz mógł wrócić do mieszkania. Zadzwoń do

ciebie z kancelarii, żebyś po mnie przyjechał.

Jazda do kancelarii zajęła im siedem minut. Reacher zatrzymał się na niewielkim placu przed budynkiem. Jodie wysiadła z wozu za pięć pierwszą.

-Powodzenia! - zawołał Reacher na pożegnanie. - Daj im popalic. Jodie pomachała mu ręką i przecisnęła się przez otwarte drzwi. Ochroniarze dostrzegli ją i powitali ukłonami. Jeszcze przed pierwszą była na gorze w swoim gabinecie. Sekretarz wszedł za nią i podał jej cienki folder.

-Proszę, oto dokumenty - rzekł ceremonialnym tonem. Jodie szybko przejrzała osiem kartek.

-Do diabła, to wszystko?

-Podczas zebrania partnerów wszyscy byli bardzo podnieceni tą sprawą - oznajmił sekretarz. Jodie jeszcze raz przerzuciła dokumenty, tym razem w odwrotnym porządku.

-Nie rozumiem z jakiego powodu. Nigdy nie słyszałam o tych korporacjach, a suma jest banalna.

-Nie o to chodzi, nieprawdaz? - skomentował sekretarz.

-A o co? - spytała, spoglądając na niego.

-To wierzyciel postanowił pana zatrudnić - wyjaśnił. - Wierzyciel, nie zaś dłużnik. To niewątpliwie posunięcie prewencyjne. Wszyscy już o pani słyszeli. Wierzyciel wie, że jeśli wystąpi pani po stronie dłużnika, może mu pani napisać krwawą. Wobec tego zatrudnił pana pierwszy, żeby do tego nie dopuścić. Jest pani sławna. To dlatego partnerzy tak się cieszyli. Jest pani wielką gwiazdą, pani Jacob.

Reacher wrócił powoli na Broadway. Wjechał wielkim samochodem do podziemnego garażu i zaparkował na miejscu u Jodie. Zamiast pojechać na górę do mieszkania, wyszedł rampa na ulicę i skierował się na północ, do kawiarni. Poprosił barmana o poczworną kawę w styropianowym kubku, po czym usiadł przy chromowanym stoliku, gdzie siedziała Jodie, kiedy on sprawdzał mieszkanie wieczorem po powrocie z Brighton. Gdy wrócił wtedy do kawiarni, Jodie siedziała i wpatrywała się w zdjęcie sfabrykowane przez Ruttera. Usiadł na tym samym krześle, zdmuchnął piankę z kawy i wypił pierwszy łyk. Zastanawiał się, co powiedzieć rodzicom Victora. Jedynym ludzkim rozwiązaniem było zatępienie całej sprawy. Mogł im przekazać, że niczego się nie dowiedział. Żadnych szczegółów, pomyślał. Po prostu jeździł tam, uściśnij im ręce, powiedz, że Rutter ich oszukał, zwróć pieniądze i opisz długie, jalowe poszukiwania, które zakończyły się fiaskiem. Potem przekonaj ich, że muszą przyjaść do wiadomości, iż ich syn dawno zginął, oraz poprosz, żeby zechcieli zrozumieć, iż nikt nie będzie w stanie powiedzieć im, jak to się stało. A potem znikniesz, a oni dożyją końca swych dni z poczuciem godności, jakie może dać przekonanie, że są tylko dwojgiem z kilkudziesięciu milionów rodziców, którzy stracili dzieci w tym upiornym stuleciu.

Reacher dopił kawę. Siedział, trzymając zacisniętą rękę na stole. Postanowił okłamać państwa Hobie, bo uważał, że tak nakazuje dobroć. Nie miał w tej dziedzinie wielkiego doświadczenia. W swoim życiu nie miał okazji do praktykowania tej cnoty. Nigdy nie znalazł się w sytuacji, w której miałaby ona jakieś znaczenie. Nigdy nie spadł na niego obowiązek przekazania krewnym złych wiadomości. Innym się to zdarzało. Po wojnie w Zatoce Perskiej powołano specjalne zespoły złożone ze starszego oficera z danej jednostki i policjanta wojskowego w celu odwiedzania rodzin poległych. Ludzie ci przemierzali podjazdy will, wchodzili po schodach w kamienicach i przekazywali wiadomość, która zdradzała samo ich pojawienie się w galowych mundurach. Reacher przypuszczał, że w takich sytuacjach dobroć może mieć spore znaczenie, ale on zawsze zajmował się tylko pracą dochodzeniową, gdzie wszystko było proste. Coś się zdarzyło lub nie, było zgodne z prawem lub stanowiło przestępstwo. Teraz, dwa lata po zwolnieniu z wojska, nagle w jego życiu pojawiła się dobroć.

I na dokładkę zmuszała go do kłamstwa.

Postanowił, że znajdzie jednak tego Victora Hobiego. Rozluźnił dłoń i dotknął blizny na piersi. Musiał wyrównać rachunki. Przechylił kubek, aż poczuł fusy na języku i między zębami. Wyrzucił pusty kubek do śmieci i wyszedł z kawiarni na nasłonecznioną ulicę. Słońce minęło już południe i zaczęło kierować się na zachód. Poczuł na twarzy ciepłe promienie. Szedł powoli w kierunku domu Jodie. Był zmęczony. Spał tylko cztery godziny w samolocie. Cztery godziny w ciągu ponad dwudziestu czterech. Przypominał sobie, jak rozłożył ogromny fotel w pierwszej klasie i zasnął. Myślał wtedy o Hobim, tak samo jak teraz. Victor Hobie kazał zabić Costella, żeby dalej mógł się ukrywać. Przypomniała mu się Crystal, striptizerka z Keys. Nie powinien teraz o niej myśleć, ale coś jej wtedy powiedział, tam w ciemnym barze. Miała na sobie koszulę z krótkimi rękawami i nic więcej. Potem przypomniał sobie rozmowę z Jodie w gabinecie Leona. W jego domu. Powiedziała to samo, co on powiedział Crystal. On powiedział, że tam na północy musiał komuś nadebrać na odcisk, sprawić jakiś kłopot. Jodie zauważyła, że Costello spróbował jakiegos skrotu, zanim zaczął ci szukać, nadebrał komuś na odcisk i wywołał alarm.

Reacher nagle zatrzymał się na ulicy. Serce mu gwałtownie zabilo. Leon. Costello. Leon i Costello rozmawiali ze sobą. Costello przyjechał do Garrison i rozmawiał z Leonem tuż przed śmiercią. Leon na pewno powiedział mu: Znajdź niejakiego Jacka Reachera, bo chce, żeby sprawdził, co się stało z pewnym facetem, Victorem Hobiem. Costello, spokojny profesjonalista, uważnie słuchał zlecenia. Wrócił do Nowego Jorku i wykroczył poza zakres zleconej sprawy. Pewnie wszystko sobie przemyślał i postanowił pojechać na skroty. Zamiast od razu szukać Reachera, najpierw rozejrzał się za Victorem Hobiem.

Reacher pobiegł na podziemny parking. Z dolnego Broadwayu do Greenwich Avenue jest cztery i pół kilometra, ale on dojechał tam w jedenastcie minut, przemykając się za taksówkami jadącymi do zachodniej części centrum. Został samochodem na chodniku przed budynkiem i wbiegł po kamiennych schodkach do holu. Rozejrzał się i nacisnął trzy przypadkowo wybrane guziki. - UPS! - zawołał do mikrofonu.

Zamek zabrzeczał. Reacher pobiegł na górę do lokalu numer pięć. Mahoniowe drzwi do biura Costella były zamknięte tak samo jak cztery dni temu. Reacher rozejrzał się po korytarzu i spróbował nacisnąć klamkę. Drzwi się otworzyły. Zamek był wciąż odciągnięty, biuro było otwarte. W pastelowej poczekalni panował porządek. Bezosobowe miejsce. Wszyscy zajmowali się swoimi sprawami, nie troszcząc się, co dzieje się tuż obok. W poczekalni było duszno. Z

apach perfum sekretarki już prawie wywietrzył, ale jej komputer był włączony. Wygaszacz ekranu wciąż cierpliwie czekał na jej powrót.

Reacher stanął za biurkiem i popchnął palcem mysze. Na ekranie pojawiła się karta z bazy danych dotycząca firmy Spencer Gutman Talbot, którą sam odszukał, żeby tam zadzwonić, gdy jeszcze nie wiedział, kim jest pani Jacob. Bez większej wiary w powodzenie wrócił do głównej listy. Poszukiwał JACOB, ale bez sukcesu. Nie zauważył również nazwiska HOBIE, a litery H i J nie są daleko od siebie.

Reacher szybko przejrzał całą listę, jednakże niczego nie znalazł. Nie było nazwisk, tylko skróty nazw różnych korporacji. Poszedł do gabinetu Costella. Na biurku nie było żadnych papierów. Obszedł biurko. Z tego miejsca zobaczył metalowy kosz na śmieci stojący pod biurkiem, w miejscu na nogi. W koszu leżały pogniecione kartki. Ukucnął, wyciągnął kosz i wysypał jego zawartość na podłogę. Otwarte koperty, reklamy, formularze, zatłuszczone opakowania kanapki. Kilka kartek w linie wyrwanych z perforowanego bloku. Rozplaszczyl je na wykładzinie. Nic nie zwrócił o jego uwagi, ale to niewątpliwie były notatki robocze. Costello miał widocznie zwyczaj notować, żeby łatwiej uporządkować myśli. Wszystkie wydawały się nowe. Pewnie regularnie opróżniał kosz. Ostatnie notatki pochodziły z kilku dni przed wyjazdem do Keys. Jeśli szukał Hobiego, to musiał się tym zajmować dwanaście lub trzynaście dni temu, zaraz po rozmowie z Leonem, na początku dochodzenia. Reacher po kolei sprawdził szuflady. W górnej po lewej stronie znalazł perforowany blok. To był notatnik z supermarketu, częściowo zużyty, ze wzmocnionym grzbietem po lewej stronie. Costello zdążył wydrzeć połowę kartek. Reacher usiadł na wysłuzonym, skorzanym fotelu i zaczął przeglądać notatnik. Na dziesiątej stronie zauważył nazwisko Leon Garber otoczone licznymi zapiskami ołówkiem. Dostrzegł Pani Jacob, SGR T oraz Victor Hobie. Ostatnie nazwisko było dwukrotnie podkreślone niedbalymi ruchami człowieka pogrążonego w rozmyśleniach. Costello otoczył je podwójną obwódką podobną do jajka, a obok naskrobił CCT?? Przez całą kartkę biegła kreska od CCT?? do 9 rano. Ta godzina również była wzięta w kółko. Reacher przyjrzał się temu uważnie. Spotkanie z Victorem Hobiem w miejscu zwanym CCT, o dziewiątej rano. Zapewne tego dnia, w którym Costello został zamordowany. Reacher zerwał się z fotela i pobiegł do komputera. Na ekranie wciąż była główna lista bazy danych. Wygaszacz jeszcze się nie włączył. Reacher przejechał kursorem do góry i spojrzał na pozycję między B i D. Dostrzegł CCT między CCR W i CD AG Y. Kliknął myszą. Na ekranie pojawiła się karta dotycząca CAYMAN CORPORATE TRUST. Adres w World Trade Center, telefon, faks.

Notatki dotyczące pytań ze strony różnych kancelarii adwokackich. Nazwisko właściciela - Victor Hobie. Reacher wpatrywał się w ekran. W tym momencie zadzwonił telefon. Reacher oderwał wzrok od ekranu i spojrzał na konsolę na biurku. Pomyłka. Telefon dzwonił w jego kieszeni. Wyciągnął z marynarki komórkę Jodie i nacisnął guzik.

-Halo? - powiedział.

-Mam pewne nowiny - odezwał się Nash Newman.

-Nowiny? Na jaki temat?

-Na jaki temat? A jak myślisz, do cholery?

-Nie wiem. Powiedz mi.

Newman powiedział. Potem zapadło milczenie. Słychać było tylko cichy szum oddający odległość dziesięciu tysięcy kilometrów i szmer wentylatora komputera. Reacher odsunął telefon od ucha. Spoglądał na zmianę to na komórkę, to na ekran, całkowicie oszolomiony.

-Jestes tam? - przerwał ciszę Newman. Jego głos był

slaby i zniekształcony przez elektronikę. Pisniecie ze słuchawki. Reacher znowu przystawił telefon do ucha.

-Czy jesteś pewny? - spytał.

-Tak - potwierdził Newman. - Na sto procent. Wynik jest zupełnie jednoznaczny. Nie ma nawet jednej szansy na mil

iard, zebym sie pomylił. Nie mam zadnych watpliwosci.

-Czy jestes pewny? - powtorzyl Reacher.

-Absolutnie, calkowicie, stuprocentowo pewny. Reacher milczal. Rozejrzal sie po pustym sekretariacie. Tam gdzie przez mleczone szyby przedstawalo sie swiatlo, sciany wydawaly sie jasnoniebieskie, gdzie indziej szare.

-Nie wydajesz sie zadowolony - rzekl Newman.

-Nie moge w to uwierzyc - odpowiedzial Reacher. - Powiedz mi to jeszcze raz. Newman powtornie przekazal mu wiadomosc. - Nie moge w to uwierzyc. Czy jestes absolutnie pewny? Newman kolejny raz wszystko mu opowiedzial. Reacher wbil wzrok w blat biurka.

-Powtorz jeszcze raz - poprosil. - Juz ostatni. Newman zrelacjonowal swoje odkrycie po raz czwarty.

-Nie ma zadnych watpliwosci - dodal. - Czy slyszales, zebym kiedykolwiek sie pomylił?

-Cholera! - zaklal Reacher. - Cholera, czy ty rozumiesz,] co to znaczy? Rozumiesz, co sie stalo? Co on zrobil? Musze pedzic, Nash. Musze od razu skontaktowac sie z St Louis, ponownie zajrzec do archiwum.

-Faktycznie, musisz - przyznal Newman. - Z pewnoscia sam bym od razu to zrobil. To pilna sprawa.

-Dzieki, Nash - powiedzial Reacher. Wylaczyl telefon i wrzucil go do kieszeni. Wstal i powoli wyszedl z biura Costella, zostawiajac mahoniowe drzwi szeroko otwarte. - - -

Do lazienki wszedl Tony z garniturem marki Savile Row na wieszaku, w torbie z pralni. Pod pachy trzymal zapakowana koszule, wykrochmalona i uprasowana. Spojrzal na Marilyn, po czym powiesil garnitur na prowadnicy kabiny prysznicowej.

Cisnal koszule na kolana Chestera. Siegnal do kieszeni i wyjal krawat. Rozciagnal go na cala dlugosc jak magik wyjmujacy szarfe z ukrycia. Rzucil go Chesterowi.

-Pora na przedstawienie - oznajmil. - Macie byc gotowi za dziesiec minut.

Wyszedl i zamknal za soba drzwi. Chester siedzial na podlodze, trzymajac w rekach zapakowana koszule. Krawat lezal na jego nogach, tam gdzie upadl. Marilyn pochylila sie, wziala od niego koszule, rozdarl papier. Zmiela go w kule i rzucila na posadzke. Strzepnela koszule, po czym rozpiela dwa gorne guziki.

-Juz niedlugo bedzie koniec powiedziala, jakby to bylo zaklecie.

Chester spojrzal na nia obojetnie i wstal. Wzial od niej koszule, wciagnal ja przez glowe.

Marilyn stanela przed nim. Zapiela kolnierzyk i zawiazala krawat.

-Dzieki. Pomogla mu jeszcze wlozyc garnitur. Poprawila klapy marynarki.

-Uczesz sie - poprosila.

Chester podszedł do lustra. Zobaczył w nim mężczyznę, jakim był w innym życiu. Przeczesał palcami włosy. Do łazienki znowu wszedł Tony. Trzymał w ręku jego mont blanc.

-Pożyczmy ci pióro wieczne, żebyś miał czym podpisać umowę o przekazaniu akcji.

Chester kiwnął głową. Wsunął pióro do wewnętrznej kieszeni marynarki.

-I jeszcze to. Musimy dbać o pozory, prawda? Z tymi wszystkimi prawnikami dookoła? - Podał mu platynowego łańcuszka. Chester wsunął bransoletkę na rękę. Tony wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Marilyn stanęła przed lustrem. Poprawiła włosy, odgarnęła je za uszy. Zaciśnęła usta, jakby właśnie się umalowała, choć nie miała szminki. To był tylko odruch. Obciągnęła sukienkę. Odwróciła się do meza.

-Jestes gotowy? - spytała.

-Gotowy na co? - Chester wzruszył ramionami. - A ty?

-Jestem - odpowiedziała.

--

Szoferem w kancelarii Spencer Gutman Talbot był mąż jednej z najdłużej zatrudnionych sekretarek. Kiedyś był zbyt młodym urzędnikiem w jakiejś zapyziałej korporacji, ale nie przetrwał fuzji z energicznym rywalem. Miał wtedy pięćdziesiąt sześć lat, był bezrobotny, nie miał żadnych kwalifikacji i perspektyw. Zainwestował w oszczędności w używany Lincoln Town Car, a jego żona złożyła kierownictwu kancelarii ofertę, w której argumentowała, że taniej będzie wynajmować go na stałe, niż płać za taksówki. Partnerzy przytknęli oczy na pewne błędy w jej rachunkach i przyjęli propozycję ze względów charytatywnych i dla wygody. Gdy Jodie wyszła z windy, szofer już na nią czekał w samochodzie z włączonym silnikiem i klimatyzacją. Opuścił okno.

-Czy wie pan, dokąd jedziemy? - spytała Jodie. Kiwnął głową i pukał palcem w podkładkę do notowania, która leżała na fotelu pasażera.

-Jestem gotowy - powiedział.

Jodie usiadła z tyłu. Z natury miała demokratyczne skłonności i wolałaby usiąść z przodu, ale mężczyźni nalegali, żeby pasażerowie siadali z tyłu. Dzięki temu czuł się bardziej oficjalnie. Był drażliwym starszym panem, a wyczuwał, że jego zatrudnieniu towarzyszył powiew dobroczynności. Starał się zachowywać bardzo oficjalnie, bo wydawało mu się, że to podwyższa jego status. Chodził w ciemnym garniturze i czapce szofera, którą kupił gdzieś na Brooklynie.

Szofer ruszył, gdy tylko zobaczył w lusterku, że Jodie usiadła. Wyjechał po rampie na dwór. Wyjazd znajdował się na tyłach budynku, dlatego znaleźli się na Exchange Place. Skreślił w lewo w Broadway i stopniowo zmieniał pasy, żeby skreślić ostro w prawo w Trinity. Pojechał nią na zachód, dzięki czemu dotarł do World Trade Center od południa. Obok kościoła Świętej Trójcy był korek, bo dwa pasy blokował policyjny wóz do holowania źle zaparkowanych samochodów. Policjanci zaglądali do środka stojącego obok samochodu patrolowego. Najwyraźniej nie byli pewni, co zrobić. Szofer minał ich i przyspieszył. Po chwili zwolnił i zaparkował na placu przed

wejściem. Z samochodu nic mógł zobaczyć gorzej nad nimi wieży. Przez chwilę siedział w milczeniu, nie gasząc silnika.

-Będzie tu czekał na panią - powiedział z szacunkiem.

Jodie wysiadła. Zatrzymała się na chodniku. Na rozległym placu klebił się tłum. Była za pięć drugą, ludzie wracali po lunchu do pracy. Poczula się niepewnie. Od kiedy to wszystko się zaczęło, po raz pierwszy znalazła się w miejscu

publicznym sama, bez Reachera. Przyłączyła się do grupy spieszących się ludzi i razem z nimi weszła do południowej wieży.

Na teczce, która dostała, był podany adres. Biuro korporacji znajdowało się na osiemdziesiątym ósmym piętrze. Jodie stanęła w kolejce do windy ekspresowej. Przed nią stał średniego wzrostu mężczyzna w źle dopasowanym czarnym garniturze, z taną teczką pokrytą plastikiem imitującym skórę krokodyla. Wcisnęła się do windy tuż za nim. Kobieta była zatłoczona. Ludzie wykrzykiwali numery pięter, a kobieta stojąca przy panelu wciskała odpowiednie guziki. Facet w kiego garniturze poprosił o osiemdziesiąte osme piętro. Jodie się nie odezwała.

Winda zatrzymywała się prawie na wszystkich piętrach swojej strefie. Ludzie przeciskali się do wyjścia. Powoli hali do góry. Dotarli na osiemdziesiąte osme piętro punktualnie o drugiej. Facet z plastikową teczką wyszedł za Jodie. Znaleźli się w pustym korytarzu. Wzdłuż ściany były drzwi do biur. Jodie ruszyła w jedną stronę, tamten w drugą. Obaj czytali tabliczki na drzwiach. Spotkali się przy mocnych, dębowych drzwiach z szyldem Cayman Corporate Trust i niewielkim okienkiem ze zbrojonego szkła. Jodie spróbowała zajrzeć do środka, ale mężczyzna w czarnym garniturze minal ją i otworzył drzwi.

-Czyżbyśmy szli na to samo spotkanie? - spytała ze zdziwieniem.

Weszła za nim do poczekalni wyposażonej w dębowe meble

z mosiężnymi ozdobami. W powietrzu czuć było typowe biurowe zapachy - gorące wydruki kserokopiarki, kawa. Mężczyzna w garniturze odwrócił się do niej i kiwnął głową. - Chyba tak - powiedział. Podał mu rękę. Szli w kierunku pulpitu recepcjonisty.

-Jestem Jodie Jacob -przedstawiła się. - Spencer Gutman. Reprezentuję właściciela. Mężczyzna przełożył teczkę do lewej ręki. Uśmiechnął się i uściśnął jej dłoń.

-David Forster - powiedział. - Forster i Abelstein. Stali już przy recepcji. Jodie zatrzymała się i spojrzała na niego. - Nie, to nieprawda - rzuciła. - Doskonale znam Davida.

Mężczyzna nagle zesztywniał. W poczekalni było cicho. Jodie odwróciła się w stronę recepcjonisty. Zobaczyła faceta, którego widziała po raz ostatni, gdy szarpał za klamkę jej samochodu, podczas gdy Reacher uciekał z miejsca wypadku na Broadwayu. Teraz siedział spokojnie za pulpitem i przyglądał się jej. Lewa ręka nacisnął guzik. Jodie usłyszała trzask zamka w drzwiach wejściowych. Recepcjonista opuścił prawą rękę, a gdy ją podniósł, Jodie zobaczyła błysk broni. Strzelba z grubą lufą o długości trzydziestu centymetrów i metalowa kolba. Facet w kiego garniturze upuścił teczkę i podniósł ręce do góry. Jodie patrzyła na strzelbę. Boże, to przecież srutowka, pomyślała. Recepcjonista znowu poruszył lewą ręką. Nacisnął drugi guzik. Z gabinetu wyszedł jakiś mężczyzna. Kierowca suburban, który spowodował zderzenie z ich samochodem. On również miał broń. Jodie widziała taką broń na filmach. Pistolet automatyczny. Na filmach ofiary trafione z takiego pistoletu zwykle leca dwa metry do tyłu. Kierowca trzymał broń tak, że jednym szybkim ruchem mógł wycelować w nią lub faceta udającego Forstera. Recepcjonista wyszedł zza swego pulpitu, minal Jodie i podszedł od tyłu do mężczyzny w kiego garniturze. Uderzył go lufą w plecy, na poziomą pasek. Usłyszeli twardy, metaliczny dźwięk, częściowo stłumiony przez materiał marynarki. Ten ze strzelby sięgnął pod jego marynarkę i wyciągnął duży, lśniący pistolet. Podniósł go wysoko, jakby demonstrował jakiś eksponat.

-Jak na prawnika, to raczej niezwykle instrument -

stwierdził mężczyzna stojący w drzwiach.

-To nie jest prawnik - rzekł jego partner. - Ona mówi, że dobrze zna Davida Forstera i to nie jest on. Mężczyzna w drzwiach pokiwał głową.

-Mam na imię Tony - przedstawił się. - Zapraszam państwa do środka, bardzo proszę. Stał z boku, ale trzymał Jodie na muszce. Ten drugi popchnął rzekomego Forstera w kierunku otwartych drzwi. Tony kiwnął pistoletem. Jodie zrobiła dwa kroki w jego stronę.

Zblizyl sie i popchnal ja otwarta dlonia w plecy. Potknela sie, ale zlapala rownowage. Znalazla sie w przestronnym, kwadratowym gabinecie. Zaluzje w oknach nie przepuszczaly duzo swiatla. Przed biurkiem staly meble jak z salonu - trzy sofy z lampami do czytania, w srodku niski stolik do kawy ze szkla i mosiadzu. Na sofie po lewej siedzialo dwoje ludzi. Mezczyzna i kobieta. Mezczyzna mial na sobie doskonaly garnitur i krawat, kobieta nosila pognieciona, jedwabna sukienke wieczorowa. Mezczyzna patrzyl przed siebie martwym wzrokiem, kobieta wydawala sie przerazona.

Na skorzanym fotelu za biurkiem siedzial jakis mezczyzna czesciowo ukryty w cieniu. Mial moze piecdziesiat, moze piecdziesiat piec lat. Jodie spojrzala na niego. Jego glowa i twarz byly podzielone na dwie czesci, tak jakby ktos podjal arbitralna decyzje. Przypominala mape stanow na zachodzie Ameryki. Prawa czesc twarzy byla pokryta zmarszczkami, a na glowie rosly szare, rzedniejace wlosy. Lewa pokrywaly blizny po oparzeniach, rozowe, grube i lsniace jak niedokonczony plastikowy model glowy jakiegos potwora. Blizny siegaly do oka, a powieka stanowila grude z rozowej tkanki podobna do zmiadzonego kciuka. Mezczyzna za biurkiem mial na sobie elegancka marynarkę, która nie skrywala jego szerokich barow i piersi. Lewa reke trzymal swobodnie na blacie. Widac bylo bialy mankiet koszulki i starannie wypielegnowane palce, ktorymi ledwo zauwazalnie bebnil o blat. Prawa reka lezala dokladnie symetrycznie w stosunku do lewej. Taki sam rekaw letniego garnituru z dobrego materialu, taki sam bialy mankiet, ale zamiast dloni wystawal z niego stalowy hak. Zwykly hak z wypolerowanej, nierdzewnej stali.

-Hobie - powiedziala Jodie. Mezczyzna skinal glowa tylko raz. Podniosl hak, jakby chcial w ten sposob ja powitac.

-Ciesze sie ze spotkania, pani Jacob. Przykro mi, ze tak dlugo na nie czekalem. - Usmiechnal sie. - Bardzo tez zaluje, ze nasza znajomosc bedzie tak krotka. Skinal glowa w kierunku Tony'ego. Ten podszedl do mezczyzny, który przedstawil sie jako Forster. Stanal obok niego i czekal.

-Gdzie jest twoj przyjaciel Jack Reacher? - Hobie zwrocil sie do Jodie.

-Nie wiem - odpowiedziala, krecac glowa. Hobie przygladal sie jej dluzsza chwile.

-Dobrze - powiedzial w koncu. - Jeszcze wrocimy do Jacka Reachera. Teraz siadaj. Wskazal hakiem sofe naprzeciwko siedzacej pary. Jodie usiadla. Usilowala zebrac mysli.

-To pan i pani Stone - powiedzial Hobie. - Chester i Marilyn, mowiac prosciej. Chester

kierowal korporacja Stone Optical. Jest mi winien siedemnascie milionow dolarow. Zamierza

zwrocic dlug, przekazujac mi akcje.

Jodie zerknela na malzenstwo siedzace naprzeciw niej. Oboje mieli panike w oczach. Tak jakby wlasnie stalo sie cos strasznego.

-Polozcie rece na stole - polecil Hobie. - Wszyscy troje. Pochylcie sie do przodu i

rozsuncie palce. No, dalej, chce widziec szesc malych rozgwiad.

Jodie pochylila sie i polozyla dlonie na stoliku. Malzonkowie naprzeciwko automatycznie zrobili to samo.

-Pochylcie sie jeszcze bardziej! - rozkazal Hobie.

Wszyscy przesuneli dlonie w kierunku srodka stolu, pochylajac sie mocno do przodu. Teraz ciezar ich cial spoczywal na rekach, co uniemozliwialo im szybki ruch. Hobie wyszedl zza biurka i stanal przed mezczyzna w kiepskim garniturze.

-Najwyrazniej nie jestes Davidem Forsterem - powiedzial.

Mezczyzna milczal.

-Wiesz, i tak bym zgadl - dodal Hobie. - Natychmiast. Taki garnitur? Chyba chciales sobie zazartowac. Kim jestes?

Tamten wciaz milczal. Jodie odwrocila glowe i patrzyla na niego. Tony podniosl pistolet i wycelowal w jego glowe. Odcignal jakas dzwignie. W ciszy rozlegl sie metaliczny dzwiek. Przycisnal palec do cyngla. Jodie widziala, jak zbieraly mu kostki.

-Curry - rzekl mezczyzna. - William Curry. Jestem prywatnym detektywem, pracuje dla Forstera. Hobie powoli pokierowal glowa.

-Okay, panie Curry. Teraz stanal za sofa, na ktorej siedzieli panstwo Stone'owie.

-Oszukalas mnie, Marilyn - oswiadczył.

Podparl sie lewa reka o oparcie sof, pochytil do przodu i wsunal koniec haka za brzeg sukienki Marilyn, na karku. Wbil hak w material i pociagnal do siebie. Marilyn stopniowo prostowala sie, przesuwajac dlonmi po stole. Na szkle zostaly

wilgotne odciski. Gdy juz dotykala plecami sof, Hobie przesunal hak do przodu, pod jej podbrodek, jak fryzjer ustawiajacy glowe klientki przed rozpoczeciem strzyzenia. Podniosl hak i przeczesal nim jej geste wlosy od czola do potylicy. Powtorzyl ten ruch. Przerazona Marilyn mocno zacisnela powieki.

-Oszukalas mnie - powtorzyl. - Nie lubie, gdy ktos mnie oszukuje. Zwlaszcza ty.

Chronilem cie, Marilyn. Moglem cie sprzedac razem z samochodami. Teraz moze to zrobic.

Mialem inne plany w stosunku do ciebie, ale mysle, ze pani Jacob zajela twoje miejsce w

moich uczuciach. Nikt mi nie powiedzial, jaka jest piekna.

Hak znieruchomial. Z wlosow Marilyn pociekla na czolo struzka krwi. Hobie spojrzal na Jodie ciezkim wzrokiem, nie mrugajac zdrowa powieka.

-Tak - zwrocil sie do niej. - Mysle, ze ty bedziesz dla mnie pozegnalnym prezentem od

Nowego Jorku.

Mocno nacicpal hakiem tyl glowy Marilyn, zmuszajac ja, zeby znowu pochytila sie nad stolikiem. Odwrocil sie do Curry'ego.

-Ma pan bron, panie Curry?

-Mialem - odpowiedzial, wzruszajac ramionami. - Wiecie. Juz mi zabraliscie. Facet ze strzelba pokazal Hobiemu Isniace magnum. Hobie skinal glowa.

-Tony?

Tony zaczal obmacywac Curry'ego. Poklepal go po barkach, pod ramionami. Curry spojrzal na prawo i na lewo. Mezczyzna ze strzelba podszedl blizej i wbil lufe w jego bok.

-Nie ruszaj sie - powiedzial.

Tony pochylil sie i przejechal dlonmi po brzuchu i miedzy nogami Curry'go. Gdy przesunal rece nizej, detektyw gwaltownie sie obrocil i sprobował uderzeniem wytracic strzelbe z rak drugiego mezczyzny. Tamten jednak stal na szeroko rozstawionych nogach i bez wysilku utrzymal bron, po czym uderzyl go lufa w brzuch. Curry zakaslal i zgial sie wpol, a wtedy facet uderzyl go kolba w glowe. Curry uklakl. Tony przewrocil go kopniakiem na podloge.

-Gowniarz - zaszydzil.

Facet ze strzelba wbil Curry'emu lufe w brzuch tak mocno, zeby bolalo. Tony przykucnal, przesunal w gore mankiety spodni i wyciagnal dwa niewielkie rewolwery. Przelozyl palec przez kablaki spustu i zakrecil nimi w powietrzu. Rozleglo sie metaliczne grzechotanie. Niewielkie lsniace rewolwery wygladaly jak zabawki. Mialy bardzo krotka lufe, ledwo widoczna.

-Niech pan wstanie, panie Curry - powiedzial Hobie. Curry oparl sie na rekach i kolanach.

Uderzenie w glowe

wyraznie go oszolomilo. Jodie widziala, jak gwaltownie mruga, usilujac oprzytomniec. Potrzasnal glowa. Chwycil z oparcia sofy i wstal. Hobie zbлизyl sie o krok, ale odwrocil sie do niego plecami. Spojrzal na Jodie, Chestera i Marilyn, jakby byli sluchaczami wykladu. Lewa dlonia rozlozona na plask uderzal w hak stopniowo coraz mocniej.

-To proste zagadnienie z dziedziny mechaniki - oznajmil. - Sila uderzenia w hak zostaje

przeniesiona na kikut. Energia ulega rozproszeniu na resztkach ramienia. Oczywiscie

uprzaz jest dzielem eksperta, dlatego minimalizuje odczuwanie bolu. Nie mozna jednak

zlamac praw fizyki, nieprawdaz? Zatem ostatecznie kwestia sprowadza sie do tego, kto

mocniej zareaguje na bol. On czy ja?

Hobie okrecil sie na piecie i z calej sily uderzyl Curry'ego w twarz zakrzywiona krawedzia haka.

To bylo mocne uderzenie wyprowadzone z ramienia. Curry zatoczyl sie na nogach i jeknal.

-Pytalem cie, czy masz bron - spokojnie kontynuowal Hobie. - Powinienes byl powiedziec mi prawde. Powinienes powiedziec: Tak panie Hobie, mam rewolwery przymocowane do kostek. Nie zrobiles tego. Probowales mnie oszukac. A jak juz powiedzialem Marilyn, nie lubie, gdy ktos mnie oszukuje. Hobie uderzyl go w brzuch. Nagle i mocno.

-Niech pan przestanie! - krzyknela Jodie. Wyprostowala sie na sofie. - Dlaczego pan to robi? Do diabla, co sie z panem stalo? Curry stal pochylony i ciezko dyszal. Hobie odwrocil sie twarza do Jodie.

-Coz takiego sie ze mna stalo? - spytal.

-Byl pan przyzwoitym czlowiekiem. Wiemy o panu wszystko. Hobie powoli pokrecil glowa.

-Nie, nic o mnie nie wiecie.

W tym momencie zabrzeczal dzwonek przy drzwiach wejsciowych. Hobie spojrzal na Tony'ego, ktory schowal pistolet do kieszeni. Zdjal z palca dwa male rewolwery Curry'ego, podszedl do Hobiego i wcisnal mu jeden w lewa reke. Pochylil sie i wlozyl drugi do lewej kieszeni jego marynarki. Ten gest wydawal sie zagadkowo intymny. Tony wyszedl z gabinetu do poczekalni. Facet ze strzelba ustawil sie tak, zeby miec w polu ostrzalu cala czworke. Hobie stanal w drugim kacie gabinetu, zeby moc rozpoczac ogien krzyzowy.

-Macie byc cicho, wszyscy - szepnal.

Slyszeli, jak Tony otwiera drzwi i z kims rozmawia. Potem odglos zamykanych drzwi. Chwile pozniej wrocil do gabinetu z gruba koperta pod pacha i uśmiechem na ustach.

-Kurier z dawnego banku Stone'a. Trzysta swiadectw udzialowych - oznajmil i podniosl przesyłke.

-Otworz ja - polecil Hobie.

Tony znalazl plastikowa tasme, pociagnal i otworzyl duza koperte. Jodie dostrzegla skomplikowany sztych na papierach wartosciowych. Tony szybko je przejrzał. Kiwnal glowa. Hobie usiadl na swoim fotelu. Polozyl niewielki rewołwer na blacie biurka.

-Niech pan siada, panie Curry - zazadal. - Obok swej kolezanki z prawniczej branzy. Curry ciezko opadl na sofe obok Jodie. Przesunal rece po szkic i pochytil sie do przodu jak pozostali. Hobie zakreslil hakiem kolo w powietrzu.

-Popatrz uwaznie, Chester - powiedzial. - Pan Curry, pani Jacob i twoja droga zona Marilyn. Nie watpie, ze to dobrzy ludzie. Maja swoje troski, swoje nadzieje. Trzy ludzkie zycia, ktore teraz masz w swoich rekach. Stone uniosl glowe i rzeczywiscie rozejrzal sie dookola. W koncu zatrzymaj wzrok na Hobiem.

-Idz do banku po reszte papierow - ciagnal Hobie. - Tony bedzie ci towarzyszyc. Do banku i z powrotem, bez zadnych sztuczek, a tych troje przezyje. Zrobisz cos innego, wszyscy zgina. Rozumiesz? Stone w milczeniu pokiwal glowa.

-Wybierz liczbe, Chester - polecil.

-Jeden - odpowiedzial Stone.

-Wybierz jeszcze dwie liczby, Chester.

-Dwa i trzy.

-Dobrze. Jesli postanowisz zostac bohaterem, Marilyn dostanie trzy - stwierdzil Hobie.

-Przyniose papiery - obiecal Stone. Hobie pokiwal glowa.

-Sadze, ze to zrobisz. Najpierw jednak podpisz umowe o przekazaniu akcji. Wysunal szuflade i wrzucil do niej maly Isniacy rewolwer. Wyciagnal pojedyncza kartke. Skinal na Stone'a, ktory sie wyprostowal i z trudem wstal z sofy. Podoszedl do biurka, wyjal z kieszeni piro wieczne Mont Blanc i podpisal dokument.

-Pani Jacob bedzie swiadkiem - podjal Hobie. - Jest przeciez czlonkiem nowojorskiej

palestry.

Jodie przez dluzsza chwile siedziala nieruchomo na sofie. Spojrzala w lewo na faceta ze strzelba, potem na stojacego o przed nia Tony'ego, a potem w prawo na siedzacego za biurkiem Hobiego. Wstala, zrobila dwa kroki do biurka, odwrocila umowe w swoja strone i wziela od Chestera piro. Podpisala sie, a obok zapisala date.

-Dziekuje - powiedzial Hobie. - Teraz wracaj na sofe i nie ruszaj sie. Jodie usiadla na sofie i pochytila sie nad stolem. Rozbolaly ja ramiona. Tony chwycil Chestera za lokiec i poprowadzil do drzwi.

-Piec minut do banku, piec minut z powrotem! - zawolal Hobie. - Nie probuj byc bohaterem, Chester.

Tony wyprowadził Chestera z gabinetu i delikatnie zamknął drzwi. Usłyszeli jeszcze trzask drzwi wejściowych i odległy szum windy. Zapadła cisza. Jodie cierpiała. Jej dłonie przylepiły się do szyby, a usiłując utrzymać ciężar ciała, odrywała sobie skórę spod paznokci. Piekły ją ramiona, bolała szyja. Twarze Marilyn i Curry'ego zdradzały, że również cierpia. Ciężko oddychali i jeczeli.

Hobie i facet ze strzelby zamienili się miejscami. Hobie krążył nerwowo po gabinecie, a ten ze strzelby siedział za biurkiem i wodził nią na boki, jakby to był wiezienny reflektor. Hobie co chwila spoglądał na zegarek, odliczając minuty. Jodie widziała, że słońce schodzi coraz niżej. Promienie przenikały przez szczeliny w żaluzjach i przecinały pokój pod ostrym kątem. Słyszała nierówne oddechy Marilyn i Curry'ego, a pod palcami wyczuwała słabe drżenie budynku przenikające przez stolik.

Piec minut do banku i pięć z powrotem to w sumie dziesięć, ale minęło już co najmniej dwadzieścia. Hobie zdążył spojrzeć na zegarek już pewnie kilkanaście razy. Nagle wyszedł do poczekalni, a ten ze strzelby poszedł za nim i zatrzymał się w drzwiach. Bron skierował do wnętrza gabinetu, ale patrzył na szefa.

-Czy on zamierza nas puścić? - szepnął Curry. Jodie wzruszyła ramionami. Uniosła się nieco, zmniejszając obciążenie palców. Zwiesiła głowę, żeby rozluźnić mięśnie.

-Nie wiem - odpowiedziała szeptem. Marilyn złaczyła przedramiona i oparła na nich głowę. Podniosła wzrok i potrząsnęła głową.

-Zabił dwoje policjantów - wyszeptwała. - Byliśmy świadkami.

-Przestaniecie gadać! - zawołał facet przy drzwiach. Znowu usłyszeli szum windy i poczuili rozchodzący się po

podłogę lekki wstrząs, gdy kabina się zatrzymała. Po chwili ktoś wszedł do recepcji, gdzie nagle zrobiło się głośno. Najpierw usłyszeli głos Tony'ego, potem Hobiego. Mówił z wyraźną ulgą. Wrócił do gabinetu z dużą białą kopertą. Uśmiechał się zdrową częścią twarzy. Jeszcze idąc, przycisnął kopertę prawym łokciem do żeber i otworzył ją lewą ręką. Jodie dostrzegła sztywny, czerpany papier ozdobiony skomplikowanymi wzorami. Hobie stanął przy biurku i wysypał świadectwa udziałowe

na blat, obok tych trzystu, które już miał. Wszyscy zapomnieli o Chesterze, który wszedł do gabinetu za Tonym, zatrzymał się przy drzwiach i patrzył na wynik pracy swych przodków niedbale rozsypany na podziobanym hakiem blacie biurka. Marilyn podniosła głowę, cofnęła palce ze stolika i wyprostowała się, podpierając rękami, bo nie miała już sił w ramionach.

-Masz już wszystkie - odezwała się cicho. - Teraz możesz nas puścić. Hobie się uśmiechnął.

-Marilyn, co z tobą, zgłupiałas?

Tony się roześmiał. Jodie spoglądała na zmianę to na niego, to na Hobiego. Najwyraźniej zbliżali się do końca jakiegoś długiego procesu. Dążyli do jakiegoś celu i byli już bardzo blisko. Śmiech Tony'ego wyrażał rozluźnienie po długim okresie stresu i napięcia.

-Jest jeszcze Reacher - powiedziała spokojnie, jakby wykonywała posunięcie w partii szachów.

Hobie przestał się uśmiechać. Dotknął hakiem czoła i potarł nim brzozy. Pokiwał głową.

-Reacher - rzekł. - Tak, ostatni element układanki. Nie wolno nam zapomnieć o Reacherze.

On jeszcze gdzieś krąży. Pytanie, gdzie on właściwie jest? Jodie się zawahała.

-Nie wiem - odpowiedziała. Podniosła wyzywającym ruchem głowę. - Jest gdzieś w mieście - dodała. - I on cie znajdzie. Hobbie wytrzymał jej spojrzenie. Patrzył na nią z pogardą i lekceważeniem.

-Myślisz, że to dla mnie jakas groźba? - zakpił. - W rzeczywistości chce, żeby mnie znalazł. Ma coś, co jest mi potrzebne, i to bardzo. Niech mi pani pomoże, pani Jacob. Niech pani do niego zadzwoni i go tu zaprosi. Jodie przez chwilę milczała.

-Nie wiem, gdzie jest - odrzekła.

-Spróbuj zadzwonić do swojego mieszkania - powiedział Hobbie. - Wiemy, że nocował u ciebie. Prawdopodobnie jest tam teraz. Wylądowaliście o jedenastej pięćdziesiąt, zgadza się? Jodie spojrzała na niego. Zaskoczył ją. Hobbie był zadowolony z siebie.

-Sprawdzamy takie rzeczy. Mamy na Hawajach swojego człowieka. Nazywa się Simon, chyba go poznałaś. Zawiozł was na lotnisko w Honolulu, skąd mieliście samolot o siódmej. Zadzwoniliśmy na JFK, gdzie powiedziano nam, że samolot wylądował o jedenastej pięćdziesiąt. Według Simona stary Jack Reacher był bardzo przygnębiony na Hawajach, więc pewnie humor mu się nie poprawił. No i jest zmęczony podobnie jak ty. Wydaje się pani zmęczona, pani Jacob, wie pani? Ale pani przyjaciel Jack Reacher prawdopodobnie leży teraz w łóżku w pani mieszkaniu i odsypia podróż, a pani bawi się tutaj z nami. Niech pani do niego zadzwoni i powie, żeby dołączył do pani. Jodie wbiła wzrok w stół. Nic nie powiedziała.

-Niech pani po niego zadzwoni. Przynajmniej zobaczy go pani jeszcze raz przed śmiercią. Jodie w dalszym ciągu milczała. Patrzyła na szklany blat, na którym zostały odciski jej dłoni. Chciała zadzwonić. Chciała

zobaczyć Reachera. Czula się tak, jak czuła się miliony razy piętnaście lat temu. Chciała go znowu zobaczyć. Jego łeb, krzywy uśmiech. Jego rozczochrane włosy. Jego ramiona tak długie, że nadawały mu lekkość charta, choć był zbudowany jak dom. Jego oczy lodowato błękitne jak Arktyka. Jego dłonie, które zwierły się w piasku wielkości piłki futbolowej. Chciała znowu zobaczyć te ręce. Chciała widzieć, jak się zaciskają na gardle Hobbiego. Rozejrzała się po gabinecie. Promienie słońca przesunęły się na blat biurka. Ujrzała pasywnego Chestera, drżącego Marilyn i bladego Curry'ego, który ciężko dyszał tuż obok niej. Rozluźniony facet ze strzelbą. Reacher rozgniewał go na miarę, na wet o tym nie myślał. Zobaczyła Tony'ego, który nie spuszczał z niej wzroku. Hobbie pieścił ją wypielegnowaną lewą ręką, uśmiechał się do niej i czekał. Spojrzała na zamknięte drzwi. Wyobraziła sobie, jak wypadają z zawiasów, a Jack Reacher wpada do gabinetu. Chciała to zobaczyć. Niczego w życiu nie pragnęła tak bardzo.

-Dobrze - szepnęła. - Zadzwonie do niego.

-Powiedz mu, że będę tu jeszcze kilka godzin. Jeśli jednak chce cię jeszcze zobaczyć, niech się pośpieszy. Ty i ja mamy ustalone niewielkie spotkanie w łazience, za jakieś trzydzieści minut.

Jodie zadrżała. Odepchnęła się od stolika i wstała z sofy. Piekły ją ramiona, miała zdrewniałe nogi. Hobbie chwycił ją za łokieć i zaprowadził do drzwi. Podeszli do pulpitu recepcjonisty.

-To jedyny telefon w całym biurze - powiedział. - Nie lubię telefonów. Usiadł na krześle i nacisnął dziesięć klawiszy. Podał jej telefon.

-Podejdź bliżej. Chce słyszeć, co on mówi do ciebie. Marilyn oszukała mnie za pomocą telefonu. Nie pozwolę, żeby to się powtórzyło.

Hobbie zmusił ją, żeby się pochylała i zbliżyła twarz do jego twarzy. Pachniał mydłem. Wyciągnął z kieszeni niewielki rewolwer, który dał mu Tony. Przyłożył lufę do jej zębów. Jodie trzymała skosnie słuchawkę, tak że znajdowała się

e między nimi. Przyjrzała się konsoli z

licznymi guzikami. Specjalny guzik szybkiego połączenia z 911. Zawahała się, ale wybrała numer do siebie. Szesc d
zwońkow. Przy każdym powtarzała w myślach: Odbierz, proszę, odbierz, prosza. Po chwili usłyszała własny głos z
automatycznej sekretarki.

-Nie ma go - powiedziała. Hobie się uśmiechnął.

-Fatalnie się składa - stwierdził. Jodie wciąż pochylała się obok niego, całkowicie zszokowana.

-On ma moją komórkę - odezwała się nagle. - Właśnie sobie przypomniałam.

-Dobrze. Dzwon przez dziewczę.

Jodie nacisnęła widelki telefonu, potem dziesiątkę i wybrała numer komórki. Cztery dzwonki. Cztery głosne, natarc
żywe sygnały elektroniczne. Odbierz, odbierz, odbierz, odbierz, modliła się za każdym razem. Usłyszała trzask.

-Halo? - odezwał się Reacher. Jodie odetchnęła.

-Hi, Jack - powiedziała.

-Hej, Jodie. Co nowego?

-Gdzie jesteś? Reacher usłyszał w jej głosie niepokój i napięcie. Zawahał się.

-Jestem w St Louis w Missouri - powiedział. - Właśnie przyleciałem. Muszę iść do archiwum, tam gdzie byliśmy raz
em. Jodie sapnęła. St Louis? Zaskło jej w ustach.

-Wszystko w porządku? - spytał Reacher. Hobie pochylił się do jej drugiego ucha.

-Powiedz mi, żeby natychmiast wrócił do Nowego Jorku - szepnął. - Niech tu przyjedzie, najszybciej jak może. Jodi
e pokiwała nerwowo głową. Hobie mocniej przycisnął łufę do jej boku.

-Czy mogłbyś wrócić? - spytała. - Jesteś mi tu bardzo potrzebny.

-Mam zarezerwowany lot o szóstej - odpowiedział. - Będzie na miejscu o osmej trzydziestu czasu wschodniego. Czy t
o wystarczy? Jodie wyczuliła, że Hobie się krzywi.

-Czy mogłbyś wrócić wcześniej? Może od razu? Słyszała jakieś głosy w tle. Pewnie major Conrad. Pamiętała jego b
iuro, ciemne drewno, stara skóra, gorące słońce Missouri w oknie.

-Wcześniej? - powtórzył Reacher. - No, chyba tak. Mogę być za jakieś dwie godziny, jeśli znajdzie jakiś lot. Gdzie jes
tes?

-Przyjedź do World Trade Center. Wieża południowa, osiemdziesiąte osme piętro, okay?

-O tej porze będzie korki. Postaram się być za dwie i pół godziny.

-Dzięki.

-Nic ci nie jest? - spytał ponownie. Hobie pokazał jej rewolwer.

-Wszystko w porządku - odpowiedziała Jodie. - Kocham cię. Hobie pochylił się nad pulpitem i stuknął hakiem w wi
delki

telefonu. W słuchawce rozległ się trzask, a potem sygnał. Jodie powoli i starannie odłożyła słuchawkę na konsolę. Była wstrząsnięta, oszłamona i rozczarowana. Wciąż pochylała się nad pulpitem. Jedna ręka podpierała się o blat, druga trzymała parę centymetrów nad konsolą.

-Dwie i pół godziny - powiedział Hobie z przesadnym współczuciem. - Hm, wygląda na to, że kawaleria nie zdąży przyjść pani z odsieczą, pani Jacob.

Hobie się roześmiał i wsunął rewolwer do kieszeni. Wstał z krzesła i złapał ją za rękę, która się podpierała. Zachwiała się, a on pociągnął ją w kierunku gabinetu. Chwycił mocno brzeg pulpitu. Hobie uderzył ją na odlew hakiem w głowę. Trafił zakrzywiona część w skronie. Jodie rozluźniła uchwyt. Hobie ciągnął ją za rękę do drzwi. Próbowala za siebie obcasami. Popchnął ją przed siebie i siłą zaprowadził do gabinetu. Jodie przewróciła się na podłogę. Zatrzasnął za sobą drzwi.

-Wróć na sofę! - warknął.

Promienie słoneczne zślizgnęły się już z biurka i powoli przesunęły się po podłodze na stolik do kawy, podświetlając paznokcie szeroko rozłożonych palców Marilyn Stone. Jodie podpełzła na czworakach, oparła się o stolik i z trudem wciągnęła na sofę. Usiadła obok Curry'ego. Położyła ręce na szklanym blacie. Czula w skroni pulsujący ból, w miejscu, gdzie hak uderzył o kosc. Miała wykrecone ramie. Facet ze strzelby obserwował ją uważnie. Tak samo Tony, trzymając w ręku automatyczny pistolet. Reacher był gdzieś daleko jak przez niemal całą jej życie.

Hobie wrócił za biurko. Ułożył dokumenty w stos o grubości dwunastu centymetrów. Postukał hakiem ze wszystkich stron, żeby je wyrównać. Sztywne papiery dały się łatwo przesunąć i utworzył zgrabny pakiet.

-Za chwilę przyjedzie tu UPS - powiedział z zadowoleniem. - Deweloperzy dostaną papiery, ja dostanę pieniądze. Znowu wygrałem. Jeszcze pewnie pół godziny i będzie koniec dla mnie i dla ciebie.

Jodie zauważyła, że zwraca się tylko do niej. Wybrał ją na

kanal do przekazywania informacji. Curry i państwo Stone'owie patrzyli na nią, nie na niego. Odwróciła wzrok. Spojrzała na dywan pod szklanym blatem stolika. Taki sam jak spłowiwały dywan w gabinecie DeWitta w Teksasie, ale mniejszy i znacznie nowszy. Hobie zostawił papiery na biurku, podszedł do drzwi i wziął strzelbę od stojącego tam mężczyzny. - Zrób mi kawę - polecił.

Mężczyzna wyszedł do recepcji i zamknął za sobą drzwi. W gabinecie zapadła cisza. Słychać było tylko ciężkie oddychy i odgłosy dochodzące z budynku. Hobie trzymał strzelbę lewą ręką, lufa w dół. Kiwała się jak wahadło. Nie ścisnął mocno kolby. Jodie słyszała, jak metal ociera się o skórę. Dostrzegła, że Curry zerka w jego stronę. Sprawdził również, gdzie jest Tony. Ten cofnął się o metr, poza pole ostrzału ze strzelby. Z tego miejsca strzelałby dokładnie prosto do kierunku ognia ze strzałówki. Trzymał pistolet gotowy do strzału. Jodie wyczuła, że Curry sprawdza, czy może włączyć ramionami. Poruszył się. Napiał mięśnie. Spojrzał jeszcze raz na Tony'ego, który stał cztery metry przed nim. Zerkał na Hobiego. Stał z boku, oddalony mniej więcej o trzy metry od Curry'ego. Promienie słońca padały na stolik dokładnie równoległe do mosiężnych brzegów. Curry unosił się nieco na palcach. - Nie - szepnęła.

Leon zawsze upraszczał swoje życie, odwołując się do różnych reguł. Według niego każda sytuacja wymagała odpowiednich zasad. Gdy był dzieckiem, doprowadzało go to do pasji. Miał też uniwersalną zasadę odnoszącą się zarówno do jej prac domowych, jak i jego wystąpień na posiedzeniach komisji Kongresu: Zrób to raz a dobrze. Curry nie miał szans na zrobienie dobrze tego, co zamierzał. Najmniejszych szans. Był narażony na krzyżowy ogień z automatycznego pistoletu i strzelby. Nie miał żadnej możliwości wyjścia z tego cała. Gdyby zerwał się z sofy, przeskoczył przez stół i rzucił się na Tony'ego, oberwałby w pierś, nim pokonałby połowę odległości. Prawdopodobnie Hobie row

niez wystrzelilby ze strzelby, zabijając nie tylko jego, ale również Chestera i Marilyn. Gdyby najpierw zaatakował H obiego, być może Tony nie

zaryzykowałby strzał, żeby nie postrzelic szefa, ale Hobie z pewnością zdążyłby strzelic. Gruby srut rozerwałby C urry'ego na kawałki, a ona siedziała dokładnie na linii strzału. Przypomniała sobie jeszcze jedną zasadę Leona: Gdy jest beznadziejnie, to jest beznadziejnie, i nie należy udawać, że jest inaczej.

-Czekaj - szepnęła.

Curry lekko skinał głową. Jodie zauważyła, że znowu rozluźnił ramiona. Wpatrywała się w dywan i walczyła z bólem. Mijały minuty. Wykrecone ramie nie wytrzymywało ciężaru ciała. Zamknęła dłoń i oparła się na kostkach. Słyszała ciężki oddech Marilyn Stone. Wydawała się pokonana. Zwiesiła głowę na ramiona i zamknęła oczy. Promienie słońca przesuwwały się coraz bliżej krawędzi stolika.

-Do diabła, co on tam robi? - zirytował się Hobie. - Ile potrzebuje czasu, żeby przynieść

mi tę pieprzoną kawę?

Tony spojrzał na niego, ale nic nie powiedział. Trzymał przed sobą pistolet, celując głównie w Curry'ego. Jodie odwróciła dłoń i podparła się kciukami. Piekła ją rana, a w głowie czuła bolesne pulsowanie. Hobie położył lufę strzelby na oparciu sofy. Podniósł prawą rękę i podrapał się hakiem w czoło.

-Chryste! - westchnął. - Dlaczego to tak długo trwa? Idź, pomóż mu, okay? Jodie dopiero po chwili zrozumiała, że mówił do niej.

-Ja?

-A dlaczego nie? Zrób coś pożytecznego. Ostatecznie parzenie kawy to babskie zajęcie. Zawahała się.

-Nie wiem, gdzie jest kawa - powiedziała.

-Pokażę ci.

Hobie patrzył na nią. Czekał, aż wstanie. Jodie kiwnęła głową. Właściwie ucieszyła się, że ma okazję się poruszać. Wyprostowała palce, cofnęła ręce i wstała. Czuła się słaba. Potknęła się, zawadziła golenia o krawędź stołu. Szła przez pole ostrzału Tony'ego. Z bliska jego pistolet wydawał się ogromny. Gdy zbliżała się do Hobiego, Tony cały czas trzymał ją na muszce. Promienie słońca nie sięgały do drzwi. Hobie

wziął strzelbę pod pachę, wolną ręką nacisnął klamkę i otworzył drzwi. Najpierw sprawdził drzwi, potem telefon, po wtórzyła w myślach Jodie, idąc do recepcji. Gdyby udało się jej uciec na korytarz, miałyby szansę. Jeśli to się nie powiedzie, mogłaby spróbować zadzwonić na policję, korzystając z automatycznego połączenia. Musiała tylko podnieść słuchawkę i szybko nacisnąć guzik. Nawet gdyby nie zdążyła niczego powiedzieć, automat przekazałby policji informację, skąd ktoś dzwonił. Drzwi albo telefon. Wyobrażała sobie, jak spogląda najpierw na drzwi, później na telefon, gdy jednak weszła do recepcji, nie spojrzała ani na drzwi, ani na telefon. Hobie zatrzymał się jak wryty przed nią. Stała obok i patrzyła na faceta, który poszedł zaparzyć kawę.

To był mocno zbudowany mężczyzna, niższy od Tony'ego i Hobiego, ale szerszy w barach. Nosił ciemny garnitur. Teraz leżał na wznak na podłodze, dokładnie przed drzwiami do gabinetu, z wyprostowanymi nogami i głową podpartą na kilku książkach telefonicznych. Miał szeroko otwarte nieruchome oczy. Patrzył przed siebie. Jego lewa ręka, również podparta książkami, była odciągnięta do tyłu i do góry w groteskowej parodii powitania. Prawe ramie leżało na podłodze, pod kątem w stosunku do tułowia. Odrabana na wysokości nadgarstka dłoń leżała na wykładzinie piętnaście centymetrów od kikutu, dokładnie na linii przedramienia. Jodie usłyszała, jak Hobie się zakrztusił. Upuścił strzelbę na podłogę i chwycił się futryny zdrową ręką. Bliźny po oparzeniach pozostały różowe, ale cała reszta twarzy była biała jak ściana.

Imię Jack wybrał Reacherowi ojciec, który był prostym jankesem z New Hampshire i wzdrygał się na myśl o czymkolwiek wymyślnym. Pod koniec października, we wtorek, pojawił się na oddziale poporodowym, wręczył żonie nie wielki bukiet i powiedział, że nazwa syna Jack. Bez drugiego imienia. Jack Reacher - tak miało brzmieć jego imię i nazwisko i już znalazło się na metryce urodzin, bo idąc do szpitala, ojciec wstąpił do sekretarza kompanii, który zapisał je i zawiadomił teleksem amerykańską ambasadę w Berlinie. Kolejny amerykański obywatel urodzony za granicą, syn żołnierza w służbie czynnej, Jack-kreska-Reacher. Matka się nie sprzeciwiała. Kochała męża, lubiła jego skłonności do ascezy. Sama była Francuzką, a ascetyczna natura męża sprawiała, że miał bardziej europejski charakter. Dzięki temu czuła się mu bliższa. Po przyjeździe do Stanów przekonała się, że w powojennych latach Ameryki i Europę dzieli przepaść. Bogactwo i rozrzutność Ameryki ostro kontrastowała z wy-

cierpaniem i biedą Europy. Jednakże jej jankes z New Hampshire nie potrzebował

bogactwa. Było mu zupełnie zbędne. Lubił rzeczy proste i skromne, a to jej pasowało, jeśli nawet obejmowało także imiona dzieci.

Ich pierwszy syn miał na imię Joe. Nie Joseph, tylko po prostu Joe. Również bez drugiego imienia. Rzecz jasna, kochała syna, ale miała kłopoty z tym imieniem. Było takie krótkie, a na dokładkę trudno jej było wymówić J, z powodu francuskiego akcentu. Brzmiało raczej jak zh. Tak jakby chłopiec miał na imię Zhoe. Jack było znacznie łatwiejsze. W jej wykonaniu brzmiało to jak Jacques, bardzo tradycyjne imię francuskie, odpowiednik angielskiego imienia James. W duszy zawsze nazywała swojego drugiego syna James.

Paradoksalnie jednak nikt nigdy nie zwracał się do niego po imieniu. Nikt nie wiedział, jak to się stało, ale Joe był zawsze Joe, a do Jacka zwracano się Reacher. Matka sama zawsze tak ich wołała. Na przykład wychylała się przez okno służbowego bungalowu i krzyczała: Zhoe! Chodź na obiad! I przyprowadź Reachera! Dwaj sympatyczni chłopcy natychmiast przybiegali coś zjeść.

Dokładnie tak samo było w szkole. Jak daleko sięgał wstecz pamięć, zawsze nazywano go Reacher. Był poważnym chłopcem i często się zastanawiał, dlaczego w jego przypadku porządek został odwrócony. Brat miał na imię Joe, a na nazwisko Reacher, i to się nie zmieniło. Gdy na szkolnym boisku dzieci

dzieliły się na drużyny, kapitan mówił: Biorę Joego i Reachera. Wszystkie dzieci nazywały go tak samo. Również nauczyciele, nawet w przedszkolu. W jakiś sposób to ciągnęło się za nim, gdy zmieniali miejsce pobytu. Już pierwszego dnia w nowym kraju, może nawet na innym

kontynencie, jakiś nauczyciel wołał do niego: Chodź tu, Reacher!

Przyzwyczaił się do tego i nie martwił się w najmniejszym stopniu, że stracił imię. Dla wszystkich był i będzie Reacherem. Pierwsza dziewczyna, z którą umówił się na randkę, była wysoka brunetka. Pochyliła się do niego niesmiało i spytała, jak ma na imię. Reacher, odpowiedział. Wszystkie miłości jego życia zawsze tak go nazywały. Kocham cię, Reacher, szeptały mu do ucha. Wszystkie. Jodie zachowywała się dokładnie tak samo. Gdy pojawił się na górnym podestcie schodów w domu Leona, zawołała do niego: Cześć, Reacher. Nawet po piętnastu długich latach dobrze pamiętała, jak się do niego zwraca.

Natomiast dzwoniąc na komórkę, nie użyła nazwiska Reacher. On nacisnął guzik, powiedział halo, a ona odpowiedziała:

Hi, Jack. To zabrzmiało w jego uszach jak syrena alarmowa. Spytała potem, gdzie jest, tak pełnym napięcia głosem, że Reacher się przeraził. W pierwszej sekundzie nie zrozumiał, co chciała powiedzieć, ale zaraz ochłonął. Szczęśliwie się złożyło, że miał na imię Jack. To nie było Hi, Jack, tylko hijack, porwanie. Jodie znalazła się w ciężkiej sytuacji, ale nie straciła głowy. Była nieodrodna córką Leona i nawet w takich okolicznościach znalazła sposób, żeby go zaalarmować za pomocą dwóch sylab na początku rozmowy.

Hijack. Porwanie. To był alarm. Ostrzeżenie. Reacher zamrugnął, zapomniał o strachu i natychmiast zareagował. Okłamał Jodie. W walce liczą się czas, przestrzeń i siła przeciwników. Jak wielki, czterowymiarowy diagram. Przede wszystkim należy wprowadzić w błąd nieprzyjaciela. Skłonić go do nabrania przeswiadczenia, że ten diagram wygląda zupełnie inaczej. Należy założyć, że nieprzyjaciel kontroluje wszystkie kanały łączności, i wykorzystać to w celu dezinformacji. To daje przewagę.

Wcale nie poleciał do St Louis. Po co miałby to robić?

Czemu miałby lecieć taki kawał drogi, skoro ludzkość wynalazła telefony, a on już nawiązał kontakt roboczy z majorem Conradem? Zadzwoił do niego, stojąc na chodniku na Greenwich Avenue, Conrad oddzwonił już trzy minuty później, ponieważ sekcja A w archiwum znajdowała się najbliżej pokoju nieszczęsnego gonca. Stojąc w tłumie

przechodniow, sluchal, jak major czyta dokumenty z teczki i juz po dwunastu minutach

wiedzial wszystko, czego chcial sie dowiedziec.

Pojechal na Siodma Aleje i zostawil lincolna na podziemnym parkingu, o jedna przecznice na

polnoc od World Trade Center. Gdy Jodie zadzwonila, byl w holu na parterze poludniowej wiezy, zaledwie osiemdziesiat osiem pieter pod nia. Rozmawial z ochroniarzem, ktorego glos Jodie slyszala w tle. Skamienial ze zgrozy. Wylaczyl telefon i pojechal ekspresowa winda na osiemdziesiate dziewiate pietro. Wyszedl z kabiny na korytarz i postaral sie uspokoic. Opanuj sie i wymysl plan, powtarzal sobie. Przyjal, ze osiemdziesiate osme pietro ma taki sam rozklad jak osiemdziesiate dziewiate. Tutaj panowal spokoj.

Waski, slabo oswietlony korytarz otaczal szyby wind. Wzdłuż scian znajdowały się drzwi do poszczególnych biur, z niewielkimi okienkami z szybami ze zbrojonego szkła na wysokości oczu osoby niskiego wzrostu. Na drzwiach wisiały tabliczki z nazwami firm, a przy futrynach zainstalowano dzwonki.

Reacher znalazł schody ewakuacyjne i zbiegł pietro niżej. Klatka schodowa miała czysto użytkowy charakter, nikt nie zadbał o jej wystroj. Betonowe schody i metalowe poręcze. Przy każdym drzwiach wisiała gasnica, a nad nią czerwona szafka ze szklaną pokrywą, przez którą widac było siekiere. Obok szafki widniał namalowany wielkimi czerwonymi cyframi numer pietra.

Wyszedł na korytarz na osiemdziesiątym ósmym piętrze. Tu panował taki sam spokój jak pietro wyżej. Taki sam wąski korytarz, takie samo oświetlenie, takie same drzwi. Pobiegł w złym kierunku, dlatego znalazł biuro CCT po wykonaniu prawie całego okrażenia. Jasne, debowe drzwi, mosięzna tabliczka, mosięzny dzwonek. Spróbował cicho otworzyć drzwi, ale były zamknięte na klucz. Pochylił się, żeby zajrzeć do

środką przez okienko. Zobaczył jasno oświetloną poczekalnię. Meble z dębu i mosiadzu. Pulpit po prawej. Drzwi do kładnie naprzeciwko drzwi wejściowych. W poczekalni nie było nikogo. Reacher patrzył na drzwi prowadzące do gabinetu i czuł, jak ogarnia go panika. Ona tam była. Była w gabinecie. Czuł to. Była tam sama, uwięziona. Potrzebował go. Była tam, a on powinien jej towarzyszyć. Powinien był pójść z nią na to spotkanie. Pochylił się, przyłożył czoło do zimnej szyby i spojrzał na drzwi gabinetu. Usłyszał głos Leona, który powtarzał jedną ze swoich złotych zasad: Nie myśl o tym, dlaczego coś zrobiłeś źle. Pomyśl, jak to naprawić.

Cofnął się o krok, spojrzał w prawo i w lewo. Stał pod najbliższą lampą, podniósł rękę i wykreślił żarówkę. Skrzywił się, bo gorące szkło parzyło go w palce. Wrócił do drzwi i sprawdził ponownie, stojąc metr od okienka. Poczekalnia była jasno oświetlona, a na korytarzu zrobiło się ciemno. Widział wewnątrz poczekalni, ale sam był niewidoczny. Stojąc w ciemnościach, można obserwować oświetlone pomieszczenie, ale nie odwrotnie. To istotna różnica. Stał i czekał.

Z gabinetu wyszedł mocno zbudowany mężczyzna. Cicho zamknął za sobą drzwi. Mocno zbudowany mężczyzna w ciemnym garniturze. Facet, którego zepchnął ze schodów w barze w Key West. Ten sam, który strzelał do niego z beretty w Garrison. Ten sam, który złapał za klamkę brawady. Mężczyzna przeszedł przez poczekalnię i znikł z pola widzenia. Reacher zbliżył się do okienka i jeszcze raz spojrzał na drzwi do gabinetu. Wciąż były zamknięte. Delikatnie zapukał do drzwi wejściowych. Mężczyzna podszedł i wyjrzał przez okienko, Reacher wyprostował się i stanął bokiem, żeby brązowy rekaw zasłonił okno.

-UPS - powiedział spokojnie.

Byli w biurówcu, na korytarzu było ciemno, miał na sobie brązową marynarkę. Facet otworzył drzwi. Reacher zrobił krok do przodu, błyskawicznie wyrzucił przed siebie rękę i chwycił go za gardło. Jeśli to zrobić dostatecznie szybko i mocno, można zgnieść głosnie, nim przeciwnik zdąży choćby pisnąć.

Potem trzeba wbijać palce w gardło i postarać się, żeby nie upadł. Kiedy facet zaczął mu ciąć, Reacher zaciągnął go

przez korytarz do schodów ewakuacyjnych i rzucił na przeciwległą ścianę. Mężczyzna osunął się na betonowy podest. Z jego gardła wydobywał się charkot.

-Pora wybierać - szepnął Reacher. - Albo mi pomożesz, albo umrzesz.

W obliczu takiej propozycji jest tylko jedna rozsądna rzecz do zrobienia, ale facet był innego

zdania. Podniósł się na kolana. Wyglądał tak, jakby chciał walczyć. Reacher zdzielił go w głowę dostatecznie mocno, żeby poczuł solidny wstrząs w karku. - Pomóż mi - powtórzył. - Jeśli nie, to cię zabije. Mężczyzna potrząsnął głową, żeby oprzytomnieć, po czym

zerwał się z podłogi. Reacher znowu usłyszał głos Leona: Popros raz, jeśli musisz, popros dwa razy, ale na łaskę boską, nigdy nie pros po raz trzeci. Kopnął faceta w pierś, obrócił plecami do siebie, zacisnął ramię wokół jego głowy i mocnym szarpnięciem złamał mu kark. Jeden mniej, lecz, niestety, przed wyeliminowaniem nie przekazał mu żadnych informacji, a to najważniejsza rzecz w każdym starciu. Instynkt podpowiadał Reacherowi, że ma do czynienia z niewielką grupką, ale taka niewielka grupka równie dobrze może się składać z trzech, jak i z pięciu ludzi, a jest cholerna różnica między trzema a pięcioma przeciwnikami, jeśli trzeba atakować na ślepo. Reacher przez chwilę się zastanawiał. Spojrzał na strażacką siekiere. Gdy brakuje wiarygodnych informacji, warto odwrócić uwagę przeciwnika. Zrobić coś, co może wytrącić go z równowagi. Coś, co go oszłomi.

Zrobił to, najciszej jak mógł. Sprawdził, czy korytarz jest pusty, po czym zawlokł zwłoki do biura CCT. Ułożył je w osrodku poczekalni, naprzeciwko drzwi gabinetu. Zamknął drzwi wejściowe i ukrył się za pulpitem sięgającym do piersi i mającym trzy metry długości. Wyciągnął z marynarki steyrę z tłumikiem i czekał. Miał wrażenie, że czeka już długo. Leżał na cienkiej wykładzinie, czuł pod nią twardy beton. Rejestrował minimalne wibracje konstrukcji ogromnej wieży, wstrząsy powodowane pracą zatrzymujące się i ruszające windy. Czuł napięcie lin, na których wisiały kabiny. Słyszał szmer klimatyzacji i szum wiatru na zewnątrz. Wbił palce stop w wykładzinę i ugiał nogi. Był gotowy do akcji.

Najpierw usłyszał czyjes kroki, potem zgrzyt zamka. Wiedział, że ktoś otworzył drzwi gabinetu, bo zmieniła się akustyka. Nagle zwiększyła się objętość przestrzeni. Słyszał uderzenia czterech stop o wykładzinę. Wtem się zatrzymały. Wiedział, że tak będzie. Cekał. Gdy ktoś napotyka coś zaskakującego, wywiera to maksymalny efekt po mniej więcej trzech sekundach. Tak wynikało z jego doświadczenia. Zaskoczona osoba patrzy, dostrzega to coś, jej mózg odrzuca widok, oczy wracają do zaskakującego przedmiotu, informacja dociera do mózgu. To trwa trzy sekundy, od początku do końca. Policzył w myślach jeden, dwa, trzy, po czym wychylił się zza pulpitu tuż nad podłogą. Trzymał przed sobą steyrę z długim tłumikiem. Wysunął ręce, ramiona, twarz.

To, co zobaczył, było prawdziwą katastrofą. Facet z hakiem zamiast reki i poparzona twarzą upuścił wprawdzie strzelbę, krztusił się i trzymał futryny, ale stał po złej stronie Jodie. Stał po jej prawej ręce, a pulpit był po lewej. Jodie stała prawie o pół metra bliżej pulpitu niż on. Była co prawda znacznie od niego niższa, ale Reacher leżał na podłodze i patrzył pod takim kątem, że jej głowa dokładnie zasłaniała głowę mężczyzny, a ciało chroniło jego ciało. Nie mógł strzelić. Nie miał takiej możliwości. Jodie stała na linii ognia.

Facet z hakiem i poparzona twarzą charkotał, a Jodie wpatrywała się w zwłoki leżące na podłodze. W drzwiach pojawił się drugi mężczyzna. Kierowca suburbański. Zatrzymał się za Jodie i spojrzał nad jej ramieniem. W prawej ręce trzymał berettę. Patrzył przed siebie i w dół. Zrownał się z Jodie i przepchnął się obok niej. Zrobił krok w głąb poczekalni. Między nim a pulpitem nie było niczego.

Reacher nacisnął cyngiel z siłą siedmiu kilogramów. Mimo tłumika rozległ się głośny huk i głowa tego z berettą eksplodowała. Dziewięć milimetrów pocisk trafił go w sam środek twarzy. Krew i kości poleciały aż do sufitu i spryskały ścianę. Jodie zamarła, dokładnie zasłaniając faceta z hakiem. A on był bardzo szybki. Znacznie szybszy, niż można się było spodziewać po kalekim, pięćdziesięcioletnim mężczyźnie. Lewa ręka podniósł strzelbę z podłogi, a druga równocześnie chwycił Jodie w pasie. Stalowy hak wyraźnie odcinał się od jej ciemnego kostiumu. Pociągnął ją, nim jeszcze ten z berettą upadł na podłogę. Mocno ją objął, podniósł

i powlokł do tyłu. W pokoju słychać było jeszcze echo wystrzału ze steyra.

-Ilu? - krzyknął Reacher. Jodie była równie bystra i przytomna jak jej ojciec.

-Został jeden! - odkrzyknęła.

Facet z hakiem był jedynym przeciwnikiem, ale już zdążył podnieść strzelbę. Reacher był częściowo odsłonięty, nisko nad podłogą, chciał wyskoczyć zza pulpitu. To trwało tylko ułamek sekundy, ale tamten skorzystał z okazji. Strzelił, nisko celując. Z lufy wydobył się błysk, rozległ się potworny huk i pulpit rozleciał się na tysiące kawałków. Reacher pochylił głowę, ale ostre kawałki drewna, metalu i drobiny srutu posiekaly jego czoło i policzki. Poczul mocne uderzenie i ból; to była poważniejsza rana. Czul się tak, jakby wypadł przez okno i uderzył głową o ziemię. Mimo oszolomienia zerwał się z podłogi. Mężczyzna zaciągnął Jodie do gabinetu, a równocześnie udało mu się zarepetować strzelbę. Reacher stał nieruchomo, oparty o ścianę, walczyć z bólem rozsadzającym mu głowę. Przeciwnik podnosił już broń. Reacher unosił steyra. Na muszce miał Jodie. Zrobił krok w lewo, potem w prawo. Nic z tego. Tamten chował się za Jodie. Strzelba była już prawie poziomo. Palec na cynglu. Reacher się nie mśzał. Patrzył na Jodie, jakby chciał przed śmiercią zapamiętać jej twarz. Nagle za nią pojawiła się jakaś jasnowłosa kobieta i desperacko szarpnęła za ramiona mężczyzny z hakiem, pozbawiając go równowagi. Zatoczył się, wyprostował i uderzył ją lufą strzelby jak pałką. Kobieta przewróciła się na podłogę. Reacher zdążył jeszcze zobaczyć jej różową sukienkę.

Mężczyzna z hakiem znowu spróbował skierować strzelbę

w jego stronę, ale Jodie podskakiwała i usiłowała się wyrwać z jego uścisku. Wierzyła i kopala. Facet nie mógł sobie z nią poradzić. Stracił równowagę, zrobił kilka kroków i znowu znalazł się w recepcji. Potknął się o nogi kierowcy z suburbaną. Upadł razem z Jodie. Strzelba wypaliła prosto w zwłoki. Znowu całe biuro wypełnił buk, dym i obsceniczna zawiesina krwi i rozszarpanej tkanki. Mężczyzna unosił się na kolana. Reacher cały czas celował w niego z pistoletu. Facet pusił strzelbę i wyciągnął z kieszeni niewielki łsniący rewolwer z krótką hifą. Odciągnął kurek. Reacher usłyszał głośny trzask. Jodie wciąż usiłowała się uwolnić. Szarpala się w gore i w dół, w lewo i w prawo, zupełnie przypadkowo. Reacher nie mógł strzelić. Krew z czoła zalewała mu lewe oko. Głowe rozsadzał pulsujący ból. Zamknął bezużyteczne oko i zmrużył prawe. Facet z hakiem wbił lufę rewolweru w bok Jodie. Jęknęła i przestała walczyć, a on wychylił się nieco zza niej. Na jego twarzy widać było dziki uśmiec.

-Rzuc broń, ty zaszranu! - krzyknął, ciężko dysząc. Reacher w dalszym ciągu celował w

niego. Jedno oko

zamknięte, drugie zmrużone, ostre ukłucia bólu w głowie, wykrzywiona twarz mężczyzny z hakiem na muszce.

-Zastrzele ją! - warknął mężczyzna.

-A ja zastrzele ciebie! - wrzasnął Reacher. - Ona umrze. Facet spojrzał na niego. Kiwnął głową.

-Impas - powiedział.

Na to wyglądało. Reacher potrząsnął głową, żeby oprzytomnieć. To tylko zaostrzyło ból. Pat. Nawet gdyby strzelił pierwszy, facet pewnie zdążyłby wystrzelić. Trzymał palec na cynglu. Przedśmiertne konwulsje zapewne wystarczyłyby, żeby rewolwer wypalił. To było za duże ryzyko. Nie opuszczając pistoletu, Reacher wyciągnął koszulę ze spodni i wytarł pola twarzy. Cały czas celował. Tamten wziął głęboki oddech i wstał, ciągnąc za sobą Jodie. Probowała uwolnić się od nacisku lufy, ale on mocno ją trzymał prawym ramieniem. Wysunął łokieć do przodu i wbił koniec haka w jej biodro.

-Musimy się dogadać - powiedział. Reacher wytarł lewe oko. Nie odpowiedział. Szumiało

mu w głowie. Czul silny ból. Stopniowo uświadamiał sobie, że znalazł się w trudnej sytuacji.

-Musimy sie dogadac - powtorzyl tamten.

-Nie - odparl Reacher.

Facet obrocil nieco hak i mocniej wbil lufe w zebra Jodie. Jeknela z bolu. To byl rewolwer Smith Wesson. Model 60 . Pieciocentymetrowa lufa z nierdzewnej stali, trzydziestkaosem-ka, piec pociskow w bebenku. Takie rewolwery kobiety nosza w torebkach, a mezczyzni ukrywaja pod ubraniem. Lufa byla tak krotka, a facet wbijal ja tak mocno w bok Jodie, ze kostkami palcow dotykaj jej ciala. Pod naciskiem Jodie pochylila sie naprzod. Wlosy opadly jej na twarz. Patrzyla na Reachera. To byly najpiekniejsze oczy, jakie widzial w calym swoim zyciu.

-Nikt nie mowi nie Victorowi Hobiemu - warknal mezczyzna.

Reacher pokonal bol. Trzymal pistolet wycelowany w czolo przeciwnika, w miejsce, gdzie blizny dotykaly zdrowej skory.

-Wcale nie nazywasz sie Victor Hobie - powiedzial. - Nazywasz sie Carl Allen i jestes skonczonym lajdakiem.

Zapadla cisza. Reacher czul lomot w glowie. Jodie rzucila mu pytajace spojrzenie.

-Nie jestes Victor Hobie - powtorzyl. - Nazywasz sie Carl Allen.

Nazwisko zawislo w powietrzu. Tamten wygladal tak, jakby to nazwisko go odrzucalo.

Pociagnal Jodie do tylu, przechodzac nad cialem mezczyzny w ciemnym garniturze. Pilnowal, zeby caly czas byla miedzy nim i Reacherem. Powoli cofal sie do ciemnego gabinetu. Reacher szedl za nim z uniesionym pistoletem. W gabinecie byli jacys ludzie. Reacher dostrzegl zasloniete okna, salonowe meble i trzy osoby krecace sie po pokoju - jasno wlosa kobiete i dwoch mezczyzn w garniturach. Wszyscy wpatrywali sie w niego. Patrzyli na jego pistolet, na tlumik, czolo, koszule mokra od krwi. Jak automaty skierowali sie w strone trzech sof ustawionych przed biurkiem. Oddzielnie przecisneli sie miedzy sofami, usiedli i oparli rece na szklanym

blacie stolika do kawy. Szesc rak na stoliku, trzy wpatrzone w niego twarze z wyrazem nadziei, przerazenia i zaskoczenia.

-Mylisz sie - oznajmil facet z hakiem.

Cofal sie po luku, wlokac za soba Jodie, az wreszcie zatrzymal sie za najbardziej oddalona sofa. Reacher stanal przy sofie naprzeciwko. Trzymal steyra ponad glowami trzech osob nisko pochylonych nad stolikiem. Krew z jego brody skapywala na oparcie sofy.

-Nie, nie myla sie - powiedzial. - Jestes Carl Allen. Urodzyl osiemnastego kwietnia tysiac dziewiecset czterdziestego dziewiatego roku, na poludnie od Bostonu, na jakimims zielonym

przedmiesciu. Normalna rodzina, bez wiekszych sukcesow. Zostales powolany do sluzby latem tysiac dziewiecset szescdziesiatego osmego roku. Szeregowiec, zdolnosci ponizej sredniej we wszystkich kategoriach. Wyslali cie do Wietnamu. Sluzyles w piechocie, byles zwyklym szeregowcem. Wojna zmienia ludzi, a ty zmieniles sie w prawdziwego lajdaka.

Spekulowales, kupowales i sprzedawales wszystko, co trafilo w twoje brudne lapska.

Narkotyki i dziewczyny. Potem zaczales

pozyczac pieniadze. Stales sie naprawde grozny. Kupowales i sprzedawales uslugi i przywileje. Przez dluzszy czas zyles jak krol. W koncu ktos zmadrzal i skonczylo sie dekowanie. Poslal cie do dzungli. Tam toczyła sie prawdziwa wojna. Twardy oddzial dowodzony przez surowego oficera. To ci sie nie podobalo, wiec przy pierwszej okazji go zabiles. Potem jeszcze sierzanta. Ale koledzy cie wydali. To niezwykle. Nie lubili cie, co? Pewnie byli ci winni pieniadze. Doniesli na ciebie. Do oddzialu przylecieli dwaj policjanci, Gunston i Zabinski. Aresztowali cie. Dalej chcesz wszystkiemu zaprzeczac? Allen nie odpowiedzial. Reacher przelknal slinę. Potwornie bolala go glowa. Zrodlo bolu bylo gdzieś gleboko pod pocieta skora. Naprawde mocnego bolu.

-Przylecieli helikopterem, przywiozl ich sympatyczny mlody pilot, nazywal sie Kaplan.

Nastepnego dnia przylecial znowu, tym razem jako drugi pilot prawdziwego asa, Victora

Hobiego. Gunston i Zabinski juz cie zwineli i czekali na transport. Jednakze Huey Victora

zostal trafiony tuz po starcie i rozbil sie w dzungli, szesc kilometrow od miejsca startu.

Hobie zginął, podobnie jak Kaplan, Gunston, Zabinski i pozostali trzej członkowie załogi,

Bamford, Tardelli i Soper. Ty przeżyłes. Straciłes reke, byles poparzony, ale przeżyłes. Twój mózg pracowal. Zamieniles identyfikator z najblizszym zabitym. Tak sie zdarzylo, ze byl to Victor Hobie. Wyczolgalas sie z wraku z jego identyfikatorem na szyi. Swoj zostawiles na jego zwlokach. Carl Allen nagle znikl wraz ze swoja kryminalna przeszloscia. Dotarles do szpitala polowego, a tam mysleli, ze leczą Victora Hobiego. To nazwisko wpisali we wszystkich dokumentach szpitalnych. Potem zabiles pielegniarza i uciekles. Nie chciales wracac, bo wiedziales, ze w wojsku wczesniej lub pozniej ktos rozpozna, ze nie jestes Victorem Hobiem. Wtedy wyszloby na jaw, kim jestes naprawde, i znowu bylbyś po uszy w gównie. Dlatego znikles. Nowe zycie, nowe nazwisko. Czysta karta. Jeszcze chcesz zaprzeczac? Allen mocniej zacisnal ramie wokol talii Jodie. - To wszystko bzdury - powiedzial. Reacher pokrecil glowa. W jego oczach widac bylo blask bolu.

-Nie, to prawda - stwierdzil. - Nash Newman wlasnie zidentyfikowal szkielet Victora

Hobiego. Lezy w trumnie na Hawajach z twoim identyfikatorem na szyi.

-Gówno prawda! - krzyknal Allen.

-To dzieki zębom - wyjasnil Reacher. - Rodzice Hobiego dbali, zeby syn mial zdrowe zęby. Poslali go do dentysty trzydziestci piec razy. Newman twierdzi, ze identyfikacja jest calkowicie jednoznaczna. Spedzil godzine, analizujac zdjecia rentgenowskie i programujac komputer. Potem rozpozнал czaszke. Idealna zgodnosc. Allen milczal.

-Przez trzydziestci lat ci sie udawalo - ciagnal Reacher. - Az wreszcie dwoje starych ludzi zrobilo dosc halasu, zeby ktos sie tym zainteresowal. To juz koniec. Dluzej ci sie nie uda, bo musisz odpowiedziec przede mna. Allen wykrzywil sie szyderczo. Zdrowa czesc jego twarzy wygladala tak okropnie jak poparzona.

-Do diabła, dlaczego miałbym odpowiadać przed tobą? Reacher zamrugł, żeby usunąć krew z oka. Pistolet w jego ręku nawet nie drgnął.

-Z wielu powodów - odrzekł spokojnie. - Jestem przedstawicielem. Reprezentuję ludzi.

Takich jak Victor Hobie. Był bohaterem, a przez ciebie został uznany za dezertera i mordercę.

Jego rodzice cierpią już od trzydziestu lat. Reprezentuję ich, podobnie jak Gunstona i

Zabrńskiego. Obaj byli porucznikami policji wojskowej, mieli po dwadzieścia cztery lata. Gdy

miałem tyle lat, ile oni, też byłem porucznikiem policji. Zgineli z powodu twoich zbrodni.

Dlatego musisz przede mną odpowiedzieć, Allen. Jestem nimi. Tacy lajdacy jak ty powodują,

że gina uczciwi ludzie.

Oczy Allena były zupełnie puste. Pociągnął Jodie w bok, żeby stała dokładnie między nim i Reacherem. Obrócił hak i mocniej wbil lufę w jej ciało. Kiwnął lekko głową.

-Okay, byłem kiedyś Carlem Allenem - oświadczył. - Masz rację, ty cwaniaku. Byłem

Carlem Allenem, ale to się

skończyło. Później byłem Victorem Hobiem. Byłem nim naprawdę długo, dłużej, niż byłem Carlem Allenem, ale na jawnej i to się skończyło. Od tej pory będę Jackiem Reacherem.

-Co?

-To moja oferta. Tak będzie wyglądał nasz układ. Twoje nazwisko w zamian za życie tej kobiety.

-Co? - powtórzył Reacher.

-Chcę przejąć twoją tożsamość. Chcę twojego nazwiska. Reacher popatrzył na niego bez słowa.

-Jestes włóczęgą, nie masz rodziny - dodał Allen. - Nikt nie będzie cię szukał.

-A co potem?

-Potem umrzesz. Nie możemy przecież pozwolić, żeby dwie osoby nosiły to samo nazwisko, prawda? To uczciwa propozycja. Twoje życie w zamian za życie tej kobiety. Jodie patrzyła na Reachera. Czekając.

-Nie - odrzekł Reacher.

-Zastrzele ją - zagroził Allen. Reacher znowu pokręcił głową. Ból był okropny. Stawał

się coraz mocniejszy i rozszerzał się w kierunku oczu.

-Wcale jej nie zastrzelisz - odpowiedział. - Lepiej zastanów się, Allen. Pomyśl o sobie.

Jestes egoistycznym zaszranem. Dla ciebie zawsze najważniejszy jesteś ty sam. Zastrzelisz ją,

ja zastrzele ciebie. Stoisz cztery metry ode mnie. Celuje w twoją głowę. Pociągniesz za

cyngiel, ja tez pociagne. Ona umrze, a ty jedna setna sekundy po niej. Mnie rowniez nie uda

ci sie zastrzelic, bo gdy tylko spróbujesz skierowac rewolwer w moja strone, padniesz

trupem, nim wycelujesz. Zastanow sie. To pat.

Patrzyl na Allena zimnym wzrokiem, panujac nad bolem i ponurymi myslami. Klasyczny pat, ale byl pewien problem. Powazny blad w analizie. Reacher wiedzial o tym. Nagle to pojal i poczul, ze jest bliski paniki. Allen zrozumial to w tej samej chwili. Reacher dostrzegl w jego oczach blysk zadowolenia.

-Zle to wyliczyles - rzekl Allen. - Cos pominales.

Reacher milczal.

-W tym momencie mamy pat - ciagnal Allen. - I tak bedzie, dopoki ja stoje tu, a ty tam. Jak dlugo jednak bedziesz tam stal? Reacher przelknal sline. Czul kolejne fale bolu.

-Bede tu stal tak dlugo, jak dlugo bedzie to konieczne - odpowiedzial. - Mam duzo czasu. Jak wiesz, jestem wlozczega. Nie mam zadnych pilnych spotkan. Allen sie usmiechnal.

-Dzielne slowa - stwierdzil. - Ale masz krwawiaca rane glowy. Wiesz o tym? Z glowy sterczy ci jakis kawalek metalu. Widze go nawet stad. Jodie rozpaczliwie pokiwalala glowa. Patrzyla na Reachera oczami pelnymi przerazenia.

-Niech pan sprawdzi, panie Curry - polecil Allen. - Niech pan mu powie. Facet siedzacy na sofie pod lufa steyra zsunal sie na podloge, obszedl sofe na czworakach i uklakl. Caly czas trzymal sie daleko od pistoletu Reachera. Podniosl glowe, zeby sprawdzic. Reacher milczal. - W tym momencie mamy pat - ciagnal Allen. - I tak bedzie, dopoki ja stoje tu, a ty tam. Jak dlugo jednak bedziesz tam stal? Reacher przelknal sline. Czul kolejne fale bolu.

Bede tu stal tak dlugo, jak dlugo bedzie to konieczne - odpowiedzial. - Mam duzo czasu. Jak wiesz, jestem wlozczega. Nie mam zadnych pilnych spotkan. Allen sie usmiechnal.

-Dzielne slowa - stwierdzil. - Ale masz krwawiaca rane glowy. Wiesz o tym? Z glowy sterczy ci jakis kawalek metalu. Widze go nawet stad. Jodie rozpaczliwie pokiwalala glowa. Patrzyla na Reachera oczami pelnymi przerazenia.

-Niech pan sprawdzi, panie Curry - polecil Allen. - Niech pan mu powie. Facet siedzacy na sofie pod lufa steyra zsunal sie na podloge, obszedl sofe na czworakach i uklakl. Caly czas trzymal sie daleko od pistoletu Reachera. Podniosl glowe, zeby sprawdzic. Na jego twarzy pojawil sie grymas.

-To gwozdz - powiedzial. - Gwozdz stolarski. Ma pan gwozdz w czaszce.

-To z pulpitu recepcjonisty - rzucil Allen.

Curry znowu usiadl na podlodze. Reacher wiedzial, ze Curry nie sklamal. Bol narastal w lawinowym tempie. Ognisko cierpienia znajdowalo sie na czole, dwa centymetry nad oczami. Dzieki adrenalinie nie czul go tak mocno, ale dzialanie adrenaliny nie trwa wiecznie. Ogromnym wysilkiem woli zmusil sie, zeby nie myslec o bolu, ale czul go. Bol byl ostry jak brzytwa, a jednocześnie powodowal mdlosci, pulsowal i grzmial w glowie, wysylal do jego oczu jaskrawe blyskawice. Koszula Reachera nasiakla krwia az do pasa. Co chwila mrugal, lecz lewym okiem juz nic nie widzial, bo bylo zalane krwia. Splywala po szyi, lewej rece i skapywala z palcow.

-Nic mi nie jest - rzekl. - Nie martw sie o mnie.

-Dzielne slowa - powtorzyl Allen. - Ale w rzeczywistosci cierpisz bol i mocno krwawisz.

Nie wytrwasz dluzej niz

ja, Reacher. Myslisz, ze jestes twardy, ale w porownaniu ze mna jestes mieczakiem. Wypelzlem z helikoptera bez reki, z przecietymi naczyniami krwionosnymi. Plonalem. W takim stanie przezyłem trzy tygodnie w dzungli, a potem wrocilem wolny do kraju. Zylem tu w ciaglym zagrozeniu przez trzydziesci lat. To ja tu jestem twardzielem. Jestem najtwardszym czlowiekiem na swiecie. Psychicznie i fizycznie. Nie wytrwalbys dluzej niz ja, nawet gdybys nie mial tego cholernego gwozdzia we lbie. Nie oszukuj sie, okay? Jodie patrzyła Reacherowi w oczy. W slabym, rozproszonym swietle przenikajacym przez zaluzje jej wlosy wydawaly sie zlote. Opadaly na twarz, rozdzielajac sie na czole. Widzial jej oczy. Jej usta. Luk szyi. Smukle, silne cialo napierajace na ramie Allena. Lsniacy hak na tle jej kostiumu. Bol rozrywal mu glowe. Mokra koszula stopniowo stawala sie zimna. W ustach zbierala sie krew. Miala metaliczny posmak jak aluminium. Poczul pierwsze, slabe drzenie ramienia. Steyr zaczynal mu ciazyc. - Nie brakuje mi motywacji - ciagnal Allen. - Na stracic. Jestem geniuszem i czlowiekiem umiejacym przetrwac. Myslisz, ze pozwole, zeby mnie pokonal? Sadzisz, ze jestes pierwszym, ktory sprobował? Reacher zacisnal zeby z bolu.

-No to moze podwyzszymy stawke! - zawolal Allen. Scisnal Jodie jeszcze mocniej,

podciagajac do gory. Wbil

rewolwer w jej zebra tak mocno, ze pochylila sie na bok i do przodu, zwisajac na jego ramieniu. Uniosl ja, zeby go zaslaniala. Hak sie poruszyl. Reka przesunela sie z jej talii na klatke piersiowa. Hak przeoral jej piersi. Jodie jeknela z bolu. Allen przesunal hak jeszcze wyzej, na jej twarz. Trzymal ja zgietą reka. Obrocil nieco lokiec i wbil hak w jej policzek.

-Moglbym rozedrzec ja na strzepy - powiedzial. - Moglbym zedrzec jej twarz, a ty nie

bylbys w stanie nic na to poradzic. Stres pogarsza samopoczucie, prawda? Zwietsza bol?

Jestes coraz slabszy? Czujesz, ze zaraz zemdlejesz? Zaraz padniesz, Reacher. Stracisz

przytomnosc, a wtedy skonczy sie pat, wierz mi.

Reacher zadrzal. Nie z bolu, ale dlatego, ze Allen mial racje. Czul to w kolanach, choc wciaz pewnie stal na nogach. Jednak zdrowy czlowiek nie czuje kolan, sa po prostu elementem jego ciala. Gdy czuje, jak dzielnie utrzymuja stuki logra-mowe cialo, to oznacza, ze juz wkrótce sie uguna. To wczesne ostrzezenie.

-Padasz juz, Reacher! - krzyknal Allen. - Trzesiesz sie, wiesz o tym? Opuszczasz nas. Za

kilka minut podejde do ciebie i strzale ci w leb. Mam dosc czasu.

Reacher znowu zadygotal. Z trudem zbieral mysli. Krecilo mu sie w glowie. Mial otwarta rane. Dziure w czaszce. Wyobrazil sobie, jak Nash Newman demonstruje jego czaszke podczas wykladu. Ostro przedmiot przebil czolo - o, tutaj - uszkodzil opony mozgowe i plat czolowy oraz spowodowal krwotok. Z trudem utrzymywal pistolet w wyciagnietej rece. Uslyszal napomnienie Leona: Jesli plan A zawodzi, natychmiast przejdz do planu B. Przypomniat sobie, jak kiedys, przed laty, policjant z Luizjany opowiadal mu o zgubnych skutkach uzywania rewolweru kalibru.38. Nie mozna miec pewnosci, ze jednym strzałem wykonczysz narkomana, ktory cie atakuje, powiedzial. Reacher pamietal jego zmartwiona twarz. A krotka lufa dodatkowo pogarsza sprawe. Trudno trafic z pistoletu z krotka lufa. Gdy trzeba przy tym trzymac wyrwywajaca sie kobiete, trafienie staje sie jeszcze trudniejsze. Z drugiej strony przypadkowy strzal moze okazac sie celny. Krecilo mu sie w glowie. Mial wrazenie, ze ktos wali go w leb ogromnym kilofem. Opuszczaly go sily. Pieklo go otwarte prawe oko, jakby mial w nim igly. Jeszcze piec minut Piec minut i po mnie. Przypomniat sobie, jak razem z Jodie wracali wynajetym samochodem z ogrodu botanicznego. Mowil do niej. W samochodzie bylo cieplo. Slonce nagrzalo zamkniety woz. Powiedzial wtedy, ze psychologia jest podstawa kazdego szwindlu. Trzeba pokazac komus to, co chce zobaczyc. Lufa steyra zakolysala sie na boki. No, dobra, Leon, oto jest plan B. Ciekawe, czy ci sie spodoba, pomyslal. Nogi ugiely sie pod nim. Zatoczyl sie. Szybko odzyskal rownowage i znowu wycelowal w

głowy Allena. Muszka pistoletu zataczała kola w powietrzu. Najpierw niewielkie, potem większe, tak jakby nie mogła już udźwignąć ciężaru broni. Zakasłał i wypluł krew z ust. Steyr opadał. Muszka była coraz niżej, zupełnie jakby ktoś ciągnął ją w dół. Spróbował ją podnieść, ale nie dał rady. Chciał dzwignąć reke, ale zamiast tego zakolysał nią na boki, jakby jakaś niewidzialna siła niweczyła jego próby. Znowu ugięły się pod nim kolana. Poderwał się spazmatycznie. Steyr zwisał lufa w dół, nieco w prawo. Zablokował łokieć, ale nie mógł utrzymać prosto całego ramienia. Allen poruszył reka. Reacher przyglądał się temu i myślał, czy to, co czuł do Jodie, okaże się równie skuteczne jak narkotyki. Allen wyciągnął lufę rewolweru z fałd jej kostiumu. Czy dam radę? Reacher z trudem utrzymywał się na chwiejnych nogach. Czekaj. Tylko czekaj. Zobaczył, jak Allen wysuwa do przodu nadgarstek. Był bardzo szybki. Reacher ujrzał czarny otwór stalowej lufy. Jodie nic nie groziło. Nagle pochyliła głowę. Reacher poderwał pistolet. Do celu brakowało mu już tylko kilka centymetrów. Kilki parszywych centymetrów. To wszystko. Szybko, pomyślał, ale jednak za wolno. Zobaczył, jak opada kurek rewolweru 12 lufy wydobywa się ogień. Poczul potężne uderzenie w piers, zupełnie jakby wpadł pod pociąg towarowy. Siła uderzenia sprawiła, że nawet nie usłyszał huku wystrzału. Młot wielkości planety uderzył go w klatkę piersiową. Wstrząsnął nim i ogluszył od wewnątrz. Nie czuł bólu. Nawet najmniejszego. Po prostu zimna dretwota w piersi i cicha pustka w głowie. Absolutny spokój. Przez ułamek sekundy walczył, żeby ustać na nogach i nie zmrużyć oka podrażnionego dymem wylatującym z tłumika stcyra. Przesunął się nieco w bok i patrzył, jak cztery metry od niego eksploduje głowa Allena. W powietrzu unosiła się chmura rozpylonej krwi i odłamków kości. Rozchodziła się niczym mgłą, miała już metr średnicy. Czy nie żyje? - zadał sobie pytanie. Na pewno, sam sobie odpowiedział i przestał walczyć. Zamknął oczy i przewrócił się na plecy. Leciał w idealnej ciszy gdzieś w bezkresnych ciemnościach.

18

Wiedział, że umiera, bo przed jego oczami przelatywały znajome twarze. Wszystkie poznawał. Tworzyły długi strumień, pojawiały się po dwie lub po trzy, i nie było wśród nich żadnych obcych. Słyszał, że tak to wygląda. Przed śmiercią człowiek widzi całe swoje życie. Wszyscy tak mówili. Teraz tak właśnie było. Niewątpliwie umierał. Reacher pomyślał, że gdy twarze się zatrzymają, to będzie już koniec. Ciekaw był, kto pokaze mu się ostatni. Nie brakowało kandydatów. Zastanawiał się, kto określa kolejność. Czyja to była decyzja? Trochę go irytowało, że to nie do niego należy wybór. A co będzie dalej? Co stanie się, gdy zniknie ostatnia twarz? Cos jednak zakłóciło ten proces. Nagle pojawiła się twarz, której nie znał. Wtedy uświadomił sobie, że to na pewno armia zorganizowała tę paradę. Na pewno. Tylko armia mogła przypadkowo włączyć kogoś, kogo nigdy przedtem nie widział. Zupełnie obcego człowieka w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. Reacher pomyślał, że to całkiem normalne. Prawie całe życie spędził w wojsku, zatem nic dziwnego, że to armia zajęła się organizacją ostatniego etapu. Jeden błąd można było wybaczyć. To normalne, może nawet typowe dla armii.

Ten facet jednak go dotykał. Ból. Zadawał mu ból. Reacher nagle uświadomił sobie, że parada się skończyła, nim pojawił

się facet. On wcale nie brał w niej udziału. Przyszedł później. Może po to, żeby go wykonać. Tak, na pewno. To było jedyne możliwe wyjaśnienie. Facet miał dopilnować, żeby umarł o wyznaczonej porze. Parada się skończyła i wojsko nie mogło pozwolić, żeby przeżył. Skoro już zdobyli się na wysiłek

i zorganizowali paradę, nie chcieli, żeby ich trud poszedł na marne. To byłoby bez sensu. Poważne naruszenie reguł armii służby. Reacher spróbował sobie przypomnieć, kto się pojawił przed facetem. Przedostatnia osoba, a właściwie ostatnia. Nie pamiętał. Nie zwrócił

uwagi. Stracił przytomność i zmarł, nie wiedząc nawet, kto był ostatnim uczestnikiem parady. - - -

Zmarł, ale wciąż myślał. Czy to okay? Czy to już inny świat? To by było dopiero coś. Przez niemal trzydzieści dzieć więc lat żył w przekonaniu, że nie ma żadnego innego świata i życia pozagrobowego. Niektórzy się z nim zgadzali, inni oponowali, ale on był o tym świecie przekonany. Teraz sam trafił do innego świata. Zaraz ktoś przyjdzie i kpić o

powie: A nie mowilem. Gdyby role sie odwrocily, on z pew-noscia tak by zrobil. Jesli ktos wyglaszal absolutnie falszywe twierdzenia, to zasluzyl przynajmniej na kilka przyjacielskich docinkow.

Zobaczyl Jodie Garber. Ona mu to powie. Nie, to niemozliwe. Przeciez ona nie umarla. Chyba tylko zmarli moga cie zrugac w innym swiecie? Nikt zywy nie moze tego zrobic. To wydawalo mu sie zupełnie oczywiste. Dla zywych nie ma miejsca w zyciu pozagrobowym. Jodie Garber zyla. Sam o to sie postaral. O to przeciez chodzilo. No, a poza tym byl prawie pewny, ze nigdy nie rozmawial z nia o zyciu pozagrobowym. A moze? Moze wiele lat temu, gdy byla dzieckiem? To naprawde byla Jodie Garber. Zblizala sie, zeby porozmawiac. Usiadla przed nim, odgarnela wlosy za uszy. Dlugie, jasne wlosy, male uszy. - Czesc, Reacher - powiedziala.

To byl jej glos. Nie mial zadnych watpliwosci. Na pewno. A wiec moze tez nie zyla. Moze jakis wypadek samochodowy.

To dopiero bylby kaprys losu. Moze wpadla pod pedzaca ciezarowke na Broadwayu, gdy wracala do domu z World Trade Center.

-Czesc, Jodie - odpowiedzial.

Usmiechnela sie do niego. Mieli kontakt. Z tego wynikalo, ze byla martwa. Tylko martwi moga rozmawiac ze zmarlymi. Chcial sie upewnic.

-Gdzie my jestesmy? - spytal.

-U Swietego Wincentego - powiedziala.

Reacher slyszal o swietym Piotrze. To ten przy bramie. Widzial go na obrazach. No, moze nie na obrazach, ale w komiksach. Staruch w todze, z dluga broda. Stoi za pulpitem i pyta, dlaczego ma wpuscic kolejnego delikwenta. Reacher nie pamietal jednak, zeby swiety Piotr zadawal mu jakies pytania. Moze to nastapi pozniej. A moze powinien wrocic i zaliczyc to przesluchanie.

Kim jednak byl swiety Wincenty? Moze to szef obozu dla czekajacych na rozmowe ze swietym Piotrem. Moze to co

s

w rodzaju obozu dla rekrutow, unitarnego szkolenia. Moze stary swiety Wincenty prowadzi cos w rodzaju niebianskiego Fort Dix. No, to nie problem. Reacher bez trudu zaliczyl oboz dla rekrutow. To byla najlatwiejsza faza calej jego sluzby. Moze to powtorzyc. Ta mysl jednak mocno go zirytowala. Na litosc boska, przeciez byl juz majorem. Byl gwiazdorem policji, dostal kilka medali. Do diabla, dlaczego mial teraz powtarzac unitarke? No i co tu robila Jodie? Przeciez powinna zyc. Reacher uswiadomil sobie, ze zaciska lewa reke. Byl zly. Uratowal Jodie, bo ja kochal. Dlaczego zatem zmarla? Do diabla, co tu sie dzieje? Sprobował usiasc. Cos go trzymalo. Cholera, co to ma znaczyć? Ktos

musi mu to natychmiast wyjaśnić albo porachuje komus kosci.

-Spokojnie - powiedziała Jodie.

-Chce porozmawiac ze swietym Wincentym - zazadał. - Ma tu przyjść, i to natychmiast.

Powiedz mu, żeby ruszył dupę i przyszedł tu w ciągu pięciu minut, bo inaczej naprawdę się wściekne.

Spojrzała na niego i pokiwała głową. - Okay.

Jodie wstała. Znikła gdzieś, a on leżał na łóżku. To chyba jednak nie był oboz dla rekrutów. Było zbyt cicho, a poduszki były za miękkie.

Gdy to wspominał, myślał, że powinien być przeżył szok. Tak się jednak nie stało. Zobaczył wyraźnie pokój, spojrzał na meble i łśniące urządzenia i pomyślał: szpital. Wroczył do życia z takim samym wewnętrznym wzruszeniem ramionami, z jakim zajęty człowiek uświadamia sobie, że jest inny dzień tygodnia, niż mu się wydawało.

Leżał w słonecznym pokoju. Obrócił głowę w stronę okna. Pod oknem siedziała Jodie i czytała książkę. Oddychał cicho i patrzył na nią. Łśniące włosy spadały jej na ramiona. Kreciła kosmykiem, trzymając go między palcem wskazującym i kciukiem. Miała na sobie żółtą sukienkę bez rękawów. Widac było opalone ramiona i niewielkie guzki kostne. Miała długie, szczupłe ramiona. Siedziała ze skrzyżowanymi nogami w żółtych pantoflach dopasowanych do sukienki. Jej kostki miały brązowy kolor.

-Hej, Jodie - przywitał ją.

Podniosła głowę i spojrzała na niego. Szukała czegoś w jego twarzy, a gdy to znalazła, uśmiechnęła się szeroko.

-Hej, Reacher - rzuciła. Wstając z krzesła, upuściła książkę. Zrobiła trzy kroki, pochyliła się i pocałowała go w usta.

-Święty Wincenty - powiedział. - Mówiłeś mi, ale byłem półprzytomny. Kiwnęła głową.

-Nafaszerowali ci morfinę - wyjaśniła. - Pompowali ją w ciebie jak szaleni. Starczyłoby dla wszystkich narkomaniów w Nowym Jorku.

-Jaki dziś dzień?

-Jest lipiec. Byłeś nieprzytomny trzy tygodnie.

-Jezu, powinienem być głodny.

Jodie obeszła łóżko i stanęła z lewej strony. Dotknęła jego przedramienia ułożonego dłonią do góry. Miał założony wenflon.

-Karmili cię - powiedziała. - Dopilnowałam, żebyś dostawał to, co lubisz. Wiesz, dużo glukozy i soli fizjologicznej.

-Nie ma nic lepszego od soli fizjologicznej. Jodie zamilkła.

-No, co tam? - spytał.

-Pamiętasz?

-Wszystko - odpowiedział, kiwając głową. Przełknęła ślinę.

-Nie wiem, co powiedzieć - szepnęła. - Naraziłeś się na śmierć, żeby mnie ocalić.

-Mój błąd - odrzekł. - Byłem za wolny, to wszystko. Miałem go oszukać i strzelić pierwszy. No, ale najwyraźniej przegrałem. Nie mów nic. Naprawdę. Nigdy o tym nie wspominaj. Muszę ci podziękować - szepnęła.

-To raczej ja powinienem być wdzięczny - powiedział Reacher. - To wspaniałe uczucie, gdy masz kogoś, dla kogo chcesz narazić się na śmierć.

Jodie pokiwała głową, ale nie żeby się z nim zgadzała. To był tylko przypadkowy ruch, który miał pomóc jej powstrzymać płacz.

-Co mi jest? - spytał Reacher. Jodie przez chwilę milczała.

-Zawołam lekarza - powiedziała cicho. - Wyjaśni ci lepiej niż ja. Jodie wyszła. Chwilę później do pokoju wszedł mężczyzna w białym fartuchu. Reacher się uśmiechnął. To był facet, którego przysłała armia, żeby go wykonał po planie. Niski, szeroki w barach, mocno owłosiony mężczyzna, który mógłby równie dobrze być zapasnikiem.

-Czy zna się pan na komputerach? - spytał. Reacher wzruszył ramionami. Zaczął podejrzewać, że to

jakiś rutynowe wprowadzenie do kiepskich wiadomości o uszkodzeniu mózgu, kalectwie, utracie pamięci i tak dalej. - Na komputerach? Niespecjalnie.

-Dobrze, spróbujemy. Niech pan sobie wyobrazi wielki superkomputer, najnowszego Craya.

Wprowadzamy wszystko, co wiemy o ludzkiej anatomii i fizjologii oraz o ranach po

strzałowych, a następnie zadamy, żeby zaprojektował meczyszyne najlepiej dostosowanego

do przeżycia postrzału z trzy-dziestkiemki w pierś. Przypuśćmy, że komputer liczy przez

tydzień. Wie pan, jaki byłby wynik?

-Nie mam pojęcia. - Reacher znowu wzruszył ramionami.

-Dostalibyśmy pański wizerunek, drogi przyjacielu. Ten cholerny pocisk nawet nie dotarł do środka klatki piersiowej. Ma pan takie grube i gęste mięśnie klatki piersiowej, że kula nie zdołała ich przebić. Ugrzeźła jak w kamizelce z kevlaru. Wyszła po drugiej stronie mięśnia, strząsała jedno zebro i to wszystko.

-Jeśli tak, to dlaczego przez trzy tygodnie byłem nieprzytomny? - natychmiast spytał Reacher. - Chyba nie z powodu dziury w mięśniu i złamanego zebra, to pewnie. Czy z moją głową jest wszystko w porządku. Lekarz dziwnie się zachowywał. Zakłaskał, a następnie machnął ręką w powietrzu, jakby zadawał cios. Zbliżył się do łóżka, uśmiechając się od ucha do ucha.

-Martwiłem się o to - powiedział. - Naprawdę byłem niespokojny. Poważna rana. Gdybym nie wiedział, że to gwoźdź z mebla rozbitego strzałem ze strzałówki, pomyślałbym, że ktoś użył pistoletu do wstrzeliwania gwoździ w ściany. Gwoźdź przebił czaszkę i zagłębił się trzy milimetry w mózg. Płat czołowy, mój przyjacielu, to nie jest miejsce, w które należy wbijać gwoździe. Gdybym już musiał mieć gwoźdź w czaszce, z pewnością nie wybrałbym płata czołowego. Jednakże gdybym musiał zobaczyć gwoźdź w którymś płacie czołowym, wybrałbym pana, ponieważ ma pan czaszkę grubsza niż neandertalczyk. Gdyby nie to, gwoźdź wszedłby w płat na całą długość, a to oznaczałoby dzięki i dobranoc.

-Czy zatem nic mi nie jest? - spytał Reacher.

-Wlasnie dzieki panu zaoszczedzilismy dziesiec tysiecy dolarow na testach - odpowiedzial

radosnie lekarz. - Prze

kazalem panu wiadomosc o ranie w piersi, a co pan zrobil? Porownal pan to z informacjami

w swojej wewnetrznej bazie danych, zdal pan sobie sprawe, ze to nie byla powazna rana i nie

mogla pozbawic pana przytomnosc na trzy tygodnie, przypomnial sobie pan druga rane,

polaczyl pan jedno z drugim i zadal pan wlasciwe pytanie. Natychmiast. Bez wahania. Szybkie

logiczne myslenie, zdolnosc przywołania odpowiednich informacji, wyciagniecia wniosku i

zadanie wnikliwego pytania. Pana glowa jest w idealnym stanie, przyjacielu. Moze pan to

uznac za profesjonalna opinie. Reacher powoli skinal glowa.

-A wiec kiedy bede mogl wyjsc ze szpitala?

Lekarz spojrzal na wiszaca w nogach lozka historie choroby. Podniosl metalowa podkladke z doczepionym grubym plikiem kartek. Przejrzal dokumentacje.

-Hm, ogolnie biorac, zdrowie panu sluzi, ale lepiej bedzie, jesli zostanie pan na obserwacji. Powiedzmy, dwa lub trzy dni.

-Zawracanie gitary - zaprotestowal Reacher. - Wychodze dzis wieczorem

-No, zobaczymy, jak sie pan bedzie czul za godzine - odpowiedzial lekarz. Zblizyl sie do lozka i stajac na palcach, przekrecil zawor kroplowki, zwiakszajac tempo przeplywu. Stuknal palcem w rurke. Sprawdzil, czy ciecz splywa do r amienia, po czym wyszedl z pokoju. W drzwiach minal Jodie. Towarzyszyly jej mezczyzna w letniej marynarce. Mial jakies piecdziesiat lat, krotkie szpakowate wlosy i blada cere. Reacher popatrzyly na niego. Moge sie zalozyc, ze to ktos z Pentagonu, pomyslal.

-Reacher, to general Mead - przedstawila mezczyzne Jodie.

-Departament Obrony - powiedzial Reacher. Gosc spojrzal na niego ze zdziwieniem.

-Czy juz sie kiedys spotkalismy? - spytal.

-Nie. - Reacher pokrecil glowa. - Wiedzialem jednak, ze jak tylko otworze oczy, ktos z was bedzie tu weszyl. Mead sie usmiechnal.

-Szczerze mowiac, prawie rozbilismy tu oboz. Mowiac wprost, chcielibysmy prosic pana, zeby utrzymal pan w tajemnicy sprawe Carla Allena.

-Wykluczone - rzekl Reacher.

Mead znowu sie usmiechnal i cierpliwie czekal. Jako stary wojskowy biurokrata wiedzial, jak powinna wygladac tak a rozmowa. Leon zwykl powtarzac, ze cos za nic to dla niego obcy jezyk.

-Panstwo Hobie - mowil dalej Reacher. - Sprowadzicie ich do Waszyngtonu pierwsza klasa, ulokujecie w pieciogwiazdkowym hotelu, pokazecie nazwisko syna na Murze i dopilnujecie, zeby z tej okazji pojawila sie tam cala banda oficerow w galowych mundurach. Maja prezyc sie na bacznośc i salutowac jak wariaci. Jesli to zrobicie, bede trzymal

język za zębami.

-Zalutwinione - odparł Mead. Wstał i wyszedł z pokoju. Jodie usiadła w nogach łóżka.

-Powiedz mi, co z policją - spytał Reacher. - Maja do mnie jakieś pytania? Jodie potrząsnęła głową.

-Allen zabił dwoje policjantów - powiedziała. - Jeśli

będziesz trzymał się terytorium działania nowojorskiej policji, już nigdy w życiu nie dostaniesz mandatu. Samoobrona, nikt nie ma najmniejszej wątpliwości.

-A co z moim pistoletem? Ukradłem go.

-To był pistolet Allena. Wyrwał mu go z ręki. Wszyscy świadkowie to widzieli i potwierdzili.

Reacher powoli pokiwał głową. Przypominał sobie, jak z głowy Allena trysnęła krew i bryzgnęły strzępy mózgu. Dobry strzał, pomyślał. Ciemny pokój, stres, gwoździak w głowie, pocisk z trzydziestkiossemki w pierś, trafienie w dziesiątkę. Prawie perfekcyjny strzał. Znowu zobaczył hak na twarzy Jodie, lśniący stal na jej miodowej skórze.

-Nic ci nie jest? - spytał.

-Doskonale się czuję.

-Na pewno? Żadnych złych snów?

-Żadnych koszmarów. Jestem już duża dziewczynka. Reacher skinął głową. Przypominał sobie ich pierwszą wspólną noc. Duża dziewczynka. To chyba było milion lat temu.

-A co z tobą?

-Lekarz uważa, że wszystko jest okay. Nazwał mnie neandertalczykiem.

-Nie, pytam poważnie.

-A jak wyglądam?

-Pokażę ci.

Jodie poszła do łazienki i po chwili wróciła z lustrem zdjętym ze ściany. To było okrągłe lustro w plastikowej ramie. Oparła je na jego nogach. Reacher schwycił lustro prawą ręką i przejrzał się. Wciąż był opalony. Niebieskie oczy. Białe zęby. Ogolili mu głowę, ale miał już paromilimetrową szczecinę. Na lewej stronie twarzy widac było liczne ślady po okaleczeniach, natomiast dziura po gwoździu na czole ginęła wśród pozostałości po długim i burzliwym życiu. Dostrzegł ją, bo była bardziej czerwona od innych, ale nie różniła się wyraźnie od blizny dwa centymetry dalej, w miejscu, gdzie brat Joe zranił go kawałkiem szkła podczas dawno zapomnianej dziecięcej awantury. To zdarzyło się dokładnie w tym samym roku, kiedy Wietnamczycy zestrzelili helikopter Hobiego. Pochylił lustro do przodu. Zobaczył szeroki pas bandaża

wokół piersi. Śnieżnobiałe opatrunki ostro kontrastowały z opaloną skórą. Oceniał, że stracił jakieś piętnaście kilogramów. Wrócił do swojej normalnej wagi, czyli mniej więcej stu kilogramów. Oddał lustro Jodie i spróbował usiąść. Nagle zakreciło mu się w głowie.

-Chcę stąd wyjść - powiedział.

-Jestes pewny? - spytała.

Przytaknal. Był pewny, ale chciało mu się spać. Położył głowę na poduszce tylko na chwilę. Poduszka była taka miękka. Jego głowa wazyła chyba z tonę, bo nie mógł jej udźwignąć. Z

Każda chwila w pokoju stawiała się coraz ciemniej. Spojrzał na torbę na stojaku kropelki. Widział zawór, który lekarz poprawił. Na pewno go otworzył, Reacher słyszał trzask plastiku. Na torbie był jakiś napis. Skupił wzrok. Musiał się skoncentrować. Wreszcie odczytał zielone litery: morfina.

-Cholera - zdążył jeszcze zakląć, nim pokój pograżył się w ciemnościach.

-- -

Gdy ponownie otworzył oczy, stwierdził, że słońce cofnęło się na niebie. Było wcześniej, niż gdy zasypiał. To był poranek, nie popołudnie. Jodie siedziała na swoim krześle pod oknem. Czytała tę samą książkę - było stron do przeczytania mniej więcej grubości centymetra. Zmieniła żółtą sukienkę na niebieską.

-Nowy dzień - powiedział.

Jodie zamknęła książkę i wstała. Podeszła do łóżka, pochyliła się i pocałowała go w usta. Oddał jej pocałunek, po czym zacisnął zęby, wyciągnął wenflon z ramienia i rzucił go na podłogę obok łóżka. Kropki ciekące z igły tworzyły powiększającą się kałużę. Reacher usiadł na łóżku, oparł się na poduszce i przesunął dłoń po szczecinie na głowie.

-Jak się czujesz? - spytała Jodie.

Reacher siedział nieruchomo. Skupił się na systematycznym przeglądzie swojego ciała od palców stóp do potylicy.

-Doskonale - odparł.

-Masz gości - powiedziała Jodie. - Dowiedzieli się, że odzyskałeś przytomność. Kiwnął głową i przeciągnął się. Poczul lekki ból w piersi

Kiwnął głową i przeciągnął się. Poczul lekki ból w piersi po lewej stronie. Miał tam słabe miejsce. Spojrzał na stojak do kropelki. To była pionowa stalowa tyczka zakończona hakiem służącym do zawieszenia torby z ciecżą. Chwycił ręką hak i mocno scisnął. Poczul ból w łokciu i w miejscu postrzału, ale stalowy polokrag przybrał owalny kształt. Uśmiechnął się do siebie.

-Dobra, powiedz im, że mogą wejść.

Wiedział, kto przyszedł, nim jeszcze weszli do pokoju. Zorientował się po dochodzących do pokoju odgłosach. Koła wózka z butlą z tlenem głośno piszczały. Pani Hobie zatrzymała się przy drzwiach i pusiła meza przodem. Miała na sobie nowiutką sukienkę. On włożył stary, niebieski garnitur. Pchał przed sobą wózek z tlenem. Minał żonę. Lewą ręką trzymał rączkę wózka, a prawą podrzucił do góry i zaszalutował. Dłoń mu drżała. Reacher też zaszalutował, starając się tak, jakby to był pokaz musztry. Zrobił to z pełną powagą. Po dłuższej chwili opuścili rece. Starszy pan zbliżył się do łóżka, a jego żona kreciła się za nim. Byli innymi ludźmi. Wciąż starzy, wciąż słabi, ale już spokojni. Pewnie lepiej wiedzieć, że syn zginął, niż nie wiedzieć nic o jego losie, pomyślał Reacher. Przypominał sobie wizytę w pozabawionym okien laboratorium Newmana na Hawajach i trumnę Allena z leżącym w niej szkieletem Victora Hobiego. Stare kości Victora Hobiego. Dobrze je pamiętał. Wyodrębniły się wśród innych. Łagodny łuk czoła, wysoka, okrągła mózgo-goczaszka. Równe białe zęby. Długie proste kończyny. To był szlachetny szkielet.

-Wasz syn był bohaterem. Starszy pan pokiwał głową.

-Spełnił swój obowiązek.

-Zrobił znacznie więcej, niż nakazywał obowiązek -odrzekł Reacher. - Czytałem jego dokumenty. Rozmawiałem z generałem De Wittem. Był odważnym lotnikiem, który dokonał wielu czynów wykraczających poza obowiązki żołnierza. Dzięki swej odwadze uratował wielu ludzi. Gdyby przeżył, nosiłby teraz trzy gwiazdki. Byłby generałem, zajmowałby ważne stanowisko dowodcze lub miałby wielki gabinet w Pentagonie. Państwo Hobie to właśnie powinni usłyszeć, ale Reacher

wcale nie kłamał. Starsza pani położyła wychudzona blada dłoń na rece meza. Siedzieli w milczeniu, ze łzami w oczach, myśleć o kraju odległym o prawie osiemnastdzieści tysięcy kilometrów, w którym poległ ich syn. Opowiadali, kim mogłoby zostać, gdyby przeżył. Dawne zdarzenia teraz układały się w całość bez żadnych komplikacji, aż wreszcie przerwała je

honorowa śmierć na polu walki, po której pozostały już tylko niespełnione marzenia. Po raz pierwszy mogli o nich opowiadać, gdyż teraz były uprawnione. Te marzenia dodawały im siły, tak samo jak tlen syczący z butli w rytm wdechów i wydechów pana Hiebiego.

-Teraz mogę spokojnie umrzeć - stwierdził. Reacher pokręcił głową.

-Nie, jeszcze pan nie może - rzekł. - Musi pan pojechać zobaczyć Mur. Będzie tam jego nazwisko. Proszę, żeby pan przysłał mi fotografie. Starszy pan pokiwał głową, a jego żona uśmiechnęła się przez łzy.

-Pani Garber wspomniała nam, że być może osiedli się pan w Garrison - powiedziała. -

Byłby pan naszym sąsiadem. Reacher przytaknął.

-To całkiem możliwe.

-Pani Garber to wspaniała młoda kobieta.

-Tak, proszę pani, niewatpliwie.

-Skoncz z tymi głupstwami - zwrócił się pan Hobie do żony. Nie mogli dłużej zostać, bo sąsiad, który ich przywiozł, spieszył się do domu. Reacher odprowadził ich wzrokiem do drzwi. Gdy wyszli, w pokoju pojawiła się uśmiechnięta Jodie.

-Doktor powiedział, że możesz dziś opuścić szpital.

-Zawieziesz mnie? Kupiłaś już nowy samochód?

-Nie, wynajęłam. Nie miałam czasu na kupowanie samochodu. Hertz przysłał mi mercuri'ego. Z dobrym systemem nawigacji satelitarnej.

Reacher unosił rece nad głowę i przeciągnął się. Nic go nie zabolalo. To była niespodzianka. Nie poczuł bólu w zębach.

-Potrzebuje jakiegoś ubrania - powiedział. - Przypuszczam, że stare nadaje się do wyrzucenia.

-Pielęgniarki pocięły je nożyczkami.

-Byłaś przy tym?

-Byłam tu cały czas - odpowiedziała. - Zamieszkałam w pokoju na końcu korytarza.

-A co z praca?

-Wzielałam urlop - wyjaśniła. - Powiedziałam im, że jeśli się nie zgodzą, to rzucam pracę. Jodie wyciągnęła z laminowanej szafki stertę ubrań. Nowe dzinsy, nowa koszula, nowa marynarka, nowe skarpetki i majtki, wszystko starannie złożone w kostkę. Jego stare buty stały na wierzchu, w wojskowym stylu.

-To nic specjalnego - rzuciła. - Nie chciałam wychodzić na długo ze szpitala. Chciałam być przy tobie, gdy się zbudzisz.

-Siedziałas tutaj przez trzy tygodnie?

-Miałam wrażenie, że to trzy lata - odrzekła. - Byłeś cały poraniony. Nieprzytomny. Wyglądałeś okropnie. Naprawdę strasznie.

-Ten system nawigacji satelitarnej... - zauważył Reacher. - Czy jest w nim droga do Garrison?

-Jedziesz tam?

-Chyba tak - odparł, wznosząc ramionami. - Mam podobno odpocząć, zgadza się? Wiejskie powietrze dobrze mi zrobi. - Spojrzał w kierunku okna. - Może mogłabys tam ze mną zostać na jakiś czas, no wiesz, pomogłabys mi odzyskać siły.

Reacher odrzucił koldre i opuszcł nogi na podłogę. Wstał powoli i niepewnie, po czym zaczął się ubierać. Jodie trzywała go za łokieć, żeby się nie przewrócił.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-27

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/